PRZEGLĄD POWSZECHNY.

PRZEGLĄD POWSZECHNY

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO. *Ps. 143.*

ROK TRZYDZIESTY SZÓSTY. — TOM 143 i 144.

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ, PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEŃ.

1919.

KRAKÓW.
CZCIONKAMI DRUKARNI »CZASU« — 1919.

SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU.

UNJI LUBELSKIEJ WSPOMNIENIE.

Dnia 1. lipca przypada 350-ta rocznica unji lubelskiej! Pierwsza w niepodległej Polsce! Ileż uczuć i myśli nasuwa się, wiruje, rozrzewnia i tłoczy naprzemian, podnosi ducha i wątpliwości budzi!

Nie odzyskujemy my niepodległości ni tanim kosztem, ni wśród pląsów, właściwych pomyślności przygodnej. Krwawimy się pośród najcięższych ofiar, tchu nam ledwie starczy, żeby wytrzymać napór najsroższych wichur, dmących nam w oczy, a wysiłek torowania sobie dróg, zasypywanych raz wraz i napełnionych zbirami, czyhającymi zdradliwie — nie ma równego sobie bodaj w całej historyi powszechnej. Kiedy nareszcie wyjdziemy cało z tych opałów, będziemy sobie mogli śmiało powiedzieć, że dla Polaka niema problemu zbyt trudnego do rozwiązania, skoro tylko chodzi o Ojczyznę.

Trudność problemów idzie w Polsce w parze z nadzwyczajną ich rozległością. Żaden chyba naród nie ma tylu interesów w tylu przeróżnych kierunkach — a z tego ten prosty skutek, że i kłopotów musi być sporo. Ale kłopot kłopotowi nie równy. Są takie, które bolą, ranią w serce.

Takim jest kłopot litewski. Gdybyśmy dzisiaj, budząc się do nowego bytu państwowego, oświadczali się z najgłębszemi i najszczerszemi intencjami względem Litwy, wołając Litwinów do współpracy, byśmy byli obywatelami obojga narodów — narazić moglibyśmy się na to, że ze strony tamtej hasło nietylko nie spotkałoby się z odzewem, ale byłoby przyjęte szyderczo.

Sytuacja nasza wobec Litwinów doszła już od lat mniej więcej dwudziestu do tego, iż nie wiadomo, czy ich zaliczać do przyjaciół, czy do nieprzyjaciół Polski. To, cośmy najbardziej ukochali z naszych ideałów dziejowych, unja z Litwą, nie może być traktowana jednostronnie, bez Litwinów, ani positive, ani negative: tak

czy owak padnie sprawa, musi to być dwugłos. Toteż my możemy tylko rozważać i badać sprawę, żeby się zapoznać z nią jak najlepiej — poza to posunąć się dziś niesposób. Musimy czekać, co postanowi tamta strona.

W pierwszą rocznicę unji lubelskiej po odzyskaniu niepodległości najlepiej zrobimy, jeżeli rozpatrzymy materjał, odnoszący się do kwestji litewskiej. Znawstwo przedmiotu musi stanowić fundament wszelkich programów. Nie posuwajmy się w rozumowaniu odrazu do końcowych wniosków. Studjujmy przedtem rzecz cierpliwie.

Artykuł niniejszy spełni swe zadanie, jeżeli będzie mógł posłużyć za rejestr rozumowany tych zagadnień, z których składa się kwestja litewska ze stanowiska historycznego; za prosty rejestr i nic więcej.

* * *

Litewska dynastja panowała nad Polską, a nie polska nad Litwą. Czynnik dynastyczny, tak wpływowy zawsze, a cóż dopiero wówczas, przeważał szale nieraz na tamtą stronę i dynastja Jagiellońska dawała często odczuć swą litewską przewagę. Do Litwy trzeba było zastosować się po wielekroć, zwłaszcza za Kazimierza Jagiellończyka i Aleksandra. Umów o wspólny wybór monarchy dochowywano święcie ze strony polskiej, podczas gdy Litwa kilka razy — nawet po Jagiellonach — monarchę Polsce narzucała, stawiając Polskę wobec czynu dokonanego, jakby na Litwie działała jakaś tradycja, że król polski musi być przedtem i przedewszystkiem wielkim księciem litewskim. Bo też ten wspólny monarcha bywał z reguły bardziej zależnym od swych litewskich poddanych i bardziej ulegał wpływom litewskim.

W sprawach zewnętrznych rządziła nie Polska Litwą, lecz przeciwnie: Litwa zawładnęła w zupełności polityką zewnętrzną polską, nadawała jej ton i kierunek. Dla Litwy odwracała się uwaga Polaków coraz bardziej od zachodu, aż pochłonięta wyłącznie sprawami wschodniemi, przestała zgoła należeć do europejskiego ugrupowania państw, straciła związek polityczny z Europą i głos w polityce międzynarodowej. A te sprawy wschodnie nie były sprawami Korony, lecz Wielkiego Księstwa; stawały się polskiemi tylko dlatego, że Polska interesy Litwy przyjęła za swoje, że dochowała skrupulatnie warunków unji. Broniło się od Moskwy granic nie polskich, lecz litewskich. Ocalono kilkakrotnie w ciągu wieków XV, XVI, XVII niepodległość Wielkiego Księstwa, a gdy granice nad górnym Dnieprem

rozszerzano na wschód, przybywało kraju nie Koronie, lecz Litwie i tylko do litewskiego skarbu wpływały nowe dochody. Raz tylko zdobycz na północy stała się wspólną własnością obydwóch państw: Inflanty.

W sprawach wewnętrznych nie była też Litwa bynajmniej jakiemś biernem terytorjum polskiego eksperymentowania — a bywała i w tej dziedzinie górą pod wielu względami. Zanim się atoli w tem rozpatrzymy, zastanowimy się nad czynnikami samegoż aktu unji lubelskiej 1569 roku.

Doprowadzenie do skutku przygotowywanej długo unji lubelskiej nie obyło się bez ofiar. Gdyby Zygmunt August miał syna, byłby on według wszelkiego prawdopodobieństwa koronowany na króla polskiego jeszcze za życia ojca, podobnież jak Zygmunt August koronowany był za życia Zygmunta Starego. Ostatni z Jagiellonów pełen trwogi patrzał w ciemną przyszłość, groziło bowiem rozbicie unji przez spadkobierców po kądzieli. Polska wybrałaby sobie króla, wezwałaby na tron jaką nową dynastję, ale czy Litwa będzie mogła uczestniczyć w tym wyborze? Litwa stanowiła dziedzictwo Jagiellonów, a skoro nie było potomstwa po Zygmuncie Auguście, mogłyby wystąpić z uroszczeniami do dziedzictwa i jego siostry i ich potomstwo. Z pięciu sióstr królewskich najstarsza Jadwiga była zamężną za elektorem brandenburskim, Joachimem II, następna Zofja za księciem brunświckim, Katarzyna za królem szwedzkim, Izabella była wdową po Janie Zapolskim węgierskim, Anna zaś niezamężną.

Elektorowi brandenburskiemu dano z góry odczepne. Dnia 4 marca 1563 dopuszczą go Zygmunt August wraz z potomstwem do dziedzictwa księstwa pruskiego, na wypadek, gdyby wygasła linja Albrechta pruskiego; a wiadomem było powszechnie, że syn jego jest chorowity. Zamiast tedy wcielić w danym razie resztę Prus do Polski i zyskać drugie tyle wybrzeży Bałtyku, mieliśmy nietylko utrwalić nadal byt tego księstwa, wżerającego się w ciało Rzpltej klinem politycznym i ekonomicznym, ale dać mu się zamienić przez połączenie z Brandenburgją w znaczne państwo na północy. Ofiara nadzwyczaj ciężka, dająca się wyjaśnić tylko obawami królewskiemi o przyszłość Litwy; — a my dziś nie możemy nie mieć wątpliwości, czy odczepne dane Brandenburgowi nie było za duże, czy nie byłoby lepiej narazić się na kłopoty, jakie wyniknęłyby z odmówienia go?

Wyobrażał sobie Zygmunt August i marzył o tem, że wybór następcy tronu litewsko-polskiego przeprowadzi sam za swego życia. Należało tedy najpierw wprowadzić na Litwie prawną zasadę elekcji. Najpotężniejszym wśród oligarchów litewskich nie bardzo się to uśmiechało, gdy król w latach 1559—1564 zaprowadzał na Litwie prawo publiczne polskie, urzędy i sądy ziemskie z wyborów, sejmiki i sejmy na sposób polski odbywane. Mając jednak poparcie warstwy ziemskiej na Litwie, kroczył król coraz dalej na obranej drodze, aż wreszcie dnia 12 lutego 1564 zrzekł się dziedzictwa Litwy.

Następcą po sobie pragnąłby mieć siostrzeńca swego, syna Izabelli, Jana Zygmunta Zapolyę — wykluczał zaś od następstwa dynastię habsburską. W r. 1558 groził śledztwem na tych, którzy rozgłaszali, jakoby się był ułożył w tej sprawie z Habsburgami. Faktem było, że Maksymiljan, syn cesarza Ferdynanda, starał się o to następstwo wbrew Zygmuntowi Augustowi i jednał sobie zawczasu stronników w Polsce i na Litwie. Wikłało się to ze sprawą węgierską. Ponieważ Habsburgowie i Zapolyowie wojowali z sobą ciągle na Węgrzech, musiał Zygmunt August lawirować nieraz pomiędzy rafami polityki międzynarodowej — a ostatecznie nie mógł przeprowadzić wyboru Zapolyi, nie chcąc ściągać na Polskę jawnej nieprzyjaźni Habsburgów, którzy za panowania jego i jego ojca pokazali już niejednokrotnie, jak daleko mogą sięgać ich wpływy. Cieszyła się zaś kandydatura Habsburga poparciem Katarzyny szwedzkiej, pomagającej Maksymiljanowi werbować w Polsce stronników; to też Zygmunt August nie lubiał tej siostry. Ten zaś Maksymiljan, chociaż wkrótce posiadł Węgry (o ile były wolne od Turka) i Czechy, a nadto cesarską koronę, nie zaprzestał nigdy starań o tron polsko-litewski, jakoż został nawet wybrany w r. 1575 przez znaczne stronnictwo możnowładcze, lecz zakończył swe królowanie w bitwie pod Byczyną (24. I. 1588).

Nie mogąc sam przeprowadzić wyboru następcy, starał się Zygmunt August tem usilniej, żeby Litwa napewno wybrała sobie »pana« wspólnie z Polską. Nietylko chciał wznowić dawne w tej mierze zapisy, ale pragnął unję uczynić jeszcze ściślejszą. Zgadzał się pod tym względem najzupełniej ze szlacheckiem stronnictwem »egzekucji«; czem ściślejszą bowiem będzie ta unja, tem większa pewność, że Litwa pozostanie przy Polsce. Wprowadzanie polskiego prawa publicznego było tylko wstępem do zamierzonego dzieła.

Szlachta przypominała, że pierwszą formą »unji« z Litwą było proste wcielenie wszystkich ziem Wielkiego Księstwa Litewskiego do polskiej Korony (układ krewski, 1386), a litewskie ziemiaństwo pragnęło w olbrzymiej większości powrócić do tego stosunku, zapewniającego odrazu przewagę porządkowi demokracji szlacheckiej przeciwko możnowładztwu; ale możnowładztwo litewskie czuwało i utrzymywało stosunki z Wiedniem. Próbowano tedy kompromisu. Szlachcie chodziło głównie o to, żeby sejmy walne były wspólne; liczono na to, że z pomocą posłów od szlachty litewskiej złamie się jednak potęgę możnowładców i dokona demokratycznego ustroju Litwy.

Możnowładztwo litewskie wystąpiło też wcześnie z opozycją, chcąc pozostać przy ostatniej formie unji, zawieranej za króla Aleksandra. Za pozór używali od początku sprawy przynależności Podlasia, Podola i Wołynia, niezałatwionej właściwie jeszcze od czasów Kazimierza Jagiellończyka. Nie trudno było pogodzić się w tej rzeczy i nie brakło też sposobów wybrnięcia z tego ku obopólnemu zadowoleniu, ale wielcy panowie litewscy przewlekali umyślnie sprawę na trzech sejmach.

Weszła ona nareszcie i na sejm lubelski, zwołany na 23 grudnia 1568, a obradujący pod laską Stanisława Sędziwoja Czarneckiego. Delegacja litewska oficjalna, pod wodzą Mikołaja Radziwiłła Rudego, przypierana coraz bardziej do muru, zerwała w końcu rokowania i sejm opuściła. Ale pozostali w Lublinie przedstawiciele Podola, Wołynia, Podlasia i Kijowszczyzny (Ukrainy) i oświadczyli, że proszą, żeby ziemie ich wcielone były bezpośrednio do Korony. I wcielono je: dnia 5 marca 1569 Podlasie, 26 maja Wołyń i bliższe Podole, a d. 5 czerwca Podole dalsze i Kijowszczyznę. Król bowiem na żądanie szlachty ziem ruskich przystał chętnie i jako Wielki Książę litewski, kraje te Polsce przekazywał. A tymczasem wracający do domu wielmożowie litewscy doznawali tam jak najgorszego przyjęcia od ogółu ziemiaństwa. Stanął związek przeciw nim, gotów iść przebojem; pojawiło się nawet hasło, żeby prosić króla o proste wcielenie do Korony także Litwy właściwej. Zwyciężyło jednak hasło mniej radykalne: żeby dokonać na sejmie w Lublinie unji »in contumaciam«, bez względu na nieobecność panów litewskich. Jakoż zabierano się do tego. Natenczas wracają przerażeni możnowładcy pospiesznie na sejm, żeby wykołatać przynajmniej warunki dla swego stanu jak najmniej złe. Ażeby uniknąć

scysyj dalszych i zapobiedz ewentualnym komplikacjom z powodu konszachtów z Habsburgami, byle tylko dzieła samego dokonać jak najprędzej a w zgodzie, przystawał chory król na daleko sięgający kompromis, uwzględniający szerokie pole dla ambicyj panów.

Dnia 1 lipca ogłoszono i zaprzysiężono w lubelskim kościele Franciszkanów, jako będzie »jedna Rzeczpospolita« z królem wspólnie obieranym i koronowanym w Krakowie, wspólne sejmy i przymierza, wspólna moneta, obopólna nieograniczona swoboda przesiedlania się i nabywania własności, lecz obok tego wszystkiego, a raczej pomimo to wszystko osobny skarb, osobne wojsko, a więc też osobne wszystkie urzędy naczelne.

Zygmunt August dokonał swego: zapobiegł niebezpieczeństwu oddzielenia Litwy od Polski. Jak mu to leżało na sercu, niech świadczy ustęp z jego testamentu:

»Tym naszym testamentem obiema państwu, Koronie polskiej i Wielkiemu Księstwu litewskiemu, dajemy i odkazujemy i zostawujemy miłość, zgodę, jedność, którą przodkowie nasi po łacinie unią zwali... A który z tych dwóch narodów tę unię wdzięcznie od nas przyjąwszy, mocno trzymać będzie, temu błogosławieństwo dajemy... a który zasię naród niewdzięczen będzie i dróg do rozdwojenia będzie szukał, niechaj się boi gniewu Bożego... Racz Panie Boże to w tem obojgu państwie utwierdzić, coś w niem przez nas sprawił. Racz oboi ten lud, w jedności spojony, w niezmyślonej miłości wiecznie zachować«.

Gdzie w całej historji powszechnej znajdzie się akt o tak górnym tonie? Gdzie drugi taki król?

Nie mając potomstwa, nie miał Zygmunt August żadnego osobisto-ludzkiego interesu unji lubelskiej. Wpływały na niego tylko pobudki dobra powszechnego, żeby Polsce i Litwie było jak najlepiej. A skoro Polska była silniejsza i w ówczesnym okresie dziejowym łatwiej mogła obejść się bez Litwy, niż Litwa bez Polski, dokonaną więc była unja lubelska przedewszystkiem w interesie Litwy.

Jak nie pierwszą formą unji była lubelska, tak też w mniemaniu współczesnych nie miała być ostatnią; dalszy rozwój stosunku polsko-litewskiego miał upodabniać Litwę coraz bardziej do demokracji szlacheckiej, a zatem czynić też coraz mniej potrzebnemi ustępstwa kompromisowe, wymuszone przez możnowładztwo litewskie.

Przyszłość potoczyła się atoli całkiem przeciwnym szlakiem, niż przypuszczano...

Polska, demokratyczna w XVI w., i Litwę zdemokratyzować próbująca, stawała się przez litewskie i ruskie wpływy sama oligarchiczną w ciągu następnego stulecia. Czyż główni oligarchowie historji polskiej byli obywatelami Korony? Litewscy panowie byli najpotężniejszymi po królu, krępującymi króla i dyktującymi mu nieraz warunki. Nie zdoła nikt wymienić ni jednego rodu z Korony, któryby miał na Litwie partyzantów i wywarł wpływ na sprawy litewskie; ale czyż można sobie wyobrazić najkrótszy podręcznik historji polskiej bez ustępów o litewskiem możnowładztwie?

Podobnież wspólny sejm walny bardziej doznawał wpływów litewskich, niż sam na Litwę wpływał. Nie dążył nigdy do jednostajności administracyjnej w obu państwach. Statut litewski i specjalne niektóre litewskie urzędy pozostały nietknięte.

Litwa pozostała aż do r. 1791 państwem niepodległem, dopiero sejm czteroletni przeprowadził rewizję unji lubelskiej, łącząc obydwa państwa w jedno.

Aż do roku przeto 1791 rządziła się Litwa sama, mając odrębny własny rząd. Rząd królestwa polskiego nie był wcale rządem dla Litwy. Litwa była tedy tak rządzona, jak nią rządzili Litwini. Od podsędka powiatowego aż do kanclerza wielkiego — cała hierarchja urzędowa była w ręku litewskiem, nie odbierająca z Polski żadnych poleceń, przed nikim w Polsce nieodpowiedzialna, podwładna własnym ministrom w zakresie służby »królewskiej« (wielkoksiążęcej), a własnym korporacjom i instytucjom autonomicznym w zakresie służby »ziemskiej«.

Jeżeli rządy na Litwie były kiedy sprawowane źle, jest to ustępem ujemnym z historji nie polskiej, lecz litewskiej tylko samej, z w ł a s n e j historji litewskiej.

Ani też nie można mówić o wpływach szlachty polskiej na Litwie. Szlachta W. Księstwa powstała z rodów etnograficznie litewskich, z potomstwa kilku litewskich dynastyj lokalnych, zmedjatyzowanych przez Gedyminowiców, z dalszych krewniaków dynastji panującej i z rodów wymienionych w akcie unji horodelskiej. Ta najstarsza warstwa szlachty litewskiej niewiele się już rozszerzała przez adoptacje herbowe i królewskie nobilitacje (jedno i drugie zdarzało się na Litwie rzadko), lecz szeregi jej zdwoiły się, ztroiły przez uznanie szlachectwa ruskich prawosław-

nych bojarów. Nie polska szlachta, lecz ruska dominowała na Litwie.

Nic mylniejszego, jak przypuszczenia o licznym napływie szlachty polskiej na Litwę. Było tego tak mało, że aż dziwno. Kolonizacja polska była na pustkowiach powojennych w Witebszczyźnie i Smoleńszczyźnie, ale na Litwie właściwej nigdy. Nigdy Polacy nietylko nie wypierali znikąd etnograficznego żywiołu litewskiego, ale nie zajmowali mu wogóle nigdy nigdzie miejsca.

Były trzy źródła polskiej emigracji na Litwę:

Wojskowi, sprowadzani umyślnie przez rząd litewski, bardzo pożądani, zwabiani jak najlepszemi warunkami. Ta immigracya zaczęła się zaraz za Jagiełły i była stosunkowo liczną przez cały wiek XV, zmalała jednak w XVI, a później nie było jej całkiem, gdyż skierowała się na Ukrainę. Z tego żywiołu niewiele osiedlało się na Litwie; odbywszy swoje i uciuławszy nieco grosza, wracali do Korony. Władcy litewscy byliby woleli zakładać osady wojskowe chrześcijańskie, polskie, niż tatarskie, gdyby byli mieli do tego ochotnego osadnika polskiego. Ale Polak niechętnie bawił aż do unji lubelskiej na Litwie, bo nie mógł wżyć się w stosunki litewskiej hierarchji społecznej, ani też nie rad był prowadzić gospodarstwo przeważnie leśne.

Drugi stan polskiej immigracji stanowią polscy dzierżawcy, przyjmowani chętnie w królewszczyznach i u możnowładców, ażeby zaprowadzili gospodarstwo postępowe. Ale ta immigracja stała się liczniejszą dopiero w wieku XVII, gdy rozwijało się na Litwie gospodarstwo folwarczne. Dzierżaw tych bywały formy najrozmaitsze; z niektórych powstały z czasem rozrodzone mazurskie zaścianki szlacheckie.

Najobfitszem atoli źródłem immigracji polskiej były po unji lubelskiej ożenki. Od XVII w. coraz mniej było choćby tylko średnio zamożnych rodów szlacheckich czysto polskich lub czysto litewskich; powszechnem było mieć wzajemną »parantelę« »Koroniarzy« i »Litwinów«. Ale ta immigracja równoważy się też wzajemnie. W końcu nieustanne powinowacenie się zamienia całą szlachtę litewską i polską w jeden »naród szlachecki«.

Ani żołnierz polski, ani dzierżawca, przybywając na Litwę, nie wypierał Litwina, lecz zajmował posterunek dotychczas nie zajęty, który sam wytwarzał. Polak był twórcą na Litwie twierdz i folwarków. Immigracji gromadnej, zorganizowanej, skierowanej umyślnie na pewien punkt litewskiej ziemi — niema ni jednego

przykładu od końcu XIV wieku aż do końca XVIII, a w XIX tem mniej. Kiedy chłop polski ruszył się do świata, od wieku XVI, nie emigrował na Litwę, lecz na Ruś południową. Rząd litewski sprowadzał wprawdzie kilka razy gromadną immigrację mazurską, ale zawsze tylko na same kresy od moskiewskiej ściany, ani razu na litewskie terytorjum etnograficzne.

Do spraw wewnętrznych na Litwie polityka polska nie mogła się mięszać wobec autonomicznego ustroju obydwóch państw; wszak każde województwo było ciałem samorządnem. Nie zajmowało się zaś państwo ówczesne całkiem szkolnictwem aż do czasów Stanisława Augusta, kiedyto powstały d w i e Komisje Edukacyjne: polska i litewska. Litewska nie była w niczem zależną od polskiej.

O spolszczeniu się szlachty litewskiej panują poglądy mylne. Przyjęła język polski, przyjmując niewiele tylko z obyczaju polskiego, a z pojęć niemal nic. Polonizacja p o j ę ć dokonała się dopiero w XIX wieku. Kiedy zaś i w jakich okolicznościach język polski stał się powszechnie znanym litewskiej szlachcie — niewiadomo. Tak się to jakoś zrobiło »samo przez się«, iż nikt nie wie, ani kiedy, ani jak. Ale pośrednikiem był język białoruski, i tem się wiele tłumaczy. Polonizacja wypierała z wyższych sfer litewskich nie litewszczyznę, lecz ruszczyznę. Faktem jest, że już w chwili powołania Jagiełły na tron polski język litewski był we własnym kraju kopciuszkiem.

Język litewski zmartwiał, zanim nawiązano związki z Polską. Kapłani polscy ocalili go przed zupełną zagładą, i z polskiej strony robiono starania, żeby wychować kapłanów rodowitych litewskich; a duchowieństwo parafjalne bywa przyrodzonym opiekunem l i n g u a e v e r n a c u l a e.

Ale w przedmowie do litewskiego przekładu Postylli Wujka (1599) czytamy wyrzekanie, że Litwini (nie Polacy) lekceważą język litewski, że nie dbają o niego. Istnieje szereg druków polemiczno-wyznaniowych (z walki z protestantyzmem) w narzeczach litewskich, ale aż do końca niepodległości nie powstał wspólny język literacki litewski. Nie znalazł się Litwin, któryby stwierdził, że ludy tych narzeczy są jednym narodem. Nie powstało zgoła pojęcie narodowości litewskiej. Nigdy też Litwini nie roztrząsali kwestji wprowadzenia języka litewskiego do urzędów. Panował tam język białoruski, bo sami tak chcieli — lecz nigdy polski. A prze-

cież każdy sejmik mógł zająć się sprawą języka litewskiego. Żadnemu Litwinowi ani to przez myśl nie przeszło.

Nie mieli się bynajmniej za Polaków, ani też Polacy za Polaków ich nie uważali. Poczucie odrębności mieli wybitne, a Polacy sami zawsze mówili i pisali, oficjalnie i w literaturze, o dwóch narodach. Nie znano wyrażenia: gente Lithuanus, natione Polonus. Polonizowała się nawskróś szlachta ruska po »ruinie«; etnograficzna litewska pozostała Litwinami. Nie zapomnieli też języka ludu, boć musieli z ojca na syna sprawować patrimonium w swych wioskach i słuchać co niedzieli litewskiego kazania.

Kultura litewska wznosiła się i opadała równocześnie z polską. Piśmiennictwo litewskie miało swego pierwszego autora w Rapagellanie († 1545); w połowie XVII w. posiadano już słownik, gramatykę, tudzież zbiory kazań, co w dziejach każdego języka stanowi pomost do literatury świeckiej. Ale nagle nastał zastój i z nabytków tych nie było żadnych owoców ani w XVIII wieku. Równocześnie zaś cofa się język polski. Równoczesność przypływu i odpływu kulturalnego przetrwała Rzpltę.

Wspólna niedola porozbiorowa zbliżała jeszcze bardziej obydwa narody. Murawiew zrobił w końcu z Litwy męczennicę polskości i podniósł przez to w oczach szlachty litewskiej polskość do znaczenia świętości.

Dopiero w ciągu XIX w. przyjmuje Litwa w zupełności polski obyczaj i polskie pojęcia. Spolonizowała Litwę przemoc — ale nie polska, lecz rosyjska.

Ocaliła Polska powtórnie narodowość litewską. Gdyby nie połączenie z Polską za Jagiełły, byłaby się Litwa całkowicie zruszczyła, a w części północnej czekał ją od Krzyżaków los taki sam, jak Prusów. Po rozbiorach, kiedy Litwa nazwaną była »krajem odwiecznie rosyjskim«, gdy w końcu zakazano nawet abecadła łacińskiego w drukach litewskich, co równało się w praktyce zakazowi książki litewskiej wogóle — w takich czasach polszczyzna miała wartość jedynego sposobu przechowania litewskości do lepszych czasów. O ile zdarzało się nam w ciągu XIX w. posiąść na Litwie siłę jakąkolwiek, nie była ona nigdy wrogą litewszczyźnie i zawsze wychodziła jej na dobro. Wszak korzenie narodowego ruchu litewskiego tkwią w polskim uniwersytecie wileńskim. Komuż nie wiadomo, że najwięksi pisarze litewscy byli zarazem wielkimi patrjotami polskimi? Takim był historyk Dowkont

(1793—1864), poeci biskupi Wołonczewski (1801—1875) i Baranowski (1835—1902). Równocześnie odradzała się i w XIX w. kultura polska i litewska, równocześnie nastał tu i tam okres wielkiej poezji narodowej.

Udzielają więc dzieje wyraźnych wskazówek, że Litwie dobrze wtedy i o tyle, gdy i o ile dobrze jest Polsce. Do niedawna nikt też o tem inaczej nie sądził. Dopiero w ostatniem pokoleniu pojawił się na Litwie prąd wręcz antypolski, który może mieścić w sobie poważne niebezpieczeństwo dla resztek Litwy. »Resztek« — gdyż ustępowanie żywiołu litewskiego na rzecz białoruskiego nie ustało nigdy. Nie zdoła wskazać nikt ni jednego chłopa etnograficznie litewskiego, a spolonizowanego, ale zarazem nie zdoła wskazać nikt takiej okolicy litewskiego terytorjum, sąsiadującego z Białorusinami, w którem ludność litewska nie cofałaby się teraz jeszcze, za naszej pamięci.

* * *

Oto nasz rejestr... faktów historycznych. I nie snujmyż z niego wniosków pospiesznie; nie łudźmy się, jakoby na początku musiał być »program«! Lepiej czas gorący przeczekać według wymogów prostej roztropności, dbając tylko o to, żeby się nie stała szkoda, a kucie programów zostawić na czas spokojniejszy i bardziej się nadający do teoryj. Najlepiej pono będzie, gdy z dłuższego roztropnego pilnowania się program sam się wyłoni. Bezwarunkowo zaś nie trzeba się z programem spieszyć bardziej od Litwinów!

Dr. Feliks Koneczny.

Z ZIEMI OPORNYCH.

Jeszcze rok temu społeczeństwo nasze żywo zajmowało się Chełmszczyzną i Podlasiem. Uwaga wszystkich zwracała się ku owej ziemi męczenników i wyznawców, jaką chciano uczynić przedmiotem niegodziwej brzeskiej frymarki, z piersi wszystkich rwały się głosy protestu przeciw zamierzonej amputacji tego drogocennego członka od ciała zmartwychwstającej Polski.

Niebezpieczeństwo jednak minęło, kiedy huragan wypadków zmiótł twórców brzeskiego traktatu, a z nimi ulotniło się i ich dzieło. Inne troski zasępiły myśl Polaka: walki o Lwów i Cieszyn, niewola i oswobodzenie Wilna, niepewność o losy Gdańska i Śląska — oto, co pochłania od dłuższego czasu całą naszą uwagę, co wypełnia kolumny naszej publicystyki. O Podlasiu cicho, jakby makiem zasiał...

A jednak tej smętnej krainy mogił nie powinniśmy wypuszczać z pamięci; zbyt drogą ona jest dla serca katolika i polaka, byśmy nią tylko wtedy zajmować się mieli, gdy zewnętrzny wróg na nią czyha. Warto często ku niej powracać myślą, gdyż zawsze czegoś ciekawego, i pouczającego, i krzepiącego dowiedzieć się o niej można.

Niech ku temu posłuży garść historycznych wspomnień, świeżych zdarzeń i poczynionych osobiście przez piszącego spostrzeżeń.

Podlasie stanowi północną część tego szmatu kraju, jaki pod nazwą Chełmszczyzny zamierzano wykroić z byłego Królestwa Polskiego. Administracyjnie wchodzi ona w skład b. gubernji siedleckiej. Pod względem kościelnym cała ta gubernja stanowiła diecezję podlaską z rezydencją biskupią w Janowie, dla odróżnienia od innych miast tej nazwy nazwanym Janowem Podlaskim, albo biskupim. W r. 1867 rząd rosyjski skasował tę diecezję; obecność bowiem większej liczby łacińskiego kleru na Podlasiu, a zwłaszcza apostolska postać biskupa Benjamina Szymańskiego wydawała się wielką

przeszkodą w zamierzonem prawosławieniu unitów podlaskich. Wywieziono tedy biskupa do Łomży, gdzie w kilka miesięcy później dokonał dni swoich, rozproszono kapitułę, zamknięto seminarjum, a w gmachach kościelnych umieszczono urzędy i policję, które czuwać miały nad każdym krokiem jedynego pozostawionego do obsługi kościoła i parafji księdza.

Niebawem puszczono w ruch cały aparat prawosławnej »misji«; więc kary pieniężne, więzienie, zsyłki, batożenie ludu, egzekucje wojskowe nękały tę cichą wieśniaczą ludność przez lat trzydzieści kilka. Pod cerkwiami Pratulina i Drelowa popłynęła obficie męczeńska krew...

W zapasach o swą wiarę, o swą duszę ten cichy, ciemny, niemal pierwotny lud zmężniał, poczuł swą godność i wartość, oświecił się. Jednocześnie pokochał polskość, od której tak gwałtownie oderwać go chciano. I przetrzymał fizyczne i moralne katusze i doczekał się wolności.

Nie przyszła jednak ona odrazu. Po wspaniałym brzasku r. 1905, kiedy to 150 tysięcy b. unitów pośpieszyło w radosnych procesjach do łacińskich kościołów, zasępiło się jeszcze niebo chmurami carskiej i schizmatyckiej reakcji. Ukaz tolerancyjny usiłowano unicestwić, Eulogiusze wymogli na Dumie wyodrębnienie Chełmszczyzny... Tylko nie zdążono tego przeprowadzić. Od nowego silnego uderzenia taranu dziejów legł powalony na ziemię kolos rosyjski. Lecz jeszcze wolności nie było. Nad Podlasiem bowiem ciążyć miała lat kilka żelazna pięść, — ziemię tę włączono do tak zwanych »etapów« niemieckich, zarządzanych brutalnie, wojskowo. Jednem jeszcze uszczęśliwić chciano tę ziemię: zaszczepieniem na niej ukraińskich sympatji, wreszcie sprzedano ją w Brześciu nowemu ukraińskiemu państwu. Otóż i to ostatnie niebezpieczeństwo przeczekał cierpliwie wieśniak podlaski, — przywykł on do uporczywego przetrzymywania wszelkich prób. Nasłanym nauczycielom ukraińskim nie powierzył swych dzieci, jak bronił ich przedtem przed szkołą cerkiewną rosyjską; księdzu unickiemu z Galicyi, który zabłąkał się do wsi nadbużańskiej z przypomnieniem braterstwa krwi i obrządku, odpowiedział: »nie było was kiedy nam schizma wiarę wydzierała; zapóźno do nas przybywacie«...

Dopiero w styczniu roku bieżącego zwinięte zostały etapy niemieckie; ostatnim ich czynem była rzeź podlaskiego ludu w Międzyrzeczu... Ale ta krew jeszcze silniej spoiła Podlasie z macierzą polską...

Ze zmartwychwstaniem Polski zbiegło się wskrzeszenie diecezji podlaskiej. Pierwszy pasterz przywróconego biskupstwa, J. E. ks. Przeździecki, skierował swe kroki do tego najdroższego zakątka swej owczarni — w powiaty nadbużańskie. Wizyta pasterska przybrała cechy pochodu triumfalnego. Zaiste Podlasie ogląda jednocześnie dzień wolności Ojczyzny i zwycięstwo wiary ludu nad przemocą rządowej carskiej religji. Przywróconym został kultowi katolickiemu cały szereg świątyń, opanowanych przez schizmę, w katedrze Eulogiusza śpiewa Te Deum biskup katolicki. Do liczby dawnych parafji przybyły nowe, powstałe na gruzach »prawosławia«. Tylko dotkliwy brak kapłanów przeszkadza tworzeniu większej ich liczby; wszak na Podlasiu obecnie na jednego kapłana przypada przeciętnie aż pięć tysięcy wiernych!

Za symbol odrodzenia katolicyzmu i polskości na Podlasiu należy uważać przywrócenie Janowowi jego dawniejszego charakteru. W pierwszy dzień Zielonych Świątek instalował ks. biskup osobiście w tamtejszej katedrze wskrzeszoną kapitułę, złożoną z zasłużonych w diecezji kapłanów. Na tenże dzień opróżniły władze polskie narazie część dawnego »zamku« biskupiego, w którym wielki historyk i patrjota Naruszewicz po rozbiorach Polski kończył swoje dni w głębokiej melancholji; teraz obejmuje go znowu w posiadanie biskup, gdy witamy wskrzeszenie Ojczyzny.

Z wizytą pasterską w Janowie zbiegła się inna kościelna uroczystość. 60 lat temu 10 czerwca wprowadzonemi zostały do janowskiej katedry relikwje św. Wiktora, męczennika rzymskiego z III wieku, które odkryte w katakombie św. Pretekstata, były podarowane przez Piusa IX. papieża podlaskiej diecezji. Przeprowadzenie tych drogocennych szczątków z Warszawy na miejsce przeznaczenia przedstawiało pochód wspaniały z udziałem biskupów, licznego kleru i dziesiątków tysięcy wiernych, pieszo odbyty. Manifestacja ta w swoim czasie ożywiła wiarę i umocniła przywiązanie do Kościoła wśród wiernych obydwóch ówczesnych katolickich obrządków. I gdy grom prześladowania religijnego uderzył w Podlasie, szczątki świętego bohatera wiary, umieszczone na ołtarzu, krzepiły cierpiących, zachęcając do wytrwania; opiekuńczy duch rzymskiego męczennika unosił się nad ziemią jego polskich naśladowców... Teraz na 60-ą rocznicę sprowadzenia relikwij, oprócz miejscowego pasterza, pierwszego następcy biskupa Szymańskiego, który je w Janowie umieścił, mógł przybyć i wysłannik tej Stolicy, od której one niegdyś były przysłane,

wizytator apostolski, Mgr. Ratti. Przybył, aby oglądać żniwo z krwawego posiewu.

Kulminacyjny punkt uroczystość osiągnęła wtedy, kiedy po celebrze wtorkowej wysłannika papieskiego cały kler i lud wyruszył procesjonalnie na plac przed katedrę. Któregoś roku, w czasach najzacieklejszego prześladowania »opornych« unitów, na tem miejscu zarządzono batożenie kilkunastu »opornych« mieszczan, podczas gdy ich współwiercy łacinnicy mieli rozpocząć w katedrze nieszpory. Z jękami katowanych przed drzwiami kościoła unitów zlały się szlochy całego zebranego w świątyni ludu w jeden błagalny chór, w modlitwę o wytrwanie w wierze. Były to szczególne janowskie nieszpory... Tę właśnie scenę, jak i całą historję prześladowania wskrzesił w pamięci zgromadzonego ludu w kazaniu wymownem ks. biskup Przezdziecki, zaznaczając, jakie zwycięstwo wiara prostaczków bezbronnych odniosła nad tyrańskwem mocarzy, jak widoczną się stała dzisiaj niechybna, choć powolna na ludzkie oko, sprawiedliwość Boża... I z tego samego miejsca, które służyło za miejsce katuszy, dzisiaj posłannik Ojca św. udzielił papieskiego błogosławieństwa synom katowanych, a zapewne i niejednemu z samych ówczesnych wyznawców, któremu pozwolił Bóg dożyć tej chwili triumfu wiary...

Kiedy widzimy, co się obecnie na Podlasiu dzieje, kiedy zbliżamy się do tego prostego »opornego« ludu i wglądamy nieco głębiej w jego duszę, nie możemy się oprzeć uczuciu pewnej dumy, że wiek dziewiętnasty, wiek materjalizmu i obojętności religijnej, dał światu właśnie na naszej ziemi takie widowisko. Tutaj okazała się najlepiej potęga ducha, tu ujawniła się wartość głębokich religijnych przekonań. Tutaj też, spokojni o przyszły los tej cząstki naszej Ojczyzny, uczyć się powinniśmy tego, co w pierwszej mierze w całej Polsce pielęgnować i wzmacniać mamy: przywiązania do wiary naszych ojców, która jest nietylko poezją, nietylko czcigodną po nich spuścizną, ale duszą i ostoją naszego narodowego bytu.

Względem zaś samego Podlasia mamy jeszcze do spłacenia niejeden dług. Najpierw dług wdzięcznej pamięci względem owych bohaterów, co nam tę ziemię dla wiary i ojczyzny »uporem« swoim obronili. Szczątki poległych w Pratulinie i Drelowie męczenników wrzucono gdzieś do wspólnych dołów; miejsce ich męczeństwa zatrzeć usiłowano, rozbierając cerkiew, którą przed schizmą piersiami zasłaniali, zaorując pole krwią ich zroszone. Dzisiaj, gdy ulotnili się

prześladowcy, winniśmy te czcigodne szczątki odszukać, w zaszczytnem miejscu je złożyć, na arenie męczeństwa dźwignąć pomnik, któryby świadczył potomności o bohaterstwie ojców. Wiadomo nam, że nowy pasterz diecezji już wydał w tym celu pewne zarządzenia; inicjatywę jego poprzeć winien słowem i groszem cały naród. Winny być również poczynione jaknajprędzej przedwstępne kroki w celu beatyfikacji męczenników podlaskich, do czego także zachęcał podczas swej wizyty w Janowie Wizytator Apostolski. Dalej, mamy dług względem obecnego pokolenia Podlasian. Jest to diecezja ze wszystkich w całej Polsce najbardziej potrzebująca kapłanów. Trzeba mieć na względzie i te resztki odszczepieńców, które ociągają się jeszcze z przejściem na katolicyzm, wyczekując, ażali nie wrócą dawni tego kraju gospodarze ze wschodu. Miejmy nadzieję, że nie wrócą... I lud ten, którego odbiegli najemnicy, zwróci się zapewne za przykładem braci swoich, bez żadnego z naszej strony nacisku, do Kościoła, w którym widzi już i podziwia zaparcie się i ofiarność pasterzy. Szeregi tych pasterzy winny być na Podlasiu pomnożone. Społeczeństwo, rząd, winny poprzeć usiłowania biskupa do otwarcia w Janowie seminarjum dachownego, uposażając je, dostarczając doń powołań. Tymczasem możeby inne diecezje przyszły z pomocą podlaskiemu klerowi, który upada pod nawałem pracy. Pracując tam, pracuje się dla całego Kościoła polskiego, dla całego narodu...

Lud podlaski może wyświadczy Polsce katolickiej niejedną jeszcze przysługę. Przy całej prostocie i cichości jest to lud ponowięcej oświecony w rzeczach wiary, niż gdzieindziej; on też, jeśli się nad nim pracować będzie, stanie się ostoją religji katolickiej w Polsce. Już teraz z żadnej pono części naszego kraju nie podniosły się takie żywe, jak stamtąd, protesty przeciwko planowanemu zeświecczeniu naszego publicznego życia, a zwłaszcza szkoły. Ten lud, który wytrzymał na sobie potęgę caratu, o p o r n y m się okaże i na złudne wywrotowe hasła współczesne.

Polska o tej z i e m i o p o r n y c h winna pamiętać zawsze, bo to nasza chluba, bo to kosztowna perła w naszym diademie.

Ks. Jan Urban.

Wpływ duchowieństwa na stosunki prawne wiejskie.[1]

Od chwili pojawienia się swego na widowni dziejowej wywierał Kościół chrześcijański nie dający się zaprzeczyć łagodzący wpływ na stosunki, w których przyszło mu działać i opowiadać wzniosłe zasady nauki Chrystusa. W przeżytej kulturze starego Rzymu stanowił on czynnik postępu, stawiając ówczesnemu ateistycznemu — mimo paru setek uznawanych urzędownie bóstw — społeczeństwu nowe ideje świetlane, wnosząc prąd ożywczy w zmurszałe podwaliny imperjum i głosząc nieznane prawie zasady miłości bliźniego. Pod jego to opiekuńczemi skrzydłami znajdywali ochronę wszyscy wydziedziczeni z dóbr tego świata, pod jego sztandarem kupili się wszyscy, którym z jakichkolwiek powodów nie powodziło się w tem ziemskiem życiu.

Nie inaczej działo się w państwach średniowiecza. Tam, gdzie zemsta była uznaną prawnie instytucją, gdzie surowe kary czekały skazańca za stosunkowo niewielkie nawet — według naszych pojęć — przestępstwo, gdzie trzymano się zasady taljonu »oko za oko, ząb za ząb«, tam wykonywał Kościół szczytne swe posłannictwo: łagodzenie surowych zwyczajów. Nie mogąc wykorzenić natychmiast zemsty, starał się wszelkiemi siłami o jej ograniczenie, ażeby w końcu swemi wpływami doprowadzić do jej usunięcia, przyczem przestępcom swych poleceń i wskazań groził najsurowszemi karami, jakiemi

[1]) Uwaga. Studjum niniejsze oparte jest na materjale, zaczerpniętym z dawnych ksiąg sądowych wiejskich, a w części i miejskich, terytoryalnie charakteryzuje zaś głównie wieś podgórską dawnego województwa krakowskiego.

rozporządzał. A ileżto biednych i nieszczęśliwych zawdzięczało mu życie przez schronienie się poza mury kościelne lub klasztorne, skoro ich tam już chroniło prawo azylu. I nie na tem kończyły się wpływy. Że tylko wspomnimy przejęcie wielu pojęć prawnych kanonicznych w zakres instytucyj państwowych, że tylko nadmienimy o wychowawczym wpływie Kościoła na młode społeczeństwa średniowieczne [1]).

Nie brak tego czynnika i w naszej państwowości polskiej. Już przyjęcie chrześcijaństwa uchroniło nas od grożącego nam zalewu germańskiego, a i później Stolica Apostolska nieraz stawała się synonimem niezawisłości polskiej, skupiając około najwyższego dostojnika Kościoła w Polsce wszystkich szczerze pragnących dobra swego kraju. Ugruntowana w swych podstawach Rzeczpospolita za jeden z najważniejszych swych filarów ma duchowieństwo katolickie. Z jego to szeregów wywodzi się cały szereg kanclerzy i podkanclerzych, a interrexem nie kto inny był, jak tylko arcybiskup gnieźnieński. Że w tych warunkach wpływy kleru objawiały się wybitnie, że zauważamy je we wszystkich sferach i kierunkach naszej działalności, o tem nie trzeba mówić.

Wpływ ten zaś jasno zarysowuje się i w tyle ważnej, a tak niezawsze dostatecznie zbadanej kwestji włościańskiej. I rzecz znamienna. Jak dawniej na społeczeństwo rzymskie i na młode organizacje państwowe średniowieczne działa on łagodząco i wyrównywująco w wielkich niesprawiedliwościach społecznych, tak i w sprawie chłopskiej nie inaczej w zasadzie się objawia. Poprawa losu poddanego, podniesienie jego stopy życiowej przez umniejszenie mu ciężarów i pozostawienie mu większej swobody, przy zapewnieniu mu minimum wykształcenia — oto zasady, któremi się kieruje nasz Kościół polski w stosunkach z tą najliczniejszą klasą ludności. I nie mogło być inaczej, jeżeli duchowieństwo nie chciało się znaleźć w rażącej sprzeczności z naukami, głoszonemi od ołtarza i z ambon. Przecież ten chłop, chociażby najuboższy i najbardziej zacofany, to bliźni, którego należy kochać, któremu należy wszelkiemi siłami pomagać, od którego wszelkie ciosy, któreby mogły go zniszczyć, trzeba oddalać. A trzeba przyznać, że opieka Kościoła była konieczną, w drugiej bowiem połowie wieku XVI zaszedł fakt wielkiej doniosłości dla dalszego rozwoju kwestji włościańskiej, fakt, który ostatecznie

[1]) Lippert, Kulturgeschichte der Menschheit. T. II, str. 588—92.

na dwa wieki przypieczętował los poddanego. Konfederacją bowiem r. 1573 nie tylko zatwierdzono dotychczasowy stan poddaństwa chłopa, tak ekonomicznie, jak i prawnie, ale co więcej, nawet w sprawach religijnych zapewniono panu ingerencję nad chłopem i poddanymi jego władzy. Nawet »sub praetextu religionis» nie wolno było chłopu odmawiać posłuszeństwa dworowi, gdyby zaś krnąbrny poddany ośmielił się wystąpić przeciw panu, to »będzie wolno... każdemu panu poddanego swego nieposłusznego tam in spiritualibus, quam in saecularibus podług rozumienia swego skazać« [1]).

Postanowienie to dopełniło miary, dopełniło zaś tem więcej, że już od drugiego dziesiątka XVI wieku miał chłop swoje forum właściwe jedynie w sądzie pańskim, że nawet wyjście syna chłopskiego ze wsi, syna zbędnego w gospodarstwie ojcowskiem, zawisło od zezwolenia właściciela [2]). Z tą chwilą, z uwagi na warstwę włościańską, Rzeczpospolita rozpadła się na ogromną ilość państewek udzielnych, w których pełnię władzy sprawował każdoczesny posiadacz [3]) wioski.

I duchowieństwo nasze posiadało własność terytorjów wiejskich, czy to tytułem odziedziczenia, czy też tytułem piastowania oznaczonych funkcyj kościelnych. Stąd też mówiąc o wpływie kleru na rozwój prawnych stosunków wiejskich, zanim rozpatrzymy akcję duchowieństwa parafjalnego w tym względzie, musimy przypatrzyć się postępowaniu duchownych w swych własnych dobrach, w których im pełnia władzy przysługiwała.

Już inny badacz zauważył, iż położenie poddanych w dobrach duchownych było o wiele lepsze, niż w majętnościach szlacheckich, że powinności tu były mniejsze i że przynajmniej pewna własność chłopu przysługiwała. A chociaż i w dobrach kościelnych nie brak nadużyć, nie brak samowoli w postępowaniu z poddaństwem, to przypadki tego rodzaju zdarzają się tylko wyjątkowo [4]).

---

[1]) Volum. legum T. II, str. 124.

[2]) Epokowe znaczenie roku 1573 uznaje i Bobrzyński: Karta z dziejów ludu wiejskiego.

[3]) Uznaje to prof. Ulanowski, mówiąc o stanowisku pana w Kasinie, a także i Baranowski: Gospodarstwo Anzelma Gostomskiego (Wieś i folwark), str. 37.

[4]) Korzon: Wewnętrzne dzieje, t. I, str. 354—355.

Stwierdzone lepsze położenie ekonomiczne to tylko następstwo większej swobody prawnej, jaka da się zauważyć w dobrach duchownych w odniesieniu do chłopów. W dobrach to bowiem kościelnych poddany mógł się odwołać od wyroku pańskiego do instancji wyższego dostojnika kościelnego, a nawet są ślady wskazujące na to, iż chłopi, niezadowoleni z orzeczeń własnego pana, odwoływali się do sądu prymasa gnieźnieńskiego [1]). W takich warunkach naturalną było rzeczą, iż duchowny, sprawujący bezpośrednią władzę nad poddaństwem, musiał się liczyć ze stanowiskiem swych zwierzchników, a tem samem w praktyce musiał ostrożniej postępować z chłopami i bardziej liczyć się ze stanem prawnym.

Pomijając ten wzgląd większej swobody prawnej poddanego, władanie duchowieństwa dobrami nieruchomemi jeszcze z innego punktu widzenia zasługuje na uwzględnienie. Oto — z powodu unormowania życia podwładnego sobie poddaństwa całym szeregiem przepisów prawnych. Wprawdzie wydawanie norm prawnych nie jest jedynie wyłącznością dóbr duchownych, przepisy bowiem prawne wydają także właściciele świeccy, wyłącznością jest jednak o tyle, iż normy te w majętnościach duchowieństwa są w zasadzie liczniejsze i z większą precyzją określają stosunki prawne. Na ten moment zwrócił już prof. Ulanowski uwagę, omawiając terytorjum kasińskie, które Dominikanie krakowscy obdarzyli szeregiem ustaw regulujących najrozmaitsze zakresy życia poddańczego. Zwracają oni przedewszystkiem uwagę, ażeby władze wiejskie cieszyły się odpowiedniem poszanowaniem ze strony ludności poddańczej [2]), ponadto zaś baczą oni, aby porządek panował w wiosce. Walną troską naszego klasztoru jest także dążenie zapewnienia sobie jak największej korzyści z majętności. Stąd to w ustawach grożono karami opuszczającym wieś bez pozwolenia dworu, stąd baczono, ażeby poddani nie niszczyli lasów, a zapewne i wypędzenie przekupniów obcych z majętności w znacznej mierze temu względowi należy przypisać. Znamiennem jest przytem, że zwierzchność duchowna z łatwo zrozumiałych powodów nie znosi żydów i stara się im szkodzić. I dla-

[1]) Lubomirski: Rolnicza ludność w Polsce. B. W. 1862, II, str. 2—3 i Baranowski: Zmienne koleje statutu toruńskiego (Wieś i folwark), str. 135.

[2]) Ulanowski: Wieś polska, str. 16: »za targnięcie się słowem winny ma złożyć 3 grzywny winy pańskiej i trzy dni siedzieć w kłodzie; znieważenie czynne karane być ma 10 grzywnami i siedzeniem w kłodzie przez 6 niedziel«.

tego to ks. Sapecki rozporządza, aby Kasinianie do chałup żydowskiej gorzałki nie brali i nie przedawali, ani też u żydów nie brali, pamiętając, że zawsze chrześcijaństwo obrzydliwe jest żydowstwu[1]).

Cały szereg przepisów prawnych dochował się także po Karmelitach z Czerny, które oni wydali dla swych majętności, leżących w pobliżu klasztoru. Przepisy te odnoszą się do różnych stosunków prawnych, w pierwszej zaś linji zmierzają one do zapewnienia spokoju i porządku w granicach majętności, ponadto zaś dążą do utrzymania dobrych stosunków z sąsiedniemi włościami. Stąd to zakazano poddanym mieć »porozumienie, podeyrzane iakiekolwiek conversacye z Radwańskiemi, abo z innemi osobami podeyrzanemi iakiemikolwiek, yle iusz powołanemi sądownie w rzeczach podeyrzanych, złodzieyskich, rozboyniczych«, stąd też i gdzieindziej postanowiono »surowo zakazuiemy, aby się żaden z gospodarzow wszelkich nie ważył przechowywać, ani przyimować, choćby y na godzinę tylko, osób iakich podeyrzanych, iako drabów, hultaiów...« [2])

Względami na porządek podyktowany jest inny przepis, występujący w ochronie władzy urzędowej. Dlatego to postanowiono, że »ktokolwiekby się, lub z gospodarzów lub z parobków, porwał uczynkiem lub iakokolwiek urażliwie na urzędników, przystawów, posłańców klasztornych y leśnych, ma być do kuny wsadzony przez trzy dni y 90 plag dobrych ma być danych« [3]).

Oczywiście nie zapomina klasztor i o swej własnej bezpośredniej korzyści. Stąd też w ustawie reguluje on sprawę wywozu drzewa do miejscowości okolicznych, stąd też obłożono karą tych, »którzy nie kontentuiąc się piwem dobrem Pańskiem albo y gorzałką, zkąd inąd biorą i po nie sobie posyłaią«. Postanowiono bowiem »na takowych prawo iest, aby im wszelkiego trunku, z cudzego szynku wziętego, do dwora zabrać pod przepadnieniem tego wszystkiego, do tego w gąsiorze, abo w kunie, przez noc y dzień siedzieć«. Względami na interes klasztorny wypadnie nam wytłómaczyć i inny przepis, zakazuiący pod winą 15 złotych y plag 40 postronkiem, pozbywania w jakikolwiek sposób bydła, bez uprzedniego pozwolenia ze strony czynników klasztornych. Wchodził tu interes klasztoru w grę, ponieważ widocznie chodziło zakonowi

---

[1]) Ulanowski: Wieś polska, str. 17.
[2]) Rkp. OO. Karmelitów z Czerny, 2, str. 113—118.
[3]) Tamże, str. 137—149.

o zmonopolizowanie handlu w swoich rękach, ponadto zaś o zapewnienie sobie robocizny bydlnej od poddanych, która mogłaby się znacznie zmniejszyć w przypadku samowolnej sprzedaży bydła roboczego przez poddanych.

W ustawach klasztoru w Czernej jeszcze inny moment znajduje uwzględnienie, moment moralności. W tej sprawie pragnieniem klasztoru jest, ażeby wioski jemu podległe przyświecały dobrym przykładem okolicznym majętnościom. Wyraża się on bowiem w ustawie, wydanej podczas gromady generalnej: »Wprawdzie każdy wszędzie człowiek według przykazania Bożego y powinności chrześciańskiej żyć powinien, wszelkiey przestrzegaiąc y zachowuiąc podzciwości, iednak tym bardziey ludzie pod iurisdikcią y władzą duchownych będący y ich rządom iako poddani podlegli, przykładem dobrem, nie zgorszeniem, bliźnim swoim, yle sąsiadom wszelkim bydź powinni, przestrzegaiąc tego pilno, aby się wszelka zachowała podzciwość«. I dlatego to poddani mają unikać obmów, zwłaszcza o ile chodzi o osoby duchowne, maią strzec się spółek z złoczyńcami i nie grać w karty, ponieważ stąd »skrzywdzenia ieden drugiego, swary, hałasy, połebkowania y bicia niechrześciańskie pochodzą y bywaią« [1]).

Przytaczając kilka tych przepisów, nie omówiliśmy wszystkich, przytoczyliśmy je zaś dlatego, ażeby wskazać, w jakim kierunku głównie szedł wpływ duchowieństwa, w razie, gdy ono sprawowało władzę w wiosce. W tym to wypadku kler dąży do unormowania niepewnych stosunków prawnych, przez wydawanie przepisów nowych, względnie określa ustawowo zwyczaje dawne, co już stanowi znaczny postęp w porównaniu z włościami szlacheckiemi, które niejednokrotnie nie zdobywają się na taką działalność. Ponadto zasadniczą cechą tego ustawodawstwa jest większe uwzględnienie czynnika moralnego, który to czynnik w majętnościach szlacheckich, chociaż jest brany pod uwagę, to jednak w znacznie mniejszym stopniu.

Mówiąc o ustawodawstwie duchownych w swych wioskach, na jeden jeszcze moment należy zwrócić uwagę. Oto ustawodawstwo to jest postępowsze w porównaniu z ustawodawstwem, stosowanem w dobrach szlacheckich. Ażeby tę okoliczność stwierdzić, wystarcza przytoczyć fakt, iż okres przedawnienia praw poddanego do gruntu

[1]) Tamże, str. 113—118.

przez niego opuszczonego, jest najkrótszym w dobrach duchownych. Okres ten bowiem wynosi we wsi Świniarsku tylko 4 tygodnie [1]), podczas gdy w dobrach szlacheckich waha się — w znanych nam wypadkach — od 1 roku i 6 miesięcy do 14 lat [2]). Jest to bezsprzeczny postęp, skoro w tym wypadku nadweręża się prawo bliższości, tak niejednokrotnie krępujące wolny obrót nieruchomościami w wiosce.

Rezultatem działalności prawodawczej duchownych było ścisłe określenie — jak na owe czasy — granic prawnych, w których działalność poddanego miała się obracać. Moment to wielkiej wagi, skoro — według naszych dzisiejszych pojęć — nawet złe prawodawstwo jest lepsze, niż brak tegoż. Pod tym zaś względem włości duchowne nie miały powodu się uskarżać, skoro tak prawo posiadania, jak i możność wyjścia ze wsi, były dokładnie określone. Przytem włościaństwo w dobrach duchowieństwa nie musiało odczuwać zbytnio swego podległego stanowiska, skoro zdobywało się na hardą odpowiedź pod adresem dworu, mimo że pewnie winno było swym panom okazywać cześć i szacunek. A przecież w drugiej połowie XVII wieku na gromadzie generalnej skarży się urzędnik klasztorny z Paczołtowic na młynarza Szymona Dolnego, iż ten, gdy mu przywieziono 4 korce zboża do zmielenia, rzekł: »Pilniey mi komu inszymu mlec, chłopom do wsi, abo y do zarn ludziom, nisz do dwora abo do klasztora« [3]). Odezwanie się tego rodzaju tem silniej na tle dawnem występuje, że klasztor czerneński opiekuje się swymi poddanymi nawet wtedy, gdy oni za uczestnictwo w zbrodni dostaną się do więzienia. Tak to starał się o uwolnienie Peruna, Jana Karczmarza i Jana Madeja z grodu krakowskiego, którzy byli obwinieni »o rozboie y inne latrocinia«, przyczem kronikarzowi klasztornemu, piszącemu o tem, następujące wyrywa się powiedzenie: »O Boże moy, iakie tu superior cum suo conventu czynił sollicitudines y starania, aby ich wydźwignął był y wybawił z więzienia criminalnego, niech wyznaią WW. OO. Pro-

[1]) Arch. miej. w Krak. dep. 199, str. 293—294.

[2]) Okres 1 roku i 6 miesięcy uznawano w Suchej, zaś 10 lat w kluczu łąckim. Stosunkowo najdłuższym był ten okres w Olszówce, ponieważ wynosił on aż 14 lat, przyczem rzecz charakterystyczna, ażeby okres mógł ważnie biec, koniecznem było co pewien czas obwoływać wezwanie uprawnionych do powrotu przy kościele w Mszanie.

[3]) Rkp. OO. Karmelitów z Czernej, str. 137—149.

kuratorowie, Caesarius a Salvatore et Benignus a S. Joseph y insi OO. Konwentu Krakowskiego, którzy doznali, quanti constabat ich prace y pieczołowanie koło wybawienia ich od gardłowey kaźni« [1]).

Stosunki w dobrach duchowieństwa to tylko jedna strona działalności tegoż. Ażeby bowiem wyrobić sobie pojęcie o wpływie kleru na przetwarzanie się prawa wiejskiego, trzeba omówić akcję duchowieństwa parafjalnego w tym względzie, akcję rozwijaną w dobrach szlacheckich i królewskich. Akcja ta zaś w wielu wypadkach uwieńczona jest powodzeniem. Już bowiem, gdy zwrócimy uwagę na zakres prawa prywatnego, to wpływ ten da się zauważyć. Dowodem tego są testamenta, początkowo w księgach wiejskich wcale nie spotykane — ponieważ nie popiera ich prawo niemieckie — które pod wpływem duchownych coraz więcej zyskują sobie obywatelstwa na gruncie wiejskim. Znamiennem jest zaś, że przy sposobności ostatniej woli, obok czynników urzędowych, spotykamy niejednokrotnie proboszcza lub notarjusza, przyczem nieraz się zdarza, że sam akt spisany jest ręką duchownego lub jego organisty. Tak to we wsi Olszówce, gdy w r. 1684 Franciszek Mierniczak sporządza testament, to obecnym przy tym akcie jest także proboszcz mszański, X. Stanisław Jodłowski [2]), a i gdzieindziej przy sporządzaniu ostatniej woli spotykamy notarjusza.

Że duchowieństwo parafjalne popierało testamenta, to czyniło to we własnym dobrze zrozumiałym interesie. Przy tej bowiem sposobności szczerze wierzący poddani nie zapominali o legacie dla miejscowego kościoła lub szpitala, pozostającego pod opieką proboszcza. W ten to sposób Franciszek Mierniczak ofiarował szpitalowi olszowskiemu obok 2 korcy zboża, jeszcze 42 złp. [3]), gdzieindziej zaś poddany oddał 9 grzywien na poprawę kościoła. Te przypadki nie musiały być odosobnione i rzeczywiście nie były, skoro w wielu innych okolicznościach włościaństwo polskie nie zapomina o udotowaniu swego wiejskiego kościółka, który niejednokrotnie z ich składek i z ich pracy powstaje. Przecież na Podhalu w Czarnym Dunajcu sołtys tamtejszy, Miętus, sam wybudował kościół nadając mu na uposażenie rolę [4]), a w Staszkówce młynarz, Józef

[1]) Tamże, str. 149.

[2]) Rkp. Bibl. Jag. 909, fol. 20—22.

[3]) Rkp. Bibl. Jag. 909, fol. 20—22.

[4]) Zajmuję się tem bliżej w szkicu Ks. Jerzy Cezary, Przew. nauk. i lit. za r. 1917.

Krupa, buduje własnym kosztem dzwonnicę, oprawia kościół i sprawia potrzebne do niego przedmioty [1]). Co więcej, nawet biedne komornice starały się, chociaż w małym stopniu, przyczynić do uposażenia kościółka, dając kilka złotych lub ofiarując ręcznik lub kawał płótna na obrusy kościelne [2]). W tych warunkach — nic dziwnego — że panowie przeciwdziałają temu prądowi obdarzania kościołów i szpitali, przeciwdziałają zwłaszcza nadawaniu nieruchomości. Stąd też Achacy Przyłęcki, jako dziedzic Limanowej, w dniu 2 marca 1643 r. takie wydaje postanowienie: »Także strony domów i inszych gruntów miasteczku temu należących, aby się nie ważył żaden z mieszczan legować tak kościołowi, także bractwu i szpitalowi, oprócz summy albo rzeczy inszych gotowych, sub vadio decem marcarum pańskiej winy« [3]). Znamiennem jest, iż zakaz ten, chociaż umocniony pokaźną karą, przecież jednak nie skutkuje, skoro niedługo potem w temże miasteczku słyszymy o ofiarowaniu kościołowi połowy domu w rynku. Widocznie pobożność mieszczan i życie samo było silniejsze, niż teorja prawna sformułowana w postanowieniu.

I w sprawie dziedziczenia objawia się w pewnym stopniu wpływ duszpasterzy. Oto pod ich to powagą umacnia się postanowienie, iż jedną z przyczyn, uzasadniających niezdolność do dziedziczenia, jest odpadnięcie od Kościoła katolickiego. Wprawdzie wypadki odszczepieństwa wśród warstwy chłopskiej są niezmiernie rzadkie, ale przecież zdarzały się, skoro w dwu wypadkach mogliśmy rzeczywiście stwierdzić, iż odszczepieńcy nie byli dopuszczeni do spadku. Łącznie z tem nie dopuszczano do dziedzictwa tych synów, którzy wbrew swemu naturalnemu obowiązkowi nie ratowali rodziców w biedzie, a co więcej, dopuszczali się wobec nich czynnej zniewagi. Stąd to Maciej Mikurdej oddala dwóch swych synów od chałupy, »gdys ony, wydząc moię słabość y niedostatek, w nywczym niechcziely ratować y odemnie posły do Węgier«, stąd też jeden z poddanych klucza łąckiego wydziedzicza swego syna, ponieważ się nim nie opiekował [4]).

---

[1]) Rkp. Bibl. Jag. 274, f. 103.

[2]) Tamże, fol. 105. »Marya Mitkowa dała obrus konopnego płótna... Pracowita Jakubowa Błoniarka darowała ręcznicki dwa lniane z cerką«.

[3]) Arch. kraj. w krak. dep. 94, str. 195—196.

[4]) Zapewne działał tu moment gospodarczej natury, iż nie tylko ojciec, ale i grunt przez niego trzymany, wymaga opieki.

Wpływ duchowieństwa objawia się i w innych instytutach prawnych, przedewszystkiem zaś objawia się on przy przysiędze. I jest to naturalne, skoro przysięga ma znaczenie nietylko w teraźniejszem życiu chłopa, lecz w razie fałszywego jej złożenia może się odbić i na zbawieniu tegoż. Stąd też sam Kościół w naukach, wypowiadanych do ludu, zwraca uwagę na olbrzymią jej doniosłość i zasadniczo nigdy jej nie pochwala. Nie pochwala jej zaś dlatego, ponieważ przez częste jej stosowanie umysł ludu chętnieby się do niej przyzwyczaił, a w dalszej linji i fałszywie ją składał. Stąd to, zanim poddanego dopuszczono do przysięgi, to nakazywano mu uprzednio iść do spowiedzi, wysłuchać mszy świętej, a nierzadko w razie, gdy ostatecznie go do niej dopuszczono, to musiał ją składać w obliczu gromady, zebranej u krzyża [1]) lub Bożej Męki na rozstajnych drogach. W ślady duchownych wstępowali i panowie, przewodnicząc rozprawom sądowym. Kiedy we wsi Łące istniał długoletni spór gruntowy między Walentym Barszczowskim a Jędrzejem Kilianem, to komisarz pański w ostateczności tylko zgodził się na przysięgę, a i wtedy nakazano im »pójść do kościoła na Mszę świętą i spowiedź uczynić, aby Pana Boga nadaremno nie obrażać«. W kościele nie skończyło się tylko na spowiedzi i mszy świętej. Tu bowiem księża ze swej strony »rozmawiali i dawali przykład około przysięgi, jaka jest wielka rzec przysięga, co swoje dusze pogubicie« [2]).

Że ostrożność w składaniu przysięgi była wskazaną, to świadczy kilka przypadków, w których strona, zachęcona własną korzyścią, złożyła fałszywe zeznanie, poparłszy je przysięgą. Tak to przysiągł fałszywie Józef Bogdanik w kluczu suskim, który w parę miesięcy po tym fakcie, trapiony wyrzutami sumienia, »obawiając się tak doczesnej kary Bożej na ciele, tak i wiecznej na duszy«, przyznał się do tego przestępstwa przed sądem. Znamiennem jest przy tem, iż druga strona, która na podstawie tego wyznania otrzymała 30 złp., nie bierze ich, »ile, że już poprzysiężone«, lecz ofiarowuje je na cele kościelne, a mianowicie 15 złp. do kościoła Krzeszowskiego, a drugie 15 złp. dla bractwa Różańcowego przy kościele suskim [3]). Także w innym przypadku tylko dzięki jednemu z przysiężnych

[1]) Podobna praktyka miała miejsce i w Niemczech, jak to niejednokrotnie stwierdza Grimm: Deutsche Rechtsaltentümer II. str. 946.

[2]) Arch. kraj. w krak. dep. 239, str. 15—18.

[3]) Rkp. Bibl. hr. Bran. w Suchej 18. str. 466.

uniknęło się krzywoprzysięstwa. Kiedy bowiem dwaj bracia Sitarczykowie w tymże kluczu suskim spierali się w sądzie o rachunki z przedsiębiorstwa, to jeden z nich Urban chciał przysiąc »jako nic nie winien Janowi«. Na szczęście fałszywą przysięgę udaremnił przysiężny Mateusz Pająk, stwierdzając »jako Urban rachunek czynił z Janem« [1]).

Uczestnictwo duchownych przy składaniu przysięgi nie wyczerpuje jeszcze ich wpływów. Występują oni bowiem jeszcze w innych kierunkach życia wiejskiego. Duchowieństwu to — zdaniem naszem — należy przypisać przepis prawny, pojawiający się na gruncie wiejskim, a obowiązujący poddanych do chodzenia do kościoła i uczęszczania do spowiedzi. Poszła za tem wskazaniem i Anna Wielopolska w r. 1696 odnośnie do swych dóbr suskich, skoro postanowiła: »ponieważ od Pana Boga wszystkie sprawy mają się zaczynać i Jemu przystojna chwała i cześć powinna być dana, nalazło tedy prawo: ktoby się bez słusznej przyczyny nie stawił do kościoła w niedzielę lub święto, w tęż na pokropienie, takowy ma być winą groszy sześć nieodpuszczonych« [2]). Właścicielka Suchej w tym kierunku nie jest odosobnioną, skoro i w innej wiosce podobny znalazł się przepis, wyrażony w sposób następujący: »naprzód, aby do kościoła św. uczęszczali we dni święte i w niedziele i spowiedź każdy rok przynajmniej raz czynili pod karaniem wielkiem, ktoby tego nie pełnił, w kościele ś. nie bywał, za każdy raz funt wosku« [3]).

Jak widzimy, tak w jednym, jak i w drugim wypadku niestosowanie się do tego postanowienia obłożono karą. Kara ta zaś rzeczywiście była stosowaną. Nieraz bowiem czytamy w zapiskach, iż ten lub ów z poddanych został ukarany winą pieniężną, ponieważ zaniedbał tego obowiązku religijnego. Przytem jedna rzecz jeszcze jest charakterystyczną. Oto samodzielni gospodarze, mający w swem gospodarstwie służbę, odpowiadają także za nią i za swoje dzieci, a odpowiadają nawet wtedy, gdy tych spotyka osobna kara.

Z obowiązkami religijnemi łączy się jeszcze inna kwestja. Oto duchowieństwu parafjalnemu zależy na tem, ażeby w obrębie tery-

[1]) Rkp. Bibl. hr. Bran. 18, str. 79—80.

[2]) Chomentowski. Materyały do dziejów rolnictwa w Polsce. str. 411—416.

[3]) Kilka podobnych postanowień możemy zauważyć i u Pawlika: Polskie instruktarze ekonomiczne.

torjum, powierzonego jego pieczy, panowała możliwie największa moralność. Stąd też nie ogranicza się ono tylko do nauk głoszonych z ambon, lecz wpływem swoim na pana wioski i gromadę powoduje wydawanie odpowiednich ustaw. Dlatego to spotykamy postanowienia skierowane przeciwko występnym niewiastom, dlatego mamy rozporządzenia przeciwko bijącym się po karczmach, dlatego też nieraz niewiastom prowadzącym niemoralne życie nietylko odmawia się prawa dziedziczenia w wiosce, ale wprost wyświeca się je z rodzinnej miejscowości. Taki to los spotkał Zofję Mikołajczankę w kluczu suskim, którą podejrzywano o stosunki i porozumienie ze »zbójnikami« [1]), tąkiż sam los orzeczono co do trzech sióstr Postasionek.

Wspomniawszy o wyświecaniu ze wsi, wchodzimy w dziedzinę prawa karnego, w którem i duchowieństwo parafjalne miało swe wpływy i to wpływy łagodzące. Duchowieństwu to bowiem — zdaniem naszem — zawdzięczać należy, iż na gruncie wiejskim procentowo mniej przestępstw miało miejsce, niż to się dzieje dzisiaj; duchowieństwu to mogli w wielu wypadkach dziękować poddani, iż spotkał ich mniejszy wymiar kary za popełniony zły uczynek.

Że w wiosce polskiej mniej było przestępstw, to obok odstraszających kar, jakiemi szafowało prawo karne niemieckie i idąca w ślad za niem teorja panów polskich, przypadek ten należy przypisać instytucji rugu, odbywanego zwyczajnie trzykrotnie lub co najmniej raz w roku. Rug ten zaś, jeżeli nie zupełnie, to przynajmniej w znacznej mierze, zawdzięczamy praktyce Kościoła, który w czasach frankońskich i później wysyłał na prowincję biskupów i księży, mających za zadanie badać — między innemi — i życie ludu wiejskiego, tropiąc w niem przestępstwa. Wypytywano się dlatego — wobec zgromadzonej gminy — specjalnie w tym celu zaprzysiężonych ludzi o popełnione jawne i tajemne zbrodnie we wsi, pomagając tym sposobem idei sprawiedliwości do zwycięstwa. Pośrednio zaś odsuwano z dziedziny praktyki zasadę, że »gdzie niema oskarżyciela, tam niema sędziego«. Na gruncie polskim przyjęła się doskonale ta instytucja, przyjęła się zaś ze zmianami. W znanych nam wioskach małopolskich rug odbywa się na zgromadzeniu gromady, w której biorą udział tak urzędnicy gromadzcy, jak i ogół wiejski bez wyjątku. Na tym ostatnim ciąży nie tylko obowiązek przybycia

[1]) Rkp. Bibl. hr. Bran. 18. str. 199—203.

na posiedzenie sądu rugowego, lecz także obowiązek złożenia zeznania pod przysięgą o życiu swych bliskich i sąsiadów. Księga sądowa Bukawiecka w ten sposób ten obowiązek przedstawia: »po zagajeniu prawa puszczając z rugu pojedynkiem scorsive consequenter na inquisitią, każdego według inwentarza po pocałowaniu krzyża świętego dwa palce podniszy do góry, żeby każdy pod sumnieniem powiedział, jako się gospodarz swoim domem rządzi, cokolwiek kto na kogo co wie, jako ociec na syna, a syn na ojca, matka na córkę, a córka na matkę, gospodarz na komornika, a komornik na gospodarza i sąsiad na sąsiada, jako się kto sprawuje, aby terasz wszytko przed Prawem każdy zeznał jeden na drugiego, nie tając żadnej rzeczy« [1]).

W niektórych wioskach odstąpiono z czasem od zasady wypytywania każdego z uczestników o uczynki bliźnich. Odstąpiono zaś prawdopodobnie dlatego, ponieważ proces ten za wiele czasu zabierał, skoro wielu z poddanych nie miało sądowi nic do powiedzenia. Stąd to wchodzi w zwyczaj, iż gromada wybiera specjalnego rugownika, niekiedy i dwu, który, zebrawszy informacje od gromady, wyjawia jawne i tajemne przestępstwa, w przypadku zaś, gdy takich niema, chwali ogół mieszkańców za dobre sprawowanie się. Tego rodzaju stosunki zapanowały w Suchej, Ślemieniu [2]) i Kasinie [3]), zapewne zaś i inne wioski okoliczne nie innej praktyki się trzymały.

Instytucja rugu była niezmiernie skuteczną dla utrzymania czystości obyczajów wiejskich. O ile mogliśmy stwierdzić, obawiano się jej i ten właśnie moment mógł w wielkiej mierze powstrzymywać poddanych od przestępstw. Wystarczało ukraść coś z produktów polnych, wystarczało pobić się z kimś, aby się dostać przed kratki rugu i to nawet wtedy, gdy osobiście poszkodowany nie występował ze skargą.

Jeżeli już jednak kler domagał się oskarżenia i ukarania przestępcy, to z drugiej strony dążył, ażeby oskarżony otrzymał zasłużoną karę, ale nie za surową. Stąd też, gdy lud wiejski lub miejski orzekł karę za surową, zwyczajnie karę śmierci, duchowieństwo wstawiało się za skazańcem i nieraz uzyskiwało zmianę wyroku. Tak to zmieniono we wsi Olszówce wyrok śmierci wydany na Mrożka karbo-

[1]) Arch. kraj. w krak. dep. str. 1—2.

[2]) Chomentowski: Materjały do dziejów rolnictwa, str. 411—416.

[3]) Ulanowski: Wieś polska, str. 24. Począwszy od r. 1633, gromada wybierała po 2 rugowników.

wego dworskiego, za okradzenie spichlerza pańskiego [1]), a i w majętności suskiej taki wypadek ma miejsce, przyczem skazanego spotyka zwyczajnie większa chłosta, obok innych kar dodatkowych.

Nie koniec na tem. W przypadku, gdy oskarżonego nie da się już uratować od śmierci, ponieważ za wielką jest jego wina, staranie duchowieństwa zmierza w tym kierunku, aby skazańca uwolnić przynajmniej od strasznych męczarni przedśmiertnych. Dlatego to, gdy w r. 1754 sądzono Jędrzeja Gardasa, Marcina Kąkola i Walka Kocierza o napad zbójecki na żyda w Nowej wsi i osądzono pierwszego z nich na wbicie żywcem na pal, a drugiego na łamanie kołem, to jednak »za instancjami Ich Mciów Duchowieństwa byli ścięci pod iustitiem, a ciało ich powieszone na Justicy«, od śmierci udało się duchowieństwu tylko ostatniego z oskarżonych uratować, mianowicie Walka Kocierza, albowiem, jak się wyraża zapiska, »duchowieństwo za niem praczowało, bo go Gardas gwałtem namówił«, a ustąpił pod naporem gwałtownego przymusu, ponieważ »chciał mu Gardas Jendrzey jako namowcza łep uciąnć siekierom« [2]).

Nieraz już podczas mąk duchowieństwo występowało z prośbami o skrócenie tychże, proponując ostateczne załatwienie się ze skazańcem. Taki wypadek zaszedł w Żywcu przy traceniu »zbójnika« Sebastjana Burego, który z podziwienia godną wytrzymałością opierał się mękom; on to, gdy go »ciągniono na hak, tak mówił: wio Bury do góry«, a gdy 7 towarzyszów w oczach jego ćwiartowano, miał zawołać wisząc na haku do kata: »narąbałeś mięsa, iedzze go«. Ta nieludzka wprost odwaga skłoniła księży obecnych przy straceniu, iż poprosili o natychmiastowe zastrzelenie Burego [3]).

Nie na tem kończyły się wpływy duchowieństwa. Obok bowiem wypraszania skazańców od śmierci, lub łagodzenia ich mąk, wpływom kleru należy przypisać ten charakterystyczny moment, iż znaczna część, jeżeli nie wszystkie kary, noszą charakter pokuty publicznej [4]). Odbywają się w kościele parafjalnym lub filjalnym, w obliczu zgromadzonego ludu na nabożeństwo, przyczem skazaniec zwyczajnie leży krzyżem przed ołtarzem, lub też stoi z zawieszonym przedmiotem na szyi. Pokuta ta nie jest jedyną karą dla złoczyńcy, ponieważ zwyczajnie obok niej występuje jeszcze kara chłosty, obowiązek

[1]) Rkp. Bibl. Jag. 909. fol. 85
[2]) Tamże. 1106. fol. 65.
[3]) Rkp. Bibl. Jag. 3410, str. 255.
[4]) Zwrócił już na to uwagę prof. Ulanowski, Wieś polska str. 30.

odszkodowania i szereg win pieniężnych składanych sądowi, panu, kościołowi i szpitalowi wiejskiemu. Takto karbowy olszowski, Stanisław Mrożek, z trudem wyproszony od śmierci, za okradzenie spichlerza pańskiego, wedle brzmienia wyroku winien »przesz siedm niedziel w kościele przesz cale nabożeństwo w śmiertelny koszuli z workiem zboża stać« [1]), a w majętności suskiej Jan Lenarcik za kradzież nocną zboża cudzego, obok innych kar, »ażeby się kajał... w niedzielę przez całe nabożeństwo, powinien trzymać na szyjej dwa snopy zboża, za szyję w kunie siedząc«. Podobną pokutę musieli odbywać w kościele czterej Karczowie (ojciec z synami) za kradzież sera na szałasach pasterskich — różnica zachodziła tylko w tym względzie, iż zamiast zboża mieli trzymać na szyjach ser i faski [2]).

Nie tylko za kradzież spotykała przestępcę pokuta. Widzimy bowiem stosowanie tejże także i przy innych przestępstwach, o ile tylko oczywiście nie zawotowano na oskarżonego kary śmierci. Karę pokuty spotykamy nieraz przy cudzołożnikach. W ten to sposób w majętności suskiej nakazano stronom przestępnym »przez niedziel 3 krzyżem leżeć w kościele Krzeszowskim przez całe nabożeństwo«, a inny poddany z tejże włości, nazwiskiem Bartosz Karcz, ponieważ źle żył »niecnoty cudzołostwa... płodząc«, przeto polecono mu między innemi »przez niedziel 6 krzyżem leżeć przez całe nabożeństwo« [3]).

I za zabójstwo stosował niejednokrotnie sąd wiejski pokutę kościelną. Pokuta ta tem była charakterystyczną, iż przestępca winien był stać nie tylko w koszuli śmiertelnej z siekierą w kościele, ale i okres jej trwał zawsze dłużej, niż przy innych przestępstwach. Dlatego to Błażej Szmigiel miał przez ćwierć roku w kapie na środku kościoła leżeć, a inny poddany cały rok miał się poddać tej karze. W wieku XVII i XVIII pokuty tej już z całą stanowczością nie przeprowadzano tak, jak to dawniej bywało. Znajdujemy bowiem ślady, że skazaniec mógł się od niej wykupić pewną opłatą pieniężną, która jednak nie była składana kościołowi, w którym się pokuta miała odprawiać, lecz samemu poszkodowanemu, względnie jego spadkobiercom. Jest to oczywiście następstwo tego zapatrywania, iż pokuta

---

[1]) Rkp. Bibl. Jag. 909 fol. 85.

[2]) Obydwie te wzmianki czerpię z księgi sądowej suskiej, ponadto zaś oświetlałem je już w pracy — Czynnik gospodarczy w dawnem prawie wiejskiem.

[3]) Rkp. Bibl. hr. Bran. 18, str. 74.

jest tylko surogatem odszkodowania pokrzywdzonemu, może więc być wykonaną, a może też być ewaluowaną i spłaconą [1]).

Mówiąc o pokucie, wypadnie nam podnieść jeszcze jeden moment. Oto stosowaną jest ona nie tylko za kradzież, cudzołostwo i zabójstwo, ale także za przekroczenia, którebyśmy dzisiaj nazwali tylko przekroczeniami porządkowemi. Oto w kluczu suskim zastosowano pokutę, jako karę, za tajemne sporządzenie umowy alienacyjnej. Taką umowę sporządzili dwaj bracia Bacowie, których wprawdzie »z Pańskiego miłosierdzia uwalnia się ich od kary, ale w kościele suskim w przewodnią niedzielę mają z zielonemi rózgami obadwa w pośrodku kościoła stać, a podczas elewatyej krzyżem, aby się i drudzy z nich kajali i urzędownie sobie przedaże czynieli«. Ale i ta kara może być ewaluowaną, ponieważ w wyroku zaznaczono, że zamiast niej mogą poddać się karze 30 plag i zapłacić 3 grzywny dworowi [2]).

Z przedstawionych przykładów widzimy, iż duchowieństwo parafjalne, mimo że miało za sobą tylko moralny autorytet, wpływało w znacznej mierze na poszczególne instytucje tak prawa prywatnego, jak i karnego we wsi. Jeżeli do tego dodamy, że są ślady, iż w sprawach posagowych księża wykonywują pewien rodzaj sądownictwa, że prowadzą księgi chrztów, małżeństw i śmierci, że w końcu ścigają w pewnym stopniu we własnym zakresie działania przestępstwa dotyczące świętokradczego wdarcia się do kościoła, to stwierdzamy tem samem dowodnie, że wpływ kleru jest wielostronny i gdzieniegdzie wiele znaczący. Wpływ ten tem wyraźniej wystąpi przed nami, gdy zauważymy, że w razie krzywd pańskich, skierowanych w stronę chaty, jedyną ucieczkę poddanego stanowił proboszcz miejscowy, bo to z ambony nieraz rzucał gromy i napominał nieludzkiego pana, o ile uprzednie upominania prywatne nie skutkowały. On to z całą gromadą, jako jej przewodnik i mowca, szedł do dworu, ażeby użyć tej ostatniej deski ratunku. Czy zawsze to skutkowało — trudno odpowiedzieć. Zapewne praktyka różnie się układała, ale w każdym razie na pochwałę duchowieństwa trzeba stwierdzić, iż dokładało wszelkich możliwych starań, aby tylko polepszyć dolę poddańczą.

Przytem — rzecz znamienna — sami panowie uznają tę rolę pośredniczącą duchowieństwa parafjalnego, jak gdyby chcieli prawnie

[1]) Zapewne nawet strona pokrzywdzona chętniej godziła się w wieku XVIII zwłaszcza na ewaluacyę, niż pokutę.

[2]) Rkp. Bibl. hr. Bran 18, str. 293.

usankcjonować istniejący stan rzeczy. Kiedy bowiem Firlej wydawał dla swych dóbr Gumienic i Straśniowa postanowienia, dotyczące głównie powinności poddańczych, to zarazem dodał następującą znamienną klauzulę: »a jeżeliby następca mój po mnie chciał większe powinności na tych poddanych podnieść i wymyślić gumienieckich i straśniowskich, powinien wójt ze wszystką gromadą pójść do dworu, natenczas pana swego prosić, aby im nie czynił krzywdy i gwałtu, kontentując się tą opisaną z starodawna powinnością, który jeżeliby na prośbę ich nie chciał tego uczynić, tedy powinni się uciec wójt z gromadą o krzywdę swą i gwałt prawu swemu do pasterza swego JMKsiędza Plebana pierzchnickiego, którybykolwiek natenczas nim był, aby z władzy swojej pasterskiej napomniał pana natenczas zostającego, jako parafjana swego, żeby im gwałtu prawa ich nie czynił, a kontentował się tą powinnością z dawna dawnych czasów postanowioną, jeżeliby i dla tego nie chciał uczynić, tedy z władzy swojej pasterskiej nie powinien jego sumienia uwalniać, boby swego nie miał wolnego, ale i owszem publikować i jako o swoje własne owieczki ujmować się. Co jeżeliby i na to nie zdołał, to już powinien każdy o sobie myśleć...«[1]) Niezmiernie to ciekawe polecenie i jedyne w swoim rodzaju, znamienne przez to przedewszystkiem, że proboszcz nawet do konfesjonału może się uciekać, nie dając rozgrzeszenia win, w razie, gdy pan zbytnio uciskał poddanych. Mamy wrażenie, że do tego ostatecznego środka mógł się proboszcz uciec skutecznie, skoro religijna szlachta baczyła na swe duszne zbawienie i chociażby na łożu śmierci naprawiała wyrządzone krzywdy. W każdym zaś razie, w jednym wypadku możemy stwierdzić, że tak było. Oto bowiem Wespazyan Sędzimir, umierając, takie polecenie zostawia swemu spadkobiercy: »robociznę poddanym moim, którąm za mojej posesyi podwyższył, upraszam, aby in antiquo pozostała more.. Chałupnicy także, ażeby tylko do letniej należeli roboty dworskiej usługi według dawnego zwyczaju« [2]).

Ogółem można powiedzieć, że duchowieństwo widziało w stosunku poddańczym dużo nieprawości i krzywdy. Stąd to dążyło ono, aby między pana a poddanych wcisnął się jeszcze jeden czynnik pośredniczący i łagodzący nierówności społeczne. Tym czynnikiem miała być Rzeczpospolita. I dlatego to Starowolski woła: »Przetoż

[1]) Chomentowski: Materjały do dziejów rolnictwa, str. 411.
[2]) Castr. sand. t. 148, str. 2075—2082.

wielka tego jest potrzeba, aby Rzeczpospolita w to wejrzała przykładem innych narodów, aby panowie poddanych swoich pro lubitu suo nie zabijali, nie łupili, z majętności ich co mają, ani im gruntów, które sobie naprawią, nie odejmowali, ani ich też gwałtownemi robociznami nie obciążali, jako bydło nieme, ale się z nimi, jako z ludźmi po ludzku obchodzili«... [1]). Podobnie i Skarga w swych kazaniach znajduje słowo potępienia na to absolutum dominium, jakie mieli panowie w stosunku do swych poddanych. Niestety wołania ich, jak wielu innych, przemijały bez echa, a duchowni, nie posiadający wielkiej własności, tylko osobistym wpływem mogli przyczyniać się do poprawy losu warstwy poddańczej, że zaś w tym względzie nie działali naprożno, o tem mieliśmy już sposobność się przekonać. Nie działali zaś naprożno, ponieważ i pośrednie drogi, chociaż dalekie, prowadziły ich do celu, do poprawy doli włościan. Popierali też dlatego szkoły w wioskach i sami byli ich duchowymi kierownikami, chociaż w praktycznem wykonaniu posługiwali się organistami; stali na czele szpitali wiejskich, niosąc tam spracowanym gospodarzom obok łyżki strawy i słowa otuchy; ze szkółek wiejskich tu i ówdzie szła zdolniejsza młodzież do wyższych uczelni, wyzwalając się tem samem ze stosunku poddańczego, co już stanowiło wiele dla poszczególnych jednostek. Ta młodzież nieraz wdziewała sukienkę duchowną i po uzyskaniu święceń powracała do swych współbraci na wieś, aby im nieść słowa pociechy. O tych synach chłopskich, pełniących obowiązki wikarjuszy i proboszczów, pełno wzmianek w księgach wiejskich. Takiem dzieckiem ludu jest proboszcz orawski na Orawie, ks. Czechowicz, pochodzący ze starostwa nowotarskiego. Takich synów ludu jest więcej na stanowiskach duchownych. W kluczu łąckim jeden z poddanych ma dziecko kształcące się w mieście, a kiedy umiera, to jeszcze na łożu śmierci napomina syna pozostającego na gruncie, aby nie zapomniał o bracie i pomagał mu w dalszem kształceniu. Na Podhalu zdarzało się, iż sama gromada łożyła na kształcenie jednego z synów swej wioski, który za powrotem osiadał wśród nich, aby być rzecznikiem ich dążeń. A chociaż nawet nie było danem temu księdzu, wywodzącemu się z kurnej chaty, pracować wśród własnego ludu, to jednak nie zapominał on o swych współbraciach. O tej pamięci świadczą fundacje szpitalne i szkolne, jakie się nam zdarzyło spotkać po wsiach. W Limanowej

[1]) Gargas: Poglądy ekonomiczne w Polsce XVI wieku, str. 28.

ks. Stanisław Ilmanowita ofiarował 560 złp. na cele miejscowej szkoły, z poleceniem, ażeby zdolniejszych wychowanków wysyłano do miast okolicznych na naukę. Gdzieindziej zaś dowiadujemy się, że ksiądz-rodak na cele szpitala rodzinnej wioski zlecił około 1000 złp. [1]). W zawierusze dziejowej poginęły te pieniądze, ale nie zaginęła pamięć o tych szlachetnych synach ludu, którzy z trudem zaoszczędzony grosz poświęcali swym dawnym sąsiadom i ich potomstwu.

Z uwagi na rolę rzecznika ludu wobec pana, z uwagi na swe pochodzenie, cieszy się duchowny wielkim szacunkiem i poważaniem w wiosce małopolskiej. Jego to wzywa się na radę w ważnej okoliczności życia, on to cieszy się szczęściem swych parafjan, żyjąc ich życiem, on to w końcu odprowadza ich na wieczny spoczynek, w doli i niedoli zawsze jest ich towarzyszem i dlatego rzadko naraża się na kłótnie z nimi. Wprawdzie i te się zdarzają, zdarzają się i obmowy, ale wypadki to rzadkie w stosunku do ilości lat branych w rachubę i w stosunku do wielkiej ilości duchownych, pojawiających się w zapiskach. Naogół widoczna jest harmonja w stosunkach między chatą a plebanją, a jedynie raz tylko spotkaliśmy przypadek, iż sołtys z Przyborowa ks. Chytrzeńskiego »w kościele w kazanie przy wszytkich ludziach zgromadzonych zelzywemi słowy głośno zniewazył i zabić odgrazował« [2]).

Musiała być zgoda między proboszczem wiejskim a chłopem, skoro ten właśnie tak dużo zawdzięczał swemu duszpasterzowi, skoro w nim w najgorszych wypadkach znajdował ochronę i pomoc, skoro wielostronne wpływy kościelne w rozmaitych kierunkach życia wytwarzały swobodniejszą atmosferę około warstwy poddańczej.

Dr Józef Rafacz.

---

[1]) Arch. kraj. w krak. dep. 94. str. 207—211.
[2]) Rkp. Bibl. Jag. 3410, str. 258—299.

Koniec wszechświata wobec nauki i w Objawieniu.

(Dokończenie).

III.

To jasne i stanowcze stwierdzenie niemocy nauki, gdy chodzi o sprawę tak doniosłą, jak koniec świata, może jednak wywołać u niejednego z czytelników rozczarowanie, lub nawet oburzenie, że obala się przez nie jeden z najpiękniejszych faktów zgodności nauki z wiarą, fizyki z objawieniem. Lecz chwila spokojnej rozwagi powinna starczyć, by wykazać niesłuszność takiej niechęci. Bo najpierw nie powinniśmy nigdy, a zwłaszcza tam, gdzie chodzi o rzeczy podstaw wiary tyczące, używać argumentów nieścisłych i nie zupełnie pewnych, chociażby na prawdopodobnych opartych przesłankach — a takiemi są właśnie wywody fizyków o końcu świata. A dalej, i na to bardzo silną należy zwrócić uwagę, ten koniec termodynamiczny wszechświata, o jakim marzą niektórzy fizycy, nietylko że nie jest zgodny z tem, co o końcu i przyszłości świata mówi wiara, lecz owszem jest temu diametralnie, bezwzględnie przeciwny, gdy bowiem śmierć termodynamiczna oznacza zanik wszelkiego życia, nawet wielu zjawisk fizycznych, opartych na różnicy temperatur i ruchu molarnym, to wiara, przedstawiając koniec świata, szkicuje poza nim obraz świata nowego, przepełnionego zjawiskami wspaniałemi, świata doskonałego i piękniejszego, niż jest ten, na którym obecnie żyjemy.

W jaki sposób ma się dokonać przemiana naszej ziemi, o tem Pismo św. szczegółowo nie mówi, a tylko z rozrzuconych tu i owdzie proroctw, gróźb i ostrzeżeń możemy sobie wyrobić w ogólnych przynajmniej rysach obraz tego strasznego dramatu i jego bezpośrednich przyczyn. By to uskutecznić łatwiej i ile możności realnie,

nie pod wodzą wyobraźni, lecz opierając się ściśle na słowach Objawienia, dobrze będzie zestawić sobie najpierw razem najważniejsze i najcharakterystyczniejsze miejsca Pisma św., odnoszące się do naszego przedmiotu, tembardziej, że miejsc tych jest nie wiele. W II liście św. Piotra czytamy (III, 7): »Niebiosa, które teraz są, i ziemia, zachowane ogniowi na dzień sądu«... W objawieniu św. Jana (21, 1): »I widziałem niebo nowe i ziemię nową. Albowiem pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeszła, a morza już niemasz«. W Ew. św. Mateusza (24, w. 27, 29, 37, 38): »Albowiem jako błyskawica wychodzi od wschodu słońca i okazuje się aż na zachodzie: tak będzie i przyjście syna człowieczego. (29) A natychmiast po utrapieniu onych dni słońce się zaćmi, i księżyc nie da światłości swojej; a gwiazdy będą padać z nieba, i moce niebieskie poruszone będą. (37) A jako za dni Noego, tak będzie i przyjście syna człowieczego. (38) Albowiem, jako we dni przed potopem jedli i pili, żenili się i za mąż dawali, aż do onego dnia, którego wszedł Noe do korabia; (39) I nie poznali, aż przyszedł potop i zabrał wszystkie; tak będzie i przyjście syna człowieczego«. W liście II. św. Piotra (3, 10): »A dzień Pański przyjdzie jako złodziej, w który niebiosa z wielkim szumem przeminą, a żywioły od gorąca rozpuszczą się, a ziemia i dzieła, które na niej są, popalone będą«.

Zestawiając razem te miejsca, otrzymujemy obraz następujący: Koniec świata, a przynajmniej koniec ziemi przyjdzie zupełnie nagle. Wprawdzie firmament niebieski już na jakiś czas przedtem przedstawiać będzie widok niezwykły, gdyż słońce straci swój blask i świecić będzie nawet w jasny i pogodny dzień jako krwawa zimna tarcza, podobnie i księżyc straci swój blask, a natomiast migotać będą po sklepieniu niebieskim chmary tak zwanych gwiazd spadających czyli meteorów, które okażą się w ogromnej liczbie i prawdopodobnie w czasie niezwykłym. Ludzie dziwić się temu wszystkiemu będą i może niepokoić — lecz bieg spraw cywilnych do ostatniej chwili nie ulegnie w niczem zmianie — aż nagle poruszy ziemią całą straszne, niebywałe wstrząśnienie i cała atmosfera powietrzna stanie się jednem morzem ognia o temperaturze takiej, że nietylko ustanie wszelkie życie na ziemi, ale nawet skały od żaru topić się będą, a wszystkie elementy ulegną rozkładowi.

Tyle Pismo św. Rozstrząsnąć teraz trzeba, czy dzisiejsze nauki przyrodnicze podają jaką możliwą kombinację, w którejby to wszystko

dokonać się mogło sposobem przyrodzonym, bez cudownego, bezpośredniego wdania się wszechmocy Stwórcy? Już O. Braun T. J. przed laty wykazał, że taka kombinacja istnieje, a jest ona tylko jedna jedyna, mianowicie zderzenie się ziemi z jakąś inną planetą, przyczem w najprawdopobniejszą rachubę trzeba brać kometę. Już w naszym systemie słonecznym liczba komet znanych dochodzi do 20 milionów; wystarczyłoby, by jedna z nich zbytnio do ziemi się zbliżyła, a katastrofa, o której mówi Pismo św., będzie nieuniknioną. Prawdopodobieństwo zaś takiego zderzenia o tyle się jeszcze zwiększa, że jak badania nowsze astronomiczne wykazały, słońce nasze wraz z swemi planetami, a więc i z ziemią biegnie gdzieś w przestrzeń z szybkością kosmiczną, robiąc około 100 milionów mil rocznie, a więc nie jest możliwem, że wpadnie wreszcie w miejsce, gdzie komet będzie więcej i nastąpi nagle ostateczny karambol. Przebieg takiego wypadku byłby według wszelkiego prawdopodobieństwa, sądząc z dokładnie zbadanych właściwości budowy fizycznej i chemicznej komet, następujący. Kometa, jak wiadomo składa się z jądra, zbudowanego z substancji gęstszej, chociaż znacznie rzadszej niż ziemia, i z tak zwanego ogona, utworzonego z gazów, wśród których, jak wykazała analiza spektralna, znachodzą się prócz gwałtownie trującego kwasu pruskiego nadto i węglowodany, to jest te same gazy wybuchowe, które zapalone w zetknięciu się z tlenem powietrza, raz po raz w kopalnich węgla stają się przyczyną tak ciężkich katastrof. Prócz tego często w towarzystwie komety lecą chmary nieprzejrzane pyłu kosmicznego i meteorów, które są okruchami, pozostałemi po jakichś kataklizmach ciał niebieskich w przestrzeni. Gdy taka cała kawalkata zbliżać się pocznie zbytnio do ziemi, wtedy pył kosmiczny tak napełni naszą atmosferę, że, — jak to nieraz mamy sposobność widzieć na ziemi w czasie mgły lub w czasie suchej burzy, gdy tumany kurzu wzbijają się w powietrze, — promienie słońca, zwłaszcza krótkofaliste, tylko z trudem będą się przedzierać ku nam, stąd tarcza słoneczna świecić będzie krwawo, bo tylko czerwone światło słońca do nas dojdzie, reszta ulegnie w gęstej atmosferze pyłu absorbcji, o wiele zaś słabsze światło księżycowe wcale do nas nie dotrze. Równocześnie owe chmary meteorów, towarzyszące komecie, przez siłę grawitacyjną ziemi doznają zboczenia w swej drodze i będą masami spadać na naszą ziemię lub przynajmniej przebiegać naszą atmosferę, gdzie rozżarzone przez tarcie o powietrze zaświecą na

na niebie tysiącem ruchomych świateł, znanych popularnie pod nazwą gwiazd spadających.

Zjawiska te trwać mogą czas jakiś, może dni lub tygodni kilka, aż wreszcie nagle, w chwili zupełnie nie dającej się przewidzieć, nastąpi katastrofa, kładąca kres ostateczny życiu na całej ziemi. Nie musi to być koniecznie nawet zderzenie z samem jądrem komety, albo jeżeli to zderzenie nastąpi, to może ono już nie zastać przy życiu żadnego człowieka. W chwili bowiem, gdy gazy ogona komety dotkną naszej atmosfery, natychmiast przez dyfuzję i inne czynniki z nią się zmięszają, a wtedy jedna iskierka wystarczy, by na całej powierzchni ziemi i daleko ponad nią, dokąd tylko sięgą powietrze, wywołać eksplozję o niebywałej sile i rozmiarach. Zderzenie ziemi z samem jądrem komety, byłoby tylko dopełnieniem i przypieczętowaniem ogólnego zniszczenia, ale dopełnieniem bardzo skutecznem. Masy jąder komet nie są zbyt wielkie, mimo to masa np. jądra komety Lexella, która w r. 1770 zbliżyła się do ziemi tylko na 6-krotną odległość księżycową, wynosiła $^1/_{5000}$ część masy ziemi. Niech jednak kometa, która ma kres naszej ziemi położyć, posiada jądro o masie jeszcze dwa razy mniejszej, to znaczy 10.000 razy mniejszej od masy naszej ziemi, to przecież jeszcze i wtedy zderzenie wywołałoby skutki nieobliczalne. Pamiętać bowiem trzeba, że ciała niebieskie biegną z szybkością zupełnie inną, niż jakiekolwiek ciała na ziemi, z szybkością, wynoszącą średnio koło 6 mil na sekundę. To też zderzenie się ziemi z takiem ciałem, o masie 10.000 razy mniejszej niż masa ziemi, lecz posiadającej prędkość względną odnośnie do ziemi 6 mil na sekundę, miałoby mechanicznie zupełnie ten sam skutek, jakgdyby o ziemię uderzyła kula, mająca masą taką samą, jak kula ziemska, a pędząca szybkością kuli armatniej. Zanadto świeżo mamy wszyscy w umysłach opisy spustoszeń, sprawionych przez zwykłe, w porównaniu do ziemi mikroskopijnie małe kule rozmaitych »bert«, by sobie jasno wyobrazić, że ugodzenie w ziemię takiej kuli armatniej, jak cała ziemia, wywołaćby musiało skutki, przechodzące siły wszelkiej wyobraźni.

Czy ta katastrofa ograniczyłaby się tylko do naszej planety, czy też ogarnęłaby może cały nasz system słoneczny, albo nawet cały nasz wszechświat, o tem oczywiście nie można nic powiedzieć. Pewne dane jednak, tak z astronomii, jak i ze źródeł Objawienia, wskazywałyby raczej na to, że kataklizm objąłby również i inne ciała systemu słonecznego. Objawienie bowiem mówi, że będą nowe

niebiosa, to znaczy, że może inne, niż dotychczas, ciała niebieskie świecić będą na firmamencie. Z praw zaś astronomicznych i z mechaniki niebieskiej wynikałoby, że takie powiększenie masy, jakiegoby ziemia nabyła wskutek przyłączenia doń masy komety, musiałoby zaburzyć równowagę i ułożenie systemu słonecznego i bądź nagle, bądź z biegiem czasu zmienić cały układ gruntownie. Zresztą trzeba przypomnieć sobie, że w rozważaniach naszych nad możliwością kataklizmu kosmicznego ziemi wzięliśmy na uwagę wypadek najprostszy i stosunkowo najprawdopodobniejszy, bo tylko zderzenie się ziemi z kometą. Tymczasem równie dobrze stać się może, że cały nasz system słoneczny w swej szalonej ku przestrzeniom wędrówce napotka na jakiś inny system i zderzenie się ziemi z kometą będzie tylko jedynym jakby wystrzałem w owej strasznej walce kosmicznej światów i systemów.

Jakże małym, gdy o tem myślimy, staje się człowiek i ludzkość cała, jak drobne i prawie śmiesznie drobne te olbrzymie niby projekty, zamysły, walki i usiłowania, które służyć miały do ugruntowania potęgi jednostek lub państw, często kosztem, niestety, ucisku i gnębienia innych! Jak te wszystkie poczynania ludzkie, na tym pyłku kosmicznym, jakim jest ziemia nasza, dokonane, i do niego przyczepione, byłyby niezmiernie śmiesznie małe i nic nieznaczące, gdyby ziemia i jej masa nie służyła im tylko za podłoże, za chwilowe narzędzie, podczas gdy cel ich i wartość cała polega nie na znikomych skutkach, dokonanych w znikomej materji, lecz na tym duchu, potężnym i nieśmiertelnym, z którego pochodzą, z którego biorą całe swe znaczenie i którym zaczepiają o podstawę trwalszą niż ziemia, niż wszystkie światy i wszechświaty, bo o byt absolutny — o Stwórcę wszechrzeczy, Boga. I każdy chyba czuje, że gdyby tego wieczystego punktu zaczepienia ludzkość nie miała, to całe dzieje jednostki człowieczej i całej ludzkości byłyby marną niezmiernie komedją, a nawet tragedją dla wielu; że one jednak są głębokim dramatem, który na razie pełen tajemnic i sprzeczności musi znaleźć kiedyś swe zupełne rozwiązanie, o tem przekonana w głębi swego jestestwa jest ludzkość cała.

Przyjdzie chwila i przyjść musi, kiedy pryśnie materja obecna, a nad wszystkiem już jasno, wyraźnie, bezpośrednio zapanuje duch.

IV.

Czy materja zniknie zupełnie? Nie, to jest niemożliwem, bo, jak naucza filozofja, Bóg nie unicestwia niczego, co raz stworzył. Materja wraz z duchem trwać będzie bez końca, będzie nieśmiertelną, będzie dla istoty materjalno-duchowej, jaką jest człowiek, stanowić nadal podłoże do działania i bytowania, wchodzić nawet w istotną część jego składową. Tylko, jak poucza wiara, dekoracja tego świata materjalnego ulegnie gruntownemu przekształceniu, odpowiednio do tej wspaniałej przemiany, jaka dokonała się nad duchem ludzkim. Bo wszystko, co złe, podłe, co się już popsowało na wieki i nie da się już niczem naprawić i uszlachetnić, wszystko to zebrane w jednem bożem śmietnisku, znanem powszechnie pod nazwą piekła, oddzielone szczelnie i na zawsze od reszty świata, nie będzie swym wrażym oddechem zakażało moralnej atmosfery królestwa ducha, a świadczyć tylko będzie zdaleka, że i złe czyny w swej podłości mogą być nieśmiertelne i nieśmiertelną okryć swych rodzicieli hańbą. Poza tem miejscem czarnem i potwornem, lecz już zupełnie dla świata i jego moralnego porządku nieszkodliwem, wszystko będzie jasne, przepiękne, szczęśliwe. W jaki sposób ta przemiana materji się dokona i jak ona będzie ostatecznie w szczegółach przeprowadzoną, o tem także nic pewnego powiedzieć się nie da, a tylko, opierając się na niektórych wskazówkach i napomknieniach objawienia z jednej strony, a panujących obecnie w nauce hypotezach z drugiej można snuć mniej lub więcej wyraziste teologiczno-przyrodnicze obrazy. To jednak wolno, bo tak czynili teologowie, a nawet Ojcowie Kościoła, a chociaż ich pojęcia w niejednem wobec postępu nauk przyrodniczych musi się zarzucić, to jednak metoda sama pozostaje i naśladować ją się godzi. Na wstępie już jednak zwrócić trzeba uwagę na fakt ciekawy, że właśnie najnowsze poglądy nauk przyrodniczych, zwłaszcza fizyki i chemii, zdolne są na niejeden ciemny i tajemniczy punkt tych nowych stosunków przyszłości świata i ludzkości żywsze rzucić światło, niż to zdołali uczynić dawni teologowie zapomocą swych zupełnie dowolnych kombinacji i przypuszczeń.

Więc najpierw co do zmian, jakie ogień ostateczny sprawi na świecie, teologowie różnią się w swych poglądach. Jedni, jak np. autor dopełnienia Summy św. Tomasza, utrzymują, że ogień ów rozłoży wszystko, tak, że pozostaną tylko cztery elementa,

z których rzeczy materjalne są złożone; inni natomiast sądzą, że po zmartwychwstaniu świat powstanie w formie odnowionej wprawdzie i korzystnie przemienionej, lecz analogicznej do stosunków obecnych. Stąd też chociaż ciało ludzkie będzie miało własności uwielbionego ciała Chrystusa, a więc bardzo różne od ciał obecnych, to jednak na ziemi będą ciała materjalne organiczne, mianowicie zwierzęta i rośliny, jako rzekomo koniecznie potrzebne do harmonijnej piękności świata. Zdanie jednak starych scholastyków jest, jak sądzę, wobec nauki prawdopodobniejsze, a nadto dozwala w sposób bardzo ścisły i logiczny wytłómaczyć własności ciała uwielbionego. Przedewszystkiem bowiem wiemy z chemii, że wogóle związki chemiczne, nawet nieorganiczne, istnieć mogą w pewnych tylko granicach temperatur; w temperaturze bardzo wysokiej, wynoszącej jakie kilka tysięcy stopni, wogóle następuje dysocjacja czyli rozwiązanie wszelkich związków chemicznych, a istnieć może materja tylko pod formą luźnych atomów, będących najmniejszemi cząstkami owych siedmdziesięciu kilku czy więcej pierwiastków, na jakie chemicznie da się rozłożyć całokształt ciał materjalnych. Chociaż więc dawni teologowie, mówiąc o rozkładzie rzeczy materjalnych na pojedyncze elementy, mieli na myśli tylko owe cztery, znane wówczas, to jest ziemię, wodę, powietrze i ogień, a u nas tych pierwiastkowych elementów jest kilkadziesiąt, to jednak myśl przewodnia będzie ta sama, mianowicie, że ogień ostateczny rozłoży wszystko na pierwiastkowe części składowe, a zniszczy wszelkie związki. Co się zaś tyczy zwierząt i roślin w szczególności, to wraz z dawnymi teologami odpowiedzieć można, że one są konieczne do harmonji świata dzisiaj, bo służą za pokarm i okrycie nieodzowne naszego cierpiętliwego, grubo-materjalnego ciała, a nawet ich znaczenie estetyczne w wielkiej części na tym wpływie materjalnym na zmysły nasze się opiera. Gdy zaś ciała nasze nie będą potrzebowały pokarmu, wtedy i znaczenie utylitarne organicznego świata zniknie zupełnie, zaś rola jego estetyczna może łatwo być zrównoważoną zjawiskami świata nieorganicznego. Wszak już tu, w tem życiu, wiemy z doświadczenia, jakich wspaniałych i potężnych wrażeń estetycznych nastręcza przyroda martwa, naprzykład wśród gór dzikich lub na pełnem morzu, gdzie, przy pomocy mgieł, chmur i słońca lub księżyca, przed zdumiałym widzem coraz to nowe, a nie dające się opisać ani namalować, przesuwają się widoki i obrazy. Zresztą nie należy zapominać, że i tam w owem życiu będą istoty żywe i to w swej

nadnaturalnej piękności, bo będzie człowiek ze swem uwielbionem ciałem. I jeżeli już tu piękność człowieka jest tak wielką, że gasi ona swym blaskiem wszelką piękność przyrody, to cóż dopiero będzie tam, gdzie to ciało zajaśnieje blaskiem i świetnością i harmonją kształtów, przechodzącą wszystko, co najgenjalniejsi artyści pędzla, dłuta czy słowa zdołali już nie tylko materjalnie przedstawić, ale nawet w wyobraźni swej wysnuć. Ramy z roślinności i zwierząt, chociażby najwspanialsze, wystarczające zaledwie na podkład dla zmaterjalizowanego obecnego ciała, byłyby dla takiego zjawiska, jakiem będzie człowiek w postaci uwielbionej, za słabe i za ciasne i tylko potężna przyroda, w swych blaskach, łączących w jedno niebo i ziemię, skąpanych w promieniach słońc niezwykłych, może stanowić godne podmalowanie dla owego wspaniałego ciała-ducha, jakim po zmartwychwstaniu będzie człowiek. Wiele więc względów, pomijając nawet trudności filozoficzne nieskończonego bytowania ciał organicznych, obdarzonych jednak tylko formą materjalną, a więc zniszczalną, przemawia za tem, by świat przyszły odnowiony wyobrazić sobie raczej jako przepiękną przyrodę martwą, wśród której jedyną materjalną istotą żywą byłby człowiek, podnoszący materję w swem ciele uwielbionem do godności prawie duchowej.

Ale pojęcie dysocjacji, zastosowane do działania ognia ostatecznego, nasuwa tu jedno jeszcze niezmiernie ciekawe zastosowanie z dziedziny najnowszej fizyki. Jak to już widzieliśmy, dawni filozofowie utrzymywali, że świat cały zbudowany jest z czterech niejako rodzajów cegiełek, z czterech elementów. I było to chlubą chemji 19-go zwłaszcza wieku, że wykazała, iż jest więcej znacznie rodzajów tych cegiełek i że tych elementów, czyli pierwiastków, jest kilkadziesiąt, a jednym z kanonów chemji nowoczesnej do lat jakich 30 temu było, że pierwiastek jest ostateczną najprostszą formą materji i że atomów, będących najmniejszemi cząstkami owych pierwiastków, na mniejsze i prostsze części składowe rozłożyć już nie można. W latach ostatnich jednak przyszło odkrycie ciał promieniotwórczych, a za niem upadek tego poglądu. Pokazało się, że i pierwiastki ulegają rozkładowi na cząstki naładowane elektrycznością ujemną, czyli tak zwane elektrony, których masa jest około 1000 razy mniejszą od masy najmniejszego, dotychczas znanego atomu, to jest od masy wodoru, i na cząstki dodatnie, równe masą atomom helu. Zjawiska te, których bezpośredni początek datuje się od odkrycia znanych promieni Becquerela i następnie

substancji promieniotwórczych polonu i radu przez pp. Curie, dały podwaliny pod nową gałąź nauk przyrodniczych, tak zwaną promieniotwórczość, gałąź, która zarówno obszernym zakresem wykrytych dotychczas faktów, jak i doniosłością teoretycznych koncepcji staje równorzędnie obok fizyki i chemji albo je nawet przewyższa. Stosunek tych trzech nauk do siebie jest bowiem taki, że gdy fizyka zajmuje się badaniem praw i przemian energetycznych w obrębie mas wielkich, aż do molekuł włącznie, a chemja opisuje oddziaływania wzajemne atomów na siebie, to promieniotwórczość jest jakby chemią czy fizyką podatomową, bo wnika w sam atom i wydobywa na zewnątrz te niezmierne zapasy energji, które w atomie się mieszczą i przy jego rozkładzie na zewnątrz się wyjawiają.

Z zakresu tych zjawisk promieniotwórczych tu w tem miejscu interesuje nas pogląd, dotyczący podstawowych teoryj budowy materji, a oparty ściśle na doświadczalnych faktach promieniotwórczości. Otóż pogląd ten, podzielany przez wszystkich wybitniejszych fizyków doby obecnej, jak Rutherford Soddy, Crookes i inni, mówi, że własność promieniotwórcza, polegająca na rozkładzie atomów, nie ogranicza się na te dwadzieścia kilka pierwiastków promieniotwórczych, które wykryto w czasach ostatnich, lecz jest własnością wszystkich ciał materjalnych, tylko że u innych rozkład ten jest tak powolny, a tem samem ilości występującej na zewnątrz przy rozkładzie atomu energji tak drobne, że nawet najczulsze nasze przyrządy wykryć ich nie zdołają. Wobec tego przyjmuje się teoryę, że atom każdej materji, jest poprostu konstelacją, zbiorem co najwyżej dwojakiego tylko rodzaju cząstek, z których jedne są cząstkami elektryczności dodatniej o masie równej atomowi helu, a więc 4 razy większą od masy wodoru, a drugie ujemnej, o masie tysiące razy mniejszej, atomy te ulegają wolnej, lecz stałej dyssocjacji, czyli rozkładowi na owe cząstki składowe.

Gdyby wobec tych teoryj fizycznych odważyć się na przypuszczenie, którego jednak, o ile wiem, nikt z autorów dotychczas nie uczynił, a które jednak samo się narzuca, że ciało uwielbione złożone będzie właśnie z takich cząstek materji zdyssocjowanej, że więc składać się będzie tylko z takich cząstek elektrycznych, czyli elektronów — i gdyby dostosować do takiego ciała to wszystko, co dziś ściśle, na podstawie niezbitych doświadczeń wiemy o właściwości elektronów — to z takiego przypuszczenia wypłynęłyby już samorzutne wszystkie właściwości ciał uwielbionych, jak

je podają teologowie. Będzie więc może rzeczą interesującą zająć się chociaż krótkiem rozprowadzeniem tych myśli.

Ciało człowieka, złożone z elektronów, byłoby przedewszystkiem niesłychanie subtelne, zdolne, podobnie, jak elektrony, przenikać z łatwością wszelkie ciała materjalne. Szybkość poruszenia ciał byłaby niezmiernie wielką, bo jak pokazują ścisłe pomiary fizyki, są elektrony, które biegną z prędkością równą prawie prędkości światła i elektryczności, to znaczy przebiegają 300000 kilometrów na sekundę, więc ciała uwielbione pomykaćby mogły po przestrzeniach wszechświata z szybkością błyskawicy w całkiem dosłownem znaczeniu tego wyrazu. Mimo to nie byłaby to szybkość nieskończenie wielka, bo od przestrzeni niezawisłe są tylko czyste duchy, a podróż z ziemi do najbliższych gwiazd wymagałaby i wtedy przy tak zawrotnej szybkości lat kilka. Oczywiście »lat« naszych — tam w tem życiu przyszłem takich zapór czasowych odczuwać się nie będzie, bo tam »czasu już niema«, są tylko niedające ruchem mechanicznym mierzyć się zmiany. Ciała takie byłyby dalej niecierpiętliwe, bo cierpienie jest tylko tam, gdzie jest zniszczenie i rozkład, a ciała te, jako zbudowane z cząstek zupełnie pierwotnych, rozkładowi miejscowemu — bo jako całość mają istnieć zawsze — a więc i cierpieniu podlegaćby nie mogły. Z tego też powodu nie potrzebowałyby przyjmować pokarmu. Pokarm bowiem u nas dwojakie ma do spełnienia zadanie: odbudowę zniszczonych tkanek i dostarczenie organizmowi energji, potrzebnej do wykonywania ruchów i innych funkcyj życiowych. Tkanki ciała uwielbionego byłyby, jak wspomnieliśmy, niezniszczalne, więc nie potrzeba by było budulcu do ich naprawy, a energję pobieraćby ciała elektryczne mogły wprost z zewnątrz, mianowicie z fal elektrycznych, któremi przestrzeń cała wszechświata jest przepełniona. Fale te byłyby też przyczyną, że człowiek uwielbiony nurzałby się bezprzestanku w niezmiernej jasności i świetle. Tutaj na ziemi nie posiadamy zmysłu elektrycznego, któryby bezpośrednio do naszej świadomości doprowadzał te przeliczne i różnorakie zjawiska elektryczne, jakie ustawicznie w przyrodzie się odgrywają. Na przebiegające przez przestrzeń fale elektryczne jesteśmy zupełnie tak samo nieczuli i niewrażliwi, jak niewrażliwym jest na zwykłe światło człowiek ciemny, pozbawiony zmysłu wzroku. Tam jednak, w owej krainie szczęścia i wszelkiej doskonałości, ciało nasze z pewnością oddziaływać będzie na zjawiska elektryczne, i to może nietylko

jednym zmysłem ale całem swem jestestwem, jako że całe zbudowane z subtelnej elektrycznej materji. A że fale elektryczne przenikają wszędzie, więc nie będzie ciemnych zaułków i smutnych cienistych zakątków, a ciało uwielbione oblane będzie przeobfitem światłem, którem nietylko będzie się cieszyć i napawać, ale które będzie jak nadmieniłem wyżej, stanowiło dlań źródło energji, a więc będzie pokarmem.

W świetle się nurzające, z szybkością światła pędzące i światło za pokarm mające to ciało z subtelnej świetlano-elektrycznej utkane materji, jedną jeszcze koniecznie posiadać ma właściwość — stanowić musi źródło przeobfitego światła, bo samo ze siebie wydawać ma na nieskończoną przestrzeń rozchodzące się promienie. Jak to się stanie, łatwo wytłómaczyć. Wiemy dziś z fizyki, że wszelkie zjawiska elektryczne, połączone z wyładowaniami elektrycznemi są źródłem fal elektrycznych. Na tym fakcie polega tak szeroko już dzisiaj stosowany telegraf i telefon bezdrutowy czyli iskrowy. Stacja radiotelegraficzna w Krakowie dostrzega zapomocą odpowiednich przyrządów wyładowania elektryczne na stacji np. w Paryżu na wieży Eifel, z której, podobnie jak i z jakiejkolwiek innej stacji rozchodzą się fale elektryczne po całym świecie poprzez warstwy mgły i powietrza, poprzez lądy, lasy i inne przeszkody. I gdybyśmy zamiast przyrządu odbiorczego w Krakowie mieli wprost zmysł elektryczny, oddziaływający na fale elektryczne tak, jak oko na fale optyczne, to stacja na Eifel przy każdym wysyłaniu fali, to jest przy każdym wyładowaniu elektrycznem świeciłaby nam, jak jasna pochodnia. Otóż i ciało uwielbione, z elektrycznych zbudowane cząstek, będzie z pewnością ustawicznie źródłem zjawisk elektrycznych, niezmiernie wybitniejszych, niż, jak fizjologia wykazuje, jest dzisiaj ciało nasze, a te zjawiska, w postaci fal na około się rozchodząc, będą w innych ludziach, obdarzonych zdolnością chwytania tych zjawisk bezpośrednio, oddziaływały jako jasne promienie światła.

Snując dalej analogię życia obecnego przyjść nam musi na myśl, że podobnie, jak to widzimy teraz u zwierząt takich, jak znana ryba, drętwa, mających zdolność wysyłania wyładowań elektrycznych, to wysyłanie będzie dwojakie. Jedno stałe, jako własność funkcyjna życiowa ciała uwielbionego i stanowiące ciągle źródło jego jasności i blasku, a drugie zależne od woli człowieka. I te drugie mogą być właśnie znakomitym środkiem porozumiewania się z innymi ludźmi. Jak dziś falami głosowemi, które wzbu-

dzamy organami mowy, a chwytamy uszyma, porozumiewamy się ze sobą, ale tylko bardzo niedoskonale i na małą odległość, tak wówczas ciała elektryczne porozumiewać się będą w dal niezmierną i z szybkością olbrzymią zapomocą fal elektrycznych.

Ale cóż stanie się z ciałami nieuwielbionemi, jakże one będą się wobec tych wszystkich zjawisk zachowywały i jak wytłómaczyć ich zupełnie odrębne właściwości — czy może i dla nich nauka najnowsza ma jakieś analogje, któreby obrazowo przedstawiały warunki bytowania potępionych? Ma — i bardzo, bardzo dziwne, tem dziwniejsze, że teologowie na podstawie rozważań czysto teologicznych doszli do nich pojęciowo na wiele stuleci przedtem i te ich rozważania były nieraz przedmiotem szyderstw ze strony »oświeconych« przyrodników, a dziś znalazły nieoczekiwane i dosłowne prawie urzeczywistnienie w najnowszych odkryciach fizyki. Mam tu na myśli z jednej strony ogień piekielny, o którym tak często i wyraźnie mówi i Pismo św. i Ojcowie Kościoła, a z drugiej rozmaite nowe promienie, zwłaszcza tak zwane promienie pozafiołkowe, wykryte i badane przez fizyków w ostatnich lat dziesiątkach. Że taka analogja bardzo żywo się narzuca, przyznać musi każdy, kto choć na chwilę zestawi sobie w myśli cechy obu tych pojęć — ognia piekielnego i promieni nowych fizyki dzisiejszej. Według teologów ogień piekielny nie świeci, nie grzeje, ale pali i piecze, i konserwuje, chroni od zepsucia, od zgnilizny, a działanie jego bolesne nie jest bezwzględne, zależne od ich natężenia, lecz selekcyjne, odpowiednie do natury organizmu, na który mają działać. Według wyników badań fizycznych nowe promienie owe nie oddziaływują na zmysł wzroku, więc nie świecą, nie oddziaływują na zmysł temperatury, czyli nie grzeją, a przecież po dłuższem zwłaszcza oddziaływaniu zadają rany, bo niszczą tkankę. Stąd też chronią od zgnilizny, gdyż tak gwałtownie zabijają bakterye, że wystarczy, by przez kilka sekund oddziaływały na wodę, zakażoną obficie bakterjami, a wszystkie drobnoustroje ulegną zniszczeniu; to też używają dzisiaj tych promieni po zakładach wodociągowych do sterylizowania wody, a w medycynie do niszczenia niepotrzebnych tkanek nowotworów, przyczem działanie tych promieni jest selekcyjne, to znaczy zależne nietylko od natężenia promieni, lecz i od natury tkanki materjalnej, na którą działają.

Zestawiając to, wystarczy przypomnieć sobie, że według teologów ciała potępionych nie ulegną usubtelnieniu, lecz zachowają

naturę ciał materjalnych, by wyrobić sobie obraz przybliżony stosunków w owem państwie ciemności i bólu. Z grubej materji utworzone materjalne ciała potępionych nie oddziaływują, podobnie jak i ciała nasze obecne, na fale elektryczne, natomiast analogicznie do ciał naszych absorbują one, a więc podlegają działaniu promieni pozafiołkowych, które obdarzone własnością przenikania przez materję, dostawać się będą z zewnątrz do owego miejsca ciemności, kary i pomsty. Aby wyobrazić sobie materjalne męki mieszkańców piekła, nie potrzeba już uciekać się do roztopionej siarki i smoły, wystarczy uprzytomnić sobie, że całe to miejsce przepełnione jest promieniami ciemnemi pozafiołkowemi i innemi, które w miarę rozmaitej właściwości konstrukcji tkanek ciała, jednego dręczą więcej, innego mniej, jednemu zadają ból większy na jednym organie niż na innym. Że organizmu nie zniszczą zupełnie, to oczywiście jest wynikiem cudownego działania karzącej wszechmocy Bożej, ale też ich działanie chroni tkanki od zepsucia i zgnilizny.

Na przytoczone i rozwinięte tutaj pokrótce analogje między nauką i wiarą odnośnie do eschatologji można oczywiście zapatrywać się rozmaicie, ale w każdym razie zestawienie to pod jednym przynajmniej względem będzie pożyteczne. Wykazuje ono mianowicie, że nauki, nawet tak materjalne, jak fizyka, nietylko nie podmywają nigdy zasadniczych podstaw i kierunków teologji, ale owszem przyczynić się mogą do ich pogłębienia i zrozumienia, i umysł ludzki, byle umiał przestrzegać zakresu granic swego działania, usubtelniając się badaniami naukowemi, tem łatwiej odczuć jest zdolny głębię i nieprzejrzaną mądrość prawd wiary.

I tak być zresztą musi, bo nauka i wiara z jednego źródła wyszły i do jednego oceanu zmierzają — a jest nim nieskończona Mądrość i Dobroć Boża, która uchyliła przed człowiekiem rąbek tajemnic nadprzyrodzonych wiary, a nadto daje mu możność, by zapomocą mozolnego i uczciwego usiłowania wydobywał prawdę z tajemnic przyrody.

Ks. Feliks Hortyński.

Kultura i lojalność obywatelska, jako przedmiot wychowania młodzieży.

(Ciąg dalszy).

II. O metodach i stopniach wychowania obywatelskiego.

Trudność tego problemu. Dla nowożytnych ludzi przyswoić sobie lojalność wobec idei państwowej, jest rzeczą bardzo trudną. Pouczania o statystyce i urządzeniach danego państwa bynajmniej nie wystarczają. Wychowanie obywatelsko-polityczne musi rozpocząć się od wychowania społecznego; między jednem wychowaniem, a drugiem istnieje atoli wielka różnica. Społeczne wychowanie jest w pierwszym rzędzie wychowaniem w zgodliwości z ludźmi o wspólnych dążeniach, lub usposobieniach, wychowanie zaś obywatelskie zmierza do wyrównania przeciwieństw w interesie całości. Wypróbowana lojalność obywatelska powstaje tylko przez głęboko sięgające stłumianie egoizmu. Z ludźmi przeciwnych przekonań i tendencyj zachować pokój w interesie dobra publicznego wymaga wielkiego zaparcia się siebie samego i bez zbawczych sił religijnych jest trudnem do osiągnięcia. Kultura prawdziwie obywatelska i płynąca z niej sprawiedliwość zależą od należycie wyrobionego sumienia. Do nabycia obywatelskiego ducha w życiu szkolnem dają najlepszą prawie sposobność gry i zabawy, gdyż tutaj zdarzają się najsilniejsze namiętności i interesa młodzieńcze, tutaj uczy się młodzież traktować przeciwnika oględnie, szanować jego prawa tak samo, jak własne. To wytwarza zdolności obywatelskie, ponieważ wytwarza jedność między przeciwieństwami. Lojalność obywatelska atoli nie polega wyłącznie na zgodliwości wobec przeciwników, dopiero organizująca idea najwyższej całości, której podporząd-

kowane są wszyskie cele jednostkowe, wytwarza ducha naprawdę obywatelskiego. W jaki sposób człowiek nowożytny ma być pozyskany dla tej idei, podaje już Platon, twierdząc, że prawdziwego ducha obywatelskiego ten nabędzie, kto zdołał w sobie stłumić ochlokrację namiętności. Tę samą myśl oddał wspaniale nasz Krasiński w »Resurrecturis«, które poczytuję za najszczytniejszą wskazówkę wychowawczo-obywatelską, na jaką się ludzkość zdobyła. Przyzwyczajenie do umiarkowania i karności nawet w drobnych popędach, planowe podporządkowanie zmysłów duchowi, wychowanie w bezwzględnem posłuszeństwie wobec nakazu sumienia, ćwiczenie się w bezwarunkowem poświęcaniu korzyści na rzecz przyzwoitości, honoru — to kształci bezpośrednio w nadporządkowaniu idei obywatelskiej ponad wszelkie interesa partyjne. Nasza polityczna dezorganizacja jest wyrazem braku centralizującej zasady w naszej duszy. Ta zaś bez dobra najwyższego, bez Boga nie jest do pomyślenia. Państwo Cezara jest na daleką metę zawsze i wszędzie skazane na siły, pochodzące z królestwa Chrystusowego.

Praktyczne wskazówki do społecznego wychowania. Brak prawdziwej kultury obywatelskiej u nas w znacznej części polega na braku planowego społecznego wychowania. Naszych chłopców wychowujemy zawsze tak, jakbyśmy ich przygotowywali do czasów panowania prawa pięści. Ćwiczenie w sztuce załatwiania w doskonalszy sposób konfliktów, wypływających ze sprzecznych interesów lub temperamentów, nie odgrywa prawie żadnej roli. Stąd wielu ludzi, nie posiadając pojęcia, jak należy się obchodzić z ludźmi, targa sobie niepotrzebnie nerwy. Istnieją różne typy ludzi, z których każden inaczej traktować należy. Mamy coraz częściej zdegenerowanych neurasteników, którym energji życiowej zaledwie wystarcza do utrzymania własnego bytu. Tacy nie posiadają współczucia dla drugich. Od nich pochodzi nadczłowiecza filozofja nietzscheańskiego egoizmu, będąca listkiem figowym przeczulonego systemu nerwowego. Są brutalne natury egoistów, których się nie zmieni, którzy co najwyżej kilka reguł grzeczności przyswoić sobie zdołają. Najliczniejsi są ludzie, wskutek naiwnego zainteresowania się własnem ja w kulturze społecznej zacofani. Tych można za pomocą odpowiednich ćwiczeń i bodźców duchownych dla społecznej kultury pozyskać. Do tego nadaje się zachęcanie młodzieży do pielęgnowania chorych w otoczeniu własnem, do opiekowania się młodszem rodzeństwem, wpa-

janie jej poczucia wdzięczności, przyzwyczajanie do uprzejmego zachowania się wobec służby i t. d. Stąd też życie rodzinne zwią słusznie zakładem wychowawczym dla kultury społecznej.

Przyzwyczajenie do odpowiedzialności. Najważniejszym momentem w krzewieniu kultury społecznej jest wpajanie poczucia odpowiedzialności wśród młodzieży. Pod tym względem nieocenione usługi oddaje t. z. samorząd szkolny i powstałe w Ameryce gminy szkolne, u nas ostatniemi czasy zaprowadzone. System gmin szkolnych polega na podstawowej zasadzie wszelkiego wychowania, że dla wychowania koniecznie trzeba się sprzymierzyć z żywemi siłami wychowanków. Samorząd szkolny pedagogicznie wyzyskuje wrodzone młodzieży społeczne instynkta, które bez pedagogicznego kierownictwa wyradzają się częstokroć w bandytyzm i w hulaszczość. Przez obudzenie odpowiedzialności hulaszczy książe Henryk u Szekspira nagle staje się królem, czyniącym rozbrat ze złymi kompanami. Każdy chłopiec staje się takim królem Henrykiem, tylko trzeba mu jego królestwo wskazać, t. z. dać mu odpowiednie stanowisko. Pod tym względem w gimnazjach galicyjskich nieocenione usługi oddały wychowaniu czytelnie, kółka naukowe, organizacje wojskowe, lub skautowe. One to obudziły u młodzieży posłuszeństwo dobrowolne wobec postulatów prawa, co jest podwaliną obywatelskiego wychowania. Jeżeli dziecko przez samorząd w szkole przywyknie do panowania nad sobą, to tem samem wyuczy się najważniejszej lekcji swego żywota. Szczególnie wychowawczo oddziaływa na młodzież oddane jej pod nadzorem nauczyciela sądownictwo szkolne. Dzięki takiemu sądownictwu znika przeważnie kłamstwo, obłuda, udawanie, a wytwarza się otwartość, rzetelność, prawdomowność. W takich warunkach wychowana młodzież nie przyłoży ręki do złych reform w świecie politycznym.

Wychowanie indywidualne a obywatelskie. Społeczne wychowanie winno znaleźć przeciwwagę w wychowaniu indywidualnem przez wyrobienie silnego charakteru, sumienności, samodzielności, aby młody człowiek zdobył sobie odporność przeciw złym wpływom otoczenia. Sztuka przytakiwania i przeczenia właściwego jest może najważniejszą w życiu. Kto umie rzetelnie »tak« powiedzieć i tego »tak« pod każdym względem dotrzymać, kto ma odwagę powiedzieć »nie« i bez względu na osobę, na opinję i szyderstwa

przy tem »nie« obstawać, ten naprawdę jest charakterem i tylko taki może się stać prawdziwie pożytecznym obywatelem kraju.

Konieczność skojarzenia osobistej energji z kulturą społeczną. Przeważna część ludzi błądzi, że nie może konsekwentnie pogodzić osobistej energji z kulturą społeczną. Jak często powstaje u nich konflikt między prawdomownością i otwartością, a miłością bliźniego! Z dylematu tego możemy tylko w ten sposób wybrnąć, że musimy przestrzegać bezwzględnej otwartości, równocześnie z najtroskliwszem oszczędzaniem człowieka, któremu prawdę powiedzieć musimy. Z reguły prawie zapominamy, że prawdomowność jest na szwank narażona, jeżeli pozbawiona jest społecznej delikatności. Dopiero miłość oswobadza nasze czyny z nieczystych przymieszek, uczy nas największej przezorności i ścisłości w wypowiadaniu prawdy. Nieoględność i gburowatość, z jaką w życiu politycznem częstokroć pewne niedomagania w imieniu prawdy odsłaniamy, jest główną przyczyną najgorszych rozterek i zastojów. Kto więc na przykładach z codziennego życia stara się w wychowanków wpajać potrzebę godzenia otwartości prostej z humanitarną względnością ten kładzie w duszę ich podwaliny obywatelskiego uobyczajenia, którego naszemu polskiemu społeczeństwu tak wielki brak. Przekonania, brutalnie sobie zdobywające posłuch, nie są nic warte. Młodzież powinna uwzględniać usposobienie ludzi starzejących się i uwzględniać ich słabości. Przykazanie: »Czcij ojca swego i matkę swoją« ma dalekonośne społeczne znaczenie. Nasze powodzenie rzeczywiście zależy od tego, jak czcimy swych przodków, t. j. nagromadzone doświadczenie pokoleń. Kto nie szanuje ojca, matki, ten nie szanuje siebie samego i swego sumienia i prędzej czy później staje się pastwą swych chwilowych popędów. Jednem z najważniejszych zadań przyszłego pokolenia jest dojrzewanie do prawdziwej społecznej kultury w zgodzie z tradycją przeszłych pokoleń i właśnie im większa jest nasza energja postępowa, tem delikatniejsze winno się stawać nasze obejście, tem większa ostrożność wobec naszej jednodniowej mądrości. Niema większego niebezpieczeństwa dla człowieka, jak życie pełne powodzeń. Uczniowie utalentowani, którzy bez trudu zajmują pierwsze miejsce w szkole i w życiu, padają zwykle ofiarą próżniactwa i pychy.

Etyka zawodowa a uzupełniająca szkoła przemysłowa. Wychowanie obywatelskie jest szczególnie potrzebne dla młodzieży dorastającej w szkołach przemysłowych uzupełniają-

cych, które wychowują nasze mieszczaństwo, robotników, rękodzielników i przemysłowców. W szkołach tych postarano się o wykształcenie fachowe i umysłowe tyle ważnego stanu trzeciego; o wychowaniu moralno-religijnem i obywatelskiem tego rdzenia narodowego niemal zupełnie zapomniano. A jednak jeżeli w kogo, to właśnie w przyszłych rękodzielników i przemysłowców wpajać należałoby zasady religijno-moralne, zasady obywatelskiej kultury i lojalności, tak niezbędne dla ich zawodu. Iluż to ludzi nie ma powodzenia w swoim zawodzie, nie dlatego, że mało byli zawodowo wykształceni, lecz dlatego, że nie wyrobiono w nich dzielnego charakteru, że nie posiadają sztuki rozkazywania i słuchania, sztuki społecznego dostosowania się do porządku publicznego, ponieważ nie panują nad sobą, nie mają rzetelności, zwłaszcza punktualności, ponieważ nie wiedzą, że koniec końcem uczciwość jest najlepszą polityką w świecie! Młodzież rękodzielniczą przedewszystkiem należy przekonywać, że każda wykonana przez nich robota jest sprawą ich sumienia, że ponad wszystkimi zawodami stoi zawód i obowiązek udoskonalania siebie samego, że przez pracę niesumienną nasz charakter deprawujemy. Nowożytnym ludziom brakuje właśnie kontroli sumienia i dlatego całkiem słusznie w jednej ze szkół rękodzielniczych amerykańskich rzucono hasło: »Nie chcemy ludzi kształcić na stolarzy, lecz stolarzy na ludzi«.

Klątwą naszego rękodzieła i przemysłu jest pogoń bezwzględna za osobistym sukcesem bez oglądania się na drugich. Jest to rabunkowa gospodarka, uprawiana z upodobaniem, zwłaszcza przez żydów. Obcym przybłędom, którzy dziś są, a jutro zbogaceni pójdą tam, gdzie lepsze zrobią interesa, taka gospodarka może do twarzy. Polskie rękodzieło na własnej ziemi wśród własnego społeczeństwa nie może bezkarnie na dłuższą metę rabunkowej prowadzić gospodarki, jeżeli nie ma własnego bytu podkopać, a również bytu ekonomicznego narodu i państwa. Dla naszego, tyle sypkiego społeczeństwa jest nader potrzebna sztuka rozkazywania i dlatego wpajanie przymiotów i obyczajów kierowniczych w naszą młodzież, mającą zająć stanowisko pryncypałów, jest jednem z najważniejszych zadań wychowania narodowego. Zadanie to spełnia wyrabianie w wychowankach karności woli, panowania nad sobą, taktu, obchodzenia się z ludźmi, wpajanie ścisłej rzeczowości bez frazesu, ćwiczenie w wydawaniu dyspozycyj pełnych odpowiedzialności. Jeszcze więcej może, niż sztuka rozkazywania, potrzebna jest polskiemu

społeczeństwu, gdzie każdy chciałby rządzić, sztuka słuchania. Posłuszeństwo jest szkołą elementarną dla każdego podporządkowania się wyższym postulatom, dla oswobodzenia się z pęt tyle szkodliwej nam samowoli, a w końcu szkołą pokory, bez której wszystkie cnoty są tylko błyszczącemi zbrodniami. W podobny sposób należy pouczać młodzież przemysłową o koniecznej potrzebie bezwzględnej uczciwości i sumienności, które i pod względem ekonomicznym są najpewniejszą podstawą powodzenia, chociażby nieuczciwa konkurencja wymagała trudnych walk. Można się powołać na przykład Poznańskiego, gdzie rzetelny handel wyrugował szacherkę żydowską, można się powołać na galicyjskie kółka rolnicze, rugujące nierzetelny handel żydowski. Należy dalej wskazywać na zgubne skutki pieniędzy bez pracy, zgubne skutki przeceniania dóbr materjalnych z uszczerbkiem dla duszy. »Cóż pomoże człowiekowi, choćby zdobył świat cały, jeżeli przy tem duszę straci!« Szczególnie młodzież kupiecką uodporniać należy przeciw brutalnemu wyzyskowi, który właśnie nigdzie bardziej, jak w dziedzinie handlowej się nie panoszy i wypacza charaktery. »Cokolwiek inni czynią«, należy jej głosić, »ty nie kradnij, nie oszukuj, ponieważ chodzi o twą duszę, o twą szlachetność!« Nie mniejsze znaczenie w życiu ma prawdomowność. Sztuka godzenia prawdomowności z wyrozumiałą miłością i życiową roztropnością jest ważnym tematem w przygotowaniu młodzieży do życia. Tylko bezwzględna prawdomowność budzi zaufanie, nawet kłamstwo z t. zw. konieczności po dłuższym namyśle okazuje się niepotrzebne i szkodliwe. Tak samo ważnym tematem jest pouczanie o punktualności; przyzwyczajanie do życia wedle zegarka jest wielką nauką, która niemałego wysiłku woli wymaga. Równie ważne jest pouczanie o dotrzymaniu słowa, umowy, dziś wskutek walki klasowej w szerokich warstwach zakwestjonowanej. Socjalistyczni teoretycy dziś głoszą, że w walce klasowej etyka nie obowiązuje. Na to należy stwierdzić, że nawet dzikie plemiona dotrzymywanie umów uważają za święte. Ono jest podstawą wszelkiej kultury społecznej, a kto umowy nie dotrzymuje wrogowi, ten jej nie dotrzyma przyjaciołom. Dotrzymanie danego słowa jest podstawą godności człowieka.

Kwestja obywatelskiego wychowania Dopiero na podstawie wyżej przytoczonych pouczeń właściwe pouczanie o obowiązkach obywatelskich jest możliwe. Nawiązując do ustawodawstwa z różnych dziedzin życia, n. p. do ustawodawstwa robotniczo-

ochronnego lub karnego, do ustaw o nieuczciwej konkurencji, o własności, do prawa rodzinnego, można pomówić o niepisanych prawach, jako właściwym fundamencie wszelkiego spisanego prawa, n. p. o ochronie słabych, o odpowiedzialności za nasze słowa, o świętości rodziny i t. d. i t. d. Wszystko to należy przedstawiać nie w suchy, mechaniczny sposób, lecz na konkretnych przykładach, gdyż tylko w ten sposób przedstawione kwestje budzą zainteresowanie. Wpajanie ultralojalnych uczuć dla każdorazowego rządu nie prowadzi do celu. Niema nic gorszego, jak gdy w czasach walk politycznych nauczyciel hyperlojalną gorliwością usiłuje uczniom narzucać poglądy stronnicze, przez wielką część narodu zwalczane. Stronniczy szkolny patrjotyzm we Francji doprowadził do antymilitarnej propagandy w szkole. Szkoły nie wolno pod żadnym warunkiem nadużywać do zwalczania jakichś prądów politycznych, do walk wyznaniowych, narodowych lub rasowych. W szkole należy pogłębiać pojęcia obywatela państwa w przeciwieństwie do zwolenników pewnych stronnictw lub frakcyj, należy podnosić, że idea prawdziwie społecznego państwo-twórczego człowieka wymaga, abyśmy, jakiekolwiek są nasze poglądy, liczyli się zawsze z faktem, że istnieją i inne koła z różnemi interesami i poglądami, z któremi winniśmy się w sposób legalny rozprawiać i których sferę prawną winniśmy tak samo szanować, jak swoją własną. Dopiero tego rodzaju pouczanie, praktykowane przez dłuższy czas w sposób przystępny na konkretnych zjawiskach, może w uczniach obudzić ducha prawdziwie obywatelskiego i przysposobić dzielnych obywateli państwa.

(Dok. nast.).

Dr. K. Krotoski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Do historji kaznodziejstwa.

Dr. Adolf Donders: P. Bonawentura O. Pr., ein Lebensbild. Herder, Freiburg im Br. 1918, str. 325.

To, co powiedział poeta niemiecki, że aktora nie wieńczy już potomność, częściowo można stosować i do kaznodziei, do mówcy wogóle. Zniknie jego żywa postać, przebrzmią jego gorące słowa, zgaśnie jego oko ogniste, a już niebawem i jego wpływ się rozwieje, jego urok uleci, jego sława zblednie, błąkając się jeszcze tu i owdzie po zwiędłych ustach starców i staruszek. Albowiem cenią ludzie głównie tego, kto im bezpośrednio udziela dóbr i możności korzystania z nich.

A jednak jest mowca nieraz osobistością tak niepowszednią i potężną, że choć nie zostawił po sobie dzieł drukowanych lub rękopiśmiennych, ślady jego działania znaczą się jeszcze i po jego śmierci. Dobrze więc, jeśli ludzie, ceniący idealne wartości zdobyczy kulturalnych, poświęcają twórcom tych wartości monografje historyczne, chroniące wybitnych mowców przed mrokami zapomnienia.

Bez wątpienia do najwybitniejszych mowców niemieckich doby współczesnej należał niedawno zmarły O. Bonawentura z Zakonu Kaznodziejskiego, nowoczesny apostoł Berlina i wogóle świata niemieckiego. Pisano o nim też już za życia dużo po dziennikach i czasopismach; pisali o nim i O. Dalmacjusz i Gerdruda Kühl, a osobliwie O. Rings przedstawił jego pracę duszpasterską, lecz nie było jeszcze wszechstronnej rozprawy o największym kaznodziei Niemiec nowoczesnych. Niezwyczajnie więc wdzięczne acz żmudne zadanie miał X. Dr. Donders, sam mowca pierwszorzędny i do pewnego stopnia uczeń O. Bonawentury [1]).

[1]) Mausbach pisze w Theologische Revue Nr. 17/18: »Donders już za życia O. Bonawentury skrzętnie zbierał wszystek mu

Zebrawszy wcale pokaźny materjał, z miłością serdeczną stara się prząść przed oczyma czytelnika życiowe przędziwo i na jego tle uwydatnić przedziwną postać wielkiego mowcy.

Więc gwiazdkowym podarkiem zjawia się (20. XII. 1862) chłopczyna w domu kupca Józefa Krotza w Karlsruhe, jako trzynaste z rzędu dziecko; wzrasta przy czułem sercu matki pod okiem artystycznie usposobionego ojca, uczy się świetnie, choć z matematyką, jak tylu wielkich ludzi, zawsze na stopie wojennej. Niesiony szczerem powołaniem, wstępuje do seminarjum, a po niedługiej pracy duszpasterskiej, płonąc zapałem dla wielkiego Lacordaire'a, do zakonu kaznodziejskiego. I niezadługo po latach klasztornej ciszy i dogłębnego skupienia, świat cały niemiecki staje mu się polem działania; spieszy nawet za ocean, a osobliwie ożywia Berlin katolicki swym duchem apostolskim. Prawdziwie to jedna z najidealniejszych i najsympatyczniejszych postaci XX wieku, a zarazem jedna z najpotężniejszych indywidualności mowczych. Dźwięk jego imienia wywołuje jeszcze dziś przed oczy tysięcy i tysięcy Niemców tę małą postać białego Dominikanina, tę głowę szlachetną i artystycznie piękną, to oko jarzące się ogniem świętym, tryskające dziecięcą niewinnością i uczuciowością, a osobliwie ten głos tajemniczy, melancholijny, donośny i niestrudzony, który brał w władcze posiadanie serca ludzkie, serca mężczyzn nawet, nietylko przez ciąg jednego wieczoru, ale podczas całotygodniowych misyj.

Więc w pierwszym rzędzie zajmuje i zajmować musi mowa. Był Bonawentura mowcą urodzonym, który wybitny dar wymowy czerpał z głębokiej uczuciowości serdecznej, a był on osobliwie mowcą-artystą. Stąd nie głosił swych mów, jak to często się dzieje, po uprzedniem mozolnem wyuczeniu się ich na pamięć, lecz zebrawszy sumiennie materjał, mówił ex plenitudine cordis, z pełności serca, w potężnych, wspaniałych improwizacjach, co porywały dusze nawet obojętne w zaświaty. Stąd stało się nawet między protestantami modą uczęszczanie na kazania artysty-dominikanina, stąd apostoł ten nowoczesny, przejęty na wskróś duchem kościelnym, pozyskał tylu konwertytów, jak rzadko kto z nowoczesnych.

Lecz nie ograniczał on się do sfery uczuciowej; przeciwnie opierał się zawsze na rzetelnem podłożu rozumowem. Znawca Pisma św. i kla-

dostępny materjał o jego apostolskiej działalności; zresztą był mu wiernym i szanownym przyjacielem i znał go tak dobrze, iż szczególnie powołany był zadość uczynić podwójnemu zadaniu, tj. przedstawieniu mowcy i człowieka.

syków pierwszorzędny, obdarzony pamięcią nadzwyczajną, umysłem wyszkolonym na filozofji średniowiecznej i nowoczesnej, zaprawiał swoje kazania nawet pewną naukowością. Już to samo, że przez szereg lat był kaznodzieją skeptycznych i krytycznych akademików berlińskich, świadczy o rzetelności i gruntowności jego kazań. Lecz, rozumie się, umiał on filozofję i naukę zużyć do celów sztuki, jaką jest w idealnym swym wyrazie wymowa. Głównem znamieniem jego siły mowczej była dramatyczność. Oto co pisze o jego kazaniach w Berlinie wygłoszonych do mężczyzn dr. Jerzy Schreiber, obecnie profesor historji w uniwersytecie monasterskim. »Kiedy kaznodzieja mówił o Judaszu, dreszcz przechodził tysiące mężów berlińskich. Tak potężnej dramatyczności nigdym jeszcze nie widział. Jakoby potok górski szumiał, parł naprzód i pędził, tak toczyła się mowa z niepojętem napięciem coraz gwałtowniej, aż stała się szalejącą burzą, cichnącą dopiero w długiej przerwie milczenia. Było to psychologicznie porywającem, oratorycznie najwspanialszem, com kiedykolwiek słyszał. A mogę powiedzieć, że słyszałem większą część mowców, jakich ma obecnie Berlin«. Tak pisał przyszły historyk nie w jakimś dzienniku, lecz w swoim pamiętniku, więc chyba objektywnie.

To też nie dziw, że rozrywano sobie O. Bonawenturę. Każde większe miasto w Niemczech gościło go w swoich murach i zdumiewało się nad jego wymową i niemcy poznańscy słuchali go u Franciszkanów. Tym większy żal panował, kiedy wielki mowca przedwcześnie, bo już 1914 oczy zamknął tam, gdzie najwięcej działał — w Berlinie. Królewski wyprawiono mu pogrzeb, nad jego trumną przemawiał właśnie autor omawianej monografji historycznej.

Co powiedzieć o tym autorze i jego dziele? W pierwszym rzędzie podnieść trzeba iście niemiecką drobiazgową skrzętność historyka, który zebrał wszystko, co mu było przystępne, nietylko sprawozdania z dzienników, ale i rękopisy, mianowicie listy. Takim to sposobem ma on tę nieocenioną zasługę, że pierwszy dał nam możliwie wyczerpującą rzecz o wielkim kaznodziei i wybitnym człowieku.

Niestety, za mało wycisnął na swej pracy indywidualizmu, za mało kierował się krytycyzmem w czerpaniu ze źródeł. Już to samo, że autor przeplata dzieło wyimkami z mów O. Bonawentury, drukowanych nie rozumiemy dla czego petitem, przerywa tok opowiadania, ale to nic, to nawet z pewnej strony dobre i cenne; gorzej, że autor co chwilę przytacza to zdania innych o Bonawenturze, to wyimki z artykułów i prac o nim, a co najgorsza—przydługie sprawozdania z gazet. Pewnie, że i sprawozdania współczesne mają także jakieś znaczenie, malując szczególnie

panujący nastrój, ale według metodyki historycznej nie mogą uchodzić za dość pewne źródła historyczne. Pomijając to, podkreślić wypada, że ta mozaikowość pracy to główna jej wada.

Lecz wady i usterki maleją wobec pięknych zalet. Autor wniknął głęboko w potężną duszę kaznodziei-zakonnika, ukochał cały jej czar i urok, wydobył go na powierzchnię i zaklął w formę piękną, miejscami silnie działającą, stawiając zasłużonemu mowcy pomnik na długie lata.

Ks. Nikodem Cieszyński.

Pedagogja.

Janusz Korczak: Jak kochać dziecko Warszawa, 1919, wyd. J. Mortkowicz, str. 145.

Zaraz na 1. stronicy książki, przedziwnej stylem, a głębokiej znajomością życia, spotykamy zdanie, które doskonale określa założenie autora w tej pracy: »Chcę nauczyć rozumieć i kochać, cudowne, pełne życia i oślniewających niespodzianek twórcze »nie wiem« współczesnej wiedzy odnośnie do dziecka«. W ciągu całej 150-cio stronicowej rozprawki na temat dziecka niema żadnych prawideł, przepisów, ale są dumania o stosunku matki do dziecka, o pragnieniach matki odnośnie do dziecka: szczęścia, sławy, zdrowia, urody. Rzuca zdania szydercze o fałszu, banalności, egoizmie pragnień, marzeń, myśli i postępków rodziców względem przyszłości dziecka. Są błyskawiczne, z naturalną brutalnością kreślone, jakby fotograficzne zdjęcia myśli, z pod czaszki matczynej wydobytych, które u wielu matek drzemią w podświadomości jeszcze. Są też i ślady gorącego współczucia z udręką matki, ale co najpiękniejsze, najbardziej wartościowe, to ta zachęta, bez frazesu, do wzbudzenia w matkach czujności, obserwacji, działania w warunkach, które są; matka bowiem, godzinami obserwująca dziecko, może wyśledzić setki objawów, które n. p. ułatwią lekarzowi diagnozę, a których lekarz w ciągu krótkiej wizyty dostrzec nie może.

Drugą nadzwyczaj cenną uwagą to wyśmianie przepisów bezkrytycznie stosowanych, n. p. ilość czasu karmienia; wszak to zależy od tylu warunków, jak siła dziecka i temperament jego, obfitość pokarmu i łatwość wydobywania go i t. p. i bez wagi niema sposobu przekonania się, czy dziecko wyssało odpowiednią ilość pokarmu. Przy sposobności wyraża autor swą nieufność do »mączek«, nie szczędząc złośliwych uwag pod adresem powag lekarskich polecających fabrykaty. Korczak okazuje

się pilnym obserwatorem i doświadczonym psychologiem niemowlęcia, gdy mówi nam o dzieciach, które w pierwszych tygodniach życia objawiają, czy są usposobienia gwałtownego, czy flegmatycznego, drażliwe i kapryśne, czy pogodne i spokojne. Autor zna też dobrze te konflikty między chceniem matki, a chceniem dziecka, zna wartość pocałunku i wie, co sądzić o gwałtownych pieszczotach i dlatego, mimo że niczego nie nakazuje ani zabrania, jasno wynika, czego matka unikać powinna, a do czego przymuszać się, gdy tego potrzeba.

Niezwykłych jednak żąda autor rzeczy, trzech zasadniczych »praw« dla dziecka: 1) prawa do śmierci, 2) do dnia dzisiejszego i prawa, by było tem, czem jest. Niemal zuchwalstwo, w zdumienie wprawiające, to śmiałość, z jaką autor mówi, że »prawdą mi się zdaje, że im bardziej przeraża matkę sfer zamożnych myśl o możliwej śmierci jej dziecka, tem mniej znajdzie ono warunków, by stać się bodaj tylko rozwiniętym fizycznie i jako-tako samodzielnym duchowo człowiekiem«. Ostrzeżenie rzuca też matkom, by broniąc dzieci od bakterji chorobotwórczych, nie przeniosły dzieci w atmosferę przesyconą stęchlizną nudy i bezwoli, gdzie obawa niebezpieczeństw odejmuje ochotę do wszelkich prób. Bodaj jednak, czy w tem autor nie przeholował. Zapewne są przesady, ale jakżeby on sam patrzał na matkę, która wszelkich starań nie dokłada, by utrzymać przy życiu i zdrowiu swoje dziecko?

Niezwykle cenne są uwagi Korczaka odnośnie do hartowania woli u dziecka. Uwagi te mogą słabej woli matczynej dodać odwagi i bodźca, żeby śmiało kreśliła granice między »wolno a niewolno« i chciałabym niezatartemi głoskami pisać w mojej i drugich matek pamięci te słowa autora: »z wychowania nie da się usunąć tragiczna kolizja niesłusznego, niewykonalnego, niedoświadczonego chcenia z doświadczonym zakazem, nie da się wykluczyć jeszcze tragiczniejsze starcie dwóch chceń, dwóch praw na wspólnym terenie«. Również wiele myśli podsuwają rozdziały o samodzielności dziecka, o tych wybuchach jego radości, gdy udało mu się pokonać jakąś trudność. Z codziennych zdarzeń uczy autor poznawać psychikę dziecka; matka może zauważyć, co w dziecku wrodzone, co dało się postępowaniem wypracować.

Taką obfitość materjału myślowego, że starczyłoby je na kilka tomów conajmniej, a szkicowo, niedopowiedzianie a jednak z błyskawicznem oświetleniem ciska Korczak swe wątpliwości co do praw dziedziczności i wymienia kilka — jak nazywa — »terenów« wychowania, jakim jest atmosfera duchowa danego środowiska. Autor rozróżnia tereny: dogmatyczny, ideowy, pogodnego używania, pozoru i karjery. Każdy z nich

dosadnie, trafnie i bezstronnie charakteryzuje, nie bez dużej dozy satyrycznego humoru, ale i rzetelnej znajomości życia.

W następnych kilku rozdziałach krytykuje autor szablonowość, z jaką ludzie dorośli traktują duszę dziecka, tę chęć podporządkowania ich swej woli i wygodzie. I znów genjalne skróty, z całą gamą całych i pół-tonów objawów spostrzegawczości, logiczności, badawczości dziecka. Może tylko zamało współczucia dla tych dużych dzieci, którymi są dorośli, którzy gorzej od dzieci stoją bezradni wobec ogromu zagadnień powagi obowiązku, a własnej bezsiły. Ale autor zatytułował swe dzieło: »Jak kochać dziecko«, niesłusznie mu więc stawiam zarzuty.

Dziwi mnie także, że autor, strzegący się niekiedy skrzętnie przed posądzeniem go o autorytatywność, podkreślający to, że tylko budzić chce czujność, z taką pewnością mówi o dziecku: »nie rozumie przeszłości, nie kocha rodziców, nie przeczuwa ojczyzny, nie pojmuje Boga, nie szanuje nikogo, nie zna obowiązku«. Może tak, a może nie; kto czuł na sobie uścisk serdeczny kilkunastomiesięcznego malca, kto widział zagniewaną twarzyczkę dziecka mówiącego: »nie odzywaj się do mnie, bo jestem niegrzeczna« i inne objawy miłości, rozróżnienia dobrego od złego, zainteresowania abstrakcją, ten nie może odsądzać dziecka od zrozumienia i odczucia pojęć oderwanych i związków duchowo-intelektualnych. Śmiało wkracza autor w najdrastyczniejsze i najzawilsze kwestje życiowe, które dziecku przedstawiają się tajemniczo, ale które niekonsekwencja wyrażeń, rozkazów, pouczeń ludzi dorosłych jeszcze bardziej zaciemnia i wikła. Przytaczając tysiączne pytania dzieci w rozmaitych sprawach: autorytetu, form towarzyskich, zjawisk przyrody, fizjologicznych i innych, odkrywa autor przed wzrokiem wychowawców ten przedziwny świat myśli i uczuć dziecka, w który wchodzić należy z rozwagą, odczuciem, delikatnością dotknięcia i uzbrojonym w logikę i w moc nakazania tego, co dobre, mimo wszystko.

Niektóre wyrażenia, a raczej chaos charakterystycznych powiedzeń i pomyśleń dziecka, robią przykre wrażenie brutalnego pozerstwa, ale z poza tych dziwacznych mgieł wnet wyjawia się właściwa, mądra postać myśliciela-psychologa z ostrzegawczem »Czuwaj«.

Zofja Korczyńska.

Oprócz tego nadesłano do redakcji:

Dr. Leopold Caro: Problemy skarbowe Państwa Polskiego, Kraków, 1919, skład gł. w księgarniach Gebethnera i Wolffa, str. 144.

Ks. W. Gadowski: Co sądzić o szkole wyznaniowej, Tarnów, 1919, str. 20.

Wołyniak: Z przeszłości Karmelitów na Litwie i Rusi. Z przedmową F. Rawity-Gawrońskiego. Kraków 1918, nakł. OO. Karmelitów na Piasku. Skład gł. w księg. Gebethnera i Ski. Część I. str. XVII i 521. Część II. str. 251.

A. v. Brochow: Tante Toni und ihre Bande. Eine Erzählung für Kinder und Kinderfreunde. Freiburg, Herder, 1919, str. 201.

Dr. Stanisław Kot: Rzeczpospolita Polska w literaturze politycznej Zachodu. Kraków. nakł. Krak. Spółki wyd., 1919, str. 253.

Tenże: Andrzej Frycz Modrzewski. Studjum z dziejów kultury polskiej w. XVI. Kraków, nakł. Akademji Umiejętności, 1919, str. VIII. i 313.

Julian Klaczko, pisma z lat 1849—51, zebrał Dr. Bolesław Erzepki. Poznań, 1919, nakł. księg. św. Wojciecha, str. 178 i 225.

X. Arcybiskup Teodorowicz: »Mnie żyć jest Chrystus«. Poznań, 1919, nakł. księg. św. Wojciecha, str. 260.

Tadeusz Łubieński: List otwarty do polskiego chłopa. Kraków, nakł. autora, 1919, str. 16.

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Reforma rolna a uposażenie duchowieństwa. — Dyplomatyczne stosunki Polski ze Stolicą św. — Smutny stan misyj wschodnich.

Z przyjętej przez Sejm ustawy o reformie rolnej sprawozdawcę »spraw Kościoła« obchodzi przedewszystkiem ustęp, dotyczący zaboru dóbr kościelnych. I obchodzi go ten punkt uchwały sejmowej nie tyle ze względu na to, co postanawia, jak raczej ze względu na to, jak do uchwały doszło i jak ona przeprowadzoną zostanie.

Zasadniczo myśl przeznaczenia dóbr kościelnych, w miarę rzeczywistej potrzeby, na parcelację między bezrolnych i małorolnych nie natrafiła w Polsce na żaden opór ze strony miarodajnych czynników kościelnych, a zatem ci, co ośmielają się twierdzić, że duchowieństwo wogóle a posłowie-księża w szczególności walczyli o nietykalność tych dóbr i zwalczali wogóle reformę rolną, ci publicyści i agitatorzy dopuszczają się świadomej potwarzy w celu zohydzenia kleru w oczach polskiego ludu i polskiego robotnika. Już w grudniu roku zeszłego biskupi całej Polski oświadczyli w swoim zbiorowym liście, że Kościół w celu przeprowadzenia koniecznej naprawy stosunków rolnych gotów jest do wielkich ofiar ze swego stanu posiadania, byleby cała ta sprawa załatwioną została w zgodzie ze słusznością i z prawem kościelnem, to jest w porozumieniu się ze Stolicą Apostolską. Podczas debaty sejmowej z ust kilku posłów-kapłanów zarówno jak i świeckich, stojących na gruncie zasad katolickich, wreszcie z ust ks. arcybiskupa Teodorowicza i ze złożonej przez niego deklaracji episkopatu, sły-

szeliśmy, że Kościół nie protestuje przeciwko zajęciu dóbr kościelnych na cele parcelacji, lecz że tylko czyni zastrzeżenia, aby tych dóbr, będących własnością Kościoła i mających z woli ofiarodawców szczególne przeznaczenie, nie wywłaszczono nielegalnie, bez porozumienia z najwyższą władzą kościelną i pozbawiając Kościół należącego mu uposażenia sług ołtarza i kultu. Owszem ks. arcybiskup Teodorowicz w imieniu własnem i innych biskupów polskich stwierdził w Sejmie, że »raczej gorącem pragnieniem episkopatu polskiego jest, aby dobra ziemskie, własność Kościoła w Polsce stanowiące, zostały zamienione przez państwo na inną postać wartości i aby ziemie te mogły być zużytkowane dla parcelacji i kolonizacji«.

Takiem było stanowisko Kościoła w sprawie dóbr duchownych i kto choć pobieżnie zna prawo kościelne i czuje dla niego jaki taki respekt, uznać musi, że innem w tym razie stanowisko biskupów być nie mogło i że słusznie nieuwzględnienie tego stanowiska ze strony Sejmu musiałoby być odczute przez Kościół, jako podjęcie przez państwo walki antykościelnej. Znowu niesumienność pewnych kół okazała się w tem, że wyrażenie obawy takiej walki poczytano za wypowiedzenie wojny religijnej narodowi przez Kościół...

Jeżeli i ze strony większości klubów włościańskich wyrażono gotowość, owszem przyrzeczenia należytego uposażenia duchowieństwa w razie zaboru dóbr kościelnych, to o cóż właściwie walczono? Walka rozegrała się nie o dobra kościelne, jako takie, ale o coś daleko ważniejszego — o pojęcie stosunku Kościoła do państwa. Podczas, gdy katolicy, świadomi swych zasad, zapatrują się na Kościół, jako na społeczeństwo doskonałe, w swoim zakresie niezależne, a zarazem widzą w nim prawego właściciela dóbr, przeznaczonych na cele kultu, druga strona, pod duchownem kierownictwem socjalistycznej lewicy, stała na gruncie takiej »suwerenności« państwa, jaka wyklucza katolickie pojęcie Kościoła, czyni zeń pachołka państwa, nie uznaje, by on mógł być podmiotem prawnym posiadania, w dobrach duchownych upatrując własność świeckiej społeczności państwowej.

Bogu dzięki, jeszcze katolicka zasada wzięła w Sejmie górę i uchwalono w znanym dodatku do odnośnego punktu ustawy i w przyjętej następnie rezolucji ks. Dziennickiego odnieść się do Stolicy Świętej w sprawie zajęcia przez państwo na cele reformy rolnej dóbr kościelnych i tak zwanych poduchownych, to jest już dawniej

przez rządy zaborcze Kościołowi wydartych, przy równoczesnem uregulowaniu uposażenia duchowieństwa w innej formie. Socjalistyczna lewica w przyjęciu tych rezolucyj przez większość sejmową ujrzała najdotkliwszą porażkę swej ideologji i czyniła próby, we wniosku Daszyńskiego, by obalić poprzednio uchwalony punkt. Nie ośmielił się atoli wnioskodawca wyraźnie w swej rezolucji zaznaczyć, że chodzi mu o niedopuszczenie układów z Rzymem; ubrał ją więc w ogólnikowe frazesy o obcej ingerencji, co umożliwiło jej przejście w Sejmie, który jednocześnie świadomie uchwalił wyraźną propozycję ks. Dziennickiego, unicestwiającą zamiar laedera socjalizmu.

Że socjaliści głosowali przeciwko wszelkiemu porozumieniu się ze Stolicą Świętą w sprawie dóbr kościelnych, to nie wywołuje niczyjego zdziwienia. Dziwniejszem jest, że na ich stanowisku w tej sprawie stanęli ludowcy z Witosem i Smołą na czele, którzy wszak przy każdej sposobności oświadczają, że nie chcą walki z religją ani z Kościołem. Zsolidaryzowanie się ich z ateistycznym socjalizmem nawet w tym razie, kiedy wcale już nie chodziło o materjalne korzyści ludu, świadczy, że albo katolicyzm »piastowców«, a zwłaszcza ich przywódców jest bardzo wątpliwej próby, skoro nie rozumieją albo znać nie chcą prawa kościelnego, wypływającego bezpośrednio z dogmatu o naturze Kościoła, albo też, że oświadczenia ich o wierności dla religji ojców są w ich ustach tylko manewrem, obliczonym na zyskanie głosów wierzącego ludu. Jesteśmy przekonani, że ogromna większość własnych ich wyborców nie zaaprobuje ich drażliwej troski o »niepodległość państwa« i nie zechce zrozumieć, aby niepodległość naszej ojczyzny ucierpieć miała cokolwiek przez to, że sprawę uposażenia duchowieństwa i zaboru majątku kościelnego uregulujemy w zgodzie i porozumieniu z Najwyższym Pasterzem Kościoła.

O tem, jak uchwalona zasada ma być wprowadzona w czyn, dość powiedzieć parę słów, skoro cała ta sprawa ma stać się przedmiotem umowy między rządem Rzeczypospolitej a Stolicą Apostolską. Mianowicie zauważymy tutaj, że wielki odłam duchowieństwa wyraził życzenie, któremu zasadniczo i pos. Witos dał wyraz, aby plebanjom pozostawiono takie działki ziemi, by kapłani mogli mieć z nich potrzebne dla siebie i służby produkty, nadto aby nie zapomniano o uposażeniu organistów i niższej służby kościelnej, a tytułem renumeracji za zabrane różnemi czasy i obecnie mające być zabranemi majątki zapewniono sługom ołtarza i instytucjom ko-

ścielnym takie wypłaty ze skarbu, by można było skasować lub do minimum sprowadzić inne pobory, tak zw. iura stolae, tak często dające powód do narzekań i skarg, a dla samego kleru tak przykre. O ile wiemy, miarodajne czynniki przygotowują odnośne konkretne projekty uposażenia polskiego duchowieństwa.

Z chwilą, kiedy Sejm wzywa rząd, aby w sprawie dóbr duchownych porozumiał się ze Stolicą Świętą, dokonywa się ustalenie urzędowych stosunków dyplomatycznych między zmartwychwstałą Polską a Watykanem. Wprawdzie nie nastąpiło jeszcze — do chwili kiedy piszemy — doręczenie uwierzytelniających not, wiadomem wszakże jest i pewnem, że rząd polski zamianował swym przedstawicielem przy papieżu prof. uniwersytetu we Fryburgu, Wieruszkowalskiego, a Ojciec Święty nuncjuszem w Warszawie dotychczasowego swego wizytatora, Mgra Achillesa Ratti, jednocześnie wyniesionego do godności arcybiskupiej. Przeprowadzenie konkordatu między Polską a Rzymem będzie zadaniem obydwóch dyplomatów, a uzdolnienia, jakich dali dowody, dają rękojmię, że dzieło to zostanie doprowadzone do pomyślnego skutku. Zwłaszcza nowy Nuncjusz papieski, pierwszy w naszej ojczyźnie po nuncjuszu Archetti'm z końca 18 wieku, dał tyle dowodów zainteresowania się naszemi sprawami, rozumienia ich, życzliwości dla narodu polskiego i łatwości w pozyskiwaniu sobie serc, że nominację Jego witamy radośnie, składając Mu serdeczne życzenia: ad multos annos!

Wojna światowa fatalnie odbiła się na stanie misyj katolickich. Wielu misjonarzy, powołanych do szeregów, musiało zamienić krzyż na miecz, wielu innych, z tytułu obywatelskiej przynależności do wrogich państw, usunięto z apostolskich placówek, wyschły też w znacznej mierze źródła ofiarności na misyjne cele i młode cząstki Winnicy Chrystusowej w wielu miejscach porosły chwastami, skazanemi zostały na rozdrapanie. Pono najwięcej ucierpiały misje katolickie w ziemiach, podległych Turcji. Armenja przez parę lat znowu pławiła się we krwi chrześcijan; w Syrji i Palestynie, gdzie były kwitnące placówki w rękach misjonarzy francuskich i włoskich, zniszczono prawie doszczętnie całą pracę przez wyrzucenie misjonarzy, pochodzących z państw entente'y.

Ten smutny stan misyj w Syrji i Palestynie był przedmiotem allokucji Ojca Świętego na konsystorzu sekretnym, odbytym 10 marca

r. b. Przypomniawszy życzliwość, jaką okazywali papieże wschodniemu Kościołowi, gdzie się dokonało zbawienie świata i gdzie wyrosło tyle owoców nauki i świętości, życzliwość zwłaszcza względem obrządków wschodnich, które Oblubienicę Chrystusową zdobią swą rozmaitością i pięknością, zaznacza Ojciec Święty, że i podczas wojny wiele dołożył starań, aby roztoczyć opiekę nad chrześcijanami w Armenji, w Syrji, na Libanie, strasznie udręczonymi wygnaniem, głodem, rzeziami. W tym celu udawał się z przedstawieniami swemi do sułtana i innych panujących, dzięki czemu udało się wiele cierpień złagodzić. Teraz po wojnie ze smutkiem spostrzega się, że »misje święte rozproszone, masy chrześcijan pozbawione świątyń i kapłanów, narodowości walczące między sobą o wolność, niedostatek wszystkich rzeczy cierpiące«. Przedewszystkiem niepokoi Ojca Świętego przyszły los Palestyny, gdyż boleściąby napełniły się serca chrześcijan, gdyby w tej ziemi świętej niewierzącym przyznanemi zostały przez konferencję pokojową lepsze warunki bytowania, niż chrześcijanom. Troską również napawa Ojca Świętego religijna propaganda akatolików, wyzyskujących swą przewagę militarną w celu popierania sekt Kościołowi wrogich. Katolicy z tych ziem wyciągają ręce do swych współwyznawców o pomoc w odbudowaniu misyj, szkół, świątyń. Na ten cel sam Ojciec Święty przeznaczył pewną sumę i cały świat katolicki wzywa do składek na Ziemię Świętą. W tym też duchu nazajutrz po alokucji został ogłoszony do wszystkich biskupów list okólny »Nuper«, nawołujący do ratowania katolicyzmu w Palestynie.

Dodajemy, że zawiązał się na Zachodzie pod przewodnictwem belgijskiego kardynała Mercier'a Związek przyjaciół Ziemi Świętej, czyniący między innemi starania, by przeszkodzić utworzeniu żydowskiego państwa Sionu, w którem trudnoby było spodziewać się dostatecznej opieki dla religji katolickiej i misyj katolickich.

Ks. Jan Urban.

XXII. Wystawa Sztuki.

Najpoważniejszem zrzeszeniem polskich artystów malarzy i rzeźbiarzy — obok »Powszechnego Związku artystów polskich« — jest »Sztuka«. Nic tedy dziwnego, że każda wystawa »sztuki« budzi znaczne zainteresowanie, usprawiedliwione tem, że swego czasu niektóre z nich

bywały naprawdę wartościowe. Zresztą zajęcie się malarstwem i rzeźbą wzrosło obecnie do niebywałych rozmiarów, tak, że jakakolwiek wystawa, nawet »ekspresyonistów«, ściąga tłumy publiczności żądnej wrażeń artystycznych. To gorączkowe zajęcie się sztuką jest jakby refleksem obaw przed tem, co nas może czekać w przyszłości, gdyby walec parowy bolszewizmu zmiażdżył całą kulturę, w jakiej wzrosło i wychowało się obecne pokolenie. Pragniemy tedy, póki się da, napawać się barwami tego cudownego kwiatu cywilizacji, jakim jest sztuka.

Nic osobliwego zatem, że ogół stał się teraz wobec dzieł sztuki mniej wymagającym, a jego krytyki pobłażliwszemi niż dawniej.

Pod tym kątem widzenia patrząc na obecną wystawę, możnaby jej dać epitet »dobrej«. W rzeczywistości jednak jestto — w porównaniu do wielu swych poprzedniczek — wystawa »przeciętna« o średniej jakości tak co do wartości, jak i liczby rzeczy wystawionych, aczkolwiek mieści w sobie pewną ilość dzieł, które ją od zupełnej pospolitości ratują.

Do nich należą przedewszystkiem rzeczy L e n t z a, tego poważnego, mimo pozorów krotochwilnej rubaszności, malarza. Pełnymi zdrowego humoru, a malowanymi ręką, która czasami jest siebie aż nadto pewna, przez co zamało ma subtelności i wdzięku są: »Kobieta, wino i śpiew«, »Serenada«, »Zaloty« i »Autoportret« w kostjumie z XVII wieku.

Ale umie on także być poważnym — gdy chce — w swych kompozycjach; wystarczy popatrzeć na »Dwa pokolenia«, aby się o tem przekonać. Na płótnie tem widzimy oddział dzisiejszego wojska polskiego, oddający honory wojskowe grupie starców weteranów z 1863 r. Co za kapitalną charakterystykę typów tych dwu pokoleń ogląda się na omawianej kompozycji, pociągającej oko i serce widza!

Zdolność dobitnego chwytania typu jest bardzo pomocną Lentzowi przy malowaniu portretu. W tym dziale malarstwa stanął on w szeregu p i e r w s z o r z ę d n y c h p o l s k i c h p o r t r e c i s t ó w, których posiadamy niewielu, choć portrecistów średniej miary mamy legion. »Autoportret« w ubraniu spółczesnem jest tak wyłącznie rysowany i malowany, że, co najwyżej, możnaby mu zarzucić niejaką przesadę w charakterystyce, przechodzącą w manierę, do karykatury zbliżoną.

Równie dobrym, bez mała, jest «Portret J. Holewińskiego«, traktowany, jak zwykle u Lentza, szeroko, ale trochę za mało wypukły.

Oceniając portrety tego artysty, trzeba stwierdzić ich wszystkich wielką zaletę: nigdy w nich nie rzuca się w oczy, że ktoś »pozował« mu do portretu. Owszem, wydaje się, jakoby w lot chwytał naturę, tak,

że dany osobnik nie wiedział o tem, iż pozuje do portretu. Stąd pochodzi, że podobizny, malowane przez Lentza, są tak naturalne i artystyczne zarazem, proste i kunsztowne.

Jedyny poważniejszy zarzut, jaki dałby się zrobić technice malarskiej Lentza, jest ten, że koloryt jego bywa za surowy, zamało subtelny, zbyt ogólnikowy, podczas gdy w rzeczywistości składa się na jego całość mnóstwo tonów i drobnych odcieni.

Trudno chyba o więcej kontrastowe zestawienie, jak portretów poprzedniego artysty z portretami, rysowanemi pastelą, lub malowanemi olejno przez Axentowicza. U Lentza widzi się rubaszną szczerość, poniekąd szorstkość, w Axentowiczu — elegancję konwenansową i delikatność często wymuskaną, u pierwszego — barwy kładzione szeroko, u drugiego — subtelne wyszukiwanie kolorów, dla Lentza ulubionemi są typy męskie o rysach kanciastych, zdecydowanych, dla Axentowicza główki niewieście, poetyczne, ale mało wyraziste, jak senne marzenie. Zestawienie to nie szkodzi Axentowiczowi, bo, koniec końców, jest on we właściwym sobie rodzaju doskonałym malarzem. Posiada jednak jedną wadę, na którą już nieraz zwracałem uwagę, a mianowicie brak taktu artystycznego, wystawiając równocześnie obok rzeczy wybornych — niesłychanie marne, mogące popsuć mu przez tyle lat pracy wyrobioną reputację. Tak się stało i tym razem. Pomijam więc kilka główek kobiecych o banalnych rysach i banalnie wykonanych pastelą, a przechodzę odrazu do dwóch bardzo dobrych portretów niewieścich olejno malowanych.

»Portret p. X.« imponuje przedewszystkiem doskonałym naturalnym, niewymuszonym układem, dalej — nienagannym rysunkiem twarzy i całej postaci, wreszcie — szczęśliwie zharmonizowanym doborem barw w tle i ubraniu portretowanej osoby. Jeden to z najlepszych portretów kobiecych, jakie namalował Axentowicz, dzieło, z którego słusznie może być dumnym i jego wykonawca i jego piękna właścicielka.

Bezmała te same zalety posiada także »Portret p-ny L. K.« — bardzo podobny do poprzedniego w układzie, lecz mający się na ogół do niego tak, jak kopia do oryginału.

Niezły jest tegoż artysty pastel p. t. »Zima« z wyjątkowo dobrą głową starca. Inny pastel — »Młodość i starość« — daje zestawienie główki młodziutkiego, ładnego dziewczęcia z głową starej, potwornie brzydkiej wiedźmy. Temat to nie nowy, ale podatny do refleksyj, bo ta brzydka wiedźma była może kiedyś tak piękną, jak dzieweczka, którą, kto wie, czy nie czeka los towarzyszki.

Mehoffer nadesłał tym razem prac dziewiętnaście. Z pomiędzy nich wybijają się na plan pierwszy: »Portret« starszej kobiety, »Na tle obrazu« portret damy w kapeluszu i »Głowa kobieca«.

Właściwa temu artyście maniera polega na równowartościowem — co do wykończenia i siły barw — traktowaniu twarzy portretowanej osoby, jej ubrania, akcesorjów i tła portretu. Wynik tego sposobu malowania jest taki, że oko widza spoczywa naprzód na tle, potem na akcesorjach i ubraniu, a w końcu dopiero na twarzy portretowanej osoby — tymczasem powinno być odwrotnie. Z tej racji niewielkie węglem rysowane portrety Mehoffera, gdzie cały interes skupia się na twarzy, są o wiele więcej artystyczne, niż duże portrety olejne.

Na osobną wzmiankę zasługują tegoż artysty przepyszne »Projekty dekoracyj teatralnych do »Kaliguli« K. H. Rostworowskiego. Ogromne zdolności Mehoffera w kierunku malarstwa dekoracyjnego wyszły na jaw w tych projektach, skomponowanych na szeroką skalę i z prawdziwem odczuciem świata artystycznego.

»Motyl« Pieńkowskiego przedstawia zapewne sportretowane dwie osoby: młodego mężczyznę z motylem w ręku i młodą niewiastę z półmaską na twarzy. Rzecz to dziwacznie pomyślana, rysowana twardo, malowana płasko. W portrecie zaś »Pani z pieskiem« tylko podobizna pieska wypadła udatnie. Lepszą o wiele jest »Fatyma«, studjum nagiej kobiety, bardzo efektownie uczesanej, a klęczącej na tle jakiegoś wschodniego wnętrza.

Również studjum nagiej tyłem do widza obróconej kobiety dał Weiss. Akt ten zatytułowany »Wenus«, narysowany jest staranniej i namalowany poprawniej, niż wiele innych analogicznych studjów tegoż artysty, ale mimo tego nie wykracza po za przeciętność.

Markowicz, specjalista od scen z życia żydów, nadesłał trzy pastele na ten temat: »Zgromadzenie starców«, »Czytanie gazety« i »W korytarzu«. Pokazuje się po nich, że artysta idzie wciąż naprzód i wyrabia sobie wcale zgrabną manierę, zasadzającą się na szukaniu ogólnego wrażenia a nie na zestawianiu szczegółów. Pastele więc, czy olejne malowidła Markowicza, trzeba oglądać ze znaczniejszego oddalenia, zbliska bowiem rażą arcyniedbałem wykonaniem.

Charakterystyczny i dobrze, choć sucho malowany jest Jarockiego »Kobziarz z Poronina«, a dużo miłej prostoty i wdzięku ma tegoż artysty »Portret dzieci«.

Z pokaźnym dorobkiem artystycznym, bo w ilości 24-ech sztuk wystąpił Filipkiewicz. Oprócz czterech płócien z kwiatami i martwą

naturą są to same większe pejzaże, lub mniejsze notatki krajobrazowe, z których jest widocznem, że artysta wyzwolił się znacznie z wpływów szkoły Stanisławskiego, jakim długo podlegał ku wielkiej szkodzie swego talentu. Sądziłbym, że do najlepszych z pomiędzy rzeczy wystawionych należą: »Strumień leśny w zimie« i »Odwilż«, a potem »Szary wiosenny dzień« i »Sad kwitnący«.

Paleta Filipkiewicza bogatą jest w barwy, doskonale maluje on niebo, dobrze odczuwa różnicę tonów powietrznych krajobrazu o różnych porach roku. Patrzy też bez uprzedzeń na przyrodę, lecz najlepiej wczuwa się w pejzaż zimowy szczególniej na przełomie między zimą a wiosną.

Kwiaty tego artysty oraz martwa natura są bez zarzutu, a każdy w tym rodzaju obrazek stanowi całość ozdobną.

Najpokaźniejszą ilość eksponatów, bo aż 54, nadesłał Kamocki. Są to bez wyjątku krajobrazy i widoczki tatrzańskie. Najlepiej między nimi wypadły: »Czarny Staw«, »Z Czarnego Stawu«, »Giewont z Kopy Magóry« i »Chaty góralskie«. W swoim rodzaju bardzo trudny motyw, a mianowicie śnieg w słońcu, udało się artyście szczęśliwie obrobić w niewielkim widoczku p. t. »Stary most«.

Kamocki maluje krajobrazy swe wszystkie wciąż na ten sam sposób. Zawsze zamało w nich rozmaitości barw, w którą przecież tak obfituje przyroda, a i te barwy, które kładzie na płótno, są surowe i zamało przejrzyste.

Marmurowy »Portret p. hr. M. S.« wykonał Laszczka z finezją i miękkością, właściwą wszystkim podobiznom niewieścim tego rzeźbiarza. Posuwa on tę finezję tak daleko, że cierpi na tem wyrazistość kształtu, będąca nieodzownym atrybutem naprawdę dobrej rzeźby. Uwięzienie tego nader delikatnie wykończonego biustu w ciężkim bloku nieociosanego marmuru, służącego mu za podstawę, nie można uważać za pomysł szczęśliwy. Uniknął wprawdzie tym sposobem artysta banalnego zakończenia biustu od dołu, ale wywołał równocześnie wrażenie, jakoby ów blok marmuru zgniatał wątłe barki sportretowanej damy.

Mała marmurowa figurka dłuta tegoż artysty, nazwana »Niewolnicą«, modelowana jest także zbyt miękko, co sprawia, że właściwy rysunek kształtów ładnego modelu został zatracony, a z nim owa posągowość, która nawet w drobnych rozmiarów rzeźbie może być zachowaną.

»Kobieta z warkoczem«, biust gipsowy Pelczarskiego, posiada sporo wdzięku i poprawności w modelowaniu, podobnie, jak »Biust kobiecy« i »Halusia«. Jednak nie zaszkodziłoby rzeźbom artysty, gdyby był trochę mniej »poprawny«, aby czasami dał folgę temperamentowi.

Zbytnia bowiem »poprawność« przeradza się zwykle u rzeźbiarzy w twardziznę i oschłość faktury, przeszkadzającej należytemu wypowiedzeniu się artysty.

Józef Trepka.

O naszych organizacjach kulturalno-oświatowych.

Przy dzisiejszym ustroju demokratycznym, jednym z najważniejszych czynników rozwoju i życia każdego społeczeństwa i narodu jest ruch organizacyjny, zrzeszenia, owiane jedną myślą, jednem pragnieniem. Nic też dziwnego, że tak po stronie wrogów Kościoła, jak i wśród obrońców porządku społecznego i prawnego, opartego na zasadach katolickich, wre praca w tym kierunku, by jaknajwiększą część społeczeństwa pozyskać do swej idei i jaknajsilniejszą wytworzyć organizację.

Dotychczas praca organizacyjna zmierza w trzech kierunkach, ma trzy cele: cel kulturalno-oświatowy, ekonomiczny i polityczny. Zależnie od celu, jaki sobie dane stowarzyszenie wykreśla, mamy organizacje kulturalno-oświatowe, zawodowe i partje (stronnictwa) polityczne.

Skreślimy tu parę uwag z dziedziny ruchu organizacji k u l t u r a l n o - o ś w i a t o w y c h. Organizacje tego rodzaju mogą objąć najszersze warstwy społeczeństwa, zarówno młodzież jak i dorosłych, robotnika zawodowego i niezawodowego, lud wiejski i podmiejski, mężczyzn i kobiety. W rozwiązaniu t. zw. zagadnienia społecznego odgrywają organizacje tego typu bardzo ważną rolę.

Nie można o nich powiedzieć, że rozwiązują wprost kwestję socjalną, dlatego, że ta jest z natury swej zagadnieniem ekonomicznem, a wpływ decydujący w tej sprawie, przynajmniej częściowo, mają organizacje zawodowe, współdzielcze i t. p. Wpływ organizacyj kulturalno-oświatowych jest raczej pośredni. Chodzi w nich o wyrobienie człowieka, obywatela. Rozszerzenie horyzontu wiedzy ogólnej, przyzwyczajenie do punktualności i sumienności, wyrobienie poczucia odpowiedzialności i obowiązkowości społecznej, form parlamentarnych i kulturalnych, oto cel pierwszorzędnej doniosłości. Do nich zmierzają organizacje kulturalno-oświatowe. Nie można zaprzeczyć, że kto stanie na poziomie, wykreślonym temi celami, może z pełną odpowiedzialnością i pożytkiem dla siebie i całego społeczeństwa brać udział tak w organizacjach zawodowych jak i politycznych.

Ta okoliczność, że organizacje kulturalno-oświatowe stawiają przed sobą cel raczej idealny, sięgający duszy, charakteru, że bardzo mało mają w sobie manipulacji finansowej, a stąd i odpowiedzialności zbytniej na nikogo nie nakładają, umożliwia duchowieństwu z całą swobodą zająć się ich prowadzeniem. Nie potrzeba zaś zaznaczać, że dziś, kiedy tak mało posiadamy ludzi świeckich wyrobionych i zdolnych do przewodniczenia, kiedy chodzi o rozszerzenie i wzmocnienie zasad wiary i etyki katolickiej w życiu obywatelskiem, udział duchowieństwa w organizacjach kulturalno-oświatowych musi być znaczny, owszem stanowisko duchowieństwa wobec tych organizacyj, rzec można, decyduje o ich znaczeniu i wpływie.

Dotychczas organizacje kulturalno-oświatowe nie przedstawiały naogół dostatecznej żywotności, nie miały należnego wpływu. Trudno było nawet i myśleć o czemś podobnem. Rozbicie naszego społeczeństwa na trzy odłamy, odmienne ustawy, odnoszące się do organizacyj, w każdym zaborze, krępowanie ruchu organizacyjnego, zasadniczo sprzeciwiały się jakiejś zwartej, jednolitej, a temsamem i wpływowej pracy organizacyjnej.

Do tego dodać trzeba, że i idea organizacji nie była u nas dotychczas dość popularna. Trzeba zatem było najpierw rozpowszechnić zdrowy pogląd na stowarzyszenia kulturalno-oświatowe i to zarówno wśród duchowieństwa, które miało kierować tą pracą, jak i wśród całego społeczeństwa. I tu i tam są poważne trudności. Do dziś jeszcze są jednostki, patrzące z pewną podejrzliwością na bezinteresowną pracę duchowieństwa i na samą organizację bez celów materjalnych. W byłej Kongresówce nie można wyplenić przekonania, że kto się zapisze do stowarzyszenia, temsamem zapisuje się do wojska, co od stowarzyszeń bardzo odstrasza.

Dla księdza praca organizacyjna jest niesympatyczna tak długo, dopóki się nie przekona, że nie jest ona nowym balastem, obowiązkiem niepotrzebnym, ale nader skuteczną i całkiem nowożytną metodą pracy duszpasterskiej, obowiązkiem wynikającym z samego powołania kapłańskiego.

Od dawna jednak byli wśród duchowieństwa tacy — zwłaszcza ci, co mieli sposobność poznać organizacje katolickie zagranicą, — którzy należycie oceniali wartość organizacji i z całym zapałem i poświęceniem przeszczepiali różne typy zrzeszeń na polski grunt. Niestety wyniki nie zawsze odpowiadały pracy włożonej w organizowanie, a tem mniej nadziejom, pokładanym w stowarzyszeniach?

Dziwić się temu nie można, gdyż praca organizacyjna jest równie trudna, jak każda inna poważna praca, a nawet z wielu względów trudniejsza, a przecież nie wszyscy posiadają odpowiednie zdolności, nie wszyscy są wrodzonymi organizatorami; zresztą i największe zdolności zawodzą, jeśli im nie towarzyszy odpowiednie wyszkolenie i doświadczenie. A gdzież u nas była mowa o jakiemś przygotowaniu do organizowania, prowadzenia stowarzyszeń.

Byli wprawdzie wśród duchowieństwa i tacy, co mieli w tym względzie prawdziwie szczęśliwą rękę, a w ostatnich czasach ruch organizacyjny coraz szersze zataczał kręgi. Niestety inicjatywa poszczególnych organizatorów rozpadała się na tysiące zrzeszeń różnego typu, ustaw, celów i środków organizacyjnych, a temsamem zasadniczo sprzeciwiała się tej wielkiej idei zwartości żywiołu dobrego w naszem społeczeństwie i wytworzeniu jakiejkolwiek społecznej siły i z jednostek i z poszczególnych organizacyj.

Pierwsi poznańczycy postanowili przeciwdziałać temu rozbiciu. Bezpośrednio przed wojną na zjeździe księży patronów powołano do życia Związek diecezjalny, który skupia i jednoczy poszczególne stowarzyszenia. Od tej pory istnieje w Poznaniu osobny Związek stowarzyszeń młodzieży. Związek stowarzyszeń robotniczych i Związek stowarzyszeń kobiet pracujących.

Łączenie się poszczególnych stowarzyszeń z diecezjalnym Związkiem nie odbywa się przymusowo, to też i dziś jeszcze jest tam pokaźna liczba stowarzyszeń, idących luzem. Ale fakt, że z każdym miesiącem coraz więcej przystępuje do Związku, świadczy, że Związek przynosi konkretne korzyści stowarzyszeniom, że te korzyści muszą uznać i najoporniejsi. Metoda zresztą przymusowego należenia do Związku nie przyniosłaby pożądanych rezultatów i zniechęcałaby niejednego działacza.

Ustawa stowarzyszeń, przyjęta przez Związek, jest tak ogólna, że pozwala na różne odcienie i różnice indywidualne, które każde stowarzyszenie może objąć swym regulaminem. Stąd wynika wielka autonomja, z której każde stowarzyszenie może korzystać, mimo że należy do Związku. Owszem do Związku mogą należeć stowarzyszenia, które mają swoją oryginalną ustawę, ale zatwierdzoną przez Związek.

Za Poznańskiem poszły niektóre diecezje byłej Galicyi i Kongresówki.

Decydującym faktem w posunięciu naprzód ruchu organizacyjnego było stanowisko polskiego episkopatu. Nasi biskupi pojęli snać dobrze wielką myśl Leona XIII. To też od szeregu lat każdy z nich z osobna

w swej diecezji propagował ideę organizacji, wyszukiwał pracowników. Wreszcie na zjeździe w Warszawie w marcu b. r. pracy tej postanowił episkopat nadać więcej siły i jednolitości, której początkiem i wyrazem było obranie ks. arcybiskupa Dalbora na delegata dla spraw społecznych w Polsce.

Przy tym stanie rzeczy można było myśleć o urzeczywistnieniu dalszych warunków, od których zależał rozwój organizacji i ich wpływ. W każdej djecezji należało przygotować odpowiednie siły, któreby mogły kierować całym ruchem w tych trzech wielkich dziedzinach życia organizacyjnego: wśród młodzieży, robotników i kobiet pracujących.

W dalszym ciągu należało jeszcze bardziej ześrodkować całą akcję organizacyjną, czyli stworzyć dla całej Polski jedną centralną organizację, w którejby się schodziły usiłowania i praca wszystkich diecezyj i, na odwrót, z którejby promieniowało ożywcze tchnienie, jedna myśl kierownicza na wszystkie Związki, a przez Związki na stowarzyszenia. Stworzenie takiego centrum jest niejako ostatnim szczeblem hierarchji organizacyjnej w poszczególnem społeczeństwie.

W naszem społeczeństwie mogło się to stać tylko po usunięciu zaborczych kordonów, a następnie po wspólnem porozumieniu się organizatorów wszystkich dzielnic. Narzucenie ustawy, czy jakiegoś typu organizacji przez którąkolwiek dzielnicę mogłoby tylko wywołać jeszcze większe trudności i zamieszanie, wskutek ogromnych różnic stosunków społecznych, ekonomicznych i oświatowych każdej dzielnicy. Tego porozumienia wymaga też ustalenie jednej terminologji na określenie urządzeń i czynności organizacyjnych, tytułu dla kierownictwa i członków i t. p., następnie określenie jednolitego stanowiska i stosunku duchowieństwa do organizacyj zawodowych, finansowych, jakoteż do partyj politycznych. Dopiero na tle wspólnego porozumienia może powstać centralna organizacja, która najprawdopodobniej nazwana będzie Zjednoczeniem.

U steru Zjednoczenia powinni stać przedstawiciele wszystkich dzielnic, obeznani ze stosunkami swej dzielnicy, ale pojmujący równocześnie sprawę ruchu organizacyjnego szeroko, jak szeroko sięgają rubieże Rzeczypospolitej i jej słuszny interes, i głęboko, jak głębokie jest życie obywatela-katolika.

Tak pojętemu Zjednoczeniu można i należy powierzyć wydawanie organu wspólnego dla wszystkich członków stowarzyszeń, należących do Zjednoczenia młodzieży, bądź robotników, lub wreszcie kobiet pracujących. Czasopismo to powinno i treścią i literacką formą i zewnętrznym

wyglądem wabić i zajmować czytelnika i jaknajmniej kosztować, co właśnie da się uskutecznić tylko przy większym nakładzie. Dotychczasowe organy stowarzyszeń w poszczególnych diecezjach, mimo ogromnych wysiłków redaktorów, raziły prawie ubóstwem niemal pod każdym względem. Obok wspólnego organu powinienby każdy Związek wydawać od czasu do czasu zawiadomienia i komunikaty, w którychby każde stowarzyszenie mogło umieszczać dowody swej ruchliwości i postępu.

Takie mniej więcej postulaty wynikają z natury organizacji. Urzeczywistnienie ich jest jakby »conditio sine qua non« dalszego rozwoju silnej, spoistej i wpływowej organizacji w którymkolwiek kierunku, zarówno kulturalno-oświatowym, jak i zawodowym, lub politycznym. Postulaty te zajmują dziś umysły wszystkich działaczy społecznych. W ostatnich czasach odbyło się kilka zjazdów celem realizacji tych podstawowych warunków; w projekcie na najbliższą przyszłość jest również kilka. I chociaż na razie nie zdołano jeszcze wszystkiego urzeczywistnić, chociaż napotkano na poważne trudności, które nie dadzą się tak łatwo usunąć, jednak ta wielka myśl potężnej i zwartej organizacji już nie zgaśnie i tuszyć nam wolno, że przy dobrej woli organizatorów za tą wielką myślą pójdzie równie wielki czyn.

Ks. Romuald Moskała.

REDAKTOR I WYDAWCA: *Ks. Jan Urban T. J.*

Druk ukończono 18. lipca 1919.

Stanowy ustrój Kościoła.

(Z cyklu publicznych wykładów).

Wychodząc z założenia, że społeczność chrześcijańska, Kościół, jest mistycznem ciałem Chrystusa[1]), uzasadniał św. Paweł ten wniosek, że jak ciało ludzkie, tak i Kościół musi składać się z wielu i to różnorakich członków, musi posiadać różnorodne organy, przeznaczone do zadań rozmaitych, zmierzających ku wspólnemu całego organizmu dobru. »Albowiem — tak pisał Apostoł narodów do Rzymian (12, 4—5) — jako w jednem ciele wiele członków mamy, a wszystkie członki nie jedną sprawę mają, tak wiele nas jednem ciałem jesteśmy w Chrystusie, a każdy z osobna jeden drugiego członkami«, poczem wylicza rozmaite dary Boże, i uzdolnienia, i cnoty, ucząc jak wierni posługiwać się niemi mieli ku wspólnemu pożytkowi Kościoła.

Zrozumienie nauki o wewnętrznym ustroju, jaki spodobało się Chrystusowi nadać Kościołowi, przez siebie założonemu, przedstawia wartość nie tylko teoretyczną; w naszych czasach, kiedy tyle się rozprawia o demokratyzacji wszystkich dziedzin publicznego życia, kiedy się podnosi prawa jednostek w społeczeństwie, a zarazem przypomina ciężące na nich obowiązki, wysoce praktycznem staje się pytanie: jakim być ma z woli Chrystusa stosunek poszczególnych wiernych do całości Kościoła, jakie prawa im przysługują i jakie na nich ciążą obowiązki, jakie zmiany w publicznem życiu Kościoła są dopuszczalne, jakie zaś są podstawy ustroju, których zmieniać ani burzyć

[1]) Pojęcie Kościoła, jako ciała mistycznego Chrystusa, rozwinąłem w wykładzie, ogłoszonym w czasopiśmie Sodalis Marianus, rok 1918, zeszyty 7—10. Obszerniej i gruntownie ze stanowiska teologicznego wyłożył tę naukę ks. Wł. Piątkiewicz w pracy: Mistyczne ciało Chrystusa a charaktery sakramentalne, Kraków, 1900.

nie wolno, o ile się chce pozostać wiernym Kościołowi. Takim sposobem zagadnienie teologiczne zyskuje niezmierną praktyczną doniodoniosłość, i można z całą pewnością utrzymywać, że i w naszej polityce i publicystyce zamilkłby niejeden głos, nie zrodziłby się niejeden projekt, z tych, jakie słyszeć się dają i jakie rodzą się w niezgodzie z nauką katolicką w zakresie działań stosunków polityczno-kościelnych nie tyle ze złej woli i chęci pójścia na przekór religji, jak raczej z braku uświadomienia sobie katolickiego dogmatu. Temu brakowi zrozumienia nauki katolickiej trzeba przypisać pewne pomysły przeszczepienia żywcem na grunt kościelny zapożyczonych z polityki form ustroju, które atoli nie dadzą się pogodzić z boską konstytucją Kościoła.

Chcemy w niniejszym artykule wyjaśnić: czem jest uwarunkowane należenie do Kościoła Katolickiego, jakie wśród członków tegoż Kościoła wyróżniają się stany, jakie są ich prawa i obowiązki.

Kiedy jest mowa o Kościele Chrystusowym w ścisłem znaczeniu tego słowa, o Kościele, będącym mistycznem ciałem Chrystusa, a zatem organizmem żyjącym, rozwijającym się i rosnącym, to do tak pojętego Kościoła nie można włączać ani aniołów, ani sprawiedliwych z czasów przed-Chrystusowych, ani świętych królujących w niebie, ani dusz w czyścu gotujących się na wejście do niebieskich przybytków. Jeżeli u wielu teologów, a nawet u niektórych Ojców Kościoła spotykamy się z tak szerokiem pojęciem Kościoła, to musimy je złożyć na karb niedość jeszcze ustalonego w ich czasach słownictwa teologicznego. Kościół właściwy, to Kościół wojujący na ziemi, zatem Kościół złożony z ludzi ż y j ą c y c h, którzy w jakiś sposób weszli w bliższy z Chrystusem stosunek.

Zachodzi tylko pytanie, kiedy i mocą czego nawiązuje się taki właśnie stosunek z Chrystusem, któryby dawał człowiekowi prawo do miana członka Kościoła, owego mistycznego Chrystusowego ciała.

W długiej kolei wieków niejednokrotnie wysuwaną była teorja, według której właściwy Kościół, owo ciało mistyczne Chrystusa, składa się wyłącznie ze sprawiedliwych i świętych; grzesznicy zatem albo wszyscy, albo pewnych przynajmniej kategoryj staliby zupełnie poza obrębem Kościoła i traciliby charakter jego członków. Taką naukę głosiły przedewszystkiem te teorje, które pod pozorem, że Kościół Katolicki zbyt rozluźnił — według ich mniemania — karność pokutną i cierpi w swem łonie grzeszników, zwłaszcza pewne ka-

tegorje grzeszników publicznych, odrywały się od kościelnej jedności, chełpiąc się swoją surowszą moralnością i świętością. Kiedy wyrzucano tym odszczepieńcom, że targając jedność kościelną sami dopuszczają się ciężkiego występku przeciw Chrystusowemu przykazaniu miłości bratniej, odpowiadali wykrętnie, że od prawdziwego Kościoła nie odstępują, gdyż Kościołem prawdziwym, który tylko ze świętych składać się może, są właśnie oni, a nie katolicy. Historja dalszego rozwoju tego rodzaju sekt zazwyczaj okrutnie ironizowała nad ich świętością: pierwotny, niekiedy fanatyczny rygoryzm obyczajów niebawem okazywał się sztuczną pozą i przemieniał się w największe rozpasanie moralne.

Już od końca II wieku musiał Kościół zwalczać tego rodzaju teorje. Najzaciętszą była ta walka na przełomie IV i V stuleci z odszczepieństwem Donatystów. Wódz katolickich w tej walce zastępów, św. Augustyn, pozostawił nam w swych pismach dokładny jej obraz. Zbijając teorję rzekomych świętoszków, którą — dodajmy nawiasem — wznowili nasi Marjawici, katolicy wytaczali argument a d h o m i n e m, wykazując, że i u Donatystów nie wszystko pod względem obyczajów tak różowo się przedstawia, jakby wynikało z ich chełpliwych zapewnień, lecz i oni dopuszczali się wstrętnych nadużyć, jak n. p. fanatyczni ich bojowcy, zwani c i r c u m c e l l i o n y, bandami napadający na katolików i wywierający na nich jaskrawe gwałty. Nie zadawalniali się atoli tym argumentem katoliccy teologowie. W szeregu pism polemicznych, w publicznych dysputach z odszczepieńcami udowadniali im na podstawie ewangelji, że grzechy pewnych członków Kościoła nie powinny dla innych być powodem do odrywania się od niego, że sam Chrystus przewidział i przepowiedział obecność grzeszników w Kościele swoim aż do skończenia świata, kiedy mówił o kąkolu, rosnącym na łanie wraz z pszenicą aż do czasu żniwa (Mat. 13, 39), o sieci, zgromadzającej obok ryb dobrych i ryby nic nie warte (Mat. 13, 47). Przypominali jeszcze katolicy Donatystom, że wszak Jezus zostawił Kościołowi swemu modlitwę, w której prosimy o odpuszczenie win naszych, i sakramenta, które te winy gładzić mają, a zatem przypuszczał że w przyszłości będą winowajcy wewnątrz Kościoła.

Z całego tego sporu z odszczepieńcami wynikało, że grzesznik przez samo dopuszczenie się jakiegoś grzechu nie traci jeszcze charakteru i godności członka Kościoła, czyli, że Kościół składa się nie koniecznie z samych tylko świętych i doskonałych, ale i z grze-

szników. Kiedy zaś ze strony schizmatyków powoływano się na świętość, jako na konieczny przymiot Kościoła, to katolicka nauka musiała wyjaśnić prawdziwe znaczenie tego przymiotu. Prawda, że Kościół już w Składzie Apostolskim nazwany jest świętym, ale to nie znaczy, aby wszyscy, co do niego należą, byli już rzeczywiście świętymi i to przez cały czas swego życia. Kościół jest święty, bo świętem jest jego zadanie, polegające na uświęcaniu członków; jest święty, bo posiada środki, potrzebne do uświęcania dusz, naukę prawdziwą i sakramenta; jest święty, bo świętością samą jest jego głowa, Jezus Chrystus; jest święty, bo zawsze, dzięki szczególnej opiece Bożej nad sobą, posiada w swem łonie wielu wybitnych świętych, których cnoty nakształt pochodni oświecają mroki tego świata. Chrystus pragnie też, jak się wyraża św. Paweł, i wszystko uczynił ze swej strony, aby Kościół jego był we wszystkich swych członkach świętą i niepokalaną oblubienicą, nie mającą skazy ani zmarszczki (Efez. 5, 27), ale jest to ideał, który, niestety, z powodu nadużyć wolnej woli, której Chrystus nie pozbawia i członków swego mistycznego ciała, nie urzeczywistnia się w całej swej rozciągłości.

Teorję Donatystów, która i w średniowieczu licznych posiadała zwolenników, wznowili protestanci XVI stulecia, odgrzewając ją na swój sposób. Ci wobec swojej doktryny o usprawiedliwieniu przez samą wiarę, dzięki której grzesznikowi, chociaż grzeszy, byleby ufał, przyczytuje się sprawiedliwość Chrystusa, nie mogli, jak Donatyści, chełpić się z widzialnej zewnętrznej świętości; stworzyli sobie też pojęcie Kościoła niewidzialnego, który się składać miał z tych tylko, co zostali usprawiedliwieni przez wiarę, to jest tych, których grzechy — w myśl teorji — pokrywałaby sprawiedliwość i świętość Chrystusa. Tym sposobem protestanci chcieli się obronić przed zarzutem odstępstwa od Kościoła. Inni z pomiędzy protestantów, mianowicie zwolennicy Kalwina twierdzili nawet, że Kościół składa się z samych tylko przewidzianych przez Boga i przeznaczonych do nieba, choćby jeszcze wcale nie nosili miana chrześcijan. Według tego zdania Paweł święty byłby członkiem Kościoła Chrystusowego już wtedy, kiedy zawzięcie prześladował chrześcijan. Nawiasem dodać trzeba, że Kalwin pojmował przeznaczenie w sposób najbardziej odpychający. Bóg, według niego, bez względu na zasługi człowieka, jednych przeznacza do nieba, innych do piekła, wskutek czego wy-

brańcy nieba z konieczności działają dobrze, a odrzuceni koniecznie i zawsze grzeszyć muszą.

Walcząc z temi błędami, katolicka nauka stale głosiła, że prawdziwy Kościół Chrystusowy to nie żaden nieuchwytny fantom, ani jakaś tylko myślna suma nieznanych i niewiadomych jednostek, lecz że jest to społeczność w całem znaczeniu tego słowa, uorganizowana przez Chrystusa, że jest to instytucja, choć co do pewnych swych stron i składników duchowa i niewidzialna, co do innych za to zupełnie widzialna i zewnętrzna. Zatem i warunkiem, który czyni człowieka członkiem Kościoła, nie jest ani przeznaczenie do nieba, ani świętość czy to rzeczywista, czy też owa przez protestantów zmyślona, która jest tylko przyczytaną grzesznikowi świętością Chrystusową, ale coś, co odpowiada naturze Kościoła, jako organizmu boskoludzkiego, coś co będzie zarazem i widzialnem i niewidzialnem, duchowem i zewnętrznem.

Co mianowicie jest owym warunkiem, który czyni człowieka członkiem Kościoła Chrystusowego? W odpowiedzi na to pytanie teologja katolicka, zwłaszcza od XVI stulecia, wysuwała na pierwszy plan jużto wiarę, nie ową protestancką wiarę przywłaszczającą człowiekowi świętość Chrystusową, ale wiarę w prawdy objawione i przez Kościół do wierzenia podane, jużto jedność z hierarchją kościelną z papieżem na czele, jużto moment przyjęcia chrztu świętego. Nie wdając się w szkolne na ten temat kontrowersje, zauważamy, że najlepiej, zdaje się, harmonizuje się ze źródłami Objawienia i z nauką starych Ojców Kościoła zdanie, że głównym, obok innych czynników, warunkiem należenia do Kościoła Chrystusowego jest chrzest ważnie udzielony, że on jest spoidłem, które wiąże w jeden organizm wielość członków.

O chrzcie, jako warunku należenia do Kościoła, wspominają niejednokrotnie źródła Objawienia. Kościół to królestwo Boże, założone przez Chrystusa, lecz oto w rozmowie swej z Nikodemem powiedział tenże Chrystus: »Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci, jeśli kto nie odrodzi się z wody, a z Ducha Świętego, nie może wnijść do Królestwa Bożego« (Jan 3, 5). Pod tem odrodzeniem z wody Kościół rozumiał zawsze sakrament chrztu. Wysyłając apostołów na świat cały i rozkazując im pozyskiwać dalszych uczniów, Jezus każe jednocześnie ich chrzcić w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego (Mat. 28, 19), bo »kto się nie ochrzci, potępion będzie« (Mar. 16, 16). Dlatego już w czasach apostolskich ochrzcić kogo, a przyłączyć

go do społeczności wiernych znaczyło jedno i to samo: »którzy przyjęli słowo jego — tak czytamy o skutkach kazania św. Piotra — zostali ochrzczeni i przyłączonych zostało w owym dniu około trzech tysięcy dusz« (Dz. Ap 2, 41). Podobnie wyrażają się Dzieje i w r. 8, 12; 8, 38; 18, 8. Stąd i św. Paweł mógł się wyrazić: w »jedno ciało ochrzczeni jesteśmy«, czyniąc tym sposobem z obrzędu chrztu jakoby przyczynę sprawczą budowy mistycznego ciała Chrystusa (1 Kor. 12, 13; Efez. 5, 26). Takie znaczenie obrzędowi chrztu przypisywała cała starożytność chrześcijańska. Jest on czynnością świętą, przez którą nietylko gładzi się grzech pierworodny i grzechy uczynkowe, nietylko dusza otrzymuje łaskę poświęcającą, ale przez którą człowiek formalnie zostaje wszczepiony w ów winny szczep z przypowieści Jezusowej (Jan r. 15), w owe ciało mistyczne, określone przez św. Pawła. Możnaby z pism Ojców Kościoła uzbierać bogatą wiązankę wyrażeń, potwierdzających nasze rozumienie, niech nam wszakże wystarczy tu św. Augustyn, który pisze, że »kiedy się chrzci maluczkich, nie co innego się z nimi dzieje, jak to, że się ich wciela do Kościoła, to jest jednoczy z Ciałem Chrystusa i jego członkami« (De peccat. remis. l. 3, c. 4). Podobne rozumienie znaczenia chrztu spotykamy w kościelnych rytuałach, w dziełach późniejszych teologów, w orzeczeniach papieży, itd. Już w XV stuleciu Eugeniusz IV w Instrukcji dla Ormian streścił tę naukę Kościoła, pisząc: »Między sakramentami wszystkiemi pierwsze miejsce zajmuje chrzest święty, który jest furtą do życia duchowego; przezeń bowiem stajemy się członkami Chrystusa i ciała Kościoła«. Jeżeli od nawracających się pogan dorosłych żądano zawsze przed chrztem, jak i dzisiaj się żąda, wiary w prawdy katolickie, to ten akt wiary przyrównywano do poczęcia człowieka nowego, człowieka nadprzyrodzonego, dniem zaś jego urodzin dla Królestwa Bożego był dopiero dzień chrztu. W tym dniu rozpoczyna się zdolność ochrzczonego do udziału w owem mistycznem życiu Kościoła, jakiego uczestnikami jesteśmy, przyjmując inne sakramenta święte.

Badając dalej to znaczenie chrztu, o jakiem mowa, dochodzi teologja katolicka do ściślejszego określenia, co jest mianowicie we chrzcie owym czynnikiem decydującym o rzeczywistem wcieleniu człowieka w tę społeczność religijną, jaką jest Kościół. We chrzcie bowiem rozróżniamy jużto zewnętrzny obrzęd, jużto towarzyszący mu zwykle urzędowy akt wpisania nowoochrzczonego do metryki, jużto łaskę poświęcającą, która wraz z zarodkami cnót nadprzyrodzonych

duszy się udziela, jużto wreszcie tak zwany charakter sakramentalny, który według teologji jest swego rodzaju piętnem niewidzialnem, niemniej jednak rzeczywistem, wyciśniętem niejako na duszy ochrzczonego. Rzecz jasna, że takiego skutku, jak rzeczywiste wszczepienie człowieka w organizm kościelny, nie można przypisać czysto kancelaryjnej metrykalnej formalności, która jest tylko stwierdzeniem dokonanego aktu, nie wpływającem na jego ważność, i z różnych powodów bywa nieraz opuszczaną. Również nie można odnieść tego skutku do czysto zewnętrznego obrzędu chrztu, który to obrzęd jest wprawdzie naturalnym wskaźnikiem przywiązanych do sakramentu wewnętrznych łask, możliwem jest atoli, że pozostanie obrzędem nieskutecznym z powodu braku pewnych warunków, jak np. dostatecznej intencji u udzielającego sakrament. W razie takiej nieważności chrztu, pozornie ochrzczony nie stałby się rzeczywiście członkiem Kościoła i nie byłby zdolny do udziału w jego mistycznem życiu.

Pozostaje nam jeszcze łaska poświęcająca i charakter sakramentalny. Otóż i łaska nie może być uważana za czynnik decydujący o przyłączeniu formalnem człowieka do Kościoła. Może bowiem zajść wypadek, że z braku żalu za grzechy przyjmujący chrzest dorosły nie otrzyma narazie łaski poświęcającej, a jednak chrzest jego jest ważny i czyni go członkiem Kościoła; kiedyindziej znowu może taki nawracający się dorosły być usprawiedliwionym a więc i otrzymać łaskę poświęcającą mocą aktu miłości Bożej jeszcze przed rzeczywistem przyjęciem chrztu, a jednak przez to samo członkiem Kościoła się nie staje. Tym sposobem dochodzimy do wniosku, że jeżeli chrzest święty przyłącza człowieka do Kościoła, to dzieje się to formalnie dzięki charakterowi sakramentalnemu, który jest koniecznym skutkiem każdego ważnie udzielonego i przyjętego chrztu, nawet wtedy, kiedy dla jakiegoś nieusposobienia neofity, tenże jest pozbawiony innego skutku sakramentu, to jest łaski poświęcającej.

Owego charakteru, jako modyfikacji należącej do czysto duchowego porządku, nie możemy sobie wyobrazić, jak nie możemy wyobrazić substancji duszy, którą on zdobi; wyobraźnia bowiem z natury swej ujmuje tylko rzeczy materjalne. Niemniej jednak nie mamy prawa wątpić o istnieniu tego rodzaju sakramentalnego piętna, albowiem nauka o niem, oparta na źródłach Objawienia, jest dogmatycznym pewnikiem, wyjaśnionym już dostatecznie podczas kontrowersyj o ważność chrztu heretyckiego, a ostatecznie określonym przez Sobór Trydencki (ses. 7, kan. 9 o sakr. wogóle).

Zatem moment wyciśnięcia na duszy tego tajemniczego piętna, to chwila wszczepienia naszego w ów organizm mistyczny Kościoła. Możemy tu dopatrzeć się analogji z życiem natury. Przyjęty do organizmu pokarm ulega długim przemianom chemicznym; wreszcie przychodzi moment, kiedy drobina materji przestaje być materją organizmowi obcą, tylko biernie jego oddziaływaniu podległą, lecz asymiluje się i staje się żywą cząstką samego organizmu. Taką asymilację sprawia w porządku nadprzyrodzonym charakter chrztu. Osobnika, przez wiarę zrywającego z niewierzącą naturalną ludzkością i poddającego się wpływom Kościoła, upodabnia on do reszty organizmu, który go niejako wchłania i w siebie przemienia. Dzieje się to dzięki temu, że charakter, o którym mowa, nadaje duszy podług teologji katolickiej, pewne podobieństwo do Chrystusa, jako głowy bosko-ludzkiego organizmu Kościoła. Dlatego i św. Paweł mógł się wyrazić: »Którzykolwiek jesteście ochrzczeni, w Chrystusa oblekliście się« (Gal. 3, 27). Wcielając człowieka do owego organizmu, jako nową komórkę w organiźmie, charakter sakramentalny czyni go też zdolnym czynnie i biernie do udziału w życiu mistycznego ciała. Chrystus, głowa jego, jest najwyższym ofiarnikiem i szafarzem wysłużonych przez siebie łask, więc charakter czyni nas w pewnym stopniu uczestnikami kapłańskiego charakteru Chrystusa, konsekruje nas na sługi Boże, przeznacza do oddawania czci Bogu w kulcie chrześcijańskim. Zarazem mocą tegoż charakteru uzyskuje ochrzczony bierną zdolność do udziału w sakramentach, a względem niektórych nawet zdolność czynną szafowania.

Z nauki katolickiej o chrzcie świętym, a zwłaszcza o charakterze sakramentalnym, który jest piętnem niezmazalnem, wypływają dwie ważne nawet dla życia prawno-kościelnego konsekwencje. Pierwsza dotyczy stanowiska grzeszników w Kościele. Przez grzech ciężki może chrześcijanin utracić życie nadprzyrodzone łaski, dopóki jednak pozostaje na tym świecie, mocą znaczącego jego duszę charakteru jest on, acz w mniej doskonały sposób, członkiem mistycznego ciała Chrystusa i posiada zdolność do wskrzeszenia w sobie życia łaski drogą pokuty. Owszem, charakter ów, samą swoją obecnością w duszy człowieka, jakoby woła o to, aby życie nadprzyrodzone znowu się w niej rozwinęło. Prawda, że niektórzy Ojcowie Kościoła, jak np. św. Augustyn, niekiedy wyrażali się o grzesznikach, że nie są oni już członkami ciała Chrystusowego, prawda, że grzech pozbawia prawa do przyjmowania Ciała Pańskiego w Eucharystji, co jest

pewnego rodzaju ekskomuniką, kiedy jednak chcemy ściślej pod względem teologicznym wyrażać się, przyznamy, że nie urzeczywistnia się w nim idea członka Kościoła doskonałego, nazwiemy go członkiem obumarłym, uschłym, w każdym jednak razie członkiem Kościoła być on nie przestaje, a zatem i obowiązki tej przynależności na nim ciążą i prawa chrześcijanina mu przysługują, dopóki odnośna władza kościelna przez akt prawomocny nie pozbawi go takowych, albo nie ograniczy w ich używaniu.

Druga konsekwencja odnosi się do innowierców. Mianowicie, według nauki Kościoła, ktokolwiek został ważnie ochrzczonym, choćby ten chrzest otrzymał z rąk ministra jakiejś heretyckiej czy odszczepieńczej sekty, np. u nas sekty Marjawitów, ten staje się poddanym jedynego prawdziwego Królestwa Bożego, jakim jest Kościół katolicki, a więc do tego Kościoła z prawa należy, bo piętno i podobiznę głowy i Króla Chrystusa na duszy swej nosi. Jeżeli zatem w życiu swem religijnem, w kulcie odłącza się od tegoż Kościoła i wespół z innymi zbory i sekty sobie tworzy, podobny jest do zbiega z pod królewskiej chorągwi, pod którą służyć powinien. Przez sam fakt jego dezercji Kościół swoich praw do niego nie traci, zawsze uważając go za zbuntowanego wprawdzie, ale należącego do siebie syna i poddanego. W swoim czasie wiele wrzawy wywołało w świecie protestanckim orzeczenie Piusa IX papieża, który w pewnym akcie wyraził się, że wszyscy chrześcijanie, nawet panujący protestanccy podlegają w rzeczach religji jego najwyższej władzy. Gorszono się tą »uzurpacją«, która jednak logicznie wypływa z dogmatycznej nauki o Kościele i chrzcie świętym. Skoro Chrystus założył nie kilka społeczności religijnych, tylko jedną i tę chciał mieć niepodzielną i skoro do tej społeczności wchodzi się przez chrzest, jasnem jest, że każdy chrześcijanin winien nad sobą uznać tę powagę najwyższą, którą Chrystus dla swojego Kościoła ustanowił. Może ktoś, trwając w odszczepieńczym błędzie, nie mieć świadomości tego obowiązku, może sam Kościół ze względów praktycznych nie przypominać go błędnowiercom, w zasadzie jednak każdy chrześcijanin jest tem samem poddanym Kościoła katolickiego. Dlatego też gdy błędnowierca, ochrzczony jednak ważnie, nawraca się do wiary prawdziwej, nie jest przyjmowany jako zupełnie obcy, przez chrzest, ale tylko jako zbuntowany syn i poddany przez pojednanie z Kościołem. Podobnież i ten, co przez kościelną karę ekskomuniki został pozbawiony udziału w życiu i dobrach Kościoła, skoro jest z powrotem przyj-

mowany do społeczności kościelnej, wraca do niej nie przez furtę chrztu, ale przez pokutę i rozgrzeszenie. Jestto syn dla krnąbrności wydziedziczony i z rodziny wyłączony, który skoro błąd naprawił, nie rodzi się w tej rodzinie powtórnie, lecz tylko powraca do niej i jedna się z nią.

Jakby uzupełnieniem chrztu, jest drugi sakrament kościelny, mianowicie bierzmowanie, czyli umocnienie. Ten sakrament ma również swoje znaczenie w budowie Kościoła Chrystusowego i znowu dlatego, że i on wyciska na duszy nowy charakter. Jestto nowe, wyższe podobieństwo do Chrystusa, mianowicie odbicie jego królewskiej godności. Przez chrzest, jak widzieliśmy, stajemy się członkami mistycznego organizmu; bierzmowanie, jak sama nazwa wskazuje, czyni nas członkami mocniejszymi, dzielniejszymi; jestto według wykładu teologów, jakby pasowanie prostego obywatela na rycerza w tej boskiej rzeczypospolitej, na rycerza, mającego za zadanie nietylko żyć życiem wspólnem, obywatelskiem, ale dzielnie potykać się o dobra swego królestwa, walczyć o jego ideały, prawdę, prawo i cnotę. Że zaś rycerzowi potrzeba więcej siły, by sprostał swemu powołaniu, sakrament ten daje też prawo do obfitszych łask Bożych. Udzielając go, prosi biskup o Ducha świętego z jego siedmiorakim darem, darem mądrości, roztropności, a zwłaszcza chrześcijańskiego męstwa. W pierwszym wieku przyjęciu tego sakramentu zwykle towarzyszyły nadto cudowne objawy, jak dar nieznanych języków, proroctwa, a zwłaszcza tego entuzjazmu, jaki charakteryzował zaranie chrześcijaństwa.

Już w pierwszych dwóch sakramentach spostrzegamy zaczątki stanowego ustroju Kościoła. Z ogólnej masy wiernych, charakterem chrztu nacechowanych, wyłania się jakby grupa nowa, jakby wyższy stopień przynależności do Kościoła, grupa tych, co przez sakrament umocnienia stali się rycerzami nadprzyrodzonego Królestwa. Ale to rozróżnienie nie wprowadza właściwej stanowej różnicy, gdyż wszyscy, mężowie i niewiasty mogą dążyć do tego, aby stanąć w szeregach tego Chrystusowego rycerstwa. Lecz oto mamy w Kościele stan, zasadniczo wyróżniający się z całości, mianowicie stan kapłański. Temu stanowi winniśmy poświęcić dłuższą chwilę uwagi.

Że w społeczności religijnej, choćby jako tako zorganizowanej, musi istnieć pewien odrębny stan, poświęcony w szczególny sposób

celom kultu, temu ani w teorji, ani w praktyce nie przeczą nawet wyznawcy najbardziej indywidualistycznych i anarchicznych sekt religijnych, z wyjątkiem chyba tych, którzy odrzucają wogóle wszelki kult publiczny i religję zewnętrzną. Ale powstaje pytanie, czy ten stan przodowników i kierowników kultu ma być tylko rezultatem prostego podziału pracy społecznej, tak iż dostęp do niego zależy jedynie od woli czujących do niego skłonność i mających uzdolnienie, jak np. dostęp do stanu kupieckiego, lub czy nie dość co najwięcej pewnego upoważnienia i wyboru ze strony społeczeństwa do tego, aby w nim znaleźć miejsce, czy wreszcie z niego według woli wycofać się? Czy też przeciwnie może tego wszystkiego za mało, może jego pełnomocnictwa płyną z góry i od woli gminy nie są zależne, może jest on stanem stałym, a wstąpienie do niego podlega raz na zawsze ustanowionym warunkom. Za pierwszą odpowiedzią głosują wszyscy protestanci, druga jest nauką Kościoła katolickiego.

Reformatorzy religijni XVI stulecia, żeby usprawiedliwić swój bunt przeciwko hierarchji kościelnej, biskupom i papieżowi, stworzyli teorję o powszechnem i równem kapłaństwie wszystkich wiernych. Powołując się na wyrażenie listu św. Piotra: »I wy jako żywe kamienie na nim się budujcie w dom duchowny, kapłaństwo święte, ku ofiarowaniu duchownych ofiar, przyjemnych Bogu przez Jezusa Chrystusa« (1 Piotra 2, 5), i niżej (w. 9), gdzie znowu wierni nazwani są »królewskiem kapłaństwem«, protestanci zaprzeczyli istnieniu w Kościele osobnego, przez Chrystusa ustanowionego, stanu kapłańskiego, jak również związanego z nim urzędu nauczycielskiego. Ich ministrzy wystąpili tylko w charakterze fachowo przygotowanych nauczycieli, całe posłannictwo swoje biorących od gminy, która ich powołuje i upoważnia do przewodniczenia w religijnych funkcjach, bez żadnych sakramentalnych święceń. Wraz z ofiarą mszy świętej znieśli też protestanci i sakrament kapłaństwa. Swoją rewolucję religijną przedstawiali jako powrót do praktyki staro-chrześcijańskiej, kiedy to poszczególne gminy rzekomo miały przelewać na wybranych przewodników wszystkie pełnomocnictwa w zakresie kultu, nauczycielstwa i zarządu kościelnego.

Tej teorji, która dla swej demokratycznej cechy, może się niejednemu podobać w naszych czasach, nie popierają wcale źródła historji Kościoła pierwotnego. Cóż bowiem w owych źródłach naprawdę znajdujemy? Znajdujemy najpierw to, że Chrystus Pan rozpoczął organizację swego Kościoła od powołania z pomiędzy uczniów

szczuplejszego grona apostolskiego, któremu przekazał pełnię swej władzy: »Jako Ojciec mnie posłał, tak i ja was posyłam«; ich uczynił nieomylnymi siewcami ziarna ewangelji, pasterzami swej owczarni, kapłanami nowej ofiary. »To czyńcie na moją pamiątkę«, odezwał się do nich po ustanowieniu Eucharystji (I. Kor. 11, 25). Oni, ci 12 apostołów, byli nie jakimiś tylko delegatami gminy; owszem, oni zostali powołani do tego, aby tę gminę, tę społeczność kościelną według myśli Chrystusa dopiero utworzyć; na nich, jak na 12 kamieniach, został zbudowany Kościół. Lecz i później, zakładając poszczególne kościoły, apostołowie nie pozostawiają ich na los szczęścia, ani puszczają na burzliwe fale demokratyzmu, władztwa tłumu, ale stawiają sami na ich czele urzędników, którzy przy nieustalonej jeszcze terminologji Dziejów Apos. i listów Pawłowych, noszą nieokreślone miano s t a r s z y c h po grecku presbyteroi (Dz. Ap. 14, 22), lub n a d z o r c ó w (20, 28) po grecku episkopoi (20, 28), stąd nasz biskup, lub też jeszcze ogólniej p a s t e r z y (Ef. 4, 11), przełożonych i t. d. Stanowiąc tych pasterzy, apostołowie wyrażają przekonanie, że przez nich sam Bóg zlewa z góry na tych wybranych posłannictwo ku budowaniu Kościoła. »I tenże, — są słowa św. Pawła o Chrystusie, — dał niektóre apostoły, a drugie ewangelisty, a inne pasterze i doktory, ku wykonaniu świętych, ku robocie posługiwania, ku budowaniu ciała Chrystusowego (Efez. 4, 11). Z pełni swojej władzy apostołowie udzielają jednym tylko pewnej jej części: są to ci, których później nazwano prostymi kapłanami, i którzy pod okiem i kierunkiem samych apostołów rządzą poszczególnemi gminami i przewodniczą ich modlitwom i ofierze eucharystycznej; na innych przelewają wszystką swą władzę, nie wyjmując i prawa dalszego jej udzielania: są to ci, którym później przyswojono imię biskupów. Jak jednych, tak i drugich, również i niższy stopień posługi kościelnej — diakonów, ustanawiają przez szczególny obrzęd, nazwany w Dziejach Ap. wkładaniem rąk, w którem widzieli narzędzie udzielania wewnętrznych darów Ducha świętego, czyli że widzieli w nim wszystkie warunki czynności sakramentalnej. Stąd Apostoł napomina Tymoteusza, aby wzbudził w sobie, t. j. odnowił tę łaskę, którą był otrzymał przez wkładanie rąk (I. Tym. 4, 14), a zebranych w Milecie starszych (presbytoroi), aby pilnowali siebie i wszystkiej trzody, nad którą ich Duch św. postanowił biskupami, aby rządzili Kościół Boży (Dz. Ap. 20, 28). W całych zaś Dziejach Apost. nie napotykamy ani śladu protestanckiej zasady równego i powszechnego kapłaństwa, ani »de-

mokratycznej teorji o pochodzeniu władz w kościele z delegacji ludu. Nawet wtedy, kiedy odwoływali się do wiernych, aby im wybrano siedmiu pomocników, do »służenia stołom«, Apostołowie ten wybór traktują tylko jako wskazanie kandydatów, posiadających zaufanie ogółu, ale właściwej władzy udzielają im sami przez tenże obrząd wkładania rąk (Dz. Ap. 6, 6). Historja Kościoła dostarcza nam przykładów, że w wielu miejscach i w różnych czasach prości wierni mieli wpływ na wybór kleru, ale zawsze było to tylko wskazaniem godnych kandydatów; właściwe pełnomocnictwa kościelne spływały na nich z góry przez liturgiczny obrzęd wkładania rąk, czyli przez to, co dziś nazywamy sakramentem kapłaństwa.

Słowem — żeby ująć to wszystko w krótką formułę — trzeba powiedzieć, że z ustanowienia Chrystusa istnieje w jego Kościele pewien odrębny stan, że władze tego stanu płyną nie z dołu, od ludu, ale z góry, od Chrystusa, że ten stan uwiecznia się i uzupełnia nie inaczej, jak przez kooptację ze strony tych, którzy już w nim są, mianowicie ze strony biskupów.

Co jednak poczniemy z owem powszechnem kapłaństwem wiernych, o którem wspomina Piotr święty? Bynajmniej nie myślimy zaprzeczać go. Dlaczegożbyśmy bowiem mieli odmawiać pewnego kapłaństwa tym, którzy mocą chrztu są namaszczeni i konsekrowani ku czci Bożej? Ale to powszechne kapłaństwo nie wyklucza kapłaństwa ściślejszego, jako stanu odrębnego kapłaństwa we właściwem znaczeniu tego słowa. Owo pierwsze kapłaństwo nakłada na wiernych obowiązek przynoszenia Bogu ofiar duchownych, jak sam św. Piotr w tem samem miejscu zaznacza, zatem ofiar modlitwy, zaparcia się i umartwienia; ale wierzy, że oprócz tych ofiar istnieje w Kościele jeszcze inna szczególna ofiara, wymagająca też szczególnego kapłaństwa, ofiara eucharystyczna. Owszem i w tej ofierze eucharystycznej prości wierni winni brać udział nie tylko bierny, przyjmując Ciało Pańskie, ale i czynny, wyrażający się, jakto symbolicznie naznaczono w dawnych czasach, w przynoszeniu do świątyni materji dla przemiany eucharystycznej, t. j. chleba i wina, jak również w łączeniu swych modłów z modłami kapłana, właściwego ofiarnika. Wszak wszystkie modlitwy we mszy świętej kapłan wymawia nie w swojem tylko imieniu, ale w liczbie mnogiej, w imieniu całego ludu chrześcijańskiego, a lud ten daje swe przyzwolenie, powtarzając ową konkluzję każdej modlitwy: amen, niech się tak stanie! Oto udział wiernych w kapłańskich funkcjach Kościoła, oto tytuł, dlaczego ich

w szerszem znaczeniu nazwać wolno kapłanami. Jeżeli czego trzeba żałować, to tego, że się dość powszechnie zatarło w umysłach wierzących poczucie tej kapłańskiej swej godności, i że udział w modlitwach i ofiarach Kościoła ze strony wiernych jest zbyt bierny, ograniczający się do prostej obecności, bez zrozumienia tego, co się dzieje, bez poczucia solidarności z tem, co się w Kościele dokonywa.

Istnieje zatem kapłaństwo, jako stan osobny w Kościele. Widzieliśmy, że ten stan tworzy się przez nową sakramentalną czynność święceń. Już przez samą analogję z innymi sakramentami można przypuszczać, że kapłan wchodzi w nowy ściślejszy stosunek i z głową Kościoła, z Chrystusem. I rzeczywiście tak jest. Sakrament kapłaństwa, podobnie do chrztu i bierzmowania, obok pomnożenia łaski poświęcającej, wyciska na duszy nowy niezmazalny charakter. Charakter ten, upodabniając jeszcze w pełniejszy sposób do Chrystusa, jako kapłana wiecznego, czyni z prostego członka ciała mistycznego organ życionośny, połączony ze źródłem łask, z Chrystusem. Mocą tego charakteru Chrystus i kapłan staje się jakby jedną zasadą działania, jak ręka i narzędzie przez nią trzymane. Stąd każda czynność sakramentalna kapłana słusznie przypisuje się głównemu działaczowi, Chrystusowi. On przez ręce swego sługi chrzci, bierzmuje, grzechy odpuszcza, ciało swe eucharystyczne podaje. Dlatego i skutek sakramentalny nie zależy od stopnia osobistej świętości kapłana — narzędzia, nawet nie od jego wiary, ale jedynie od jego kapłańskiego charakteru i od intencji, przez którą łączy się jako narzędzie z głównym działaczem Chrystusem. Innemi słowy, kapłan nie jest kapłanem sam przez się, jako odosobniona jednostka, ale mocą zjednoczenia z Chrystusem i Kościołem, jako ich narzędzie. Stąd kapłaństwo jest jedno, owszem można powiedzieć, że jedyny kapłan par excellence, to Chrystus, podczas gdy inni są nimi o tyle, o ile w kapłaństwie Chrystusa uczestniczą. To uczestnictwo, skoro już raz zostało nawiązanem, nigdy w tem życiu ustać nie może. Nawet kapłan niegodny, kapłan odstępca, kapłan od aktualnego obcowania ze społecznością kościelną odcięty przez ekskomunikę, zachowuje mimo wszystko swój charakter i swoje zasadnicze zjednoczenie z Chrystusem-kapłanem, i jeśliby mimo zakazów prawa kościelnego ośmielił się sprawować eucharystję, czynność jego sakramentalna będzie ważną i osiągnie swój skutek. W pewnych wypadkach, np. gdy innego kapłana brak, a konieczność nagli, odzyskuje on nawet delegację Kościoła do odpuszczania grzechów w sakramencie pokuty.

W tej nauce o kapłaństwie chrześcijańskiem widzimy nowy dowód jednolitości w planie budowy mistycznego ciała Chrystusa, piękno i harmonję myśli Bożej, gruntowność działań i trwałość dzieł Bożych.

Pozostaje nam jeszcze jeden sakramentalny stan w kościele: małżeństwo. Zestawienie tych dwóch wyrazów: Kościół i małżeństwo, biorącym rzeczy powierzchownie może wydać się dziwnem, i może zapytają: jakie może mieć znaczenie w nadprzyrodzonym ustroju kościoła ten stan, który z celu swego jest stanem czystej natury? Czyż nawet sam kościół nie zdradza swego negatywnego stanowiska względem małżeństwa, gdy nakazuje celibat kapłanom, gdy popiera ideę dziewictwa i życia klasztornego? Czy zatem małżeństwo, w myśl kościoła, nie jest instytucją czysto świecką, którą jedynie ze względów praktycznych podciąga pod swą kontrolę, narzucając swój współudział przy jego zawarciu?

Czytelnicy zechcą wejść ze mną głębiej w myśl kościoła. Według katolickiej nauki, małżeństwo, obok kapłaństwa właśnie wchodzi ściśle w wewnętrzny ustrój kościoła. Te dwa i tylko te dwa stany w kościele są stanami sakramentalnymi, zatem w ściślejszym zostają związku, niż wszelkie inne powołania i zawody, z tajemniczym planem budowy mistycznego ciała Chrystusa. Jeżeli w katolicyzmie pielęgnuje się idea dobrowolnego dziewictwa dla Chrystusa, to bynajmniej nie z pogardy ani lekceważenia małżeństwa. Jeżeli od sług ołtarza żąda się celibatu, prawidło zresztą będące tylko zarządzeniem dyscyplinarnem i które jeszcze dotąd nie we wszystkich odłamach kościoła zostało konsekwentniej przeprowadzonem, to żądanie to bynajmniej nie ujmuje godności małżeństwa. Wyraża ono nam tylko tę myśl, iż słuszną jest rzeczą, by ci, co w kościele najpocześniejsze zajmują miejsce owa »sól ziemi«, byli zarazem ludźmi ofiary, ludźmi którzy musieli wyrzec się pociech życia rodzinnego, aby całą swą istotę i wszystkie swe siły bez podziału mogli oddać na służbę tej szerszej rodziny, jaką jest cały kościół. Niema zaś w tem, powtarzamy, ani cienia jakiegoś lekceważenia małżeństwa. Czy nie uderza nas to, że kiedy śluby zakonne, aczkolwiek budują stan, uważany za doskonalszy ze względu na jego trudność, na zaparcie się siebie i ofiarę, bynajmniej nie są czynnością sakramentalną, to śluby małżeńskie są właśnie sakramentem i związek przez nie zawarty jest związkiem sakramentalnym? Czyż nie mówi nam wiele o zacności tego stanu właśnie to jego niejako postawienie na jednej linji z kapłaństwem?

Nie możemy zbyt szeroko rozwijać tu nauki, na czem właściwie polega ta sakramentalność małżeństwa. Powiemy krótko, że nie błogosławieństwo kapłańskie stanowi jego istotę; jest ono tylko pewnem akcesorjum, nawet nie zawsze koniecznem do ważności małżeństwa. Również ministrem czyli szafarzem sakramentu małżeństwa nie jest kapłan, jego obecności prawo kościelne żąda pod karą nieważności tylko w charakterze świadka autentycznego zawartych ślubów. Sprawcami zaś tego sakramentu są ci dwoje, którzy sobie dłonie podają; sakramentalnym aktem jest ich przysięga wzajemna. I ta sakramentalność małżeństwa płynie stąd, że jak w innych sakramentach szafarze takowych kapłani, tak w małżeństwie sprawcy jego, nowożeńcy, są połączeni z Chrystusem, jako członki jego mistycznego ciała, że zatem i tu, na ślubnym kobiercu, występują nie w charakterze dzieci natury, ale w charakterze nadprzyrodzonym dzieci Bożych.

Tak zawarty związek staje się jakby nową złożoną komórką w mistycznym organiźmie i według nauki św. Pawła, swojemi dwiema właściwościami: monogamji i nierozerwalności i swoim celem — mnożenia życia na ziemi, ma symbolizować i przedstawiać nierozerwalną i płodną unję Chrystusa z Kościołem. Rodzina chrześcijańska zatem właśnie w charakterze rodziny, to cząstka większej całości, to jakby mały kościół, biorący na siebie cząstkę nadania tejże całości.

Małżeństwo jest więc funkcją samego mistycznego organizmu Kościoła. Jak Kościół w zjednoczeniu z Chrystusem jest źródłem nadprzyrodzonego życia, tak i rodzina chrześcijańska jest tegoż życia rozsadnikiem. Ona wydaje tych, którzy są powołani stać się członkami nadprzyrodzonego królestwa łaski, ojciec i matka doprowadzają swe dzieci do chrztu i współdziałają przy owem wszczepieniu ich jako żywych latorośli w bosko-ludzkie drzewo, oni z powrotem otrzymują je od Kościoła, jako depozyt, by w chrześcijańskiem wychowaniu byli pierwszymi ich nauczycielami prawd Bożych, pierwszymi kapłanami, razem z nimi zanoszącymi modlitwy do niebieskiego Ojca. Takiem jest zadanie małżeństwa chrześcijańskiego, lecz nie trudno spostrzec, że dlatego stan ten jest święty, bo jest on przewodnikiem łask i błogosławieństw; w zamiarach bożych jest on również środkiem wzajemnego uświęcania się małżonków. Takim jest związek małżeństwa z kościołem. Ubolewać trzeba, że, dzięki nienaturalnemu sojuszowi zepsucia obyczajów z przesadną pruderją mowy, obniża się pogląd na świętość tego stanu, degraduje się go nawet

często do poziomu jakiegoś moralnego upadku. Tu często należałoby powtarzać: Honni soit qui mal y pense, i w interesie samegoż małżeństwa głębiej wnikać w naukę Kościoła.

Tak się przedstawia nauka katolicka o stanowym ustroju Kościoła. Bliższe określenie stopni hierarchji kościelnej i ich praw i obowiązków nie należy do niniejszego artykułu. Nasuwa się nam już tutaj parę praktycznych wyników. Odrzucając protestancką teorję nie uznającą zasadniczej różnicy między klerem a ludem wiernym, nie oddalamy prostych wiernych od Kościoła i od czynnego w nim życia. Stwierdzamy tylko, że w tym Kościele jest ład i porządek, wyznaczający każdemu i kapłanowi i świeckiemu właściwe miejsce, i ład ten i porządek przez Chrystusa ustanowiony, płynie z góry i posiada boską sankcję, której zmienić nie jesteśmy w stanie. Ale ta, tak na pierwszy rzut oka głęboka, różnica między stanem kapłańskim a świeckim, maleje, kiedy zrozumiemy, że wszyscy jesteśmy mniej lub więcej ścisłymi węzłami połączemi z tym samym Chrystusem, kapłanem najwyższym i wszyscyśmy powołani do współudziału w jednem wielkiem dziele budowania królestwa Bożego w sercach swoich i innych. Już chrzest poświęcił nas ku wspólnej czci prawdziwego Boga; bierzmowanie pasowało nas na rycerzy, mających walczyć o Chrystusowe zasady. Dla wszystkich tedy w Kościele jest miejsce dla pracy. We wspólnym kulcie Boga my mamy być nie biernymi i niemymi widzami, ale współofiarnikami i współsprawcami cudów Bożych: wszystko, co z miłosierdzia Bożego spływa na kościół, jest owocem zasług Jezusa Chrystusa, ale i rezultatem sakramentalnych czynności kapłana wraz z towarzyszącymi im modlitwami wszystkich wiernych. Wcielać zasady Chrystusowe w życie, to druga dziedzina działania kościelnego, od której nikt nie jest wykluczony. Wreszcie owo kapłaństwo ogniska rodzinnego z jego radościami i trudami — to dla wielu również dziedzina działania kościelnego.

Jak w organiźmie naturalnym żaden członek nie może drugiemu powiedzieć: nie jesteś mi potrzebny, tak w Kościele Chrystusowym żaden stan sobie nie wystarcza, a zatem i drugiego lekceważyć nie może. Wzrost tego mistycznego organizmu osiąga się tylko przy harmonijnem współdziałaniu wszystkich członków i wszystkich stanów, lecz współdziałaniu dla Chrystusa i w Chrystusie, który jest wszystkiem we wszystkich.

Ks. Jan Urban.

WOLNY WYSZYNK CZY MONOPOL?

Kwestja alkoholizmu, czyli chociażby miernego ale częstego używania wyskoku, stała się od lat stu jednem z ważniejszych zagadnień, traktowanych przez medycynę, etykę, ekonomję, socjologję itd., i mających już olbrzymią literaturę.

W rozwoju tego problemu coraz silniej uwydatnia się teza abstynencji, tj. uznanie, iż najlepszym stanem rzeczy byłoby zupełne powstrzymanie się od napojów alkoholowych. Z teorją w parze idzie praktyka, dowodząca, iż w cywilizowanej ludzkości przyjmuje się coraz powszechniej idea całkowitej wstrzemięźliwości od gorących trunków.

W każdym razie pijaństwo i wspomniany już łagodniejszy alkoholizm bez upojenia stał się przedmiotem zainteresowania społecznego do tego stopnia, że prawie we wszystkich państwach zajęło się nim ustawodawstwo. Sprawa ta jest właśnie w Polsce odradzającej się aktualną pod każdym względem, także prawniczym i prawodawczym.

Z ogromnego więc materjału o alkoholiźmie nasuwają się w szczególności uwagi i postulaty prawoznawcze i ustawodawcze, które mogłyby posłużyć dla dobra Ojczyzny i za podstawę dla uchwał sejmowych.

Nie tracąc z oczu i nie lekceważąc ideałów przyszłości i kulturalnego postępu, który podług dotychczasowej ewolucji zdaje się zmierzać do abstynencji, a w ustawodawstwie do prohibicji, czyli do zakazu wyrobu i sprzedaży wyskoku, chyba w aptekach, — na dzisiaj rozpatrzymy tylko następujący dylemat, który w ramach prawdopodobieństwa będzie roztrząsany, azali lepiej dozwolić na wolny wyszynk, czy też zaprowadzić monopol państwowy?

Poglądy nasze opieramy pomiędzy innemi na dziełach Dra Heleniusa, zwłaszcza p. t. »Alkohol a prawodawstwo«, Poznań 1905,

Dra Weinfelda »Opodatkowanie spirytusu w Austryi i Niemczech« Lwów 1916, ks. Wierońskiego »Ustawodawstwo alkoholowe w Galicji« Lwów 1917, a z dawniejszych i ogólniejszych: Dra Hechella »O pijaństwie, o jego szkodliwych skutkach i o środkach zapobieżenia onemu« Kraków, 1844, Baczewskiego »Monopol wódczany i Galicya« Lwów 1895, Dr. Golińskiej »Alkoholizm i społeczeństwo« Warszawa 1902, Dra Dybowskiego »O trzech pracach, dotyczących alkoholizmu« Warszawa 1905, Wydawnictwo Przyszłości »Pierwsza konferencya w sprawie alkoholizmu w Królestwie Polskiem« Warszawa 1907, Fuska »Z dziejów ruchu antialkoholicznego w Szwecji« Kraków 1909, Dra Bungiego »Sprawa alkoholu« Poznań 1910, Dra Rząda »Czas życia krótki« Kraków 1910, Szymańskiego »Przeciwnicy trzeźwości« Kraków 1911, Dr. Golińskiej »Alkoholizm w Galicji i jego zwalczanie« Warszawa 1911, »Korespondencja dla niemieckiej prasy lekarskiej« Pirkenhammer pod Karlsbadem 1914, »Abstynencja« Berlin 1915, »Międzynarodowy Miesięcznik dla badania alkoholizmu i zwalczania trunków« Bazyleja 1915, Dra Lubeckiego »Elementa społeczno-gospodarcze alkoholizmu i nikotynizmu« Kraków 1916, Związku Eleuterji »Przeciw alkoholowi« Kraków 1916, Czerwonego Krzyża »Walka o zdrowie« Kraków 1918, oraz wogóle na obfitych danych, łaskawie dostarczonych przez p. Cieplika, prezesa Związku Eleuterji.

Celem orjentacji w wybranym przez nas przedmiocie przytoczymy klasyczny przykład ruchu wyzwoleńczego z alkoholizmu w Szwecji, tudzież takiego samego ruchu obecnego i za wzór stawianego, mianowicie praw antyalkoholicznych w Ameryce, następnie zaś zastanowimy się nad ściślejszą kwestją wolnego wyszynku i monopolu, wreszcie przejdziemy do przedłożenia własnych projektów na czasie.

I.

Do Szwecji dostała się wódka z Rosji pod koniec XVI w. Już jednak król Gustaw Adolf wysłał w r. 1622 zakaz wyrobu i sprzedaży wódki, atoli bezpośredni następcy jego dozwolili każdemu posiadaczowi ziemi warzyć wódkę na domowy użytek. Wskutek tego konsumcja wódki doszła do 46 litrów rocznie na głowę, a liczba przestępstw i obłąkań wzrosła w zastraszający sposób, więc Karol XII w r. 1694 wydał znowu zakaz wyrobu i sprzedaży, który po jego śmierci wnet ustał, a powróciło prawo gorzelni domowych, wolnych

od podatku, i wysoko opodatkowanych gorzelni fabrycznych. Z biegiem czasu gorzelnictwo staje się monopolem korony, dyskretnie wydzierżawianym; a w początku XIX stulecia ponownie rozwijają się gorzelnie domowe, dochodząc w r. 1828 do nieprawdopobnej cyfry 173.125! Spożycie wódki, a zarazem mnogość zbrodni i chorób, osiąga swoje maximum. Na szczęście już od roku 1830 zaczyna się propaganda abstynencka, która zdołała skupić około ćwierć miljona członków w samej Szwecji i wywołać swoją agitacją uchwałę parlamentu w r. 1854, mocą której domowe gorzelnie znosi się, a przemysł fabryczny wysoko się opodatkowuje, gminy zaś mają prawo w swoim obrębie ograniczyć, a nawet zakazać sprzedaży napojów wyskokowych. Dzięki tej ustawie konsumcja wódki spadła do ośmiu litrów rocznie na głowę, a ilość gorzelń do 131. Wytwarzano w nich rocznie około 40 miljonów litrów wódki, a państwo miało z tego przeciętnie po 21 miljonów koron szwedzkich zysku. Lud wiejski chętnie rugował wyrób alkoholu tak, że ilość wyszynków na wsi zmalała do 469 w całej Szwecji. W miastach alkoholizm trwał uporczywiej, póki nie powzięto w mieście Falun pomysłu, wprowadzonego najpierw w życie w Göteborgu i przeto nazwanego »systemem gotenburskim«. Polega on na tem, że wszystką sprzedaż wódki bierze na siebie towarzystwo akcyjne, wydzierżawiając od gminy wszystkie szynki, lecz kontentując się tylko 5% od kapitału, a resztę obracając na cele filantropijne. Zarządzający w szynkach pobierają stałą pensję i nie mają żadnego interesu, aby sprzedawać wódki więcej. Wódka może być wydawaną tylko przy jedzeniu, które ma być dobrem i taniem. Picie na kredyt jest wykluczone. Nie wolno wydawać alkoholu małoletnim i nałogowym pijakom, ani osobom podchmielonym. Czas szynkowania jest ograniczony od 9-ej rano do 7-ej wieczór. Lokal ma być czysty i schludny. Na ścianach szynkowni wiszą obliczenia, ile można zaoszczędzić, wstrzymując się od trunków. Sprzedający traci służbę za nakłanianie do picia. Ponieważ jednak rzeczone szynki są jednocześnie restauracjami, a dochód z potraw i piwa idzie na korzyść sprzedawców, spożycie piwa stale wzrasta, a i niektóre miasta, jak dawniej korona, zasadzają swój budżet na dochodzie z szynków i nie przeciwdziałają konsumcji wódki, której wypada w ostatnich latach po 5 litrów na głowę. Abstynenci zorganizowani w liczbie pół miljona zdążają do zniesienia systemu gotenburskiego i do opodatkowania bezpośredniego, jako dzielnego środka ku zatamowaniu alkoholizmu.

Wskazują oni na sąsiednią Norwegję, gdzie o pozostawieniu względnie wykluczeniu trunków rozstrzygają nie władze gminne, lecz ogólne zebrania mieszkańców gminy, a w nich kobiety swemi głosami zwykle przeważają na niekorzyść alkoholu. Nadto wprowadzono tam prawa, utrudniające sprzedaż alkoholu, na którą trzeba specjalnych koncesyj, gorzelniom zaś czy dystylarniom nie wolno sprzedać naraz mniej, niż 250 litrów wódki. Wskutek tego z karczem na wsi pozostało zaledwie 25 i można jechać parę dni, nie znajdując sposobności do wypicia kieliszka wódki, której niema również na okrętach. W miastach sprzedaż trunków dozwoloną bywa jedynie stowarzyszeniom (Samlag), które prowadzą restauracje ludowe i to za osobnem pozwoleniem, nad którem głosuje cała męska i kobieca ludność, starsza ponad 25 lat. W ten sposób w kilkunastu miastach nie wolno zupełnie sprzedawać wódki, to też spożycie jej stale się obniża.

W Stanach Zjednoczonych, gdzie ruch wstrzemięźliwości datuje się przeszło od stulecia, objawia się on coraz potężniej w ustawodawstwie. Już w r. 1851 Stan Maine wprowadził prohibicję wyrobu, sprzedaży i używania trunków. W tej samej sprawie głosowano w sześciu Stanach i na Alasce. Abstynenci zwyciężyli w pięciu Stanach; w Stanie Missouri zwycięstwo na szalę pijących przechylili właściciele browarów z St. Louis. Dotychczas na 48 Stanów — 23 wprowadziło u siebie na całem terytorjum ustawę przeciwalkoholową. W innych Stanach uczyniły to poszczególne miasta i dzielnice. Z ogólnej przestrzeni 3,026.789 mil kwadratowych terytorjum Stanów Zjednoczonych na 1,629.351 panuje ustawa przeciwalkoholowa. Również skutecznym jest ruch antyalkoholowy w Kanadzie. Główną tego zasługę mają w Ameryce kobiety; amerykanki nie piją trunków prawie wcale, owszem toczą z alkoholizmem zawziętą walkę. Wreszcie najzupełniejsza prohibicja stała się w roku bieżącym ideą ustawodawstwa dla całych Stanów Zjednoczonych i zwyciężyła, jakkolwiek wobec tej ostateczności wybucha reakcja w społeczeństwie, walczącą rozmaitymi argumentami w obronie biernego używania alkoholu. W całym świecie powstało zainteresowanie i krytyka tak skrajnej ustawy. I w naszej prasie nazwano to »pijaństwem trzeźwości«, czyli nieroztropną przesadą ze strony fanatycznych abstynentów. Za narodowy napój amerykański ogłoszono podobno... maślankę. Ameryka prześcignęła w tym kierunku sławną Skandynawję i Finlandję i w ewolucji wstrzemięźliwości stanowi etap ostatni.

Jest to zresztą tylko konsekwentny rezultat abstynencji, zorganizowanej tam dzielnie już w r. 1813 w mieście Bostonie, najdawniej na świecie, w nowożytnej formie towarzystwa. Zrazu było to »Towarzystwo wstrzemięźliwości od mocnych napojów« a nie całkowitego wstrzymania się od nich. Takiem zostało dopiero w r. 1826, zmieniając zarazem swą nazwę na »Amerykańskie Towarzystwo Wstrzemięźliwości«. Natychmiast rozwinęło sprężystą działalność, wysyłając w r. 1827 agentów abstynencji do rozmaitych prowincyj z tak dobrym skutkiem, że już w r. 1828 liczono w Ameryce 220 podobnych towarzystw, a w r. 1829 aż tysiąc! W samych Stanach Zjednoczonych było przeszło sto tysięcy członków, zwinięto zupełnie pięćdziesiąt gorzelni i przeszło czterysta sklepów z trunkami. Były w r. 1830 całe prowincje, w których żadnych mocnych napojów nie sprzedawano, a wszystkie szynki zostały zamknięte. W r. 1835 liczono już 8.000 towarzystw, do których należało z górą dwa miljony członków. Tysiąc dwieście okrętów zaprzestało pobierać dla swych majtków rumu, który dotychczas uważano za niezbędny artykuł żywności; wojsku zaprzestano wydzielać gorzałki, a przecież w znoszeniu trudów wojennych i w sprawności żadnemu nie ustąpiło.

Stała się Ameryka naonczas pociągającym wzorem dla Anglji, Szkocji, Szwecji, Saksonji, Norwegji, Holandji, Hanoweru, Prus i Polski, gdzie w ciągu lat kilku, po r. 1830, kolejno powstawały towarzystwa wstrzemięźliwości. W Polsce powstało także już w r. 1841 specjalne czasopismo p. t. »Pismo centralne dla sprawy wstrzemięźliwości w Wielkiem Księstwie Poznańskiem«, wydawane przez Dyrekcję Towarzystwa ku przytłumieniu używania wódki w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, a wychodzące tamże w Bninie pod Kurnikiem. Ówczesny wpływ Ameryki wytworzył towarzystwa wstrzemięźliwości nawet w Indjach Wschodnich i na Jawie, na Sumatrze, etc.

Obecnie zaś znowu tasama Ameryka, dzięki świeżym ustawom, staje się punktem wyjścia ożywionych dyskusyj o alkoholiźmie, a także i niniejszych artykułów.

II.

Zniesienie w r. 1889 alkoholowego monopolu rządowego we Francji i dozwolenie tam na wolny wyszynk pomnożyło niezmiernie liczbę zakładów alkoholowych, które się mieszczą niemal w każdym domu większych miast francuskich i noszą najczęściej nazwę »ba-

rów«, a są poprostu wyszynkami w tysiącznych odmianach, zabarwieniach, smakach i nasileniach aż do absyntu, oraz stanowią pospolity dodatek, zamiast soków i syropów, do wody sodowej, selterskiej itd., wreszcie do czarnej kawy i herbaty; bez wina i zwykle bez likierów na zakończenie nie istnieje we Francji żadne normalne śniadanie ani obiad, a robotnicy, idąc do pracy, zaopatrują się przedewszystkiem w zapasy trunków codziennych. Skutkiem tego rodzaju wolności alkoholizowania się wzrosły w ostatniem czterdziestoleciu we Francji różne choroby, pomimo niebywałych pod innemi względami ulepszeń higjenicznych, szczególnie gruźlica rozpanoszyła się czterykroć silniej, niż przedtem, i rozpowszechniła się osławiona depopulacja, wynikająca głównie z naturalnej niemocy pijących. Przykład Francji zdawałby się więc zachęcać do monopolu, jako źródła ograniczającego alkoholizm, za czem też oświadczają się niektórzy abstynenci, np. krakowski Związek »Eleuterji«.

Ale monopol, to broń obosieczna, bo w gruncie rzeczy sprzyja on alkoholizmowi. Już bowiem zasadniczo dodaje on pewnej państwowej powagi używania alkoholu tak zwanemu »umiarkowanemu«, który jest fazą najbliższą pijaństwa. Urabia monopol pojęcie, jakoby alkohol i jego szynkowanie, było jakiemś wyższem, uprzywilejowanem dobrem, które państwo mocą swoją zastrzega sobie samemu ku zazdrości jednostek. Dalej doświadczenie, dopiero co wspomniane, pouczyło, że posiadacz monopolu dążyć będzie jednak z żądzy zysku do wyszynku jak najobfitszego; państwo więc monopolistyczne nie będzie logicznie wydawało zbyt skutecznych ustaw antyalkoholicznych. Monopol przeto staje się zarodkiem etycznego rozdźwięku w ustawodawstwie. Zresztą dochód z monopolu, acz doraźnie bywa bardzo wysoki i dlatego kusząco ponętny, w całości gospodarstwa państwowego przynosi szkody tak różnorodne i upośledza rozwój innych gałęzi ekonomicznych tak dalece, że nie opłaca się wcale. Zadaniem państwa niewątpliwie jest popieranie moralności i dobrobytu obywateli, a więc gruntowna walka z alkoholizmem, a nie jego monopolizowanie.

Notorycznem jest, że nawet samo życie ludzkie, ten przedmiot ochrony etycznej i najcenniejsze dobro ekonomiczne, zależy w znacznej mierze od rozwiązania kwestji alkoholizmu. Towarzystwa asekuracyjne w Anglji, opierając się na fakcie, że alkoholizm skraca życie, pijaków nie ubezpieczają wcale; od abstynentów zaś przyjmują niską opłatę, jest bowiem pewnikiem, że mniej umierają. Siły żywotne

w społeczeństwie wzrastają równomiernie z rozwojem wstrzemięźliwości, jak to pokazało się np. w Szwecji, świecącej chlubnym przykładem przezwyciężania alkoholizmu, gdzie na tysiąc powołanych do branki wojskowej niezdatnych było w 1861 roku — 324, w 1868 — 257, w 1880 — 237, w 1890 — 204, w którym to czasokresie ilość alkoholu z 6 litrów, spadła do 4 i pół na głowę rocznie.

Demoralizacja, zarazem zaś obciążenie budżetu państwowego na instytucje prawnicze, karne, lecznicze itp., niezbędne wskutek alkoholizmu, to rzeczy wiadome powszechnie, ale dla jasności dobrze to sobie uzmysłowić cyframi. Statystyka Dra Baera, lekarza więziennego w Niemczech, obejmująca skrzętnie daty o 120 zakładach i 32.837 więźniach, wykazuje, iż blisko połowę wszystkich przestępstw popełniono pod wpływem alkoholu. Szczególny wpływ wywiera alkohol na przestępstwa brutalne: i tak wśród skazanych za uszkodzenie ciała działało pod wpływem alkoholu 81·7%, za opór władzy 89%, za zaburzenie spokoju publicznego 66·6%, za występki przeciw obyczajności 73·3%, za zabójstwo 58·6%. Tymczasem za przestępstwa, wymagające rozwagi i pomysłowości, jak kradzież, oszustwo, fałszerstwo dokumentów, itp., wpływ alkoholu jest prawie żaden; dowodzi ta okoliczność, że alkoholizm działa ujemnie na przytomność umysłu i na zdolność zastanowienia. W Anglji około 80% wszystkich przestępstw przypisują alkoholizmowi, a przeto i ciężar utrzymywania dziesięćkroć większych więzień, niżby trzeba dla społeczeństwa trzeźwego. W Stanach Zjednoczonych ten procent obliczają aż na 85% od sta. Że to napewno alkoholizm jest najczęstszą przyczyną tylu zbrodni i strat, dowiódł tego pomiędzy innymi sędzia Otto Lang z Zurychu, obliczając przestępstwa popełniane w ciągu soboty wieczór (po wypłacie wynagrodzenia), niedzieli i poniedziałku (skutki libacji niedzielnej), w zestawieniu z ilością przestępstw, popełnianych w dłuższym, ale trzeźwiejszym okresie od wtorku do soboty. Otóż stosunek jest 73 : 27! Podobny stosunek podało Towarzystwo Więzienne Reńsko-Westwalskie, Dyrekcja więzienia w Zwickau, w Düsseldorfie etc. Szczegółowe studjum opracował adwokat Hotter w Landshut nad Izarą p. t. »Alkohol i przestępność w bawarskim Palatynacie nadreńskim« (1914). Stwierdzając, że w całym świecie niemieckim Bawarja dzierży smutny prym przestępności, konstatuje maximum zbrodniczości właśnie w tej części kraju, która najobficiej używa wina. Mianowicie w r. 1909 była w poszczególnych prowincjach następująca liczba wyroków karnych za przestępstwa: w Bawarji

Górnej 1307, Dolnej 1468, Frankonji Górnej 1185, Środkowej 1242, Dolnej 1029, w Szwabji 1231, a w Palatynacie 1678. Podobna statystyka powtarza się tam corocznie od lat blisko pięćdziesięciu, tak, że aż Urząd Statystyczny w Berlinie oświadczył oficjalnie: »Obrażenia cielesne zdarzają się masowo we wschodnich prowincjach państwa, w których wódka stoi na podorędziu, jeszcze więcej w Bawarji, słynącej z piwa, najskrajniej wszakże w Palatynacie, gdzie jest najmocniejsze i najtańsze wino«.

Nie będziemy się tutaj szeroko rozwodzili nad wpływem alkoholizmu na zdrowie. Zgubnemu temu wpływowi poświęcono tak liczne rozprawy lekarskie i popularno-hygieniczne, że od ogólnikowej znajomości tej kwestji nikt inteligentny wymówić się nie może. Zasadniczo jest wiadomem, że alkoholizm, to jedna z najgłówniejszych przyczyn wszelkich chorób własnych i dziedzicznych, umysłowych i fizycznych, patologicznych zmian anatomicznych i fizjologicznych, upośledzenia wszystkich zmysłów i narządów. Nie bądźmy bardziej zacofani, niż starożytni, którzy już to poznali. U Rzymian np. w pierwotnych czasach ich uspołecznienia, małżonek miał prawo zabić swoją żonę, jeżeli się przekonał, że ona używa napojów wyskokowych, bo się obawiał mieć potomków ułomnych, albo głupich, albo umysłowo i fizycznie niedołężnych. Hippokrates, ojciec medycyny, tak był przekonany o wpływie ujemnym picia wina na owoc poczęcia, że stanowczo zaznaczył to w dziełach swoich. Diogenes zawołał do młodego idjoty: »Ojciec twój był pijany, gdy ciebie począł«. Nie bądźmy też mniej świadomi od prostego ludu, który trafnie zauważył fatalny wpływ alkoholu na organizm ludzki. Tak np. w Belgji nazywają *idjotów* »*dziećmi niedzieli*«, albowiem niestety w niedziele i święta lud zwykł najobficiej raczyć się alkoholem. Na Syberji nazywają głupców i zbrodniarzy »dziećmi Piotra«, bo gorzałka nosi tam przezwisko »Piotr Pierwszy«. Bezmierne szkody, wynikające z alkoholicznych chorób w społeczeństwie, powinny same przez się być dostatecznym bodźcem, aby prawodawcy energicznie zajęli się zwalczaniem alkoholizmu.

W rodzinnej kulturze polskiej mamy zdawien dawna najpoważniejsze głosy, nawołujące do wstrzemięźliwości. Niechaj w imieniu wielu przemówi sam wieszcz z Czarnolasu, Jan Kochanowski: »Ktoby mógł wyliczyć, jako wiele zasad, jako wiele morderstwa i innych wiele haniebnych rzeczy się dzieje, prze to zbytnie a nie mierne piaństwo? o czym człowiek po trzeźwu ani pomyśli, to wszystko

upiwszy się popełni. Żadna tak sromotna rzecz nie jest, którejby się on wstydził; żadna tak sprośna, którejby się on nie ważył: wszystko mu równo... Jako się im też to płaci, to każdy na oko widzi. Samo przyrodzenie jako z niewdzięcznych synów, winy bierze; ten puchnie, ów ginie; abo wrzodliwi, abo trędowaci, żadnego zdrowego nie masz; to wniwecz co ich nagle pomrze, abo co ich pobiją. Taką rozmaitą barwę swym dworzanom zwykła niemierność dawać, tak je sobie stroi, tak im służbę płaci«. (»O pijaństwie«).

Toteż przy takich zdecydowanych poglądach duchowych przodowników Narodu, powstało w Krakowie w latach 1840-tych »Towarzystwo wstrzemięźliwości« pod prezydencją sławnego uczonego i poety Franciszka Wężyka, a w którem sekretarzem był Dr. Hechell, prof. medycyny na Uniwersytecie. Piórem, słowem i agitacją wykazywano u nas już wtedy »okropne skutki mocnych napojów na ciele i umyśle u pijaków objawiające się«, »szkodliwy wpływ pijaństwa na krewnych i otaczających pijaka«, jako »pijaństwo źródłem zepsucia obyczajów, licznych przestępstw i zbrodni«. Głoszą oni zasadę, iż koniecznie potrzeba zupełnie zaniechać mocnych napojów, i powołują się na przykład Ameryki, mianowicie na historję tamtejszych towarzystw wstrzemięźliwości (opracowaną przez Baird'a w r. 1834), gdzie nie pomagało żadne połowiczne ograniczanie się w używaniu gorzałki, aż dopiero całkowite wyrzyczenie się, czyli abstynencja. Obficie przytaczają analogiczne świadectwa »najznakomitszych lekarzów, księży, gospodarzów«, argumentują »powodem dyscyplinarnym zaniechania mocnych napojów« (tj. żądają społecznego przykładu od każdego obywatela), powodem »dyetycznym«, »ascetycznym«, »religijno-moralnym«, »ekonomicznym« i »patryotycznym«. Towarzystwo to nasze było jednem z najwcześniejszych w Europie, pierwsze bowiem zawiązało się w Londynie w r. 1831. Nie było jednak bezwzględnie abstynenckiem, gdyż tolerowało używanie piwa.

Gdy ruch w kwestji alkoholizmu stał się silnym i powszechnym, państwa starały się go przejąć z różnych przyczyn, zwłaszcza opiekuńczych, jak przynajmniej na zewnątrz utrzymywano, a w gruncie rzeczy także i ze względów ekonomicznych i zwierzchniczych, tj. dla prestige'u w sprawie, która się już stała ważną. Państwo tedy objęło w wielu krajach monopol wódczany, czem zdawało się sprzyjać wstrzemięźliwości, a zarazem miało, chociaż przejściowo, wydatne dochody.

Jednym z najgłówniejszych typów monopolu, który niech służy za ilustrację naszego tematu, był monopol rosyjski, prawie identyczny z monopolem, projektowanym przez ministra Plenera w austrjackiej Radzie Państwa 16 października 1895. »Celem pomnożenia dochodów swoich« ma państwo objąć w swoje ręce poniekąd handel hurtowny wódką. Produkcja zaś spirytusu pozostała wolną, tak jak dawniej w ręku prywatnego przemysłu, jakoteż przemysłu rolniczego. Państwo zakupuje spirytus surowy od producentów prywatnych po cenach stale ustanowionych. Zakupywany przez państwo spirytus surowy podlega przymusowo oczyszczeniu. Ta rektyfikacja odbywa się bądź we własnych państwowych zakładach, bądź w prywatnych rafinerjach, istniejących lub nowo pozakładanych, wchodzących w stosunek zakładów, które pracują za wynagrodzeniem na rachunek państwa. Z rafinerji odbiera państwo spirytus do rozsprzedaży. Cena sprzedaży musi naturalnie pokrywać koszta rektyfikacji i transportu i obejmować dodatek monopoliczny.

W Niemczech upadł w r. 1888 projekt monopolu wódczanego głównie z tego powodu, że zamierzono tam na daleko rozciągnąć administrację państwową, bo nie tylko handel hurtowny, ale nawet drobiazgowe szynkarstwo, miało przejść w zarząd państwa. Przytem okazała się potrzeba tak znacznej indemnizacji uprawnionych kupców i szynkarzy, że sejm Rzeszy projekt odrzucił.

Czem zaś w istocie swojej jest monopol spirytusowy, trafnie określa Baczewski (w broszurze, na wstępie przytoczonej): Monopol »zadawalnia bezwarunkowo rząd, który nie tylko uzyskać może znaczniejsze dochody, lecz i nabędzie niesłychanego wpływu politycznego na te masy ludności, które się produkcją, rektyfikacją i sprzedażą wódki trudnią. Ci ludzie w życiu politycznem będą musieli iść ślepo za dyspozycjami rządu — a życzenia wyborcze komisarza skarbowego będą dla nich alfą i omegą«

A więc chyba ani monopol, ani wolny wyszynk nie jest pożądany, a natychmiastowe bezwzględne wyrugowanie alkoholu wydaje się mrzonką. Tymczasem kwestja się pali i załatwioną być musi. Jakże postąpić względnie najpraktyczniej?

III.

Zasada naczelna: wykorzenienie alkoholizmu. Albowiem taki jest prąd kulturalny w całym cywilizowanym świecie, prąd wszędzie

zwycięski, z którym się liczyć jest rzeczą konieczną, a zastosować się jest rzeczą roztropną. Ten postęp wstrzemięźliwości pokazuje się wybitnie i u nas. Za przykład niech posłużą daty statystyczne spożycia wódki w Królestwie Polskiem. W latach 1865—1870 wypadało na głowę po 19 litrów wódki 40-procentowej rocznie, w 1871 do 1875 po 12, w 1876—1880 po 9, w 1881—1895 po 7, w 1896 do 1900 po 5, w 1901—1905 po 4·6; następnie wprawdzie znowu pijaństwo się wzmogło wskutek usamowolnienia robotnika (jak w latach 1860-tych po uwłaszczeniu chłopa) i wskutek tej okoliczności, że rząd rosyjski w sprzedaży wódki monopolowej miał ważne źródło dochodu i reklamował wódkę. W Krakowie znać również postępy wstrzemięźliwości: bo gdy np. w r. 1901 wypadało rocznie na głowę piwa litrów 76, wódki 17·60, wina 7·76, to w r. 1910 cyfry te wynosiły już tylko 63·49, 14·08, 5·46.

Do wykorzenienia alkoholizmu przynagla także wzgląd materjalny, boć alkoholizm jest tak strasznie kosztowny, że nawet Anglja, kraj przodujący ludzkości w kulturze i oświacie, wydaje na szkoły zaledwie dziesiątą część tego, co pochłania alkohol, we Francji robotnicy przepijają połowę, w Niemczech czwartą część swego całego zarobku. Na taki zbytek absolutnie nas nie stać, a przy odbudowie zmartwychwstającej Ojczyzny są o wiele szlachetniejsze cele, którym ma służyć majątek i siły ludzkie; nikt, a szczególnie odradzający się nasz Naród, nie powinien marnować gruntów, zboża i ziemniaków na pędzenie trunków, ani budynków na gorzelnie, browary i wyszynki, ani ludności zajmować wyrobem i sprzedażą gorzałki, skoro potrzeba rąk i czasu do lepszej pracy!

Przedewszystkiem jednak powinien przeważyć na szali praw sprawiedliwych wzgląd moralny na obyczajność publiczną, co dobrze zrozumiano przy rozporządzeniach, np. podczas wyborów o zamykaniu szynków i unikaniu w ten sposób przekupstwa, i t. d., i rozstrzygnąć powinien wzgląd na majestat państwa, którego urok i potęga wielce od wartości ustaw jego zależy. Państwo, jako najwyższa i uświęcona instytucja, nie powinno się zniżać do roli gorzelnika i szynkarza, podejmując się samo monopolu.

Trudno przypuścić, aby u nas doraźnie mogło ustać wszelkie używanie alkoholu. Licząc się z tym faktem, oraz w imię ogólnej zasady wolności wypadałoby więc dopuścić »wolny wyszynk«, ale systematycznie dążyć do jego ograniczenia. Należałoby więc pomiędzy innemi zastosować »opcję lokalną«, która okazała się tak skuteczną

np. w Ameryce północnej i Finlandji, a która polega na ustawowem udzieleniu poszczególnym gminom miejskim i wiejskim prawa zakazu produkcji i sprzedaży napojów wyskokowych. Szereg żywotnych postanowień, które mogą być wzorem przyszłych ustaw, zawiera obowiązująca jeszcze w Galicji »Ustawa przeciw opilstwu« z 19 lipca 1877 r. L. 67. Dziennika praw państwa. Nakłada ona karę aresztu do miesiąca lub odpowiednie grzywny na tych, którzy w miejscach publicznych znajdują się w stanie pijanym, publiczne zgorszenie wywołującym; tejże samej karze ulegają utrzymujący gospody i szynkownie, tudzież ich pomocnicy, gdy gościom już pijanym i niedorosłym, przebywającym bez towarzystwa osób starszych, napoje wyskokowe wydają lub wydawać pozwalają. Utrzymującym gospody lub szynkownie kilkakrotnie, a bezskutecznie karanym za wymienione przekroczenia, władza administracyjna może odebrać upoważnienie do utrzymywania gospód lub szynkowni na czas oznaczony lub na zawsze. Materjałem dla ustawodawców mogą być także rezolucje wieców, stylizowane przez fachowych referentów, np. na publicznym Wiecu w Krakowie 2 marca 1913 r. przez posła Dra Białego postawiona i z applauzem uchwalona, a domagająca się »bezwarunkowego zakazu wyszynku trunków palonych (wódki, spirytusu, rumu, koniaku) we wszystkich lokalach publicznych, a więc w szynkach, kawiarniach, restauracjach w sobotę od godziny piątej popołudniu, w niedziele i święta przez cały dzień, a ponadto nakazu zamknięcia wszystkich szynków w tymsamym czasie do poniedziałku 6 godziny rano«. Do najdzielniejszych środków zatamowania alkoholizmu należy też wysokie opodatkowanie napojów wyskokowych, jak najwyższe! Ale z tą miarodajną uwagą: aby dochody z tych opłat nie szły na rzecz państwa, tylko w całości na cele społeczne antyalkoholiczne. Przez drożyznę swoją alkohol stanie się więc mało dostępnym dla szerokich sfer i mało popłatnym dla przedsiębiorców, a dzięki zrzeczeniu się dochodów przez państwo i przeznaczeniu ich na walkę z alkoholizmem, państwo nie będzie miało interesu w alkoholiźmie, zachowa się z najszczytniejszą bezstronnością, lecz nie z biernością, owszem stanie się wzniosłym protektorem wyzwoleńczego ruchu trzeźwości i przyczyni się do tego, że kwestja alkoholizmu korzystnie rozwiąże się sama przez się. Dochody z owych opłat powinny być obrócone na wydawnictwa, wykazujące szkodliwość alkoholizmu a bezsprzecną wyższość i donioślejszą ważność innych potrzeb nad pragnienie alkoholu, na subwencje dla towarzystw wstrzemięźliwości,

a głównie na praktyczne, tak zwane w ekonomji »zastępstwo potrzeb«, mianowicie w tym razie na zakładanie, zamiast karczem i różnych przybytków Bachusa, właśnie gospód bezalkoholowych, domów ludowych itd., hojnie wyposażonych w napoje owocowe, kawę, mleko, herbatę, w przybory do gier towarzyskich i zabaw, w reprodukcje dzieł sztuki, w książki i gazety, ewentualnie w sceny teatralne, aby fałszywą i kosztowną przyjemność alkoholu czemś szlachetniejszem naprawdę zastąpić.

Jesteśmy przekonani, że narazie wolność wyrobu, sprzedaży i używania alkoholu, wolność społeczna, a nie swawolna, ograniczona zastrzeżeniami co do występków pijackich, co do osób młodocianych, co do czasów szynkowania, co do ponęty zysku, a łagodnie zwalczana kulturalnem wyświetleniem i mocnem finansowem poparciem antyalkoholizmu, najspokojniej może się ziścić ustawowo, nikogo nie rażąc, a przysparzając państwu autorytetu i bogactwa z ogólnego przez to podniesienia dobrobytu, wreszcie celowo zmierzając, przez wewnętrzny proces przetrawiania się tej sprawy, ku spełnieniu życzeń najszczerszych przyjaciół ludzkości.

K. Lubecki.

Prawo rozwodowe a szczęście małżeńskie.

(Ciąg dalszy).

Przyglądając się statystyce rozwodów w państwach, które wydały osobne prawo w tym względzie, zobaczyliśmy, że okazują one stałą tendencję do wzrostu ilościowego. Ponieważ fakt ten zadał kłam nadziejom, czynionym przez projektodawców ustawy, przeto wysnuliśmy uzasadniony wniosek, że prawo rozwodowe zasługuje na odrzucenie, gdyż nie tylko nie przyczynia się do uszczęśliwienia małżeństwa, lecz owszem wzmaga miarę złego.

Lecz to jest dopiero ogólny wynik, który sam z siebie nie jest jeszcze dostatecznie przekonywującym. Teraz więc wypadnie nam uzupełnić go przez szczegółowe wglądnięcie w całą sprawę i zastanowić się nad tem: co mogło być przyczyną niepowodzenia? Jakie nieszczęścia pociągnęło za sobą prawo rozwodowe, jak daleko one sięgały i czy nie można było im zapobiec?

Bliższe badanie tych szczegółów odsłoni nam przynajmniej w znacznej części doniosłość zmian, jakie w życiu jednostki i społeczeństwa pociągnąć musiała za sobą taka ustawa, a zarazem pozwoli nam wyrobić sobie zdanie o tem, jakie widoki może mieć prawo rozwodowe na przyszłość? Czy na podstawie poczynionych doświadczeń jest możliwem, by wprowadzić takie zmiany, ograniczenia i zastrzeżenia prawne, by ustawę o rozwodach można było zatrzymać, ale zmienić jej bieg i skierować do pierwotnie wyznaczonego celu, podniesienia szczęścia małżeńskiego?

Zadanie to jest niełatwe. Podczas gdy w świecie fizycznym można nie tylko wykrywać poszczególne pierwiastki i siły, ale też rozdzielać je i mierzyć, w świecie moralnym sprawa jest bez porównania trudniejsza. Kiedy badamy rzecz ogólnikowo i abstrakcyjnie, możemy podobnie wskazać i rozgraniczyć ostatnie czynniki; skoro jednak zejdziemy do konkretnego faktu, stajemy przed trudnościami niezwyciężonemi. Pojedyncze części składowe przenikają się tu i plączą, z tych samych przyczyn wychodzą różne siły i z różnych przyczyn te same rodzą się skutki. Rozwikłać to, uporządkować, wyznaczyć każdemu właściwe miejsce jest nieraz żądaniem ponad siły; tem bardziej, że wszystko pozostaje tu w nieustannym ruchu tak, że nie dość patrzeć na długość i szerokość obrazu, ale trzeba jeszcze zbadać jego głębokość i wysokość, nieraz zbyt niedostępne dla oka ludzkiego.

Trudność ta sprawdza się w całej pełni w kwestji obecnej. Obok prawa rozwodowego ileż to innych czynników wywarło potężny wpływ na powstanie złego, o którem mówić będziemy. Jest to istna sieć, w której można się poruszać tylko zwolna, krok za krokiem, i to jeszcze nie bez zastrzeżeń. Z trudności tej zdajemy sobie najzupełniej sprawę i nie ukrywamy jej przed czytelnikiem, ale też nie myślimy się cofać. Przeszkody mogą nas tylko pobudzić do tem większej wytrwałości i ścisłości w badaniach, a ostrożności i umiarkowania w twierdzeniach.

Nie wszystko zresztą jest tu ciemnem; są punkta tak jasne, że uderzają wprost swą oczywistością, nie pozostawiając najmniejszej wątpliwości. Są inne, mające pewne racje za sobą, ale mniej silne, a wtedy nie omieszkamy tego zaznaczyć. Nie jesteśmy zresztą sami; wielu ludzi światłych, nie tylko wierzących, zabierało już głos w doniosłej tej sprawie i do podobnych doszło wyników.

* * *

Na co istnieje małżeństwo?

Pytanie to podobnem jest do innego zagadnienia: czemu istnieje mężczyzna i kobieta? — Widocznie jest to potrzebnem, bo natura niczego nie czyni nadarmo. Czyż cudowna celowość, objawiająca się w przyrodzie, miałaby chybić tam, gdzie chodzi o jej arcydzieła? Lecz przyczyną wystarczającą nie może tu być sama tylko przyjaźń lub pomoc wzajemna, ponieważ do tego wystarczy jedna płeć.

Musi to być taki cel, którego osiągnięcie niemożliwem jest bez współdziałania obu stron.

Wiemy też dobrze wszyscy, że jest nim: danie życia nowym pokoleniom. W tym porządku natury, jaki panuje na naszym globie, tylko przez wzajemne połączenie się dwóch różnych pierwiastków powstać może nowa istota ludzka. Gdyby nastąpił rozdział zupełny płci, ludzkość wyginie na ziemi.

I dlatego łączą się mężczyzna i niewiasta, i idą odtąd razem, ręka w rękę, by wspólnym wysiłkiem podtrzymać nić życia na ziemi. Podejmują wielką misję światową i spełniają wzniosłe posłannictwo, jakie niegdyś zlecił Bóg pierwszym rodzicom, kiedy odezwał się do nich: »Rośćcie i mnóżcie się!«

Lecz im wyższe dzieło, tem większa godność, ale zarazem tem cięższe obowiązki.

Wszędzie tak bywa. W warsztacie rządzi wszystkiem majster, ale też on odpowiada za pracę; budują murarze, ale architekt zdaje sprawę z wykonania planu; pracują po biurach urzędnicy, im który wyższy rangą, tem większe posiada znaczenie, ale też na nim ciąży większa odpowiedzialność; niżsi oficerowie muszą się zachować z szacunkiem względem głównego wodza, ale też w razie klęski mogą wyjść cało, podczas gdy ten otrzymuje dymisję. Jednem słowem, ze wzrostem znaczenia wzmaga się odpowiedzialność.

Małżeństwo nie jest wyjętem z pod tego ogólnego prawa. Mężczyzna i niewiasta, przyjmując na siebie cel, który wznosi się ponad inne czysto ludzkie, wstępują na najwyższy szczebel znaczenia, ale też zarazem przyjmują najtrudniejsze obowiązki.

Doświadczenie jest wymownym tego dowodem. Żaden urząd na świecie nie dorówna pod względem trudności i ciężarów stanowi małżeńskiemu. Praca jego mozolna i długa, a ostateczny jej owoc dzielić musi niepewność i zmienność ze wszystkiem, co ziemskie. Ileż potrzeba poświęcenia, nim dziecko przyjdzie na świat; ile pracy, niespania i cierpliwości, nim zacznie wymawiać pierwsze słowa i stawiać pierwsze kroki! Ile następnie lat nauki i wychowania! A co potem będzie? Tego nikt nie wie. Czy po latach mozołu i czekania wyrośnie stąd pociecha i chluba dla rodziców, czy może strapienie i hańba; czy będzie żył i wesprze ich starość, czy też w tej właśnie chwili, gdy już będzie dochodził do celu, Wszechmogący w niepojętych wyrokach swoich zabierze go do siebie — któż to wie?

Trzeba prawdziwie nadzwyczajnego zaparcia siebie, żelaznej woli i głębokiego poczucia obowiązku, by mimo tych obaw, niepewności i trudów nie ulec zniechęceniu, nie sprzeniewierzyć się w niczem i odpowiedzieć godnie swemu zadaniu.

Do tego wiele potrzeba. Tylko ten, kto pojął ważność sprawy i doniosłość posłannictwa, a zarazem posiada wystarczającą siłę moralną, przyjąć może na siebie obowiązek ojca czy matki i zdoła go wypełnić. Godność ta bowiem stawia wysokie wymagania i wśród zmiennych kolei tego życia nie pozwala się wahać. Gdzieindziej bowiem pomyłka lub chwilowe ustępstwo, uczynione słabości czy namiętności, może ujść bezkarnie, lecz tu rzadko mija bez trwałego śladu. A ponieważ słabość ludzka tak jest wielką, przeciwności zewnętrzne tak nieraz silne, dlatego trzeba wysokiej siły odpornej i żelaznego hartu, któreby stały na straży obowiązku.

Małżeństwo, jako związek kobiety i mężczyzny w celu utrzymania ciągłości rodzaju ludzkiego na ziemi, to stan wzniosły, święty, ale też stojący całkowicie na idei obowiązku.

I dlatego wzmaganie poczucia obowiązkowości jest zadaniem nie tylko wychowania rodzicielskiego, ale też pedagogiki społecznej. Posiadać obywateli dzielnych i wyrobionych pod tym względem, to najżywotniejszy interes społeczeństwa, które w dopuszczalnych granicach powinno przyczyniać się do tego wszędzie, a zwłaszcza w małżeństwie. Przecież od niego zależy przyszłość państwa ilościowo i jakościowo, podtrzymanie więc tej instytucji i udzielanie jej wszelkiego poparcia powinno być staraniem każdego dobrego rządu.

Tymczasem prawo państwowe, pozwalające na otrzymanie zupełnego rozwodu, działa wręcz przeciwnie. — Przypatrzmy się, dlaczego?

Że jedynie trwałość małżeństwa zgadza się z pojęciem prawdziwej miłości, która nosi na swem czole piętno wieczności, że jedynie ona zabezpiecza jednolite i wzorowe wychowanie młodego pokolenia, to musi każdy przyznać.

»Małżeństwo — powiada liberalny filozof Fr. Paulsen [1]) — z istoty i pojęcia swego rozciąga się na całe życie, a nie tylko na pewien czas. Wielożeństwo następcze byłoby gorszem. niż jedno-

[1]) System der Ethik, II[6], str. 276.

czesne, byłoby zaprzeczeniem samej idei małżeństwa. Zarówno wzajemny stosunek małżonków, jak rodziców i dzieci, żąda dożywotniego trwania małżeństwa. Tylko w tem przypuszczeniu możliwem jest zupełne zaufanie, całkowite oddanie się i pełne zespolenie życia małżonków. Dla dzieci zaś rozwiązanie małżeństwa, z którego wyszły, jest zniszczeniem podłoża, w którem tkwi ich moralne jestestwo«. Omawiając następnie kwestję rozwodów, dodaje, że chcieć przez nie usunąć nieszczęścia małżeńskie, znaczyłoby to samo, co »pragnąć wygubić z powierzchni ziemi kradzieże przez usunięcie własności«.

Prawdę tę przyznają również zwolennicy rozwodu, a niektórzy z nich wysuwają nawet bardzo silnie trwałość małżeństwa, jako szczyt na drodze ewolucji. Jednakże robią oni pewne rozróżnienie. Uznając i polecając nierozerwalność faktyczną, płynącą z miłości, odrzucają stanowczo nierozerwalność prawną, czyli przymusową, jako sprzeciwiającą się wolności i szczęściu. Wiele małżeństw — mówią — trzyma się wprawdzie razem, ale tylko z przymusu i wskutek tego skazane są na niewolę i cierpienia. Skoro zaś wprowadzimy prawo rozwodowe, niedobrane owe pary rozejdą się i złączą w inne związki, które pozostaną trwałemi, o ile będą sobie odpowiadały.

Piękne to plany — tylko owo złowrogie: »o ile...«

Różnych ludzi spotykamy na ziemi, to jednak jest pewne, że silnych charakterów mamy stosunkowo mało, a widoki polepszenia są słabe. Ze słabością tą trzeba się liczyć. Jednostki bowiem słabe wstępują licznie w związki małżeńskie i często się zdarza, że po upojeniach miesięcy miodowych, wśród szarzyzny życia codziennego, niejednemu zaczyna być ciężko w tym stanie, i radby się usunął lub zamienił na dogodniejszy. I chociażby to był człowiek dobrych zasad, to jednak może na niego przyjść taka chwila, że uczuje się niemal bezsilnym wobec nacierającej pokusy i nie będzie zdolnym do poważniejszej refleksji, ani podatnym na wyższe pobudki. Wprawdzie gwałtowna ta burza minie po pewnym czasie, jednakże niebezpieczeństwo jest groźne, i w tych okresach przejściowego wahania się, potrzeba mu koniecznie jakiegoś środka, działającego bezpośrednio na wolę, energicznego i stanowczego.

I oto takiem lekarstwem jest wtedy pamięć na prawną nierozerwalność małżeństwa. Raz wszedłem w związek małżeński i rzecz skończona; teraz już nie pora się namyślać, tylko trzeba spełnić, co do mnie należy! Te krótkie, ale jędrne słowa, ta świadomość

położenia, wykluczającego wszelką zmianę, wstrząsa nim zbawiennie i działa z magiczną siłą; podnosi się i idzie do pracy.

Ludziom dobrym, lecz niezbyt silnego charakteru, oddaje więc prawna nierozerwalność małżeństwa tę wielką przysługę, że powstrzymuje ich od popełnienia nierozważnego kroku, któregoby może żałowali przez całe życie.

A cóż powiedzieć o ludziach złych lub w każdym razie bardzo niepewnych zasad? Dla nich to zawarowanie nienaruszalności jest jedynem lekarstwem, a zarazem prawdziwem dobrodziejstwem dla pozostałej strony i dzieci.

Jakiegoż bowiem innego środka użyć? — Przecież nikt ich nie będzie trzymał pod kluczem w domu ani próbował przekonywać, bo to trud daremny. A osób takich nie brak. Iluż to mężów sprzeniewierza się żonom, i naodwrót niejedna mężatka porzuca nie tylko męża, ale nawet własne dzieci i ucieka z kochankiem. Nie zawsze pochodzi to z natury z gruntu zepsutej, przewrotnej. Nieraz bywa to raczej skutkiem uwiedzenia, chwilowego uniesienia, które przygłusza wszelki głos rozumu i sumienia, czyniąc człowieka igraszką namiętności. Wtedy żadne tłomaczenie nie pomoże, daremne będą wszelkie prośby i zaklęcia. Tylko pamięć na nierozerwalność małżeństwa może jeszcze pomóc, przywrócić przytomność umysłu i zażegnać grożące niebezpieczeństwo.

W ten sposób surowe to prawo podtrzymuje słabnącą energję jednostek niepewnych, dla ludzi przewrotnych staje się niekiedy jedynym hamulcem, a u jednych i drugich zabezpiecza stronę niewinną przed gorszemi następstwami.

I tę właśnie ostatnią tamę zrywa prawo rozwodowe, a tem samem otwiera szeroko bramę do lekceważenia i zaprzepaszczenia najświętszych obowiązków.

Człowiek dobry, bez słabej woli, straci wtedy podporę, która go podtrzymywała dotychczas i stoczy się dalej po pochyłości, gubiąc po drodze jeszcze tę odrobinę charakteru, którą posiadał. Człowiek niepewnych zasad, zły, ujrzy, jak nagle opadły kajdany prawa, które krępowały go dotąd i nie pozwalały na wyuzdaną swobodę. Nałożono wprawdzie pewne ograniczenia, lecz to fraszka; od tego rozum i pieniądze, by je obejść.

I już nie będzie się liczył z drugą stroną, bo czasy »niewoli« się skończyły. Dotychczas musiał się stosować, ustępować, lecz

teraz... teraz mą inne, łatwiejsze wyjście. Póki wszystko idzie gładko, póki dom bawi, tak długo można w nim zostać; ale kiedy się sprzykrzy, gdyby dalszy pobyt wymagał jakich trudów i ofiar, porzućmy go, szukajmy szczęścia gdzieindziej — wszak droga przed nami otwarta, a człowiek raz tylko żyje!

A wtedy upadnie małżeństwo, bo przecież bez ofiar i trudów nigdy się tu nie obejdzie. Wtedy ogarnie ludzi szał używania, związki rozchodzić się będą równie łatwo, jak zawierać. Przypomnijmy sobie tylko statystycznie stwierdzone stałe wzmaganie się liczby rozwodów, nie idące w parze ze wzrostem ilości małżeństw [1]).

Lecz co się wtedy stanie z głównym celem małżeństwa? Co ze społeczeństwem? Nie tylko pozbawionem ono zostanie przyszłości, ale upadek obowiązkowości odbije się ponurem echem we wszystkich jego wiązaniach. Wszystkie posterunki społeczne opierają się przecież ostatecznie na obowiązkowości, bo policją, wojskiem i więzieniem niczego się nie buduje. Jeżeli jednak ludzie zobaczą, że można poniewierać obowiązki małżeńskie, wyższe, tem bardziej pozwolą sobie na to samo w niższych.

Słusznie zauważa znany nam już A. Roguenant, że »nawet nie rozważając nierozerwalności węzła małżeńskiego ze stanowiska religji, lecz oceniając ją jedynie ze społecznego punktu widzenia... musi się przyznać, że rozwód jest złamaniem słowa, danego w najbardziej uroczystych okolicznościach, w najdonioślejszej chwili życia społecznego i indywidualnego« [2]).

Bo albo żąda go zawiedziona strona niewinna, albo też stara się o niego ten z małżonków, który chce uchylić się od spełnienia podjętego obowiązku. Wypadki, w których obie strony byłyby niewinne, zdarzyć się mogą tylko wyjątkowo i wtedy będzie najczęściej

[1]) Dla przykładu porównajmy ilość rozwodów we Francji, z równoczesną liczbą zawartych ślubów (podaną na podstawie Handwörterbuch d. Staatswissenschaften, t. IV²):

w r.	było ślubów	rozwodów
1885	283.170	4.123
1890	269.332	6.657
1895	282.915	7.700
1898	287.179	8.100

A więc, podczas gdy liczba małżeństw utrzymała się niemal na równi, a w r. 1890 spadła nawet znaczniej rozwody wzrosły ilościowo prawie dwukrotnie.

[2]) »La natalité et les moeurs« str. 165.

mowa o unieważnieniu małżeństwa, a nie o rozwodzie. Na ogół zaś trzeba przyznać z ubolewaniem, że święty ten związek, zawarty wśród obopólnych najgorętszych uczuć i zaręczeń, targa się w sposób niski, który budzi najwyższe oburzenie w sercu każdego szlachetnego człowieka. Cóż bowiem bywa przeciętnie przyczyną rozwodu? Statystyka wykazuje, że najczęściej: wiarołomstwo, okrutne obchodzenie się i porzucenie [1]). — Czy to są motywy wzniosłe? Czy ludzie, którzy potrafią się w ten sposób sprzeniewierzyć, mieli jakiekolwiek poczucie obowiązku?

A spójrzmy na literaturę powieściową, ową jedyną nieraz obok gazet duchową strawę dla mnóstwa młodych i starszych ludzi. Czy przynajmniej ona stara się i zdoła wyszukać jakieś idealniejsze pobudki rozwodu, któreby w sercach czytelników wzmocniły poszanowanie obowiązku? Nie, nawet najlepsze talenta nie są w stanie nadać temu z istoty swej niegodnemu postępkowi pozoru czegoś lepszego, lecz w najlepszym wypadku przedstawiają nieszczęście strony niewinnej, budząc szczere dla niej współczucie i starając się usprawiedliwić jej krok. Inni zaś nawet tego nie próbują, lecz z umysłu grzęzną w błocie i rozmazują je szeroko dokoła siebie. W sposób napiętnowania godny wynoszą pod niebiosa wolną miłość i wolny związek, będące tylko prostem następstwem prawa rozwodowego, a natomiast małżeństwo uczciwe i trwałe nazywają niewolą, obowiązkowość głupotą, a zmienność miłości mocą ducha, dumą, zrozumieniem życia (u nas np. H. O. Garlikowska, C. Walewska).

Rozpalona wyobraźnia podobnych powieściopisarzy i pisarek prześcignęła w swym zapędzie wszystkich. Nawet najzagorzalsi propagatorowie rozwodu uznają bowiem ważność poczucia obowiązku i żądają jego przestrzegania. Tak n. p. Ellen Key broni gorąco wolne związki, ale przecież czyni następującą uwagę: »Oczywiście, że gdzie niema głębszej miłości, gdzie niema poczucia o d p o w i e d z i a l n o ś c i, tam te obyczaje mają najgorsze skutki« [2]). Tę samą myśl powtarza w różnej formie w innych miejscach, a podobnie czyni Bebel i inni.

Gdyby ludzie działali rozumnie, jak to przystoi ich naturze, gdyby zawierali związki małżeńskie z tem głębokiem poczuciem obowiązku, jakiego one wymagają, gdyby starali się rzeczywiście

---

[1]) Do kwestji tej powrócimy obszerniej w dalszym ciągu.

[2]) »Miłość i małżeństwo«, tłóm. W. Witebski, Lwów, 1905, str. 131.

odpowiedzieć przyjętemu na siebie zadaniu, wtedy nie byłoby potrzeby rozwodów, chyba w rzadkich, wyjątkowych wypadkach. Lecz jak długo człowiek nie wzniesie się do tego stopnia wyrobienia moralnego, tak długo chromać będzie i przechylać się ciągle ku szkodliwej swobodzie; szuka bowiem w małżeństwie tylko przyjemności, lecz trudów ponosić nie umie i nie chce.

»Wszystkie też dowody — tak kończy Dr. G. v. Rohden swą głęboką rozprawę o kwestji płciowej[1]), — które przytacza się przeciw trwałej monogamji, sprowadzają się ostatecznie do jednej, ale naprawdę przekonywującej racji, że wielka, a może nawet większa część ludzi, ściślej mówiąc mężczyzn, nie wyrobiła jeszcze w sobie takiej osobistości i charakteru, aby mogli wziąć na siebie pełną odpowiedzialność za używanie swego popędu płciowego, i stosownie do tego mieli ograniczać się i powściągać«.

* * *

Oprócz roli leczniczej i zapobiegawczej ma prawna nierozerwalność małżeństwa także doniosłe zadanie pedagogiczne.

Jakkolwiek zawarcie małżeństwa polega na wzajemnej umowie, różni się jednak zasadniczo od wszelkich innych kontraktów, które zawiera się z ołówkiem w ręku, po uprzedniem ścisłem obliczeniu czy interes opłaci się, czy nie. Czynnikiem, który występuje tu na pierwszy plan, jest miłość, wobec której względy rozumowej i praktycznej natury schodzą na dalszy plan, a niekiedy ustępują nawet zupełnie; ani różnica stanu, ani zdrowia, brak wyposażenia lub inne poważne trudności nie zdołają odchylić wagi, jeżeli na szali zaciążyło serce.

Ta potęga elementu uczuciowego jest zawsze niebezpieczną i prowadzi nieraz do smutnych następstw, które wyłaniają się niedługo po ślubie. Dlatego wymaga ona koniecznie przeciwwagi. Uczucie jest wprawdzie niezbędnem, bez niego życie byłoby jałowe, niemal martwe, pozbawione wszelkiej żywszej inicjatywy i piękna. Lecz władza to jest ślepa, akty jej podobne do fal oceanu, które raz ledwo drgają na powierzchni, a kiedyindziej jak wściekłe miotają

---

[1]) Zeitschrift für Socialwissenschaft, Leipzig, r. 1908, str. 104.

się na przybrzeżne skały. Człowiek nie może więc zdać się spokojnie na ich bieg, lecz musi opanować niepohamowany ten żywioł, poddać go kontroli rozumu i kierownictwu woli, inaczej narazi się na katastrofy, tak częste i tragiczne, zwłaszcza na polu erotycznem.

Nie możemy jednak i, zdaje się, nigdy nie będziemy mogli powiedzieć, że ogół ludzi młodych, zabierających się do stanu małżeńskiego, posiada wymaganą dojrzałość sądu i odpowiednią dozę wyrobienia wewnętrznego. Dla takich pomoc z zewnątrz, w jakiejkolwiek formie, będzie zawsze prawdziwem dobrodziejstwem i ocali tysiące od zguby. I oto jedną z potężnych dźwigni była tu zawsze pamięć na nierozerwalność małżeństwa.

Na porwanego żarem namiętności młodzieńca czy pannę działała ona otrzeźwiająco i zmuszała do poważniejszego zastanowienia. Pamięć na dozgonność związku ostudzała nierostropny zapał, pod jej naporem zaczynał przychodzić spokój i rozwaga. Każde zaczęło sobie uświadamiać, że przecież wiosna nie potrwa wiecznie, a gdy przeminą pierwsze uniesienia miłości, nastąpi dłuższy okres codziennego, prozaicznego życia, które tylko pod tym warunkiem będzie szczęśliwem, jeżeli się dobrze dobiorą. Uprzytomniwszy sobie jasno tę prawdę, wglądali więc bliżej w siebie, warunki rodzinne i materjalne, wymagania i możność zadośćuczynienia im, ważność przedsięwzięcia i jego odpowiedzialność.

W ten sposób prawna nierozerwalność była dla wielu młodych ludzi czynnikiem wychowawczym, niesłychanie doniosłym, bo dotyczącym jednej z najważniejszych spraw w życiu.

Prawo rozwodowe pozbawia ich tej cennej pomocy.

Po co bowiem wiele myśleć i tyle przewidywać? Miłość tak jest piękną, czemuż psuć jej główne porywy tak poziomemi rozważaniami, czemu pozbawiać się rozkoszy, która już stoi przed nami? Że potem może się zmieni... Ktoby o tem myślał? Przecież przez ślub nic nie tracimy. Gdy minie poezja i pokaże się, że z nią zgasła miłość, rozejdziemy się i pójdziemy szczęścia szukać gdzieindziej!

Zapewne, wielu ludzi sumiennych nie będzie brało tej sprawy tak lekko, przynajmniej z początku. Lecz trzeba nie mieć pojęcia o stosunkach obecnych, żeby nie uznać, iż co najmniej połowa postąpi podobnie, a dzięki złemu przykładowi i obniżeniu poziomu moralnego, liczba ta rósć będzie ciągle.

Bezgraniczna lekkomyślność w zawieraniu małżeństwa szerzyć się pocznie wtedy coraz bardziej.

Pary będą się łączyły i rozchodziły lekko, ot tak, jak na balu. I im łatwiejsze warunki postawi prawo państwowe, im szersza zapanuje swoboda, tem więcej ludzi korzystać z niej będzie, tem bardziej podupadnie powaga małżeństwa.

Że to nie jest tylko czysta teorja i nieuzasadniony pesymizm, widzimy najlepiej na przykładzie Ameryki. Podczas gdy inne państwa ograniczyły się do paru lub kilku przyczyn, wymaganych dla otrzymania rozwodu, niektóre ze Stanów uznały ich aż kilkanaście. Widzieliśmy już przedtem, że ilością rozwodów przewyższyła Ameryka całą Europę; jak niesłychana zaś lekkomyślność zapanowała tam w kwestji zawierania małżeństwa, świadczy następujące sprawozdanie [1]):

»Przedewszystkiem zawiera się tam śluby w sposób, który można jedynie określić mianem bezdennej lekkomyślności. Dlatego prawdziwa reforma kwestji rozwodowej w Stanach Zjednoczonych musi się zacząć od od zreformowania sposobu zawierania małżeństwa. Nierzadko bowiem żeni się nie tylko na podstawie przemijającej skłonności, chociaż młodsi małżonkowie nie mają środków do utrzymania — lecz nawet wprost pod wpływem chwilowej zachcianki, która może ustąpić po kilku godzinach. Gazety amerykańskie opowiadają co parę dni o jakiejś uroczystości wiejskiej, na której, po przetańczeniu kadryla, trzy nowe pary kazały się połączyć węzłem małżeńskim jeszcze przed zakończeniem zabawy; albo też przytaczają, jak pewien urzędnik cywilny został zbudzonym w nocy, aby przez otwarte okno, napół ubrany i przy blasku migającego wskutek wiatru światła, spoić węzłem małżeńskim jakąś przychodzącą parę, która wyraziła życzenie wzajemnego pobrania się«.

Nic też dziwnego, że na trwałość tych małżeństw, jeżeli się godzi tak nazwać podobne związki, trudno liczyć. Na 198.914 osób, rozwiedzionych w r. 1900, było 2.649 liczących poniżej 20-u lat, a zatem w wieku, w którym u nas wielu nie myśli jeszcze o małżeństwie [2]).

Podobnie w niektórych okolicach Francji, gdzie pomimo wszelkich ograniczeń prawnych łatwość uzyskania rozwodu jest również wielka, wyrobiła się wśród szerokich warstw robotniczych opinja,

[1]) Dr. Ernst Schultze: Die Ehescheidungsfrage in den Vereinigten Staaten, w Zeitschrift für Socialwissenschaft, Leipzig, r 1908, str. 226.

[2]) C. Wright: Outline of Practical Seciology, New York, 1902, str. 164.

że łatwiej zerwać małżeństwo, niż je zawrzeć. Jak zgubnie odbić się musi takie przekonanie na zrozumieniu powagi związku, zrozumie łatwo każdy, a wzmagająca się ilość rozwodów w tym stanie najlepszym jest tego dowodem.

Lecz do czegoby doszła ludzkość, gdyby wszyscy przejęli się podobnym duchem?

* * *

Lekkomyślność ta i upadek obowiązkowości pociągają za sobą inne jeszcze zło.

Trwałości małżeństwa żąda nie tylko jego właściwy cel, lecz także inne względy. Przedewszystkiem jest to — i pozostanie jeszcze długo — dla przeważnej części kobiet kwestja istnienia, bo przecież mniejszość tylko ma zabezpieczony wystarczający, niezależny byt, a z posagów nie wiele zdoła wyżyć. Obok miłości i spełnienia nadziei, wiążących się z natury ze stanem małżeńskim, widzi więc kobieta w nim zarazem zapewnienie własnej egzystencji. Co się tyczy mężczyzny, jest ona wprawdzie na ogół w lepszem położeniu, wiemy jednakże dobrze, jak trudno mu obejść się bez pomocy, jak dotkliwie daje mu się odczuć strata żony.

Trwałości też wymaga wzajemne szczęśliwe pożycie, gdyż tylko pod tym warunkiem można mówić o zupełnem obopólnem oddaniu się, szczerości i ufności. Gdy dwoje kochających się ludzi złączy się i powie sobie, że odtąd będą razem na zawsze, wtedy błoga ta świadomość zacieśni ich związek, i chociaż z czasem przeminą gorące porywy młodości, węzeł duchowy róść będzie ciągle na sile. Nie będą mieli żadnych tajemnic przed sobą, dzielić będą swe radości i smutki, wspominać mile przeszłe chwile i snuć plany na później.

Lecz to wszystko jedynie pod warunkiem — że nie rozejdą się nigdy! Tak przyrzekli sobie niegdyś u stóp ołtarza, a teraz żyją tylko tem niezłomnem przeświadczeniem, że dochowają sobie wzajemnie przysięgi wierności.

Na wierze w dotrzymanie danego słowa na wzajemnem zaufaniu opiera się ich stosunek. Bez tego przeświadczenia nie może być mowy o szczęśliwem małżeństwie.

Tymczasem prawo rozwodowe niszczy w zarodku to zaufanie i poleganie na danem słowie. — Dlaczego?

Dlaczego? — Poco pytać? Czyż to nie oczywiste? Jakże wierzyć zapewnieniom niezachwianej i trwałej miłości, kiedy drzwi rozwodu stoją zawsze otworem i tylu z pośród tych, którzy podobnie przysięgali, już przez nie przeszło?

Gdyby przynajmniej można było mieć moralną pewność, że ten lub ta, którzy teraz stoją obok siebie, nigdy tego nie uczynią... Lecz skąd ją mieć?

Któż zaręczy pannie, owianej najczystszemi pragnieniami i najszczerszemi chęciami, że może polegać na słowach starającego się o jej rękę? Wprawdzie całe jego zachowanie robi wrażenie jak najlepsze, lecz bądź co bądź jest to tylko — wrażenie. A co pod niem? Piękne słowa mogą się znaleźć na ustach każdego, owszem ludzie źli, lekkomyślni celują właśnie w tej sztuce. Chciałaby dotrzeć do dna jego duszy, przeniknąć prawdziwe zamiary i najgłębsze uczucia, lecz niestety, to niepodobne. Niezliczona ilość możliwości otwiera się przed nią, jedna ciemniejsza od drugiej, a tymczasem rzeczywistość przysłonięta gęstą mgłą, ledwie na parę kroków widać drogę przed sobą.

Póki panowała prawna nierozerwalność małżeństwa, ryzykowała wprawdzie zawsze, ale przynajmniej była ochronioną na wszelki wypadak. Lecz teraz? Jeśli mąż zażąda rozwodu, co pocznie? Zechce się opierać? Lecz na to są wybiegi prawne, na to są inne sposoby; ten, który przysięgał jej miłośc, potrafi stać się katem, byle przymusić ją do tego kroku.

Czy te i tym podobne myśli nie narzucą się siłą rzeczy każdej roztropnej pannie i jej troskliwym rodzicom?

A choćby nawet przezwyciężyła ten lęk i stanęła na ślubnym kobiercu, wstąpiła w progi nowego gniazda, czy już obawy znikną? — Nie, one trwać będą nieustannie, bo możliwość rozwodu wisi zawsze, a ta myśl zatruje i zmieni do niepoznania cały wygląd życia domowego. Póki wiosenne tchnienie pierwszej miłości przelatywać będzie nad młodą parą, wszystko może iść dobrze. Lecz niech przyjdzie do nieporozumień, o które tak łatwo, a w tej chwili możliwość wszystkiego najgorszego wypełznie na wierzch i już nie skryje się więcej. I jakże wtedy zwierzać się wzajemnie i otwierać serce, kiedy się nie wie, czy ono nie zostanie może sromotnie zdeptane? — Nie o mężu i dzieciach, ale o sobie samej będzie musiała myśleć nieszczęsna, by się zabezpieczyć na wszelki wypadek.

W podobnem położeniu znajdzie się również każdy szlachetny mężczyzna. Kto go upewni, że wdzięczny uśmiech i słodkie słowa jego narzeczonej nie są udane, że za niemi nie ukrywa się inna, niższa pobudka? Wszak kobieta posiada dar udawania w tak niezwykłym stopniu, że nawet najbliżsi nie zdołają poznać jej duszy; są przykłady, że własni rodzice uważali córkę za niewinną i czystą, podczas gdy kwiat jej cnoty już dawno zwiędnął i odpadł.

Smutno więc będzie wtedy. Wieczne: »a może, a może« dręczyć będzie ludzi dobrych zniechęcać do stanu małżeńskiego, zatruwać wzajemną miłość i ufność, a siać rozdwojenie i przepaść pomiędzy jednostkami.

Czy to nie straszne? — Zapewne, są ludzie tak gruboskórni, że na takie pytanie zwrócą na nas wielkie oczy i zapytają ze zdumieniem: cóż w tem strasznego? Są, powtarzam, natury brutalne, pozbawione wszelkich wyższych dążności, niedostępne dla uczuć delikatniejszych — lecz do nich się nie odzywamy; oni nie są zdolni do zrozumienia i odczucia tej rzeczy. Ale zwracamy się do tych wszystkich, u których prawdziwa kultura wysubtelniła to, co tkwi na dnie każdej duszy ludzkiej. I nie mówimy tu o jakiejś kulturze wyrafinowanej, dostępnej tylko dla uprzywilejowanych. Nie — nas zrozumie i wiejskie dziewczę, byle było uczciwe i szlachetne. Wrażliwość na otwartość i szczerość drugiego, pragnienie wzajemności, odczuwanie najmniejszego nawet braku, któryby rzucał cień na jasną wstęgę, łączącą kochające się serca, właściwe są człowiekowi z natury i każdy odczuwa je głęboko, choćby pochodził z pod ubogiej strzechy.

Co za nieopisana boleść targać musi duszę uczciwego młodzieńca lub panny. która stanąwszy u rozstajnych dróg życia, spostrzega, że położenie jest bez wyjścia: jeżeli pójdzie w lewo, sprzeciwi się własnemu sercu, a jeśli skieruje się w prawo, nie wie, czy tam nie czyha podstęp i zdrada?

Bo nie zapominajmy o jednej jeszcze okoliczności, na którą wielu za mało zwraca uwagi: na opinję, jaka wyrabia się w społeczeństwie, w którem rozwody stają się coraz częstsze. Dzień w dzień czyta się o coraz to nowych wypadkach. Z czasem rzecz przestaje już zajmować, staje się powszednia i szuka się tylko, czy niema tam znajomych lub jakich wybitnych osobistości. Lecz za to co się wyrabia? Powoli, niepostrzeżenie wkrada się przekonanie, że rozwód, to zjawisko tak powszechne i zwyczajne, że jeśli nie musi, to

w każdym razie może zajść wszędzie. Gdziekolwiek więc zobaczy się, lub usłyszy o ślubie, mimowoli pojęcie to zespoli się w umyśle z widmem rozwodu, do którego ślub jest wstępem.

Lecz jakież echo wywołać musi taka myśl w sercach tych, którzy w stanie małżeńskim widzą coś więcej nad ciało i chwilową rozkosz! Gdy podkopaną zostanie wszelka wiara w ludzi i jeden na drugiego spoglądać będzie z nieufnością, to czy na tak wyjałowionym gruncie znajdzie prawdziwa miłość pole do rozkwitu? Czy nie zapanuje tam przeraźliwa pustka?

Jeszcze to złe nie przyszło, a już nie jeden mężczyzna stroni przed małżeństwem, ponieważ nie dowierza kobiecie. »Tak jest — powiada C. Plater Zyberkówna [1]) — rozumni i zacni mężczyźni, ci najbardziej się boją dzisiejszej kobiety: kobiety bez ideału, bez praktyczności, bez zdrowia, a nawet bez cienia narodowej godności; które świecą bogactwem stroju, a rażą rozbawieniem«.

Tak wyraża się znana autorka, której nikt chyba nie zaliczy do grona pesymistek. Za mężczyzn zaś wypowiada to samo zdanie I. Jeske-Choiński [2]): Dosyć wsłuchać się tylko w myśli i uczucia dzisiejszych miejskich panien, aby się nie spieszyć do małżeństwa. Wielkie to w dzisiejszych czasach ryzyko».

A cóżby powiedzieli ci sami — zarówno o mężczyźnie, jak o kobiecie — gdyby wskutek prawa rozwodowego zapanowały u nas podobne stosunki jak we Francji lub Ameryce?

Stany Zjednoczone są najlepszym dowodem, że nie tylko młode małżeństwa narażone są na rozejście, ale nawet podeszły wiek i długie lata, spędzone razem pod jednym dachem, nie dają zupełniej rękojmi.

Znany nam już C. Wright pisze tak w swej książce [3]): »Długość trwania pożycia małżeńskiego przed otrzymaniem rozwodu, przedstawia ciekawe studjum. Biorąc wszyskie rozwody, udzielone w okresie od r. 1867–86 [4]), znaleziono, że średnio mąż żył 8·97 lat z żoną, a żona 9·27 z mężem. Przeciętne te jednak cyfry nie dają jasnego pojęcia o rzeczy, wobec tego zdumiewającego faktu, że 25.371 par, z pośród rozwiedzionych, żyło ze sobą 21 lub więcej lat... a w niektórych wyjątkowych wypadkach żyli razem 40 lat«.

---

[1]) Na progu małżeństwa. Warszawa, 1918, str. 134.
[2]) Seksualizm w powieści polskiej, Warszawa, 1914, str. 41.
[3]) Outl. o. Pract. Sociol., str. 166.
[4]) Ogólna ich liczba wynosiła 328.716.

Czy takie stosunki nie muszą zachwiać ufności w każdym myślącym człowieku?

Ciężko jest człowiekowi na świecie, gdzie blaga, polityka i formalistyka życia towarzyskiego nie pozwalają ani być otwartym, ani wierzyć bez zastrzeżeń słowem drugich. Całą jego pociechą jest, że gdy przyjdzie do domu, znajdzie tam przynajmniej serca szczere, u których nie potrzebuje lękać się zdrady, lecz będzie mógł zwierzyć się ze wszystkiem, co go boli i dzielić wspólną radość — bo człowiek potrzebuje tego koniecznie.

Lecz w stosunkach, któreby zapanowały wskutek nieustannej obawy rozwodu, i ta ostatnia pociecha zostanie mu odmówioną. a wtedy niech się pożegna ze szczęściem.

(C. d. n.).

Ks. Stanisław Podoleński.

KATEDRY WAWELSKIE.

(Dokończenie).

Również nieprawdopodobną jest przy bliższem zbadaniu hipoteza, jakoby to były resztki kościoła św. Gereona. Kościół św. Gereona, tego specjalnie kolońskiego patrona, mógł powstać na Wawelu w epoce, kiedy wpływy kolońskie były najsilniejsze, a więc za czasów Kazimierza Odnowiciela i arcybiskupa Arona. Nie mógł zatem powstać dopiero po zburzeniu naszej bazyliki i na jej gruzach. Z drugiej strony nie mógł to być duży kościół, lecz mała kaplica niedużego znaczenia, tak że obok jednej wzmianki u Długosza istnienie jej niczem dotąd nie jest poświadczone. Bazyliki tak stosunkowo dużej, jak nasza, nie stawianoby z pewnością pod tak niezwykłym u nas tytułem.

Z tego powodu mniemano, że kaplicy św. Gereona szukać należy zupełnie na innem miejscu, a mianowicie w obrębie dzisiejszej bramy wjazdowej do pałacu królewskiego. Naprowadzają mnie na to słowa Długosza, który, opisując walki Konrada mazowieckiego o posiadanie Wawelu w r. 1241, powiada, że książę ten wybudował mur obronny, ciągnący się od kaplicy św. Tomasza przy katedrze krakowskiej do kościoła św. Gereona i dalej aż do okrągłego kościoła P. Maryi [1]).

Powyższy ustęp Długosza, tak ważny dla badań archeologicznych na Wawelu, był dotychczas zupełnie mylnie interpretowany

---

[1]) Długosz: Hist. pol. II. 285. Conradus vero — castrum in Cracovia aedificat, incipiens ab. ecclesia beati Venceslai a sanctuario altaris beati Thomae, tendens ad ecclesiam sancti Gereonis et inde usque ad ecclesiam beatae Mariae rotundam.

z powodu, że nikt nie starał się zbadać, gdzie była katedra XIII wieku i gdzie umieszczony był w niej ołtarz św. Tomasza. Nawet po odkryciu omawianej bazyliki i owego muru fortyfikacyjnego z r. 1241 uważali jedni, że to jeszcze nie katedra, inni, że to nie jest mur konradowski. Prof. Szyszko Bogusz [1]) daje nawet do poznania, że bazylika nasza została właściwie przez pół tym murem przedzielona, przyczem zachodnią część zburzono zupełnie, a z wschodniej zbudowano inkastelowany kościółek św. Gereona.

Dotychczasowe odkrycia mówią jednak zupełnie co innego. Mur Konrada Mazowieckiego [2]) nie przedziela zupełnie fundamentów naszej bazyliki, ale ich tylko dotyka, nie przechodzi zatem przez kościół, ani niema jego śladu po drugiej stronie nawy. Dotyka zaś kościoła w tem miejscu, gdzie mury tworzą wyskok ku południowi, a więc osobną kaplicę przy głównej środkowej absydzie. Pytanie zachodzi, co to za kaplica być mogła? Otóż jest rzeczą dowiedzioną, że w dzisiejszej gotyckiej katedrze stoją ołtarze mniejwięcej na tem samem miejscu, co stały i w katedrze romańskiej [3]). Kaplicy omawianej romańskiej odpowiada w dzisiejszej katedrze kaplica Tomickiego, położona również na prawo od środkowej kaplicy marjackiej. Przed biskupem Tomickim zaś zwała się ona kaplicą św. Tomasza Kantuareńskiego, którego ołtarz dotychczas jeszcze posiada. A zatem i w kościele romańskim odpowiednia kaplica musiała mieć ten sam tytuł.

Stwierdzamy przeto, że Długosz jest w tym wypadku niezwykle ścisły i dokładny. Mur Konrada Mazowieckiego dotyka w bazylice romańskiej kaplicy św. Tomasza, a nie przechodzi dalej i nie burzy zupełnie kościoła. Idzie też rzeczywiście do okrągłego kościoła P. Maryi, późniejszej rotundy św. Feliksa i Adaukta i znowu na niej się urywa, zupełnie według opisu Długosza. Brakuje nam tylko kościółka św. Gereona, z powyższego jednak wynika, że kościółek ten nie mógł być identyczny z naszą bazyliką, lecz że musiał leżeć w pośrodku, między nią a rotundą, jak sądzę, przy dzisiejszej głównej bramie. Brama ta nie jest jeszcze zbadana, ale już dziś można tam zauważyć niezwykłe pogmatwanie murów i kon-

---

[1]) Szyszko Bogusz l. c. p. 6.

[2]) Że ten mur może pochodzić z czasów Konrada mazowieckiego i z roku 1241 przyjmuje również Szyszko-Bogusz l. c. 6.

[3]) Wojciechowski l. c. 206, 73.

strukcyj, wskazujące, że budynki na tem miejscu gęsto i w rozmaitych epokach były stawiane. Nie wątpię, że bliższe badania odkryją tam fundamenty, a może i mury tak zagadkowego kościółka św. Gereona.

Cytowany ustęp Długosza jest tu najlepszym dowodem, że odkryte w 1914 r. fundamenty bazyliki to właśnie fundamenty romańskiej katedry. Mówi to wyraźnie mur konradowski, dotykający kaplicy św. Tomasza, mur $2^1/_2$ metra gruby, gdzieniegdzie jeszcze do 6 metrów wysoki, niezbyt starannie z łamanego kamienia zbudowany. Znać, że to fortyfikacja zamkowa, w pośpiechu przeprowadzona. Mur ten, opierając się o bazylikę, wskazuje niejako słowami Długosza, że w tem miejscu była kaplica św. Tomasza i że to jest właśnie katedra. Nie można bowiem myśleć, jakoby ten mur skręcał nagle na zachód i szedł dalej wzdłuż murów bazyliki do inaugurowanej tam katedry [1]). Muru takiego niema bowiem ani śladu, a w istocie przy ścianie bazyliki byłby zgoła niepotrzebny.

Że ta właśnie bazylika była katedrą, dalszy dowód w tem, że była najokazalszą i największą z pośród współczesnych sobie kościołów na Wawelu. Mając rozpiętości murów około 12×25 metrów, jest stanowczo większą i to bardzo znacznie od pierwotnej katedry P. Maryi (Feliksa i Adaukta), która ma 7·40 m. średnicy wraz z absydami; jest również większą od kaplicy św. Piotra i Pawła, która wraz z wieżą jest długa na 13·20 a szeroka 4·90 m. Jest wreszcie większą od kaplicy św. Leonarda, której rozmiary wynoszą $15{\cdot}27 \times 9{\cdot}97$ m. Nie mówię naturalnie już o drewnianych wówczas kościółkach św. Michała i św. Jerzego, oraz o nieznanych dzisiaj, ale bezwątpienia drobnych kaplicach św. Gereona i św. Maryi Egipcjanki. Bazylikę omawianą wybudowano umyślnie większą dlatego, że miała właśnie pełnić funkcje katedry, która coraz bardziej musiała okazywać się za małą i za szczupłą.

Bazylika ta nosiła jak przypuszczam tytuł już św. Salwatora, a nie N. Marji Panny, mimo że ołtarz P. Marji przeniesiono ze starej katedry na tosamo główne miejsce, tj. do wschodniej absydy. Tytuł ten da się, mojem zdaniem, udowodnić paroma faktami, a mianowicie:

Źródła historyczne, o których jeszcze będzie mowa, stwierdzają istnienie kościoła św. Salwatora na Wawelu już w początkach XII wieku. W tej epoce zaś niema żadnego innego kościoła na zamku,

[1]) Tak zdaje się mniemać Szyszko-Bogusz p. 7.

któremuby ten tytuł nadać można było, prócz właśnie naszej bazyliki. Następnie, w dzisiejszej gotyckiej katedrze mamy w wielkim ołtarzu Chrystusa na krzyżu, a wizerunek Jego od początku w tym ołtarzu się znajdował. Jest to św. Salwator, który dawniej mógł być wyobrażony także w ten sposób, jak na głównym zworniku głównego chóru. Z tego wnosił już Wojciechowski, że i w romańskim kościele musiał być Salwator w ołtarzu głównym, czyli, że on nadawał tytuł katedrze. Ołtarz ten znajdował się jednak nie w wschodniej absydzie, zajętej przez dawną patronkę N. Marję Pannę, lecz w absydzie zachodniej, która była większa i główniejsza.

Jest dla nas rzeczą niesłychanie ważną zbadać, z jakiego okresu cząsu pochodzą odkryte w 1914 r. ruiny. Jak wyżej wspomniałem, odnoszą je badacze do XI wieku, ale niezgodni są w tem, czy to na początku, czy na końcu tego wieku budowę tę stawiano. Innemi słowy, podczas gdy jedni budowę tej bazyliki przypisują Bolesławowi Chrobremu, to inni odnoszą ją do Władysława Hermana.

Tymczasem jest rzeczą niewątpliwą, że nowo-odkryta bazylika jest, w porównaniu do innych romańskich budowli na Wawelu, tworem w każdym razie młodszym już ze względu na sam plan architektoniczny. Nie podejmując tu specjalnych badań w tym kierunku, możemy przecie sprawdzić, że wszystkie 3 kościoły, które do tego porównania się nadają, musiały powstać znacznie wcześniej. I tak kościół św. Feliksa i Adaukta, który był pierwotną i najstarszą katedrą, pochodzi, jak wyżej wykazaliśmy, z początku X wieku i, jak plan i mury jego wskazują, jest daleko wcześniejszy od naszej bazyliki. Wcześniejszą również jest kaplica św. Piotra i Pawła, w której, jak wiadomo, złożono początkowo zwłoki św. Stanisława. Ma ona plan prymitywny, prostokątny i bardzo starą technikę murów, daleko starszą, aniżeli wieża lub krypta św. Leonarda i, jak już Wojciechowski stwierdza [1]), starszą od wszystkiego, co w dzisiejszej katedrze jest najstarszego. Bazylika odkryta wykazuje natomiast i plan bardziej rozwinięty, z absydami, wyskokami etc. i mur ciosowy znacznie późniejszy i o technice bardziej wyrobionej.

Trzeci kościół, jaki tu do porównania można wciągnąć, to krypta św. Leonarda. Stoi ona rzeczywiście najbliżej naszej bazyliki i w technice muru ciosowego niema między niemi prawie żadnej różnicy. Jednakże sam plan wskazuje, że nie są to budowle współczesne.

[1]) Wojciechowski: Kościół Katedralny p. 147.

Plan krypty jest więcej prosty i skromny, a zatem pierwotny i starszy, natomiast plan bazyliki jest stosunkowo bogatszy i bardziej rozwinięty, a zatem młodszy. Krypta, a pierwotnie osobny kościółek św. Leonarda jest bezwątpienia o kilkadziesiąt lat wcześniejsza. Jeżeli za Wojciechowskim przyjmiemy, że kościółek ten budował arcybiskup Aron około 1050 r., a datę tę przyjmuje i Sokołowski i Kopera [1]), to w takim razie budowę bazyliki św. Salwatora musimy położyć na koniec XI w., czyli na panowanie Władysława Hermana.

Że bazylika wawelska nie może pochodzić z epoki założenia czy wskrzeszenia biskupstwa krakowskiego 1000 r, t. j. z czasów Bolesława Chrobrego, lecz że pochodzi z czasów znacznie późniejszych, tego dowodzić może i fakt, że z tak wczesnej epoki nie znamy ani w Polsce, ani wogóle w Słowiańszczyźnie żadnych jeszcze budowli bazylikowych. Najdawniejszą u nas bazyliką jest, jak dotąd, katedra kruszwicka [2]), stawiana prawdopodobnie za Mieszka II, oraz wspomniany kościółek św. Leonarda na Wawelu, pochodzący z połowy XI wieku. W Czechach najwcześniejszą jest bazylika w Starym Bolesławiu (Altbunzlau), założona dopiero w r. 1045 przez Brzetysława I. Stary, okrągły kościółek św. Piotra w Bernie przebudowano na bazylikę dopiero w 1070 r., a katedrę ołomuniecką, która była również małą rotundą, przeniesiono dopiero w 1109 roku do romańskiej, świeżo wystawionej bazyliki [3]).

Katedra św. Salwatora na Wawelu była poświęcona ostatecznie w 1142 r., jak o tem jeszcze mówić będziemy. Jest rzeczą interesującą, że w 19 lat później, bo w 1161 r. konsekrowano kolegjatę łęczycką, która, z planu sądząc, stoi najbliżej naszej bazyliki, ma podobne 3 absydy wschodnie, boczne kaplice i wyskoki, jest tylko znacznie większa [4]). Kolegjata ta uchodzi jednak powszechnie za dzieło XII wieku, a wobec tego nie mogą mury naszej bazyliki dalej sięgać jak do końca XI wieku.

Do tego samego wyniku dojdziemy, badając zabytki numizmatyczne, jako najwięcej autentyczne i współczesne dowody tamtych

---

[1]) Sokołowski w sprawozdaniach komisji hist. sztuki III p. 103 — Kopera w Roczniku krak. 1905 p. 16

[2]) Ehrenberg: Geschichte der Prov. Posen. Berlin 1893, 23.

[3]) Prokop: Die Markgrafschaft Mähren in kunst. hist. Beziehung. Wien 1904, p. 131 i 138.

[4]) Łuszczkiewicz w Sprawozdaniach komisji hist. sztuki I. 1879, p. 79, tabl. XXV.

czasów i stosunków. Jest rzeczą charakterystyczną, że monety polskie XI wieku bardzo dużo nam mówią o stosunkach kościelnych w kraju. Nie tylko, że same mają zawsze bardzo religijny charakter, tak w napisach, jak i wyobrażeniach, ale wszystkiemi swemi szczegółami świadczą, że stały pod kontrolą duchowieństwa i w biskupich tylko stolicach wybijane bywały. Już w poprzednim rozdziale zwróciłem uwagę na monety pamiątkowe Bolesława Szczodrego, które, bite w 1076 r. na upamiętnienie koronacji królewskiej, przynoszą nam wizerunek ówczesnej katedry krakowskiej, gdzie odbyła się koronacja, wizerunek kopulastego kościoła, którym mogła być tylko rotunda św. Feliksa i Audakta, jako jedyny budynek koncentryczny, by mógł być nakryty kopułą. Denary te były dla nas jednym dowodem więcej, że wymieniona rotunda była rzeczywiście pierwotną katedrą na Wawelu.

Te same denary z 1076 r. są zarazem dowodem, że bazylika św. Salwatora jeszcze naówczas nie istniała. Gdyby tak było, ona właśnie, a nie inny kościół, byłaby katedrą i miejscem koronacji, gdyż ona była wspanialszym i większym od innym kościołem. Bazylika jednak, jako taka, nie może mieć kopuł na sobie, nie jest bowiem budową koncentryczną, lecz podłużną, którą zwykle drewnianym pułapem nakrywano. Jeżeli zatem monety z 1076 r. przedstawiają nam budowlę kopulastą, najlepszy w tem dowód, że jeszcze nasza bazylika nie istniała i że inny kościół, mianowicie św. Feliksa, był ówczesną katedrą.

Stąd wniosek, że budowa katedry św. Salwatora nie zaczęła się za Bolesława Szczodrego, lecz dopiero później, za Władysława Hermana, a jest rzeczą niesłychanie ciekawą, że znowu monety są pierwsze, które na tę budowę wskazują.

Denary, o których pragnę mówić, wyobrażają po jednej stronie głowę książęcą i napis VLADIZLAVS, po drugiej zaś kościół o 3 wieżach, krzyżami zakończonych i napis w otoku CRACOV. Należy do monet dosyć pospolitych, gdyż znalazły się w całym szeregu wykopalisk tak w Polsce jak i poza jej granicami.

Od czasów Bandtkiego i Stronczyńskiego zgadzają się wszyscy badacze, że są to monety Władysława Hermana. Aby określić czas ich wybicia, musimy przedewszystkiem ustalić ściśle chronologię, panowanie bowiem Władysława Hermana nie jest tak jednolite i proste, jakby się na pierwszy rzut oka zdawać mogło. Herman był młodszym bratem Bolesława Szczodrego i prawdopodobnie jesz-

cze za jego życia miał wydzieloną sobie dzielnicę, może Mazowsze z Płockiem, skąd prowadził tajne rokowania na zgubę senjora krakowskiego [1]). Gdy swego dopiął i przy pomocy czeskiej oraz zbuntowanych Małopolan wyrzucił brata z ojcowizny w 1079 r., wówczas objął dalsze dzielnice polskie, a przedewszystkiem Wielkopolskę z Poznaniem, Gnieznem i Kruszwicą. Wszystkiego jednak nie zajął, gdyż dzielnicę krakowską, a może i Śląsk, zatrzymał sobie Władysław czeski. Stan taki trwał aż do roku 1086, w którym wspólna akcja Hermana i Władysława węgierskiego spowodowały wyrzucenie z Krakowa Czechów i osadzenie tamże młodego Mieszka, syna wygnanego Bolesława Szczodrego. Dopiero po śmierci tegoż, a raczej otrucia, w 1089 r., zajął Władysław Herman Kraków i w ten sposób zjednoczył wszystkie dzielnice ojcowskie w swojem ręku. Ale i teraz jeszcze nie kres Hermanowej doli. Oto w niedługi czas potem zbuntowali mu się synowie książęcy Zbigniew i Bolesław Krzywousty i w 1097 r. wymogli na słabym ojcu podział monarchji: Zbigniew otrzymał wówczas Wielkopolskę, Bolesław Małopolskę, a sam Herman zostawił dla siebie Mazowsze z ulubionym Płockiem oraz »sedes regni principales«, a więc naczelne grody prowincjonalne, jak Kraków, Wrocław, Poznań, Gniezno itd. [2]) Taki też stan trwał aż do końca jego życia w 1102 r.

Cztery były zatem epoki panowania Władysława Hermana: 1) do r. 1079 był dzielnicowym księciem mazowieckim, 2) od 1079 r. do 1089 r. był monarchą polskim, ale bez Krakowa, czyli bez stolicy, 3) od 1089 do 1097 r. miał złączone wszystkie dzielnice w swojem ręku i 4) od 1097 do 1102 r. miał pod swoją władzą tylko Mazowsze i główne grody gdzieindziej, ale bez innych dzielnic polskich. Widzimy z powyższego, że stolicą Polski, Krakowem, rządzić mógł tylko w czasie od 1089—1102 r., prowincją zaś krakowską jeszcze krócej, bo tylko w latach 1089—1097. Przedtem

---

[1]) Te i następne stosunki polityczne przytaczam na podstawie Szkiców historycznych Wojciechowskiego. Kraków 1904. Na powyższe wywody Wojciechowskiego godzi się też Abraham w Kwartalniku historycznym 1904, 572.

[2]) Gallus II, 16. Por. Potkański: Opactwo na łęczyckim grodzie. Rozprawy histor. Akad. 1902, p. 176. Wskutek machinacji Sieciecha zajmuje nawet Bolesław Krzywousty w 1097 lub 1098 r. naczelne grody ojcowskie, ale niebawem je oddaje, gdy ojciec Sieciecha obiecał usunąć. Por. Gallus II, 16, MPH, I, 439.

panował tu bowiem Mieszko Bolesławowicz, potem zaś Krzywousty.

Jasnem jest teraz, z jakiego okresu rządów może pochodzić moneta z napisem CRACOV i z imieniem Władysława Hermana. Naturalnie, że tylko i najwcześniej z trzeciego okresu jego rządów, z lat 1089—1097, kiedy to Herman, po otruciu Mieszka, zagarnął stolicę i dzielnicę krakowską. Możliwe, ale już mniej jest prawdopodobne, by monety te pochodziły z ostatniego okresu jego rządów, z lat 1097—1102, gdyż wówczas Herman rezydował w Płocku, i monety, gdyby bił pod własnem imieniem, nosiłyby na sobie niewątpliwie nazwę mazowieckiej stolicy. W ten sposób ustalilibyśmy chronologię naszych denarów, chociaż przyznać należy, że okres 1089—1097 jest i tak o wiele za obszerny. Monety te, podobnie jak denary koronacyjne Bolesława Szczodrego, miały specjalne pamiątkowe cele, czyli upamiętniały jakieś wydarzenie. Otóż sądzę, że pod tym względem da nam pewne wyjaśnienie odwrotna strona tych denarów.

Wyobraża ona, jak wspomniałem, kościół o 3 szczytach z krzyżami na wierzchu i napis dokoła CRACOV. Kościół ten nie jest zwykłą kaplicą lub parafją, lecz jest to kościół katedralny. Stwierdzają to nie tylko liczne przykłady monet zagranicznych z XI wieku, ale także i wyżej omawiane monety bolesławowskie, które nic innego, jak tylko katedrę wawelską wyobrażają.

Że kościół na denarach władysławowskich wyobrażony, przedstawia kadedrę krakowską, dalszy tego dowód mamy w napisie otokowym CRACOV. Rozumiem, że on podwójnie tłómaczony być może: raz jako zaznaczenie tego faktu, że stolica państwa, Kraków, znalazł się nakoniec w rękach Władysława, powtóre jako oznaczenie miejsca bicia monety. To miejsce jest siedzibą biskupią, stąd katedra, a ponieważ tych katedr było naówczas już w Polsce kilka, więc wynikła potrzeba bliższego określenia siedziby, przez dodanie napisu CRACOV. Bolesława nie było, gdyż monety jego były koronacyjnemi, a katedra wyobrażała miejsce koronacji królewskiej, wszystkim ogólnie znane. Za Władysława zaś było to tem bardziej konieczne, że Kraków nie od początku był w jego rękach, że koronacji nie było, oraz że do r. 1089 książę ten poza Krakowem rezydował. Kościół sam, bez dodatku CRACOV, mógłby w tym wypadku oznaczać równie dobrze katedrę płocką, jak gnieźnieńską, kruszwicką jak poznańską i dlatego też bliższe określenie było konieczne.

Monety władysławowskie przedstawiają nam zatem katedrę krakowską, albo raczej dają nam symbol tejże katedry. Symbol ten jest, powiedzmy odrazu, dosyć szablonowy i mało oryginalny, a to dlatego, że, jak wyżej podniosłem, jest to kościół prawie że skopjowany z monet Bolesława Śmiałego i zmieniony tylko o tyle, iż zamiast kopuł widzimy krzyże na szczytach. Jest to zatem naśladownictwo mennicze, szablon, któremu daleko do oryginalności monet Szczodrego. Pod tym też kątem widzenia musimy w nim szukać prawdy, a przedewszystkiem zadać sobie pytanie, dlaczego rytownik menniczy, naśladując rysunek dolnej części katedry, pominął górną i dlaczego zamiast dawniejszych kopuł dał krzyże na szczytach? Dlaczego ten rytownik, naśladując resztę, w tym jednym tylko szczególe zdobył się na oryginalność rysunku. Czy zmiana kopuł na krzyże ma tutaj jakieś głębsze znaczenie, czyteż jest to prosty przypadek i szczegół bez znaczenia?

Dla każdego, obeznanego z numizmatyką średniowieczną, nie może być mowy o takiej dowolności rytowniczej w czasach, gdy każde pociągnięcie rylca, pędzla czy dłuta miało swoje znaczenie. Wybór stempla czyli wyobrażenia nie należał zresztą do samych rytowników, lecz decydowali o tem z pewnością przełożeni mennicy, czyli wyżsi urzędnicy książęcy, może duchowni, jako posiadający sztukę pisania i czytania. Dla nich tego rodzaju zmiana dawnego wzoru musiała mieć jakiś powód tem bardziej, że tu o kościół katedralny chodziło. Zmiana przeto kopuł na krzyże nie jest przypadkowa, lecz umyślna i, jak się postaram wykazać, ma daleko sięgające znaczenie.

Przy zestawieniu obu denarów, Bolesława Śmiałego i Władysława Hermana, uderzyć każdego musi właśnie ten fakt, że katedra krakowska przedstawiona jest inaczej na jednym, a inaczej na drugim. W ten sposób mówi nam sama moneta, że to już inna katedra, nie ta sama, która była za poprzedniego panowania; że ta nowa katedra w innym budowana jest stylu, w więcej europejskim, bez kopuł wschodnich na wierzchu: mówi wreszcie, że budowę jej zainicjował książę Władysław i że to jest jedyny czyn tego panowania, godny upamiętnienia na monecie krajowej. Dalszem już będzie pytanie, czy moneta była bita na poświęcenie nowego kościoła i czy nie powstała dla tego, by dochód menniczy obrócić na budowę wyobrażonej tu katedry?

Wobec braku innych źródeł historycznych nie można bliżej udowodnić wszystkich nasuwających się tutaj myśli, ale za pewne

przyjąć należy fakt, że to Władysław Herman rozpoczął budowę nowej bazylikowej katedry, która dawną kopulastą miała zastąpić.

Te wszystkie dane, do jakich doszliśmy na podstawie badań archeologicznych i numizmatycznych, znajdują pełne potwierdzenie w źródłach historycznych, któremi z kolei zająć się musimy. A zatem prawie wszystkie kroniki i roczniki polskie średniowieczne odnoszą budowę katedry krakowskiej do czasów Władysława Hermana. Mówi o tem wyraźnie rocznik małopolski w rozmaitych swoich kodeksach, roczniki Traski, Sędziwoja i rocznik krakowski, kronika wielkopolska i kronika Mierzwy [1]). Te środkowe przekazy mają jednak wspólne trzy charakterystyczne wiadomości, które z małemi zmianami wszędzie się powtarzają, a mianowicie: 1) łączą budowę katedry z fundacją i uposażeniem kapituły, 2) nazywają stale katedrę kościołem św. Wacława, a nie św. Salwatora, i 3) przypisują Bolesławowi Krzywoustemu dokończenie budowy, którą ojciec jego był rozpoczął.

Na pytanie, kiedy mianowicie rozpoczęła się budowa nowej katedry, źródła powyższe nie dają nowej odpowiedzi. Przypuszczaćby można, że równocześnie z jakąś fundacją budowa bowiem i uposażenie kościoła ze strony monarchy były to naówczas akty prawie równoczesne i zwykle stosowane. Przy uroczystości dedykacyjnej lub założeniu kamienia węgielnego wystawiał zwykle książę akt fundacyjny, obdarzał kościół przywilejami, nadaniami i włościami. Gdyby akt taki się dochował, wiedzielibyśmy temsamem o początku budowy i moglibyśmy dokładnie datować odkryte na Wawelu ruiny. Aktu jednak takiego niema i zdaje się nie było, gdyż biskupstwo krakowskie to fundacja daleko starsza, już wówczas bogato udatowana, dla której tylko nową katedrę w miejsce starej budowano. W tradycji późniejszej nie przechował się też żaden ślad nadań ze strony Władysława Hermana na rzecz tej katedry, prócz udatowania kanoników, co jednak w niektórych rocznikach przypisywane jest Krzywoustemu. Natomiast zachowała się wiadomość w najstarszym kalendarzu krakowskim o darowiznie kasztelanji chropskiej późniejszych Pabjanic przez królowę Judytę Hermanową tej katedrze [2]).

---

[1]) Rozbiorem tych źródeł zajmuje się już Smolka: Mieszko Stary i jego wiek. Warszawa, 1881 p. 524, oraz Wojciechowski: Pamiętnik fil. Akad. krak. IV. 223, — tenże: Kościół katedr. p. 178 — Abraham: Organizacja kościoła p. 148 — W. Kętrzyński: Biskupstwa i klasztory polskie X i XI w. Przegląd powsz. 1889 II. 17,

[2]) Mon. Pol. Hist. II. 940 oraz Długosz Liber benef. I. 273.

Z tego powodu łączą niektórzy powyższą darowiznę z początkiem budowy kościoła św. Salwatora i do tej chwili odnoszą zapiski roczników, z których jeden, mienowicie rocznik Kuropatnickiego, wspomina o budowie pod rokiem 1098, drugi rocznik lubiński pod 1095 [1]). Jednakowoż, jak to już Smolka wykazał, ustępy tych roczników nie są bynajmniej zapiską rocznikarską w właściwem tego słowa znaczeniu, lecz tylko kommemoracją o Władysławie Hermanie i najważniejszych jego dziełach [2]). Z tego powodu dat tych nie można uważać za lata rozpoczęcia budowy katedry.

Ale z drugiej strony i nadanie kościołowi krakowskiemu kasztelanji chropskiej nie łączy się z jego budową, a tem mniej nie wskazuje na jej początek. Jest to dar królowej Judyty, drugiej żony Hermana, która, jak się zdaje, równocześnie dała Tyńcowi Księżnice, a biskupstwu kruszwickiemu kasztelanję łagowską w sandomierskiem. Słusznie dziwi się Długosz, na jakiej podstawie prawnej czyniła królowa Judyta te nadania, gdyż jako niemka, wdowa po królu węgierskim, nie mogła przecież w Polsce rozdawać całych kasztelanji. Musiało to być naturalnie z przyzwoleniem męża, słabego Władysława Hermana, ale z drugiej strony są pewne oznaki, że majątki te bynajmniej nie były książęce. Są ślady, że to były dobra prywatne Toporczyków, mianowicie palatyna Sieciecha, które dopiero po jego wygnaniu i konfiskacie dóbr znalazły się w rękach księcia i mogły stanowić dla królowej Judyty przedmiot darowizn na rzecz kościoła. Udowodnienie tego twierdzenia przeprowadzam w innej rozprawie, na tem miejscu chodzi mi tylko o zaznaczenie, że donacje powyższe nie mogły być wcześniejsze, niż 1098, w którym Sieciecha na wygnanie skazano. Tem się tłómaczy, dlaczego rocznik Kuropatnickiego pod tym właśnie rokiem wspomina o Władysławie Hermanie i jego budowie katedry i dlaczego inne źródła łączą budowę z fundacją katedry i kapituły. Fundacja królowej Judyty miała jednak inny powód i nie może być nawet uważana za równoczesną z początkiem budowy.

Drugą, jak zaznaczyłem, wspólną cechą wszystkich prawie wiadomości rocznikarskich o budowie naszej katedry, jest, że katedra ta nosiła wezwanie św. Wacława. O tem, by pierwotnie tytuł jej brzmiał św. Salwatora, nie wiedzą źródła, chociaż jest jeden jedyny

---

[1]) Mon. Pol. Histor. III. 150.

[2]) Smolka: Mieszko Stary p. 524.

wyjątek: oto rocznik kapitulny krakowski podaje pod mylną zresztą datą 1138 r. zapiskę »dedicatio ecclesiae sancti Salvatoris«[1]). Bielowski uważa wspomniany tu kościół św. Salwatora za jeden z tych, jakie fundował w XII wieku Piotr Włostowicz, Wojciechowski[2]) zaś odnosi tę zapiskę do kościółka św. Salwatora na Zwierzyńcu pod Krakowem. A jednak powiedzieć sobie należy, że dziwnemby nader było, gdyby annalista kapitulny zaciągał do rocznika daty dedykacji drobnych kościółków podmiejskich, a nie wspomniał zupełnie o dedykacji samej katedry. Raczej było przeciwnie. Rok tej zapiski jest niewątpliwie mylny, gdyż ostateczne poświęcenie bazyliki było, jak wiemy, w 1142 roku, jednakże wezwanie św. Salwatora jest prawdziwe i w chwili spisywania rocznika było jeszcze w użyciu.

Jest niewątpliwą zasługą prof. Wojciechowskiego, że bystrym wzrokiem historyka odnalazł to pierwotne wezwanie naszej katedry[3]). Naprowadził go na to fakt, że tak w wielkim ołtarzu był zawsze obraz Chrystusa, jak że główny środkowy zwornik w chórze również to samo wyobrażenie nosi. Co więcej, na podstawie zapisek zdołał sprawdzić, że i katedra romańska, którą sobie jednak inną wyobraża, miała w wielkim ołtarzu również św. Salwatora, nie miała natomiast zupełnie ołtarza św. Wacława, mimo, że miała ołtarzy 13. Jak to pogodzić z licznemi zapiskami roczników, mówiących zgodnie o wezwaniu św. Wacława, to kwestja jeszcze otwarta. Możliwem jest tylko, że tytuł św. Wacława przyszedł później, może już w XII w. i że pierwotny tytuł św. Salwatora nie długo się utrzymał.

Wezwanie św. Salwatora uważane jest za bardzo starożytne, tak, że z tego właśnie powodu odnoszą niektórzy budowę naszej bazyliki na sam początek XI wieku. Co sądzić o tej starożytności, mówiłem już w poprzednim rozdziale, wskazując na cały szereg kościołów, powstałych pod tym tytułem jeszcze w drugiej połowie XI wieku. Natomiast możliwem jest przypuszczenie prof. Abrahama[4]), który w tem wezwaniu widzi ślad wpływów, idących z słynnego opactwa Benedyktynów w Fuldzie w Niemczech. Stosunki bezpośrednie Fuldy z Polską widać wyraźnie w jednym skarbie monet, jaki niedawno znalazł się w krypcie kościoła św. Michała w Fuldzie,

[1]) Mon. Pol. Histor. II. 798.
[2]) Wojciechowski: O rocznikach pols. Pamiętnik Akad. Um. IV. 164.
[3]) Wojciechowski l. c. p. 52.
[4]) Abraham: Organizacja Kościoła w Polsce p. 25. — Podobnie Kopera: O kościołach na Wawelu p. 14.

w ścianie zamurowany, a gdzie między innemi znalazły się denarki Władysława Hermana oraz monety Sieciecha właśnie z epoki budowy katedry krakowskiej [1]).

Stosunki z Fuldą, gdzie główny kościół stał pod wezwaniem św. Salwatora, mogły wpłynąć nietylko na takie, a nie inne wezwanie katedry wawelskiej, ale również na samą architekturę bazyliki, która, podobnie jak w Fuldzie, miała dwa chóry, wschodni i zachodni, jak przypuszczać należy. Chóru zachodniego dzisiaj nie widać, gdyż na to trzebaby burzyć mury dzisiejszej kaplicy Batorego. Jednakże widać ten chór zupełnie wyraźnie na pieczęci kapitulnej z XIII wieku, która nosi wyobrażenie omawianej romańskiej katedry [2]). Chór ten na pieczęci jest nawet większy od wschodniego, stąd, gdyby tego rodzaju wyobrażeniom można było ślepo wierzyć, możnaby przypuszczać, że tu stała jedna wielka absyda i że tu w zachodniej stronie stał wielki ołtarz św. Salwatora, ołtarz, nie ruszony i później w gotyckiej katedrze.

Jeżeli wezwanie św. Salwatora wskazuje na pewne wpływy kulturalne, a może i polityczne, to z tego punktu widzenia obserwując, musimy przyznać, że tytuł św. Wacława jest na owe czasy bardzo mało prawdopodobny, i że w czasach Władysława Hermana nie mogło założenie katedry pod tem wezwaniem nastąpić. Dawniej uważano, że tytuł św. Wacława, zdradzający wpływy czeskie, jest skutkiem małżeństwa Hermana z Judytą czeską. Jednakże nowsze badania historyczne Wojciechowskiego dowodzą, że w czasie, gdy Herman żonaty był z księżniczką czeską, nie miał zupełnie Krakowa w swojem ręku, a wszedł doń dopiero po śmierci swojej pierwszej żony, gdy już był żonaty z drugą, Judytą, byłą królową węgierską. Stało się to dopiero po otruciu Mieszka Bolesławowicza, czyli po 1089 roku.

W tych zaś czasach stosunki polsko-czeskie nie układały się pomyślnie. Już w 1086 roku wydał Herman Czechom Małopolskę i oddał ją na razie bratankowi, a po jego otruciu 1089 zagroził ją dla siebie, mimo że Władysław czeski od czasu swej koronacji tytułował się królem czeskim i polskim. Po śmierci Wratysława wyprawia się Brzetysław II dwukrotnie na Polskę, 1093 i 1096 pod pozorem zaległego trybutu, a równocześnie wszyscy polityczni

---

[1]) Zeitschrift für Numismatik XXII, 103 i 298.

[2]) Piekosiński: Pieczęcie polskie wieków śr. fig. 70.

przestępcy i niezadowoleni wielmoże czescy uciekają do Polski 1096 i 1097. Taksamo niepewne i naprężone stosunki z Polską panują za czasów Bożywoja II, który pomaga Zbigniewowi w jego rozruchach, ale w końcu, wygnany przez Świętopełka, ucieka przed nim znowu do Polski w 1107 roku. Było zresztą naówczas w Czechach regułą, że wszyscy gnieceni przeciwnicy polityczni, książęta, wielmoże i rycerstwo uciekają do Polski, pewni pomocy i opieki przeciwko rządom praskim. Nawet żydzi prascy, z obawy przed pogromem, ze strony Brzetysława II im grożącym, chcieli w r. 1097 przenieść się gremjalnie do Polski [1]). Monarchja piastowska była widocznie naówczas stale w antagoniźmie z Czechami, skoro wygnańcy czescy do niej skierowują swe kroki.

Nietylko za Władysława Hermana, ale i później widzimy podobne stosunki. Po wygnaniu Bożywoja 1107 r. stoi Świętopełk w otwartej nieprzyjaźni do Krzywoustego i jak wiadomo w r. 1109 bierze udział przy boku cesarza w wyprawie na Śląsk i w oblężeniu Wrocławia. Gdy go w obozie zamordowano, obejmuje tron czeski Władysław I, znowu wróg Krzywoustego, a stronnik Zbigniewa. Dopiero po przegranej bitwie pod Miletinem, pierwszy z całego szeregu książąt czeskich, zawarł 1111 r. Pokój z Polską [2]).

Z powyższego szkicu jasnem być musi, że od śmierci pierwszej żony Władysława Hermana, Judyty czeskiej, stosunki polsko-czeskie stale były naprężone, a najczęściej wprost wrogie. Z tego wynika, że nie było chyba mowy o tem, by patrona czeskiego robić opiekunem świeżo budującej się katedry i sprowadzać jego relikwje. Ze względów politycznych jest zatem wykluczone, by katedra hermanowska miała już wtedy wezwanie św. Wacława, przeciwnie należy przyjąć, że wezwanie to przyszło dopiero później, najwcześniej za Krzywoustego, dopiero po zawarciu ugody z Czechami. Jest to zarazem wskazówką, że tylko i jedynie tytuł św. Salwatora mógł być pierwotnie nadany naszej katedrze.

Wiemy już, że Władysław Herman nie mógł rozpocząć tej budowy przed rokiem 1089, z powodu, że do tego czasu wogóle jeszcze Krakowa nie posiadał. Stolicą tą zawładnął dopiero po śmierci swego bratanka Mieszka, który po powrocie z Węgier przez trzy lata (1086—1089) panował w Krakowie [3]). Pierwszym czynem nowego

[1]) Bachmann: Geschichte Böhmens. Gotha 1899 p. 275 i n.
[2]) Por. Bachmann: Geschichte Böhmens p. 279 i n.
[3]) Wojciechowski: Szkice historyczne. Kraków 1904.

księcia było jak wiadomo uroczyste przeniesienie ciała św. Stanisława ze Skałki, gdzie dotychczas spoczywało, na zaszczytniejsze miejce na Wawel, wprawdzie nie do katedry, bo mała rotunda św. Feliksa nie miała tyle miejsca, ale do kaplicy św. Piotra, gdzie prawdopodobnie były grobowce dawnych biskupów. Translacja ta odbyła się przy końcu 1089 r., a była niejako ekspiacją ze strony księcia za zbrodnię poprzednika, zadosyćuczynieniem Kościołowi i uczczeniem pamięci biskupa, którego z natury rzeczy Herman zaliczać musiał do swoich najgorliwszych zwolenników [1]).

Ekspiacja bez ofiar nie była na owe czasy wystarczająca, stąd wynikła potrzeba nadań i jakiejś większej akcji na rzecz Kościoła ze strony księcia. Nalegać na to musiało i duchowieństwo, któremu Herman prawie wszystko zawdzięczał, a które niedawno temu skojarzyło małżeństwo księcia z Judytą salijską. Do tych powodów przyłączyć się musiały i inne, a przedewszystkiem szczupłość dotychczasowej katedry św. Feliksa i Adaukta, która może właśnie przy uroczystej translacji 1089 r. uderzała w oczy. Nie mogła ona też już odpowiadać i ceremonjałowi kościelnemu, bardziej rozwiniętemu niż dawniej, i wielkości dworu książęcego, w którym siostra cesarza teraz rej wodziła.

Te same przyczyny, mianowicie szczupłość miejsca były powodem, że w 1060 r. przebudowano starą okrągłą katedrę św. Wita w Pradze [2]), to samo później w 1131 spowodowało biskupa Henryka ołomunieckiego do przeniesienia katedry z małej rotundy św. Piotra do większej bazyliki św. Wacława w Ołomuńcu [3]). Na tosamo wskazuje i Długosz, który ma jakieś niewyraźne wyobrażenie o szczupłości miejsca pierwotnej katedry na Wawelu. Przy żywocie biskupa Roberta (1141—1143) wspomina o konsekracji ówczesnej katedry romańskiej i dodaje, że wybudował ją Władysław Herman obszerniejszą, niż dawniej, zburzywszy przedtem dawną mniejszą [4]). Długosz myli się tu o tyle, że przypuszcza zburzenie dawniejszej katedry, co nie zgadza się z prawdą, gdyż mury tej katedry, jako rotunda św. Feliksa stoją do dziś dnia jeszcze. Za to w tem, co mówi o szczupłości miejsca i potrzebie większej i szerszej świątyni, jest Długosz zupełnie miarodajny i przekaz jego prawdziwy. Że ta po-

[1]) Wojciechowski: Szkice histor.
[2]) Cosnias II. 17.
[3]) Erben: Regesta Bohemiae Nr. 214.
[4]) Długosz: Opera omnia I. 392.

trzeba obszerniejszej katedry działała razem może z chęcią ekspiacji i potrzebą ofiary na rzecz Kościoła, to tylko mogło przyspieszyć nową budowę i jest dla nas wskazówką, że budowa ta niedługo po 1089 r. się zaczęła.

Możemy też wskazać na bliższą datę jej rozpoczęcia. W kalendarzu kapitulnym krakowskim znajduje się zapiska pod dniem 20 kwietnia, donosząca o dedykacji kościoła św. Wacława i o odpustach przy tej sposobności nadanych [1]). Rozumieć tu należy nie konsekrację gotowego już Kościoła, ale poświęcenie miejsca pod budowę, lub poświęcenie kamienia węgielnego [2]), które się odbyło 20 kwietnia. Chodzi o to, którego roku. Słusznie zwrócił uwagę Wojciechowski, że 20 kwietnia musiała to być niedziela i musiała być świętem św. Salwatora, a więc pierwszą po Wielkanocy. Takie zaś święto przypada na 20 kwietnia tylko 4 razy w XI wieku, w latach 1001, 1012, 1091 i 1096, w XI zaś wieku dopiero w 1175 i 1186. Z tych dat wybiera Wojciechowski rok 1001 [3]), zupełnie mylnie, gdyż budowa naszej bazyliki musiała się odbywać nie za Chrobrego, lecz za Władysława Hermana. Z tego powodu, ani rok 1001 ani 1012 nie może być tu brany w rachubę, lecz tylko i jedynie lata 1091 i 1096. I jedna i druga data jest prawdopodobna gdyż to był właśnie okres czasu, w którym Władysław Herman bezpośrednio władał Krakowem, potem bowiem, już od roku 1097 począwszy, rządził tu Krzywousty. Mając jednak do wyboru te dwie daty, musimy oświadczyć się tylko za pierwszą, a to dlatego, że nie widać powodu, dlaczegoby książę miał 7 lat zwlekać z budową katedry i ekspiację swoją odkładać.

Ale jest jeszcze inny powód, dlaczego rok 1091 jest tu jedynie możliwy. Powodem tym są denarki książęce wyżej już wspomniane, które noszą wyobrażenie nowej katedry. Ich ścisły związek z budową kościoła nie ulega wątpliwości; zaznaczyć też trzeba, że są to monety pamiątkowe, na pamiątkę tej właśnie budowy wybite. Otóż jest rzeczą ciekawą, że denary te są wcale pospolite, mają bardzo wiele odmian i widocznie przez dłuższy przeciąg czasu były wybijane. Nie byłoby to możliwem, gdyby budowa katedry rozpoczęła się dopiero w 1096 roku, gdyż już w r. 1097 objął w Krakowie rządy Krzywousty i mennica hermanowska musiała przestać

[1]) Mon. Pol. Histor. II 919.
[2]) Du Cange: Glossarium mediae et inf. latinitatis s. v. dedicatio.
[3]) Wojciechowski: Kościół katedr. p. 57 i n.

fabrykacji. Natomiast zupełnie jest zrozumiałem, jeżeli przyjmiemy datę 1091: kilka lat bowiem budowy mogło dać sposobność do emisji tylu rozmaitych odmian tej monety.

W ten sposób doszlibyśmy do ścisłej chronologji ruin odkrytej na Wawelu bazyliki: badania archeologiczne, numizmatyczne i historyczne zgodnie świadczą, że budowa jej rozpoczęła się za Władysława Hermana i że święto dedykacji 20 kwietnia 1091 r. można śmiało uważać za jej początek.

Z ówczesnej budowy mamy tylko fundamenty, połamane kolumny, bazy i słabo ornamentowane kapitele. Czy to jednak wszystko? Zdaje się, że nie, i że jeszcze dwa inne zabytki do tej budowy zaliczyć nam wypadnie, a to kamienną rzeźbę nadproża z bazyliszkiem i ornament sznurowy również w kamieniu kuty, oba zabytki wmurowane w dzisiejsze gotyckie mury katedry. Że one do katedry romańskiej należały, wszystko zdaje się za tem przemawiać [1]). Tego rodzaju bowiem ornamentów nie posiada zupełnie krypta św. Leonarda, która jedyna mogłaby mieć do nich pretensję. Rzeźby te bowiem są wybitnie romańskie, innych zaś romańskich kościołów na Wawelu nie było zupełnie [2]).

Budowa katedry św. Salwatora dokonywała się, jak roczniki świadczą, pod patronatem książęcym, była więc książęcą fundacją, która chociaż zaczęła się w 1901 r. nie ukończyła się jednak za panowania Władysława Hermana. Udział biskupów krakowskich był w tej budowie prawie że żaden. W żywotach biskupów owego czasu nie możemy się też doszukać niczego, coby na tę budowę wskazywało. Biskup Lambert III, za którego budowa się rozpoczęła, nie jest z nią niczem więcej związany, jak może poświęceniem kamienia węgielnego 20 kwietnia 1901 r. i udzieleniem 40 dni odpustu uczestnikom uroczystości. O biskupie Balduinie (1103—1110) mówi Długosz [3]) tylko ogólnikowo, że dochody swego stołu przeznaczał na potrzeby kościoła. O Maurusie (1110—1117) wiemy, że kazał spisać inwentarz

---

[1]) Wymieniony ornament sznurowy ma bardzo wiele podobieństwa do ornamentu zresztą bardzo skromnego na kapitelach znalezionych wśród fundamentów tej bazyliki.

[2]) Nadproże reprodukuje Wojciechowski: Kościół katedr., p. 200, ornament zaś sznurowy tenże, p. 85, oraz Sokołowski w Sprawozdaniach kom. hist. sztuki, tom VIII, p. CCCCXIV.

[3]) Długosz: Opera I. 390. Do chronologji Długosza nie przywiązuję wielkiej wagi. Daty jego podaję tylko dla bliższej orjentacji.

skarbca kościelnego i że za jego czasów odbyła się jakaś druga z rzędu uroczystość dedykacyjna katedry [1]). Biskup Radost czyli Gaudenty (1118—1141) zajmować się miał więcej sprawami majątkowemi i administracją dóbr kościelnych i umarł też w dobrach kieleckich swojego biskupstwa. Dopiero o biskupie Robercie (1141—1143) wiadomo, że on to poświęcił wykończoną już katedrę w drugim roku swoich rządów, czyli w 1142.

Mimo, że ostateczna konsekracja przypada na panowanie już Władysława II, mimo to wszystkie roczniki średniowieczne zasługę wykończenia bazyliki przypisują zgodnie nie Władysławowi II, lecz ojcu jego Bolesławowi Krzywoustemu, zmarłemu w 1138, t. j. 4 lata przedtem. Najstarsze roczniki, krakowski i Traski, dają nawet do poznania, że cała właściwa budowa katedry odbywała się pod auspicjami Krzywoustego [2]). Rocznik Sędziwoja podaje wprost, że katedrę wawelską wykończył Krzywousty, a to samo mówią roczniki małopolskie, lubiński i Kuropatnickiego. Są to wprawdzie zbyt ogólne twierdzenia, zapisane przy wciąganiu w księgę daty śmierci Bolesława III, jednakże jasną jest rzeczą, że bazylika budowana od 1901 do 1142, t. j. przez całe lat 50, musiała temu księciu najwięcej zawdzięczać. Jest również zrozumiałem, że wśród 37 lat panowania Krzywoustego musiały być okresy silniejszego i słabszego prowadzenia budowy, zwłaszcza, że bazylika, jak fundamenty wskazują była stosunkowo niedużą.

Otóż sądzę, że okres taki istniał w samym środku rządów Bolesława Krzywoustego i że wiąże się z wiadomością o dedykacji katedry naszej za czasów biskupa Maura [2]). Biskup ten siedział dziewięć lat na stolicy wawelskiej podczas panowania Krzywoustego i on to przeprowadził w 1110 r. inwentaryzację skarbca katedralnego. Kiedy i z jakiej przyczyny urządził powtórną dedykację katedry, źródła nie podają. Przedewszystkiem i daty jego pasterzowania nie są pewne. Katalog II biskupów krakowskich umieszcza Maura w latach 1108—1117, katalogi III i IV w latach 1109—1118, Długosz zaś w 1110—1119. W każdym razie, jak widać, pewnemi są tu tylko lata 1110—1117 i wśród nich trzeba szukać chwili jakiechś uroczystości kościelnej czyli jak Długosz chce, dedykacji.

[1]) Długosz l. c. 391.

[2]) Mon. Pol. histor. II. 832. Iste Boleslavus ecclesiam sancti Venceslai, quam pater eius fundaverat, aedificavit.

[3]) Długosz, Opera I. 391.

W przekaz Długosza nie wierzy Wojciechowski zupełnie, twierdząc [1]), że niewiadomo, coby ten biskup miał poświęcać. Katedra bowiem była jeszcze niewykończona. Mimo to nie możemy wiadomości tej odrzucić, zwłaszcza, że mamy i inne źródła, które na jakąś uroczystość katedralną wskazują. Źródłem tem są znowu monety.

Wśród zabytków monetarnych Bolesława Krzywoustego istnieją mianowicie denary z wyobrażeniem księcia, wyobrażają z jednej strony księcia stojącego z włócznią w ręku, przy nim napis: BOLEZLA, z drugiej zaś strony kościół o 3 wieżach, z trójkątnemi daszkami, i z krzyżami na wierzchu, bez napisu.

Mamy tu zatem do czynienia po raz trzeci znowu z wyobrażeniem katedry i to katedry krakowskiej. Rysunek na stemplu jest bowiem tak podobny do takiegoż rysunku na monetach Władysława Hermana, że już nikt nie mógłby powiedzieć, jakoby tu znowu inny kościół rytownik chciał przedstawić. Monety wyraźnie mówią, że to ten sam kościół i ta sama, co w 1091 katedra wawelska. Przynoszą jednak nowy i to ważny szczegół, oto na tych denarkach zaznaczył rytownik wyraźnie wieże ponad korpusem kościoła, czego na denarach Hermanowych nie było [2]). Wieże są wprawdzie tak samo, jak dawniej, trójkątnem daszkiem i krzyżem zakończone, ale nadto mają zaznaczone osobne własne mary, w postaci 3 osobnych kwadracików nad kościołem umieszczonych. Denarka tego znane są dotychczas zaledwie trzy egzemplarze, pochodzące z wykapalisk w Dobiesławicach i Woli Skromowskiej, a nie odbitych tak wyraźnie, aby wszystkie szczegóły można było na nich dokładnie zaobserwować. Jednakże to podwyższenie wież jest na nich wyraźne i charakterystyczne i świadczy, że rzeczywiście za Krzywoustego poprowadzono dalej budowę katedry, a przedewszystkiem postawiono wieże.

Wież tych dzisiaj niema ani śladu; może dalsze badania terenu odkryją ich fundamenty, trzebaby na to jednak kopać już wśród murów dzisiejszej katedry, stały te wieże bowiem przy zachodnim chórze bazyliki podobnie jak w kolegjacie łęczyckiej, może koło dzisiejszej kaplicy Batorego. Widać je dobrze na najdawniejszej pieczęci kapitulnej, trójkątnym wysokim daszkiem nakryte. Na pieczęci jest ich wprawdzie dwie, a na monecie trzy wystylizowane; ile było

[1]) Wojciechowski l. c. 59.

[2]) Szczegół ten widoczny jest na rysunku u Stronczyńskiego Nr. 36.

w rzeczywistości, nie wiemy. Nie od rzeczy będzie jednak przytoczyć tu wiadomość u Długosza zapisaną, że biskup krakowski Wisław trzy wieże katedry św. Wacława pokrył ołowiem [1]). O tym samym Wisławie, który zasiadał na katedrze krakowskiej dopiero od 1231 r. pisze rocznik wikaryjski pod 1242, że wieże koło kościoła katedralnego stojące (turres circa ecclesiem cathedralem) nakrył ołowiem, nie mówi więc ile ich było, ale że były koło katedry, a więc i w luźnym z nią mogły zostawać związku. Musiały zaś już dawniej istnieć, jeżeli Wisław tylko nakrycie nowe sprawił.

I ten przekaz o trzech wieżach katedralnych ignoruje zupełnie Wojciechowski [2]) z powodu, że na wspomnianej pieczęci, sięgającej pierwszej połowy XII wieku widać tylko dwie wieże, już dachem pokryte i zupełnie wykończone. Trzeba jednak zaznaczyć, że na późniejszej pieczęci kapituły krakowskiej, pochodzącej już z XIII wieku, ma katedra św. Wacława tylko jedną wieżę i to 8 piętrową, a przecież nikt nie przypuszcza, by tak miało być w rzeczywistości. Przeciwnie, sądząc z zapiski Długosza i ze wspomnianych monetek Bolesława Krzywoustego, można na pewno przypuszczać, że nasza katedra już od początku miała w planie trzy wieże, i że te już za Krzywoustego wybudowane zostały.

Monety te każą jednak czegoś więcej się domyślać. Jak denary Władysława Hermana są pamiątką po uroczystej dedykacji katedry w 1091 r., tak i wspomniane denary Krzywoustego musiały być wybite na pamiątkę jakiejś uroczystości katedralnej. Chodzi o to, jakiej i w jakim okresie czasu odbytej?

Monety są naturalnie bez daty, ale swoją wielkością i dobrocią ziarna świadczą, że nie pochodzą ani z początku, ani z końca, lecz ze środka panowania Krzywoustego. Wskazują więc na te same lata, w których siedział na biskupstwie krakowskim ów Maurus, o którym pisze Długosz, że dokonał drugiej z rzędu dedykacji katedry. Co to była za uroczystość, na której pamiątkę monetę specjalną wydano, tego źródła nie mówią, ale można przypuszczać dwie rzeczy: mogło to być uroczyste przeniesienie katedry ze starej rotundy św. Feliksa i Adaukta do nowej bazyliki, lub mogła to być uroczystość złożenia relikwij św. Wacława i dedykacja katedry nowemu patronowi. Zresztą mogło być jedno i drugie razem.

---

[1]) Długosz, Opera I. 400.
[2]) Wojciechowski l. c. 194.

Jasnem jest, że przenosiny katedry ze starego do nowego budynku nie mogły się odbyć za pierwszej dedykacji 1091 r. ani też w następnych kilku latach, kiedy bazylika nowa dopiero się budowała. Musiał upłynąć pewien przeciąg czasu, aż budowa, a przynajmniej chór znalazł się pod dachem, by o przenosinach kościelnych można było pomyśleć. Przypuszczam, że po 20 kilku latach katedra była już na tyle wykończona, że nabożeństwa w niej odbywać się mogły.

Wiadomo jest, jak ważną sprawą przy budowie kościołów jest wystaranie się o relikwje i jak naówczas właśnie w Polsce relikwij ogromnie brakowało. Sprowadzenie relikwij św. Florjana jest najlepszym tego dowodem. Ze źródeł wiemy, że bardzo prędko, bo już przed poświęceniem katedry w 1142, przylgnęło do niej wezwanie św. Wacława, tem samem i relikwje jego musiały się w Krakowie znaleźć. Wykazałem jednak wyżej, że relikwje te oraz samo wezwanie już z samych politycznych względów nie mogły przyjść do Polski wcześniej, jak dopiero po 1111 roku, tj. po ugodzie Bolesława Krzywoustego z Przemyślidami. Co więcej, przypuszczać należy, że najstosowniejszą chwilą do obdarowania Bolesława relikwjami patrona czeskiego był ów głośny zjazd w Nysie śląskiej w lipcu 1115 roku. Wówczas to zjechał się Krzywousty z książętami czeskimi i morawskimi, zawarł z nimi zgodę i przyjaźń i przeprowadził sam ugodę między Przemyślidami.

Opisując ten zjazd, powiada Cosmas praski, że uczestnicy jego obdarowali się nawzajem niezmiernie cennymi podarunkami i w radości wrócili do domu [1]). Najzwyklejszemi a zarazem najbardziej drogocennemi podarunkami naówczas i w ówczesnem rozumieniu były relikwje świętych. Już za Chrobrego najważniejszym dla cesarza Ottona III darem, który wywiózł z Gniezna, było ramię św. Wojciecha, które zaraz rozdzielił między dwie swoje stolice, Rzym i Akwizgran, fundując dla tych relikwij osobne tamże kościoły. Otóż sądzę, że i w 1115 r. takim najważniejszym podarunkiem czeskim dla Bolesława III były relikwje św. Wacława. Do innych mniej ważnych mogły należeć kodeksy illuminowane praskiej szkoły minjaturzystów. Relikwje przeznaczył książę do budującej się wła-

[1]) Fontes rerum Bohem. II, 117, inmensis muneribus mutuatim ad invicem oblatis hilares ad proprios remeant lares. Por. Röpell: Geschichte Polens I, 258 i Bachmann: Gesch. Böhmens I, 292.

śnie stołecznej katedry, kodeksy zaś mógł rozdzielić między inne siedziby biskupie polskie.

Przypuszczam, że relikwje św. Wacława przyszły wówczas dopiero do Polski, a opieram to mniemanie z jednej strony na ułożeniu się stosunków czesko-polskich pod względem politycznym właśnie dopiero około 1115 r. Z drugiej zaś strony te właśnie lata panowania Bolesława Krzywoustego zaznaczają się niezwykłą szczodrobliwością księcia dla kościoła i większą, niż kiedyindziej, jego żarliwością religijną, a to z powodu wyrzutów sumienia za śmierć brata Zbigniewa w 1115 r. Pielgrzymki pokutne na Węgry i do Gniezna, połączone z niezwykle hojnemi darami, są cechą charakterystyczną tych właśnie lat rządów Krzywoustego. Przypuścić więc można, że na te lata przypada też intensywniejsza budowa katedry krakowskiej i że wracający z Nisy w 1115 r. książę o tej katedrze przedewszystkiem pamiętać musiał.

Przywiezione ze zajazdu z Przemyślidami relikwje św. Wacława były zatem, jak przypuszczam, bezpośrednim powodem nowej dedykacji katedry przez biskupa Maura i dodania jej do dawnego wezwania św. Salwatora nowego tytułu św. Wacława. Tytuł ten wyrugował bardzo prędko dawniejszy, tak, że już konsekrację katedry w 1142 zapisały wszystkie roczniki jako poświęcenie kościoła św. Wacława.

Uroczystość złożenia nowych relikwij połączono, zdaje się, z przeniesiem nabożeństw katedralnych ze starej szczupłej i niewygodnej świątyni, z poświęceniem nieukończonej jeszcze bazyliki i z dedykacją jej nowemu patronowi. Mogło się to odbyć już w 1115 albo 1116 r. za biskupa Maura i w obecności księcia. Świadectwem zaś tej uroczystości są omawiane wyżej monety, na tę właśnie bite pamiątkę.

Budowa bazyliki trwała w dalszym ciągu, jednakże nie tak prędko dobiegła końca. Miało upłynąć jeszcze ćwierć wieku, zanim zupełnie ukończona mogła być ostatecznie konsekrowaną. Dopełnił tego biskup Robert w 1142 r., jak tylko ze stolicy wrocławskiej przeszedł na krakowską. Daty dziennej nie znamy, roczną zapisują zgodnie roczniki Kamieniecki, Traski i Sędziwoja. Jeden tylko rocznik krakowski notuje ten fakt pod 1143 r. ale znowu jako wspomnienie o biskupie Robercie, który w tym roku umarł [1]). Rok 1142 zdaje się być przeto pewnym.

---

[1]) Mon. Pol. Hist. II. 778, 833 i 875.

Konsekracja katedry stołecznej musiała wówczas przybrać także pewne uroczyste formy, podobnie jak pierwsza dedykacja w 1091 i druga w 1115 r. Śladem tej uroczystości są nietylko zapiski roczników wyżej wspomnianych, ale, co charakterystyczne, znowu monety. Są to mianowicie denary, bardzo cienkie, płaskie i lekkie, wyobrażające albo kościół po obu stronach, albo kościół po jednej, a mur z wieżą po drugiej stronie. Napisów niema żadnych i tylko niektóre odmiany noszą litery SS lub SK.

Jest jednak jedna rzecz szczególna. Oto monety te nie mówią o księciu zupełnie, tak że Stronczyński nawet skłonny był do przypuszczenia, że to denary miejskie lub biskupie. Jest to tem bardziej uderzające, że poprzednie monety krakowskie z katedrą związane mają imię i wyobrażenie czy to Krzywoustego, czy też Władysława Hermana. Znaczy to zatem, że konsekracja z 1142 r. odbyła się bez większego udziału księcia, który może nie tak hojnemi jak jego poprzednicy sypnął przy tej sposobności ofiarami. A może jest to już pierwszy znak tej niepopularności Władysława II i tej opozycji duchowieństwa i braci, która, jak wiadomo, doprowadziła w końcu do wygnania tego księcia z ojcowizny. W każdym razie widzimy z tego, że uroczystości katedralne w Krakowie miały już i zachowywały swoją monetarną tradycję.

Katedra krakowska, podobnie jak inne bazyliki, miała pułap i dach drewniany i stąd łatwo narażona była na pożar. Już w 1230 roku spaliła się po raz pierwszy, jak donosi rocznik kapitulny [1]), ale nieszczęście to nie było snać wielkie i tego rodzaju, by cały gmach zniszczyć miało. Ważniejszy i bardziej katastrofalny musiał być pożar katedry w 1306 r., o którym piszą roczniki Traski i Sędziwoja [2]). Od pożaru w mieście zajął się wówczas dach katedry i ogień zniszczył zapełnie cały kościół. Wprawdzie Łokietek wraz z żoną Jadwigą i synem Kazimierzem zajął się zaraz odbudową katedry, jednakże jasną było rzeczą, że tego rodzaju budynek nie wystarczał i że na katedrę potrzeba nowej, sklepionej świątyni. Do nowej budowy wziął się jednak dopiero biskup Nanker, zasiadający na stolicy krakowskiej od 1320 roku, i od tej chwili powstawać poczyna trzecia z rzędu obecnie stojąca wawelska katedra.

---

[1]) Mon. Pol. Hist. II. 803.
[2]) Mon. Pol. Hist. II. 853 i 879.

Dzieje tej trzeciej gotyckiej świątyni skreślił już mistrzowską dłonią prof. Wojciechowski, dodawać cokolwiek nie widzę już potrzeby. Uważałem jednak za stosowne przedstawić pokrótce najważniejsze dane o dwóch pierwszych katedrach, gdyż nowe odkrycia archeologiczne, oraz niewyzyskany dotąd materjał historyczny i numizmatyczny zmuszają do rewizji dotychczasowych poglądów.

Dr. Maryan Gumowski.

Kultura i lojalność obywatelska, jako przedmiot wychowania młodzieży.

(Dokończenie).

III. O pracy społecznej i wychowaniu obywatelskiem wedle wzorów anglo-amerykańskich.

Przeobrażenie państwa przez pracę społeczną. Szczycimy się naszą nowoczesną cywilizacją, zwłaszcza po wielkich miastach. A jednak to wielkomiejskie życie, jeżeli poprzez blichtr zewnętrznego porządku w głąb jego wnikniemy, pokazuje przerażające rozluźnienie wszelkich podstaw ładu i odpowiedzialności. Rozwój wielkiego przemysłu wyrywa mnóstwo ludzi z ich organicznych związków, a skupiając ich w olbrzymich masach, zbliża ich zewnętrznie do siebie, wewnętrznie jednak rozdziela więcej, niż kiedykolwiek poprzednio. Wśród tego chaotycznego natłoku wszystkie egoistyczne żądze i namiętności rozpinają się z niewidzianą dotąd brutalnością, a wobec nich wszystkie moralne hamulce wydają się bezsilnemi. Straszliwa pustka powstaje w tym chaosie dla jednostki mimo ścisku tysięcy. W najstraszliwszej pustce zaś żyją nie zapominani przez drugich, lecz ci właśnie, którzy przez własne sobkostwo odosobnili się i w potopie nędz i nieszczęść ludzkich chodzą jakoby głuchoniemi i ślepi. Kto tej chorobie zaradzi? Czy może socjalizm państwowy lub socjalistyczna agitacja? Tylko naiwni w to uwierzą. Jedynym skutecznym środkiem jest zorganizowana chrześcijańska opieka społeczna, kupiąca wszystkie moralne siły zdrowego społeczeństwa ku leczeniu nędzy ludzkiej. Organizacja tej chrze-

ścijańskiej opieki społecznej jest dopiero w początkach i nie może się z organizacją socjalistyczną mierzyć. Nie namacalne jednak sukcesy tej pracy socjalno-chrześcijańskiej mają być probierzem jej wartości, ale duch tę pracę przenikający, któremu przypadło najtrudniejsze powszechno-dziejowe zadanie przeobrażenia naszego społecznego porządku.

Duch ten, to nie poczucie solidarności zawodowej, to odczucie duszy przez duszę, to przenikająca logika miłości. Przykładu takiego ducha dostarcza nam rasa anglo-saska. Odrodzenia społecznego w Anglji nie zapowiadają jednak sławne organizacje robotnicze, trade-uniony, które nawet na fotele ministerjalne wysyłają swych przedstawicieli, ale organizacje społeczno-chrześcijańskie, które w najciemniejszych norach i zaułkach wschodniego Londynu zaczęły pracować nad podniesieniem moralnie upadłej duszy. Poświęcenie, miłość i ofiarność, z jaką »Armja zbawienia«, stowarzyszenia opieki nad młodzieżą, wychowanie uzupełniająca, społeczna praca pomocnicza, społeczne settlementy działają nie tylko w kwaterach nędzy i ubóstwa. ale wśród wszystkich szlachetnych ludzi, pozyskiwanych dla tej pracy chrześcijańskiej — oto znak czegoś nowego, co zapowiada »renovare faciem terrae«. Kto przypatrywał się praktyce sądów dla młodocianych przestępców i obserwował, jak prawniczy mechanizm z dawnych czasów coraz więcej zmienia się i ustępuje systemowi, zamieniającemu prawnika w pedágoga, kto się przypatrywał nowojorskim lub londyńskim centralom dla prywatnej opieki lub anglo-saskim settlementom, t. j. etyczno-społecznym instytucjom w kwaterach zepsucia, gdzie inteligencja poświęca część wolnego czasu dla wydziedziczonych, ten musi przyjść do przekonania, że tu mamy do czynienia z nowym sposobem łagodzenia ludzkiej nędzy, z nowemi metodami do wyrównania interesów na rzecz społecznej jedności i porządku. Właściwość przyszłej kultury społecznej polegać będzie na tem, że nie państwo, nie policja, nie prawo karne ze swemi bezwzględnemi paragrafami odbiorą nam wszelką odpowiedzialność za naszych współobywateli i bliźnich, lecz że człowiek o człowieka więcej troskać się będzie, że więcej duszy i sumienia wprowadzi się w instytucje państwowe, zamiast wszelkich reform, ochrony i porządku spodziewać się od ustawodawstwa i żandarmów. Społeczna praca opiekuńcza wprowadza nową erę chrześcijańskiej kultury, polegającej na tem, że chrześcijaństwo nie działa obok państwa, lecz zdobywa

szereg nowych dziedzin, dotąd poruczonych tylko mechanizmowi państwowemu lub ślepej igraszce społecznych sił.

I tutaj praca kobiet ma wielką misję do spełnienia. Dotąd, zdaniem Selmy Lagerlöf, kobieta zawiadywała domem, mężczyzna państwem; nadeszły czasy, gdzie siły twórcze domu muszą wkroczyć twórczo w dziedzinę państwa, ponieważ społeczne problemy tak się powikłały, że brutalnemi środkami Cezara nie dadzą się rozwikłać. Nie tylko w domu, ale w całem życiu kulturalnem wobec tego matka zastąpi ojca, wiecznie kobiecy pierwiastek — wiecznie męzki, co więcej mężczyzna coraz więcej się nauczy uszlachetniać swe wielkie siły organizacyjne pedagogicznie zapomocą potęg moralnych, które w szlachetnych niewiastach najbardziej się uwydatniają.

Oddziaływanie pracy społecznej na jednostkę. Praca społeczna ma nietylko znaczenie dla wydziedziczonych warstw, ale i wyższych, które ją spełniają; najszlachetniejszy i najpewniejszy wpływ wywiera ona na działaczy samych. Ktokolwiek chce poznać życie, winien wyjść z pałacu i poznać się z ciemnemi stronami życia. Dopiero współczucie i troskliwa opieka nad drugimi czyni nasze myślenie wszechstronnem, a nie mądrość książkowa. Nie tylko jednak dla naszego wykształcenia, ale i dla uszlachetnienia opiekuńcza praca społeczna posiada wielką doniosłość. Ci, dla których jesteśmy podporą, stają się nam ostoją w życiu. Kto się uczy być odpowiedzialnym za duszę czyjąś, kto się uczy duszę bliźniego ratować i chronić, ten nie jest zdolny duszy gubić. Młodzieńcy, którzy przy pracy opiekuńczej poznali tragizm winy i grzechu, odwrotną stronę lekkomyślności, ci poczuwają się do odpowiedzialności i unikają sami cyganerji żywota.

Czego można się nauczyć od anglo-amerykańskiej pracy społecznej? Najdalej posunęła się praca społeczna nad wydziedziczonymi w Anglji i Ameryce. Kolonizacyjna energja anglo-saska wśród najniższych warstw mogłaby nam Polakom służyć za wzór i zachętę, zwłaszcza pozakładane w najnędzniejszych dzielnicach, t. zw. »Settlements«. Około r. 1860 powstały pierwsze zaczątki tej instytucji w osławionej dzielnicy londyńskiej Whitechapel; dziś w samym Londynie istnieje 20 settlementów, a w Stanach Zjednoczonych 126. Settlement jest przytuliskiem, gdzie ludzie wyższych sfer mogą się stykać codziennie po pracy ze sąsiednią ludnością miejscową; jest miejscem, gdzie świat robotniczy

i jego dzieci znajdują schronisko i mogą te siły umysłu i charakteru kształcić, które człowieka czynią zdolnym nawet wśród najgorszych warunków do stworzenia i utrzymywania ogniska domowego. Nadto settlement ma rozbite wskutek podziału pracy stosunki osobiste w świecie robotniczym znowu na nowym terenie po ludzku nawiązać. Bez takich stosunków żadna ludzka instytucja nie może istnieć i żadna też instytucja w Anglji i Ameryce nie zdziałała tyle dla pokojowego załatwienia sporów robotników z pracodawcami i złagodzenia walki klasowej, co właśnie settlementy. Nadto zajmują się one sprawami wychowania, opieką nad młodzieżą, nad emigrantami i t. d. Cała działalność skupia się w settlemencie, a działacze w nim troszczą się tylko o mieszkańców swojej dzielnicy tak, że ta akcja nie jest oderwaną filantropją, lecz spełnieniem obowiązków sąsiedzkich względem znajomych sąsiadów.

Najwszechstronniejszą działalność rozwinął główny Hull-House Settlement w Chicago. Znajduje się on w dzielnicy, zamieszkałej przez wychodźców europejskich, Polaków, Czechów, Rusinów, Greków, Żydów, Skandynawów, Włochów. Za główne swoje zadanie instytucja ta stawia sobie pozyskanie tych narodowości, a zwłaszcza ich dzieci dla amerykańskiej kultury. W tym celu zaprasza się matki na herbatkę matek; tutaj dyskutuje się z niemi o racjonalnem i taniem odżywaniu dzieci. Dla starszych dzieci stoją otworem ogródki dziecięce, lub szkoły, gdzie się uczą muzyki, angielskiego języka, szycia, gotowania i t. d. Dla dojrzalszej młodzieży istnieją kluby wszelkiego rodzaju, dla mężczyzn sale dla omawiania ich spraw zawodowych. Każda narodowość ma tu sposobność obchodzić swe narodowościowe uroczystości i czcić swych bohaterów. Szczególnie podziwiać trzeba zdolność anglosaskich kobiet wnoszenia ducha ogniska domowego w świat, który zdaje się być jego przeciwieństwem. Zwłaszcza należy podnieść z uznaniem olbrzymią zasługę tej instytucji około uobyczajenia i uchrystjanizowania zabaw. Jak nikt dotąd potrafiła przedewszystkiem zasłużona kierowniczka Hull-Housu Jane Addams uwolnić potrzebę zabaw i odpoczynku od niskich namiętności, a natomiast ściśle ją zespolić z wyższemi siłami charakteru. Wychowawczy spryt i powaga kierowniczki okazały się najlepiej w organizacji tańców. Ucząc dziewczęta i młodzieńców z ulicy starodawnych tańców, wpoiła w nich nowy kodeks obyczajności i przyzwoitości tak dalece, że wpływ Hull-Housu oddziałał uszlachetniająco na inne dzielnice, a zwłaszcza na sąsiedztwo

tak, że składy i sklepy pozbywały się widokówek i ilustracyj bezwstydnych, że właściciele kin przesyłali zarządowi tej instytucji swe filmy do aprobaty i t. d. Stąd pokazuje się, że gdzie tylko jest punkt oparcia, z którego celowo dobre i szlachetne obyczaje propaguje się, ten punkt staje się potęgą, zachęcającą lepsze pierwiastki do kupienia się i oddziaływania umoralniającego. Na podstawie gruntownej znajomości wszelkich warunków życiowych, wśród młodzieży robotniczej z Hull-Housu wyszły pobudki do szeregu instytucji wychowawczych, przyjętych dziś w całym cywilizowanym świecie. Pierwsza asystentka policji była rezydentką z Hull-Housu. Stąd wyszedł impuls do zaprowadzenia specjalnych sądów dla młodocianych przestępców, zwłaszcza do instytucji »opiekunów młodocianych«.

Stałe pedagogiczne stosunki dojrzałych z niedojrzałymi, ugruntowanych w dobrem z chwiejnymi będą zawsze uchodziły za najważniejsze postulaty w dziele opiekuńczem. Świat starożytny używał do wychowania młodzieży mentorów, w dziedzinie kształcenia naukowego posiadamy korepetytorów, Ameryka stworzyła opiekunów moralnych nietylko nad zaniedbanymi obyczajowo chłopakami, ale wobec dorosłych przestępców, lub skłonnych do przestępstwa. Instytucja ta okazała się praktyczniejszą od naszych domów poprawy. Największą jednak zasługą wychowawczą settlementów jest sposób, w jaki zdołały młodzież zorganizować w kluby, godząc przytem samorząd z pedagogicznem kierownictwem. W ten sposób też udało się im zorganizować nawet najdziksżą młodzież we wschodnich dzielnicach Nowego Yorku, podczas gdy w naszych stowarzyszeniach młodzieńczych zuledwie obłaskawioną skupić zdołaliśmy. Wiele z tego, co w anglo-amerykańskich settlementach zdziałano, i nasza praca społeczna potrafiła naśladować, brak nam jednak tej jednolitości we wszystkich dążeniach, jaka się w settlementach ujawnia, brak przedewszystkiem sposobności do poznania gruntownego ludu. Najlepszy typ angielskiego politycznego gentlemana z doby obecnej uznał za pierwszy warunek etyki i sztuki rządzenia, by osobiście poznać życie i sposób myślenia ludu, za którego dolę i niedolę jest się odpowiedzialnym. W anglo-saskiej kulturze odczuwa się wszędzie dobroczynny wpływ, jaki wywiera osobisty pobyt w dziedzinach robotniczych dla przyszłych sędziów, urzędników, uczonych i polityków. Stąd też w całem publicznem życiu anglo-amerykań-

skich krajów czuć ten wpływ obywatelskiego wychowania. Tam niema tej wielkopańskiej dumy, pychy i pewności siebie z jednej strony, a zastraszającego i nienawistno-buntowniczego ducha z drugiej strony. Tam ludzie obcują mimo różnic stanu, jakby gentlemeni ze sobą, i czują się mimo różnicy stanowiska i programów wszyscy budowniczymi wspólnej narodowej kultury. Instytucja settlementów wytwarza dalej szerokie koła ludzi świeckich, którzy posiadają gruntowną znajomość spraw społecznych, czują się odpowiedzialnymi za wszelkie problemy społecznego życia. Nigdzie też tworzące się ustawodawstwo przyszłości nie jest tak przygotowane i opracowane w stowarzyszeniach, jak w stowarzyszeniach anglo-amerykańskich. Zwłaszcza my, Polacy, moglibyśmy się bardzo wiele nauczyć od Anglików i Amerykanów, mianowicie szanowania silnego rządu i przeciwstawienia mu dobrze zorganizowanej karnej opinji publicznej.

Krytyka dotychczasowej społecznej pracy. W tym jasnym obrazie anglo-amerykańskiej pracy społecznej nie brak i ciemnych plam. Aby te usterki zrozumieć, trzeba sobie uprzytomnić główne warunki skutecznego oddziaływania na obce dusze. Warunkami temi są: a) dokładna znajomość życia i duszy tych, którym się chce pomóc; b) heroiczna pobudka do działania; c) jasny wzniosły cel przed sobą; d) wprowadzanie siebie samego w taki stan duchowny, jaki temu celowi odpowiada. Nowożytnej pracy społecznej dokucza brak głębokiej inspiracji religijno-moralnej. Najmniej ten brak się odczuwa co do pierwszego warunku. Znajomość ludu jest dodatnią stroną anglo-amerykańskiej pracy społecznej, choć i tutaj widzimy, wskutek braku realnej znajomości ludzkiej natury, dużo wiodącego na manowce optymizmu. Co do drugiego warunku, t. j. inspiracji, to mimo szlachetnych popędów brak tej pracy głęboko ugruntowanej religijnej pobudki. Settlarzy są miłymi, dobrze się mającymi Amerykanami — nie są Franciszkanami, lub Siostrami Miłosierdzia. A jednak tylko ten ma swobodę działania wobec innych ludzi ma prawo mieszania się w cudze życie, kto życie codzienne niesie ludzkości w ofierze, kto swoje ja wyniszczył. Dla gorliwego kapłana, zakonnicy, drzwi wydziedziczonych stoją otworem — wobec innych dom najlepszych właśnie robotników jest zamkniętym grodem. Te słowa krytyki zrozumie każdy, kto porównał opiekę zakonnic po szpitalach z opieką świeckich sanitarjuszek. Z tego nie wynika, że

praca sanitarjuszek nic nie warta, lecz że potrzebuje głębszych religijno-etycznych pobudek. Nie wystarczają zaś dla spółczesnej pracy takie pobudki, jak wrodzona miłość bliźniego, ogólne filantropijne uczucia, jak starohebrajska żądza sprawiedliwości, oderwana od zasad religijnych, występująca w doktrynie socjalistycznej Lassalla i Marxa, ogólno-społeczne uczucia solidarności, społeczne instynkta naturalne. Wszystkie one okazują swój przyrodzony charakter w tem, że zupełnie bezwzględnie traktują życie jednostki, podczas gdy chrystjanizm broni właśnie jej świętości, godności i życia. Społeczne instyntkty naturalne bez hamulca religijno-moralnego łączą się łatwo z antyspołecznemi namiętnościami, które najbrutalniej poniewierać zwykły prawa jednostki, byleby ogół w ich mniemaniu na tem zyskał. Chrześcijańska zasada przeciwnie, czyniąc nas społecznikami, równocześnie wyzwala nas z dzikich instynktów tłumu; troszczymy się wtedy o bliźniego z miłości Chrystusowej, choćby nawet w ciemnych zakątkach Afryki, zdala od wszystkich życia przyjemności, wśród chorób, niebezpieczeństw, nędzy i śmierci. To jest właśnie owe »coś«, co żadną umiejętnością nie da się udowodnić, a jednak istnieje, tworzy nieprzerwaną historję, oddziaływa potężniej i skuteczniej na wolę od wszystkich innych czynników życia i jest jedyną siłą, która naprawdę społecznie umie zorganizować, dlatego właśnie, że zdołało pokonać radykalnie ludzkie »ja«. I właśnie z powodu tego radykalnego wytrzebienia egoizmu, z powodu altruistycznych konsekwencyj w rzeczach społecznych, z powodu usunięcia wszelkiej połowiczności, chrześcijańska nauka posiada najwyższą siłę do wytworzenia heroicznej inspiracji.

Jeżeli się wreszcie zapytamy o trzeci warunek społecznej pracy, t. j. o najwyższy cel, tedy odpowiedź na to daje nam znowu chrystjanizm, skrystalizowany w katolicyzmie. On tylko daje nam konkretny cel osobistej doskonałości, i ta jest fundamentem wszelkiej kultury społecznej. Innego fundamentu nie może nikt kłaść jeno ten, jaki położon jest: »Jezus Chrystus«. Jakże może ten drugiemu pomagać, kto z tej życiodajnej krynicy nie zaczerpnął swej orjentacji? Każdy człowiek, wołający o pomoc, chce być przedewszystkiem uwolnionym od siebie samego, albowiem najgłębsze źródło jego nędzy zawsze przecież tkwi w jego charakterze, lub w jego stosunku do życia. Sama ludzka pomoc nie oswobodzi go od ludzkiej nędzy. Miłosierdzie może nas jeszcze więcej uczynić niewolnikami ludzi, niż

tchórzostwo i obrachowanie. Jedynie religja objawiona wynosi nas ponad człowieka, udziela najwyższego niezawodnego dobra duszy, które nadaje sens życiu, a pomocy żywotną treść. Dopiero w najwyższej religijnej prawdzie skupiona dusza może się odważyć praktycznie oddziaływać na życie duchowe innych. Miłość bliźniego bez miłości Bożej jest niebezpieczną miłością. Co bowiem mogę udzielić bliźniemu, jeżeli się oddalę od tego, który sam jeden rzeczywiście jest zdolny pomóc? Pomóc mu tylko mogę na krótką metę wydostać się z jednego rowu na drugi rów. Za to wdzięcznym mi być nie może. Wdzięcznym jest tylko ten, któremu tam z góry dano pomoc.

W całej naszej nowożytnej działalności społecznej, a także i oświatowej nad ludem i wychowawczej nad młodzieżą odczuwać można obecnie coraz wyraźniej brak wszystko przenikającej etyczno-religijnej idei. Brak ten występuje także i w Anglji i Ameryce, chociaż tam mniej, niż gdzieindziej. Oddalenie się naszego całego ducha czasu od tego, co najważniejsze, niejasność pojęć o istocie prawdziwego wykształcenia występują prawie we wszystkich naszych pracach nad oświatą ludu; wszędzie widać nadmierne przecenianie czysto intelektualnej treści oświatowej, a równocześnie kalejdoskopowy chaos tej treści. Czego my dziś nie wykładamy prostym ludziom, niedojrzałej młodzieży szkolnej i rzemieślniczej? Jak mało właściwej pedagogji tkwi w całej oświacie ludowej! Jak mało zastosowania do rzeczywistych potrzeb i interesów zawodowych! Tylko organicznie budowana wiedza staje się potęgą; bezładna, rozproszona wiedza natomiast jest niemocą, psuje charakter, wiedzie do zawrócenia głowy, do płytkości sądów. Czujemy coraz większą potrzebę, aby znakomici wychowawcy ludu na podstawie dokładnej znajomości ludu naszkicowali całoroczne kursa wykładów dla pewnych szkół zawodowych i grup wieku, gdzie obok zadośuczynienia żądzy ogólnej wiedzy poruszanoby sprawy najbliższe, czy pod względem kulturalnym, historycznym, czy przyrodniczym, czy etycznym, czy społecznym. Nie tylko brak systematycznej pedagogji zatruwa naszą pracę oświatową, ale gorzej jeszcze — jednostronny intelektualizm. Nie zdajemy sobie sprawy, jak bardzo lud i młodzież łakną chleba żywota, łakną etyczno-religijnego wykształcenia. Socjalistyczna agitacja z rozmysłu unika kwestyj etyczno-religijnych, indyferentne koła lekceważą je rzekomo z powodu braku zainteresowania

się temi kwestjami u młodzieży i ludu. Nic fałszywszego nad to mniemanie, jakoby zagadnienia religijno-moralne nie budziły zainteresowania wśród ludu i młodzieży. Nie budzą oczywiście go, jeżeli się je traktuje w sposób oderwany i nudny; niech tylko jednak katecheta, kaznodzieja lub mówca, w sposób konkretny, chwytający za serce te kwestje poruszy, tedy twierdzę na podstawie trzydziestoletniej przeszło obserwacji, iż niema zagadnienia, któreby tak do głębi puruszało umysły młodzieży, jak właśnie zagadnienia religijne i moralne, sprawy osobistych przeżyć i wewnętrznych dylematów.

Chcąc wreszcie skutecznie działać w dziedzinie społecznej, musimy wprowadzić siebie w taki stan duchowy, jaki odpowiada celom, do których zmierzamy. Mówią, że sanitarjusz tylko o tyle potrafi oddziaływać leczące i uspokajająco na chorego, o ile uwolni się od nieporządnych uczuć egoizmu, buntu nerwów i t. d. Tak samo egoizm, upór, rozstrój w społeczeństwie tylko o tyle zdołamy pokonać, o ile sami we własnem wnętrzu odniesiemy zwycięstwo nad temi pierwiastkami rozstroju. W zwalczaniu wszechmocy egoizmu powinniśmy się zagłębiać w ów gotycki styl miłości i poświęcenia, jaki znachodzimy u Świętych Pańskich. W czasach, kiedy tyle blichtru, parady i teatralności rozpiera się nawet w dziedzinie dobroczynności, trzeba koniecznie heroicznych przykładów poświęcenia, jak n. p. O. Beyzyma, poświęcającego życie dla trędowatych, poświęcenia, które w miłości dociera od pozoru do istoty, od powinności do doskonałości zupełnej. Tylko ten, kto resztki pychy wygnał ze swej duszy, potrafi podnosić innych bez przeceniania siebie samego. Przy podnoszeniu upadłych jak dziwnej potrzeba mieszaniny niezachwianej lojalności wobec człowieka! Praca nad innymi tylko wtedy staje się błogosławieństwem dla nas, jeżeli sami przy niej moralnie się ożywiamy, aby drugich ożywiać. Głęboko zatem musimy sięgnąć, aby nasze »ja« przygotować do prawdziwej dobroczynności, społeczności, do prawdziwego obywatelskiego współżycia.

P a ń s t w o i r e l i g j a. Jakim wobec tego winien być stosunek obywatelskiego wychowania do religijnej kultury, nie ulega wątpliwości. A jednak kwestja ta domaga się wyjaśnienia, skoro pomysł osobnego wychowania obywatelskiego, oderwanego od religijnej kultury, na serjo był traktowany w szkołach nowożytnej Francji. Pomysł ten dziś musi uchodzić za poroniony. Jest to złudzenie polegające na niedokładnej znajomości natury ludzkiej, jeżeli się wierzy,

że można prawdziwą lojalność wobec państwa, że można głęboką sumienność oprzeć na samem politycznem uświadomieniu, na samych wrodzonych dobrych skłonnościach ludzkich. Niesłychaną siłę ciężkości egoizmu, gwałcącą rzeczywistość uchwytnych korzyści można pokonać tylko z pomocą królestwa, które nie jest z tego świata. Antyspołecznemu i antypaństwowemu egoizmowi, uporowi samowoli, demonicznej potędze, szałowi, rozpętanej namiętności wydoła tylko potęga Chrystusowej nauki, a wychowanie obywatelskie bez uświęcenia i podstaw religijnej kultury wisi w powietrzu, jest sportem dla głów bez zajęcia, jest iluzją i sennem marzeniem bez kształcącej siły politycznej. Z pewnością formy współdziałania Kościoła i Państwa ulegną zmianie, z pewnością prawa inowierczych mniejszości będą musiały być całkiem inaczej jeszcze szanowane, jak dziś, a z pewnością i pedagogika nauki religji musi ulec gruntownej reformie, jeżeli ma sprostać zadaniom bieżącej chwili; że jednak religja zasadniczo dla charakterystycznych podstaw państwa jest nieodzowna, to na nowo będziemy musieli uznawać coraz więcej, w miarę, jak religijne ideały wśród szerokich warstw ludowych tracić będą na znaczeniu. Ustalenie osobistego sumienia i charakteru odpornego przeciw naciskowi większości, przeciw tyranji korporacyjnego egoizmu, przeciw upojeniu narodowych namiętności, przeciw pogańskiej omnipotencji państwa od dawien dawna było największą zasługą Kościoła katolickiego. Katolicyzm wychował ludzi o niezłomnej wierności względem swego duchowego przeznaczenia, a niezawisłych od państwa i właśnie wskutek swej siły charakteru dla zadań państwa najwięcej przydatnych. Jeżeli kiedy, to obecnie, wobec kompletnego bankructwa państw, opartych na brutalnych zasadach militaryzmu i mamonizmu, takie charaktery niezłomne są wprost niezbędne do odrodzenia ludzkości, o ile są wzorem poświęcenia i sumienności wobec postulatów państwa, a z drugiej strony nigdy nie staną się ślepymi bałwochwalcami władzy państwowej i chwalcami nawet zbrodni popełnionych przez państwo. Jeżeli kiedy, to dzisiaj takie nowożytne państwo wobec rozszalałej burzy anarchji i bolszewizmu potrzebuje pomocy religji, aby coraz trudniejsze zagadnienia rozprzęgającego się społecznego życia sprawiedliwie i szczęśliwie rozwiązać. »Moje królestwo nie jest z tego świata« — to nie znaczy, że świat ten mamy pozostawić Belzebubowi, lecz znaczy to, że nie zdołamy organizować, to znaczy, że potrzebujemy prawdy z poza świata, aby ten świat opanować. Wszelka naprawdę stylowa budowa państwowych for-

macyj, wszelki prawdziwy duch obywatelski, wszelka prawdziwa kultura współżycia koniec końcem zawisła jest od wielkich świateł duszy, zapalonych nadziemskim ogniem osobistości Chrystusa. Tylko ta potęga duchowa sprosta całej mordującej ducha brutalności ludzkiej w walce o byt. Tylko ona jest zdolna z prostego społecznego mechanizmu stworzyć rzeczywistą kulturę państwową. Odczuli to głęboko ojcowie nasi, rzucając nieprzedawnione nigdy hasło:

»Bóg i Ojczyzna«.

Dr. K. Krotoski.

„DROGA DO SOCJALIZMU".

W jednej chwili przeobraził się polityczny ustrój Europy. Rewolucja zmiotła z głowy panujących korony, dopuściła do życia politycznego najszersze warstwy społeczeństwa. Za tą zmianą polityczną na korzyść ogółu musi pójść zmiana społeczno-ekonomiczna, któraby zakończyła panowanie królów kapitału a dobra materjalne oddała w ręce szerokich mas ludu. Socjalizm dzisiejszy stoi przed zadaniem podziału sprawiedliwego dóbr, podziału takiego, któryby wytwórczości w niczem nie zmniejszył, bo to znaczyłoby zubożyć lud. Z tego zadania wywiąże się socjalizm planową, twórczą, organizacyjną pracą. Systematycznie i powoli, ale stanowczo musi lud zmierzać do uspołecznienia wszystkiego.

Socjalizację należy rozpocząć od wielkiego t. zw. »ciężkiego« przemysłu. Dokona tego państwo, oświadczając zapomocą szczegółowej ustawy, że dotychczasowi właściciele tracą swą własność, jednakowoż nie bez odszkodowania, bo to byłoby niesprawiedliwością. Odszkodowanie wypłaci ogół kapitalistów, składając w ręce rządu przez pewien czas pieniądz w formie podatku postępowego od majątku. Wykupionym w ten sposób przemysłem zarządzać będzie nie państwo, gdyż to pogrzebałoby demokrację przemysłu, ale zarząd zorganizowany w trzeciej części z przedstawicieli związków zawodowych robotników i urzędników fabrycznych, z jednej trzeciej przedstawicieli spożywców i jednej trzeciej reprezentantów państwowych. Wszyscy, pracujący w uspołecznionym przemyśle, mają prawo do udziału w zyskach. Jednakże różne gałęzie przemysłu będą uspołeczniane w różnej formie. Ponieważ zaś dziś niektóre gałęzie nie dojrzały jeszcze do socjalizacji, dlatego trzeba je wpierw do tego odpowiednio przygotować. Dokona się tego przez organizację przemysłu. Organizacya ta polegać będzie na stworzeniu związku

wszystkich przedsiębiorstw z tej samej gałęzi na wzór dotychczasowych kapitalistycznych trustów. Związkami przemysłowemi kierować będą zarządy, złożone z trzech grup, jak w przemyśle uspołecznionym i czwartej, którą tworzyć będą przedstawiciele przedsiębiorstw. Celem związków będzie zmniejszenie kosztów produkcji, przez ograniczenie i określenie pewnych typów produkcji, masowe zakupy surowca, redukcję przedsiębiorstw wadliwych, wskutek czego przemysł skoncentruje się w niewielkiej ilości ogromnych zakładów przemysłowych i tem samem będzie przygotowany do zupełnego uspołecznienia.

O ile się to nie da wnet przeprowadzić, robotnicza klasa musi dążyć do jaknajwiększej demokratyzacji przedsiębiorstw, tworząc wydziały robotnicze. Wydziały te wybierze z pośród siebie lud roboczy i zapewni im prawną nietykalność, jaką się cieszą posłowie sejmowi. Od tych wydziałów zależeć będzie przyjmowanie robotników do pracy, regulowanie pracy akordowej, załatwianie zatargów między robotnikiem a przedsiębiorcą, zarządzanie urządzeniami fabrycznemi, służącemi wyłącznie potrzebom robotników (konsumy, kuchnie). Tylko techniczne i gospodarcze kierownictwo fabryk spoczywać będzie w rękach specjalistów. Ustanowienie tych wydziałów będzie jakby wprowadzeniem ustroju konstytucyjnego do ekonomicznego życia i będzie formą przejściową od obecnego absolutyzmu do zupełnej demokracji.

Socjalizację należy również przeprowadzić w gospodarstwie rolnem. Wywłaszczenie odbywać się musi stopniowo, poczynając od lasów, dóbr martwej ręki, sięgając coraz dalej, aż do własności 100 hektarowej. Wywłaszczonym majątkiem będą zawiadywały rady administracyjne, składające się ze specjalistów mianowanych przez powiatowy urząd rolny, z robotników rolnych i pełnomocników stowarzyszeń spożywczych. Drobniejsza własność, tak ze względów społecznych, jak i technicznych, nie da sie wywłaszczyć. Uspołecznienie gospodarstwa włościańskiego będzie polegało na oddaniu gospodarki chłopskiej pod kontrolę urzędu rolnego i na uspołecznieniu sprzedaży. Państwowe zakupno zboża od miejscowego rolnika i z zagranicy sprawi, że zniknie pasożytnicze pośrednictwo handlowe i spekulacja giełdowa stanie się niemożliwą.

W zakres uspołecznienia dóbr należy wciągnąć mieszkania i banki. Pierwsze odbędzie się przez wywłaszczenie dotychczasowych właścicieli, za co otrzymają wynagrodzenie w postaci papierów

wartościowych, uprawniających ich do pobierania dochodów z uspołecznionych mieszkań. Przy tej reformie mieszkaniowej wyjdzie się z zasady ogólnego prawa do mieszkania, niewypowiedzialności mieszkania, wyjąwszy nadużycie mieszkaniowe. Zarząd mieszkań będzie należał do komitetu, wybranego z pośród samych lokatorów. W tych warunkach dążyć się będzie do koncentracji kuchni, pralni, ogrzewalni, salonów i bibljotek dla starszych, bawialni i sal wychowawczych dla dzieci i t. d.

Uspołecznienie banków odbędzie się nie przez wywłaszczenie właścicieli pieniędzy, lokowanych w banku, ale przez przeniesienie władzy dysponowania temi kapitałami z rąk bankierów do rąk całego społeczeństwa, z którego następnie wybierze się zarząd banków. Banki, oddane raz ogółowi społeczeństwa, dadzą się łatwo połączyć w centralny bank narodowy, który z czasem stałby się regulatorem całego życia gospodarczego.

Tak więc bez żadnej krzywdy dla dotychczasowych kapitalistów, bo za odszkodowaniem i bez nadwerężenia skarbu państwa, bo przez podatki, ściągane od samych kapitalistów, dokona się tego wywłaszczenia wywłaszczycieli i lud stanie się panem ich majętności.

Tak się przedstawia projekt socjalizacji, rzucony, przez byłego ministra austro-niemieckiego dla socjalizacji, Dra O. Bauera.

Może kogoś przerazić ten program, ale nawiasem warto nadmienić, że P. P. S. D. na ostatnim kongresie postawiła jeszcze radykalniejszy, a dziś nasi socjaliści per fas et nefas zmierzają do jego urzeczywistnienia. Wystarczy wskazać na socjalistyczne związki zawodowe, teroryzujące właścicieli przedsiębiorstw przemysłowych, zastrzegające sobie wyłączne prawo przyjmowania do pracy i t. d.

Z drugiej strony zdziwiłby się napewno Marx gdyby dziś był między żyjącymi i przeczytał powyższy projekt. Nie chodzi tu już o tę krwawą rewolucję i przewrót społeczny, odbywający się co pewien czas z fizyczną koniecznością, jaki się snuł po głowie Marxa, gdyż już za życia mistrza socjalizmu niejednokrotnie padały umiarkowane głosy pod tym względem. Ale ów kres reform społecznych, wytyczony przez Bauera, jest za blisko w stosunku do wszystkich marzeń dawnych przywódców socjalizmu.

Wszak oni twierdzili, że własność prywatna dóbr wytwórczych całkowicie zniknie, a podmiotem posiadającym stanie się całe społeczeństwo, w którem każdy pracować będzie dla siebie i dla ogółu nie jako niewolnik przedsiębiorcy, skazany na liche wynagrodzenie,

ale jako obywatel wolny, który pracą swą przyczynia się do wzbogacenia innych i sam się pracą ich bogaci. Państwo, potrzebne do ochrony systemu kapitalistycznego, przestanie siłą rzeczy istnieć, a postanowienia prawne i ich wykonanie zależeć będą wyłącznie od ludu. Zniknie różnica stanów, gdyż nikt nie będzie się mógł nagle zbogacić przez spadek.

Wiedział o tem dobrze Bauer, a jednak w swym programie nie usuwa państwa z dziedziny rzeczywistości, owszem państwo czyni właścicielem bodaj czy nie większej części wszystkich dóbr jakiegoś społeczeństwa i tylko zarząd temi dobrami chce mieć najbardziej demokratyczny. Państwo będzie miało zabezpieczone dochody z tych dóbr i odegra najważniejszą rolę we wspomnianym »wywłaszczeniu wywłaszczycieli«.

Własność prywatna w programie Bauera ma zapewnione istnienie. Wywłaszczenie ziemi nie obejmuje chłopów, którzy mogą posiadać nawet 100 ha. Podobnie, jak wnosić można, drobny handel i małe warsztaty pracy, nieposiadające 20 robotników, nie mają być uspołecznione, tylko poddane kontroli społeczeństwa. Prawo spadkowe, choć ograniczone do najbliższej rodziny i obciążone wielkiemi podatkami, będzie jednak w użyciu, niewiadomo tylko, czy jako malum necessarium, czy jako najzdrowsza forma życia gospodarczego.

Są to bądź co bądź potężne wyłomy w dotychczasowej doktrynie socjalistycznej i wielkie ustępstwa na korzyść praktycznej rzeczywistości. Z tą rzeczywistością liczy się Bauer ogromnie i dlatego też zrealizowanie swego programu powierza długiemu okresowi czasu, może nawet dziesiątkom lat, po których znajdą się napewno jeszcze trzeźwiejsi od niego i jeszcze bardziej umiarkowani w swych socjalistycznych projektach.

Bauer liczy się z rzeczywistocią, ale go prześladuje idea socjalizacji, która mu nie pozwala zauważyć wszystkich trudności, a nie widzi ich też i dlatego, że kwestję codziennego życia, życia miljonów ludzi, w miljonowych przejawach, rozstrzyga i opisuje od zielonego stolika na 37 stronach swej broszury. Oczywista, że w tak ogólnym szkicu można przeoczyć wiele trudności i wszystkie sprzeczności ominąć, których jednak życie nie ominie.

Wystarczy dotknąć jednego lub drugiego szczegółu. Wieśniakowi, według Bauera, nie należy odbierać ziemi. Uspołecznienie gospodarstwa chłopskiego polegać będzie na uspołecznieniu samej sprzedaży produktów rolnych i poddaniu gospodarki chłopskiej pod

kontrolę i zarząd »Urzędu Rolnego«. Mówiąc językiem dzisiejszym, jak zresztą sam Bauer to czyni, będą potworzone centrale, do których chłop będzie odstawiał zboże po cenach maksymalnych. O przyjemnościach, połączonych z tym urządzeniem, Bauer milczy, ale dzisiejszemu pokoleniu znane są te przyjemności aż nadto dotkliwie i nikt dobrowolnie nie zechce narazić siebie i drugich na coś podobnego. Czy wolno nam dziś wierzyć w społeczny instynkt chłopa, któryby mu kazał pracować usilnie i produkować na zbyt, choć z tej produkcji będzie miał tylko minimalne zyski? Czy w naszych stosunkach wyzbylibyśmy się przez te centrale żydowskiego pośrednictwa, czy też po prostu zapewnilibyśmy wrogiemu, jak dotąd, elementowi stałe posady na tych tak ważnych dla całego społeczeństwa stanowiskach? Społeczeństwu naszemu już zbrzydły do ostateczności centrale i to, że Bauer każe z nich wypędzić biurokrację a ożywić je formą demokratyczną, jest zastąpieniem rzeczy złej przez gorszą, bo owe »Rady« i »Urzędy« powiększą tylko zamęt, co się zdarza wszędzie, gdzie jest za wielu urzędników.

Chłop nasz, a przypuszczać wolno, że i gdzieindziej, nie pozwoli sobie też odebrać inicjatywy w sprawie własnego zagonu i wszelkie narzucanie schematycznych przepisów uprawy roli, hodowli inwentarza żywego, byłoby zabójstwem gospodarstwa rolnego. Uprawa roli musi być traktowana indywidualnie, zależnie od jakości gruntu, ilości opadów atmosferycznych itd., tej zaś indywidualności nie będą mogły dostatecznie uwzględnić żadne »Rady« i »Urzędy«. Inna rzecz, że dziś trzeba koniecznie wywrzeć pewien nacisk na rolnika, by się trzymał więcej racjonalnej gospodarki i lepiej korzystał z postępu techniki gospodarstwa rolnego, ale ten nacisk nie potrzebuje zmiany ustroju gospodarczego na socjalistyczny.

Bardzo pięknie i może z osobistem zadowoleniem rozwiązał Bauer kwestję mieszkaniową. Skrępował samowolę kamieniczników, zarząd poszczególnych domów powierzył komitetom lokatorów, zniżył do minimum, a nawet w pewnych wypadkach wykluczył zupełnie czynsz, a przytem zapewnił jeszcze dochód właścicielom dawnym i gminom. Nie poruszamy tu tej kwestji, czy to wszystko łącznie jest możliwe, ani tej miłej zgody i tej uległości, z jaką każdy lokator odnosić się będzie do komitetów, ale spytać się wolno, czy takie załatwienie sprawy nie będzie skazaniem równocześnie na bankructwo i prywatnych właścicieli, a jeszcze prędzej gmin, boć wiemy, że najmniej poszanowania ma dziś ogół dla własności komunalnych.

Niewiele więcej warte są też projekty wspólnych czytelni, bawialni, kuchni itd. Trzebaby naprawdę uprościć duszę ludzką i sprowadzić ludzi do kilku jakichś typów, by można znaleźć zadowolenie w projektowanych urządzeniach. Ale ponieważ tego uproszczenia nie dokaże żaden teoretyk socjalistyczny, ani żaden choćby największy agitator, plany Bauera musimy uznać za niemożliwe. I ktoby chciał zgasić raz na zawsze ognisko domowe, wypędzić z domowych ścian to ciepło, którem się ożywia i krzepi robotnik wśród różnych tragedyj i znoju życia codziennego, ten niech spróbuje urzeczywistnić program socjalistyczny, choćby w tak niewinnej formie, jaką przedstawia Bauer.

Te same niemożliwości spotykamy w każdym innym kierunku; wszędzie widnieje ostatecznie zamarcie tego barwnego i niesłychanie zróżniczkowanego życia i usiłowanie zrównania wszystkich jednym strychulcem.

Bezsprzecznie dałoby się urzeczywistnić niejedno z programu bauerowskiego i może nawet z korzyścią nie tylko dla proletarjatu, ale dla ogółu, ale tylko przy ogromnem wyrobieniu wewnętrznem mas robotniczych, przy wielkiem ograniczeniu wymagań czysto materjalnych. Tymczasem nikt, ani Bauer, ani żaden z przewódców socjalistycznych, o tem nie myśli. Natomiast każdy z nich na swoją rękę korzysta z każdej sposobności, by namiętności tłumu doprowadzić do największego napięcia, jakby chodziło koniecznie o to, by jaknajprędzej zgładzić dotychczasowych właścicieli, co zaś potem będzie, mniejsza o to.

Mimo to Bauer okazał wiele umiarkowania, tak co do programu, jak i co do jego przeprowadzenia. Kiedy Daszyński na ostatnim (tegorocznym) kongresie P. P. S. D., jako referent w sprawie programu socjalistycznego, z patosem głosił zgromadzonym delegatom Śląska i Galicji, że kapitaliści spotkają się ze strasznym sądem ludu, który będzie brzmiał: Na śmierć! jedyną formą porachunku z nimi może być tylko szubienica-gilotyna«, Bauer stawia na pierwszym planie pracę twórczą, pracę wytężoną. Wychodzi on z założenia, że dobrobyt społeczeństwa zależy od produkcji, ta zaś zwiększa się, względnie maleje, wraz z pracą. Dlatego to kiedy pierwszym i ostatnim postulatem naszych socjalistów jest zwiększenie pracy, polepszenie bytu materjalnego robotnika, bez względu na to, jakiby to stosunek wywarło na położenie całej Polski tak wewnątrz jak i wobec innych państw, Bauer pozostawia w dzie-

dzinie życia gospodarczego pracę akordową, którą P. P. S. skazała na wieczne wygnanie.

Dopiero gdyby przy tej pracy twórczej systematycznej nie dało się przeprowadzić stopniowego uspołecznienia wszystkiego, »jeżeli lud nasz nie zrozumie konieczności chwili, jeżeli klasy posiadające będą się sprzeciwiały temu, co jest konieczne i nieuniknione, jeżeli warstwy pracujące, obłąkane i oszukane, nie będą rozumiały własnych interesów i nie będą umiały wyzyskać tych politycznych sił, które im dała republika demokratyczna, to wtedy socjalizm przyjdzie w innej formie. Przyjdzie nie jako wynik planowej, twórczej pracy, ale jako następstwo straszliwej burzy, która z początku wszystko zmiecie, wszystko zniszczy, aby na zwaliskach starego świata powstały nowe«. »Okupilibyśmy wówczas socjalizm długiemi jeszcze latami nędzy o wiele gorszej od tej, którą pozostawiła wojna. Ale socjalizm stał się dziejową koniecznością, urzeczywistni się tak, czy owak«. Ze słów tych widać, że Bauer wyobraża sobie socjalizm jakby jakąś zarazę, która niezależnie od ludzi wywołuje w społeczeństwach szał rewolucyjny. Ale że socjalizm jest zjawiskiem społeczno-ekonomicznem, wywołują go nie jakieś czynniki czysto fizycznej natury, jak chce Bauer, — idąc w tym wiernie za Marxem, wyznawcą grubego materjalizmu historycznego, — ale czynniki natury moralnej, prowoderzy socjalistyczni, rozdmuchując krwiożercze instynkty w indywiduach podatnych do tego, które na swoje imię zapisują tę smutną sławę Herostrata, noszącego dziś imię Trockich, Leninów, Beli-Kuhnów. O tem wie każdy, że namiętność potrafi wszystko zniszczyć i nie potrzebuje tego przepowiadać Bauer, ale w twórczą pracę namiętności mas, którą dziś nazywamy bolszewizmem, nikt nie uwierzy, nawet na zaklęcia Bauera.

Sprawa znów całkiem inna, że reformy społeczne, tak w dziedzinie życia gospodarstwa rolnego, jak i przemysłu, muszą nastąpić i kapitaliści muszą koniecznie uśmierzyć swą gorączkę złota, ale niech się to dzieje drogą legalną, w imię prawdy odwiecznej, która wszystkim ogłasza tę samą marność rzeczy ziemskich i taką samą godność osoby ludzkiej.

Ks. R. Moskała.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z literatury religijnej.

Fr. Klimke T. J.: Unsere Sehnsucht, Jos. Kosel'sche Buchhandlung, Kempten-München, 1918.

Znawcy ubiegłego stulecia stwierdzają zgodnie, że na schyłku 19 i na początku 20 wieku wszystkie niemal dziedziny twórczości osnuła jakaś dziwna tęsknota, podobna do tęsknoty zbłąkanego wędrowca. Tajemną sprężyną i podłożem tej tęsknoty jest pragnienie religijnego odrodzenia, usiłowanie zarzucenia kotwicy na rozkołysanem morzu zwątpienia. Przesadny kult natury, pobity na głowę, ustępuje z pola, naturalistyczny pogląd na świat, szukający rozwiązania zagadek u czarodziejki przyrody, zbankrutował. Jak niegdyś Aug. Comte, zrywający ostentacyjnie z chrystjanizmem, radził odprowadzić za rękę Boga-Ojca i religję do granic ziemi i czule im podziękować za dotychczasowe usługi; tak przeciwnie nowsi filozofowie i myśliciele, n. p. Wundt, E. Hartmann, A. Drews, Emerson, P. Lagarde, W. James, Tołstoj, Wyneken i inni uboczną furtką wprowadzają zagadnienia religijne na porządek dzienny i poświęcają im baczną uwagę. Długoletni prezes związku monistycznego, W. Ostwald, zagaja niedzielne posiedzenia religijne kazaniami, owszem nosi się nawet z myślą założenia monistycznego klasztoru. Potężnym wyrazem religijnego zwrotu są zapewne dzieła Förstera. Eucken ufa, że minęły już czasy religijnego indyferentyzmu i że era oświecenia XVIII wieku (w której pomiatanie religją należało do dobrego tonu, a dowcip wtedy dopiero się podobał, gdy jej ubliżał) już chyba nie wróci.

Jak strzelające w niebo wieżyce gotyckie są symbolem tęsknego wzlotu dusz do nieba, tak dzisiejsza poezja niemiecka liryczno-refleksyjna — to jeden potężny akord tęsknoty religijnej. Na dowód wystarcza przytoczyć dobrze znane nazwiska: Webera, Schönaich-Carolath'a, Eicherta, Kralika, Hlatky'ego, Seeber'a Knodt'a. Prawda, że realizm, impresjonizm

uwielbiający zdobycze kultury, upajający się zbytkiem bachusowego używania, zużył wiele drukarskiej bibuły, ale to tylko jedna komórka, jedna izdebka współczesnej duszy. W jej tajnikach, w jej głębi mieszka załzawiona, z wzrokiem w niebo utkwionym tęsknota, którą tak trafnie określił Musset: »L'autre a soif de l'avenir et s'élance vers l'inconnu«.

Wielka wreszcie popularność mistyczno-spirytystyczno-okultystycznych dziełek, broszur, zrzeszeń i posiedzień ma swoje źródło także w tęsknocie religijnej. Albowiem jeśli jej człowiek nie zaspokoi rzetelną strawą, to chwyta się surrogatów.

Współcześni zatem filozofowie, poeci, mistycy marzą o religijnem odrodzeniu. Niestety! Im jaśniej wielu z nich uznaje jego potrzebę, im patetyczniej deklamuje na temat, że religja winna być ośrodkiem, ostoją życia, tem też usilniej odwracają się od chrześcijaństwa. Zdaniem n. p. takiego Ostwalda, Hartmanna, Euckena, teren chrystjanizmu jest dla odrodzenia religijnego za ciasny, atmosfera za duszna, wprost zabójcza. Inni, n. p. Nietzsche, Stirner, Ibsen, Horneffer, Ellen-Key nietylko religją chrześcijańską gardzą, ale płoną do niej dziką nienawiścią. Wzdychają do religji, lecz religji »wyższej«, religji »nadludzi«, wybijałego indywidualizmu, autonomji moralnej i »samoodkupienia«.

Religja to potężne drzewo. Korzenie jej tkwią w Bogu i duszy ludzkiej. Religja »wyższa«, odrzucając istnienie Boga osobowego, sadzi to drzewko na jałowej glebie własnego ja. Chrystjanizm, to religja teocentryczna; religja »wyższa«, to religja egocentryczna. Chrześcijaństwo wyrosło na skale historycznego objawienia, współcześni wyrzucają to podłoże i przeszczepiają na niwę ogólno ludzkiego doświadczenia. Zamiast się dusić wśród zmurszałych, zakrzepłych dogmatów, powinien duch nasz bujać w barwnej krainie uczuć i przeżyć. Ponieważ Chrystus i Kościół, według nich, nie ma wyłącznego monopolu na objawienie, przeto każden może i musi opracować sobie swój system, być sobie założycielem religji, jak był nim niegdyś Chrystus, Mohamed i Budda. Precz więc z wszelką organizacją religijną! woła z patosem Horneffer — precz z religją zrzeszoną, zakutą w dyby! Dość już się namarnowało sił indywidualnych w obroży przymusu społecznego. Dusza »wyższa« prawdziwie nowoczesna nie da się pędzić w gromadzie, nie zniesie nad sobą bata! Precz więc z Kościołem rzymskim!! Zwyczaj, obyczaj, tradycja, nawet sam Bóg — to sieć zastawiona na naszą osobowość. Chcemy szybkiego brzasku jutrzenki swobody; bierzmy młoty w dłonie i rozkuwajmy kajdany niewoli bożej!! Najwyższem zadaniem i celem religji — jak mniema Nietzsche i Horneffer — jest wyrabianie wielkich charakterów, wykoń-

czenie odrębnych rysów fizjonomji duchowej. Ten ideał urzeczywistnienia się, gdy wola dochodzi do tytanicznej potęgi. Do grona zaś osiłków, »nadludzi« przechodzi każdy z chwilą podarcia wszelkich pęt i więzów, z chwilą zdobycia się na nieugiętą konsekwencję zarówno w złem jak i dobrem. Na ołtarze »wyższej« religji pójdą wielcy, byle wielcy, zarówno zbrodniarze, jak i bohaterowie starej cnoty. W nowych świątyniach chodzić będą w aureoli »kochani«, ale »nieugięci« cudzołożcy, »mili« salonowcy, przeskakujący, jak pstrągi, ponad wszystkie kaskady przepisów moralnych. Na szubienicy powszechnej wzgardy wisieć będą ludzie mierni, słabi, nieudolni. Do kresu religijnego rozwoju dociera człowiek w chwili jasnego poznania, że własne jego ja jest alfą i omegą, że zaspokojenie wszelkich pragnień, żądz i popędów jest prawdziwą służbą bożą (Stirner). »Współżycie miłosne kochanków, to najszczytniejszy akt służby bożej« (Ellen-Key). »Zaspokojenie pięknej zmysłowości, to najcudniejszy kwiat rajski. Czyż mielibyśmy go nie zrywać na dolinie łez i cierni«? (H. Preuschen). »Najniegodziwszym gwałtem zadanym naturze jest życie czyste, a najpodlejszą niewolą nierozerwalność węzła małżeńskiego« (H. Stöcker).

Tak mniej więcej wygląda szkic »pobożnych« wskazań religji »wyższej«, »indywidualnej«.

Historja filozofji, a zwłaszcza historja religji dowodzi niezbicie, że ludziom nie wystarczało nigdy samo poznanie i oderwane pojęcie Boga. Serce ludzkie pragnie Boga posiąść, na łonie Jego odpocząć, u stóp bożych znaleźć źródło mocy i siły moralnej.

Nowożytni pionierzy odrodzenia religijnego, ulegając nieświadomie temu naturalnemu popędowi serca, szukają również w religji krynicy szczęścia i mocy. Ale ponieważ z góry odrzucają chrześcijańską naukę o zjednoczeniu z Bogiem przez łaskę poświęcającą i posiłkową, przeto do wielkich zasobów energji duchowo-moralnej próbują dojść nowemi drogami. Eucken n. p. i amerykanin Ralph Waldo Trine, oraz wielu innych pisarzy angielskich, puszczając się odważnie na szerokie fale panteizmu, szukają lekarstwa na duchową niemoc w marzeniach filozoficznych. A zatem, twierdzą oni i im podobni, Bóg — to świat. Człowiek jasno poznający, że element boski w nim mieszka, natrafił na złotonośną żyłę duchowej energji. Podniesienie duszy do wyżyn bóstwa opromienia szarugę codzienności, uskrzydla i odradza tysiące. Jezus Chrystus był apostołem takiego odrodzenia. Wiek XX dokonał największego »odkrycia«, gdyż »stwierdził«, że nauka i żywot Chrystusa zgoła inaczej wyglądały, niżeśmy dotąd sądzili. Objawienie Jezusowe dosięgło szczytu w słowach:

»Ja i Ojciec jedno jesteśmy«. W pierwotnej formie było ono bez dogmatów, bez kultu, bez hierarchji. Dopiero kościół katolicki je wypaczył, wykrzywił, przysypał rumowiskiem orzeczeń o grzechu pierworodnym, odkupieniu, zadośćuczynieniu: tymczasem Chrystus zwiastował i głosił jedność i tożsamość naszej natury z twórczem życiem Ojca. Jeśli to zrozumiemy, że jesteśmy odbłyskiem, promykiem istoty bożej, wówczas wola nasza pokryje się w zupełności z wolą bożą, ramię nasze przyoblecze się w moc wszechmocnego.

Z tych samych panteistycznych założeń wychodzi amerykańsko-angielski odłam teozoficzny H. Steel Olcotta, H. Bławackiej, A. Besant. Cechą jego główną jest tolerancja posunięta do ostatnich granic. Wszystkie religje wschodu i zachodu: chrześcijańska, żydowska, mahometańska, buddystyczna i t. p. są dobre, gdyż wszystkie są odblaskiem bożej mądrości, objawiającej się we wszechświecie w różnych formach. Każdy więc, jak ptaszę polne, może na swoją modłę nucić pieśń ku chwale bożej.

I ten panteistyczny kierunek zrodziła serdeczna tęsknota za Bogiem. Przyrównaćby go można do wyblakłego, nikłego pędu, pnącego się po szorstkich złomach z mroźnej piwnicy ku słońcu, ku Bogu!

Ktokolwiek zna dzieje świata i ludzi, nie może dostrzec, że człowiek mimo wykształcenia, towarzyskiej ogłady, zdumiewających zdobyczy na polu techniki, zarówno w najskrajniejszej nędzy jak i w największym przepychu występuje zawsze taki sam. Choć opanował powietrze, lądy i morza, to jednak nigdy sam o własnych siłach nie zawładnął sobą, nie stłumił w sobie niskich instynktów i skłonności. W głębi jego duszy błyska słabe światełko poczucia winy. Bóg i niebo nań zagniewane. Któż go więc wybawi? Kto położy kres dziwnym rozdźwiękom, odzywającym się w sercu?

Sama natura — odpowiadają zwolennicy religji »wyższej«. Ależ naturę samą trzeba wprzód zleczyć, odpierają idealiści. Jakże więc od niej spodziewać się można uzdrowienia? Odkupienie zatem może przynieść kultura! I to czczy frazes — wołają panteiści. Boć kultura jest kwiatem i owocem umysłu ludzkiego. Jeśli sam korzeń zatruty, zgangrenowany, czyż drzewo wyda kwiat zdrowy? A więc ludzkość wybawić i odkupić może tylko Bóg! Gdybyśmy atoli z panteistami przypuścili, że świat jest odbłyskiem, promykiem istoty bożej, wiecznie się rozwijającej, natenczas przyjąć też będziem musieli, że zło i grzech wyłania się z jestestwa bożego z fatalną koniecznością. A wtedy któż mu kres położy? Jeśli więc niema Boga osobowego, różnego od świata, to nie-

ma i odkupienia! Chcąc tedy logicznie myśleć, musimy dojść do chrześcijańskiego pojęcia odkupienia, do istnienia Boga osobowego.

Oto wytyczne szlaki, któremi biegła myśl ks. Fr. Klimkego.

»Unsere Sehnsucht« stwierdza, że umysły współczesne osnuła tęsknota, jakby srebrna sieć pajęcza. Trzeba nam religji! woła dziś wielu — wszelako »wyższej«, niż chrześcijańska. Trzeba nam siły moralnej, ale nie nadprzyrodzonej! Trzeba nam odkupienia, lecz nie Chrystusowego! Autor wczuł się w te różnorodne drgnienia i tętna serdeczne. Z powodzi literatury współczesnej wyłowił szlachetne popędy i wzloty. Wziął je za punkt wyjścia. Zanalizował, poddał surowej krytyce, wskazał sprzeczności i niedomagania. Apologja chrześcijańskiego pojęcia religji, doprowadzenie człowieka dobrej woli do stóp Boga osobowego — oto pierwsze zadanie, z którego ks. Klimke świetnie się wywiązał. Nadto dzieło niniejsze ma dla historji religji długotrwałą wartość, albowiem ze zdumiewającem znawstwem literatury kreśli w niem autor wielkimi rzutami obraz religijnych prądów bieżącej doby. Ile ta książka zawiera uwag, spostrzeżeń, wyrwanych niejako z pod serca, ile głębokich refleksyj, rzucających snopy światła na naukę wiary katolickiej, przekona się sam czytelnik.

Jedno tylko niemile uderza i osłabia wartość całości: brak jasnego, prostolinijnego pochodu myśli przewodniej. Skoro autor postanowił prowadzić czytelnika za rękę do Boga, do bram religji chrześcijańskiej, to naprawdę szkoda, że go zasypał nieprzejrzaną chmurą cytatów, szkoda, że zbyt często zbacza na barwne, co prawda, kwieciste łąki, w cieniste miłe ustronia, — ale zbacza i orjentację utrudnia. Po przeczytaniu »Naszej tęsknoty« wychodzi czytelnik zdumiony, lecz i nieco znużony.

Ks. Wł. Lohn.

Dr. Józef Sebastjan Pelczar. Obrona Religii katolickiej, tom VII. Tajemnice Religii katolickiej. Rozprawy dogmatyczne dla ludzi wykształconych. Przemyśl, 1918, stron 622.

Niestrudzona w przeróżnych kierunkach życia umysłowego, naukowego, religijnego i ascetycznego prawica Najdostojniejszego Pasterza wzbogaciła tak ubogą polską literaturę dogmatyczną nowem dziełem. Jest to tom VII cyklu apologetycznego »Obrony Religji Katolickiej«. Pierwszy tom »Obrony« napisał i wydał w Przemyślu 1911 r. sam ks. Biskup p. n.: »Jak wielkim skarbem jest religja katolicka i dlaczego ta religja ma dzisiaj tylu przeciwników«? Drugi i trzeci tom wyszedł z pod pióra ks. Dra K. Wais'a: »Czy i jaki jest Bóg«? (Przemyśl, 1912) i »Dusza ludzka« (Kraków, 1917). Tom IV. »O Objawieniu Boskiem«;

tom V. »O Jezusie Chrystusie«; tom VI. »O Kościele Katolickim« jeszcze nie zostały ogłoszone.

Wiedziony gorącem pragnieniem rozpraszania grubych mroków niewiadomości, jednego z najpotężniejszych wrogów wiary, wygłosił Dostojny Autor w roku 1913 i 1914 szereg konferencyj apologetycznych. Z tych konferencyj urosło niniejsze dzieło. »Tajemnice religji katolickiej« skierowane są do ludzi wykształconych, a zwłaszcza dojrzalszej młodzieży. Celem ich głównym: oświecenie umysłów i odparcie podnoszonych zarzutów. »Stąd możnaby je nazwać teologją dogmatyczną dla świeckich« (Przedmowa).

Rozdział 1 i 2 tłumaczy istotę, genezę, pobudki i przymioty wiary, jej przedmiot, źródła i kryterja. Po uwagach wstępnych zapuszczamy nasz zwrok w najgłębsze tajniki bożego życia, jednego w naturze, troistego w osobach (rozdz. 3 o Trójcy Przenajśw.). Następnie przyglądamy się dziełom rąk bożych tak w porządku przyrodzonym (stworzenie świata, aniołów, człowieka) jak i w porządku nadprzyrodzonym (wyniesienie ludzi do godności dzieci bożych, rozdz. 4—6). W zaraniu ludzkości prostolinijną harmonję planów bożych zakłóca grzech i upadek Adama; ale jej nie niweczy, gdyż nad wszystkiem czuwa baczne oko Boga; wszystko zależy od skinienia i przyzwolenia Jego wszechmocnej dłoni (Opatrzność Boża, conservatio, concursus, rozdz. 7 i 8). W »pełni czasu« nawiedza zagrody nasze Słowo Wcielone, przelewa swą krew za rodzaj ludzki (rozdz. 9—11. Tajemnice Wcielenia, marjologja; tajemnica Odkupienia). Najcudniejszym kwiatem, który wyrósł na skale golgockiej, zwilżonej krwią P. Jezusa jest łaska (rozdz. 12 i 13). Arterjami, strumieniami, ożywiającemi ciało Jego mistyczne są sakramenta (rozdz. 12—13). Końcowe rozdziały (24—29) przywodzą nam na pamięć prawdy eschatologiczne: śmierć, sąd, niebo albo piekło, czyściec, obcowanie Świętych.

Wykład wszędzie przystępny, zrozumiały. Wielka ilość zagadnień teologicznych zwięźle, treściwie przedstawiona. Ufamy, że »Tajemnice« w znacznej mierze przyczynią się do rozpowszechnienia znajomości prawd naszej wiary świętej. *Wł. L.*

Ks. Dr. Edward Górski: Jezus Chrystus w świetle ewangelii. Sandomierz, 1918, str. 470.

Komu tylko na sercu leży rozwój naszej rodzimej literatury teologicznej, ten nie może pozostać obojętnym, patrząc na szereg dzieł poważnych z zakresu studjów biblijnych. Jak na niwie ściśle dogma-

tycznej prawie głuche panuje milczenie, »apparent rari nantes in gurgite vasto«, tak przeciwnie w dziedzinie biblijnej, mimo zawieruchy wojennej, mimo zatrważających trudności wydawniczych zapanował od 1914—1918 r. ruch stosunkowo wielki. Z pod pióra ks. Arcyb. Symona wychodzą: »Listy św. Pawła« (Kraków, 1915) i »Psałterz Dawidowy« (tamże 1917). Podczas gdy ks. Arcybiskup płynnie i potoczyście spolszczył nam w nich łacińską Wulgatę, to profesor egzegezy w sem. duch. w Sandomierzu ks. Dr. E. Górski zaznajamiał swych słuchaczy z ich treścią i osnową. Owocem wysiłków tego ostatniego są dwa dzieła: »Psałterz Dawidowy« (Sandomierz, 1916) i »Listy św. Pawła« (Radom, 1917). »Cztery Ewangelje. Wstęp. Nowy przekład i komentarz«, ks. Wł. Szczepańskiego T. J. (Kraków, 1917) są i będą niezawodnie dziełem pomnikowem dla egzegezy polskiej. »Wstęp ogólny, historyczno-krytyczny do Pisma św.« (Włocławek, 1915) i »Wstęp szczegółowy do ksiąg nowego testamentu« (tamże, 1916) ks. J. Kruszyńskiego na długie lata pozostaną przepyszną kanwą, ułatwiającą wykłady z zakresu tak zwanej »introdukcji«. Więcej takich podręczników, a nie bardzo wyprzedzać nas będzie zagranica! »Ewangelie« »Studjum krytyczne« (Kraków, 1915) ks. Dra J. Kaczmarczyka pod kątem widzenia apologetycznym zmierza do utrwalenia w umysłach wiarygodności i autentyczności ewangelij, jako źródła historycznego. Osobno wydany »Wstęp« do Czterech Ewangelij (Kraków, 1917) ks. Wł. Szczepańskiego T. J. wprowadza i przygotowuje czytelnika do owocnego czytania »dobrej nowiny«, podaje mu do ręki klucz od tajemnic tekstu, przenosi go w stosunki geograficzne, historyczne, religijne, społeczne, w zwyczaje i obyczaje żydowskie. Na ich tle jaśniej zarysowuje się »światłość świata na ten świat przychodząca«. Nie można też milczeniem pominąć »Boga-Człowieka w opisie ewangelistów« (Rzym, 1914) ks. Wł. Szczepańskiego. Jego zaś dopełnieniem, czy kontrrefleksem jest »Jezus Chrystus w świetle ewangelij« (Sandomierz, 1918) ks. Dra E. Górskiego.

Oba te dzieła do jednego zdążają celu: do naukowego opracowania żywotu P. Jezusa, do jak najwyraziszego uwypuklenia, uwydatnienia postaci »Mistrza z Nazaretu«. Drogi atoli i metody obu autorów są odmienne. Ks. Szczepański metodą syntetyczną zestawił cztery ewangelje w jedno ciągłe opowiadanie. Stworzył więc z opowieści ewangelistów barwną mozaikę życia Chrystusowego, Jego nauki i cudów. Ks. E. Górski obrał metodę analityczną. Umiejętnie dobrany tekst różnych ewangelij zestawił obok siebie w równoległych kolumnach (o ile o danem zdarzeniu mówi kilku ewangelistów). Tak »sharmonizowane« ustępy, w tłumaczeniu

ks. Wujka, opatrzył komentarzem, uwagami, objaśnieniami. Podał więc czytelnikowi »Synopsę ewangeliczną«. Istotnie piérwsza to polska synopsa, pierwszy polski podręcznik do egzegezy ewangelij sharmonizowanych, Za podstawę chronologiczną wypadków bierze ewangelję św. Jana. W te ramy wplata wydarzenia podane przez innych ewangelistów i w ten sposób uwydatnia trzechletnią publiczną działalność Zbawiciela. W podziale materji, ugrupowaniu wypadków szedł ks. Górski stale (z małemi odcieniami i odchyleniami) po tej samej linji wytycznej, co »Bóg-Człowiek« ks. Szczepańskiego. W komentarzu jasnym, prostym, zwięzłym, przejrzystym podał autor powszechnie przyjęte i utarte objaśnienia egzegetów katolickich.

Całość robi miłe wrażenie, gdyż rzuca wiele światła na zawiłe, zagadkowe i ciemne ustępy ewangelij. Za podanie do ręki naszym lewitom praktycznego, zwięzłego podręcznika egzegezy ewangelicznej — autorowi cześć i podzięka! Wielką zaletą tego komentarza jest zwięzłość i jędrność. Lecz idzie za nią cień. W tłumaczeniu bowiem miejsc spornych autor zadawala się niekiedy ogólnikową wzmianką, że o właściwe znaczenie tego tekstu autorowie się sprzeczają: wielu mniema tak, inni są odmiennego zdania; powszechnie atoli przyjęło się takie a takie... zdanie! Wyborne i wygodne to stanowisko! Ale czy nie dobrzeby było również zwięźle i krótko podać, przynajmniej w przypisku, bodaj nazwiska najwybitniejszych przedstawicieli szkół, tytuły najważniejszych dzieł? Tak bowiem mimowoli oko czytelnika oswoiłoby się z literaturą egzegetyczną, nie byłoby skazane na autorytet litylko wykładającego, lecz przekonałoby się osobiście, że podobnie myślą i inni, że ich zastęp wcale pokaźny!

Tego zaznajomienia z różnorodnemi prądami i kierunkami we współczesnej egzegezie czuje się wielką potrzebę przy omawianiu n. p. tytułu »Syn człowieczy«, sporu o związek paschy żydowskiej z wieczerzą Pańską i śmiercią P. Jezusa, proroctw Chrystusa Pana dotyczących zburzenia Jerozolimy, końca świata, powtórnego przyjścia w chwale (parousia). Szkoda też wielka, że w § 194 e. niema żadnej wzmianki o obecności Judasza przy ustanowieniu Najśw. Sakramentu, a więc czy Komunję św. świętokradzko przyjął, czy też nie.

Styl prosty, język na ogół poprawny, ale może za często autor »motywuje«, »reprezentuje«, »reasumuje«, »redukuje«, »sympatyzuje«, »kwestjonuje«. Mimo tych usterek dzieło ks. Górskiego witamy z wielką radością.

Ks. Wł. Lohn.

Z niwy poetyckiej.

Juljan Tuwim: Czyhanie na Boga, Warszawa 1918.

Wszędy zauważa się w chwili bieżącej szukanie nowych dróg, tęsknotę za nowemi formami, a szczególnie wyraziście ujawnia się to w sztuce i literaturze. Po bankructwie pozytywizmu, co kilka lat nowy wywiesza się sztandar, co chwilę nowe rozbrzmiewają hasła i nawoływania, niby dzikie tabuny stepowe, wieją mimo nas co trocha nowe prądy, jak one się wszystkie zowią: neoromantyzm, impresjonizm, neoklasycyzm, humanizm, ekspresjonizm. Szczególnie ostatni rzuca się dziś w oczy.

Jak wszystkie prądy, tak i ekspresjonizm pojawia się w Polsce nieco później niż na Zachodzie, ale przyznać trzeba, że zamaszyście usiłuje wkroczyć w chram literacki. Ognisko swoje główne znajduje w »Zdroju« poznańskim, efektownie i ozdobnie wydawanym, ale wątpliwym pod względem religijnym piśmie, w »Maskach« krakowskich, równocześnie zagarnia dziedziny poezji, malarstwa i rzeźby. Pod względem estetycznym wiele się mu zarzuca, jak wykazuje ankieta lwowska, pod względem moralnym i religijnym zawiera pewne niebezpieczeństwa. Na ogół powiedzieć można, że jest to dopiero okres burzliwego fermentu, dziwny chaos, w którym, przyznajemy, mogą być i są potęgi twórcze, ale dotychczas ziemia nowa dopiero się jak przez mgłę wyłania. Bądź co dądź, znając historję nowych prądów, zazwyczaj nieżyczliwie przyjmowanych i zaciętą walką torujących sobie drogę, nie chcielibyśmy z góry i w czambuł potępiać nowych usiłowań, tem mniej, że wielki talent może je zakląć w dzieła wartościowe.

Wstępnym bojem zdobywa sobie młody poeta Juljan Tuwim jedno z pierwszych miejsc na nowoczesnym Parnasie. Jego »Czyhanie na Boga«, arcyciekawe objawienie się duszy, co wchłonęła w siebie wszystkie, zda się, wiewy i powiewy chwili obecnej i chwili idącej, to wielki głos serca, co młode i bujne a nawet zuchwałe, drga od krwi »czerwonej«, gorącej, burzliwej, to nowych czasów kameleon niesamowitemi rozelśniony barwami, to przedziwna mozaika mieniąca się bezcennemi kamieniami, lecz niestety i mamidłem szychu i pozłocia.

Wielostrunną jest lira młodego śpiewaka, dzwoniąca górne pieśni o Nieskończoności i Bogu, o Chrystusie i duszy ale i zgrzytająca strasznemi schrypłemi krzykami człowieka-zwierza, opiewająca i wdzięki wsi sianokosami rozwonionej i wstrętny zaduch szpitalów wielkomiejskich, zacisza pokojowego urok niepojęty i wojny okropności krwią

bluzgające, przedstawiająca i ducha poety najwnętrzniejsze tajnie i najwidoczniejsze łzawej niedoli poszarpane strzępy, opowiadająca przedhistorycznego »włodarza szalonego« miłosne dzieje i szarpiąca za przyszłości kotarę zazdrością. Jednakże wśród tej, wielogłosej pieśni wzbija się najgłośniej pean, głoszący wielkość życia i mocy młodej, świeżej, potężnej.

Jest właśnie w tem ukochaniu życia, kiedy poeta woła:

»Rozrosła się wpaniale wola mej twórczości
Jest mi jak glina palcom artysty uległa,
Choć mocna, choć potężna, choć jak granit legła
W mej duszy, obcej żalom hamletycznej czczości«.
(»Duma«)

donośny zew najnowszej poezji i zwracającej rękawicę staremu smutkowi i pesymizmowi, co Schopenhauerowskim zgrzytem grał na strunach liryków. To krzesanie mocy i potęgi twórczej, to napawanie się życiem ta uciecha młoda ze zdrowia — oto wielka chwała poezji Tuwimowej.

Ale są tam, obok tych wartości więcej ideowych, wielkie wartości artystyczne i symbolizm i ekspresjonizm i futuryzm, i przyznać trzeba, że autor nietylko się uważa dumny ze swej godności, za zwiastuna nowej poezji, ale jest nim rzeczywiście w całej niemal wiązance utworów, a nietylko w tych silnych wyrazach:

Gromada śpiewa współczesności chór,
Tłum ekstatyczny, który w bezmiar urósł!
Hej, »Życiu Drogę«! Stanął groźny Zbór,
A na spotkanie Zborowi — Futurus.
. . . . . .
Będę ja pierwszym w Polsce futurystą.
A to nie znaczy, bym się stał głuptasem,
Co sport z poezji czyni i z hałasem
Udaje maga a jest tylko glistą,
I to nie znaczy, bym na przeszłość plunął,
Bym zerwał w wierszu nawet... z przeszłym czasem,
Lecz iżbym stał się Idącego łuną,
Bym głosił nową Wiedzę Oczywistą
I iżbym na was jak słup ognia runął!
(»Nowa poezja«).

Z prostotą i szczerością, która świadczy znowu wymownie o wartości tych poezyj, przyznaje się autor, że podlega obcym wpływom, że stał się »Bożych olbrzymów uczniem«. Więc rzeczywiście pobrzmiewa na strunach Tuwima i Goethe i Norwid i Kasprowicz i Maeterlinck

i Edgar Allan Poe i Rimbaud i Fedor Sołogub, lecz wszystkie te wpływy przetworzone w duchu oryginalnego poety.

I w języku męskim i silnym, nabrzmiałym wiośnianemi sokami, zauważa się nowe drogi, zakreślone w Kasprowicza »Księdze ubogich«. Lecz przyznać trzeba, że młody bije starego więcej bezpośredniem a szczerszem i głębszem i bujniejszem uczuciem. Prostota we formie jest, że się tak wyrazimy, oryginalniejsza: od Tuwima kwiatów wiośnianych bije zapach wiośniany, od liści jesiennych z »Księgi ubogich« czuć zaduch pleśni i zgnilizny. Panuje zaś poeta nietylko nad językiem współczesnym, ale umiejętnie sięga do skarbnicy staropolskiej i dobywa klejnotów świeżym blaskiem lśniących.

Tem boleśniej więc wobec wysokiej wartości artystycznej podkreślić trzeba rozdźwięk z naszym polskim, katolickim światopoglądem. Najpierw jest poeta, że jego użyjemy słów, »za pan-brat z nieskończonością« (138), a nawet i z Bogiem i świętościami naszemi. Wierzy wprawdzie w Boga, lecz woła jakby owiany panteizmem:

»Sławię Boga-Ducha przez potysiączne Rzeczy« (136), zna nieźle Pismo św., lecz niestosownie go czasem używa, zwraca się w modłach do Pana, lecz dziwna to modlitwa, kiedy mówi:

»Modlę się Panie, ale się nie korzę:
Twarde są słowa modlitwą zrodzone.
. . . . . .
Ale pamiętaj: gdy padnę, nieszczęście
Moje olbrzymie w twarz cisnę Ci, Boże!
Wiedz: w górę wzniosę dwie żelazne pięście,
Oczy spłomienię, spojrzę i — zagrożę!

Za to życzliwie i z pewną miłością odnosi się Tuwim do Chrystusa, a to o tyle jeszcze ciekawsze zjawisko, o ile prawdą jest, co się mówi o pochodzeniu poety, Łodzi dziecka. Prześlicznie maluje w nowoczesny sposób Chrystusa, cichą bolesną a pogodną ofiarę — »Ptaszkowie mają gniazda i liszki mają schowy« (44) — woła nawet, jakby szamotany walkami wewnętrznemi:

»Jeszcze się kiedyś rozsmucę,
Jeszcze do Ciebie powrócę,
Chrystusie...
Jeszcze tak strasznie zapłaczę,
Że przez łzy Cię zobaczę,
Chrystusie...

I taką wielką żałobą,
Będę się żalił przed Tobą,
Chrystusie...
Że duch mój przed Tobą klęknie
I wtedy — serce mi pęknie,
Chrystusie... (51).

Czemuż więc poeta tęskniący za Wiarą, modlący się tak kornie do Jej Założyciela, tak niesprawiedliwe, krzywdzące mroczne światło rzuca na duchowieństwo, kiedy w wierszu »Kobieta« tak się odzywa:

»Słów Bożych orędownik, apostoł, co w pieniach
Sławi Zjawienie Pańskie śród zbożnej pasterki,
Szpera jak rzezimieszek po cudzych kieszeniach
I kradnie w tłumie grosze: dla niej — na cukierki (109).

Wątpliwy, bardzo wątpliwy jest stosunek tych wierszy do naszych zasad moralnych. Mniejsza o to, że poecie zbyt szczere zwierzenia wymykają się z pod pióra, jak w onym wierszu o »ojcostwie«, ale znowu, niestety, woń zmysłowości owiewa mianowicie niektóre wiersze w prozie poetyckiej napisane i »Świetozara«, woń zmysłowości nienaturalnej nawet w »Zdradzie«. Z tej strony poeta już jest trochę znany, boć mały jego twór »Wiosna w mieście«, zamieszczony na łamach pisma młodych »Pro arte et studio« w zeszycie marcowym, wywołał, jak pisze Sinko, »pewien huczek, pewien literacki skandalik« [1]). »Posypały się gromy na głowę niesfornego poety za one wyziewy wiosennych roztopów, których nie rad szuka mieszkaniec smutnej ziemi, za ów zawód uczyniony, za wstręt wiosny«... Część prasy warszawskiej skierowała ostre słowa potępienia pod adresem poety i redakcji pisma. Na łamach »Pro arte et studio« wypowiedziała się niemniej młodzież sama [2]). Lecz na szczęście autor tego wiersza tu nie włączył.

Pomijając różne te niedomagania, zauważyć trzeba, że poeta szczerością wypowiedzenia się chwyta w niejednym utworze za serce, ożywia myśl do zastanowienia się nad drogami, jakiemi winna pójść nasza poezja po wojnie. Opanowanie formy językowej, czułość i wrażliwość na objawy życia, zwłaszcza w wielkiem mieście, to swoiste spojrzenie na rzeczy i ludzi, myśli i uczucia, zjawiska i wypadki — to wszystko każe domyślać się niecodziennego talentu w młodym poecie, który świadom swej siły w uniesieniu woła:

---

[1]) »Maski« R. I, z. 26 i 27.
[2]) »Zdrój«, maj 1918.

Niech we mnie Bóg rozgorze, jak słoneczny żar,
Iżby mi duszę światłość żywotna poiła.
Twórczość moja precz rzuci nakaz dawnych wiar,
Ale się skłoni wszędzie, kędy jest mogiła.
Twórczość moja ogarnie Wszechbędący Byt
Poprzez wieków kurzawę — wieki będzie gonić,
Będzie stolicom ducha zapowiadać świt
I na Twoje witanie, o Idący, dzwonić!

To też jeden z najpłodniejszych, najwszechstronniejszych literatów naszych, przytem uczony znawca antyku, Tadeusz Sinko, w analitycznej rozprawce omawia te poezje i taki wreszcie o nich sąd wypowiada:

»Na razie za dużo jeszcze u niego eksperymentowania. Ale i pomimo to oczywisty jego talent zdobywa się na rzeczy już doskonałe i w koncepcji i w ekspresji; możemy ze spokojem oczekiwać chwili, w której z tego chaosu wyłoni się piękna gwiazda poetycka, której na imię Juljan Tuwim«.

Ks. Nikodem Cieszyński.

Historja sztuki kościelnej.

Biskup A. J. Nowowiejski. Płock. Monografia historyczna, napisana podczas wojny wszechświatowej i wydrukowana w r. 1917. Str. 624, 324 rycin. In 8⁰ maj.

Z uwagi na to, że piśmiennictwo nasze nie obfituje w obszerne a gruntowne monografje polskich grodów, nie można, jak tylko z prawdziwem zadowoleniem, powitać każdą nową pracę z tego zakresu, a więc i wyborną monografję pióra dostojnego pasterza diecezji płockiej, ks. Biskupa Nowowiejskiego. Autor w studjum swem, napisanem z iście benedyktyńską ścisłością i dokładnością, poprzedził dzieje samego Płocka rzutem oka na dzieje Mazowsza, za którego »klucz« ten gród uważano, i na dzieje diecezji płockiej.

Z dwunastu rozdziałów, na jakie dzieli się monografja, najobszerniejszym i naprawdę con amore opracowanym jest rozdział IV-ty, poświęcony bazylice katedralnej, jednej z najciekawszych świątyń na ziemiach polskich ze względu na swą architekturę, w której zachowało się stosunkowo dużo pierwiastka romańskiego, a która i przez to jest osobliwą, że łączy się w niej bezpośrednio styl romański z renesansem bez śladów ostrołuku. Ten rozdział książki, jak i większą część ilustracyj, zwłaszcza reprodukcje nowych malowideł w katedrze, usprawiedliwiłby zaliczenie pracy ks. Biskupa do dzieł z zakresu sztuki kościelnej w Polsce.

Monografja doprowadzoną jest pod względem historycznym i opisowym aż do ostatnich czasów. Osobny rozdział poświęcił ks. Biskup sekcie Marjawitów, która, jak wiadomo, wzięła swój początek w Płocku.

Pod względem typograficznym omawiane dzieło nie pozostawia nic do życzenia, owszem przynosi zaszczyt płockiej drukarni Rosińskiego.

Jedna tylko rzecz uderza, gdy się bierze tę monografję do ręki, a mianowicie owo objaśnienie w tytule, że »została ona napisaną podczas wojny wszechświatowej«. W pracach bowiem tego rodzaju, jak monografje historyczne, które muszą być pisane objektywnie, nie odgrywa żadnej roli dla czytelnika wiadomość o tem, wśród jakich okoliczności powstały.

J. Trepka.

Po ziemi Ojczystej. Obrazy najcenniejszych pamiątek narodowych. Dział pierwszy: Katedry Polskie. Zebrali i opracowali: Dr. J. S. Zubrzycki i Jadwiga z Łobzowa. Kraków, nakład własny, druk Aleksandra Rippera. Str. 307, rycin 177, in 4-to.

Dzieło powyższe stanowi pierwszą część na wielką skalę zakrojonego wydawnictwa, mającego w dalszym ciągu przedstawić kolejno: zamki, grody, akademje, dwory i dworki, a wreszcie miasta i ratusze polskie. Jestto praca bardzo poważna i niezmiernie pożyteczna, gdyż ona pierwsza w naszem piśmiennictwie daje mniej więcej pełny obraz Katedr polskich z punktu widzenia architektonicznego i historycznego. Rzecz prosta, że autor poświęcił więcej uwagi Katedrom ważniejszym jako budowle, lub pamiątki historyczne, ale i o pomniejszych nawet daje dość dokładne wiadomości. Opracował on tedy najobszerniej katedry: w Gnieźnie, Poznaniu, Wilnie, Krakowie, Płocku i Warszawie, objaśniając tekst mnóstwem rycin wedle zdjęć fotograficznych wykonanych.

Wprawdzie fotografja daje literalnie wierny obraz danego dzieła sztuki, ale obraz ten jest zawsze martwy w porównaniu z podobnym rysunkiem. Otóż wolelibyśmy widzieć tak pięknie i dobrze napisane dzieło ozdobionem za pomocą pewnej ilości rysunków odręcznych zamiast fotografij, które, gdy się je ogląda jednym ciągiem, nużą oko w sposób bardzo nieprzyjemny. Tego znużenia nie doznajemy, oglądając podobne dzieło architektów francuskich — np. takiego Viollet le Duc'a — odczuwających dobrze wyższość artystycznego rysunku odręcznego nad fotografją.

Także balast literacki w tem dziele nie stoi na równi z jego fachową wartością, a nawet przyczynia się do pewnej chaotyczności w jego układzie.

Po tym pierwszym tomie wnioskując, wolno mieć nadzieję, że, jeśli uda się Drowi Zubrzyckiemu zamierzone dzieło doprowadzić do końca, to będzie ono nader cennem źródłem do dziejów naszej kultury artystycznej od czasów najdawniejszych aż do obecnych.

J. Trepka.

Materjały historyczne.

Wołyniak: Z przeszłości Karmelitów na Litwie i Rusi, z przedmową Fr. Rawity Gawrońskiego. Kraków, 1918, nakładem OO. Karmelitów na Piasku, skład gł. w księg. Gebethnera i Sp. Część I. str. XVII i 521; część II str. 251.

Niestrudzony autor obrabia swem piórem historję różnych zakonów na Litwie i Rusi, jednego po drugim. Po obszerniejszej pracy, dotyczącej Dominikanów, przyszła kolej na Karmelitów. Charakter prac Wołyniaka jest zawsze ten sam: skrzętne zestawienie wszystkich dostępnych w archiwach i pracach już drukowanych szczegółów, dotyczących klasztorów danej reguły, ich uposażenia, osób przełożonych i zakonej braci, pracy na polu kościelnem i szkolnem. I w tych dwóch tomach mamy wiadomości o 54 siedzibach Karmelitów i 2 Karmelitanek we wschodnich częściach dawnej Rzeczypospolitej. Z tych przytułków zakonnego życia nie dochował się do nas ani jeden! W drugim tomie nadto znajdujemy parę luźnie związanych rozdziałów, dotyczących historji i statystyki całego Zakonu Karmelitów, zwłaszcza na ziemiach polskich. Praca Wołyniaka, jak w przedmowie uzasadnia Rawita-Gawroński, ma poniekąd znaczenie apologetyczne: rehabilituje opinję zakonu, pomawianego od czasów poety-biskupa warmijskiego o bezczynność; dostarcza też ciekawych materjałów do historji ustroju gospodarczego w Polsce, malując stosunki między włościaństwem, a zakonem, w którego poddaństwie daleko lepiej się czuło, niż we włościach prywatnych.

Przyszły autor syntetycznej historji zakonów w Polsce będzie wiele obowiązany Wołyniakowi za jego żmudną przygotowawczą robotę. Pragnąćby tylko należało, żeby najdłuższe życie pozwoliło mu obrobić zakony z innych części Rzeczypospolitej, np. b. Kongresówki, Galicji i t. d.

Wydanie, nakładem Zakonu przedsięwzięte, przedstawia się i zewnętrznie pięknie: wspaniały papier, anczycowski druk. Aż zazdrość bierze, gdy się patrzy na taką książkę w naszych czasach.

J. B.

Julian Klaczko: Pisma z lat 1849—51, zebrał Dr. Bolesław Erzepki, Poznań 1919, nakł. księgarni Św. Wojciecha, str. 172 i 225.

Część I-sza zawiera siedm drobniejszych prac znakomitego pisarza, drukowanych w swoim czasie po różnych pismach, część 2-ga — 28 listów Klaczki do rozmaitych osób. Jedne i drugie, pochodzące z czasów, kiedy Klaczko przebywał w Paryżu, dostarczają dość ciekawych szczegółów do historji naszej Emigracji, niektóre z prac — jak »Socjalizm, polityka i narodowość« nie pozbawione są znaczenia i dla czasów naszych. *J. B.*

Unia Litwy z Polską, dokumenty i wspomnienia, zebrał Henryk Mościcki. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, str. 115.

Wartość praktyczną tej książeczki stanowi to, że jest ona zbiorkiem podręcznym głównych historycznych aktów, dotyczących unji Polski i Litwy, począwszy od aktu krewskiego z r. 1385, z dołączeniem wspomnień i opisów różnych obchodów jubileuszowych. W roku 350-ym po zawarciu Unji lubelskiej zbiorek ten przyda się pod ręką historykowi, a i szersza publiczność z przyjemnością odczyta te pamiętne akty bez mozolnego poszukiwania ich po dziełach źródłowych.

J. B.

Dr. Stanisław Kot: Rzeczpospolita Polska w literaturze politycznej Zachodu, Kraków, 1919, nakł. Krakowskiej spółki wydawniczej, str. VIII i 253.

Szczęśliwa myśl natchnęła tę książkę. Badając literaturę polityczną tak polską, jak i obcą kilku ubiegłych stuleci, zebrał autor sporą wiązankę sądów i głosów pisarzy Zachodu o ustroju życia państwowego w naszej Ojczyźnie, począwszy od XV wieku aż po datę upadku Rzeczypospolitej. Są tam sądy, często diametralnie sprzeczne o jednej i tej samej rzeczy, boć każdy pisarz patrzył na urządzenia polskie przez szkła swojej własnej ideologji.

Krzepiącą jest jednak rzeczą dla obywatela Polski spotkać się z pochlebnym, a niekiedy wprost entuzjastycznym głosem o czemś, co się może u nas zbyt czarno przedstawiało, pożytecznem zaś usłyszeć i słowa krytyki, czasem całkowicie uzasadnionej. Pochlebia to Polakowi, gdy czyta, jak niejeden wybitny myśliciel i mąż stanu zachodni znajdował u nas wzory godne naśladowania. Autorowie obcy podkreślali bardzo demokratyczność Polski. »W epoce, w której wielkiej było potrzeba śmiałości myśli, aby formułować tezy o wyższości obywateli nad

panującym, o ograniczeniu władzy królewskiej przez umowę z poddanymi, o zależności danej formy rządu od wolnej woli narodu, o roli panującego jako najwyższego urzędnika narodu i t. d., Polska dała podporę tej myśli, okazując w większym stopniu niż inne państwa realizację idei republikańsko-konstytucyjnych»... Jeden przyjaciel Polski (Bodin) stawia Polaków wyżej od Niemców pod względem kulturalnym: »Polacy mówią łagodniej aniżeli Niemcy, są też od nich wytworniejsi i więcej cywilizowani, jakkolwiek żadne góry ich od siebie nie przedzielają«.

Wielką plamę na naszym ustroju politycznym widzieli słusznie obcy w bezprawności chłopa (głowszczyzna!), za którym ujmowali się i u nas Skargowie i Modrzewscy; przykro, że polskich pod tym względem urządzeń bronili od zarzutów obcych Opalińscy, Starowolscy i Fredrowie, dowodzący, że, »nasz ludek zrodzony już jest do niższego losu, do słuchania i nie umie żyć pełną wolnością«.

Polską zajmowali się tacy myśliciele, jak Montesquieu, Leibniz, Puffendorf, Voltaire i Rousseau. Nikczemność etyczna Woltera doskonale przeziera z jego usprawiedliwiań rozbiorów Polski.

Niemile razi katolickiego czytelnika, że autor, choć tylko referuje sądy obcych, zdradza wszakże zbytnio sympatje do różnych prądów antykatolickich, katolicyzm zaś często traktuje z jakąś niechęcią, umie o nim wyrażać się z przekąsem. *J. B.*

Ks. Adolf Szelążek: Memorjał w sprawie majątków kościelnych w Królestwie Polskiem, zabranych na mocy ukazów 1864 i 1865 r. Płock, 1917.

Ks. Władysław Chotkowski: Grabieże kościelne w Galicyi, Kraków, 1919.

Dwie prace, pokrewne treścią i celem, choć różne układem. Pierwsza, oparta na archiwalnych źródłach, ujmuje rzecz w cyfry, w tablice, podaje gotowe syntezy, z których np. dowiadujemy się, że gdyby Kościół rewindykował zabrane mu przez rząd rosyjski w Kongresówce majątki i kapitały, z dołączeniem procentów narosłych, należałby mu się zwrot przeszło 400 miljonów rubli. Wobec tego, że majątków tych nie zabrano właściwie na własność skarbu, lecz wzięto je tylko w administrację państwową, tem słuszniej i legalniej Kościół może dziś domagać się uwzględnienia tej grabieży przy regulowaniu sprawy uposażenia duchowieństwa.

Ks. prof. Chotkowski przechodzi grabieże kościelne w Galicji, dokonane za Marji Teresy i Józefa II, według klasztorów, biskupstw i ka-

pituł, jakim dobra odjęte zostały, charakteryzuje nadto niedołężną i niesumienną gospodarkę z tak zw. funduszem religijnym, powstałym z zaboru majątków kościelnych.

Obie prace posiadają nader aktualne znaczenie wobec tego, że według znanej uchwały sejmowej (wniosek ks. Dziennickiego) przedmiotem porozumienia Państwa ze Stolicą Świętą mają być nie tylko dobra aktualnie, w posiadaniu Kościoła znajdujące się, ale i tak zw. poduchowne, t. j. dawniej przez rządy zaborcze Kościołowi odjęte. Gdy się tę całą własność Kościoła weźmie pod uwagę, można mieć pewność, że dostateczne uposażenie kleru po zaborze reszty majątków duchownych nie obciąży skarbu państwowego żadnym ciężarem, któryby nie był tylko spłatą procentów od zajętej różnemi czasy kościelnej własności.

J. B.

Oprócz tego nadesłano do redakcji:

Alfons Heilmann: Stunden der Stille, Sonntagsgedanken, Freiburg, Herder, 1919, str. 238.

Dr. J. Schuster: Historja biblijna, przekład z niem., nowo opracowana przez ks. Gustawa Maya, Fryburg, Herder, str. 226.

Ks. biskup Fr. J. Knecht: Krótka historja święta, przekład z niem., wyd. 3., Fryburg, Herder, 1919, str. 86.

Ks. J. Schuster: Dzieje święte w krótkości opowiedziane, przekł. z niem., Fryburg, Herder, str. 88.

Edmund Jezierski: Litwa z Koroną. Nakł. Kasy przezorności i pom. Warsz. pom. księg. Warszawa, 1919, str. 226.

Heinrich Pesch T. J.: Ethik und Volkswirtschaft (Das Völkerrecht 4 und 5 Heft). Freiburg, Herder, 1918, str. 164.

J. B. Sägmüller: Der apostolische Stuhl und der Wiederaufbau des Völkerrechts und Völkerfriedens (Das Völkerrecht 6 Heft), Freiburg, Herder, 1919, str. 117.

Franz Ehrle T. J.: Neu-Deutschland und der Vatikan, Freiburg, Herder, 1919, str. 18.

Ad. Bertram, Fürstbischof: Familiensinn geheiligt durch Weihe an Jesu Herz, Freiburg, Herder, 1919, str. 77.

X. Cieszyński: Orator fit, słów kilka o wymowie. Nakł. Konfederacji polskiej w Poznaniu, 1919, str. 27.

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Pomysł ochrzczenia socjalizmu. — Z fermentów czeskich. — U grobu św. Wojciecha. — Poświęcenie się Hiszpanji i Belgji Sercu Jezusowemu.

Stoimy wobec faktu, że wojna i związane z nią stosunki ekonomiczne spowodowały nadzwyczajny wzrost socjalizmu w liczbę i potęgę. W jednych krajach poczuł on się tak dalece silnym, że sięgnął po władzę niepodzielną, w innych cieszy się nieledwie decydującemi wpływami lub obiecuje sobie zdobyć je w niedalekiej przyszłości. Gdzie, jak w Niemczech lub niemieckiej Austrji, spotkał się oko w oko ze zorganizowanym katolicyzmem, tam natrafił na silną zaporę w dalszem podbijaniu umysłów, zdołał atoli opanować prawie resztę niezjednoczonych pod sztandarem wiary społecznych kół i partyj. Dziś, po wyborach do ciał ustawodawczych w kilku krajach Zachodniej Europy, można z większą pewnością, niż kiedykolwiek, stwierdzić, że dwie są potęgi w świecie, króre ostatecznie zetrzeć się muszą ze sobą: socjalizm i katolicyzm, że do jednej z nich przyszłość należeć musi. Inne kierunki, partje, czy organizacje powoli rozpływają się i giną w tych dwóch potężnych prądach. Tak zwane stronnictwa liberalne, niegdyś naprzykład w Austrji wszechmocne, stopniały do nikłego odsetku i wszystko zdaje się wskazywać, że topnieć będą dalej.

Kiedy tak stają naprzeciwko sobie dwie wrogie siły: katolicyzm i socjalizm, podnoszą się stąd i zowąd pytające głosy: czy nie dałoby się rzucić nad otwartą przepaścią jakiegoś mostu do porozumienia, czy zamiast do walki, nie dałoby się przez osiągnięcie

zobopólnych ustępstw skierować te dwa najsilniejsze dziś w świecie obozy do zgodnej pracy nad budową przyszłości?

Warszawski Dziennik Powszechny (Nr. 206 z 11 sierpnia r. b.) informuje właśnie polskich czytelników o paru takich głosach, jakie wyszły z obozu niemieckich i austrjackich katolików, żądających pewnej rewizji dotychczasowego stosunku katolicyzmu do socjalnej demokracji, wynalezienia jakiegoś modus vivendi między niemi, owszem usiłujących nakreślić plan uchrześcijanienia socjalizmu. Jeden z projektodawców nie cofa się nawet przed radą, aby katolicy jaknajliczniej wstępowali w szeregi socjalnej demokracji, by w nich wytworzyć »katolicką grupę«, któraby w sprawach ekonomicznych stała na stanowisku umiarkowanych socjalistów, w kwestjach zaś religji broniła zasad katolickich.

Są więc umysły, zresztą bardzo nieliczne, które wierzą w możliwość ochrzczenia socjalizmu! Niestety, jest to zupełna utopja, i jeżeli takie głosy ukazują się na łamach pism katolickich, to tylko świadczy, że po tej stronie chciałoby się wszystko uczynić, chciałoby się nie odmówić żadnego możliwego ideowego czy taktycznego ustępstwa przeciwnikowi, byleby okazać dobrą wolę uniknięcia walki. Takiej dobrej woli dał dowód i Dziennik Powszechny, pismo katolickich kół ziemiańskich, proponując wzięcie pod uwagę przytoczonych pomysłów niemieckich publicystów.

Niestety, — powtarzamy z najgłębszem przekonaniem — pogodzenie socjalizmu z katolicyzmem jest mrzonką, a podnoszenie jej może być tylko szkodliwem dla sprawy katolickiej, bo usypia naszą bojową czujność, bo może bałamucić umysły, jakoby rzeczywiście katolicyzm mógł i powinien poczynić jakieś zasadnicze ustępstwa na rzecz teorji socjalistycznej. Pomysły uchrześcijanienia socjalizmu, rewizji stosunku religji do teorji socjalistycznej, nie są nowe. Wychodziły one już nieraz od jednostek optymistycznie patrzących na rzeczy, a nigdy nie doprowadziły do niczego dobrego. Dość przeczytać broszurę przywódcy socjalistów belgijskich, Emila Vandervelde, o której pisaliśmy w kwietniowym zeszycie naszego pisma (art. »Socjalizm a Kościół«, by się dowiedzieć, co sami socjaliści o takich próbach sądzą. Nie tają oni w chwilach szczerości, że socjalizm a religja (proszę zauważyć: nie już klerykalizm, nie katolicyzm, ale religja jako taka!), że socjalizm a religja to ogień i woda: godzić tak sprzeczne żywioły będzie zawsze stratą czasu i nie pomoże na to nawet pobożna uwaga, że u Boga wszystko możliwe, gdyż i Bóg

nie może łączyć rzeczy wewnętrznie sprzecznych. Ochrzcić socjalizmu się nie da bez uprzedniego wypędzenia z niego socjalistycznego djabła, a taki egzorcyzm sprawiłby, że socjalizm przestałby być socjalizmem, a stałby się chrześcijańską demokracją, która przecież istnieje, a z którą jak z największym wrogiem socjalizm do upadłego walczy.

Zwolennicy zbliżenia katolicyzmu z socjalizmem wskazują na pewne błędy, popełniane w katolickim obozie: podtrzymywanie autorytetem religji przeżytych form władzy państwowej, wiązanie się kleru z silniejszemi chwilowo politycznemi partjami, błogosławienie szowinizmów narodowych, militaryzmów i imperjalizmów. Zdaje się im, że dosyć będzie przyznać się do tych błędów i otrząsnąć się z nich, a droga do pojednania socjalizmu z religją będzie utorowana. Złudzenie! Błędów pomienionych katolicyzm, jeśli nie chce się sprzeniewierzyć swoim zasadom, strzec się musi bez względu na to, co powie o nim socjalna demokracja; atoli choćby udało się katolickiemu obozowi uniknąć wszystkich tych błędów, nie przejedna tem zaciętego stanowiska socjalizmu. Czyż nie pamiętamy niedawnych napaści naszej P. P. S. na niektórych polskich biskupów i pewną część księży, których oskarżano o brak patrjotyzmu tylko dlatego, że nie angażowali się w politycznej akcji, jaką chwilowo popierał nasz socjalizm? W razie potrzeby, zwłaszcza gdy się da przez to zohydzić Kościół, potrafią socjaliści odegrać rolę żandarmów najskrajniejszego szowinizmu.

Łudzą się projektodawcy zgody z socjalizmem, sądząc, że skoro katolicki obóz zerwie jawnie z kapitalizmem i stanie całkowicie po stronie proletarjatu, to socjalizm wyrzeknie się swego ateistycznego stanowiska, swego materjalistycznego pojmowania dziejów, słowem tego wszystkiego, co stanowi istotną przeszkodę do przyjęcia chrztu i kościelnego namaszczenia. Otóż właśnie tego, chcąc pozostać sobą, socjalizm wyrzec się nie może, bo tem tylko swojem teoretycznem stanowiskiem zdoła usprawiedliwić praktyczne cele, do których dąży. Wprawdzie większość prostych wiernych socjalizmu tych celów nie zna, nie umie ich ocenić i zrozumieć: dla nich należenie do partji to przedewszystkiem kwestja grubszego kawałka chleba, a jako dodatek — bawienie się kosztem zohydzanych »klechów« (patrz P r a w o L u d u), do których się idzie czasem do spowiedzi, — ale socjalizm, jako całość zorganizowana, dąży do czegoś innego: do całkowitego, jak przyznaje Vandervelde, przeobrażenia nietylko stosunków ekonomicznych, ale i religijnych i moralnych pojęć, a temu przeobrażeniu

stoją na przeszkodzie Bóg, religja i Kościół. Socjalizm musi być ateistycznym. Weźmy prawo własności. Zwalczanie nadużyć kapitalistycznego ustroju należy również do katolickiego programu, spotwarza więc Kościół ten, kto czyni zeń sprzymierzeńca kapitalizmu; ale zwalczanie to socjalizmowi nie wystarcza: on dąży do zaprzeczenia jednostce naturalnego prawa do posiadania własności, a drogę do osiągnięcia celu widzi w powszechnem przymusowem wywłaszczeniu, co religja uważa za gwałt i przekroczenie siódmego Boskiego przykazania. Nic dziwnego przeto, że socjalizm musi zejść ze stanowiska teistycznego światopoglądu, musi zapomnieć o wyższem ponad ziemską egzystencję przeznaczeniu człowieka, czyli musi walczyć z religją, i to z każdą religją, choć z mniejszą lub większą energją, w miarę tego, z jaką energją która z nich broni praw Bożych. Zatem nie tylko z zacietrzewienia tego czy innego przywódcy, ale z ducha systemu wypływają i inne postulaty socjalnej demokracji: skrępowanie Kościoła w życiu publicznem (nazywa się to »rozdziałem Kościoła od państwa«), zeświecczenie szkoły itd. Wszystkie te reformy dążą do tego, aby ludzkość zapomniała, że ziemia jest przygotowaniem do innego świata i aby w walce klas o byt ziemski, zamiast apelować do odpowiedzialnych przed Bogiem sumień i idei sprawiedliwości, która równo krępuje obie walczące strony, nie wahano się uciec do brutalnej siły fizycznej. Stąd też socjalizm. gdziekolwiek przyszedł choćby na krótki czas do władzy, wszędzie rozpoczynał od walki z religją. Po upadku »rządu rad« na Węgrzech dowiadujemy się autentycznie ciekawych rzeczy o jego stanowisku względem Kościoła. Nietylko odarto kler ze środków utrzymania, wyrzucono biskupów z ich mieszkań, usunięto religję ze szkół, lecz dążono wprost do rozbicia religji: bolszewicki likwidator do spraw kościelnych, Oskar Faber, sam niegdyś zakonnik, potem apostata wysilał się na rozmaite pomysły, by skłonić kler wprost do odstępstwa od wiary w celu zdemoralizowania w ten sposób wiernych. Kościołowi zaś zakneblowano usta do tego stopnia, że żadna publiczna obrona, żadne katolickie pismo, ba, żadna nawet książka do nabożeństwa lub traktat teologiczny nie mógł ukazać się w druku. Oto stanowisko socjalizmu względem religji, jedynie konsekwentne, naszem zdaniem, do własnych założeń i własnych celów. Innego nigdzie w »rzeczypospolitej socjalnej« spodziewać się nie można.

Są subtelni scholastycy, co potrafią rozróżnić między djabłem a belzebubem. Ci dopatrują się też różnic między bolszewizmem a socjalizmem. Otóż różnicy zasadniczej między niemi niema, zwłaszcza kiedy chodzi o religję. Może być tylko różnica metod walki z nią, a właściwie różnica tempa, w jakiem się do tej walki zabierają i szczerości, z jaką do niej występują. Co się tyczy szczerości, stanowczo pochwała za nią należy się bolszewizmowi. Wobec tego nie może być mowy o jakiemś pogodzeniu się w przyszłości socjalizmu z religją wogóle, a tembardziej z konkretną jej postacią — katolicyzmem. To, co w socjaliźmie jest słusznego i zdrowego, jak np. walka z nadużyciami kapitalistycznego ustroju, jak idea powszechnego braterstwa (nie tylko klasy proletarjackiej, ale wszystkich ludzi), to znajduje się i w katolickich zasadach i programach i podkreślane i realizowane być winno nie tylko dlatego, by zaszachować socjalizm, ale z poczucia społecznego i religijnego obowiązku przez organizowanie się według wskazówek obowiązującej dotąd encykliki Rerum novarum, o tem zaś, co w socjalistycznej ideologji jest złem, materjalistycznem, brutalnem, wyłącznem, musimy uświadamiać bezustanku coraz szersze koła, nie wyłączając samych szeregowców socjalizmu, i gotować wierny lud do ostatecznej batalji. Oto jedyne możliwe dla katolików stanowisko względem rosnącej potęgi socjalizmu.

Notowaliśmy już parokrotnie na tem miejscu o radykalnych prądach, nurtujących w pewnym odłamie czeskiego duchowieństwa. Narodowy obieralny patrjarchat, narodowa liturgja i zwolnienie księży od celibatu — oto główne żądania kleru czeskiego, zgrupowanego w stowarzyszeniu Jednota. Przed miesiącem dzienniki rozniosły po świecie wiadomość, że delegacja, wyprawiona przez »Jednotę« do Watykanu, powróciła z Rzymu, niezupełnie zadowolona z wyników swych starań, że jakkolwiek papież przyjął ją na posłuchaniu i niektóre postulaty uznał za możliwe do dyskusji, inne natomiast, a przedewszystkiem zwolnienie od celibatu uznał za nienadające się do omawiania, że wskutek tego pewna liczba księży zamierza stworzyć fakt dokonany przez pojęcie »żon«, a jeśli będzie dotknięta za to karami kościelnemi, oprze się na protekcji rządu i nie zawaha się nawet przed odstępstwem itd. Wskazywano na dzień 7 sierpnia, w tórym na ogólnem zebraniu »Jednoty« miano zdecydować się na jakieś stanowcze wystąpienie w tym kierunku.

Trzeba stwierdzić, że w tem skwapliwem głoszeniu po świecie o swoich zamiarach husytujący księża zdradzili wyraźny cel zastraszenia decydujących czynników kościelnych, a może i wywołania w innych krajach podobnego ruchu. Rzecz zastanawiająca, że agencje i dzienniki, tak gorliwie roznoszące wiadomości o żądaniach radykalnych księży, uporczywie przemilczały inne, przeciwne tamtym zdarzenia w tymże kościele czeskim. Stąd nieświadomi istotnego stanu rzeczy odnoszą wrażenie, jakoby ogół czeskiego duchowieństwa był gotów na schizmatycki czyn, lub jakoby reszta kapłanów przyglądała się obojętnie temu, co gotują ich radykalni bracia.

Na szczęście tak źle nie jest, i w wystąpieniach radykalnych księży pono jest więcej humbugu, niż poważnego niebezpieczeństwa. Do »Jednoty« należy tylko mniejsza część kleru czeskiego, a i ta bynajmniej nie całkowicie jest zarażona radykalnemi prądami. Inny dużo poważniejszy, tylko mniej hałaśliwy odłam kapłanów grupuje się pod innemi chorągwiami i około innych haseł. Z inicjatywy klubu kapłanów przy katolickiej partji ludowej odbył się w Pradze 30 czerwca i 1 lipca kongres księży, obesłany przez 700 delegatów ze wszystkich części nowej czesko-słowackiej republiki, który w swoich obradach i rezolucjach stanął całkowicie na stanowisku wierności kościołowi katolickiemu i lojalności względem zwierzchności duchownej. Na kongresie tym domagano się również rejorme w życiu kościelnem, ale reformy całkowicie opartej na uchwałach Soboru Trydenckiego i na encyklikach papieży Leona XIII i Piusa X, zwłaszcza na encyklice »Pascendi«, potępiającej liberalizm i modernizm w nauce i karności kościelnej. Podczas gdy radykalizująca część kleru gotowa jest współdziałać z rządowemi projektami, zmierzającemi do wywołania »kulturkampfu« w Czechach, kongres lipcowy otwarcie potępił wszelkie ustawy i projekty, wrogie wolności kościoła i wezwał ogół duchowieństwa do obrony katolickich zasad w życiu publicznem. Na tymże kongresie wyjaśniono i sprawę delegacji »Jednoty« do Rzymu. Okazało się, że członkowie jej (księża Proiher, Kolisek i Sanda) nie posiadali dostatecznych pełnomocnictw do pertraktowania o rzeczach kościelnych nie tylko od episkopatu czeskiego, ale właściwie nawet nie byli formalnemi wysłańcami »Jednoty«, która w styczniu r. b. wprawdzie uchwaliła wysłać podobną deputację, miała atoli dokonać wyboru jej na osobnem ogólnem zebraniu, które się jednakże nie odbyło. Wysłanie Proihera i tow.

odbyło się za wiedzą tylko wydziału i przy pieniężnem poparciu rządu, który na ten cel wyasygnował pono 30.000 koron.

Trochę zimnej wody na gorące głowy wylali dwaj czescy księża, przybyli z Ameryki (Mgr. Bonska i Zlamal), którzy objeżdżając różne miasta czeskie i morawskie, zgromadzali liczne wiece ludowe i konferencje księży i wymownie uświadomiali lud o zgubnem znaczeniu rozdziału Kościoła od państwa, jaki zapowiada rząd, wzywając katolików do jedności i obrony Kościoła. Wskazując na Amerykę, jako na wzór organizacji kościelnej, nie taili, że przy całej swej postępowości katolicy amerykańscy nie ścierpieliby ani na chwilę wśród siebie żonatych księży. Jeżeli się weźmie pod uwagę, że ruszyło się również do organizowania się nauczycielstwo ludowe, i że lud daje wyraz swym katolickim uczuciom i pobożności w rozlicznych manifestacjach (doroczne święto Cyrylla i Metodego w Velehradzie zgromadziło w tym roku 60.000 pielgrzymów), można mieć otuchę, że sprawa katolicyzmu w Czechach nie stoi znowu tak źle, że zatem podniesiona burza może wymiecie zradykalizowane jednostki, nie zachwieje atoli domem Bożym. Prezydent Massaryk w piśmie do ministra oświecenia publicznego Habermanna, zapowiadając w niedalekiej przyszłości rozdział Kościoła od Państwa, polecił czynić do tego przygotowania, zwłaszcza w sprawie szkolnej, z ostrożnością i taktem. Więcej taktu okazaliby radykalni rządcy Czech, gdyby wogóle dali spokój Kościołowi i zrzekli się walki z nim. Stanowcza postawa wiernego Kościołowi kleru i ludu może nasunie im tę refleksję.

Przed trzema laty w artykule »O jedność Kościoła polskiego« wyraziliśmy pragnienie, by niezależnie od politycznych warunków i kordonów, dzielących jeszcze dzisiaj naszą Ojczyznę, Kościół polski poczuł się jedną organiczną całością, jaką w rzeczywistości nie przestał być nigdy. Opatrzność pozwoliła oglądać spełnienie się naszych pragnień w mierze najpełniejszej, o jakiej tylko marzyć można było. Oto po paru zjazdach warszawskich, w których atoli warunki polityczne nie pozwalały wziąć udziału to temu to owemu z naszych książąt kościoła, zbiera się 27 sierpnia, a więc kiedy ten zeszyt oddajemy do druku, cały episkopat polski z prymasem, arcybiskupem gnieźnieńsko-poznańskim na czele, u grobu św. Wojciecha, jako kolebki naszego katolicyzmu polskiego i odwiecznego centrum naszej organizacji kościelnej. Dzieje się to przytem w chwili, kiedy odrodzona Polska przez przyjęcie nuncjusza papieskiego w Warszawie

i akredytowanie swego posła przy Watykanie wyraźnie stanęła na tradycyjnem stanowisku, jako państwo katolickie, czemu dała też wymowny wyraz w przemówieniu Naczelnika państwa do Mgra Ratti'ego, i kiedy z drugiej strony dokonywujące się przemiany społeczne (reforma rolna) i zbieranie w jedną całość ziem polskich, domagają się również, daleko idących zmian w wewnętrznem urządzeniu życia kościelnego.

Nie uprzedzamy wyników zjazdu gnieźnieńskiego. Okażą się one niezawodnie w całym szeregu zbawiennych postanowień. Witamy tylko z radością tę pierwszą ogólno-polską, po wskrzeszeniu Ojczyzny, konferencję księży biskupów, jako widomy symbol naszej jedności narodowej i kościelnej, życząc jej z głębi serca wszelkich błogosławieństw Bożych.

Jeszcze nigdy tyle, jak podczas ostatniego doświadczenia dziejowego, nie zwracało się serc wierzących do źródła ratunku i błogosławieństwa, do Serca Jezusowego. We Francji, mimo oficjalnego ateizmu, całe pułki umieszczały symbol Bożej miłości na swoich chorągwiach, setki tysięcy walczących żołnierzy z najwyższymi dowódcami na czele zdobiły nim swe namioty, osłaniały piersi. Pono w żadnym z walczących krajów nie pokładano tyle ufności w Sercu Jezusa podczas wojny, co we Francji, i Francja wyszła z nadludzkich zapasów... zwycięsko.

Lecz i inne kraje poczuwają się do szczególnej wdzięczności Zbawicielowi świata i wdzięczności tej dają wyraz w sposób, na jaki tylko zdobyć się mogą. Ostatnie miesiące były świadkami takich manifestacyj na cześć Bożego Serca w Hiszpanji i Belgji. Pierwsza, wdzięczna za uchronienie od wojny, druga — za wydobycie z ostatecznego, jak się zdawało, rozbicia, poświęciły się w sposób szczególny Sercu Jezusowemu przez swoich panujących. Szczególnie uroczystym był hołd Belgji, gdzie 29 czerwca na Köckelsbergu w Brukselli król, królowa, prymas-kardynał Mercier, ministrowie i członkowie ciała dyplomatycznego wobec nieprzeliczonych tłumów ludu pobożnego brali udział w nabożeństwie dziękczynnem i oddaniu kraju pod opiekę Serca Jezusowego. Czy Polska, która nie mniej jak tamte kraje, ma do zawdzięczenia Opatrzności Bożej, nie zdobędzie się na podobny czyn? Byłoby to prawdziwą glorią naszego zmartwychwstania, jako katolickiego narodu.

Ks. Jan Urban.

Z zagadnień chwili.

Odszkodowanie wojenne a przyroda. — Węgiel. — Węgiel biały. — Związki azotowe. — Praca fizyczna i umysłowa.

Kto poniesie koszty wojny światowej i da za nią odszkodowanie? Oczywiście Niemcy i mocarstwa centralne, z niemi związane. Tak nam mówiono rok temu i później jeszcze i dopiero gdy po ostatecznem zwycięstwie zaczęto w dalekiem zaledwie przybliżeniu te koszta i szkody wojenne zliczać i sumować, zabłysnął wreszcie przed najdalszemi kołami społeczeństwa świata fakt znany już przedtem dobrze wszystkim, którzy przedmiotowo a krytycznie nad sprawą tą od dłuższego czasu się zastanawiali, że nadzieje otrzymania choćby częściowego odszkodowania od mocarstw centralnych są zupełnie płonne. Nie dlatego, żeby mocarstwa te, rozbite i ubezwładnione, zdolne były żądaniom wszelakim jakikolwiek stawiać opór, lecz poprostu z tego powodu, że cały ich majątek, tak państwowy, jak i prywatny, nie wyrównałby ani w części rachunków wystawionych przez ententę i jej sprzymierzeńców. A nadto, gdyby zabrano centralnym mocarstwom wszystko, nawet mienie prywatne ich obywateli, wtedy ruina ekonomiczna tych krajów wciągnęłaby w przepaść za sobą świat cały, jak niedawno wyraził się Hoover. Bo tylko bardzo nieuświadomieni w podstawowych zasadach ekonomji społecznej sądzą, jakoby można pod względem gospodarczym pojedyncze kraje lub państwa tak hermentycznie oddzielić, że próżnia lub nadmiar ciśnienia w jednym nie oddziaływałaby na inne. Trzeba pamiętać, że wielki kapitał i wielkie masy zbytu i produkcji są płynne, ruchome, ich niveau obejmuje całą ziemię, stąd więc wszelkie znaczniejsze zaburzenia lokalne w tym wielkim oceanie dóbr tak ruchomych jak i nieruchomych, wywołać muszą prądy i nawet burze, które koniecznie, prawem absolutnem, trwać będą dotąd, dopokąd poziom znowu się nie ułoży. Wszelkie zaś tamy i groble, o ile wogóle napór zdołają wytrzymać, posłużyć mogą co najwyżej do zwolnienia biegu zjawiska, ale nigdy do jego całkowitego powstrzymania. Kazano więc Niemcom zapłacić tyle, ile tylko można było od nich wyciągnąć bez zupełnego ich ubezwładnienia gospodarczego, lecz ta kwota, to tylko cząstka strat i szkód rzeczywistych. Co się stanie z resztą, z częścią znaczniejszą?

Wobec tego pytania stanęli ekonomiści i politycy, a każdy po swojemu, wedle swego »klucza partyjnego« stara się nań odpowiedzieć. Jak ochronić ludność zniszczonych krajów od nędzy? Sposób na to bardzo prosty, wołają radykalni teoretycy i praktycy, których horyzont

nie sięga poza miedzę. Zabrać bogatym i rozdać nic nie mającym. Wywłaszczyć rolę i rozdzielić lub nawet ją upaństwowić, upaństwowić fabryki i kopalnie a gdy wszystko będzie wspólną własnością, wyznaczy się każdemu dział jego i biedę automatycznie się usunie.

Takie rozwiązanie kwestji tak zawiłej, niezmiernie proste i łatwe, tę jeszcze wielką ma zaletę, że zgodnie jest zupełnie z pewną dążnością, jaka opanowała obecnie wszystkie prawie społeczeństwa europejskie a jest nią: »używaj jak najwięcej a pracuj jak najmniej«. Kiedy przed trzema jeszcze laty rozmawiałem o wojnie z kierownikiem jednej wielkiej firmy zagranicznej, wyraził on obawę, że najgorszym skutkiem wojny będzie odwyknięcie ludzi od pracy a przyuczenie się do życia bezczynnego kosztem rządowym. Przewidywania te owego fachowca spełniły się niestety aż nadto dokładnie. Niedawno w parlamencie francuskim oświadczył jeden z ministrów, że świat cały zalała obecnie une vague de paresse, fala lenistwa. A lenistwo to nie jest już cechą jednostek prywatnych, lecz otrzymuje ono sankcję ustawową, publiczną. Uchwala się »ośmiogodzinny dzień« pracy, zastrzegając przytem wielkie płace, daje się płacę bezrobotnym, wywłaszcza posiadających — to robią rządy i parlamenty, a Związki robotnicze idą w tym kierunku dalej, oznaczając dowolnie nie tylko płacę, nie tylko znosząc pracę akordową dawnego systemu, lecz ustanawiając nowego rodzaju akord, który na tem się zasadza, że nawet wśród owych ośmiu godzin pracy robotnikowi nie wolno się wytężać, nie wolno dać ze siebie tyle, ile bez szkody dla organizmu dać może, lecz ustanawia się maksimum pracy, jaką robotnikowi wogóle wykonać wolno. Czy taka droga odszkodowania społecznego, poparta życiem na kredyt i wielomiliardowymi deficytami budżetowymi doprowadzi do równowagi finansowej, i wogóle do czego ona doprowadzić może? Oczywiście, że tylko do zupełnego wyczerpania społecznego, a więc do ogólnej nędzy i głodu. Stadjum to będzie przykre, da jednak, gdy już do niego koniecznie ludzie dopuszczą, dla wszystkich jasne i namacalne rozwiązanie i wskazówki, jak i gdzie szukać odszkodowania za zniszczenia wojenne, w jaki sposób ratować ludzkość od zaguby. Odpowiedź to ta sama, którą już dzisiaj dają dalej patrzący ekonomiści, którą jednak jeszcze zagłuszają krzykiem swym rozmaitego rodzaju agitatorzy i politycy, a jest nią: praca.

Że tak jest, i że to jedyna trafna odpowiedź, starać się będziemy uzasadnić to ze stanowiska czysto przyrodniczego, a jest to stanowisko z pewnością bezpieczne, nie prowadzące na manowce, bo księga przyrody mylić nie może.

Kiedy mówimy o zniszczeniach wojennych, mamy na myśli przedewszystkiem straty finansowe, dalej zniszczenie domów, fabryk, lasów, pól, bydła, sprzętów, jakiego dokonał nieprzyjaciel w danym kraju. Ale ciekawą może rzeczą by było, wznieść się myślą poza jeden kraj, ponad całą ziemię i stamtąd, z takiego ogólno-przyrodniczego stanowiska zapytać, co właściwie wojna niszczy. Oczywiście pieniędzy nie niszczy, bo tych nawet niestety niezmiernie wiele przybyło. Materji również nie niszczy, bo materja jest niezniszczalna, to znaczy, ani zniszczyć, ani stworzyć jej nie można — w przyrodzie nic nie ginie. Ale za to rozkłada ona związki chemiczne, tak dla człowieka cenne, związki zarówno organiczne, jak i nieorganiczne. Rozpatrzmy najpierw pierwsze, to znaczy organiczne, bo one dla człowieka najważniejsze. Jak wiadomo związki organiczne są to takie połączenia chemiczne, w których skład wchodzi węgiel, a nazywają się organicznymi dlatego, że znachodzą się w organizmach przyrody żywej, i dawniej stamtąd tylko je uzyskać umiano. Są one dla człowieka bezwarunkowo konieczne, bo najpierw wiele z nich wchodzi w skład przedmiotów codziennego, koniecznego użytku, jak np. mydło, barwiki, płótno, sukno, lekarstwa rozmaite, a dalej trzy grupy tych związków stanowią wprost konieczny pokarm człowieka, bez którego człowiek nie może istnieć. Są to, jak wiadomo powszechnie, węglowodany (np. cukier), tłuszcze i białko. Najważniejsze zaś i najkosztowniejsze są tłuszcze i białko. Otóż wojna, zwłaszcza zaś wojna nowożytna, ze szczególną zajadłością niszczyła te właśnie grupy pokarmowe. Trzeba bowiem pamiętać, że podstawą grup białkowych są związki azotowe, te zaś pod postacią saletry znów są koniecznym składnikiem prochu strzelniczego. Nadto do wyrobu nitrogliceryny czyli dynamitu i innych środków wybuchowych potrzeba znowu gliceryny, którą otrzymuje się z tłuszczu. Tak więc każdy strzał na wojnie dany — a dano ich może więcej, niż wszyscy ludzie na świecie mają włosów na głowie — stanowił ubytek, nieraz bardzo znaczny, owych najdroższych skarbów ludzkości w przyrodzie, jakimi są związki azotowe. Niszczyła je zaś wojna nie tylko w środkach wybuchowych, ale wieloma innemi jeszcze sposobami, przez pożary, gdzie masami tezwiązki się rozkładają, przez zatapianie w głębinach morskich, skąd trudno i dopiero po długich przetwarzaniach przyroda wróci je znowu ludzkości w postaci roślin lub zwierząt na nich wykarmionych, a także przez niszczenie humusu czyli gleby żyznej, przykrywając ją przy kopaniu tylu setek tysięcy kilometrów rowów strzeleckich warstwami grubemi spodnich, kamienistych, lub piaszczystych, jałowych zupełnie pokładów, i usuwając je przezto często na zawsze z pod użytku człowieka.

W gospodarstwie przyrody za pieniądze nic nabyć nie można, boć i w gospodarstwie społecznem pieniądz to tylko symbol, kwit na dwie rzeczy, z których składa się wszystko, co wchodzi w skład tak zwanego świata materjalnego. Dwie te rzeczy, istotnie od siebie różne, lecz zawsze w parze chodzące, to materja i energja. Najpierwotniejszą postacią materji — mówimy tu abstrakcyjnie i nie wdając się w teoretyczne szczegóły budowy materji, są tak zwane pierwiastki, których najmniejszą swobodną cząstką bytowania jest atom. Energja przejawia się również w kilku formach, tem jednak ze sobą związanych, że jedne mogą przechodzić w drugie, przyczem stosunek przemiany jest zawsze stały. Jedna kalorja wielka energji cieplnej, zamieniona na energję kinetyczną czyli pracę, da 427 metrokilogramów, i na odwrót przez zamianę 427 metrokilogramów pracy na ciepło, otrzyma się dokładnie jedną kalorję. Podobnie jeżeli motor elektryczny zasilać będziemy prądem o natężaniu 6 amperów i napięciu 125 woltów, wykonywać on będzie pracę jednego konia, to znaczy 75 metrokilogramów na sekundę i naodwrót w maszynie denamo-elektrycznej praca jednego konia, zamieniona całkowicie na energję elektryczną, dawać będzie prąd przy napięciu np. 125 woltów o natężeniu 6 amperów. To samo przy zjawiskach chemicznych: gdy 2 gr. wodoru (ściśle 2,02 g) łączy się z 16 g na 18 g (właściwie 18,02 g) wody, wywiązuje się gwałtownie energja cieplna w postaci 68,4 wielkich kaloryj, gdy zaś chcemy 18 g wody przez dysocjację zapomocą ciepła rozłożyć znowu na tlen i wodór, musimy zużyć dokładnie 68,4 wielkich kaloryj ciepła. Rozmaite formy energji ułożono w skalę, jakby rangi; na szczycie stoi energja fizjologiczna, poczem następuje chemiczna, elektryczna, mechaniczna, wreszcie cieplna. Rozmaite te energje można zapomocą odpowiednich urządzeń dowolnie przemieniać jedne na drugie, przyczem zauważyć nawiasowo należy, że energja fizjologiczna uprzywilejowane i oddzielne zajmuje niejako stanowisko, bo inne rodzaje energji można na energję fizjologiczną zamieniać tylko w organizmach żywych, które ją w sobie gromadzą. Wszystkie inne natomiast rodzaje energji zadowalają się podłożem materji martwej, chociaż oczywiście towarzyszą także i organizmom żywym. Dążenie całej techniki polega właśnie na tem, by znachodzące się w przyrodzie zasoby energji — a zasobyte, podobnie, jak i zasoby materji, są stałe, nie dające się zwiększyć ani zmniejszyć — w sposób łatwy i dogodny, możliwie z uniknięciem starannem strat, przemieniać i spożytkować dowolnie. Maszyny parowe, silniki cieplne, motory wszelkiego rodzaju, jak elektryczne, naftowe, gazowe, maszyny denamo-elektryczne, akumulatory, rozmaitego rodzaju alembiki chemiczne, wiatraki,

turbiny wodne, a wreszcie praca zwierzęca i ludzka, a pod pewnym względem i organizmy, to nic innego, jak tylko przyrządy do czerpania energji z przyrody i przekształcania jej w celach dowolnych. Lecz przy tych przekształcaniach jedna zachodzi ciekawa okoliczność, na którą w naszych obecnych rozważaniach szczególną zwrócić musimy uwagę. Oto przy każdej zamianie jednej energji na drugą, pewien procent tej energji ulega nie zniszczeniu, lecz rozprószeniu, tak, że już jej nie można zamienić na użyteczną pracę. Rozchodzi się ona na przedmioty otaczające, ogrzewa je i pod postacią ciepła rozprasza wreszcie po wszechświecie. Energja tak rozprószona nie zniknęła, lecz dla nas praktycznie istnieć przestała, jak rozkurz w młynie, który pod postacią drobnej mączki rozpyla się po wszystkich powierzchniach, przestrzeniach i strzelinach młynu. Istnieje, lecz dla człowieka bezużyteczny.

Otóż takiego właśnie i bezpowrotnego roztrwaniania i jak gdyby rozpylania energji użytecznej dokonuje wojna na olbrzymią skalę. Każda odrobina materji wybuchowej, każda cząstka substancji palnych, przedstawia pewien zasób energji chemicznej, bardzo użytecznej, bo mogącej wykonać pracę. Na zasób ten złożyła się energja zaczerpnięta pośrednio lub bezpośrednio z węgla kamiennego, z magazynów energji fizjologicznej, jaki przedstawia świat roślinny, tkanki i tłuszcze zwierząt, wreszcie praca ludzka — i to wszyttko nagle, w jednym krótkim czasie, jak mówimy wybuchowo, zamienia się częścią wprost na energję cieplną, częścią jeszcze przedtem w postaci energji pocisku na kinetyczną, lecz mającą za cel sprawić tylko zniszczenie — i ten cały zasób energji w końcu rozprasza się po świecie, ginąc bezużytecznie dla człowieka.

I to jest właśnie, co wojna właściwie niszczy: niszczy ona energję i to bezpowrotnie. Podobnie jednak, jak czas zmarnowany nie wraca nigdy, a jednak możemy stratę jego wynagrodzić sobie poniekąd przez staranne wyzyskiwanie chwil obecnych i przez takie uporządkowanie i urządzenie zajęć, by jak najwydatniej spożytkować każdą drobinę czasu, tak też rzecz się ma i z energją. Te jej zapasy, które wojna zużyła, dla ludzkości przepadły bezpowrotnie, ale ludzkość może i musi odszkodować się przez wyzyskiwanie należyte tych skarbów energji, które istnieją stale i przez baczenie pilne, by nie marnowały się te, jakie daje przyroda tylko przemijająco.

Do wykonania tak jednego jak i drugiego zadania warunkiem koniecznym lecz i wystarczającym jest wysiłek pracy ludzkiej i to pracy zarówno fizycznej, jak i umysłowej. Tak materji jak i energji w przyrodzie jest pod dostatkiem i starczyłoby jej, choćby liczba ludzi wzra-

stała stokrotnie. W łonie przyrody, jak w owym zamku zaklętym nagromadzone są skarby nieprzejrzsne, a ludzkość widzi je, i ma je przed sobą, i słyszy głos wzywający: to wszystko twoje, tylko sobie bierz, ile zechcesz. Chodzi o to, by brać, a brać trzeba przedewszystkiem umysłem, a następnie ręką. Trzy jeszcze wieki temu nie przeczuwał nikt, jakie skarby kryją się naprzykład pod skorupą ziemską w postaci węgla kamiennego. Umysł ludzki musiał je odkryć najpierw, to znaczy nauczyć ich użytku, by potem ręka górnika po nie sięgała i wydobywała, na powszechny użytek. O ile więc pierwszym warunkiem odszkodowania wojennego ludzkości jest gorliwość w pracy i gorąca chęć do niej, o tyle drugiem, równie niezbędnym, jest poszanowanie obu rodzajów pracy, tak umysłowej, jak fizycznej, i rozumne usiłowanie, by dla obu stworzyć jak najkorzystniejsze warunki, któreby wydatność obu pozwoliły doprowadzić do możliwie największego stopnia natężenia. Kto więc dzisiaj, po tak strasznym zubożeniu całej ludzkości do jakiego doprowadziła wojna, stara się wprost czy ubocznie zachęcać do obniżania wysiłku pracujących lub do zlekceważrnia i obniżenia pracy umysłowej, jest wrogiem ludzkości, prowadzi dalej zniszczenie wojenne, tylko gruntowniej i skutecznej niż wojna i doprowadzić musi do zniszczenia rychłego wszelkich wiekowych zdobyczy kulturalnych.

* * *

Jednem z najważniejszych źródeł energji doby naszej jest, jak powszechnie wiadomo, węgiel kamienny. Źródło to tak ważne, że od jego wydajności zależy wprost nietylko odbudowa zniszczonych krajów, ale życie miljonów, dobrobyt lub nędza setek miljonów ludzi w latach najbliższych. Bez węgla staną fabryki, środki komunikacyjne, elektrownie, a więc zamrze cały mechanizm nowoczesnego życia. Wiedzą o tem dobrze zarówno ekonomiści i filantropi, jak i wrogowie ludzkości, to też zarówno wojna militarna, jak i obecna ekonomiczno-społeczna za jedno z głównych jąder walki obiera kopalnie węgla. Z punktu widzenia przyrodniczo-ekonomicznego wybija się tu na czoło pytanie, na jak długo tego węgla przy obecnem tempie jego wydobywania i zużywania może jeszcze wystarczyć. Boć przecież węgla wewnątrz ziemi nie przybywa, nie narasta, jest to depozyt, który matka-przyroda zostawiła na cięższe czasy swym dzieciom, ale który się już obecnie nie powiększa.

Pytaniem tem zajmują się uczeni oddawna. Anglia jeszcze w roku 1866 wyznaczyła komisję, która miała dać nań odpowiedź co do sa-

mych europejskich pokładów Anglji. Dzisiaj, staje ono przed mieszkańcami Europy z tem większą natarczywością, że chodzi o obliczenie zasobów tak własnych każdego państwa, jak i przeciwnika, a zwłaszcza Niemiec, których siła ekonomiczna ma stanowić normę do kwoty odszkodowania ententy.

Otóż, wedle orzeczeń tej komisji, zawartych w sprawozdaniu, ogłoszonem w r. 1871, ilość węgla kamiennego, jaką posiada Anglia europejska w pokładach, nadających się do eksploatacji — a za takie komisja uważa pokłady o grubości przynajmniej jednej stopy, a położone nie głębiej pod poziomem ziemi, jak 4.000 stóp — wynosi 90,207,285.398 ton, czyli okrągło 100.000 miljonów ton. Ponieważ roczna produkcja Anglji wynosiła np. w 1905 r. 236,128.936 ton, zaś corocznie wzmaga się ona o 2 i pół procent, więc cały ten zapas węgla nie starczy nawet na 300 lat. Wogóle wedle obliczeń, dokonanych w roku 1900 przez P. Frecha, zapasy węgla kamiennego środkowej Francji, Czech środkowych, Saksonji i północnej Anglji wyczerpią się w ciągu jednego lub najwyżej dwu wieków, zaś zapasy innych kopalń angielskich, zagłębia Waldenburg-Schatzler i Francji północnej w ciągu 250 lat, wreszcie pokłady Belgji, Aachen i Westfalji skończą się po 600 do 800 latach. Najdłużej zaś trwać mają kopalnie Górnego Ślązka, bo przy obecnej stopie produkcyjnej starczyć mogą na 1.000 lat! Wiedzą Niemcy, o co walczą.

Daleko optymistyczniej wypada ocena skarbów węglowych Niemiec, podawana obecnie przez uczonych francuskich, która orzeka, że Niemcom starczy węgla na 2.000 lat. Ponieważ cyfry szczegółowe, na których ten wniosek się opiera i nas, jako najbliższych sąsiadów, bezpośrednio dotyczą, więc dobrze będzie z niemi się zapoznać.

Zawartość zagłębia westfalskiego i dolno-reńskiego oceniono tu na 214 miljardów ton, zaś roczną produkcję na 107 miljonów ton, a więc czas trwania, rachując się z pomnażaniem się produkcji, około 1.000 lat.

Zagłębie wschodnio-reńskie, będące ciągiem dalszym poprzedniego, zawiera 7.100 miljonów ton, przy rocznej produkcji 3.700 miljonów ton.

Zagłębia, rozciągającego się na południe od Krefeld, nie zdołano jeszcze dostatecznie zbadać, ale jeden tylko z pokładów, o grubości 8 metrów, ma pojemności około 1.732 miljonów ton.

Pokłady około Aachen zawierają około 1.567 miljonów ton, podczas gdy produkcja roczna wynosi 3 miljony ton.

Wreszcie zagłębie Saary, znajdujące się obecnie w czasowem posiadaniu Francji, oceniono na 16.548 miljonów ton, zaś produkcja roczna dosięga 17 miljonów ton.

Wogóle jednak pamiętać trzeba, że wszystkie te obliczenia pojemności pokładów węgla są tylko w bardzo dalekiem przybliżeniu prawdziwe, a w większej jeszcze mierze trzeba mieć się na ostrożności, gdy chodzi o ocenienie trwałości zapasów, bo tu wchodzi nadto czynnik inny, mniej jeszcze uchwytny, a jest nim produkcja roczna, która wielkim uledz może zmianom. Prócz tego na końcowy rezultat obliczeń wpłynąć musi i wpłynie kiedyś wybitnie stan techniki górniczej i idące z nim koszta produkcji. Dzisiaj kopać węgiel w głębokości poniżej 1.000 m. jest bardzo trudno, kiedyś może i to się zmieni i wtedy przed ludzkością otworzą się nowe możliwości, o ile wogóle ludzie nie zwrócą się do innego źródła energji. Ilustrując te uwagi końcowe cyframi, przypomnimy, że gdy w r. 1905 produkcja węgla w Niemczech wynosiła 173 miljony ton (licząc wraz z lignitem), to w r. 1913 podniosła się na 192 miljony ton. I obliczają technicy, że gdyby przy takiej produkcyi nie sięgano głębiej popod 1000 metrów pod ziemię, to zawartość węgla kamiennego w Niemczech starczy na 750 lat, gdyby zaś zdołano się dobrać do pokładów, rozciągających się w dolnych głębinach aż do 2.000 metrów, czerpaćby go można przez 2.100 lat.

Cyfry powyżej przytoczone wykazują w każdym razie to jedno, że pomnożenie produkcji przez najbliższe lata choćby i o 100% wobec olbrzymich pokładów, zawartych we wnętrzu ziemi, nie wpłynęłoby nic prawie na długotrwałość kopalń, a dla odbudowy zniszczeń powojennych takie wzmożenie produkcji jest niezbędne na każdem polu. Dość wspomnieć tylko niesłychanie piekącą sprawę mieszkań i zabudowań gospodarczych i fabrycznych. Nie można myśleć o budowie, dopokąd niema cegieł, a cegieł nie można wypalać bez znacznych zapasów węgla. Jak długo więc węgla tyle zaledwie się wydobywa, że go nawet nie wystarczy na opędzenie codziennych potrzeb gospodarczych — obecnie przychodzi wiadomość, że na rok bieżący braknie Europie 150 miljonów ton węgla — tak długo niema mowy o rozpoczynaniu nowych budowli, a więc tak długo nawet nie zacznie się na dobre odbudowa powojenna.

* * *

Węgiel kamienny, podobnie jak i nafta, należą do tych stałych zapasów energji, które przyroda gromadziła przy pomocy żywych organizmów przez długie wieki, a gdy ich nie używamy, to czynimy sobie tylko szkodę, skarby energji natomiast, zawarte w tym węglu lub nafcie, nietknięte przekazujemy potomności. Inaczej natomiast przedstawia się

sprawa z innymi zasobami energji, których przyroda dostarcza ustawicznie i w bardzo wielkiej ilości, ale które trzeba chwytać jakby w locie, bo niezużytkowane i niepochwycone natychmiast, przepadają dla ludzkości bezpowrotnie. Należą tu owe nieprzebrane ilości energji, jaką przedstawiają przedewszystkiem masy wód i powietrza w ruchu się znajdujące, czyli energji wód i wiatrów. Wobec braku i drożyzny węgla, wobec rosnącego zapotrzebowania energji tak w życiu codziennem, jak w przemyśle, a nawet i rolnictwie, wobec wreszcie tak zawikłanych stosunków robotniczych w kopalniach, gdzie z konieczności ma się do czynienia z całą armią zorganizowanych robotników, od których woli zależy nietylko produkcja, ale los i przyszłość kopalni — nie ulega wątpliwości, że technika obecna z całą usilnością zwrócić się musi do wykorzystywania energji wodnej i wiatrów.

Pomijając obecnie kwestję wiatrów [1]), pragnąłbym zwrócić uwagę na siły wodne, czyli na t. zw. węgiel biały, którym technicy zagranicą, a zwłaszcza we Francji, bardzo żywo obecnie się zajmują. Zestawiając siły wodne, jakie mają do rozporządzenia państwa poszczególne, otrzymano następujące cyfry: Francja, co do sił wodnych najbogatsza ze wszystkich krajów europejskich, może otrzymać 10 miljonów koni parowych, Norwegja 7,500.000 koni parowych, Szwecja 6,750.000, Austrja 6,450.000 (obliczenia dokonano jeszcze przed wojną), Włochy 5,500.000, Hiszpanja 5,000.000, Szwajcarja 1,800.000, Niemcy 1,425.000, Anglja 923.000; natomiast Ameryka, gdzie wszystko idzie na wielką skalę, i tu dostarcza cyfr olbrzymich: Stany Zjednoczone 30 miljonów koni i Kanada 25 miljonów koni. Żeby lepiej ocenić znaczenie tych sił, trzeba pamiętać, że dostarcza ich przyroda stale, dzień i noc, bez pilnowania paleniska, bez dostarczania i zużywania paliwa, jak u maszyn parowych, a więc siła i praca jest darmo, kosztuje tylko nieco nadzór i instalacje, a i w tych rubrykach instalacje silnikowe wodne znacznie są dogodniejsze od parowych i innych. Niedawno na zgromadzeniu inżynierów w Massachussets (Stany Zjednoczone Ameryki), George Otis Smith, zachęcając do budowania instalacyj wodnych, podał ciekawe rezultaty doświadczeń, poczynionych w wielkich zakładach Alabama Power Co. Otóż tam pokazało się, że do obsłużenia maszyn parowych o sile 2.000 kilowatów (około 2.700 koni) potrzeba 27 ludzi, podczas gdy przy instalacjach wodno-elektrycznych jeden człowiek obsłużyć zdoła maszyny dynamo-elektryczne, poruszane wodą, o wydaj-

[1]) Pisałem o tem obszerniej w dwóch numerach »Czasu« b. r.

ności 6.000 kilowatów, na co przy maszynach parowych potrzebaby było około 80 ludzi Zważywszy, że dzisiaj w przemyśle największą troską i najkosztowniejszą cząstką popędu jest robotnik, samo powyższe zestawienie musi odrazu przechylić szalę zwycięstwa na stronę węgla białego.

Co to jednak znaczy przyzwyczajenie i rutyna! Mimo tak niezmiernej wyższości instalacyj wodnych nad kopalniami węgla i mimo tego, że same instalacje przed wojną były stosunkowo niezmiernie tanie, jednak z wyjątkiem Niemiec, wszędzie prawie uczuwano jakby obawę przed motorem wodnym, i pozwalano miljonom a miljonom koni niesłychanie cennej energji ginąć i rozpraszać się w wszechświecie. Na szczęście w pewnych krajach, jak np. we Francji, pod tym względem widać już korzystną zmianę. Dosyć powiedzieć, że np. Francja ze swoich 10 miljonów koni wyzyskiwała przed wojną tylko dwunastą część, bo zaledwie 850.000 koni, podczas gdy Niemcy z 145.000 koni sił wodnych, które wogóle mają do rozporządzenia, jeszcze przed wojną wykorzystywały 1,100.000 koni. Już jednak pierwsze lata wojny i połączone z nią straty kopalń węglowych, a wzrastające ciągle potrzeby fabryk amunicji otworzyły Francuzom oczy i mimo niesłychanych trudności, pochodzących zarówno z braku rąk fachowych, które zajęła wojna, jakoteż i surowca, jeszcze w r. 1915 zabrano się tam dzielnie do roboty, tak, że w dwa lata później, w r. 1917, przydano do istniejących instalacyj wodnych dalsze 120.000 koni, rok 1918 dodał do tego 330.000 koni, rok obecny, 1919-ty, przyczyni 175.000 koni, a instalacje, już zaczęte, obiecują na pewno, że w r. 1921 Francja będzie posiadała instalacje wodne o sile 1,700.000 koni. to znaczy dwakroć większej, niż przed wojną. Na ten przybytek 850.000 koni składają się wszystkie górzyste okolice Francji. Więc przedewszystkiem oczywiście Alpy, które dadzą 428.000 koni, dalej płaskowzgórze środkowe 200.000 koni, Pyreneje 85.000 koni, Jura i Wogezy 35.000 koni, wzgórza wschodnie 20.000 koni. Całkowite sfinansowanie tych przedsiębiorstw wyniesie 660.000.000 franków.

* * *

Ale jeszcze jedna ciekawa okoliczność uderza w tych instalacjach wodno-elektrycznych powojennych. Oto podczas gdy instalacje przedwojenne 65% swego prądu rozsyłały w dal, na oświetlenie i poruszanie motorów, instalacje obecne przedstawiają obraz zupełnie zmieniony. Tylko 35%, bo 308000 koni idzie na cele powyższe, podczas gdy część zna-

cznie większą zużywa się na elektrochemję (216.000 koni) i elektrometalurgję (326.000 koni), a więc na wytwarzanie związków chemicznych, potrzebnych w życiu codziennem. To naprowadza nas znowu na wątek, który na chwilę musieliśmy przerwać, mianowicie ua kwestję naprawy i odbudowy zniszczeń, dokonanych przez wojnę, i dozwala wyjaśnić pozorną sprzeczność, o jaką łatwo ktoś czytający zbyt śpiesznie mógłby nas pomówić. Z jednej strony bowiem przyznaliśmy, boć trudno nieprzyznać, że wojna dokonała olbrzymich zniszczeć wielu bardzo dla ludzkości ważnych związków chemicznych, a przedewszystkiem tłuszczu i białka a z drugiej nieco dalej w rozważaniach naszych doszliśmy do wniosku, że wojna właściwie nic nie zniszczyła. jak tylko użyteczną energję, to znaczy, energję taką, którą można zamienić na inną energję np. chemiczną, mechaniczną, elektryczną. Wzmiankowane wyżej zakłady wodno-elektryczno-chemiczne pozwalają w sposób jasny i prosty sprzeczność tę pozorną wyjaśnić i usunąć.

Niepodobna oczywiście przechodzić wszystkich związków, lecz wystarczy, gdy sprawę całą roztrząśniemy na przykładzie najbardziej zawiłym, to jest na białku. Ciało to należy do najbardziej skomplikowanych związków chemicznych, jakie znamy, a drobiny niektórych rodzajów białka składają się z kilka tysięcy atomów. Cechą jednak charakterystyceną białka jest to, że w skład drobiny jego wchodzić musi koniecznie azot. Wiele związków organicznych, a może wszystkie, chemja dzisiejsza umie wytworzyć przez sztuczną syntezę, tylko białko stanowi wyjątek. Organizm nasz, który białka potrzebuje koniecznie, jako materjału budulcowego swych tkanek, pobiera je gotowe bądź od innych organizmów zwierzęcych, bądź, co najlepiej i najzdrowiej, od roślin, a chociaż białko takie nie zostaje u nas wprost zastosowane do budowy tkanki, lecz najpierw przez organizm ulega rozkładowi, a i potem znowu syntezie na białko, to jednak organizm tylko tyle białka posiada, ile go zaczerpnie zzewnątrz w stanie gotowym, sam zaś z dostarczanych mu pojedyńczych składników białka wytworzyćby nie mógł.

Lecz i rośliny, z wyjątkiem pewnego rodzaju bakteryj, muszą związki azotowe czerpać z gleby. W powietrzu, które jak wiadomo, składa się z tlenu i azotu, znajduje się węgiel w postaci dwulenku węgla i oczywiście wolny azot. Roślina która potrzebuje i węgla i azotu, zapomocą zieleni, używając do tego energji dostarczonej jej przez słońce, rozszczepia bezwodnik węglowy i zabiera zeń i absorbuje potrzebny jej węgiel. Z azotem jednak tego uczynić nie umie: nie potrafi ona brać azotu z otaczającej ją atmosfery, chociaż znajduje się on tam

w stanie wolnym i wytwarzać z niego w sobie najpierw prostsze związki azotowe, a następnie białko. Związki azotowe roślina pobierać musi koniecznie z gleby, na której rośnie, gdzie one znajdują się jako tak zwany detritus, jak szczątki lub wydaliny organizmów żywych, roślinnych czy zwierzęcych. Przyroda więc posiada cały swój kapitał związków azotowych bądź w glebie, bądź w organizmach żywych, a każde spalenie związku azotowego jest zubożeniem, pomniejszeniem tego największego skarbu, jakim przyroda rozporządza. Z tego też stanowiska przyrodnik, za przykładem znanego fizjologa Bungego, musi potępić palenie zwłok ludzkich, w których tyle codziennie ginęłoby dla gospodarstwa przyrody bezpowrotnie związków azotowych. Stądtež wojna, która, jak wspomnieliśmy, wznieca pożary zapasów żywności, niszczy glebę i przedewszystkiem pali związki azotowe masami olbrzymiemi w materjałach wybuchowych, jest wielką i zgubną niszczycielką związków azotowych, i zuboża ludzkość o ten najkosztowniejszy składnik pożywienia. Czy jednak strata ta niczem już się wynagrodzić nieda, czy niczem nie można zapełnić tego skarbca związków azotowych przyrody, tak bardzo nadwątlonego przez ostatnią wojnę?

Z pytaniem tem łączą się ściśle dwa inne, których rozstrzygnięcie dałoby równocześnie odpowiedź i na pierwsze: mianowicie najpierw skąd wzięły się na ziemi pierwsze związki azotowe, a po drugie, czy dzisiaj przyroda nie posiada urządzenia takiego, któreby dozwalało z azotu atmosferycznego tworzyć związki azotowe i w ten sposób uzupełniać i pokrywać te straty, które przez ich rozkład konieczny lub przypadkowy powstają. Otóż chemja wykazała, że takie urządzenie w przyrodzie istnieje, a jest niem w pierwszem rzędzie wyładowywanie elektryczności atmosferycznej w postaci piorunów. Pokazały mianowicie badania, że w łuku elektrycznym, gdzie, jak wiadomo panuje bardzo wysoka temperatura, tlen i azot łączą się na tlenek azotu. Gdy więc taki tlenek utworzy się w powietrzu pod wpływem wyładowań elektryczności atmosferycznej, deszcz spłukuje go ztamtąd na rolę, gdzie podlega dalszym przekształceniom, tworząc związki azotowego. Takie też było niechybnie źródło pierwszych związków azotowych na ziemi, które miały dostarczyć materjału na tkanki istot żywych — i to jest również sposób, zapomocą którego możemy sztucznie wytwarzać te związki i dawać je roli, by za pomocą roślin przekształcać je na cenne białko. Na tej zasadzie polega fabrykacja sztucznych nawozów azotowych metodą Birkerlanda w Norwegji, w której przy zużyciu prądu jednego kilowata w ciągu godziny, wytwarza się 110 gramów kwasu azotowego.

Zastanówmy się chwilę nad głębszem znaczeniem tych faktów. Tlenu, azotu, węgla, wodoru mamy wszędzie przeobficie, ale żeby je złączyć na użyteczne związki azotowe, konieczne roślinie do wytworzenia białka, trzeba zużyć na to odpowiedniej ilość energji elektrycznej, która zamienia się tu na energję chemiczną, a potem fizjologiczną tych związków. Gdy więc podczas wojny wybucha, to znaczy rozkłada się chemicznie ładunek, zawierający związki azotowe, to składniki tych związków, które w ten sposób się wyzwala nie niszczą się, lecz niszczy się energja, której trzeba było zużyć by związki te wytworzyć. Nie niszczy się i ona w dosłownem tego słowa znaczeniu, lecz rozprasza tak, że już dla ludzkości jest stracona. A więc i tu widzimy, że wojna niszczy właściwie tylko energję, czyli pracę, i że tylko przez pracę można naprawić te zniszczenia. Nie przez ustawy demagogiczne, dające sankcję próżniactwu i bezmyślności, nie przez rabunek dóbr cudzego mienia, nie przez niedołężne, upokarzające, domaganie się o pomoc u innych lecz tylko i tylko przez pracę. Naród, który to pierwszy zrozumie i praktycznie w życie wrpowadzi, ten pierwszy otrząśnie się ze szkód wojennych i wkrótce najbogatszym pierwszym i najpotężniejszym będzie wśród narodów Europy. Naród taki już jest — są nim Niemcy. Gdy wśród powszechnego głodu i zniszczenia państwa ościenne ustanawiają ośmiogodzinny dzień pracy, z którego śmieją się sami robotnicy, gdy na zgliszczach i trupach radzą, jak urządzić owe zamki na lodzie, które mają wspaniale pomieścić i ugaszczać jednako wszystkich obywateli, albo raczej tych tylko, którzy dotąd pałac znali tylko z wierzchu, Niemcy śmieją się w kułak z teorji i prądów, na których podsycanie u innych nie szczędzą zabiegów i grosza, a sami podkasawszy ręce dmą w ogień i kują i z całym wysiłkiem pracują — jak i nad czem, nikt szczegółowo nie wie, ale to chyba wiedzieć może każdy, że nie nad wydobywaniem z łona przyrody skarbów dla narodów zwycięskich i ich sprzymierzeńców... Chciałoby dziś wielu pokazać, że przestarzałe są już dawne hasła, a między niemi na pierwszem miejscu owo znane i nieznośne: kto nie pracuje, niech nie je. Złuda nie potrwa długo. Ale pod pracą rozumie się oczywiście nie tylko praca fizyczna, lecz także a nawet więcej jeszcze praca umysłowa.

Już przed pół wiekiem przepowiedział jeden z największych na świecie pionierów elektrotechniki Werner Siemens, że najważniejsze zadania jakie prąd elektryczny w przyszłości ma do spełnienia, leżą właśnie na polu elektrochemji. I rzeczywiście dzisiaj elektrochemja rozwinęła się niesłychanie, lecz koroną jej rozwoju to właśnie wytwarzanie

sztuczne związków chemicznych. Pozwala ono bowiem tworzyć bezgraniczenie sztuczne nawozy, a tem samem zapewnia chleb i żywność dla ludzi i dla bydła, a więc wszystko, co co niezbędnie potrzebne. Bo ani tlenu, ani azotu nie braknie nigdy w przyrodzie, gdyż gdy jedne ich ilości wejdą w związki białkowe, to inne stamtąd będą się z nowu wyswobadzać, zaś zapasy energji prócz tych, które mamy w węglu, zawiera przyroda i podaje nam w postaci węgla białego, czyli siły wodnej, przyczem właśnie instalacje wodno-elektryczne szczególnie się nadają na wielkie zakłady elektro-chemiczne. Ale trzeba pamiętać, że skarbów tych przed ludzkością nie odkryła ręka robotnika w kilof uzbrojona, ani dowcip agitatora radykalisty, lecz cicha, długa praca wielu uczonych, a ta praca możliwą była tylko przez to, że społeczeństwa cywilizowane dostarczały im możności oddania się wyłącznie badaniom naukowym. Gdyby ta możliwość ustać miała na przyszłość, to nic nie pomoże ani kilof, ani agitator, nic nie wskóra na przyrodzie najostrzejszy prawodawca komunistyczny — ludzkość stanie wobec nędzy i zagłady. Ludzkość cała — lecz przedtem pojedyncze, zwłaszcza słabsze społeczeństwa. U nas praca nigdy w wielkiej estymie nie była, ale dzisiaj nawoływać wszystkich do wytężającej pracy, a zwłaszcza występować przeciwko ośmiogodzinnej dniówce, to uchodzi za znak zacofania. a jak marnowaliśmy pracę ludzką, tak też i marnujemy siły przyrody, a w szczególności te wielkie, zapasy węgla białego, któremi przyroda tak obficie nas obdarzyła. Wprawdzie ugoda angielska zabrała nam Wisłę, ale jest uzasadniona obawa, że jeżeli nie dyplomata, to kapitalista obcy zabierze nam siły wodne, biały węgiel, tak, jak rzucił się na węgiel czarny i naftę i jak zapewne zabierze drzewostan naszych lasów, które stawszy się własnością rządową służyć będą może na pokrycie procentów i amortyzacyj obcych kapitałów, jakie na wiano w postaci wielomiljonowych długów po naszych zaborcach dostaniemy.

Jedyną ucieczką naszą i jedynym odszkodowaniem wojennym jest nasza własna praca fizyczna zarówno jak i umysłowa.

Ks. Feliks Hortyński.

REDAKTOR I WYDAWCA: *Ks. Jan Urban T. J.*

Druk ukończono 11. września 1919.

O Berkeley'u — wielkim burzycielu świata zmysłowego.

Berkeley, skrajny idealista! Nie uznawał materji, odrzucał cały świat zewnętrzny, przyjmując tylko świat duchów z ich ideami i urojeniami. Pocóż o nim jeszcze pisać? Niech sobie mieszkańcy Cloyne odczytują kronikę z czasów, kiedy na anglikańskiej stolicy biskupiej zasiadał, niechaj pisarze dziejów filozofji wedle swego zwyczaju zcierają pył zapomnienia z roku 1685, w którym się urodził i z roku 1753, w którym życie swoje zakończył, niechaj się nad życiem jego rozwodzą i chwytają za innymi podniebny bieg jego myśli; my żyjemy w wieku zimnej rozwagi, dziećmi jesteśmy rozsądku! Zresztą, tyle już papieru i czasu zużyto, tyle odrębnych dzieł o nim wydano!... A jednak warto o nim pisać. Należy on bowiem do rzędu tych nielicznych myślicieli, którzy nie przestają nigdy na potomność wpływu swego wywierać. Atoli ograniczę się do odpowiedzi na jedno tylko pytanie: Dlaczego Berkeley w swych dociekaniach filozoficznych odrzucił świat zmysłowy? Zerwał przecież z tym światem widzialnym zupełnie, napiętnował ludzkie przeświadczenie o jego rzeczywistem istnieniu mianem przesądu, najbardziej rozpowszechnionego i najgłębiej zakorzenionego z pośród tych licznych przesądów, którym ludzkość tak ślepo ulegała i dziś jeszcze ku swej wielkiej szkodzie ulega. Musiał mieć chyba jakieś powody, które go do tego skłoniły! Jakież to są owe powody? Czy one rzeczywiście tak wielką moc w sobie mieszczą, iż można się było pod ich działaniem odważyć na krok tak stanowczy, czy też przeciwnie świecą tylko pozorem i zgasnąć musi ich blask ułudny w świetle prawdy?

Przedtem jednak krótki rzut oka na poprzedników Berkeley'a. Zacznę od starych indyjskich uczonych. Uznawali oni tylko Brahmę,

bóstwo najwyższe, za byt rzeczywisty, który ciągłemi swemi przemianami wywołuje złudzenie całej rozmaitości wszechświata. Z pośród filozofów greckich Parmenides, Zeno i Melissos wielości zjawisk i przedmiotów w świecie przeciwstawiają jedność i tej tylko jedności trwałość przyznają i rzeczywiste istnienie. Według sofisty Protagorasa, świat cały w ciągłym jest ruchu i różnym ludziom różnie się przedstawia. Sofista Gorgias wypowiada najskrajniejsze twierdzenie, iż nic nie istnieje. Gdyby nawet coś rzeczywiście istniało, nie dałoby się poznać. A gdyby nawet komuś udało się to coś istniejące poznać, nie mógłby nikomu tego poznania udzielić. Wielki myśliciel Plato ponad światem zjawisk (eidola), narzucających się naszym zmysłom, nie mających w sobie nic trwałego, nic wiecznego, wznosi świat wiecznych i niezmiennych idei (ideai), które sam rozum tylko może oglądać. Podobne zapatrywania na świat zmysłowy wypowiadali neoplatończycy.

Tych poprzedników swoich znał niewątpliwie Berkeley, a zwłaszcza znać musiał dobrze Platona, na którego się w swem piśmie: »Siris: a chain of philosophical reflexions and inquiries concerning the virtue of tar-water« — z całą lubością powołuje. Nie ulegał jednak ślepo i odrazu ich poglądom, lecz rozważał je, badał i dokładnie rozstrząsał. Na kierunek tych jego roztrząsań wpłynęli ożywczo i zachęcająco trzej myśliciele, kilkadziesiąt lat przed nim żyjący: Hobbes, Descartes i Locke, a zwłaszcza ci dwaj ostatni. Hobbes utrzymywał, że istnieje tylko materja, która ruchem swoim wywołuje w nas wrażenia, przypadłościami nazwane, którym jednak poza zmysłami naszemi nic rzeczywistego nie odpowiada, bo w świecie zmysłowym nie istnieje nic prócz materji i ruchu. Descartes, uratowawszy się od zupełnego sceptycyzmu i od bezgranicznego zwątpienia w możność poznania prawdy postawieniem zasady, że to jest prawdziwe, co jest jasnem i wyraźnem w sobie, przyjmował istnienie materji, jako bytu, stwierdzającego swoją jasnością i wyrazistością prawdziwą swą istność, a przypadłości podzielił na pierwszorzędne i drugorzędne. Do pierwszorzędnych zaliczył: rozciągłość, kształt, położenie i ruch. Przypadłości te, jego zdaniem, rzeczywiście, niezależnie od naszego postrzegania istnieją, ponieważ je jasno i wyraźnie pojmujemy. Do drugorzędnych zaliczył stosunki jakościowe materji, jak: światło, barwę, dźwięki, smaki, zapachy, ciepło i zimno. Przypadłościom tym wahał się przyznać niezależne od naszych postrzegań istnienie, ponieważ się nam niejasno i niewyraźnie przed-

stawiają. Locke, choć na odmiennych od Descartes'a oparł się założeniach, do podobnych, jak on, doszedł wyników, lecz więcej się od niego okazał stanowczym. Przyznawał wprawdzie rzeczywiste istnienie materji i pierwszorzędnych własności, lecz z całą bezwzględnością odrzucał własności drugorzędne, jako czucia czysto podmiotowe, którym w odnośnych przedmiotach odpowiadają jedynie jakieś siły czy zdolności do wywoływania w nas takich czuć i wyobrażeń.

To rozróżnienie własności drugorzędnych od pierwszorzędnych przez Locke'a, to odrzucenie przez niego w przedmiotach własności drugorzędnych i uznanie ich za wytwór naszych zmysłów, posłużyło za punkt wyjścia Berkeley'owi. W pierwszej swojej rozprawie p. t.: »Essay towards a new theory of vision« (Dublin 1709) utrzymuje, że światło, barwy i kształty nie istnieją w przedmiotach, lecz tylko w naszym umyśle. Podobnie wyraża się o przestrzeni, wyraźnie jednak nie zaprzecza istnienia materji. Czyni to dopiero w dwóch następnych dziełach: »Principles of human Knowledge« (1710) i »Dialogues between Hylas and Philonous« (1713).

Przedmiotem naszego poznania — wywodzi Berkeley — są trojakiego rodzaju idee: 1) idee, przez zmysły naszemu rozumowi dostarczane, czyli wrażenia (»ideas aetually imprinted ou the senses«), 2) idee z doznań i działań umysłu powstałe (»ideas such as are perceived by attending to the passions and operations of the mind«) czyli wspomnienia, przeżycia i 3) idee, przy pomocy pamięci i wyobraźni z wrażeń i przeżyć utworzone («ideas formed by help of memary and imagination«) czyli wyobrażenia. Prócz idei poznajemy jeszcze duchy i ich wzajemne stosunki.

Przez zmysł wzroku otrzymujemy — ciągnie Berkeley — wrażenia (idee) światła i barwy w ich rozlicznych odmianach, przez zmysł dotyku poznajemy twardość i miękkość, gorąco i zimno, ruch i różne stosunki wielkości. Zmysł smaku dostarcza nam wrażeń smaku, zmysł węchu różnych zapachów, zmysł słuchu wrażeń dźwięków, tonów i głosów. Powszechnem jest mniemanie, że wszystkie te wrażenia są odbiciem czy obrazem jakichś przypadłości, które w odnośnych przedmiotach rzeczywiście istnieją. Tymczasem jest to gruby przesąd i błąd oczywisty. Wiadomą bowiem jest rzeczą, że t. zw. własności drugorzędne, jak: światło, barwy, tony, smaki, zapachy, ciepło i zimno nie istnieją wcale poza naszym umysłem. To samo należy powiedzieć i o własnościach pierwszorzędnych. Są one tylko ideami, naszemi wrażeniami lub wyobrażeniami, którym

nic rzeczywistego poza naszym umysłem nie odpowiada, gdyż idea tylko idei podobną być może. Własności pierwszorzędne są nadto tak ściśle z własnościami drugorzędnemi złączone, że bez nich nawet pomyśleć się nie dadzą. Muszą tedy wspólnie z niemi dzielić los idei i zadowolić się istnieniem w obrębie samego tylko umysłu.

Jeżeli jednak nie istnieją niezależnie od czynności umysłu własności, to czemżeż są zmysłowe przedmioty? Są one — według Berkeley'a — tylko związkami, zespoleniami idei, wrażeń, wspominań i wyobrażeń, których cała istność na tem tylko polega, że bywają przez umysł postrzegane. Jeżeli pewne dane zmysłowe, pewne idee, które przypadłościami nazywamy, stale ze sobą połączone występują, wówczas oznaczamy je jedną, wspólną nazwą, naprzykład jabłka, kamienia, drzewa, książki. Cóż bowiem rozumiemy pod tem wrażeniem: stół, na którym piszę, istnieje? Nic innego, tylko to jedynie, że go widzę i czuję, że przez moje zmysły doznaję różnych wrażeń, które wspólnie i jednocześnie mi się narzucają. Gdy się poza mym pokojem znajdę, w którym się ów stół mieści, mogę o nim tyle tylko powiedzieć, że gdy wrócę do swego pokoju, znów go czuć i oglądać będę, albo, że jakiś inny zmysł w tej chwili go ogląda i obecność jego odczuwa.

Przywykli ludzie do rozróżniania w tych związkach idei, zwanych przedmiotami zmysłowemi, materji i przypadłości. Materja, w ich mniemaniu, miałaby być czemś, bliżej nie dającem się określić, czemś tylko, co istnieje, co w jakimś koniecznym do przypadłości pozostaje stosunku, przypadłości zaś, według jednych wszystkie, według innych tylko pierwszorzędne, mają się w owej materji, jako w swem podłożu (support) zawierać. Tymczasem, cóż pozostanie z tak pojętych przedmiotów, kiedy się z nich usunie wszystkie własności, jako idee, nie mające żadnego poza umysłem istnienia? Pozostanie sama tylko materja, pozostanie tylko to coś, bliżej nieokreślone, przez nikogo nie dostrzegane, mające jakąś zdolność podtrzymywania nie istniejących własności. Czyż w ten sposób pojęta materja nie jest ideą jakąś abstrakcyjną, jakimś ogólnikiem, o wiele więcej oderwanym, aniżeli wiele innych, w których istnienie się wierzy, choć w nich nic prócz pustych słów się nie mieści! Wszelkie wysiłki zwolenników jej istnienia, ażeby ją bliżej określić, są daremne. Wypowiadają rzekomo o niej swe sądy i głoszą wszędzie, że materja nie działa, nie postrzega i nie bywa postrzeganą, lecz zapominają o tem, że w tych sądach nic dodatniego niema, że wypowiadają

w nich same tylko przeczenia. Przypisują jej zdolność podtrzymywania własności, lecz o tem nawet nie wiedzą, jak wielkim ulegają złudzeniom, przyznając własnościom jakiś byt, od postrzeżeń naszych niezależny, którego w żaden sposób one mieć nie mogą.

Nie istnieje więc materja — konkluduje Berkeley — podobnie jak nie istnieją przypadłości. Gdyby nawet istniała jakaś materja przypadłościami obdarzona, gdyby istniały jakieś kształtne, barwne i ruchliwe substancje, które przedmiotami zmysłowemi nazywamy, to w żaden sposób nie moglibyśmy się o ich istnieniu dowiedzieć. W jakiż bowiem sposób moglibyśmy się z niemi zetknąć, aby je poznać? Czy zapomocą zmysłów? Ależ zmysły nasze nie dostrzegają nic innego prócz idei! Czy może zapomocą myślenia? Niestety, ani tą drogą do nich nie moglibyśmy się zbliżyć. Między przedmiotami bowiem a ideami niema koniecznego połączenia, czego dowodem są senne marzenia i różne przywidzenia, którym często podlegają ludzie, zwłaszcza umysłowo chorzy. Takie tedy przedmioty zmysłowe, zewnątrz nas, gdzieś w świecie istniejące, nie miałyby najmniejszego nawet wpływu na powstawanie w nas idei. Istnienie ich nie miałoby dla nas żadnego pożytku ni celu. Musielibyśmy nadto niedorzeczne wypowiadać twierdzenia, że barwa naprzykład podobną jest czemuś niewidzialnemu, twardość lub miękkość czemuś niedotykalnemu.

Cóż tedy istnieje, jeżeli nie istnieje materja ani jej przypadłości, jeżeli zmysłowe nie istnieją przedmioty? Wszak istnieć przecież coś musi! Idee bowiem, o których jest mowa, z natury swojej są bezczynne i bierne, całe ich istnienie polega na tem tylko, że bywają postrzegane. Któż więc te bierne ideę postrzega? Postrzega je duch — odpowiada Berkeley — duch, który, o ile je z góry sobie narzucone przyjmuje, nazywa się rozumem, o ile je zaś sam wywołuje i stwarza. nazywa się wolą. Nie można mieć wprawdzie jakiegoś obrazu ani idei duszy, z którejbyśmy wnosić mogli o jej istnieniu, gdyż każda idea jest bezczynna, dusza zaś jest czemś czynnem, czemś nieustannie żywem i twórczem. Istnienie duszy narzuca się samorzutnie, jako coś koniecznego, jako to coś, co w jednej chwili powołuje do życia świat idei, lub w przepaść nicestwa go pogrąża.

Nie wszystkie jednak idee duch ludzki dowolnie może stwarzać lub unicestwiać. Są idee zmysłowe, wrażenia, które mu się wbrew jego woli narzucają. Są one wyraźniejsze i silniejsze, niż wspominania i wyobrażenia, niż idee od jego woli, przy współdziałaniu wyobraźni, zależne, występują stale, w porządku i ściśle, nierozerwalnie

z sobą połączone. Jeżeli wrażenia niezależnie od mej woli w moim umyśle powstają, to istnieć musi jakiś duch nieskończenie od mego ducha doskonalszy, który stale owe idee zmysłowe postrzega i mojemu je umysłowi narzuca. Któż jest tym duchem? Wszechmocny Bóg! On owe idee zmysłowe, które wszechświatem nazywamy, swą wolą w naszym umyśle wywołuje. On stały między niemi ustanowił porządek, który prawami natury się zowie. Idee, niezależnie od mej woli istniejące, nazywam przedmiotami lub rzeczami.

Tu wystąpić musimy przeciw zbyt skrajnemu pojmowaniu zapatrywań Berkeley'a. Niektórym się zdaje, że w myśl jego założeń wystarczyłoby zamknąć swe oczy, niedostępnemi dla odbierania wrażeń uczynić zmysły, ażeby przedmioty nas otaczające przestały istnieć. W tem nawet upatrują dowód całej niedorzeczności jego twierdzeń. Tymczasem Berkeley przecim takim skrajnościom wyraźnie się zastrzega. Wszystkie przedmioty — według niego — które się zmysłom moim narzucają, rzeczywiście istnieją i od moich wyobrażeń czy przeżyć nietylko siłą, wyrazistością i swoją trwałością, lecz także swoją niezależnością od mej woli się różnią. Nie istnieją tylko niezależnie od umysłu Bożego, który jedynem źródłem jest ich istnienia, nie istnieje w nich także żadna materja. która wymysłem jest bujnej wyobraźni ludzkiej [1]). Z tego powodu słońce, które nam za dnia z wyżyn niebieskich przyświeca, jest rzeczywistem słońcem, a to, które sobie w nocy wyobrażam, jest wyobrażeniem, odtworzeniem słońca rzeczywistego.

Tak więc Berkeley zburzył swemi wywodami cały świat zmysłowy, odrzucił w swoim systemie istnienie materji, a ponad gruzami zamarłego świata ukazał świat duchów z całą rozmaitością idei. Patrząc zaś na to zniszczenie, którego dokonał, doznawał radosnych uczuć, bo oto zdawało mu się, że przez zaprzeczenie materji usunął podstawę, na której sceptycyzm się opierał, że skruszył kamień węgielny, na którym materjaliści i ateiści budowle wznosili swych bezbożnych systemów. Zdawało mu się również, że tym sposobem usuwa różne wątpliwości w wierze chrześcijańskiej, dla której —

---

[1]) »That the things — pisze Berkeley — I see with my eyes and touch with my hands do exist, really exist. I make not the least question. The ouly thing whose existence we deny, is that which philosophers call matter of corporeal substance« (Principles of human Knowledge, London 1893, 82).

jego zdaniem — wytłumaczenie powstania materji połączone było zawsze z wielkiemi trudnościami.

Tak oto w najogólniejszych zarysach przedstawiają się zapatrywania Berkeley'a na świat cały zewnętrzny i takie były powody, które go skłoniły do odrzucenia materji. Musimy teraz w krytycznem ich rozważaniu rozglądnąć się za jakimś punktem oparcia, jeżeli chcemy wykazać ich jednostronność i niezgodność z prawdą. Gdybyśmy chcieli oprzeć się na jakiemś pojęciu pośredniem, daremne byłyby nasze poszukiwania. Takiego pojęcia nie znajdziemy. Nie mniej jednak trwałe być może nasze oparcie do odrzucenia twierdzenia, że nie istnieje materja ani świat cały widzialny. Gdzież jest ten punkt oparcia? Oto w świadomości naszej. Nie możemy gardzić jej świadectwem, bo inaczej żadnego sądu nie moglibyśmy wydać, musielibyśmy popaść w otchłań zwątpień o wszystkiem i we wszystko. Cóż n. p. oczywistszego nad nasze niewzruszone przeświadczenie o własnem istnieniu! Czyż jednak znajdzie się jakiś myśliciel, któryby uzasadnił swoje nieprzerwane istnienie dowodami, z poza świadomości czerpanemi? Dotychczas żaden z nich tego nie dokazał, i niema nadziei, aby to ktoś mógł uczynić w przyszłości. Mimo to przecież przyjmujemy nasze istnienie za pewnik, za prawdę niezawodną, gdyż jako taką prawdę niewątpliwą i oczywistą narzuca nam je nasza świadomość. Otóż z tą samą siłą narzuca nam świadomość istnienie materji i całego widzialnego świata. Musimy tedy uznać jego rzeczywistość, tak jak uznajemy nasze własne istnienie.

Dalej, Berkeley, wbrew może swej woli, oprzeć się musiał na świadectwie swojej świadomości, mówiąc o duchu, postrzegającym idee. Wszak świadectwa takiego nie mogły mu chyba idee dostarczyć, gdyż — jego zdaniem — są one bezczynne, byt ich od postrzegań ich przez jakiś umysł zależy, żadnego znaku o swem istnieniu dostarczyć umysłowi nie mogą. Lecz nie można w jednym wypadku opierać się na świadectwie świadomości, w innym zaś dowolnie niem gardzić i wcale go nie uznawać, kiedy ono z niemniejszą wyrazistością i siłą nasuwa nam inną jakąś prawdę. Gdyby Berkeley chciał być ścisłym w swoich wywodach, to, przyjmując świadectwo własnej świadomości, musiałby również uznać istnienie materji, tak jak uznawał istnienie własnej duszy. Jeżeli zaś nie chciał na świadectwie świadomości opierać swoich wywodów, to najwyżej o ideach tyle tylko mógł po-

wiedzieć, że są postrzegane, nie wymieniając własnego »ja«, nie wspominając o duchach.

Następnie, Bóg, według niego, ma być bezpośrednim sprawcą naszych wrażeń. Cóż z tego jednak wynika? Oto, w myśl tego twierdzenia, Bóg musiałby być również sprawcą naszych ciągłych błędów. Wszyscy bowiem, prócz Berkeley'a i innych podobnych mu idealistów, są przekonani, że materja i świat cały widzialny poza ich umysłem istnieje. Gdyby to przekonanie było błędne, tak jak starał się to Berkeley wykazać, to cała wina spadałaby na Boga. Nasze jednak pojęcie o Bogu i o Jego przymiotach nie pozwala nam na takie bezbożne przypuszczenie.

Wreszcie zastrzeżenie, jakie czyni Berkeley, że my sami ponosimy winę, uznając poza naszym umysłem materję wraz z całym światem widzialnym, żadnego nie może mieć znaczenia, gdyż wobec powszechności takiego błędu należałoby się w ludzkim umyśle dopatrywać jakichś wrodzonych w tym kierunku zboczeń. A w takim razie Bóg, który jest Stwórcą ludzkiego umysłu, byłby również pośrednim sprawcą tych zboczeń. Zaczem i w tym wypadku ten błąd powszechny Jemu należałoby przypisać.

Okazuje się z tego, że Berkeley nie miał wystarczających powodów do odrzucenia świata widzialnego. Jego rozumowanie, choć pięknem jest w sobie i do poważnego zastanowienia nas zmusza, nie może zachwiać w nas przekonania o rzeczywistem istnieniu materjalnego świata.

Ks. Dr Andrzej Krzesiński.

Odrodzenie szkolnictwa polskiego w Wielkopolsce.

Mając skreślić proces przeobrażenia szkolnictwa w Wielkopolsce z wyłącznie niemieckiego na polskie, piszący znalazł się w trudnem naprawdę położeniu. Proces tego narodowego odrodzenia polskiej szkoły musiał się zrazu odbywać katakumbowo ze względu na rządy pruskie, które do ostatniej chwili swego istnienia o spolszczeniu szkoły w polskich dzielnicach słyszeć nie chciały i nawet wtedy, gdy w listopadzie 1918 r. chwiał się już na wszystkie boki gmach pruskiej potęgi, w zaślepieniu swojem tylko do bardzo skromnych ustępstw na rzecz polskości były gotowe. Kiedy zaś sejm dzielnicowy w początkach grudnia 1918 zajął się sprawą stworzenia polskiego szkolnictwa, a dnia 27 grudnia minęły ostatecznie pruskie rządy w Poznaniu, tedy praca twórcza nad organizacją tego szkolnictwa w tak gorączkowem odbywa się tempie, że trudno wszystkie jej fazy ogarnąć należycie, tylu w niej powołanych i niepowołanych bierze udział z zapałem młodzieńczym, że trudno obserwatorowi odróżnić fachowych działaczy, twórczych rzeczywiście, od krzykliwych dyletantów, pragnących w tym epokowym procesie uszczknąć sobie łatwy laur zasługi i zdobyć tani poklask. Wypadki nadto powszechnodziejowego znaczenia tak gonią za sobą, że prasa — to odbicie wszelkich procesów ważnych w normalnym rozwoju rzeczy — zupełnie zawodzi, a sprawy szkolne, jako mniej ważne usuwa na drugi plan; organu zaś poważnego i poświęconego ruchowi szkolnemu w całej rozciągłości dotąd Wielkopolska nie posiada.

A jednak tworzenie szkolnictwa polskiego w Wielkopolsce, to odrodzenie tępionej dotąd od korzenia polskości, jest wypadkiem epokowym dla dzielnicy wielko-

polskiej, jest jednem z tych zdarzeń, na które Bóg społeczeństwu naszemu kazał czekać wiek cały i o którem ona wieki całe pamiętać będzie i dlatego w skreśleniu takiego faktu była wskazana największa przedmiotowość i dokładna źródłowość. Tu nie chodzi tylko o artykuł zajmujący z efemeryczną aktualnością, lecz o źródłowe najsumienniejsze przedstawienie epokowego procesu spolszczenia tego, co było wyłącznie niemieckie, co było polskości wrogie, co służyło za narzędzie do tępienia tej polskości.

Dla autora nie było innego wyjścia, jak pójść do twórców polskiej akcji szkolnej i poprosić, by oni, którzy znają wszystkie arkana początkowe tej akcji, którzy dzierżą wszystkie jej nici, by oni zabrali głos i opowiedzieli sami, w myśl zasady wielkiego mistrza historji, »jak właściwie było«, jak faktycznie się to szkolnictwo z niemieckiego na polskie przedzierzgało i przedzierzga. W sprawie szkolnictwa ludowego tedy udałem się do decernenta tego szkolnictwa w Prowincjonalnem Kolegjum szkolnem p. Suchowiaka, w sprawie szkolnictwa średniego do decernenta prof. Łęgowskiego, a w sprawie szkoły najwyższej do J. M. rektora Święcickiego i prałata Łukomskiego, jako decernenta dla Spraw Oświaty szkolnictwa w Komisarjacie Naczelnej Rady Ludowej. Tym wszystkiem wymienionym osobistościom na tem miejscu czuję się zobowiązany podziękować za chętne i życzliwe udzielenie piszącemu źródłowych i wyczerpujących wiadomości co do powstania szkolnictwa polskiego w Wielkopolsce. Każdemu też po kolei udzielam głosu sprawozdawczego w niniejszym artykule.

A. Na drodze od ludowej szkoły pruskiej do polskiej

(podług sprawozdania p. Jana Suchowiaka).

1. System pruski w szkole.

Duchowa germanizacja młodych pokoleń polskich była jednym z pierwszych i najgłówniejszym środkiem do celu, jaki sobie rząd pruski wytknął zaraz po zaborze ziem polskich. Polityka ta szkolna była w zasadzie niezmienną, zmienne nieco były tylko jej drogi, stosownie do poglądów poszczególnych kierowników. Już Flottwell uważał rozwój szkolnictwa jako »warunek powolnego niemczenia i asymilacji Polaków«. Mądra polityka zalecała przecież postępowanie powolne, stopniowe, aż doszło do tego, że na całym obszarze państwa Pruskiego nie było ani jednej polskiej szkoły

publicznej ani też prywatnej. Wszędzie językiem wykładowym był niemiecki.

Przeszło 800.000 dzieci polskich w wieku szkolnym nie pobierało w końcu w żadnym przedmiocie nauki w języku ojczystym, lecz tylko przymusowo w obcym — niemieckim. Tylko nauka religji tu i ówdzie w pewnych oddziałach odbywała się do czasu jeszcze po polsku. Odnosi się to również do młodzieży w szkołach uzupełniających, obywatelskich, średnich: realnych, w gimnazjach, liceach, seminarjach, w szkołach zawodowych i po uniwersytetach.

Było tak nietylko w Westfalji i Nadrenji, gdzie Polacy większe tworzą kolonje, lecz także na ziemiach odwiecznie polskich, jak na Śląsku Górnym, w Prusiech królewskich, na Warmji i Mazurach. Nawet Księstwo Poznańskie pod tym względem zrównano. Nie zrobiono też wyjątku ani dla dzieci upośledzonych, ani dla głuchoniemych, ociemniałych, umysłowo słabych i idjotów. I tym nieszczęśliwym odmawiano błogosławieństwa nauki w języku ojczystym.

Jedynie w małej liczbie szkół, przeważnie wiejskich we wschodniej części obwodu poznańskiego dozwolono czasowo na kilka godzin tygodniowo nauki religji w języku ojczystym na stopniu niższym i średnim. Drobne te wyjątki niczem były prawie wobec ogólnej a ogromnej pracy codziennej niemczenia dzieci polskich przez szkolnictwo pruskie w 6500 szkołach na ziemiach etnograficznie polskich.

Działo się to zaś pod przymusem szkolnym; dzieci bowiem w wieku od 6 do 14 roku życia zobowiązane były pod karą do uczęszczania do szkoły niemieckiej!

Zarząd szkolny starał się prócz tego, aby także przez urządzenia nieprzymusowe popierać u dzieci germanizację. A więc żądał, aby już w żłóbkach śpiewano niemieckie kołysanki, aby w ochronkach uczono piosenek i wierszyków niemieckich, aby rozmawiano nawet podczas zabawy po niemiecku. W czasie zaś wolnym od lekcji szkolnych, jako też w przerwach żądano, by dzieci nasze rozmawiały ze sobą po niemiecku, urządzano niemieckie sale zajęć, ogródki, przynęcano dzieci a później i młodzież na wycieczki, na wieczorki niemieckie, na wykłady obrazkowe, festyny niemieckie, zalecano i nakazywano wstępowanie do niemieckich związków wywiadowców, »jugendwehrów« i t. d. i t. d.

Niemcy wysyłali tysiące polskich sierót i młodzieży na mocy prawa o przymusowem wychowaniu do okolic niemieckich, aby się tam przez dom, szkołę i kościół z całą pewnością germanizowały.

Z wyrafinowaną przebiegłością starał się zarząd szkolny niemiecki, mianowicie na Górnym Śląsku i w Prusiech królewskich, aby dzieci nasze nie poznały w szkole wcale abecadła łacińskiego, bo to ułatwiało poznanie polskiego języka..

Aby usunąć wpływy polskie na naszą młodzież, starał się rząd pruski świadomie o zmniejszenie liczby i powolne wyrugowanie nauczycieli Polaków tak, że na 17000 nauczycieli dla dzieci naszych potrzebnych zaledwie 4000 świadomych Polaków zostało. Reszta 13000 nauczycieli Niemców najzagorzalszymi było germanizatorami, służalcami hakatyzmu, nieraz katami dzieci i denuncjantami Polaków.

O zaciekłości ich germanizatorskiej świadczą fakty, że jeszcze 10 lutego 1919 trzeba było usunąć z urzędu nauczycielkę Krieger w Poznaniu za zabranianie dzieciom polskim mowy polskiej podczas przerwy, dalej, że w połowie maja br. wyższa nauczycielka Moseler wyraziła się do Polek: »In meiner Gegenwart darf polnisch nicht gesprochen werden«.

2. Samopomoc ludności polskiej wobec szkolnictwa germanizacyjnego.

Wobec tak silnego i przeszło ośmioletniego wpływu na dusze dzieci i młodzieży można było słusznie się obawiać, iż po kilku pokoleniach szkoła pruska osiągnie swój cel polityczny, zniemczenia polskiej ludności. I stałoby się tak niechybnie, gdyby nie było twierdzy niezdobytej: domu polskiego. W domu, na łonie rodziny dziecko słyszało i rozmawiało w ojczystym języku. Tu, jak Anteusz, dotykający się ziemi, nowych sił nabierało codziennie do walki, jaka się w jego toczyła umyśle. Od intensywności wpływów polskich, od otoczenia i troskliwości rodziców zależał w każdem dziecku wynik zwycięski polskości lub jej upadek. Bo w tej walce corocznie nowe dziesiątki tysięcy dzieci polskich odpadało i niemczyło się, skoro było licho w odporność polską uzbrojone. Działo się to przeważnie w polskich rodzinach między większością niemiecką żyjących. Naogół przecież wychodziła polskość w dzieciach naszych zwycięsko.

Od czasu zaś wstrząśnienia sumień polskich przez sprawę wrzesińską 1901 roku oraz przez strejk szkolny w r. 1906/7 (nieodpowiadanie po niemiecku przy nauce religji) — obudziło się po-

wszechnie poczucie odpowiedzialności w rodzicach. Wtedy odczuły niewiasty polskie, że dzieci im zginą, jeżeli się je zostawi nadal bez pomocy duchowej. Odtąd więc wszystkie, nawet najbiedniejsze matki polskie starały się, jak mogły i umiały, o polskie elementarze i uczyły swe dzieci w domu czytania i pisania polskiego, dbały o pacierz polski i o domową naukę religji w języku polskim.

Polki inteligentne, gdzie się dało, służyły rodzinom biedniejszym chętnie, bezpłatnie i czynnie w niełatwem tem zadaniu nauczania, radą i pomocą. Wyłącznie też do tej nauki domowej dostosowaliśmy układ naszych elementarzy (bardzo tanich, bo niektóre wydania były po 10 fen. za egzemplarz), nasze ćwiczenia w pisaniu (zeszyty Suchowiaka), nasze książki do czytania i nabożeństwa, nasze »najkrótsze« katechizmy. Podręcznik do domowej nauki religji Suchowiaka uczył na Ojczenaszu zarazem czytania polskiego. Prawie każda z ludowych gazet naszego zaboru dodawała co tydzień osobną gazetkę dla dzieci, którą dzieci czytając, zaznajamiały się systematycznie z językiem polskim, piśmiennictwem, historją i geografją Polski.

Cennych wskazówek i pomocy w tej pracy udzielały biura porady rodzicielskiej. Towarzystwo Matek chrześcijańskich, Towarzystwo Pań »Warta« w Poznaniu, z bardzo zasłużoną panią Anielą Tułodziecką na czele, Samopomoc w Bydgoszczy i inne. Towarzystwa wakacyjne, jak Stella, dla dzieci poznańskich, Gościna (założona przez p. Suchowiaka) dla dzieci z obczyzny, Oświata w Berlinie i inne dbały o to, aby dzieci polskie choć podczas wakacyj letnich miały strawę duchową polską.

Staraliśmy się o przypominanie młodzieży polskości n. p. przez polskie książki obrazkowe, polskie zabawki, w czem ma główną zasługę towarzystwo »Znicz« w Poznaniu z prezesową dr. Niegolewską i projektodawcą p. Suchowiakiem. Ogromne zasługi w utrzymaniu polskości położyło też Towarzystwo Czytelni Ludowych w Poznaniu przez biblioteczki dla dzieci, przez swe wykłady obrazkowe. Zasłużonym dyrektorem T. C. L. jest ks. A. Ludwiczak. Młodzież łączyła się częściowo w tajne drużyny skautowe i w tajne kółka do nauki języka ojczystego.

Osobną organizację, zajmującą się tą tak nam konieczną nauką domową, utworzono 1913 r. dla całego zaboru jako Wydział kulturalno-oświatowy przy Radzie Narodowej, o czem poniżej.

Stwierdzić należy, iż w różnych okolicach naszego zaboru różnych używano metod, sposobów, podręczników, aby tylko dojść do

celu: nauczenia dzieci czytania, pisania i religji w języku polskim. Przecież i »do Rzymu wiele dróg prowadzi«. Szczególniejszą zasługę około zachowania polskości wśród polskiej dziatwy i polskiego społeczeństwa ma bezsprzecznie duchowieństwo polskie. Najwymowniejszem świadectwem tej olbrzymiej zasługi duchowieństwa polskiego około ratowania polskości jest nienawiść hakatystycznie usposobionych sfer niemieckich i »grenzschutzów« ku polskiemu duchowieństwu. Otwarcie przecież głoszą: »Gdyby nie polskie klechy, dziś cały lud polski byłby zniemczony«. Wiadomym powszechnie jest fakt, że nauka katechizmu była równocześnie nauką języka polskiego w kościele. W rezultacie możemy być z pracy tej zadowoleni, jeżeli się zważy na ogromne trudności, na jakie starania nasze napotykały, jeżeli się wspomni na te wszystkie zakazy, donosy, kary, nawet więzienia za domową naukę polską.

U dzieci w stanach średnich, miejskich i zamożniejszych łatwiej wyrabiała się znajomość polskiego. Prócz dawnej nauki działały tu bowiem liczniejsze czynniki, jak większe gazety, pisma obrazkowe polskie, bibljoteczki dla dzieci, pisma dla młodzieży, czytelnie, w wieku pozaszkolnym zaś towarzystwa samokształcenia, sokole, śpiewu, harcerskie, zawodowe i inne.

Zamożne rodziny brały dla swych dzieci zazwyczaj nauczycielki domowe, które, choć także zmuszone pod kontrolą rządową do udzielania wszystkich przedmiotów w języku niemieckim i podług planu szkół publicznych, mogły przecież dzieciom wykład objaśniać w języku polskim. Przy takiem postępowaniu dzieci o wiele łatwiej urabiały sobie pojęcia niespaczone oraz nabywały wiedzy potrzebnej. Dopiero po 14 roku życia dziecko zwolnione od przymusu szkolnego można było kształcić poza granicami państwa pruskiego. To też liczne rodziny wysyłały swe córki na »dokończenie nauki« do zakładów w Galicji, gdzie wykład polski błogo wpływał na dalszy rozwój umysłowy naszych przyszłych matek.

Młodzież męska i większa część żeńskiej, z konieczności (uzyskanie świadectw państwowych) oraz dla braku środków kształcąca się w miejscowych szkołach średnich (gimnazjach i liceach), garnęła się do tajnej nauki w języku ojczystym. I choć rząd pruski zakazywał towarzystw młodzieży szkolnej, która zbierała się nie w celach zabawy, ale dla nauki języka, piśmiennictwa i historji polskiej, chociaż skazywał ją za to na kary więzienne (proces gnieźnieński

i toruński 1901) a nawet wydalał ze szkół, pozbawiał praw, to jednak prawie każdy uczeń Polak z zamiłowania pracował, choćby jako samouk, nad wyrobieniem się w języku ojczystym.

Zbyteczną dodawać, iż to samo odnosi się do naszej młodzieży, gdziebądź na uniwersytetach się kształcącej, mimo, że wszędzie rządy niemieckie zakazywały polskich towarzystw naukowych między studentami. Na wzmiankę zasługuje, iż akademicy nasi wydawali przez kilka lat przed wojną własne pismo pod tytułem »Brzask«. Zamiar utworzenia osobnego polskiego kursu dopełniającego w Krakowie dla akademików polskich »z pod Prusaka«, krótko przed wojną powzięty, nie mógł już być urzeczywistnionym.

3. Nauka religji.

Osobno niech nam będzie wolno poruszyć sprawę samopomocy w nauce religji. Do roku 1872 nie tykał rząd pruski w szkołach tej nauki. Wtedy najpierw na Górnym Śląsku zarządził wykład religji po niemiecku, potem stopniowo rozszerzał go na cały zabór. W Poznaniu zmusił najpierw ks. arcybiskupa Ledóchowskiego do pozwolenia na wykład niemiecki w sekundach i prymach (4 najstarsze roczniki) gimnazjalnych. Później zniewolił arcybiskupa Dindera do dania pozwolenia na takiż wykład już od najniższej klasy gimnazjalnej. I od tego czasu zaprowadzał rząd we wszystkich szkołach, także ludowych (jak to poprzednio zaznaczyliśmy) niemiecką naukę religji wraz z niemieckim pacierzem i niemieckiemi pieśniami kościelnemi.

Ta »religja niemiecka« najbardziej ciążyła sercu polskiemu. Przez ten przymus wyrządzał rząd pruski największą krzywdę ludowi polskiemu. I dziecko i matka płakały, gdy przychodziło uczyć się w domu zadanej lekcji z niemieckiego katechizmu lub »bibliczki«. Nauka religji, która na całe życie ma dziecko uzbroić w odporność przeciw złemu, nauka ta w języku niemieckim udzielana zamieniła się dla dziecka w stek niezrozumiałych wokabuł, nieprzetrawionych pojęć abstrakcyjnych, ona ześlizgiwała się po umyśle dziecka, nie docierając do serca. I tak szkoła pruska istotnej religji dzieciom nie dawała, podstawy tej religji z domu wyniesione zacierała, a nawet czyniła dzieci polskie obojętnemi na tę najważniejszą część wychowania. Zrozumie tę krzywdę lepiej ten jeszcze, kto poznał istotę duszy słowiańskiej ogarniającą re-

ligję więcej sercem i uczuciem, niż rozumem, jak to się dzieje w duszy osobników z szczepów germańskich.

Z całą stanowczością więc i bezustannie domagali się wszyscy Polacy dla swych dzieci we wszystkich szkołach tylko polskiego wykładu nauki wiary św., po ojcach odziedziczonej. Ludność polska na wskróś religijna wiedziała bowiem, że dziatwa jej przez niemiecki wykład obojętnieje dla religji, zatraca moralność ze szkodą duszy i ciała i coraz przystępniejszą staje się dla doktryn niemiecko-socjalistycznych, odwodzących od stanowiska narodowego.

4. Przygotowania oświatowe podczas wojny w Radzie Narodowej.

Jak powyżej powiedziano, powstała w listopadzie 1913 roku w Poznaniu Rada Narodowa utworzyła osobny Wydział kulturalno-oświatowy z prezesem Dr. Zygmuntem Celichowskim i z sekretarzem Janem Suchowiakiem na czele. Wydział ten potworzył zaraz komisje: dla spraw ogólno-kulturalnych, dla spraw oświaty przedszkolnej i szkolnej, dla spraw oświaty pozaszkolnej i dla spraw oświaty kresowej. Przez pół roku działał Wydział intensywnie, aż wybuch wojny udaremnił prawie prace. Wobec nacisku i teroru władz pruskich a ciągłej kontroli Wydział nie mógł utrzymać swych komisyj przy pracy ani też zwoływać jawnych zebrań wydziałowych. Mimo to pracowano w zarządzie przez cały czas wojny. Rozpatrywano i załatwiono prócz mnóstwa pomniejszych przeszło 60 spraw ważnych, z których większość tyczy się młodzieży naszej. Naprzykład przygotowano sposoby uodpornienia dzieci już przedszkolnych na przyszły wpływ szkoły germanizatorskiej, wydano w setkach tysięcy egzemplarzy »Wskazówki dla wychowania i duchowego i cielesnego dzieci«. Tu przygotowano podręczniki dostosowane do nauki szkolnej. Tu rozpatrywano ks. Gralewskiego plany ustroju przyszłej szkoły polskiej. Stąd oddziaływano na rozszerzenie nauki domowej języka polskiego w jaknajdalsze koła młodzieży i rodzin polskich. Tu wypracowano cały program polskiej pracy oświatowej na przypadek dalszego jarzma niemieckiego. Tu także, za inicyatywą p. Suchowiaka, stworzono centralę dla nauki domowej na cały zabór pruski pod tytułem »Poradni wychowawczej«. Pan S. zakreślił jej i przez rok własną pracą wykonał następujący program:

W »Poradni wychowawczej« otrzymuje każdy rodak bezpłatnie piśmienną, a w razie koniecznym także ustną poradę we wszelkich sprawach tyczących się wychowania dzieci i młodzieży płci obojga, szczególnie zaś:

a) co do podręczników, sposobów pomocy i środków odpowiednich przy polskiej nauce domowej.

b) co do wyboru szkoły, uczelni, zakładu naukowego lub wychowawczego, miejscowego, zamiejscowego, albo zakordonowego-polskiego.

c) co do umieszczania uczniów zamiejscowych (z kresów i obczyzny) w odpowiednich pensjonatach czy tak zwanych »stancjach« polskich, w środowisku patrjotycznem.

d) co do starań o stypendja z towarzystw polskich dla zdolnych lecz niezamożnych uczniów i uczenic.

e) co do wyboru zawodu po ukończeniu szkoły przez ucznia, uwzględniając tak umysłowe, jak cielesne uzdolnienia odnośnego chłopca lub dziewczęcia.

Z »Poradni wychowawczej« korzystało setki rodaków, ze wszystkich stron dzielnicy naszej i z obczyzny, i to głównie co do nauki domowej w języku polskim. Pan S. zgromadził w »Poradni« pierwszą bibljotekę: około 600 polskich podręczników szkolnych, ze wszystkich zaborów, dalej czasopisma pedagogiczne i programy polskich uczelni. Bibljoteczka ta, przeważnie z darowizn powstała, oddała znaczne usługi budzącemu się nauczycielstwu i polskiemu szkolnictwu.

5. Powszechne Towarzystwo Pedagogiczne.

Po przyjęciu projektu w zarządzie Wydziału kulturalno-oświatowego Rady Narodowej zwołał inicjator pan Suchowiak grono osób na dzień 10 września 1918 roku. W dniu tym, pamiętnym jako 70-lecia założenia pierwszego polskiego Towarzystwa Pedagogicznego przez Estkowskiego, wznowiono w Poznaniu Powszechne Towarzystwo Pedagogiczne, które po przejęciu komisji (głównie z pań się składającej) dla kursów licealnych a od marca 1918 istniejącej, wybrało wspólny zarząd, składający się z ks. prałata Łukomskiego jako prezesa, Jana Suchowiaka jako wiceprezesa i ks. Walerego Adamskiego jako sekretarza. Za zadanie wytknęło sobie P. T. P. zajmowanie się sprawami wychowania i nauczania w najszerszem znaczeniu, uprzystępnianie wiedzy pedagogicznej, rozszerzanie zdro-

wych poglądów na sprawę wychowania dzieci i młodzieży oraz badanie nowych prądów i objawów na tej niwie. Odezwa, wydana miesiąc później, określa już, że celem P. T. P. jest nawiązanie do świetnej działalności komisji edukacyjnej, a także do późniejszej czynności Tow. Pedagogicznego z roku 1848, oraz przygotowanie podstaw i programu wychowania narodowego, aby idące ku nam czasy nie zastały nas bezradnymi. Pod odezwą podpisani są prócz powyżej wymienionych 3 osób jeszcze: pp. Czesław Andrzejewski, Paulina Cegielska, Dr. Dobrzyńska-Rybicka, Helena Kozłowska, Prof. Dr. Józef Łęgowski, ks. proboszcz Maliński, Antoni Nowakowski, emeryt, ks. kanonik Prądzyński, Zofja Rzepecka, hr. Sierakowska z Waplewa, Aleksandra Słomińska, prof. Dr. Michał Sobeski, Zofja Sokolnicka i Marja Swinarska.

Czynni nauczyciele nie mogli wtedy jeszcze należeć do Towarzystwa, a to z powodu zakazów rządu pruskiego. Mimo to liczba członków rosła z każdym dniem (dziś liczy 1700). Powszechne Towarzystwo Pedagogiczne wyłoniło z siebie oprócz innych komisyj, jak redakcyjnej, odczytowej, kursów licealnych, także Wydział szkolny z podkomisją dla spraw szkół ludowych i obywatelskich (wydziałowych) i osobną dla spraw szkół średnich. Dla tych komisyj przybrano nauczycieli szczerych Polaków, jeszcze urzędujących. Dlatego odbywały się posiedzenia komisyjne przez październik i na początku listopada 1918 r. tajnie w mieszkaniach pp. Suchowiaka i prof. Łęgowskiego.

Dopiero po wybuchu rewolucji, od dnia 10 listopada 1918 r. ujawniła się cała praca Powszechnego Towarzystwa Pedagogicznego w Wydziale szkolnym. Jemu też powierzyła Rada Ludowa, a później Naczelna Rada Ludowa sprawę przejęcia szkolnictwa w całym zaborze. Rozpoczęte prace biurowe w jednym pokoiku »Poradni wychowawczej« rozszerzono szybko z zapotrzebowaniem na sześć pokoi.

Przy Wydziale potworzono szersze komisje dla spraw szkolnictwa ludowego, dla seminarjów i preparandyj, dla spraw szkolnictwa średniego męskiego i osobną dla żeńskiego, dalej komisję dla egzaminów i kursów przygotowawczych, dla instytucyj kulturalnych, później dla stworzenia uniwersytetu, dla szkolnictwa zawodowego i komisję podręcznikową. Od nowego roku 1919 Wydział szkolny Powszechnego Towarzystwa Pedagogicznego przeszedł wraz z komisjami pod nazwą »Sekcja (teraz Decernat) dla spraw oświaty i szkol-

nictwa« jako urząd pod bezpośredni zarząd i na etat N. R. L., na której czele stanął Komisarjat, złożony z 6 członków z podkomisarjatami w Bytomiu i Gdańsku.

6. Sejm.

Tymczasem zwołał Komisarjat Polski sejm dzielnicowy do Poznania na początek grudnia 1918 r. Na sejmie tym wyznaczono osobną komisję do spraw szkolnych, która po wyczerpujących debatach złożyła swoje wnioski in pleno w referatach p. Jana Suchowiaka i ks. prałata Łukomskiego, poczem zapadły następujące uchwały:

1. Polski Sejm Dzielnicowy stwierdzając, jak wielką wyrządziła krzywdę narodowi naszemu niemiecka szkoła symultanna czyli międzywyznaniowa, uznaje jako jedynie sprawiedliwą i wolnościową szkołę wyznaniową, łączącą nauczycieli i uczniów tegoż samego wyznania. Tylko taka, sprawiedliwa dla każdego wyznania szkoła dać może jednolity kierunek wychowania, tylko taka szkoła przekazać może dzieciom — obok tradycyjnie polskiej tolerancji dla każdego wyznania — silny, zdrowy i niezmącony pogląd na życie i świat.

Wobec ważności religji dla życia jednostek i społeczeństwa, powinna nauka religji zajmować w planie szkolnym należne jej miejsce, a udzielanie jej i nadzór nad nią powinny dzierżyć władze kościelne odnośnych wyznań.

2. Polski Sejm Dzielnicowy stwierdza, że w interesie rodziców, dziecka i dobra ogółu konieczny jest pewien stopień ogólnego wykształcenia i oświadcza się za tem, aby państwo polskie zaprowadziło ogólny przymus uczenia się i zdobycia sobie wiedzy dla każdego dziecka od 7—14 roku życia.

Państwo ma obowiązek dbania o zakładanie bezpłatnych szkół publicznych, utrzymanych z podatków szkolnych, pobieranych przez państwo.

Państwo powinno mieć nadzór nad tem, aby szkolnictwo polskie publiczne i prywatne stało zawsze na wyżynie swego zadania. Państwo ma prawo żądania, by szkoły wszelkie kształciły i wychowywały młodzież na światłych i dzielnych obywateli.

Państwo, szanując prawa i swobody jednostki rodzin, ma prawo i obowiązek wkroczenia i oddania sprawy wychowania młodzieży w ręce osób lub zakładów odpowiednich, o ile rodzice nie mogą wypełnić zadania swego lub je zaniedbują z własnej winy.

3. Polski Sejm Dzielnicowy uznaje zgodnie z prawem przyrodzonem, że rodzice są pierwszymi i naturalnymi wychowawcami swych dzieci, że państwo nie jest jedynie uprawnionym czynnikiem wychowania, że szkoła tylko wyręcza i zastępuje rodziców we wielkiem tem dziele. Rodzicom przeto przysługuje prawo wyboru szkoły publicznej czy pry-

watnej dla swych dzieci. Rodzicom też należy się przez Radę rodzicielską odpowiedni wpływ na szkolnictwo. Polski Sejm Dzielnicowy stwierdza, że dzieci wszystkich stanów powinny mieć drogę otwartą do wyższych szkół, w czem decyzja ma być zależna od zdolności dziecka.

Zgodnie z zasadami wolności Polski Sejm Dzielnicowy zapewnia rodzicom poparcie słusznych i sprawiedliwych ich praw i to rodzicom wszystkich narodowości, należących do państwa Polskiego.

4. Polski Sejm Dzielnicowy, uznając w całej pełni znaczenie światłego i pełnego poświęcenia stanu nauczycielskiego, postanawia popierać go pod względem naukowym, społecznym i ekonomicznym. Wykształcenie i wychowanie nauczycieli powinno się stale pogłębiać, zdolnym i dążącym naprzód nauczycielom należy otworzyć możność osiągnięcia wyższych stanowisk w kierownictwie szkół, przy nadzorze szkolnym i przy administracji szkolnictwa. Inspektorami obwodów szkolnych powinny być osoby odpowiednio do tego urzędu naukowo i pedagogicznie przygotowane i mające po za sobą praktykę szkolną. Przy urządzaniu i rozbudowywaniu szkolnictwa przysługiwać powinien nauczycielstwu głos i wpływ odpowiedni.

5. Polski Sejm Dzielnicowy żąda jak najrychlejszego naprawienia krzyczącej niesprawiedliwości, jaka przez długi szereg lat spotykała dzieci polskie na Śląsku, w Księstwie, w Prusach Książęcych i Królewskich przez to, że wykład nauki szkolnej nie odbywał się w języku ojczystym.

Sejm protestuje przeciwko dalszemu nadużywaniu szkoły i dzisiaj jeszcze w celach germanizacyjnych.

Polski Sejm Dzielnicowy domaga się usilnie, by przy spolszczeniu szkolnictwa nie obniżano poziomu wykształcenia i wychowania młodzieży. Dlatego też w szkołach mianowicie wyższych — przejściowo i tymczasowo tylko — toleruje się wykład niemiecki w niektórych przedmiotach, dopóki dotkliwy brak odpowiednich sił nauczycielskich nie zostanie usunięty.

7. Nauczycielstwo ludowe.

Już w listopadzie 1918 roku wyszła z Powszechnego Towarzystwa Pedagogicznego odezwa do czynnych nauczycieli Polaków, aby się zrzeszali w towarzystwa. Jako pierwsze utworzyło się »Stowarzyszenie nauczycieli na miasto Poznań i okolicę«. Wnet powstały po powiatach dalsze, a już 28 grudnia 1918 roku zjechało się na wiec 2000 nauczycieli Polaków, który uchwalili i dokonali założenia »Związku Dzielnicowego Stowarzyszeń Nauczycieli Szkół Ludowych Polaków dotychczasowego zaboru pruskiego«. Związek ten pozostaje w łączności organicznej z Powszechnem Towarzystwem Pedagogicznem.

Odtąd nauczyciele Polacy odrazu wzięli się samorzutnie do polszczenia szkół, gdzie tylko mieli wolną od Niemców rękę, choć

Zarząd szkolny niemiecki opierał się, jak mógł, każdej zmianie, na korzyść polskości podejmowanej.

8. Wejście do zarządu szkolnego.

Gdy po przewrocie 10 listopada 1919 roku nastały Rady Żołnierskie i Robotników, które w Poznańskiem powoli, lecz coraz więcej się polszczyły, wymogła od nich Rada Ludowa ustanowienia decernentów Polaków, oraz doradców przy różnych urzędach celem obrony interesów ludności polskiej.

Takimi decernentami dla szkolnictwa w Poznaniu mianował d. 20 listopada 1919 poznański Wydział Wykonawczy Rady Robotników i Żołnierzy ks. prałata Łukomskiego, profesora Łęgowskiego i Jana Suchowiaka. Natychmiast po odebraniu tego dokumentu udali się mianowani (jako pierwsi Polacy) do gmachu regencji Poznańskiej, przedstawili się Naczelnemu Prezesowi Einsenhardt Rohte i panu Prezesowi Regencji Dr Kirschsleinowi, oświadczając, że obejmują urząd celem czuwania nad interesami szkolnemi ludności polskiej. Od dnia następnego zaczęli działać p. prof. Łęgowski w Prowincjonalnem Kollegjum Szkolnem, jako decernent dla spraw szkolnictwa średniego, a p. Suchowiak przy oddziale drugim regencji, jako decernent dla szkolnictwa ludowego. Ksiądz Łukomski zaś objął zarząd Sekcji szkolnictwa przy N. R. L.

Już przed dniem 27 listopada 1918 r. wystosował p. Suchowiak pisemny memorjał do ministra na ręce regencji o polską naukę dla polskich uczniów. Regencja i Berlin ustępował tylko krok za krokiem. Z początku ofiarowano nam tylko wykład religji dla dzieci polskich w języku ojczystym i tylko 1 lub 2 godziny polskiego na stopniu średnim i wyższym; później 6 godzin i na to też dano pozwolenie. Pan Suchowiak nie ustępował w żądaniu całkowitego polskiego wykładu wszystkich przedmiotów szkolnych, mianowicie też na stopniu najniższym. Były o to nieustanne prawie utarczki na papierze i na słowa w konferencjach z radcami.

Celem lepszego skonstruowania chociaż częściowej już nauki polskiej mianował p. Suchowiak nauczycieli Polaków, jako doradców dla trzech inspektoratów szkolnych i dla wszystkich rektorów szkół poznańskich. Wywołało to między nauczycielami niemieckimi opór, który przecież wnet ustąpił.

Taki stan rzeczy trwał przez grudzień. Ministerstwo oświaty w Berlinie wreszcie oświadczyło w dekrecie z 31 grudnia 1918,

U. III. A. 1420, że się godzi na całkowity wykład religji i na naukę polskiego aż do 6 godzin tygodniowo dla polskich dzieci w szkołach na stopniu średnim i wyższym, i to nietylko w prowincji Poznańskiej, lecz także w obwodach regencyjnych: Gdańskim, Kwidzyńskim i Opolskim.

9. Opanowanie władzy.

Tymczasem wypadki po przyjeździe Paderewskiego do Poznania sprawiły, iż już w dniu 27 grudnia 1918 zaczęli Polacy siłą zbrojną obejmować władzę w Poznaniu i na prowincji, a 9 stycznia 1919, po ustąpieniu Rady Robotników i Żołnierzy, zatwierdził od siebie Komisarjat Naczelnej Rady Ludowej dotychczasowych doradców i decernentów w urzędzie. Pan Suchowiak zaczął zaraz pomniejszać władzę inspektorów powiatowych, dodając im wszędzie fachowych doradców Polaków. Były w tym względzie niemałe trudności, ponieważ po powiatach powstałe Rady Ludowe objęły już były w swój zarząd także szkolnictwo. Pertraktacje więc o przejęcie zarządu szkół przeciągały się w niektórych powiatach aż do kwietnia. Powoli usuwaliśmy niemieckich inspektorów powiatowych, a w ich miejsce obejmowali zaraz zarząd inspektoratu poduczeni już doradcy, jako zastępcy inspektorów. I tak się to udało, że już na dzień św. Wojciecha (23 kwietnia) można było zwołać do regencji w Poznaniu wszystkich polskich doradców i zastępców inspektorów szkolnych na pierwszą konferencję polską z całego obszaru Wielkopolski, przez nasze wojska zajętego. W końcu maja już tylko 8 na 54 inspektorów szkolnych pozostało niemieckich, z polskimi doradcami (dziesięciu jest jeszcze poza linją demarkacyjną).

Tę zmianę ułatwiło to, że urząd naczelnego prezesa objął w połowie stycznia pan mecenas Trąmpczyński, późniejszy marszałek sejmu polskiego, a urząd prezesa regencji pan Dr Witold Celichowski. Komisarjat mianował zaś dnia 11 lutego 1919 p. Suchowiaka dyrektorem oddziału szkolnego w miejsce usuwającego się do Bydgoszczy nadradcy Schillinga. Radcy zaś szkolni powoli odeszli prócz jednego wszyscy; na ich miejsce mianował Komisarjat decernentów Polaków.

10. Polszczenie szkół.

Aż dotąd polszczenie szkół było tylko częściowe i tam możliwe, gdzie nauczyciel Polak sam je z własnej woli przeprowadzał szerzej,

niż władza mu pozwalała. Dopiero po objęciu władzy przez p. Trąmpczyńskiego możliwem było wydanie zasadniczego rozporządzenia o przemianie ustroju szkół [1]). Dokument ten, noszący datę 25 stycznia 1919 r. brzmi jak następuje:

W sprawie reformy szkolnictwa w prowincji Poznańskiej rozporządza się w porozumieniu z Komisarjatem Naczelnej Rady Ludowej tymczasowo co następuje:

1. Znosi się rozporządzenie Naczelnego prezesa prowincji Poznańskiej z dnia 27 października 1873 roku (Zentralblat f. d. ges. Unt.-Verw. rok 1873 str. 486/90), oraz wszelkie inne zarządzenia, ograniczające lub wykluczające język polski ze szkół, zarówno z których wyszły urzędów.

2. Zasadą naczelną jest: zapewnienie polskiej nauki jako podstawnej dla dzieci polskich, niemieckiej zaś dla dzieci niemieckich.

Dotychczasowy podział szkół podług wyznań należy zatrzymać, a szkoły symultanne o ile możności rozdzielić na wyznaniowe. Rodzicom bezwyznaniowym pozostawia się wolny wybór szkoły, bez przymusu nauki religji dla ich dzieci.

3. a) Dla uczniów i uczenic polskich będzie język polski wykładowy we wszelkich szkołach ludowych, obywatelskich i im równorzędnych, tak katolickich jak i ewangelickich.

b) Języka niemieckiego udziela się tylko jako przedmiotu nauki w szkołach cztero lub więcej klasowych tygodniowo w 3 do 4 godzinach, na stopniu średnim i wyższym.

c) Wynikająca z powyższego reforma szkół wejdzie w życie natychmiast i wszędzie tam, gdzie są nauczyciele i nauczycielki, władające d o b r z e językiem polskim, lub gdzie inne odpowiednie siły nauczycielskie, narazie choć tylko pomocnicze, pozyskać można.

Jako siły pomocnicze uważa się nauczycieli emerytów, osoby z maturą seminaryjną lub z pozwoleniem regencyjnem na nauczanie domowe czy prywatne, freblanki, wreszcie i takie, które zdały osobny, w tym celu wyznaczony egzamin.

d) Tam, gdzie na razie polskich sił nauczycielskich nie dostaje, zaprowadzić należy przedewszystkiem całkowity wykład religji w polskim języku ojczystym, dalej na stopniu niższym całą naukę w języku polskim, a na stopniu średnim i wyższym conajmniej 6 godzin tygodniowo nauki języka polskiego, bez podwyższenia ogólnej liczby godzin tygodniowych.

e) O przygotowanie powyższej przemiany jako też o pozyskanie polskich sił pomocniczych postarać się należy corychlej, tak, aby z nowym rokiem szkolnym zarządzenia, odnośnie do ustępu 3 a i b, wykonane być mogły.

Koszty wszelkie, stąd powstałe, ponoszą kasy szkolne.

---

[1]) Głównie dzięki inicjatywie p. Suchowiaka (Przypisek autora).

4. Powyższem rozporządzeniem nie narusza się w niczem nauki dzieci niemieckich w ich języku ojczystym.

Dozory szkół niemieckich (katolickich, ewangelickich lub żydowskich) mogą zaprowadzić w swych szkołach język polski jako przedmiot nauki obowiązkowy lub nieobowiązkowy.

5. Dotychczasowy ustrój szkół, ich cele, plany i rozkłady nauk pozostają aż do dalszego na ogół te same, z zastrzeżeniem późniejszych zmian w nauce geografji i historji powszechnej.

6. Od przyszłego roku szkolnego rozpoczyna się obowiązek uczęszczania dopiero z ukończonym siódmym rokiem życia.

Kierownik szkoły może wszakże przyjąć na życzenie rodziców już sześcioletnie dziecko, o ile je uzna za dostatecznie cieleśnie i umysłowo rozwinięte.

Zaleca się natomiast urządzenie dla dzieci przedszkolnych ochron, względnie ogródków freblowskich, opłacanych z funduszów gminy politycznej.

7. Językiem urzędowym jest odtąd dla szkół obok niemieckiego, także polski.

Na podania władze odpowiadać będą z reguły w tym języku, w jakim je wniesiono.

Podług tego rozporządzenia nastąpił w Wielkopolsce rozdział szkół na polsko-katolickie i niemiecko-ewangelickie, a w drobnej liczbie także na polsko-ewangelickie szkoły. Od nowego roku szkolnego, to jest od 1 maja 1919, odbywa się we wszystkich szkołach polskich cały wykład po polsku. Tylko sprawa drobnych mniejszości narodowych nie wszędzie jeszcze po szkołach dała się przeprowadzić; i nad tem się pracuje.

Natomiast dość radykalnie postąpiła regencja, usuwając od dalszej działalności germanizacyjnej około 1400 nauczycieli Niemców, nie mówiących i nie chcących się nauczyć po polsku.

Nie dzieje się przez to nauczycielom Niemcom krzywda materjalna, gdyż rząd pruski wypłaca im przez filję »Deutsche Bank« w Poznaniu nadal wszystkie ich pobory. A co do opuszczenia mieszkania porobili im Polacy znaczne ustępstwa. Zresztą wielu z Niemców nauczycieli chwyta za tę sposobność, by teraz z pomocą Berlina dostać się na lepsze posady w Niemczech.

11. Siły nauczycielskie.

Przez tak liczny odpływ nauczycieli obniży się narazie szkolnictwo, lecz co do nauki samej braki wnet wypełni łatwość wykładu w języku ojczystym. Luki, przez opuszczających nas Niemców uczy-

nione, zapełniają już teraz siły ochotnicze i pomocnicze: panie z dworów i inteligencja miasteczek, emeryci i świeżo poduczone na kursach osoby, przeważnie panie i panienki. Egzamin stwierdza, czy się do nauczania w szkole nadają. Na 10 kursach kształci się około 600 przyszłych pomocników w przeciągu roku, a dalsze kursy jeszcze tworzyć się będzie. Regencja otworzyła w maju cztery polskie seminarja nauczycielskie i dwie preparandje, razem z 554 uczniami i uczennicami. Powołuje się ukwalifikowane siły z Galicji i Kongresówki, dzieli się szkoły na południowe, łączy się klasy równoległe, urządza się naukę zastępczą przez nauczycieli z wsi pobliskich.

Gdy w dniu św. Stanisława (8 maja) minister Łukasiewicz po zwiedzeniu kilku szkół i kursów poznańskich powiedział nam, iż zastał więcej polskości w naszych szkołach niż się spodziewał, wyraziliśmy nadzieję, że o własnych siłach moglibyśmy w Wielkopolsce ogarnąć całe pole szkolnictwa najdalej w przeciągu dwóch lat. Oświadczenie zaś p. Ministra umocniło nas w naszej dotychczasowej polityce szkolnej na drodze dalszego postępowania, aby nauczyciele i uczniowie w szkołach wielkopolskich byli zawsze »Polakami nietylko z języka ale i z ducha«!

(Dok. nast.).

Dr. K. Krotoski.

Wojna rządu rosyjskiego z Matką Boską w powstaniu styczniowem.

Powstanie styczniowe stanęło pod sztandarem religji. Poprzedził je ruch mistyczny 1861, owa mianowicie dziwna rewolucja moralna i owe dziwniejsze jeszcze manifestacje kościelne. Charakter też powstania styczniowego różni się od listopadowej burzy tym właśnie religijnym nastrojem. Pod tym względem zbliżają się straceńcy sześćdziesiątego trzeciego bardziej do rycerzy barskich. W rzeczy samej, jak trudno jest sobie wyobrazić oddziału listopadowego wojska bez poważnej liczby libertynów o nadsekwańskim światopoglądzie, tak dziwnie razić będzie »styczniowiec« nie mający szkaplerzyka na szyi.

Powstanie listopadowe ukuto w masońskich kuźnicach; na okres powstania styczniowego wróciła z przed stulecia nieomal fala mistycyzmu, wróciły czasy Wernyhorowych proroctw i Markowych wizyj. Wraz z wizjami, wraz z całym aparatem cudów, a nawet z charakterystycznym kazaniowym, dosyć sztucznym językiem odezw i całej bodaj ówczesnej mowy, powrócił wielki, decydujący wpływ duchowieństwa i ogromny pociąg do nabożeństw i kościołów.

Nic też dziwnego, że przypomniano sobie skwapliwie — jak i w konfederacji barskiej, — kto jest naturalnym, »prawnym« opiekunem narodu, przypomniano sobie o posiadaniu w niebie własnej Królowej, która w potrzebie mogłaby stanąć na czele wojska, jako duchowa polska Hetmanka. W rzeczy samej, Najświętsza Panna odegrała przed półwiekiem, po raz w dziejach dotychczasowych ostatni, rolę wojenną. Lecz wojna ówczesna, nawet w przekonaniu samych walczących, skazana była na klęskę; zawczasu bohaterowie jej przygotowali się do męczeństwa raczej, niż do laurów zwycięskich. To też i pieśni do Matki Boskiej zmieniły dawniejszy charakter. Śpiewali rycerze barscy:

»Łamie Szwedom pyszne karki,
Gustawowskie kruszy barki
Marja Panna...
Chciwość skarbów niepojętą,
Drewiczowską złość zawziętą —
Zbiła Marja« [1]).

Teraz, w powstaniu styczniowem, mowy o czemś podobnem nie było; teraz błagano tylko wśród jęku i łez o zmiłowanie, nie określając nawet bliżej, jakiego mianowicie cudu oczekiwano od królowej Polski:

»Matko Chrystusa, Najświętsza Marya,
Z jękiem przychodzim do Twego ołtarza«...

— były słowa rozpowszechnionej pieśni. A dalej:

Odsłonim piersi na strzały, pałasze,
Niech nam Ojczyznę okupi ofiara«.

I w symbolice powstania styczniowego nie słychać nic o rynsztunku Najświętszej Panny. Być może, iż w wyobraźni ówczesnego ludu odziała się Ona w czarne krepowe zwoje — jak kobiety tamtego roku; być może, umiała się Ona zjawiać nad cytadelą, lub nad szubienicami; to pewna tylko, że ci »chłopcy, co poszli w bój bez broni«, a bardziej jeszcze ich matki, siostry, narzeczone szyjące konfederatki i skubiące szarpje, serdeczniej niż przedtem odczuwały potrzebę uciekania się pod szczególną opiekę Tej Orędowniczki.

Więc powtarza się Jej imię ogromnie często w ówczesnych pieśniach patrjotycznych, więc święta Jej odznaczane bywają manifestacjami zakrojonemi na szeroką skalę; więc większa część sztandarów jaśnieje obok Orła i Pogoni haftowanym Jej wizerunkiem; więc przed Jej ołtarzami skupiają się wyjątkowo liczne rzesze pobożnych.

O kult Najświętszej Panny zahaczają i ostre zatargi z rządem. Maj roku 1861 i 1862 — to miesiące najsilniejszego naprężenia nerwów u ludu i policji. Statua Matki Boskiej na Starem Mieście, iluminowana rzęsiście, ściąga tłumy podniecone, nastrojone wojowniczo, intonujące pieśni kościelno-bojowe, pieśni owych czasów; sfery zamkowe nakazują pogaszenie i usunięcie różnokolorowych lampek i zaprzestanie nadal drażniącej iluminacji. W roku 1862, kiedy rząd

[1]) Rękopis Ces. Bibl. Publ. w Petersburgu, sygn. Polonica, Quarto XIV, N. 119.

zdenerwowany do najwyższego stopnia nieznajomością planów władzy tajnej, oczekuje wybuchu z godziny na godzinę, — zbliżający się okres nabożeństw majowych uznany zostaje za przypuszczalny termin powstania; na miesiąc ten konsygnowane są pułki z prowincji do Warszawy, przedstawiciele zaś rządu nie ukrywają nawet przerażenia na myśl o nieuniknionym szeregu krwawych starć. A pieśni do Najświętszej Panny w coraz to nowych odmianach, drukowane i litografowane bez liku modlitwy, obrazki Jej z Orłem i Pogonią zasypują i Warszawę i całą Polskę kongresową.

Za najgroźniejszego wroga poczytywali wtedy Rosjanie Matkę Boską Częstochowską. Najmocniej w Polsce ukochany obraz, pamięć na rolę, jaką odegrał w naszych dziejach — pamięć podsycana jeszcze tylu wydawnictwami ludowemi (np. księgarni Dzwonkowskiego), opisującemi obronę Częstochowy przed Szwedami i, jako następstwo tej obrony — wyzwolenia kraju całego z najezdniczego jarzma, te stale wyciągnięte w stronę Częstochowy ramiona rozentuzjazmowanego narodu, wszystko to powodowało, że faktycznie Matka Boska Częstochowska stała się w oczach najezdników przewodniczką »rewolucyjnego elementu«, że dość trafnie może określił w diarjuszu swoim (głupkowaty zresztą) oficerek gwardji Częstochowską Orędowniczkę, jako »główną częstochowską Rewolucjonistkę« [1]).

Wielce pod tym względem pouczającą jest historja skromniutkiego obrazka tej właśnie Częstochowskiej Pani.

Pismo dla kobiet «Tygodnik Mód«, świeżo przemianowane z dawniejszego »Magazynu Mód«, redagowane przez białego demokratę Jana Kantego Gregorowicza, gorącego rzecznika uświadomienia ludu, propaguje wśród kobiet-obywatelek myśl pracy nad »kmiotkiem«, zalecając zbieranie włościan oraz ich rodzin na pogawędki oraz wspólne modlitwy. Pomijając kwestję, czy praca podobna mogła dać jakiś rezultat namacalny, zaznaczam tylko, że wielką w przekonaniu Gregorowicza rolę grać miało między innemi rozdawnictwo obrazka Matki Boskiej Częstochowskiej. Obrazek ów, dołączony do ówczesnego »Tygodnika Mód«, był bardzo marnym sztychem, zaopatrzonym w zwykłą antyfonę. — Wydany w niezliczonej ilości egzemplarzy i po za »Tygodnikiem« sprzedawany w handlu ulicznym po 5, 3 a nawet po 1 groszu, zyskał ten wizerunek u pewnej części ludności powagę i wzięcie zupełnie wyjątkowe: sądzono bowiem, że

[1]) Rękopis. Autora wymienić mi nie wolno.

zawieszony nade drzwiami ma on własność osłaniania domu przed nieszczęściem. Otóż niewinny ten sztych miał odegrać rolę w wysokim stopniu smutną i śmieszną zarazem, a to z powodu ciemnoty osób, wchodzących w skład rządu państwowego.

»Czas« krakowski z d. 3 czerwca 1862 (Nr. 126) zamieścił ciekawą wielce korespondencję, przeprowadzoną między biskupem podlaskim Beniaminem (Szymańskim) a Romualdem Hube. Ustępy, tyczące się obrazka, przytaczam in extenso:

Biskup diecezji Podlaskiej do JW. Dyrektora Głównego prezydującego w Komisyi Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

N. 1005. W Janowie d. 18 grudnia 1861 r.

Doznawszy wielokrotnie w życiu mojem łaskawej i skutecznej nad sobą opieki Najświętszej Bogarodzicy, zaraz po objęciu w zarząd diecezji Podlaskiej, listem okólnym oddałem publicznie cząstkę powierzonej mi owczarni Chrystusowej pod szczególniejszą obronę Tej wielowładnej Pani. Nabożeństwo majowe, które w całej diecezji zaprowadziłem, miało być uwiecznieniem tego publicznego aktu. Pragnąc wszakże tę opiekę Królowej nieba i ziemi widoczną niejako uczynić oczom pobożnego ludu, rozesłałem po całej Diecezji Jej obraz dla umieszczenia takowego nade drzwiami domów, aby wierni synowie Marji przy wyjściu i wejściu do domów, widząc Matkę swoją czuwającą nad ich rodziną, domostwem i majątkiem, pobudzali się do wdzięczności, wystrzegając się czynów i myśli, któreby Ją i Jej Boskiego Syna obrażać mogły.

Zdawało się, że myśl tak święta, kierująca umieszczeniem wspomnianych obrazków, na zawsze uszanowaną zostanie.

Niestety inaczej się stało!

Przesłany w d. 17 b. m. raport proboszcza parafji Garwolin ciężką boleścią napełnił duszę moją. W raporcie tym donosi proboszcz, że młody dowódca 5-ej setni dońskiego kozackiego 18 pułku, stojący w mieście Garwolinie, dopatrzywszy się zapewne w obrazkach jakiegoś politycznego zamiaru, polecił burmistrzowi, aby je z domów zdjąć rozkazał, księży zaś obiecał aresztować, jeśli rozkazom jego zadość się nie stanie. Powolny rozkazom dowódcy burmistrz wysłał policjanta, który mu wszakże od wszystkich mieszkańców jednozgodną przyniósł odpowiedź, że obraz Matki Bożej tylko przemocą odjąć sobie pozwolą. Wówczas kozacy gwałtownie pozrucali obrazki, a te, których dostać nie mogli, potłukli kijami, czy też pałaszami.

Wypadek ten przejął wszystkich prawdziwą zgrozą i boleścią, tembardziej, że do takiego znieważenia żadnego nie było powodu ani ze strony samego obrazu, ani ze strony mieszkańców. Parafjanie Garwolińscy za pośrednictwem swego proboszcza udali się do mnie, jako do swego Biskupa, żądając protekcji, — lecz czyliż Biskup może domagać

się sprawiedliwego zadosyć uczynienia, kiedy nic nie wie, czy w obecnym stanie wojennym fakt obecny za karygodny uznanym zostanie?! Sumienie wszakże i obowiązek pasterski nie dozwalają mi zostawić rzeczonego wypadku bez zawiadomienia o nim JWPana i bez zaprotestowania przeciwko czynowi, który w pojęciu katolickiem mianem świętokradztwa jest oznaczony.

(Podpis) *Benjamin*, biskup.

Dyrektor Główny prezydujący w K. R. W. R. i O. P. do JW. Biskupa Diecezji podlaskiej.

N. $\frac{540}{1294}$. W Warszawie, d. 25 stycznia (6 lutego) 1862.

Otrzymawszy przedstawienie JWPana z dnia 18 grudnia r. z. N. 1005, w przedmiocie usunięcia przez kozaków, stojących w m. Garwolinie, obrazku Matki Boskiej Częstochowskiej, który tameczni mieszkańcy poumieszczali na swoich domach wskutek zarządzenia wydanego przez JWPana po objęciu przezeń zarządu diecezji Podlaskiej, doniosłem JW. p. o. Namiestnika Królestwa. Obecnie JW. jenerał adjutant Lüders reskryptem z dnia 15/27 stycznia r. b. N. 753, dał mi znać, że powziął wiadomości:

1) iż rozporządzenia JWPana, zalecające mieszkańcom umieszczać na swych domach takowy obrazek, wydane zostało przez JWBiskupa nie zaraz po objęciu diecezji Podlaskiej, lecz dopiero w roku zeszłym, po wypadkach, nastąpionych w kraju tutejszym, i że skutkiem tego rozporządzenia, obrazki te rozsprzedawane były w wielkiej ilości, a otrzymywane ze sprzedaży pieniądze wpływały do kasy ogólnej.

(Dalej następuje cały szereg oskarżeń biskupa o działalność antypaństwową).

Celem więc zadosyć uczynienia takowemu poleceniu JW. p. o. Namiestnika Królestwa, mam zaszczyt prosić JW Biskupa o doniesienie mi w jaknajkrótszym czasie:

ad 1) Kiedy mianowicie — to jest którego dnia, miesiąca i roku wydane zostało przez JWPana wyżej wzmiankowane rozporządzenie co do umieszczenia przez mieszkańców diecezji Podlaskiej na swych domach obrazku Matki Boskiej Częstochowskiej, (które to rozporządzenie raczysz JWPan dołączyć w kopji przez siebie poświadczonej, jak niemniej, jaki fundusz zebranym został ze sprzedaży tych obrazków i jakie otrzymał przeznaczenie.

Biskup djecezji Podlaskiej do JW. Dyrektora Komisji i t. d.

N. 155. Janów d. 15 lutego 1862 r.

W odezwie mojej z dnia 18 grudnia r. z. oznajmiłem JWPanu, iż doświadczywszy licznych łask i dobrodziejstw Bożych za przyczyną Najświętszej Matki Zbawiciela, zaraz po objęciu obowiązków biskupa,

siebie i całą trzódkę wiernego ludu Jej szczególniejszej poruczyłem pieczy. Dla zjednania tej opieki, zaprowadziłem w całej diecezji na cześć Królowej nieba i ziemi majowe nabożeństwo, Cześć tę zalecałem zawsze, wszędzie i przy każdej zdarzonej sposobności, a mianowicie wizytując kościoły mojej diecezji, w tym a nie innym celu, gdy w roku zeszłym zakłady litograficzne w Warszawie sprzedawać zaczęły już i dawniej dosyć upowszechnione obrazki Matki Najświętszej Częstochowskiej, po cenie nader przystępnej, bo po jednym groszu, zakupiłem ich najprzód paręset egzemplarzy i duchownym, przybywającym do Janowa rozdawać kazałem z zachęceniem, aby je upowszechniali między parafjanami swymi wraz z nauką, że tam tylko domowi obrazek taki, a raczej przedstawiona na nim Najświętsza Patronka nasza błogosławieństwo Nieba zapewni, w którym ustaną klątwy, kłótnie, pijaństwo i inne wady, cnotom i świętości Niepokalanej Dziewicy przeciwne. Gdy wkrótce sprowadzona przezemnie początkowo ilość tych obrazków okazała się niewystarczającą prośbom i życzeniom moich diecezjan, zakupiłem ich więcej i na ręce dziekanów przesłałem. Rozporządzenia atoli, zalecającego nabywanie ich i umieszczanie na domach nie wydawałem, a pieniądze, o ile ze sprzedaży obrazków po groszu jednym zebrane i mnie częściowo przesłane zostały, odebrałem jako zwrot tego, co na ich zakupienie wydałem.

Nie tu jednak kończą się zawikłania, jakie obrazeczek wywołał. W archiwum, jakie zebrał ówczesny generał-gubernator wojenny warszawski Kryżanowskij, znajduje się maleńki raporcik policyjny bez podpisu, opiewający co następuje:

5/17 marca 1861 r.

3/15 b. m. zauważono na bramie domu Nr. 1253^{a-b} trzy naklejone maleńkie obrazki z wizerunkiem Matki Boskiej.

Wezwany do wytłómaczenia stróż tego domu Grabowski zeznał, że obrazki pomienione otrzymał od zbierającej jałmużnę na klasztor Felicjanek, a to w celu naklejenia ich na bramie domu, jako osłonę przed klęskami.

Do rapotu dołączony był, jako corpus delicti, obrazek w rzeczy samej pokryty klejem ze śladami tynku na odwrocie.

Po nadejściu reakcji, zacierającej wszelkie ślady »polskich tygodni«, i po mocniejszem zaciągnięciu węzła, krępującego prasę, w szeregu środków represyjnych zaczęto między innemi tropić po domach — znowu ten groźny dla całości państwa rosyjskiego obrazek. Skrzętne poszukiwania i masowe konfiskaty przepełniły zbiory komisji śledczej jego egzemplarzami. Wiele z nich, jak ów, który wystraszył p. policjanta, noszą grudki różno-kolorowego tynku, co świadczy, iż w istocie przylepiane były te sztychy do ścian: wszyst-

kie zaś one zapisane są w katalogach jako »wizerunki Matki Boskiej Częstochowskiej z jakąś zagadkową modlitwą«.

W czasach owych nadzwyczajnego rozmodlenia ludu i wyraźnej a bardzo decydującej roli kleru katolickiego, nic dziwnego, iż rząd, zazwyczaj nietaktowny, i tym razem zwrócił front walki nietylko przeciwko duchowieństwu, lecz i przeciwko religji katolickiej; rezultat osiągnięty z takiej polityki łatwy był do przewidzenia: ruchu nie stłumiono, podniecono zaś do najwyższego stopnia umysły ludzi do niedawna względnie spokojnych.

Wojna z duchowieństwem przybrała rozmiary olbrzymie: walczono ze wszystkimi — od arcybiskupa do plebanów wiejskich, od kapituły do klasztorów.

Rozumie się, że jak oczy ludu zwrócone były przedewszystkiem w stronę Jasnej Góry, stamtąd oczekując obrony i opieki, tak i uwaga rządu rosyjskiego w Królestwie koncentrowała się na tem »ognisku rewolucji«, skąd w niepojęty sposób promieniować miała »idea niepodległej Polski«, w cudownym obrazie jakoby zaklęta. Członkowie komisyj śledczych, urzędnicy Rosjanie, policja, oficerowie, żołnierze i cała masa «uśmiritielej« podawała z ust do ust zasłyszane od Polaków dzieje obrony klasztoru z przed lat dwustu; i skojarzenie tego i wielu innych »czynów wojennych Pani Jasnogórskiej« (tak!) [1]) w połączeniu z określonym nastrojem ludu, spowodowało znamienne dla ówczesnego stanu rzeczy uzbrojenie, zrewoltowanie tej Pani i w oczach rządu i w oczach ludu.

Klasztor Paulinów w Częstochowie nie mógł się naturalnie, ostać spokojnie w takich warunkach. Musiały się oń obijać i wymagania powstańców i represje rządu. Opromieniony aureolą Jasnej Góry, nie mógł on, z wolą czy mimowoli, nie odegrać pewnej roli politycznej. Skutkiem tej sytuacji były prześladowania, usuwane niejednokrotnie, dzięki zapobiegliwości przezornych mnichów; było ciągłe baczenie, ciągła naprężona, chorobliwa podejrzliwość względem klasztoru, jego życia wewnętrznego, jego styczności z miastem Częstochową.

Jedną z ilustracyj do tego ostrego nadzoru nad Jasną Górą, będącego także przejawem ówczesnej symbolicznej »Wojny z Najświętszą Panną« — jest załączony urzędowy dokument, pochodzący ze zbiorów pewnego wybitnego członka Komisji wojenno-śledczej

[1]) »Wojennyja diejstwija Jasnogorskoj Pani«.

przy Cytadeli Warszawskiej. Rzuca on ciekawe światło na zatargi zarządu wojskowego z klasztorem, jak również po części i na stosunki wewnętrzne, jakie panowały wśród władz wojskowo-administracyjnych w Królestwie kongresowem.

Tłómacz, o ile to możliwe, zachował właściwości stylu oryginału.

Naczelnik Wojenny południowej części oddziału kolei żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej
N. 464.
17 lipca 1864 roku
miasto Częstochowa

Do
Naczelnika Wojennego Oddziału Głównego Warszawskiego

Raport.

Z chwilą przybycia powierzonego mi pułku do m. Częstochowy, w końcu grudnia roku zeszłego i aż dotychczas nie zauważono ze strony mieszkańców żadnych czynności występnych w znaczeniu politycznem, żadnych agitacyj i manifestacyj, oprócz zdarzających się niekiedy wypadków naruszenia przepisów co do noszenia żałoby i wyraźnego uchylania się wyższych sfer społeczeństwa od brania udziału w spacerach i zabawach publicznych.

Zupełnie tak samo zachowywało się w tym czasie i duchowieństwo katolickie. Nie zauważono żadnych uchylań od wykonywania żądań prawnych, lecz nie widać było jednocześnie i szczególnej sympatji względem rządu państwowego i względem środków, stosowanych przez osoby urzędowe, chociaż wszelako jawnego przeciwdziałania im nie okazywano.

Co się działo w klasztorze Częstochowskim poprzednio, przed przybyciem powierzonego mi pułku, nie będąc świadkiem, napewno nie wiem. Sądząc z okoliczności, że klasztor Paulinów w Częstochowie posiada uwielbiany w całym świecie katolickim cudowny obraz Bogarodzicy i biorąc pod uwagę, że w zwykłym czasie, dla oddania czci cudownemu obrazowi, przybywa tu mnóstwo pielgrzymów zarówno z Królestwa Polskiego jak i z zagranicy, słusznie należy przypuszczać, że i w wypadkach wyjątkowych, — w latach 1860, 1861 i 1862, również zbierały się w Częstochowie tłumy ludu. W rzeczy samej w latach wyżej wymienionych, o ile mi wiadomo z doniesień urzędowych i opowiadań świadków naocznych, charakter owych podróży do Częstochowy był polityczny i wyrażający demonstrację przeciwko rządowi państwowemu, nie zaś chęć pobożną oddania hołdu cudownemu obrazowi.

Według słów ludzi, będących świadkami dokonywanych zaburzeń, z odpowiedzi samych zakonników klasztoru Częstochowskiego, z raportów Naczelników Wojennych przebywających w Częstochowie widać, że niezliczone tłumy ludu, przybranego w strój żałobny, ze sztandarami żałobnemi, ze znaczkami, na których były wyobrażone herby i oznaki

emblematyczne, — poprzedzane nieraz przez swoich księży [1]), wkraczały do Częstochowy i do Kościoła i przed rozmaitemi posągami wyobrażacemi świętych śpiewały zabronione hymny; niezależnie od tego, wygłaszane były kazania i mowy w duchu patrjotycznym.

Jaki udział w tych demonstracjach brał sam Klasztor Częstochowski, wykazać trudno. Osoby rządzące w klasztorze, w rozmowach z nimi o tych czasach, starają się dowieść, że klasztor był obcy wszelkim manifestacjom i zawsze oddany rządowi Państwowemu, lecz nie mając dość siły i poparcia, by móc przeciwdziałać naporowi ogólnego wzburzenia, pomimo woli zmuszony był znosić w swoich murach podobne awantury [2]). Pomimo to, kilka wypadków zanotowanych w aktach za rok 1861, wręczonych mi przez moich poprzedników, wskazują jasno, że w owym czasie klasztor Częstochowski działał również bardzo dwuznacznie, dopóki nie została ulokowana w samym klasztorze rota żołnierzy.

Zdarzenia były następujące:

1) 3-go lipca 1861 roku przybyła z Warszawy kompanja pielgrzymów w liczbie około 400, z przybranemi w żałobę chorągwiami, krzyżami i obrazami. Z kompanją przybył ksiądz i oprócz tego, na Starem Mieście [3]) wyszli na jej spotkanie dwaj klerycy wysłani z klasztoru. Ze śpiewem hymnów zabronionych, kompanja skierowała pochód w stronę klasztoru Jasnogórskiego i następnie, koło jednego z posągów, nie wchodząc jeszcze do klasztoru, wygłoszone zostało kazanie w duchu patrjotycznym.

Kiedy będący w Częstochowie Naczelnik Wojenny pułkownik Alenicz starał się dowiedzieć drogą urzędową, jaki ksiądz mówił kazanie i którzy z pośród kleryków przeprowadzali kompanję do klasztoru, to władza zwierzchnia klasztorna wymówiła się niewiadomością, i dopiero następnie, na usilne domagania pułkownika Alenicza, przeor klasztoru zakomunikował, że przeprowadzali kompanję klerycy Aloizy Bębnowski i Czesław Garwaziński, kazanie zaś wygłosił, rzekomo w przystępie obłędu, ksiądz Eryk Nowacki, który już od dwóch lat, według słów przeora, cierpiał na rozstrój umysłowy. W toku wszakże śledztwa zostało wyjaśnione, że kazanie wygłosił nie Nowacki, lecz inny jakiś nieznany ksiądz; sam zaś Nowacki wskazał [4]) na djakonów: Michała Brzezińskiego i Czesława Garwozińskiego.

2) 4-go kwietnia tegoż roku, ksiądz zakonu Paulinów z klasztoru Jasnogórskiego, Roch Ejsmond, skarżył się przed pułkownikiem Aleniczem, że prześladowano go w klasztorze za to, iż nie mówi dwuznacznych kazań, że sam nie śpiewał zabronionych hymnów i zabraniał tego ludziom świeckim.

3) W ogrodzeniu klasztornem Jasnogórskiem wzniesiono pomnik jednemu z przeorów klasztoru, Kordeckiemu. W roku 1861, gdy pomnik

[1]) t. j. tłumy, nie znaczki.
[2]) »biezczinstwa«.
[3]) w Częstochowie.
[4]) czyli że indagowano człowieka chorego umysłowo.

ten nie był jeszcze odsłonięty, w nocy z 15 na 16 sierpnia zdjęta została z pomnika zasłona, a na głowę posągu włożono zielony wieniec. Wskutek tego, aby zapobiec wzburzeniu, z rozporządzenia ówczesnego Namiestnika i Głównodowodzącego, generał-adjutanta Suchozaneta, pomnik pozostał już odsłonięty.

4) W nocy z dnia 19 na 20 września 1861 roku, herb rosyjski umieszczony na wewnętrznej bramie klasztornej został zamalowany, na jego zaś miejscu ulokowano herb Polski i Litwy. Jednocześnie, ze znajdującej się w korytarzu klasztornym dużej ramy z portretami królów polskich, zostały wyjęte portrety spoczywających w Bogu cesarzów i królów Aleksandra I i Mikołaja I. Kto zniszczył herb rosyjski na bramie klasztornej, nie zostało wykryte, portrety zaś spoczywających w Bogu cesarzów, według wyjaśnień przeora, zostały wyjęte rzekomo w celu odnowienia ramek. Tłomaczenie to było zupełnie bezpodstawne; teraz nawet jest widoczne, że portrety cesarzów Aleksandra I i Mikołaja I zastąpiono nowemi, zmiany zaś ramek nie zachodziła potrzeba, a to dlatego, ponieważ wszystkie portrety królów polskich były umieszczone w jednej ramie.

5) W sklepie księgarskim, znajdującym się w klasztorze, jak wiadomo, sprzedawane były różne zabronione książki i zeszyty z patrjotycznemi pieśniami i hymnami, które, jak twierdzą, były drukowane w drukarni znajdującej się w klasztorze.

6) Jak mi zakomunikował mój poprzednik, pułkownik Ernrot, wielu z pośród zakonników kazaniami swojemi wzburzało lud i pobudzało do powstania, za co też w czerwcu roku zeszłego aresztowano 4 księży, a mianowicie: Baltazara Majewskiego, Ambrożego Fedorowicza, Alojzego Bębłowskiego (!) i Czesława Garwozińskiego. — Zostali oni wysłani do Warszawy, lecz wkrótce pierwsi trzej byli wypuszczeni na wolność i tylko ostatni, który podczas rewizji wyrzucił z okna klasztoru paczkę papierów treści podburzającej, został zesłany do Galicza, w gubernji Kostromskiej.

Zniszczenie herbu rosyjskiego na bramie klasztornej i zdjęcie zasłony z pomnika Kordeckiego zwierzchnicy klasztoru przypisują agitatorom z pomiędzy ludu, wyłączając siebie z wszelkiego w tym względzie udziału. Postępowanie zaś samych zakonników tłómaczą tem, że byli to wszystko ludzie młodzi, pociągnięci przez wpływ krewnych i znajomych, dążący do popularności i marzący, na wypadek zmiany warunków, o zajęciu w hierachji kościelnej stanowiska wyższego nad te, jakie posiadają obecnie. Wnosząc z tego, że ksiądz Ambroży Fedorowicz po wypuszczeniu go z Cytadeli, zapuścił wąsy i brodę i w takim wyglądzie kazał się odfotografować, jest zrozumiałe, że ksiądz ten, wystawiając się jako cierpiący »za Ojczyznę«, szuka popularności, odkładając na bok obowiązki swego powołania. Zupełnie tak samo, jak i przybyły niedawno z Częstochowy ksiądz Jan Kanty Rogalski, któremu zostały odebrane wiersze treści podburzającej.

Jaki był udział klasztoru Częstochowskiego w roku zeszłym w powstaniu zbrojnem, nie wiadomo. Otwartego udziału w buncie nie dowiedziono, lecz niezaprzeczenie, klasztor współdziałał moralnym swoim wpływem, dostarczaniem wiadomości, jak również, prawdopodobnie, i środkami pieniężnemi. Pułkownik Ernrot wyraził mi bardzo silne podejrzenie, że były naczelnik rewolucyjny m. Częstochowy Pigłowski wyjechał zagranicę przed samem aresztowaniem, przy pomocy zakonników klasztoru Częstochowskiego.

Klasztor Jasnogórski, istniejący od wieku XIV, pozostający pod szczególną opieką królów polskich i ściągający bez przerwy tłumy hołdowników, bezwątpienia musi władać ogromnemi skarbami i środkami pieniężnemi, a jednak, zdaje się, klasztor pod tym względem nie jest zbyt bogaty. Należy przypuszczać, że nie bacząc na znaną troskliwość kleru katolickiego o wygody materjalne osobiste, część pieniędzy klasztornych była użytą na podtrzymanie powstania.

W bandach, o ile wiadomo, nikogo z księży [1]) nie było. Jeden tylko ksiądz Antoni Pleszyński, jak zostało wyjaśnione z jednej ze spraw śledczych, sprawując jednocześnie obowiązki wikarego w m. Kłobucku, miał ciągłą styczność z bandami, różnemi organizacjami i sam wysłał do band pewną ilość ludzi. W końcu ksiądz ów ukrył się i dotychczas nie wiadomo gdzie się znajduje. W klasztorze Częstochowskim mówią, że Pleszyński i przedtem znany był jako człowiek złych obyczajów i lekkomyślny, a za swoje zachowywanie się niejednokrotnie podlegał karze kościelnej z rozporządzenia władzy klasztornej.

Z pomiędzy księży starszych wiekiem żaden nie był zamieszany do buntu. Władza zwierzchnicza stara się zawsze dowodzić, że dzięki jakoby ich wpływom, żaden z zakonników do bandy nie poszedł i że ciągle była ona prześladowana za sprzyjanie rządowi państwowemu i za odciąganie młodych kleryków od brania udziału w buncie. O adresie, podanym na imię J. C. M. w kwietniu, mówią jako o rzeczywistem wyrażeniu swych poglądów i uczuć wiernopoddańczych. Mając na uwadze wszystko, mówione poprzednio, wynurzeń tych nie można było wszelako uważać za zupełnie szczere, chociażby dlatego, że zjawiły się one zbyt późno, wynikły w tym czasie, gdy wypadki dowiodły jasno, że powstanie istnieć nie może. Jest rzeczą naturalną, że zarządzający klasztorem uprzywilejowanym, niezależnym od władz diecezjalnych, nie mogli liczyć na polepszenie swej egzystencji, a raczej mogli myśleć, że wskutek zmiany warunków, pozycja ich może się pogorszyć, dlatego to zachowywali się z musu ostrożnie, okazując zewnętrzną pokorę i oddanie rządowi państwowemu, pozostając jednak w pozycji wyczekującej.

Wziąwszy wszystko to pod uwagę, dodać należy, że zarówno klasztor Częstochowski i zakonnicy zakonu Paulińskiego, jak i inne zakony w Królestwie Polskiem, nie były obce powstaniu. Chociaż nie znaleziono w klasztorze Częstochowskim składów broni, chociaż klasztor nie był

[1]) Zakonników częstochowskich.

jaskinią [1]) buntowników, lecz, wziąwszy pod uwagę dwulicowość działalności zakonników i okazywaną manifestacjom opiekę, nie można nie uznać, że klasztor, współczując i popierając buntowników, nie brał czynnego udziału jedynie tylko wskutek wpływu konsystującego w Częstochowie wojska i z obawy utracenia swoich przywilejów, tembardziej, że w klasztorze Częstochowskim skoncentrowany był zarząd wszystkich klasztorów zakonu Paulinów w Królestwie Polskiem.

Podpisał: Fligiel-Adjutant pułkownik *Własow.*
Zgodnie z oryginałem: Audytor *Szaframow.*

Na tem polegała wojna z Matką Boską. W owej walce, w której, jak pisał Hercen, »wojowano z pieśniami i rozstrzeliwano modlitwy«, takie zapasy z obrazem cudownym były najzupełniej naturalne. Dziwna walka z nieuchwytnym symbolem, z nienadającym się do okucia w kajdany Duchem; walka z powiewem polskiego wiatru łopocącego w starych chorągwiach; branie się za bary z powietrzem pól i lasów naszej Ojczyzny; rąbanie szablami grobowcowego kamienia polskiego l i b e r i v e t o; tłuczenie kopytem końskiem polskiej roli — a nadewszystko, szarpanie błękitnego płaszcza »wolną elekcją wolnego narodu« obranej Królowej Nieba i Polski — oto synteza wojny niewolnictwa moskiewskiego z wolnością polską.

Janina Kozłowska.

[1]) »pritonom« — słowo stokroć ostrzejsze od użytego w przekładzie.

Szarzyńskiego Struś—Sienkiewicza Podbipięta.

Już za życia Sienkiewicza, kiedy mianowicie różni przedstawiciele »Młodej Polski«, a szczególnie przedwcześnie zmarły Stanisław Brzozowski, ostrze swej krytyki kierowali przeciwko największemu przedstawicielowi powieści naszej, dawał się odczuwać brak syntetycznego, a szeroko zakrojonego studjum o Sienkiewiczu. Obecnie, po śmierci jego, tem wyraźniej widzi się lukę w naszych badaniach literackich. Boć chyba ani entuzjastyczna praca Józafata Nowińskiego, ani książka Stanisława Tarnowskiego, pisana pod pierwszem wrażeniem wychodzących arcydzieł Sienkiewiczowskich, nie mogą, ani nie chcą uchodzić za studja możliwie wyczerpujące przedmiot dlatego samego, że nie obejmują całego dorobku literackiego Mistrza.

Studjum takie przyniesie nam bezwątpienia przyszłość niedaleka; aby zaś ono odpowiadało wymaganiom nauki współczesnej, potrzeba będzie wielu przyczynków, dotyczących tak życia i psychologji artysty, jak działalności jego twórczej. Autor takiego studjum będzie musiał uwzględnić w wielkiej mierze kwestję pochodzenia pomysłów literackich.

Każdy pisarz bowiem i najgenialniejszy szerokimi loty talentu swego, unosząc się nad rozlicznemi i rozmaitemi krainami wyobraźni obcych, czerpie z nich świadomie czy bezwiednie materjał dla swoich dzieł. Nie uchybia to bynajmniej jego samodzielności, że pomysły jego nie są zupełnie oryginalne, byle je na swój sposób przetrawił i ze siebie wydał, zawierając w nich jakąś wielką wartość bujnej indywidualności swojej. Wiadomą przecież rzeczą, że Wergiljusz opierał się na literaturze greckiej, że tak Chaucer, jak Szekspir pełną dłonią czerpali pomysły swe z literatury włoskiej, Mickiewicz stał kolejno pod wpływem Voltairea, Byrona, Goethego, a szczególnie

Schillera, któremu, jak dowodzi Marjan Szyjkowski [1]), wiele zawdzięcza w tworzeniu najlepszych dzieł swych młodzieńczych. Iluż to genjalnych poetów oddziaływało na wrażliwego Słowackiego, tak, iż swego czasu pomawiano go o brak samodzielności! I Krasiński czerpał wiele z Volney'a, Hegla, Cieszkowskiego.

Ciekawe więc będzie zbadanie i ukazanie wpływów obcych, jakie dźwięczą w twórczości mistrza powieści polskiej. Wpływ może być często nieznaczny, często przyćmiony i mglisty, jak mgliste drogi, po których duch twórczy chadza, — analogja nie będzie zawsze zupełnie ścisła, lecz mimo wszystko nasuwa się, kiedy mianowicie zważy się różne dowody uboczne. Co tu podajemy, niech będzie próbą takiej analogji.

W »Poezjach« Mikołaja Sępa Sarzyńskiego, wydanych ponownie przez Ignacego Chrzanowskiego [2]), uderzają między innemi dwa wiersze, z których jeden już Paprocki w swoich »Herbach« zamieścił. Opisują one waleczność Stanisława Strusia, należącego do sławnego w swych czasach rodu. Wielu Strusiów-rycerzy potykało się przeciw pohańcom, wielu życie zostawiło na polach walki, a chwałę ich głosi pieśń polska. Syna Stanisławowego, Jakóba Strusia, poległego pod Baworowem, opiewa Marjan Kobiernicki w swoich »Trenach« [3]).

Wiersz Sępa Szarzyńskiego, o jaki nam chodzi: »Pieśń VI o Strusie, który zabit na Rastawicy od Tatarów«, zawiera taki opis śmierci walecznego rycerza:

Wnet jako pierzchać nieuczony
Lew, od mnogiej zgrajej będąc oskoczony
I od tysiąc łowców z gotowemi łuki,
Bliższe zagubiwszy, drugie straszy huki;
Wszyscy, wszyscy serca natrzeć nań nie mają,
Tylko mu z daleka rany podawają;
On zemdlon ostatniej już pomsty pożąda
I w kimby ząb martwy zostawić, pogląda.
Tak się Struś sprawował w ostatniej potrzebie,
I sławie i cnocie czyniąc dosyć z siebie,
Padł krwawy, gęstemi przywalon strzałami,
Godny syn ojczyzny mężnymi sprawami! (str. 32).

---

[1]) Schiller w Polsce, Studjum historyczno-porównawcze, Kraków 1915, str. 318.

[2]) Mikołaja Sępa Sarzyńskiego Poezje. Kraków 1913, B. p. p. nr. 66.

[3]) »Treny« Jakubowi Strusiowi, od rąk tatarskich zginionemu, wydał J. K. Gieysztor, Warszawa 1886.

Kończy się podobnie drugi wiersz o Strusiu:

A wszak nietylko we zbrojej,
Jest śmierć i w poduszkach; za Rzeczpospolitą
Dziś padnę ofiarą, da Bóg, znamienitą.
Zwykła to rzecz Strusiom: Rzekłszy ziścił mowę
Szkodą nieprzyjaciół, a swą własną głowę
Położył, gęstemi przywalon strzałami,
Godny syn ojczyzny mężnemi sprawami (str. 33).

Ktokolwiek przeczyta te dwa opisy śmierci zacnego rycerza, odrazu przed oczy mu stanie wielkolud o gołębiem sercu, szarpiący pod dębem Tatarów i Kozaków, jak odyniec psy, które go opadają. I Szarzyńskiego Struś walczy przeciwko »pohańcom« i Sienkiewicza Podbipięta z nimi się zmaga, — i Szarzyńskiego bohater ginie od »strzał pohańca zdradnego« i Sienkiewiczowskiego bohatera wrogowie ubijają strzałami. Podobieństwo między śmiercią Strusia a Podbipięty bezwątpienia jest, chodzi tylko o to, czy Sienkiewicz znał Szarzyńskiego, czy mógł czerpać z niego?

Otóż, znał Sienkiewicz »Poezje«, powiedzmy dokładniej »Rytmy albo Wiersze Polskie« Mikołaja Sępa Szarzyńskiego, rozczytywał się w nich z lubością i nawet napisał rozprawkę o młodziutkim, przedwcześnie zgasłym liryku, o którym już Bielski w swej Kronice powiedział: »byłby doszedł lat swoich, byłby z niego poeta znamienity polski«. Sienkiewicza pracę drukował Tygodnik illustrowany w r. 1869. Tutaj zastanawia się młody krytyk szczegółowiej nad wierszami Sępa o Strusiu, czyniąc poecie nawet zarzut, że jako liryk nie umiał wyzyskać momentu opisowego.

Prawdopodobnie więc silne wstrząsające liryki o śmierci Strusia zapadły głęboko w duszę artysty, może nawet obumarły, jak owo ziarno ewangeliczne, lecz po latach, pod działaniem pamięci twórczej, pod tchnieniem ducha pracującego zakiełkowały ziarna Sępowe i wyniknęły kłosem potężnie szumiącym, jakim jest wspaniały opis bohaterskiego zgonu Longina. A zresztą Sienkiewicz, tak sumiennie zbierający materjał historyczny i językowy do dzieł swoich, iż nazwiska oficerów Zaremby wziął ze spisów współczesnych, zapewne ponownie sięgnął po »Rytmy« Sępa i czytaniem tych wierszy odświeżył promienne wizje pierwszej młodości. Bądź jak bądź analogja między Strusiem a Podbipiętą jest, i jest także prawdopodobieństwo, że Sienkiewicz mógł w opisie swoim wpływowi Sępa podlegać, liryczność wielkiego poety XVI w. zamieniając na potężny opis epicki.

Sienkiewicza duch samodzielny, przepromieniający wszystko bujnym indywidualizmem, nie traci nic ze swej samodzielności, choćby motyw do śmierci Podbipięty zaczerpnął ze Szarzyńskiego, uzupełniając go jeszcze wspomnieniami o męczeństwie św. Sebastjana. Umiał bowiem gorącem uczuciem tak dogłębnie wniknąć w materjał, jaki zastał, przetworzyć w ogniu swej wyobraźni i podać oczom od ciekawości szeroko rozwartym obraz o niepojętej piękności, co wstrząsa duszą patrzącego do istotnych jej głębiń. Bądź co bądź »piękniejszej śmierci, bardziej bohaterskiej, bardziej prostej i świętej, bardziej przejmującej niema może w całej poezji świata«, to scena »jakby wyjęta razem z epopei i z aktów męczeńskich« [1]).

Ks. Nikodem Cieszyński.

---

[1]) St. Tarnowski, Henryk Sienkiewicz, str. 76.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Historja.

Teodor Jeske-Choiński: Historja Żydów w Polsce. Warszawa 1919. Nakładem Kasy przezorności i pomocy warszawskich pomocników księgarskich. Str. 350.

Tak potrzeba nam dobrej historji Żydów w naszym kraju! Chcielibyśmy poznać to mieszkające wśród nas plemię w jego dziejach nietylko dla zaspokojenia teoretycznej ciekawości. Od historji, owej »magistra vitae«, pragnęlibyśmy nauczyć się, jak mamy w praktyce ułożyć nasz stosunek do synów Izraela, nasze z nimi współżycie. Wszak w dziejach swoich każdy naród, każda grupa ludzi odsłania swoje zbiorowe oblicze, daje poznać swą psychę, oznajmia swoją moralną i kulturalną wartość. A jakże naprawdę mało my tych Żydów znamy, chociaż ustawicznie na nich patrzymy, ciągle o nich się ocieramy!

I dlatego z ciekawością i z radością chwyciliśmy za książkę, która obiecuje podać nam »historję Żydów w Polsce«, a która nosi nazwisko zasłużonego w naszem piśmiennictwie autora.

Muszę atoli odrazu wyznać, że przeczytanie tej książki sprawiło mi pewien zawód. Nie dlatego, jakobym nie znalazł w niej rzeczy interesujących lub jakobym nie chciał zgodzić się na ogólną charakterystykę, jaką autor daje żydowskiej duszy. Pod tym względem nie mam nic do zarzucenia. Ale w »historji« spodziewałem się znaleźć coś więcej, niż daje książka Jeske-Choińskiego. Sądziłem, że w pokaźnym tomiku o 350 stronach znajdę i coś nowego i coś więcej ponad to, co już wiedzieliśmy z dotychczasowych publikacyj: zawiodłem się, autor bowiem ograniczył się do podania tego materjału, jaki był wyzyskany już niejednokrotnie, zwłaszcza w różnych uświadamiających i agitacyjnych broszurach. Żadnych źródłowych badań, żadnych nowych doku-

mentów nie odkrył, nie przytoczył. Co więcej, te publikacje, jakie spisał na czterech stronach, jako źródła swej pracy, zestawione zostały przygodnie, bez mozolnych poszukiwań; obok kilku poważnych prac roi się tu od tytułów broszur drobnych o rozmaitej wartości, są natomiast dojmujące luki. Zna n. p. Rohlinga »Meine Antworten«, ale nie natrafił na jego główną pracę: »Żyd według Talmudu«. Nie miał pod ręką nawet naszego ks. Pranajtisa: »Christianus in Talmude Judaeorum«. Wogóle wyjątki z Talmudu przytaczane są podług broszur, z trzeciej ręki. Nie gardząc zasadniczo żydowskiemi pracami, autor nie przytacza prac z ostatnich paru lat, jak np. Kirszrota »Prawa Żydów w Królestwie Polskiem«, Bałabana »Dzieje Żydów w Galicji«, a z zagranicznych Ruppina »Die Juden der Gegenwart«, Lazare'a »L'antisemitisme, son histoire et ses causes«. Ruppina, zdaje się, wspomina gdzieś w tekście, ale zapewne z drugiej ręki. Bądź co bądź wolelibyśmy w pracy historycznej widzieć więcej historycznych utworów, a moglibyśmy darować długie cytaty z Kraszewskiego, Gawalewicza, czy Junoszy.

Brak oryginalnych studjów źródłowych winien temu, że nie znajdujemy dość ścisłych wiadomości o wewnętrznych stosunkach w łonie żydowstwa polskiego. Naprzykład, tak pragnęlibyśmy dowiedzieć się dokładnie, co to są chasydzi, czem się wyróżnia ich nauka od nauki reszty Żydów, w jakim szczególnym stosunku pozostają oni do ortodoksyjnego żydowstwa i do naszego społeczeństwa, — niestety, o chasydach zaledwie mamy jedną stronicę. Autor doprowadza swoją »historję« do ostatnich dni. Dlatego mamy prawo szukać w niej pouczeń ścisłych o wewnętrznych podziałach i zróżniczkowaniach w łonie żydowstwa. Otóż za mało wyraźnie rysuje się nam w książce Choińskiego oblicze sjonizmu, nie wiemy dokładnie, jakich on w naszym kraju ma przywódców, musimy zadowolnić się ogólnikami... Dla orjentacji chcielibyśmy wiedzieć, jaką partję reprezentuje ten, a jaką ów z głośniejszych dzisiaj żydowskich menerów — nic z tego. Wogóle za mało dokumentów, za mało nazwisk, za mało dat, a za wiele powtarzania oskarżeń na Żydów. W rezultacie otrzymujemy nie historję, lecz pracę publicystyczną, agitującą za obroną przeciw Żydom, rozprawiającą się z Żydami i różnymi »żydolubami«.

Ale i od broszury publicystycznej, czy polemicznej żądalibyśmy więcej spokoju. Choiński znany jest jako cięty polemista, rębajło, dosadny w wyrażeniach. Ale w tej książce przeszedł pod tym względem samego siebie. Wskutek tego przeszarżowania książka jego wiele straciła na wartości. Nawet powiem, że po kilku rozdziałach nudzić zaczynają

czytelnika te ciągłe dowcipkowania kosztem Żydów, ironja, sarkazm, pokpiwanie, wciąż te same skargi na przewrotność żydowską...

I jeszcze jedno urazi chrześcijańskiego czytelnika: autor zbyt swobodnie obchodzi się ze Starym Testamentem, w którym wierzący widzą Pismo Święte i historję ludu, rzeczywiście od Boga wybranego. To wybraństwo, nietylko uzurpowane przez Żydów po odrzuceniu ich dziejowem, ale i wtedy, kiedy jeszcze rzeczywiście służyli Bożym celom, autor traktuje jako megalomanję. Biblję niemal na jednej stawia linji z Talmudem... Płaci też wcale niepotrzebnie daninę obozowi ewolucjonistów w historji, kiedy sięga do początków narodu żydowskiego. A mógł to bardzo dobrze pominąć, pisząc historję Żydów w Polsce. Przytem napewno obozu tego nie zadowolni, skoro księgę Estery uważa za historyczną, tylko dlatego, że znajduje tam prototyp »antyżyda« Hamana.

Książkę Jeske-Choińskiego przeczyta z pewnym pożytkiem, kto wogóle nie czytał wiele z historji Żydów, na właściwą jednak »historję« tego narodu w Polsce, wyczerpującą przedmiot, napisaną objektywnie i ze spokojem i godnością uczonego, na taką historję jeszcze czekamy.

Ks. Jan Urban.

Lucyan Rydel: Dzieje Polski dla wszystkich. Z przedmową H. Mościckiego, Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, str. 276.

»Zapatrzony w ideał niepodległej Polski, — zauważa w przedmowie do niniejszych »Dziejów« H. Mościcki — snuł Rydel swą opowieść barwną, prostą a bezstronną i ścisłą«...

Do tej pochlebnej a jędrnej oceny trudno coś nowego dodać. Istotnie autor, jakkolwiek zawodowo nie badał przeszłości ukochanej Ojczyzny, zdołał przecież opanować nawet najnowsze wyniki dociekań innych, streścić je umiejętnie i trafnie ocenić wypadki i ludzi. Zręcznie broni »Króla chłopków« przed zarzutem filosemityzmu (94), z bohaterskiego Warneńczyka ściera plamę krzywoprzysięstwa (106). Pisząc dla ludzi i młodzieży, bo sądzę, że tak trzeba rozumieć owo określenie: dla wszystkich, — nie gardzi pobożną a malowniczą legendą, czy wesołą anegdotą, zgrabnie wplecioną, ale zawsze, choćby jednem słówkiem, ostrzega o jej wartości historycznej. Z lubością maluje znane w literaturze postacie dramatyczne, zwłaszcza niewieście. Zamykając okres, a liczy ich siedm po dobę obecną, jeszcze raz rzuca nań krytycznem okiem i wykreśla linję rozwoju lub kurczenia się narodowego posiadania, wła-

dzy i znaczenia króla, oraz poszczególnych stanów, wskazuje przyczyny owych załamań, wreszcie rozpatruje urządzenia społeczno-gospodarskie, ruch oświatowy i humanitarny. Nie na wszystkie, zdaje się, tutaj wypowiedziane poglądy zgodzi się każdy historyk, choćby n. p. na wszechwładztwo pierwszych Piastów, którego krwawy dokument mamy widzieć w wyroku śmierci na św. Stanisławie (38); owszem wiele z nich, jako wyraz ducha nawskroś katolickiego (10 i nast., 99, 127 i nast.) napewno zwalczać będzie prasa liberalna; zapewne niejedna kwestja, nawet mimo tak ciasnych ram, wymagałaby więcej światła, n. p. przyczyny wojen szwedzkich za Jana Kazimierza, cały wiek XIX i początek XX ulegnie jeszcze licznym poprawkom; mimo to można i należy »Dzieje« nazwać »opowieścią ścisłą a bezstronną«.

Największa atoli wartość owej książki »dla wszystkich« polega na tem, że autor poszczególne zdarzenia i osoby artystycznie wyrzeźbił i ugrupował w jedną, przecudną panoramę, drgającą życiem i ciepłem serdecznego ukochania, że wysnuł »opowieść barwną«. Dość przeczytać takie ustępy, jak pielgrzymka Ottona do Gniezna (14), chrzest Litwy (98), zjazd szlachty na elekcyę (138), wybuch powstania listopadowego (244), żeby się przekonać, iż twórcą tych obrazów — poeta z Bożej łaski.

Opowieść ta zarazem prosta, bo z naiwnością epika tłómaczy prawie każdą nazwę ludów i urzędów, przypomina fakta z dziejów powszechnych, czasem nawet posłuży się gwarą, a zawsze w rytmie opowiadania dzwoni zamaszysty, czasem dowcipny ton gospodarza-bywalca z okolic Krakowa.

W następnych wydaniach należałoby usunąć — nieliczne zresztą — błędy drukarskie, (imsignia 75, prawnie zam. prawne 94, komeszów 144, ziemia zam. ziarno 165; na str. 220 w. 7 z góry po naród, brak wyrazu: wprawdzie); kontynuować treść marginesową (od 263 do końca), odłączyć historyczne dzieje Polski od bajecznych i od ogólnego tła historyczno-geograficznego, a tak zapoczątkowany I. okres ochrzcić odpowiedniem mianem.

Ks. J. Krzyszkowski.

Maciej Wierzbiński: Idea Niemiecka a Polacy. Poznań, 1919. Nakł. Księg. św. Wojciecha, str. VIII. 149.

Broszura ta, pisana z racji berlińsko-wiedeńskiego listopadowego manifestu, pomimo dość odległego czasu powstania i odmiennych warunków niewiele straciła ze swej aktualności, jest bowiem wyrazem głę-

bokiej wiecznie żywotnej polskiej politycznej myśli. Oświetla ona problem pierwszorzędnego dla nas znaczenia — zasadnicze przeciwieństwo interesów i dążności sprusaczonych Niemiec i Polski i powtarza narodowi groźne »memento« w przełomowej chwili jego dziejów. Z bystrością znakomitego obserwatora odkrywa autor wnętrze zbiorowej niemieckiej duszy, aż po rdzeń niemal zepsutej krzyżackiemi wpływami, której najbardziej charakterystycznym rysem jest zachłanny egoizm obok zuchwałej buty. Autor z publicystyczną lekkością wykazuje, jak »idea niemiecka manifestowała się od wieków i manifestuje bez przerwy wobec polskości jako germanizacja i proletaryzacja«, czego najwymowniejszym dowodem jest nieszczęsny Śląsk Górny. Przestrzega przed złudą rzekomych korzyści, jakich spodziewali się niektórzy krótkowzroczni politycy z oparcia o Niemcy, przypominając, że »kto wyrósł na podbojach i grabieży, nadal pójdzie tą samą drogą... kto powstał z niedołęstwa i upadku Polski, będzie starał się nadal utrzymywać ją w pognębieniu i doprowadzić do ostatecznej zagłady, w tem widząc korzyść dla siebie«.

Rzecz wogóle traktowana spokojnie i przedmiotowo, choć tu i ówdzie sporo animozji w ocenie działalności pewnych osób i partyj. Sąd o Poznańskiem może nieco za surowy, zato Królestwo i Warszawa autorowi w zbyt różowych zdaleka przedstawia się kolorach. I jeszcze jedno: autor, tak słusznie chłoszczący egoizm nacyonalistyczny Prusaków, potrafił przecież napisać pod adresem ugodowych polskich polityków: »Polityk, który nie zna pierwszej, kardynalnej zasady polityki, opiewającej, że egoizm narodowy i interes jest bezwzględnym sternikiem państwowym w polityce, robi wrażenie matematyka, nie wiedzącego, że dwa a dwa jest cztery«, czyli inaczej — zaleca swoim, jako najwyższy polityczny dogmat, tenże egoizm narodowy... Że też nie mógł z czem lepszem zwrócić się do tych, których politykę chciał napiętnować! Sądzimy, że tak jasna dla autora zasada »egoizmu« nie powinna być zasadą ostateczną, ani »bezwzględnym sternikiem« w polityce, lecz, że sama jeszcze musi podporządkować się wyższej zasadzie sprawiedliwości, obowiązującej tak całe narody jak i jednostki.

Er.

Henryk Cederbaum: Ze wspomnień polityka. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, str. 54.

Na tle osobistych przeżyć i doświadczeń autora w palestrze warszawskiej mamy dany przezeń przyczynek do charakterystyki wymiaru sprawiedliwości »w one czasy, gdy na ziemi polskiej wymierzał ją dziki

najeźdźca rosyjski«. Wymiar ten, dokonywany pod wpływem polityki rusyfikacyjnej zasnuł oparami cuchnącemi naszą atmosferę, tak że wielkich będzie wysiłków trzeba, iżby je rozwiać, iżby pokolenia młode mogły pełną piersią oddychać czystem Polski powietrzem«.

J. B.

Kaznodziejstwo.

Ks. Józef Winkowski: Egzorty do uczniów szkół średnich. Tom 2. Kraków, Gebethner i Sp. 1919. Str. XII, 316.

Ks. Fr. Zbroja: Przemówienia do żołnierzy. Warszawa, księgarnia Szczepkowskiego, 1919. Str. 134.

1. I znowu w krótkim stosunkowo czasie wzbogaca ks. Winkowski naszą literaturę kaznodziejską nowym tomem egzort do szkolnej młodzieży. Duch serdecznej pobożności, gorącej miłości Ojczyzny, jaki wionie z każdego przemówienia, musi wzniecić tensam ogień w sercu młodzieży. A przyznać trzeba, że autor nawskróś zna tę młodzież. Umie też uderzać w jej szlachetne i najbardziej wrażliwe struny, prowadzić na szczyty ideału iście bożemi szlakami, zawracać ją z błędnych dróg i manowców, podnosić na duchu, stosować zbawienne środki zaradcze. Styl potoczysty, staranny, odpowiadający powadze słowa bożego. Czasem tylko, gdy autor potrąci o słabość i »biedę« człowieka, zdaje się wpadać w sentymentalizm, co jednak przy męskiem wygłoszeniu może nie osłabi podniosłej całości.

Spodziewać się należy, że Egzorty ks. W. oddadzą księżom katechetom tak w doborze tematu (który nic nie pozostawia do życzenia), jak w umiejętnym sposobie przeprowadzenia rzeczy wielką przysługę.

2. Z powstaniem polskiej armji rodzi się i nowy dział polskiego kaznodziejstwa. Ukazał się pierwszy zbiór przemówień do polskich żołnierzy. Tchną one werwą i życiem, stąd też przypuszczać należy, że wywierały na słuchaczach pożądane wrażenie. Tak całość, jak i poszczególne przemówienia, obmyślane starannie, zastosowane do uroczystości kościelnych, czy też narodowych.

Żołnierz winien być bohaterem na polu walki, ale ma być również i bohaterem ducha, winien być nie tylko żołnierzem polskim, lecz zarazem i żołnierzem Chrystusa. Zaszczytne hasło: »Bóg i Ojczyzna« widnieć powinno nie tylko na sztandarach bojowych, ale ma być wyryte głęboko i w sercu polskiego żołnierza. Temu to hasłu winien on być wiernym i w wirze walki i w chwili wypoczynku; ono chlubą

i duszą honoru żołnierskiego, od którego dalekim wszelki brud, korzyść osobista, krzywda, podłe tchórzowstwo. Wzorem takich bohaterów to nasi Sobiescy, Żółkiewscy, Chodkiewicze, Kilińscy. Oto treść, oto cel przemówień autora. Zarzucićby można, że zdąża do tego celu drogą nieco okrężną, rozwodząc się nad pobudkami czysto przyrodzonemi, co przy szczupłem oparciu siły dowodowej na świadectwie Pisma św. może pozbawić przemówienia charakteru słowa bożego.

Styl cięty, opis bogaty, odczucie piękna wysłowienia wielkie. Nie brak miejsc prawdziwie podniosłych, jak np. w przemówieniu na Boże Narodzenie. Księża kapelani wojskowi znajdą w zbiorku przemówień ks. Z. wielką pomoc, dlatego też gorąco je polecamy.

Ks. A. Ż.

Z poetyckiej niwy.

Bronisława Ostrowska: Pierścień życia. Warszawa. Nakładem Kasy Przezorności i Pomocy warszawskich pomocników księgarskich. Str. 86.

Pierwszy swój występ literacki święciła poetka — o ile mi wiadomo — już przed kilkunastu laty, wydając: »Opale« (Warszawa 1902). — Po nich po dłuższem milczeniu ukazują się: »Poezye, Chusty ofiarne, Aniołom dźwięku, a w czasie wojny: Z raptularza i ABC Polaka pielgrzyma. Przyswoiła także ojczystej literaturze kilku liryków francuskich (2 tomy), oraz Schroba i Wilde'a. Obecnie, możnaby się spodziewać, że pragnie dać syntezę swych wierzeń i umiłowań, przekutych w »Pierścień życia«, który opowiada o zrękowinach przyrody, kultury i sztuki z człowiekiem, a człowieka z Bogiem.

Na usta moje Pan położył słowo,
Jako przymierza pieczęć szmaragdową...
I zatlił serce skrą łask i poskromień
W adoracyjny miłowania płomień.
I oto wiem już, żem idąca społem
Z kwiatem, kamieniem, człowiekiem, aniołem,
Żem — z Wszystkiem Jedno, — i jedna mi droga:
Przez mroki i ogień do Światła i Boga (83.)

Piękna myśl przewodnia! — Czy także jej uzmysłowienie?

Przejaskrawienie barw i zgiełk niezharmonizowanych półtonów — oto błędy naśladowania w technice Miriama czy Staffa. Wskutek tego widzimy: »sakramentalnych chmur świetliste łona« (47), słyszymy »eks-

tatyczne żab i świerszczów chóry« (60), dowiadujemy się, że »w wszystkich zbożach Hostya wciela się Słowu« (69), a »w świętości kroczą woły« (26). W twórczości śpiewaczki »Opali« i »Aniołom dźwięków« nastało jakieś chwilowe omdlenie. Króciuchnych wierszyków zwrotki układają się najczęściej już tylko w powszedni czterowierszowy przekładaniec o rymach niezbyt wykwintnych; czasem jest to tylko assonancja, n. p. szedł — het (18), śmierć — sieć (79), kit — kwitł (39). Spotkać można również takie »poetyckie swawole«, jak »w rózświetlach — na mietlach«, »alleluje — całuje« (12 i 44). A szkoda, bo autorka złożyła już liczne dowody, że naprawdę słyszy i najcichszy szept ducha przyrody, — słabiej swoją własną duszę — z uśmiechem wita i najbledszy promyk i splata wszystko niby ogniwa w pierścienny łańcuch wszechżycia.

Ks. J. Krzyszkowski.

Z francuskiej literatury powojennej.

Maurice Barrès: «Le suffrage des morts». Paris, 1918.

Odradzająca się po wojnie Francja otacza pamięć poległych w jej obronie braci swych pełnem gorącej wdzięczności wspomnieniem. Wymowny tego wyraz znajdujemy w książce Barrès'a, zwłaszcza w tym rozdziale, który dał nazwę całemu dziełu. Od wybuchu wojny — mówi autor — zginęły tysiące Francuzów, którzy o wiele więcej byli warci od tych, którzy pozostali. W ciszy swego sumienia niejeden mówi sobie, że mierni i słabsi przetrwają, a najlepsi w narodzie spoczęli pod ziemią, której bronili. Co uczynimy dla nich? — Najsłynniejszym postawimy pomniki na placach publicznych, innym na cmentarzach. Jakże zimny ten marmur czy spiż i te szumne napisy! jakże niewystarczające do zaspokojenia tej chęci głębokiej, by uwiecznić ich pamięć! Umarli oni, ale winni żyć godni we wspomnieniu tych, których kochali. Czy pozwolimy, aby ci zmarli, lepsi od nas, których głos słyszeć będziemy do końca życia, czy pozwolimy, aby zamilkli zupełnie i nie wypowiedzieli swego słowa w dziele odrodzenia ojczyzny, którą zbawili? Zawdzięczamy im całe nasze istnienie rzeczywiste, fizyczne i moralne. Bez ich ofiary, Paryż i jego skarby byłyby przepadły dla nas, a my bylibyśmy zrujnowanymi niewolnikami. Jeżeli kiedy oddziaływanie zmarłych na żyjących okazuje się widocznem, jeżeli kiedy można nad grobem głosić, iż ci, co w nich spoczęli, są panami życia, to stało się to z bohaterami, którzy złamali potęgę Niemiec. Im zawdzięcza świat, że nie został zger-

manizowany; polegli nad Marną są jego zbawcami. My będziemy żyli z ich ofiary, przykład ich dalej nas uczyć będzie. Dlaczegoż nie mieliby oni prawa wypowiedzenia swej rady i woli, jak inni obywatele Francji, którzy im wolność ojczyzny zawdzięczają?

Barrès stawia wniosek, aby mogli głosować. Lecz jak?

— To niemożliwe, powiedzą niektórzy — umarli nie istnieją i sprawy żyjących już ich nie obchodzą.

— To nieprawda, odpowiada im autor, gdy chodzi o tych, którzy zbawili ojczyznę. Oni żyją niejako wśród nas, w naszych myślach. Najlepsza ich cząstka żyje w ich towarzyszach broni i w kobietach, które ich opłakują i którym oddajemy ich krzyż zasługi. Wdowę, matkę, ojca czy syna żołnierza poległego, uszlachetnia ich żałoba; zda się, jakby dusza zmarłego wstąpiła w ich dusze. Niewątpliwie śmierć tego, który ginie za ojczyznę, budzi nowe uczucia i myśli; one należą do zmarłych bohaterów.

Barrès żąda, by mogły się wypowiedzieć i podaje słowa z listu pewnej wdowy, której męża rozstrzelali Prusacy: »Pragnę, by Francja korzystała z tej siły, jaką mój drogi mąż przelał we mnie«. I stawia autor wniosek, aby wdowy żołnierzy, którzy zginęli na polu chwały, dziedziczyły prawo głosu tego obywatela, który już sam przemówić nie może. Wnosi dalej, aby ojciec syna nieżonatego otrzymał prawo jego głosu obok tego, jaki sam posiada. Jeżeli zmarły nie pozostawił żony, ani ojca, niech ma zań prawo głosu matka, skoro dała Francji obrońcę. Wywody swoje kończy Barrès w następujących słowach: »Przedkładam dziś samą myśl, myśl prawa głosu zmarłych za ojczyznę. Niepodobna dopuścić, aby męstwo armji zmniejszało zakres jej obywatelskich praw. Nie popieram żadnej partji, skoro wszystkie wysłały swoją elitę na pola bitewne. Powierzam myśl moją rodzinom, okrytym żałobą. Odwołuję się do serca Francji. Nikt nie zaprzeczy znaczenia manifestacji, która byłaby wymownym objawem naszej wdzięczności dla naszych zbawców i silnej woli naszej, aby utrzymać ich ducha pośród nas«.

Inny rozdział najnowszej pracy Barrès'a zapoznaje nas z postacią niezmiernie zajmującą, z dziejami duszy, która szukała prawdy i światła i znalazła je.

Z końcem 1915 r. ukazało się w druku pośmiertne dzieło poległego w Belgji Ernesta Psichari. Książkę tę poprzedza prześliczna przedmowa Bourgeta, a zarazem ją komentuje. Tytuł książki: »Wędrówka Setnika« (Le Voyage du centurion). Jest to autobiografja młodego bohatera i historja jego nawrócenia.

Pierwsza powieść Ernesta Psichari p. t. «L'appel des armes«, mówiła o jego powołaniu jako żołnierza. Druga jest wyrazem obudzenia się w nim wiary. Wnuk Renana (po córce) odczuł tę samą tęsknotę za Kościołem, jaka mimo wszystko tkwiła w duszy jego dziada. Mówią o niej liczne ustępy z pism Renana. Wnuk jego Ernest Psichari miał to samo pragnienie Boga i nieskończoności, ale poddał temu pragnieniu swój umysł. Odbył w odwrotnym kierunku drogę, jaką 70 lat wstecz przeszedł dziadek. Powrócił do czcigodnego przybytku, którego nie znało jego dzieciństwo; przestąpił jego święty próg.

— Czego tu żądasz? — spytano.

— Chcę być ochrzczonym.

W pierszym roku swego chrześcijańskiego życia Ernest Psichari zwiedził Seminarjum duchowne w Issy, kaplicę i park, które Renan opisuje w swoich wspomnieniach. »Z najgłębszem wzruszeniem — pisze wnuk jego — patrzyłem na miejsca, gdzie modlił się niegdyś mój nieszczęśliwy dziadek«.

Ileż dramatycznej wielkości w tych prostych słowach! Po tych odwiedzinach, Ernest Psichari postanowił zostać wiejskim proboszczem, by tem lepiej spełnić swe ekspiacyjne dzieło. »Powinnością moją — pomyślał on — jest ekspiacja za pychę umysłu mego dziadka. Miał on być proboszczem w Bretanji — będę nim za niego«. O tych myślach Ernesta Psichari mowi nam biskup wersalski Gibier, jego kierownik duchowy ks. Janvier i dwaj jego przyjaciele. Stwierdzają oni, że życie jego było życiem świętego, łączącem obowiązki duchownego z powinnością żołnierza. Wojna wybuchła w chwili, gdy młody oficer zamierzał jechać do Rzymu na teologję. Wojna nie pozwoliła mu zostać księdzem dla odkupienia duszy dziadka — pozwoliła mu umrzeć za odkupienie Francji. Jest w tem to samo mistyczne pragnienie, by żyć nie dla siebie, nie przywiązywać wagi do swej osoby. Pisze w jednym liście: »Idę na tę wojnę, jak na wyprawę krzyżową, bo czuję, że chodzi tu o obronę jednej z dwóch wielkich spraw, którym życie moje poświęciłem«.

Padł na posterunku oficera artylerji, zawsze pełen męstwa i wiary w pomyślność oręża francuskiego — zginął z różańcem w dłoni. Zresztą zaraz on się sam da nam poznać we własnej książce.

Książka Barrès'a jest jednym z dowodów, jak wojna głęboko przeorała nietylko ziemię francuską, ale i dusze jej synów.

Helena Skolimowska.

Ernest Psichari: Le voyage du Centurion. Paris, Conard, 1918.

Młody oficer francuski, o którym nam opowiedział już Barrès, wychowany po za wiarą i Kościołem, miał duszę żądną prawdy i miłości Boga, którego też odnalazł i posiadł. Dzieje tego szukania, tych tęsknot i wzlotów, daje nam książka jego pod tytułem: Wędrówka setnika. Jest to jak gdyby dziennik podróży ekspedycji wojskowej do Maurytanji, etap za etapem. Jest to również pielgrzymka myśli, wędrówka duszy, szukającej pewności, reguły nadprzyrodzonej, tęskniącej do Boga i żądnej autorytetu Kościoła.

Zarysowują się tu dwie główne, zasadnicze linje: kroki żołnierza, prowadzącego swój oddział po ziemi nieprzyjacielskiej, nieznanej i zdobywającego ją dla Francji, i jest stan duszy, cierpiącej z braku wiary, jakby z kalectwa.

Porucznik Maksencjusz (a widzimy odrazu, że opowieść jest autobiografją), opuścił Paryż i Francję dla służby wojskowej, ale również i dlatego, by uciec od atmosfery anarchji umysłowej i uczuciowej, w której się dusił. Przybył do Afryki, aby tam znaleźć odpowiednie warunki dla swojej żądzy czynu, a także odnowienie swego wewnętrznego życia przez stykanie się z niebezpieczeństwem, przez samotność, przez codzienny kontakt z przyrodą dziewiczą i z pierwotnymi ludźmi. Ten dowódca oddziału działa jak żołnierz, pełen poczucia odpowiedzialności przed ojczyzną, której jest przedstawicielem — a równocześnie jest myślicielem przechodzącym wielki kryzys duchowy. Znużony i nieledwie pełen wstrętu dla stosunków, jakie znał we Francji, odnajduje na pustyni prawdziwe znaczenie swej ojczyzny i uczucie miłości dla niej. Czuje, że należy sam do wielkiego narodu, ale i to, że styka się z ludem zupełnie odrębnym. A na czem głównie polega ta różnica? na religji. Tam, wśród piasków niezmierzonych pustyni poznaje po raz pierwszy, że Francja w stosunku do Afryki — to Kościół w stosunku do Islamu. Dwadzieścia wieków chrystjanizmu oddziela go od tubylców.

»Setnik« Maksencjusz czuje się być krzyżowcem francuskim. Nie zatrzymuje się on jednak przy odzyskanem uczuciu narodowem — pragnie i chce prawdy, pożąda Boga prawdziwego. Prawda, której szuka, to nie teorja akademicka, to prawda żywa, którą równocześnie rozumie się i czuje, to stosunek duszy do nieśmiertelnej Myśli, nieśmiertelnej Miłości i nieśmiertelnej Potęgi. A dla utwierdzenia życia o tę prawdę potrzeba mu reguły i zakonu: reguły, która byłaby zarazem surową i słodką (austère et suave); surową przez swe zewnętrzne prawidła, słodką przez wewnętrzną treść. Młodego rycerza otacza niezmierna samotność pustyni;

myśl jego leci w zaświaty i widzi Stwórcę, miłościwie nachylonego nad ziemią, którą stworzył, umiłował i zesłał jej Syna swego. I patrzy Bóg w dusze, które uczynił na podobieństwo swoje i wychodzi na ich spotkanie, przemawiając do spragnionego prawdy umysłu: »Uczynię ku tobie pierwszy krok, ukocham cię odwieczną miłością i naznaczę cię znakiem wybrańców moich. Wzruszyła mnie tęsknota twego serca; czyż nie jestem Ojcem twoim«? Czuje Maksencjusz, jak prawda chrześcijańska przenika jego serce, jak poddaje się jej jego umysł i pragnie widomej spójni z Bogiem. »I widzi Kościół Boży, nachylony nad Francją przez szereg stuleci. Widzi orszak kapłanów, niosący pokój skrwawionym ludom; widzi dostojne postacie biskupów, błogosławiące i podniesieniem ręki zatrzymujące fale barbarzyństwa. Pośród zwalisk i zgliszczów wznoszą się ciche klasztory, przechowujące depozyt ducha. Nieomylne słowo, płynąc z Lateranu, unosi się nad światem, jak biała gołębica. Sam głos białego starca zwycięża okrutnych królów i cesarzy, a mnich w głębi swojej celi czuwa nad zbawieniem ludu Bożego. Przez długie wieki pochylał się Kościół nad Francją, pierworodną córą swoją, płakał i cieszył się z nią. Oto mężowie po prawicy Twojej, Panie! Oto najpiękniejsze królestwo świata, a zarazem najwierniejsze Tobie«. Obejmuje naszego »setnika« bezmiar nocy podzwrotnikowej — zniknęły zarysy rzeczy wszelkich, umilkły głosy wszelakie. W duszy jego zrywa się palące pragnienie poznania Boga: »O Panie, jeżeli naprawdę jesteś spojrz na nędzę moją, ale spojrz także na to bezmierne moje pożądanie Ciebie. Oto serce moje, Panie, pragnące pokoju Twego i umysł mój, który nie chce tego pokoju, gdyby miał być kłamliwy. Ojcze niebieski, Ty wiesz, że nie cienie i nie złudy wesprą mnie w tej walce ziemskiej. Daj mi, o Panie, umysł niewzruszony dla zbadania prawdy i zawstydzenia bezbożnych«.

I czyniło się w jego duszy wielkie, błogosławione milczenie. Biada tym, którzy milczenia takiego nie znają; ono jest jakby cząstką nieba, spływającą na ziemię. Zamyka ono wargi i przenika aż do tych głębin duszy, gdzie odpoczywa Bóg. A głos Jego przemawia do niej: »Nic nie zdołasz sam przez siebie. Twoje stopy przykute do ziemi, sam nie przyprawisz sobie skrzydeł. Ale oto Ten, który obiecał ci żywot; On przybywa, aby cię uwolnić z więzów. Słuchaj słów Wybawcy twego. Wyleć, jak gołębica, do tego przebitego włócznią Serca, które skrwawiło się dla ciebie.

»Czuwaj i módl się«...

A człowiek odrzecze: »Panie, spragnionym jest żywota. Nadszedł czas, aby otworzyć serce, bo mówił do mnie Jezus, a któż kiedy mówił, jako On? Słyszałem Słowo przedwieczne; Ty znasz słabość moją i niewiarę, ale obmyję się u źródeł zbawienia i uwierzę. Będę prawdziwym i posiądę prawdę. O radości! czuję już w sobie życie nowe i słyszę słowa Pana, wyrzeczone do mnie:

»Wstań, a idź«!

I myśli dalej: »Co uczyniliśmy, my, dzieci wybrane? i co odpowiemy, gdy nam powie Sędzia: »Dałem wam moją ziemię ulubioną i zrobiłem was dziedzicami mego słowa«...

»A my? jakiż to trąd nas pokrył? Prawda, o Panie, żeśmy Ci nie byli wierni i nie czuwaliśmy wraz z Tobą. Ale oto pełni jesteśmy skruchy i przychodzimy do Ciebie ze łzami naszemi i skażeniem. Straciliśmy wszystko, ale to, co nam zostało, Tobie dajemy, o Panie, dajemy Ci serca nasze złamane i upokorzone«...

Głowa »setnika« opadła na piersi, czuje on, jak dusza jego rozszerza się i rozrasta. Pada na kolana, obejmuje głowę dłońmi i mówi powoli jak ten, który utrudzon jest wędrówką i upaleniem dnia: »Panie, mówię do Ciebie, słuchaj mnie! Ulituj się nademną, wszak wiesz, że nie nauczono mnie modlić się do Ciebie, ale powtarzam za Synem Twoim i za ojcami moimi: »Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się Imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje... bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi«...

Pośmiertne to dzieło jest jakby testamentem wielkiej i czystej duszy.

Helena Skolimowska.

Z naszych czasopism.

Sprawa, tygodnik, Warszawa, adres administracji: Zgoda 5, przedpłata 55 m. rocznie.

Taki tytuł, może za mało mówiący, nosi nowy tygodnik, wychodzący w Warszawie pod kierunkiem posła do Sejmu, X. Dra Lutosławskiego, poświęcony odrodzeniu narodowemu w duchu katolickim. Przyprzypomina on nieco przerwaną przez wojnę »Kronikę Powszechną«, wydawaną staraniem Tow. im. P. Skargi we Lwowie, jednak ją przewyższa aktualnością i ruchliwością.

Pismo to, godne ogólnego poparcia, z rzadką czujnością przynosi co tydzień wiadomości o życiu, ruchu i prądach narodowych, polity-

cznych i moralnych z całej Polski, a zwłaszcza z jej stolicy. Kierownicy »Sprawy«, trzymając jakby rękę na pulsie narodu, zwalczają chorobliwe objawy jego życia, szkodliwe komunały i przesądy, a szerząc gruntowne uświadomienie religijne, dążą do usuwania ze społeczeństwa naszego uprzedzeń do wiary i Kościoła. Czytelnik »Sprawy« ma też sposobność zapoznać się bez potrzeby wertowania wielu dzienników z działalnością i dążeniami naszego Sejmu i jego stronnictw. Niema prawie sprawy bieżącej, którejby »Sprawa« nie poruszała i nie omawiała, oświetlając ją w duchu chrześcijańskim i narodowym. Mamy też w niej dokładnie a zwięźle podany przegląd prasy perjodycznej i polskiego piśmiennictwa, a nawet pokłosie z dziennikarstwa, co w obecnych czasach, gdy się już połączyły wszystkie nasze dzielnice, jest wielkiej doniosłości.

Jedną z najsympatyczniejszych cech »Sprawy« jest jej troskliwość o wychowanie młodzieży i tego wszystkiego, co się z tą sprawą łączy. Dowód na to między innemi mamy choćby w prześlicznym życiorysie nieodżałowanego a przedwcześnie zmarłego ś. p. X. Leona Kulwiecia, wielce zasłużonego i świątobliwego prefekta i kierownika sodalicyj, napisanym przez Bronisława Załuskiego.

Do starszych pracowników pióra przyłączyło się wiele młodych i zdolnych sił. Oprócz głównych kierowników pisma: X. Dra Lutosławskiego, X. K. Tomczaka, X. Dra Wilamowskiego, oraz pp. T. Błażejewicza i J. Chacińskiego, najczęściej w »Sprawie« pisują: S. Cywiński, T. Turkowski, X. W. Czeczott, X. A. Wyrębowski, A. Puchała, X. Dr. J. Herget, J. Dziewałtowski, L. Babiński, S. Skonieczny, X. L. Jarosz i wielu innych.

Ks. Teofil Bzowski.

Oprócz tego nadesłano do redakcji:

Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk poznańskiego. Rocznik XLV (1918), pod red. ks. St. Kozierowskiego. Poznań, nakł. Tow., 1919, str. 376.

Czem jest Rada Główna Opiekuńcza, opracował ks. Dr. A. Około-Kułak, wyd. 2, Warszawa, 1919, str. 16.

Aleksander Olkiewicz: Załamania. Warszawa, str. 168.

Inż. Ksawery Gnoiński: I. Elektrotechnika prądów słabych. II. Telefonja. Warszawa 1919. Nakł. Kasy przez. i pom. warsz. pom. księg. VII+127 in 8^0.

Włodzimierz Tarło-Maziński: Zasady radjo-telegrafji. Warszawa 1919, wyd. 2, 8^0, str. 98.

Rocznik 8-klasowego gimn. im. Długosza we Włocławku, r. 1918—19. Nakł. »Koła wpisów« im. Długosza, 8^0, str. 76.

Dr. Fr. Ksaw. Cieszyński: W sprawie wychodźctwa. Nakładem księgarni św. Wojciecha w Poznaniu, 1919, in 8^0, str. 80.

Mikołaj Rudnicki: Z domu niewoli. Utwory poetyckie. Skład główny w księg. św. Wojciecha. Poznań 1919, in 16^0, str. 40.

Aleksander Kozikowski: Organizacja nauki leśnictwa w Polsce. Nakł. księg. św. Wojciecha. Poznań 1919, in 8^0, str. 20.

Kazimierz Gliński: Bonawentura Dzierdziejewski. Powieść obyczajowa z czasów Stanisława. Nakład Gebethnera i Wolffa, str. 378.

Władysław St. Reymont: Za frontem. Nakł. Gebethnera i Wolffa, 1919, str. 241.

M. H. Szpyrkówna: Będziesz maleńką, Powieść. Nakł. Gebethnera i Wolffa, str. 232.

Dr. Adrjan Divéky: Węgrzy a Polacy w XIX stuleciu, in 8^0, str. 211.

Ks. biskup Piotr Mańkowski: Z nami Bóg. Rzecz o Eucharystji. Poznań—Warszawa 1919. Nakład księg. św. Wojciecha, str. 284.

Dr. Stanisław Zdziarski: Dżingis-Chan zmartwychwstały. Studja z psychopatologji rosyjskiej. Poznań 1919, nakł. księg. św. Wojciecha. Tom I, str. 220, t. II, str. 244.

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Francuski podarek Alzacji i Lotaryngji. — Katolicy francuscy wobec nowych wyborów do parlamentu. — Żydzi w Polsce a katolicy we Francji. — Protektorat francuski nad katolikami na Wschodzie. — Amerykańskie projekty sprotestantyzowania Francji. — Kongres religijny wyznań protestanckich. — »Jednota« czeska a Rzym.

Utratę przez Niemcy Alzacji i Lotaryngji większość narodów powitała jako zwycięstwo dziejowej sprawiedliwości. I same te prowincje, mimo przeważnie germańskiego pochodzenia swych mieszkańców z ducha i sympatyj francuskie, wracały na łono macierzy z uczuciem dziecka, które się wyrwało z uścisków obcej, a narzuconej sobie piastunki i tuli się do piersi rodzicielki swojej. Blisko pół wieku czekały na tę chwilę, nie tając swych tęsknot i opierając się wszelkim karesom niemieckiego zdobywcy, który usiłował wszystkiemi sposobami wywołać w nich poczucie germańskiej solidarności.

Ale niema nic pono bez »ale«. Zaraz pierwsze miesiące opieki Francji przyniosły odzyskanemu krajowi pewne rozczarowanie i troskę o przyszłość. Nie tylko, że nie wszędzie uszanowano z dostateczną delikatnością odrębne cechy powracających prowincyj, ich językowe właściwości i ustrój odmienny, — zwykła pokusa okupujących traktować ludność zajmowanych krajów z góry, podejrzliwie i brutalnie, — nie tylko, że dano odczuć im wszystkie ujemne strony centralistycznego systemu rządzenia, wyśrubowanego we Francji do ostateczności, ale, co najważniejsza, nie umiano się zdobyć na to, by przynajmniej nie targnąć najczulszej struny mieszkańców — ich uczuć religijnych. Na przywitanie powracającej córki macierz przygotowała, jako po-

darek, jakobińską politykę względem Kościoła i religji, jakby sądząc, że tem ją uszczęśliwi, na wyższy stopień kultury podniesie.

Na 1 miljon 800 tysięcy wszystkich mieszkańców, liczy Alzacja i Lotaryngja 1 miljon 400 tysięcy katolików (reszta — protestanci i żydzi), tworzących dwie diecezje: Strassburg i Metz. A nie są to katolicy tylko z metryki, lecz w olbrzymiej swej większości głęboko wierzący i szczerze do wiary przywiązani, a przytem świetnie zorganizowani w religijne i zawodowe stowarzyszenia. Stosunki prawnokościelne, normowane na podstawie konkordatu, różnią się diametralnie od stosunków francuskich, zwłaszcza od czasu przeprowadzenia we Francji rozdziału Kościoła od państwa w r. 1905. Kler zajmuje należne mu w społecznej i urzędowej hierarchji miejsce i pobiera ze skarbu utrzymanie. Szkolnictwo początkowe oparte jest o religijną podstawę; szkoła publiczna jest wyznaniową, osobna dla katolików, a osobna dla protestantów, względnie izraelitów. Obok świeckich nauczycieli, pracują w niej i kongregacje zakonne, zwłaszcza siostry tak zwane de Ribeauvillé, kochane i cenione przez całą ludność. Partje liberalna i socjalistyczna aczkolwiek mają swoich zwolenników, stanowią oni wszakże wśród katolików znikomą mniejszość.

Kiedy już można było z wszelkiem prawdopodobieństwem przewidzieć powrót Alzacji i Lotaryngji do Francji, cisnęły się na usta wielu pytania: jakie też zajmie stanowisko wobec tego wierzącego katolickiego kraju rząd francuski, który w samej Francji już od lat dwudziestu wstąpił na drogę prześladowania religijnego? Byli tacy, co się łudzili, że właśnie odzyskanie Alzacji i Lotaryngji zmusi urzędową Francję do zrewidowania zasad jej stosunku do Kościoła: wszak rząd nie ośmieli się narzucić odzyskanym prowincjom wrogiego dla nich systemu, a skoro raz stanie na gruncie obowiązującego tam konkordatu, zmuszony będzie nawiązać i ze Stolicą Świętą urzędowe stosunki, choćby tylko dla obsadzenia biskupich stolic, czem już wogóle zapoczątkuje różny od dotychczasowego kurs polityki kościelnej. Inni atoli wyrażali obawy, że sekciarskie zacietrzewienie kół rządowych we Francji nie cofnie się przed narzuceniem Alzacji i Lotaryngji anty-kościelnych ustaw, tembardziej, że już wcześniej, bo w r. 1896, przeprowadzono w prawodawstwie francuskiem zasadę, iż nowo nabywane przez Rzeczpospolitą terytorja mają podlegać ogólnym jej prawom, o ile nie staną temu na przeszkodzie jakieś międzynarodowe zobowiązania. Ponieważ takich zobowiązań wzglę-

dem odzyskanych prowincyj na Francję, jako państwo zwycięzkie, nie było komu nałożyć, wynikało z góry, że z chwilą podpisania i ratyfikacji pokoju z Niemcami Rzeczpospolita uzyska prawną podstawę do rozciągnięcia na Alzację i Lotaryngję wszystkich swoich ustaw.

Obawy co do ustaw antyreligijnych poczęły się spełniać jeszcze przed podpisaniem traktatu pokojowego. Że pod naciskiem francuskiego rządu zgłosili swą rezygnację biskupi Metzu i Strassburga, to rzecz dość naturalna i zrozumiała: Niemcy z pochodzenia i przekonań, nominowani przez cesarza Wilhelma, byliby nie na miejscu w tym kraju. Dziwniejsza, że rząd francuski z jednej strony pośpieszył się z nominacją na własną rękę ich następców, opierając się na prawach, wypływających z istniejącego w Alzacji konkordatu, zaniechał atoli udać się oficjalnie do Stolicy świętej o uznanie nominatów, jak chce konkordat, zasłaniając się znowu ustawą o rozdziale Kościoła od państwa i o zerwaniu dyplomatycznych stosunków z Rzymem, i pozostawił załatwienie tej sprawy jakimś pokątnym pośrednictwom. Słowem wziął z konkordatu to, co uważał dla siebie za korzystne, odrzucił to, co zmuszałoby go do zmiany dotychczasowego stanowiska względem Kościoła.

Zamiary swoje na przyszłość zdradził rząd francuski zwłaszcza w swej działalności na polu szkolnictwa. Według zasad prawa międzynarodowego okupant winien rządzić zajętym krajem do czasu formalnej jego aneksji według dawnych ustaw, o ile one nie zagrażają interesom państwa, które okupowało dany kraj. Wyznaniowy charakter szkoły w Alzacji i Lotaryngji chyba nie zagraża całości i interesom Rzeczypospolitej francuskiej, mimo to pośpieszono się z zarządzeniami, zmierzającemi widocznie do zeświecczenia szkół alzackich na wzór francuskich. Formalnie niby pozostaje szkoła publiczna jeszcze wyznaniową, ale z ministerjum paryskiego posyła się do Alzacji i Lotaryngji pół miliona podręczników, przystosowanych dla szkół bezwyznaniowych i antyreligijnych. Na opróżnione miejsca sprowadza się nauczycieli libertynów, którzy nie chcą odmawiać z dziećmi modlitwy szkolnej, jak chce miejscowa ustawa. Szykanuje się personal nauczycielski, należący do kongregacyj zakonnych. W miejscowości Guebviller rząd niemiecki usunął ze szkoły podczas wojny siostry zakonne za ich sympatje ku Francji, kiedy zaś te patrjotki francuskie zgłosiły się do nowych władz o przywrócenie ich na odebrane im stanowiska, odpowiedziano im;

że szkoła już otrzymała siły świeckie, którym się daje pierwszeństwo przed zakonnemi. Dla zbadania stosunków kościelnych i nauczania w Alzacji i Lotaryngji wysłał rząd paryski na miejsce komisję pod przewodnictwem p. Debierre, znanego masona i wroga religji. Wnioski, złożone przezeń rządowi, dążą do radykalnej unifikacji stosunków okupowanego kraju ze stosunkami panującemi we Francji. Inni, nieco bardziej umiarkowani działacze, doradzają pewną oględność i stopniowość w zastosowaniu ustaw francuskich, by ludności wierzącej zbytnio nie drażnić, lecz powoli ją do ustaw antykościelnych przyzwyczaić. Przed bolesną operacją należy pacjenta znieczulić.

Lecz katolicy Alzacji i Lotaryngji nietylko nie okazują wdzięczności za to, że chcą ich zachloroformować, lecz wogóle protestują przeciw zamierzonej operacji: czują się zdrowymi i pod nóż iść nie chcą. A są uświadomieni o grożących im niebezpieczeństwach, dobrze do obrony zorganizowani i w walkach, a zwłaszcza w sztuce oporu biernego, już za niemieckich czasów wyćwiczeni. Dlatego spodziewać się należy, że zamiary rządu francuskiego napotkają na energiczny sprzeciw całego społeczeństwa katolickiego przyłączonych prowincyj, który może pobudzi i nieco sennych katolików francuskich do podjęcia kampanji przeciw sekciarskim ustawom francuskich jakobinów.

Do podjęcia takiej kampanji nadaje się właśnie obecna chwila. W najbliższych tygodniach mają się odbyć we Francji wybory do parlamentu pierwszy raz według systemu proporcjonalności. Szereg biskupów ogłosiło już listy pasterskie w sprawie tego obywatelskiego obowiązku i prasa katolicka zajęła się uświadamianiem swych czytelników, jaka linja postępowania wskazaną jest na najbliższą dobę. Przedewszystkiem zgodne są głosy, że od obowiązku głosowania katolicy uchylać się nie mogą, nawet tam, gdzie nie mają widoków przeprowadzenia swoich kandydatów. Swojemi głosami mogą przynajmniej osłabić zwycięstwo radykalnych partyj. Po-drugie przeważa zdanie, że nie czas na tworzenie osobnej katolickiej partji, na wzór niemieckiego centrum. Wobec rozbieżności politycznych i społecznych programów wśród katolików, stworzenie takiej partji byłoby zbyt trudnem. Natomiast winni wytężyć wszystkie siły do przeprowadzenia jaknajwiększej liczby kandydatów, którzyby dawali rękojmię, że pracować będą nad przywróceniem jedności w narodzie, usuwaniem wszelkiej korupcji, ustalaniem ładu i pokoju wewnętrz-

nego, a zwalczać będą zaciekłość sekciarską większości dotychczasowych rządców Rzeczypospolitej. Między postulatami, jakie winny być stawiane przez katolickich wyborców, widnieje domaganie się rewizji wrogich Kościołowi ustaw, zapewnienie prawdziwej wolności dla szkół prywatnych, dopuszczenia tychże do udziału w subwencjach rządowych, które przecież są wspólnym wszystkich obywateli majątkiem. Bez tego, tak zwane »szkoły wolne«, czyli katolickie, wobec coraz trudniejszych warunków i zubożenia kraju byłyby wprost narażone na zagładę. Jeśli się zważy, że wojna szczególnie we Francji wpłynęła znacznie na uświadomienie religijne mas, że w wielu dawniej obojętnych wywołała głębsze przywiązanie do wiary, świta możliwość, że zbliżające się wybory przesuną wzajemne ustosunkowanie stronnictw parlamentarnych na korzyść umiarkowanych, a nawet katolickich żywiołów.

Tymczasem katolicka prasa usiłuje przedstawić we właściwem świetle nienormalne stosunki, w jakich postawiono ogromny odłam narodu francuskiego — katolików. La Croix posłużyła się dowcipnie w tym celu tekstem gwarancyj, jakie względem mniejszości narodowych i wyznaniowych narzucono Polsce. W numerze z 16 września woła katolicki dziennik pod adresem Clemenceau: Dajcie nam, katolikom we Francji, takie prawa, jakie zapewniliście żydom w Polsce! Otoczyliście ich opieką iście macierzyńską, tak czuli jesteście, by ich sumieniu nie był zadany żaden gwałt, tak rozszerzyliście ich samorząd wewnętrzny, tak pamiętacie o ich szkołach wyznaniowych i zakładach dobroczynnych i zobowiązujecie Polskę do ich subwencjonowania z funduszów państwowych, uważając, że inaczej byliby pokrzywdzeni. Dajcie nam katolikom to samo we Francji! I my niczego nie żądamy więcej, tylko wolności w wykonywaniu prywatnie i publicznie naszej religii, zupełnej wolności nauczania, słusznego podziału publicznego funduszu szkolnego! P. Clemenceau w swoim liście do p. Paderewskiego, jakby tłómacząc się, stwierdza, że gwarancje traktatu pokojowego, zapewniające szkołom mniejszości (żydowskim) prawo do utrzymania z funduszów państwowych i wpływ religijny własnego ich wyznania, nie sprzeciwiają się suwerenności państwa i nie zawierają nic takiego, coby nie było przyjętem w wielu współczesnych dobrze urządzonych państwach. Czyż my, Francuzi, panie prezydencie, nie jesteśmy dobrze urządzonem współczesnem państwem? Cóż więc stoi na przeszkodzie temu, by państwo nasze

subwencjonowało z naszych funduszów szkoły, w których dzieci katolickie będą miały zapewnione katolickie wychowanie?

Czy p. Clemeceau odpowie na te pytania? Wątpimy. Są bowiem pytania, które w kłopot wprawić mogą nawet takich geniuszów myśli, jakim jest niewątpliwie obecny prezydent ministrów francuskich, jeden z superarbitrów świata i opiekunów »uciśnionych« narodowości...

»Antyklerykalizm nie jest towarem na eksport«, powiedział niegdyś Gambetta. W myśl tej zasady Francja masońska, nawet wtedy, kiedy w kraju w najlepsze walczyła z religją i Kościołem, poczuwała się do wyłącznego obowiązku opieki nad katolikami na Wschodzie, mianowicie w dzielnicach państwa ottomańskiego.

Ten protektorat ma długą i piękną historję. Sięgając czasów wojen krzyżowych, Francja nie spuszczała z oczu katolików Lewantu, a zwłaszcza Ziemi Świętej, upatrując w opiece nad nimi nietylko wzniosłe posłannictwo, ale i swój polityczny interes. Opieka ta znalazła swój prawny wyraz w tak zwanych »kapitulacjach«, t. j. umowie zawartej r. 1604 między Henrykiem IV a Sułtanem. Artykuły 4 i 5 owych »kapitulacyj« gwarantowały bezpieczeństwo pielgrzymom do miejsc świętych, poddanym króla francuskiego i jego sprzymierzeńców i zakonnikom, przebywającym w Jerozolimie i obsługującym kościół Grobu Pańskiego. Prawa Francji do opieki nad chrześcijanami Turcji były niejednokrotnie ponawiane i rozszerzane n. p. w kapitulacjach z lat 1673 i 1740, i w istocie dzięki tej opiece możliwem się stało zakładanie katolickich misyj, pod tę opiekę chroniły się niejednokrotnie chrześcijańskie ludy Ottomańskiego państwa, n. p. Maronici z gór Libanu i Ormianie w czasie perjodycznie wybuchających prześladowań i rzezi. Maronici uzyskali, dzięki Francji, pewnego rodzaju autonomję polityczną. Kongres berliński z r. 1878 zniósł właściwie monopol francuski do opieki nad chrześcijanami w obrębie państwa Tureckiego, przyznając prawo do niej wszystkim państwom w odniesieniu do własnych poddanych, atoli w praktyce nawet nie-Francuzi chętnie korzystali przedewszystkiem z prawnej opieki konsulów Rzeczypospolitej, których pewne imiona zapisały się w historji Lewantyńskich wybrzeży złotemi zgłoskami.

Protektorat Francji nad katolikami Wschodu znalazł i kościelną sankcję, która szła nawet znacznie dalej, niż »kapitulacje«. Kiedy bowiem te ostatnie traciły na swej wartości wobec przyznania przez

Turcję i kongres berliński i innym państwom podobnych praw, jakiemi cieszyła się Francja, wobec Stolicy Świętej ta ostatnia wyłącznie była uważana za prawowitą opiekunkę chrześcijan na Wschodzie tureckim i do jej usług mieli uciekać się misjonarze bez względu na swą narodowość i pochodzenie. Ambasadorom i konsulom francuskim przyznano i stale oddawano nawet pewne honory podczas liturgicznych funkcyj. Jedyny wyłom w tym protektoracie uczyniła Stolica święta na rzecz Austrji odnośnie do katolików albańskich i misyj wśród Koptów. Tego przychylnego stanowiska Rzymu względem francuskiego protektoratu nie zdołały zmienić ani usiłowania Wilhelma II w r. 1898, aby wszystkie niemieckie instytucje w Ziemi Świętej bez względu na wyznanie poddać pod wpływy cesarstwa, ani nawet wrogie zachowanie się wodzów Republiki względem Kościoła i otwarte zerwanie z nim w r. 1905. Tylko zacietrzewienie masońskie mogło twierdzić, że prawa Francji do wyłącznego protektoratu opierają się jedynie na kapitulacjach, nie zaś na koncesjach Stolicy Apostolskiej. Sama Francja zresztą zrzekła się owego protektoratu względem włoskich poddanych na rzecz zjednoczonej Italji.

Już podczas wojny światowej w r. 1914 Turcja odwołała wszelkie »kapitulacje«, jako ubliżające suwerenności państwa ottomańskiego i niepotrzebne wobec nowożytnego praworządnego ustroju młodej Turcji. Ówcześni alianci sułtana, Niemcy i Austrja, przyklasnęły z kurtuazji dla swego sojusznika temu zarządzeniu i spokojnie patrzyły na straszną rzeź, od której prawie znikła z powierzchni ziemi narodowość ormiańska. Znaleźli się nawet apologeci sułtana w centralnych państwach, którzy wypadki ormiańskie kwalifikowali jako konieczność wojenną... W tych strasznych dla chrześcijan tureckich latach jedynym ich opiekunem był Benedykt XV, który przez swego delegata w Konstantynopolu Mgra Dolci czynił wszystkie możliwe zabiegi, by ulżyć losowi chrześcijan, otoczyć opieką ofiary masakry. Świadczyć o zasługach papieża będzie przed potomnością pomnik, który za inicjatywą i kosztem chrześcijan tureckich, przeważnie akatolików ma stanąć nad Bosforem ku czci Ojca chrześcijaństwa.

Po odebraniu Turkom Syrji i Palestyny i wobec zbliżającego się rozbioru Turcji powstaje pytanie, czy Francja odzyska swój przywilej na protektorat nad katolikami krajów dawnego ottomańskiego imperjum? Ze strony Watykanu nie napotka w tem żadnych trudności. Kiedy przed dwoma laty Ojciec św. powołał do życia

osobną kongregację do spraw obrządków wschodnich, powstała we Francji obawa, że ta kreacja ujemnie może wpłynąć w przyszłości na prawa protektoratu francuskiego. Obawy te uspokoił kardynał sekretarz stanu Gasparri w liście do barona Cochin'a, zapewniając, że nowe urządzenie spraw wschodnich nie znosi dawniejszych praw i przepisów, dotyczących protektoratu Francji. Uchylenie atoli tego protektoratu może nastąpić z innych powodów. Porządkując spuściznę po dawnej Turcji, zapewne konferencja pokojowa ściśle określi gwarancje mniejszości chrześcijańskich w byłych prowincjach tureckich, a straż ich powierzy, jeśli nie Lidze narodów, to tym poszczególnym państwom, którym poszczególne kraje zostaną oddane na własność lub też w administrację. Tak np. utraci opiekę Francja nad miejscami świętemi w Palestynie, która to opieka prawdopodobnie przypadnie w udziale Anglji. Natomiast prawdopodobnie Francja otrzyma Syrję, i tam mogłaby otoczyć opieką misje katolickie, lecz oby z protektorki katolików nie stała się tam ich prześladowczynią, rozciągając, jako już we własnym kraju, własne wrogie Kościołowi prawodawstwo, o ile nie znajdzie zamkniętej do tego drogi przez klauzule traktatu pokojowego. W każdym razie, gdyby i tam chciała eksportować swój antyklerykalizm, utraciłaby wśród ludności chrześcijańskiej cały swój dotychczasowy prestige, który głównie opierał się na wykonywaniu prawa protektoratu. Natomiast utrwalenie tego prestige'u swego na Wschodzie osiągnęłaby najpewniej przez zbliżenie się do Stolicy Świętej i poparcie na brzegach Lewantu sprawy katolickiej, która jest zarazem sprawą kultury tych krajów. Wszak bezpośrednio przed wojną na 71 tysięcy dzieci uczących się w szkołach, utrzymywanych w Syrji przez europejczyków, 48 tysięcy, a więc dwie trzecie pobierały naukę w szkołach francuskich, ale katolickich, utrzymywanych przez kongregacje zakonne. Czy i tam chciałaby Francja laicyzować wychowanie na wzór własnego kraju? Równałoby się to przekreśleniu świetnych tradycyj tylu wieków.

Timeo Danaos et dona ferentes — mogą powtórzyć katolicy francuscy pod adresem pewnych zakusów z krajów sojuszniczych. Stany Zjednoczone rzuciły cały ciężar swych sił na szalę wojny i to przechyliło ją na korzyść koalicji i uratowało Francję. Francja ma zaiste wiele do zawdzięczenia Ameryce. Ale Ameryka chce okazać Francji jeszcze jedno »dobrodziejstwo«, przed którem ma Francja prawo bronić się.

Oto wśród sekt protestanckich Ameryki Północnej powstała ni mniej ni więcej jak myśl... nawrócenia Francji na wiarę »chrześcijańską«. Jest to charakterystycznem dla niektórych sekt, jak np. adwentystów, baptystów, Armji Zbawienia i t. p., że kraje katolickie lub prawosławne na równi z puszczami Afryki centralnej uważają za dziewiczy teren dla ewangelizacji, traktując je tak, jakby w nich nie słyszano o Chrystusie i ewangelji. Trafiało mi się niegdyś w sprawozdaniach baptystów o zdobyczach ich propagandy pośród prawosławnych Rosjan spotykać takie wyrażenia: uwierzyło w Chrystusa, nawróciło się do Chrystusa tyle a tyle osób...

Otóż «nawrócić do Chrystusa« postanowili i Francuzów, nawet tych, którzy żyją pełnem życiem religijnem tylko nie według metod protestanckich. Już w listopadzie 1917 w łonie Rady Związkowej Kościołów Chrystusa w Ameryce — inaczej sekt protestanckich razem około 30-u, postanowiono powołać do życia «komitet pomocy chrześcijańskiej dla Francji i Belgji«. Kilka sekt, różniących się między sobą rozumieniem nauki Chrystusowej, połączyło się jednak w celu wspólnego zwalczania katolicyzmu, przez ewangelizowanie odwiecznie chrześcijańskich krajów.

Chwilę obecną, kiedy działalność amerykańskich protestanckich sióstr i pielęgniarek we Francji przygotowała grunt, uznano za bardzo »sprzyjającą wielkiemu ruchowi ewangelickiemu we Francji«, a przez Francję i w reszcie krajów Europy. Za pewnego rodzaju parawan właściwych celów służy okazywanie pomocy francuskim hugonotom w odbudowaniu ich świątyń i szkół. W celu spopularyzowania tej nowej misyjnej wyprawy na stary kraj wydano w Stanach Zjednoczonych mnóstwo broszur i zarządzono zbiórkę pieniędzy nawet między szkolnemi dziećmi. Z jakim skutkiem, można osądzić z tego, że w jednym roku 1918 mogli nieproszeni »misjonarze« wydać $3^1/_2$ miliona egzemplarzy różnych broszur i traktatów, przeznaczonych do rozszerzania we Francji. Sami metodyści zebrali między sobą na cele »ewangelizacji« Francji 140 milionów dolarów, baptyści 100 milionów dolarów, inne sekty również olbrzymie sumy. Z broszurami protestanckiemi wyruszyły do Starego świata chmary komiwojażerów, podobno w niemałej części płatnych niemców, którzy wciskają tę literaturę do rąk każdego, czy chce czy nie chce.

Nic dziwnego, że sfery katolickie są zaniepokojone tą wytężoną propagandą protestancką, w której pieniądz tak olbrzymią odgrywa rolę. Wprawdzie doświadczenie uczy, że rezultaty misyj pro-

testanckich, ograniczających się do zasypywania całych krajów biblją i broszurami sekciarskiemi, nie stoją w żadnej proporcji do olbrzymich wkładów pieniężnych, wszakże katolicyzmowi francuskiemu przybywa nowy wróg, którego zwalczanie wymagać będzie wiele czujności i ofiarności ze strony tak kleru jak i wierzących katolików świeckich.

W łonie tejże samej »Rady związkowej Kościołów Chrystusa«, z której wyszła inicjatywa »ewangelizacji krajów europejskich«, poczętym został również inny projekt, który niewiadomo jak pogodzić z poprzednim, mianowicie projekt zwołania kongresu wszechświatowego wszystkich Kościołów chrześcijańskich. Od kilku miesięcy pracuje już osobna komisja, przygotowująca zwołanie tej konferencji, złożona z kilku anglikańskich biskupów Ameryki Północnej i paru innych osobistości, należących oczywiście do świata protestanckiego; duszą całego tego przedsięwzięcia jest niejaki Dr. Gardiner z Massachussets, mąż podobno głęboko religijny i okazujący pewien pociąg do katolicyzmu. O prawdziwie religijnych pobudkach inicjatorów projektu nie można wątpić: przyczynę tego, że chrześcijaństwo nie wywarło na politykę światową podczas wojny dostatecznego wpływu, upatrują oni w smutnem rozbiciu świata chrześcijańskiego na tyle wyznań i społeczności. Szukają tedy sposobu wzajemnego zbliżenia chrześcijańskich Kościołów i utworzenia z nich siły moralnej, któraby była duszą życia narodów. Chcieliby atoli przytem pozostawić poszczególnym wyznaniom wewnętrzną wolność przekonań i odrębności kultu i organizacji.

Na przygotowywany kongres postanowiono zaprosić i przedstawicieli wschodnich Kościołów, a nawet Kościoła katolickiego. Poddawano nawet myśl, aby kongres zwołać do Rzymu, a na prezesa powołać Papieża. Z zaproszeniem do Watykanu udała się delegacja komisji z paru duchownych protestanckich złożona, z anglikańskim biskupem Andersonem z Chicago na czele. Już w kwietniu r. b. Rzym miał niezwykłą sensację: przyjęcie przez Ojca św. duchownych dostojników protestanckich, wydarzenie pono bez przykładu w historji. Za tłómacza służył Mgr. Ceretti, który z ruchem zapoznał się już w Ameryce podczas swojej dyplomatycznej podróży.

Uczestnicy delegacji wywieźli z posłuchania u Benedykta XV jaknajlepsze wrażenie: pociągająca dobroć Ojca św., wchodzącego ze zrozumieniem w czystość intencji i szlachetność zamiarów inicja-

torów kongresu, upewniła delegatów, że mogą liczyć na sympatje Rzymu w ramach możliwości. Co do samego udziału katolików w projektowanym kongresie delegaci chyba pozbyli się złudzeń. Dano im wyraźnie do poznania, że zasady Kościoła katolickiego, świadomego, że on sam tylko posiada pełnię prawdy Chrystusowej, wykluczają wszelkie w rzeczach wiary kompromisy, i że jedyną drogą do osiągnięcia upragnionej jedności chrześcijaństwa może być tylko powrót oderwanych społeczności religijnych do jedynej owczarni Chrystusowej, jaką jest katolicki Kościół. W celu przypomnienia i katolikom tych zasad, św. Kongregacja Officium ogłosiła na nowo wydane w latach 1864 i 1869 dyrektywy, zabraniające katolikom angielskim należenia do protestanckich unionistycznych związków. Samym zaś delegatom doręczono tekst encykliki Leona XIII o jedności Kościoła.

Wielkich rezultatów projektowany kongres dla jedności chrześcijaństwa nie wyda, można mieć atoli nadzieję, że jak ruch Puseyistów w Anglji, tak i ten nowy ruch w łonie amerykańskiego protestantyzmu może zmusić wielu protestantów dobrej woli do głębszego wniknięcia w naturę stosunku luteranizmu do Kościoła katolickiego i przywieść ich do stopni stolicy tego, któremu Chrystus rzekł: Paś owce moje!

Pisząc w ostatnich »Sprawach Kościoła« o »fermentach czeskich«, nie mieliśmy jeszcze sprawozdania zebrania stowarzyszenia księży »Jednota«, odbytego w Pradze 7 sierpnia. Jednak z milczenia dzienników o tem zebraniu wnioskowaliśmy, że nie zaszły na niem żadne zbyt radykalne wystąpienia, w rodzaju ogłoszenia schizmy, dokonanego faktu małżeństwa niektórych księży i t. p., jakie zapowiadał radykalny odłam prasy. Wnioskowanie nasze okazało się trafnem. Rzeczone zebranie, jakkolwiek co do liczby uczestników (ponad 1000 księży!) imponujące, miało przebieg względnie spokojny. Osią obrad było sprawozdanie delegatów, którzy powrócili z Rzymu, z wyników pertraktacyj »Jednoty« z czynnikami watykańskiemi. Delegaci mieli posłuchanie u Ojca świętego i u kardynała sekretarza stanu Gasparri. Z czterech głównych postulatów »Jednoty« (obsadzenia stolic biskupich przez prałatów wyłącznie czeskiej narodowości, utworzenia w Pradze patrjarchatu, języka narodowego w liturgji i złagodzenia prawa celibatu) na pierwszy delegaci otrzymali zupełnie zadawalającą odpowiedź: tak arcybiskup praski Huyn, jak

i dwaj biskupi Węgrzy na Słowaczyźnie nie wrócą już na swe stanowiska, które będą powierzone prałatom-Czechom, względnie Słowakom (arcybiskupem praskim został już Dr. Kordač). Myśli utworzenia patrjarchatu w Czechach (raczej w Ołomuńcu niż w Pradze, jak proponowali delegaci) Stolica święta nie odrzuca; musi ta sprawa jednak być przedyskutowaną w kongregacjach rzymskich, i różnice między żądaniami czeskiemi a zapatrywaniem w Rzymie mogą się wyłonić co do szerokości kompetencyj patrjarchy. W sprawie liturgicznej, użycie języka narodowego mogłoby być pozwolonem przy administrowaniu Sakramentów świętych, przy błogosławieństwach, a we Mszy św. w śpiewaniu lekcji i ewangelji. Co do celibatu kard. Gasparri wyrzekł nieco enigmatycznie: »Bisogna essere tranquillo«, co najlepiej da się przetłómaczyć: »tej sprawy lepiej nie ruszać«. Rezultat podróży delegatów nie zupełnie wprawdzie zadowolnił ich i ich mocodawców, mimo to są oni pełni otuchy, że dalsze pertraktacje doprowadzą do pożądanego celu. W rezolucji zebranie wyraziło swą wdzięczność Ojcu św. za życzliwe przyjęcie żądań czeskiego kleru i swą wierność Kościołowi; umotywowano dalej w tejże rezolucji postawione domagania reform, zwłaszcza w sprawie celibatu, względami szerszej natury niż osobiste widoki, bo pragnieniem usunięcia jednej więcej przeszkody, odstręczającej schizmatycki Wschód od unji z Rzymem; wyrażono współczucie dla schizmatyckiego kleru w Rosji, prześladowanego przez bolszewizm. Z przebiegu zatem zebrania widać, że nadzieje pewnych zbyt gorących głów wywołania otwartego buntu przeciw Kościołowi, przynajmniej na razie, spełzły na niczem, głównie dzięki wyrozumiałości Stolicy świętej, która gotową jest poprzeć reformy, jakie są możliwe ze stanowiska kościelnego i dojrzały do urzeczywistnienia. Nowy arcybiskup praski otrzymał wezwanie do Rzymu, gdzie zapewne poruczone przez »Jednotę« sprawy omówione z nim będą. Tym czasem katolicyzm czeski musi skupiać się wewnętrznie, by mieć siłę zmierzyć się ze wszczętym przez rząd radykalny kulturkampfem. Apelem do takiej konsolidacji może się stanie protest przeciw ustawom i projektom wrogim religji, jaki w imieniu całego episkopatu czesko-słowackiego założył u rządu kardynał Skrbensky. Wtedy i troska o nawrócenie dalekiego Wschodu zmniejszy się, kiedy trzeba będzie ratować katolicyzm u siebie w domu.

Ks. J. Urban.

Dwa zjazdy.

»W jedności siła«! Uświadomienie tego hasła doprowadziło w ubiegłym miesiącu do zjednoczenia się stronnictw robotników chrześcijańskich z Małopolski i b. Kongresówki. Na dzień 7 i 8 września zwołano do Krakowa zjazd delegatów »Chrześcijańsko-Narodowego Stronnictwa robotniczego«, którego prezesem jest redaktor »Głosu Narodu« Karol Holeksa, tudzież przedstawicieli »Stronnictwa Chrześcijańskiej Demokracji« z b. zaboru rosyjskiego, pod przewodnictwem posłów ks. Kaczyńskiego, Gdyka i Harasza. Nie brakło także reprezentantów z innych dzielnic Polski, oraz z kresów Rzeczypospolitej, ze Śląska i Wilna. Pod względem ideowym nie było dotąd różnic między stronnictwami, uchwalającemi obecnie zjednoczenie się w jedno »Polskie Stronnictwo Chrześcijańskiej Demokracji«. Podłożem bowiem wspólnem obu stronnictw były normy, wytyczone jasno i dobitnie przez słynną encyklikę Leona XIII »Rerum novarum«. Chodziło przedewszystkiem o realną wspólność pracy nad urzeczywistnieniem ideałów chrześcijańskich w budowie przyszłego demokratycznego ustroju Polski. Jak z trzech zaborów wyłania się jedno wolne i niepodległe państwo polskie, tak w organizacji chrześcijańskich robotników tych trzech dzielnic musi koniecznie powstać jedna armja robotnicza, walcząca w obronie zagrożonej chrześcijańskiej kultury, która jedynie zdoła naprawdę uszczęśliwić społeczeństwo. Narazie zjednoczyły się organizacje chrześcijańskie tylko dwóch dzielnic na podstawie programu »Chrześcij.-Nar. Stronnictwa Robotn.«, podczas gdy z trzecią dzielnicą uchwalono wejść w ściślejsze porozumienie w myśl postanowienia powziętego na ostatnim zjeździe »Narodowego Stronnictwa Robotniczego« w Poznaniu. Zrobiono więc dobry i nadzwyczaj ważny początek w sprawie ujednostajnienia programu i zjednoczenia się chrześcijańskich robotników całej Polski.

N a p r z ó d z dnia 17 września b. r. objawił żywe niezadowolenie z powodu tego zjazdu, którego znaczenie usiłuje osłabić oklepanemi już w obozie socjalistycznym atakami na encyklikę »Rerum novarum«; przedewszystkiem zaś upatruje w nowo utworzonem »Stronnictwie Chrześcijańskiej Demokracji«, tak samo jak w encyklice »Rerum novarum«, ostrze, skierowane ku zwalczaniu »prawdziwego ruchu robotniczego«, jakim oczywiście jest, w mniemaniu »Naprzodu«, wyłącznie socjalna demokracja. Dla pozytywnego programu encykliki »Rerum novarum«, polegającego głównie na zgodnem współdziałaniu w s z y s t k i c h stanów

i warstw społecznych celem polepszenia doli robotników, w przeciwstawieniu do głoszonej przez socjalizm walki klas, Naprzód nie okazuje najmniejszego zrozumienia. Zarzuca też sprawozdawca we wspomnianym artykule, że zjazd prócz zjednoczenia się kilku dotychczasowych organizacyj nie powziął żadnych konkretnych uchwał. Atoli nie było i nie mogło być zadaniem krótkiego zjazdu układanie szczegółowego programu, skoro uchwalono dopiero rozpoczęcie rokowań o wspólną akcję w łączności z organizacją chrześcijańskich robotników w Wielkopolsce.

Uzupełnienie zjazdu »Chrześcijańskiej Demokracji« stanowił zjazd przedstawicieli polskiej prasy chrześcijańsko-narodowej, który się odbył zaraz następnego dnia, tj. 9 września b. r. w sali Rady Powiatowej w Krakowie. Zaszczycił to zebranie obecnością swoją Najprzew. Książę-Biskup Krakowski, Ks. Adam Stefan Sapieha, podnosząc w swem przemówieniu doniosłość katolickiej prasy dla wychowania społeczeństwa pod względem religijnym, narodowo-społecznym i kulturalnym. Wygłoszono następnie referaty tej treści: 1) Obecny stan prasy chrześcijańsko-narodowej na ziemiach polskich (ks. redaktor Kasprzyk), 2) Jakiej prasy nam potrzeba? — codziennej (red. Holeksa), robotniczej (red. Puchałka), ludowej (ks. red. Błotnicki), 3) Organizacja prasy chrześcijańsko-narodowej w obecnej chwili (red. Horowicz i ks. poseł Kaczyński). W myśl samych organizatorów tego zjazdu, chodziło tylko o początkowe zorjentowanie się w tej ważnej sprawie, która z natury rzeczy ściśle się wiąże z ogólno-narodowem »Polskiem Stronnictwem Chrześcijańskiej Demokracji«, tworzącem się obecnie w porozumieniu z organizacją robotniczą w Wielkopolsce. Około kierującego dziennika katolickiego w stolicy kraju, w Warszawie, mają grupować się pisma codzienne prowincjonalne z siedzibą w Krakowie, Lwowie, Poznaniu, Lublinie, Wilnie, Cieszynie etc. Żywo omawiano pojęcie pisma katolickiego wogóle, zastanawiając się nad warunkami, pod któremi jakiemuś dziennikowi czy tygodnikowi przysługuje ta sama nazwa. Pokazało się, że uczestnicy zjazdu byli dość rozbieżnych poglądów w tej zasadniczej kwestji, którą ustalić będzie zadaniem komitetu, mającego się zająć zorganizowaniem związku chrześcijańskich dziennikarzy. Z naciskiem powtarzali niejednokrotnie organizatorowie zjazdu, że katolickie pismo powinno katolicki pogląd na świat wytknąć sobie za cel swojej działalności oświatowej i społeczno-narodowej, a nie posługiwać się tylko katolicyzmem jako środkiem do popierania swych politycznych dążności. Zdaje się nam jednak, że to postawienie kwestji zbyt zacieśnia pojęcie katolickiego pisma. Katolicyzm

nie utożsamia się z jednym tylko jakimś kierunkiem politycznym, lecz pozwala bezwątpienia na rozmaite formy politycznego myślenia, tak że naszem zdaniem w obrębie prasy katolickiej mogą różne polityczne zapatrywania mieć miejsce, o ile tylko obracają się w granicach katolickiego poglądu na świat i prawa kościelnego. Powinniśmy się cieszyć z każdego ruchu, który podnosi sztandar katolicki, jakkolwiek uboczne jakieś względy odgrywają w tem rolę, póki tylko nie kazi się przez nie czystości katolickiego poglądu. Tak i Paweł św. radował się z tego, że Chrystus był opowiadany »wszelkim sposobem, bądź z okazji, bądź po prawdzie« (Filip. 1, 18). Będzie to zadaniem sekretarjatu związku chrześcijańskich dziennikarzy czuwać nad czystością pojęć katolickich poszczególnych pism, zorganizowanych w jeden wspólny związek, ale bardzo trzeba się strzedz przywłaszczania monopolu katolicyzmu jednemu tylko dziennikowi z wykluczeniem innych.

Słusznie podnoszono konieczność wykształcenia sił dziennikarskich, fachowo wyrobionych w odpowiednich szkołach polskich i zagranicznych. Stworzenie funduszu na studja dla zdolnych kandydatów dziennikarstwa uważano za niezbędne. W tym celu postanowiono zwrócić się z apelem do społeczeństwa katolickiego o wydatną pomoc, tudzież o poparcie tej sprawy ze strony episkopatu polskiego. W rzeczy samej najidealniejszym planom staje zwykle na przeszkodzie brak materjalnych środków. Odwoływanie się do ofiarności ogółu nie może tu bynajmniej zaradzić potrzebie stałej; to też uznano za wskazane, aby Towarzystwo popierania prasy katolickiej w Krakowie rozszerzone zostało na całą Polskę jako instytucja, stale opiekująca się piśmiennictwem katolickiem. Jednolitość działalności prasowej wymaga też utworzenia komitetu redakcyjnego, złożonego z wybitnych dziennikarzy i publicystów katolickich, któryby zapomocą osobnej stałej korespondencji dostarczał poszczególnym redakcjom materjału publicystycznego. Oczywiście utrzymanie takiego komitetu wymaga również odpowiedniego funduszu. Szukać zaś go tylko w jałmużnach lub subwencjach ze strony Towarzystwa popierania prasy katolickiej uważam za niestosowne i bezskuteczne. Taki komitet redakcyjny winien być utrzymywany wspólnemi siłami poszczególnych pism katolickich, należących do związku katolickich dziennikarzy, tembardziej, że wszystkie przecież korzystać będą mogły z tej instytucji.

Bez przesady można powiedzieć, że zjazd przedstawicieli prasy katolickiej, mający z góry raczej charakter przeglądu sił, niż akcji konkretnej i jasno wytyczonej, osiągnął swój cel najbliższy, jakim było przystąpienie

do zorganizowania związku chrześcijańskich dziennikarzy. Inicjatorom zjazdu życzymy jak najrychlejszego, jakkolwiek stopniowego wprowadzenia w czyn powziętych uchwał.

Ks. Ernest Matzel.

Katolicki Związek Polek.

W naszem społeczeństwie, nie posiadającem jeszcze dość społecznego wyrobienia, nie lubiącem z natury swej wszelkich organizacyjnych skupień, które bądź co bądź krępują swobodę indywidualną, bardzo pocieszającem i dodatniem zjawiskiem jest każda organizacja, której celem jest jakiś własny zysk materjalny, lub może bardziej duchowej natury. Więcej jeszcze podziwu i uznania musi wzbudzić organizacja, szukająca nie osobistej korzyści, ale wydatnej pracy dla najbardziej zapomnianych. Taką właśnie organizacją jest Katolicki Związek Kobiet Polskich.

Organizacja stosunkowo niewielka, bo licząca w połowie zeszłego roku 600 członków w centralnym Związku warszawskim, a w oddziałach parafjalnych przeszło 1000, mimo to bardzo ruchliwa i ożywiona najlepszym duchem. Bywa u nas, że organizacje, czy instytucje, założone i prowadzone przez katolików i w celach wybitnie katolickich, z jakąś niewytłómaczoną wstydliwością wykreślają z swego tytułu słowo »katolicki«, bywa też, że tytuł ten widnieje tam, gdzie katolicyzm ledwie wegetuje; otóż organizacja, o której tu mowa, nie powstydziła się katolickiej nazwy, a co więcej, tej nazwie daje świetny wyraz w swej działalności.

Dowodem tego najlepszym jest osobna »Sekcja Katechetek« i »Kursa katechetyczne«, urządzane tylokrotnie przez K. Z. K., zjawisko dla tych części społeczeństwa polskiego, które posiadało dostateczną ilość duchowieństwa niedość może zrozumiałe, ale ze względu na warunki, w jakich się znajdowała dotychczas była Kongresówka, niezmiernie doniosłe. Na kursach tych kształciły się kobiety pod przewodnictwem księży, znanych ze swej głębokiej wiedzy teologicznej, zdawały egzamina i po otrzymaniu odpowiednich patentów, upoważniających je do nauczania katechizmu, pracą swą uzupełniały braki w szeregach duchowieństwa.

Do zakresu pracy religijnej należy również pielęgnowanie śpiewu kościelnego według systemu Solfeggia. Rzecz na pozór drobna, a przecież ważna i mogąca dodać wiele uroku naszym nabożeństwom. Zauważyć trzeba, że usiłowania »Sekcji śpiewu kościelnego«, by wśród

dorosłych wzbudzić więcej poczucia piękna, spełzły na niczem, zato tem więcej powodzenia znaleziono w pracy nad młodzieżą i dziatwą.

Wogóle K. Z. K. szczególną pieczą otacza najmłodsze pokolenie polskie. Praca ta odpowiada bardzo kobiecemu, macierzyńskiemu sercu. Dotkniemy tu momentu bardzo charakterystycznego. Ów wychowanek ulicy, wybladły, obdarty, ale pełen życia i szelmowskiego humoru, wykrzykujący zapamiętale po ulicach Warszawy: »Kurjerek Wieczo...«, »Gazeta Warsza...«, wpadł w oko działaczkom ze Związku, które z takiego materjału zdołały utworzyć »Klub sprzedawców gazet«, klub mający własny kącik, gdzie każdy z członków może się schronić, odpocząć i ogrzać zimową porą, a nawet otrzymać posiłek za legendarną na dziś sumę 10—25 fenigów. Tem pewnie przywiązują się najbardziej niedorośli kolporterzy do »Klubu«, a członkinie K. Z. K. starają się dla nich nietylko o posiłek dla ciała, ale i dla duszy, gdyż w program »Klubu« wchodzą i pogadanki, i lekcje katechizmu, i bibljoteczka.

Dla ułatwienia dziatwie nauki urządził K. Z. K. bezpłatną wypożyczalnię podręczników szkolnych, co znowu w dzisiejszych czasach i na stosunki szkolne byłego Królestwa może mieć wielki wpływ.

Drugie pole pracy K. Z. K., wskazane pierwszym paragrafem jego ustawy, to praca kulturalno-społeczna dla podniesienia oświaty, moralności i dobrobytu kobiet. Do takiej pracy z natury rzeczy nadaje się bardziej kobieta, która lepiej rozumie niebezpieczeństwa, zagrażające tej słabszej połowie ludzkości i prędzej odczuje jej potrzeby. Dla ułatwienia sobie tej pracy K. Z. K. potworzył kilka sekcyj, jak: »Sekcję nauczycielek ludowych«, »Koło Zorzanek«, »Sekcję młodocianych pracownic« i t. d., pracując z wielkiem poświęceniem i dobrym rezultatem. Słowem, zazdrościć można wielkiej inicjatywy K. Z. K. i życzyć należy, by jego praca potężniała i zyskiwała coraz więcej pomocnic z niewieściego świata. Może wnet wszystkie większe miasta polskie będą miały tego rodzaju Związki, w których się skupią najszlachetniejsze serca, by wspólną siłą niweczyć zło materjalne i moralne i niecić jasne światło kultury chrześcijańskiej.

Nadzieje po temu budzi ostatnie doroczne zebranie K. Z. K., które się odbyło dnia 16 czerwca b. r. Uchwalono na niem zjednoczenie analogicznych organizacyj byłej Galicji i Wielkopolski pod nazwą »Katolicki Związek Polek«, zaczem ma nastąpić ułożenie jednolitego statutu dla wszystkich dzielnic.

R. M.

Radą Główna Opiekuńcza.

Zarzewie wojny jeszcze nie wygasło i jeszcze na kresach Rzeczypospolitej do dawnych zgliszcz i ruin, do bied, wywołanych wojną rosyjsko-austrjacką, przychodzą nowe. W tych warunkach potrzeba i dziś tej prywatnej inicjatywy, która pod wpływem szlachetnych uczuć miłości bliźniego, wykwitającej na gruncie chrześcijaństwa, prędzej spostrzeże zgliszcza okolic, przez które przewaliła się burza wojenna i rychlej dostarczy pierwszej pomocy, niż owe oficjalne odszkodowania, poprzedzane długim szeregiem urzędowych formalności. Rolę tę spełnia do dziś na naszych ziemiach Rada Główna Opiekuńcza (R. G. O.).

Powstała ona jeszcze w roku 1916, kiedy panujący w Warszawie Niemcy chętnie zezwalali na różne pozory władzy, ale z niesłychaną skrupulatnością tępili każdy objaw samodzielności narodowej. Wewnętrzna organizacya R. G. O. bardzo prosta. Najwyższą instancją obywatelską, wykonującą całokształt zadań w zakresie akcji ratowniczej, jest Rada Główna z siedzibą w Warszawie. Organami wykonawczemi R. G. są Rady Opiekuńcze Powiatowe, umiejscowione w powiatowych centrach. Rady powiatowe dążą do zakładania we wszystkich gminach swego powiatu Rad Opiekuńczych Gminnych, a w miasteczkach Rad Opiekuńczych Miejskich, czyli t. zw. Rad Miejscowych. Rady te działają jako ciała wykonawcze Rad Powiatowych i z Radą Główną komunikują się za pomocą R. P. Cały ruch akcji ratowniczej wychodzi od Zarządu R. G., wybranego z jej łona, wobec którego R. G. spełnia również rolę Komisji nadzorczej.

Dla łatwiejszego wykonania swych zadań R. G. O., względnie jej Zarząd powołał do życia odpowiednie wydziały, sekcje i komisje. W samej Warszawie posiada R. G. O. następujące Wydziały: Opieki nad Dziećmi i Młodzieżą, z sekcjami Burs, Schronisk i »Wieś dla dzieci«, Wóz Sanitarny z apteką, Reemigracyjny, Dobroczynności z czterema poddziałami, pomoc dla inteligencji, rozdawnictwo odzieży, obiadów i udzielanie pożyczek, Wydział Loterji Klasycznej, Gospodarczy, dostarczający do hurtowni rozmaitych artykułów, Wydział Ogólny, w którego zakres wchodzi buchalterja, kontrola, kasy, kancelarja, prezydjum, i Wydział Prowincjonalny, do którego należy inicjatywa wobec Rad Powiatowych, ich kontrola i zestawienia statystyczne. Same nazwy wymienionych tu sekcyj świadczą o wszechstronności pracy R. G. O. Dla wyrobienia sobie pojęcia o wydatności i natężeniu tej pracy wystarczy podać parę cyfr z r. 1918. Na akcję opieki nad dziećmi wydano z górą

23,000.000 marek, akcja dla dorosłych kosztowała 11,000.000 marek. Ogółem w 1918 roku było czynnyh 1705 instytucji, które opiekowały się 302.023 osobami, na co wydano przeszło 34,000.000 marek.

W działalności swej R. G. O. była ograniczona na terytorjum okupacji niemieckiej, od początku jednak była owiana duchem ogólnopolskim, to też kiedy wreszcie runęła potęga niemiecka, R. G. O. przeniosła swą akcję na resztę byłej Kongresówki i na kresy biało- i czerwonoruskie. Była Galicja, teren długiej i wytężonej pracy K. B. K., dziś po zlikwidowaniu Komitetu doznaje niemniej skutecznej opieki ze strony R. G. O. Skoro tylko wojska nasze odepchnęły nawałę ruską, już osobna delegacja R. G. O. spieszy, by zbadać rozmiary klęski, poznać naocznie potrzeby i podać najniezbędniejsze środki. Przynosi z sobą inicjatywę i organizuje szlachetne jednostki w Rady Powiatowe, które znów tworzą Miejscowe Rady i tak stawiają zaporę wzmagającej się nędzy. We Lwowie powstała Rada Okręgowa, która skupiła większe instytucje społeczne byłej Galicji, dla których obecnie jest centralą i w pracy, ujednostajniając ją, i wobec Rządu w sprawach budżetowo-finansowych. Społeczeństwo małopolskie, jak twierdzi ks. Około-Kułak, wybitny członek R. G. O., okazuje dużo ochoty do współpracy. Na kresach litewsko-białoruskich i Wołyniu założono w r. 1919 Rady Powiatowe i Miejscowe w 21 okręgach. Dziś R. G. O. jest bezsprzecznie największą organizacją humanitarną w Polsce.

Fundusze do tej kolosalnej akcji czerpie R. G. O. częściowo od Rządu, następnie z hurtowni, prowadzonych przez Rady Miejscowe, ze znanej dziś każdemu Loterji Klasycznej, z ofiarności zagranicznej, a także od samego społeczeństwa polskiego przez kwesty ogólnokrajowe i t. p. zbiórki.

R. G. O. ogromnie ułatwia Rządowi polskiemu odbudowę i unormowanie stosunków społeczno-ekonomicznych, a dla społeczeństwa całego jest wielką pomocą i chlubą.

Nic też dziwnego, że jej pracą zajmuje się żywo Marszałek Sejmu i żywy udział w jej naradach i pracy bierze p. Prezydentowa Paderewska. Wnet i całe społeczeństwo pozna bliżej rozmiary pracy R. G. O., gdy się rozejdą szerzej wydawnictwa, mówiące o niej szczegółowo i czasopismo wydawane przez R. G. O. od 1 sierpnia b. r. pod tytułem: »Praca społeczna«. *R. M.*

Z obcych głosów o Polsce.

Wśród licznych głosów, jakie ostatniemi czasy pojawiły się w prasie zagranicznej o nas i stosunkach naszych, wyróżnia się zarówno tonem życzliwym, jak i znajomością sprawy, głos O. Juljusza Lebreton'a, jezuity, profesora Instytutu katolickiego w Paryżu. Ten bezinteresowny, szczery nasz przyjaciel w czasie wojny niejednokrotnie informował katolicką opinję Francji o stanie naszej sprawy, budząc dla niej sympatję, a i obecnie nie przestaje śledzić biegu wypadków u nas i we właściwem świetle przedstawiać ich swoim współziomkom. Ostatni artykuł jego pióra o Polsce, który doszedł do rąk naszych, zamieszczony w szóstym i siódmym numerze tegorocznych Études, obejmujący z górą 50 stron in 8^0, omawia zdarzenia kilku miesięcy, począwszy od listopada ubiegłego roku.

Dla większej przejrzystości przechodzi kolejno wypadki, dotyczące bezpośrednio każdego z trzech zaborów.

Najpierw więc zatrzymuje się przy Wielkopolsce, tej ukochane kolebce naszego narodu, zaznaczając przytem, jak ważną rolę w konsolidacji wewnętrznych stosunków Polski odegrali Poznańczycy przez swą zdecydowaną postawę w najważniejszych kwestjach. »Zmuszeni — powiada — w walce z Prusakami do silnej organizacji, wyćwiczyli się w karności i nabyli męstwa, które w tej krytycznej chwili miały się znowu zaznaczyć; im to niechybnie Polska zawdzięcza swoje wybawienie«.

Mówiąc o stosunkach w dawnym zaborze austrjackim, potrąca o sprawę Galicji wschodniej, Cieszyńskiego i pogromów żydowskich, zawsze z wielką znajomością przedmiotu i trafnością oceny. W zatargu o Cieszyn nie bez podstawy upatruje intrygę niemiecką, która bardzo wyraźnie już występuje w sporze o Galicję wschodnią. »Nie trudno — powiada — zrozumieć, o co Niemcom chodzi przy podżeganiu Ukraińców przeciwko Polakom. Ze wszystkich państw, powstających na Wschodzie, jedna tylko Polska z powodu wielkiego swego zaludnienia, rozległości terytorjów i prestige'u tradycji i dziejów może być dla Prus groźnym sąsiadem... Walka, którą prowadzą Polacy przeciwko Ukraińcom dla utrzymania się w Galicji, dotyczy nietylko przyszłości Polski, ale przyszłości całej Europy. Polacy zdają sobie z tego sprawę; oni wiedzą, że na tym froncie, podobnie, jak i na wszystkich innych, walczą nie tylko za siebie, ale za nas wszystkich«.

W ocenie »pogromów«, które tak rozgłośnem echem odbiły się na Zachodzie, zajmuje najzupełniej przedmiotowe stanowisko. Nie odrzuca wprost czynionych nam zarzutów, ale je w wątpliwość podaje i tę wątpliwość uzasadnia. »Jeżeli rzeczy tak się mają, jak nam się je (w żydowskiej prasie) przedstawia — łączymy nasz protest z wyżej przytoczonemi; morderstwa Żydów zawsze Kościół potępiał... Ale podawane relacje bynajmniej nas nie przekonywują, pochodzą bowiem wszystkie nie tylko ze źródła żydowskiego, ale niemiecko-żydowskiego. We Lwowie ustanowiono komisję dla zbadania sprawy, złożoną z 5-ciu członków, a w tem dwóch Żydów. Żydzi wiedeńscy odrzucają ich świadectwo, mówiąc, że ci dwaj Żydzi są asymilatorami; polska legacja w Berlinie, reprezentowana przez Żyda, Feldmanna, przeczy stanowczo przytaczanym faktom (o pogromach) — na to Żydzi wiedeńscy odpowiadają, że Feldmann jest także asymilatorem... Jeżeli ruch antyżydowski, jak utrzymują, ma charakter religijnego prześladowania, dlaczego nie chcą uznać świadectwa Żydów zasymilowanych, t. j. takich, którzy w kwestjach polityki narodowej stoją razem z innymi obywatelami państwa? Bardzo łatwo zaś ta opozycja się tłómaczy, jeżeli wypadki, o których mowa, w rzeczywistości nie tak znowu wielkie, pochodzą nie z chrześcijańskiego fanatyzmu przeciwko Izraelowi, ale są narodową reakcją przeciw bolszewizmowi. Wiele wypadków, przytaczanych przez miejscową prasę polską, potwierdza to przypuszczenie. W ciągu listopada w wielu miejscach zauważono manifestacje bolszewickie przez Żydów organizowane. Można sobie wyobrazić oburzenie i niepokój, jaki budzą tego rodzaju manifestacje; zresztą, jakże można zapomnieć, że przywódcami bolszewizmu, zarówno rosyjskiego, jak niemieckiego, są sami niemal Żydzi! W Niemczech zachowanie się (Żydów) taką samą wywołuje reakcję... Podobne i jeszcze bardziej gwałtowne ruchy wybuchły na Węgrzech i Morawach. Wielka prasa żydowska wogóle zachowała o tem milczenie, podczas gdy z taką namiętnością deklamowała przeciw Polsce. Nie trudno się domyśleć, jakie są pobudki tego oburzenia...«

Bardzo skomplikowane stosunki polityczne dawnej Kongresówki omawia z wielką przenikliwością rzeczy, a kronikę kilkumiesięcznych dziejów Polski zamyka na dniu 21 lutego, w którym Rada dziesięciu urzędowo uznała potwierdzony przez demokratyczny sejm polski rząd i naczelną władzę.

»Ten dzień 21 lutego — pisze — oznacza datę decydującą w historji Polski. Oczywiście dzieło nie jest jeszcze ukończone — daleko do tego: Europa, która według słów O. Gratry znajdowała się w stanie

grzechu śmiertelnego od rozbioru Polski, winna jest wielkiej ofierze dać inne zadośćuczynienie i inne gwarancje, jak słowa platonicznego uznania; mimo to i to uznanie jest już czemś bardzo cennem. Od początku wojny wszystkie mocarstwa oświadczyły, że Polska ma prawo do życia; dzisiaj po raz pierwszy uznano, że ona żyje. A to życie nie jest już życiem niepewnem, ograniczonem, które reskrypt cesarski z 5 listopada 1916 z łaski jej dawał — Polską nie rządzą już regenci, mianowani niemieckim dekretem i dowolnie kontrolowani; jej naczelnik, ministrowie, sejm pełnomocnictwa swoje od niej jedno biorą i przed nią tylko są odpowiedzialni. Bez wątpienia jej politycznemu stanowi brak jeszcze wielu rzeczy, a przedewszystkiem pełnego posiadania wszystkich terytorjów, wyznaczonych granic; ale przynajmniej jest ona panią u siebie, w tym szczupłym okręgu, jaki jej już teraz przyznano. Po raz pierwszy od półtora wieku posiada ten podwójny skarb, o którym od tak dawno marzyła — wolność i zjednoczenie; po półtora wieku rozłąki i niewoli Warszawa, Kraków, Poznań razem, niepodległe. To niespodziane szczęście Polska zawdzięcza zwycięstwu Aljantów. Kolejne losy ubiegłych lat czterech dowodnie to pokazują; każdy z zaborców, Rosja, Austrja, Niemcy, widziały swój interes w eksploatowaniu polskiego patrjotyzmu, w budzeniu irredenty u poddanych sąsiedniego państwa, ale żaden z nich nie myślał o uwolnieniu swych własnych poddanych, żaden nie obiecywał niepodległości. Rosja i Austrja zapowiadały co najwyżej autonomję, Niemcy nawet tak daleko się nie posunęły: przybrały rolę wybawców Warszawy, ale dawały poznać, że Poznańczyków traktować będą dalej jako poddanych królestwa pruskiego, którym nie przysługuje inny przywilej, jak tylko prawo przymusowego wywłaszczenia. Nie, tej marchji wschodniej, tej bogatej prowincji, która stolicy zapewniała wyżywienie i obronę, nigdyby Prusacy nie dały sobie wydrzeć, gdyby ich do tego nie zmusiła ostateczna klęska. Więcej niż sprzymierzeńcom powstanie swoje Polska zawdzięcza sobie, bo na cóżby zdało się ją uwalniać, gdyby nie była żyła! Ileż to słowiańskich plemion zamieszkiwało niegdyś ziemie dziś zgermanizowane!... Jeszcze w XVIII wieku w Hannowerze znajdowali się Łabowie, których rasa, podobnie jak język były bardzo bliskie polskiemu; dziś rasa ta już wygasła. Wendowie i Łużyczanie, tak liczni niegdyś w Saksonji i na Śląsku, dziś liczą ledwie dwieście tysięcy, a i te wkrótce znikną. Przeciwnie Polacy w wiekowej niewoli wykazali nieśmiertelną żywotność. Księstwo Cieszyńskie, Śląsk Górny, od sześciu wieków od Polski oderwane, mieszkańcy ich podlegali bądź Cze-

chom, bądź Austrji, bądź Prusom, a mimo to zachowali swój język, zwyczaje i narodowe aspiracje. Skoro tylko wielki przewrót uwolnił ich od gniotącego jarzma, tak długo tłumiony, ale nigdy nie wygasły poryw rozwinął się — rzucili się w objęcia Ojczyzny. Ta zdumiewająca żywotność znaną była oddawna, ale przez te cztery lata wojny inny rys polskiego charakteru się objawił, który może więcej jeszcze zadziwił tych, co Polskę niezbyt dobrze znali: to jej wytrzymałość. Rozdzielona między wojujące ze sobą strony, zmuszona do wysyłania swych synów na walkę wzajemną za sprawę, która nie była jej sprawą, raz po raz gnębiona najazdem, co wszystko krwią i ogniem zalewał, spustoszona Polska nie zwątpiła. Po dwóch latach wojny, osaczona przez Niemcy i Austrję, które chciały ją zyskać dla siebie i snuły przed nią widziadła, co prawda zwodnicze ale bardzo ponętne dla ujarzmionego od tak dawna a od dwóch lat tak strasznie udręczonego narodu. Ma swoich regentów, ministrów, Radę Stanu, będzie mieć, jeśli tylko zechce, swego króla, niech tylko się zobowiąże do usług dla państw centralnych: niech im da żołnierzy, których żądają na dzisiaj, i pomoc ekonomiczną, jakiej chcą na jutro!... Choć wyczerpana, nie pozwoliła się porwać na zawrotny szczyt tych marzeń. Niewzruszona mądrość, widoczna już w tej rezerwie, objawiła się jeszcze wyraźniej w krytycznym momencie, o którym dopiero cośmy mówili. Rewolucyjny socjalizm, który Niemcy z dawien dawna, a osobliwie w czasie wojny podsycali w Polsce, bardziej czynny wskutek czteroletnich cierpień, rozdmuchały jeszcze sukcesy rosyjskiego bolszewizmu i spartacyzmu niemieckiego. Żydowstwo polskie, z którego wyszła Róża Luksemburg, Radek, Kurt Eisner i tylu innych, dostarczało mu tysięcy agitatorów, a masy robotnicze, przez okupację niemiecką zmuszone do bezrobocia, dawały mu setki tysięcy zwolenników. W ten sposób nękana wewnętrznie, wystawiona na wszelkie wpływy Rosji i Niemiec, nie dość broniona przez rząd improwizowany (Moraczewskiego, prz. tł.), Polska sama się uratowała, a wybór narodowej reprezentacji, jaki uczyniła w końcu stycznia, pokazuje Europie czego chce: jedności, niepodległości i ładu (niestety to ostatnie może zbyt pochlebne, prz. tł.). Jeżeli Polska w tak trudnych warunkach umiała godnie zabezpieczyć przyszłość swoją, to zawdzięcza to przedewszystkiem swoim chrześcijańskim tradycjom. Cała Francja pamięta orędzie pasterskie kardynała Merciera o patrjotyźmie i wytrzymałości; jeżeli w chwilach tak wielkiego doświadczenia tak wysoko można było podnieść naród belgijski, to dlatego, że opierał się on na żywej wierze, dla której

żadna ścieżyna nie jest zbyt przykra, żaden szczyt zbyt wysoki. Polska dała przykład takiego samego patrjotyzmu i wytrzymałości, ponieważ tę samą siłę czerpała z wiary... W momencie przez Boga wyznaczonym, kiedy trzej tyrani we wzajemnych zapasach polegli, Polska powstała, wyczerpana i krwią pokryta, ale mimo to promienna i spokojna; nie widać w niej szału niewolnika zrzucającego kajdany, ale dostojną pewność chrześcijanina, co bez trudu powstaje do wolności, zawsze jej godzien«.

REDAKTOR I WYDAWCA: *Ks. Jan Urban T. J.*

Druk ukończono 6. października 1919.

Przeciwko zarazie moralnej.

Nie lubię banalnych narzekań na zepsucie obyczajów. Wiem, że zawsze bywali i są ludzie, co zrzędzili i zrzędzą na upadek moralności w młodszem pokoleniu, zachwalając lepsze czasy własnej swojej młodości. Tymczasem zło moralne, jak wiemy, jest tak stare, jak świat, i jeżeli dzień wczorajszy wydaje się nam jaśniejszym od dzisiejszego, to często pochodzi to stąd, żeśmy się już od owego »wczoraj« oddalili i biedy jego już nas nie cisną.

Nie da się atoli zaprzeczyć, że morze zła moralnego, jak wogóle wszystkie życia ludzkiego przejawy, zna swoje przypływy i odpływy. Może sporną jest rzeczą, czy ludzkość w swoim dziejowym pochodzie zbliża się do ideału, czy raczej się od niego oddala, czy się doskonali, czy też w zepsucie zapada; jakkolwiekby kto na to zagadnienie zapatrywał się, jedno dla nikogo nie powinno ulegać wątpliwości, że pochód naprzód nie odbywa się po prostej linji, ale zygzakowatej i że pchnąć się raźno naprzód, czy zawrócić wstecz zależy nie od jakiegoś nieubłaganego fatum, od jakiejś greckiej »moiry«, ale ostatecznie od zbiorowego wysiłku wolnych dusz ludzkich. Zło moralne jest faktem historji człowieczeństwa, ale nie wolno stawać przed niem bezradnie, choćby ogrom jego przestraszał i odstraszał od walki z niem; wszak nie stajemy bezradnie przed złem fizycznem epidemji tyfusu czy cholery, które są przecież również faktami, a które zwalczamy tem energiczniej, im bardziej się one srożą i im więcej ofiar pochłaniają

Nie potrzeba być ani skwaśniałym zrzędą, ani głębokim obserwatorem życia ostatnich lat, żeby stwierdzić, że jednak fala zepsucia moralnego podniosła się znacznie za naszych dni i że przyczyn tego przypływu trzeba szukać w huraganie wojny światowej. Zło lat ostatnich nie na tem polega, jakoby one dopiero wydały

potworów, dawniej nieznanych, — nie, nawet degeneratów moralnych i zbrodniarzy ziemia nosiła zawsze, — ale na tem, że ta fala współczesnego zła wyrzuca ich coraz więcej, że potęguje się w ogóle społeczności ludzkiej podatność na moralną zarazę, że wskutek tego ta fala potworna grozi pono zalaniem tych nawet lądów, które wydawały się dość wysokie i bezpieczne.

Z całej sumy zła moralnego, jakie częściowo zrodziła, a częściowo znacznie spotęgowała ostatnia wojna, zła, które wlecze za sobą, jak ciało nieodstępny cień swój, fizyczne cherlactwo, ekonomiczny rozstrój, dążąc do rozluźnienia wszystkich wiązań społecznych i do jeszcze krwawszych od wojny przewrotów, jedno się na czoło wysuwa, obok rozleniwienia i niesumienności, jako najgroźniejsza pono zaraza, padająca na dusze ludzkie, — wyuzdanie zmysłowe. Jest to epidemja, która znajdując zawsze dla siebie w naturze ludzkiej podatne podłoże, w tych czasach ostatnich mogła się szczególnie groźnie rozwinąć, kiedy sumienia przez brutalność praw wojny od Boga odwrócone straciły dużo ze swej odporności na ponęty zmysłowego użycia.

Na tę epidemję rozwiązłości we wszystkich jej odmianach czas żeby zdrowsza część społeczeństw zwróciła baczną uwagę i zorganizowała energiczne jej zwalczanie! Obok trosk o ustalenie granic, o odbudowę kraju, o podniesienie dobrobytu, o ochronę zdrowotności fizycznej, postawić winniśmy — owszem na czoło trosk naszych wysunąć troskę o podniesienie i ochronę na przyszłość moralnego zdrowia, o odbudowę dusz ludzkich! Tembardziej, że bez tej moralnej odbudowy pójdzie na marne większa część naszych wysiłków ustalenia lepszej przyszłości narodu, tembardziej jeszcze, że to uzdrowienie moralne jest tem »jednem koniecznem« z ewangelji, decydującem nie tylko o doczesnem, ale i o wiecznem szczęściu człowieka.

O co nam chodzi? Jakie są objawy tej groźnej zarazy, o której mowa, i jak z nią walczyć? Już podczas wojny moraliści rozmaitych krajów, wychowawcy, lekarze, ekonomiści rejestrowali i klasyfikowali objawy moralnego rozprzężenia, zbierali daty statystyczne, i przedkładali każdy ze swego stanowiska środki zaradcze przeciw złemu. U nas sprawą moralnego uzdrowienia niewiele się dotąd zajmowano. I niebezpieczeństwo grozi wielkie, że milczenie o tem złem i czekanie, ażali ono samo nie zmniejszy się przez jakiś cud z nieba, oswoi nas za bardzo z jego widokiem i zmniejszy jeszcze bardziej naszą zdolność do walki z niem. U nas — o ile mi wia-

domo — pono tylko sfery lekarskie zwracają się od czasu do czasu do społeczeństwa z apelem do walki z nierządem, lecz sfery te zbyt zacieśniają pojęcie zła i więcej chcą walczyć z jego fizycznemi skutkami, niż z niem samem. Jeden z profesorów krakowskiej wszechnicy w szeregu obszerniejszych broszur[1]) roztacza przerażający obraz spustoszenia moralnego, a zarazem fizycznego, jakie sprawiła wojna w naszym i innych krajach, atoli i on nie może podać przybliżonych cyfr szkód moralnych dla braku jakiejkolwiek w tym kierunku statystyki autentycznej.

Ale może i zbytecznem byłoby liczenie faktów, jakim się wciąż przyglądamy i o jakich słyszymy ze wszystkich stron. Czyż nie jest rzeczą aż nazbyt znaną, że wojna rozluźniła znacznie spoistość węzła małżeńskiego? Czyż nie można wnioskować zgóry, że z pomiędzy tylu mężczyzn, oderwanych na całe lata od rodzinnego ogniska i rzuconych w otoczenie pełne pokus, musiało wielu doprowadzić do łamania małżeńskiej wierności? Tembardziej, że zgangrenowane moralnie dowództwa wojskowe, jak np. w Austrji i Niemczech, czyniły wszystko, by wojsku rozpustę ułatwić, by nią żołnierza oszołomić, tęsknotę za domem w duszy przytłumić. Wszak za oddziałami idących na fronty wojsk ciągnęły inne oddziały werbowanych, czasem nawet podstępem i przemocą, nierządnic, dla których dowództwo starało się o wagony, o obiady na postojach etc., jakby chodziło o integralną część armji! Czyż dziw, że trudno niejednemu teraz wrócić do surowej dawnej moralności w domu, gdy dłuższy czas folgował namiętności poza małżeństwem, gdy sumienie na tym punkcie znieczulił grzechem? Czyż nie musiało również fatalnie odbić się na moralności kobiet ich opuszczenie w domu i w gospodarstwie, zmuszające je do przyjmowania obcych ludzi do pracy, często wrogiej narodowości jeńców, którzy aż nazbyt często przedzierzgali się w »pocieszycieli« opuszczonych mężatek? Rozszerzenie się nawet wśród ludności wiejskiej chorób zaraźliwych, zawleczonych z frontu, jak również ilość dzieci z pobocznych przygodnych związków — odsłaniają tylko małą cząstkę okropnej prawdy. O rozluźnieniu się znowu węzłów małżeńskich i o lekkomyślnem traktowaniu ślubów wśród sfer inteligentnych świadczy taka w konsystorzach ilość procesów o unieważnienie małżeństwa, o separację,

[1]) Prof. E. Wyrobek: »Z posiewu bogini wojny« i »Choroby weneryczne«. Wyszło już kilka wydań.

jakiej już dawno nie obserwowano, i coraz częstsze odstępstwa od wiary katolickiej do luteranizmu w celu uzyskania rozwodów. Zdaje się, że powracają pod tym względem smutne czasy końca 18 i początku 19 stulecia.

Co się powiedziało o wierności małżeńskiej, to samo trzeba ze smutkiem stwierdzić o czystości małżeńskiego pożycia. Tu podobno spustoszenie jeszcze większe. Już w pierwszym roku wojny Najprzew. arcybiskup lwowski widział się zmuszonym napiętnować w swoim liście pasterskim »O sumieniu« łamanie praw natury, wiodące do zmniejszenia się urodzin, a deprawujące przytem całą duszę oddanych grzesznym praktykom małżonków. Ostatnie lata, niestety, nie przyniosły pod tym względem poprawy, lecz jeszcze bardziej obniżyły etyczny poziom naszej inteligencji i przeniosły tę moralną zarazę na wieś, gdzie przedtem była nieznaną. I społeczeństwo nasze, do niedawna słynne z błogosławieństwa licznych rodzin, wstępuje na drogę, którą długo kroczyła Francja, a za nią inne zachodnie narody. Droga ta prowadzi do wyludnienia, do upadku, do tego, że w międzynarodowych zawodach krajowi, zubożonemu w dzielnych synów, grozi zalanie przez obce żywioły. Zrozumiano to już dobrze na Zachodzie i całe kongresy obradują nad środkami zaradzenia złemu; u nas właśnie wielka część narodu wstępuje z pobudek samolubnych na tę właśnie drogę, którą gdzieindziej potępiło smutne doświadczenie.

O zepsuciu obyczajów wśród młodzieży i wśród mężczyzn wolnego stanu nie potrzeba mówić. Zawsze ono było, ale nasze oczy są świadkami, jak to zepsucie zatacza coraz szersze kręgi, jak dociera do coraz niższych lat młodzieży, do dzieci nawet, jak coraz bezczelniej panoszy się i wstyd wszelki zatraca, jak wciąga w swą służbę książkę i ilustrację, teatr i kino, zabawy i modę.

Wszystko to jest groźne i smutne, ale smutniejszem i groźniejszem od samej tej zarazy jest wielka dla niej pobłażliwość ze strony społeczeństwa, nawet ze strony tej zdrowszej jego części, która za katolicką i zachowawczą uchodzi, ze strony tych czynników, które z natury swego stanowiska do walki ze złem są powołane.

A pobłażliwość ta jest zaiste zdumiewającą! Że 80%, jeśli nie więcej, naszej młodzieży męskiej z klas wyższych, inteligentnych, kosztuje przed małżeństwem owocu zakazanego, to rzecz potworna, ale czyż nie potworniejszą jest rzeczą, że się tego zbytnio nie wstydzi, że się z tem nawet mało kryje i że »towarzystwo« nasze po

największej części upoważnia ją do tego, by się w tych rzeczach wyzbyła żenady? Młody oficer, urzędnik, student poczyta sobie za wykroczenie przestąpienie wojskowej dyscypliny, owszem reguł światowego konwenansu, a nie przestaje się uważać za młodzieńca honorowego, choć się zapozna z prostytucją, choć stanie się uwodzicielem. Jest wszędzie przyjmowany, choć się ma dość silne dowody jego moralnej nicości; może nawet wyciągnąć rękę po rękę najniewinniejszej panny bez obawy odrzucenia ze strony dość poinformowanych w tej mierze jej rodziców, jeśli tylko stanowisko, tytuł, pieniądze, widoki na przyszłość ma na swą rekomendację. Otóż to jeden przykład owej karygodnej pobłażliwości dla zła, pobłażliwości, stającej się poniekąd moralnem wspólnictwem i zachętą.

Że nieznoszący małżeńskiego jarzma mężowie i żony sprzeniewierzają się swoim przysięgom, że nawet krętemi drogami, przez fałsze i krzywoprzysięstwa, przez apostazję od wiary ojców dążą do rozerwania ważnych przed Bogiem więzów, a zawarcia nowych — to rzecz ze stanowiska religijnego i etycznego okropna. Ale czy nie smutniejszą jest ta obojętność, z jaką się przyjmuje takie fakta do wiadomości, tłómacząc je jako konieczność życiową, a same nawet odstępstwa jako prostą formalność kancelaryjną; czy nie horendalną jest ta pobłażliwość, z jaką takim osobnikom podaje się rękę, przyjmuje nadal w katolickim domu, jakby się nic nie stało, z jaką patrzy się na dwużeńców wobec Boga i Kościoła i cierpi się ich nawet — w katolickim kraju — na wybitnych stanowiskach publicznych?

Że się pornografja drapuje w czcigodny płaszcz sztuki, byle wmówić w ogół, że pięknem jest to, co jest moralnie szpetnem, że częstokroć teatr usiłuje odpowiedzieć niewybrednym zapotrzebowaniom publiczności, a kino wprost spekuluje na najniższe pożądliwości natury — to rzecz wstrętna, ale łatwa do zrozumienia: chodzi jednym o tanią popularność, drugim o interes. Ale jak osądzić pobłażliwość lepszej części społeczeństwa, która nawet nie próbuje zwalczać pornografji ani na scenie czy ekranie, ani w ilustracjach i książkach? Co powiedzieć o milczeniu tych, co z urzędu niejako winni piętnować niemoralność w sztuce i literaturze, o nielicznych krytykach na łamach jeszcze mniej licznych katolickich dzienników? Kiedy chodzi o walory artystyczne kompozycji czy wykonania, znajdują ci krytycy dość śmiałości, by miernotę nazwać miernotą, ale z jakąż delikatnością krążą około tematu, kiedy należy coś zganić

ze stanowiska religji i chrześcijańskiej etyki! Jakże się boją zarzutu obskurantyzmu, pruderji, dewocji! Albo co powiedzieć o tem, że najbardziej katolickie, jakie mamy w Polsce, dzienniki bez żadnego, zdaje się, zastanowienia umieszczają bez wyboru wszystkie anonsy kinowe, choćby o najjaskrawszych i najwięcej pikanterji obiecujących tytułach? Tylko dlatego, że się to opłaca? Czyż można potem domagać się uzdrowienia kina, które się dotąd reklamowało, a zatem popierało?

Nie będę już mnożył przykładów tej bezmyślnej, ale niemniej karygodnej wyrozumiałości dla moralnego brudu, jakiej są winne szerokie koła naszego społeczeństwa. Nie stawiam bowiem sobie za zadanie wyczerpującego omówienia przedmiotu, lecz gorące wezwanie do wierzących i czujących po katolicku synów i córek Polski. Zbudźmy się ze śpiączki! Kiedy drzemiemy, nieprzyjaciel sieje kąkol, a tego kąkolu coraz więcej! Czas zabrać się do plewienia! Siedzimy wśród trujących bagien; trudniej będzie walczyć z zarazą, jeśli się nie osuszy jej źródeł! Porzućmy zbytni liberalizm względem roznosicieli fizycznej zarazy. W krajach ościennych katolickie koła przynajmniej usiłują reagować na szerzące się zepsucie obyczajów: stwarzają całą o tem literaturę, organizują kongresy, zawiązują towarzystwa do walki z pornografją i t. d. U nas przed kilku laty rozpoczęło pewną w tym kierunku akcję Towarzystwo imienia Piotra Skargi; wkrótce atoli o niej zapomniano i od dłuższego czasu nie słyszymy nic o jakiejkolwiek na tem polu działalności.

Do tej walki przeciwko zarazie moralnej w i n n i ś m y s i ę z o r g a n i z o w a ć. Obok duchowieństwa, które z powołania swego do walki tej jest obowiązane, muszą stanąć świeccy uświadomieni katolicy. Właściwie uzdrowienie obyczajów winno wszystkim leżeć na sercu, gdyż od niego zależy przyszłość całego narodu; atoli wierzący i konsekwentni katolicy niech staną w pierwszym szeregu, im bowiem wiara wskazuje wyraźnie ideał, do jakiego dążyć się powinno, i pobudki zdolne wywołać energiczny czyn — chodzi tu, w ich oczach, nie tylko o doczesną przyszłość kraju, ale o dusze nieśmiertelne, o świętość Bożego prawa. W szczególności katolickim Polkom przypada do spełnienia szczytne posłannictwo w pracy nad uzdrowieniem obyczajów: wszak tu chodzi przedewszystkiem o honor kobiet, które przecież najwięcej cierpią wskutek rozpasania moralnego. Dlatego Związek kobiet katolickich, zaszczytnie już znany w naszej ojczyźnie ze swojej wielostronnej działalności, winienby

wysunąć walkę z nieobyczajnością na czoło swego programu. Mamy na ziemi naszej dziesiątki Sodalicyj Marjańskich: pań, panów, nauczycielek i innych stanów; niech w walce z nieobyczajnością ujrzą i dla siebie pole do pracy, która może ściślej, niż jakakolwiek inna, związana jest ze czcią Niepokalanej Dziewicy. Możeby do zwalczania rozpusty, na równi z alkoholizmem, zabrały się i stowarzyszenia abstynenckie, jak »Trzeźwość« w Warszawie, jak »Eleuterya« w Krakowie inne im podobne.

A co robić?

Nie piszę szczegółowego programu, bo ten trzeba dokładnie w samych organizacjach, na zjazdach, w prasie omówić i opracować, by akcji nadać jednolity i konsekwentny kierunek. Rzucę tylko parę wytycznych myśli. Trzeba, mojem zdaniem, zacząć od tego, co jest możliwe dla prywatnej inicjatywy w ramach istniejących ustaw, a jednocześnie dążyć do stworzenia prawodawstwa, któreby radykalniej niż obecne tępiło niemoralność.

A więc: Możliwą jest odrazu rzeczą zajęcie przez zdrowszy odłam społeczeństwa należytej postawy wobec moralnego rozpasania i ogłoszenie bojkotu dla wszystkiego, co to rozpasanie popiera. Możemy odrazu zerwać z karygodną pobłażliwością towarzyską względem notorycznych przestępców prawa Bożego i kościelnego, a więc rozpustników, względem odstępców od wiary nie z przekonania, ale dla uzyskania rozwodu, względem stadeł, żyjących w związkach przez Kościół nieuznawanych. Niech takie osobniki wiedzą, że dla nich w katolickich domach miejsca niema, że ich dłoni nie uściśnie dłoń wierzącego a uczciwego człowieka, dopóki ostentacyjnie depcą prawo Boże i poniewierają religię. Możemy zaraz, ile razy nadarzy się potrzeba, protestować w prasie katolickiej przeciw pornografji w druku i na scenie; piętnować i bojkotować i to tak, aby odnośne redakcje o tem wiedziały, te dzienniki, które przyjmują niemoralne inseraty, te ilustracje i czasopisma, które służą erotomanji pod płaszczykiem sztuki i literatury, choćby je podpisywał nie wiem jaki luminarz z wszechnicy; omijać te sklepy i księgarnie, których witryny wystawiają pornograficzne ilustracje i widokówki. Możemy, przy dobrej organizacji a wytrwałości, nawet w ramach obowiązujących ustaw, zmusić do usunięcia niejednego gorszącego obrazka, dopilnować, aby przynajmniej na niektóre kinowe przedstawienia nie dopuszczano młodzieży. Słowem możemy wiele złego potępić, przed niejednem

bliźnich naszych przestrzedz, niejedno z własnych domów wyrzucić, niejednemu zgorszeniu zapobiedz.

Ale trzeba dążyć do czegoś więcej — do obostrzenia przepisów państwowych w zakresie moralności. I tu nie wolno nam czekać z rękami założonemi, że ktoś zgóry zrobi to za nas. W państwie demokratycznem takiemi będą ustawy, jaką będzie opinja publiczna, jaką będzie presja społeczeństwa na przedstawicieli rządu i na posłów sejmowych. I dlatego opinja zorganizowana winna zażądać zmiany dotychczasowych ustaw.

Jedną z najpilniejszych rzeczy — jest zaprowadzenie surowszej miary w ocenie tego, co jest pornografją na scenie, ekranie, czy papierze. A że na organa policyjne nigdy dość nie będzie można spuścić się, lepsza część społeczeństwa winna dążyć do tego, aby cenzurę filmów, ilustracyj, widokówek, inseratów ustawa powierzyła powołanym ad hoc obywatelskim komitetom, złożonym z przedstawicieli duchowieństwa, wychowawców, rodziców. W państwie, dbającem o moralność publiczną, nie powinno być miejsca dla tego rodzaju inseratów, jakie obecnie wypełniają całe kolumny dzienników, gdzie pod pozorem ogłoszeń małżeńskich przemyca się stręczycielstwo nierządu, poszukiwanie żywego towaru na eksport, gdzie pod pretekstem uświadamiania płciowego różni spekulanci, przeważnie sprytne żydki, polecają najwstrętniejsze broszury, wysyłane z zapewnieniem »dyskrecji«, gdzie niesumienni lekarze i akuszerki przejrzyście obiecują pewne operacje, które etyka katolicka piętnuje, jako dzieciobójstwo, gdzie apteki i droguerje anonsują »pewne środki ochronne«, to jest poprostu narzędzia neo-maltuzjańskich praktyk. Temu wszystkiemu winno się ustawowo urwać łeb, jak urwalibyśmy łeb jakiejś potwornej bestji, hodującej i szerzącej zarazki dżumy czy cholery...

Sanacja moralności musi sięgnąć jeszcze głębiej. Byłoby niekonsekwentnem walczyć z reklamą niemoralności, jeżeli z niemoralności czyni się instytucję, zostającą pod opieką państwową. Mamy na myśli prostytucję uznaną i cierpianą przez prawodawstwa. Koncesje na domy nierządu, na salony spotkań, reglamentacja prostytutek winny zniknąć w chrześcijańskiem społeczeństwie. Instytucja ta ma wprawdzie swoich obrońców, przeważnie z pośród hygjenistów, atoli i w tych kołach już przekonują się coraz bardziej, że reglamentacja nie osiąga swego celu — zapobieżenia szerzeniu się chorób wenerycznych, że owszem dla niejednego stanowi zachętę do rozpusty,

dając mu złudną rękojmię bezpieczeństwa. I dlatego w wielu krajach widzimy ruch, tak zwany abolicjonistyczny, domagający się uchylenia reglamentacji i karania wszelkiego nierządu, stręczycielstwa i uwodzicielstwa, już choćby z samego tylko względu na zdrowotność publiczną. My, katolicy, do tego ruchu winniśmy się przyłączyć z pobudek moralnych. Traktowanie prostytucji, tej najwstrętniejszej plagi na obyczajach ludzkich, jakby jakiejś instytucji rządowej, paczy wprost pojęcia i sumienia przyzwoitych skądinąd ludzi. Kilkakrotnie miałem sposobność przekonać się o tem. Gdym w prywatnych lekcjach etyki, dawanych dorosłym konwertytom, zwracał uwagę na niegodziwość prostytucji, spotykałem się z pewnem zdziwieniem: przecież państwo tej rzeczy nie zabrania, owszem ustawowo reguluje... W drugim roku wojny rozlepiano po rogach ulic w miastach »katolickiej« Austrji, po koszarach i szpitalach (cytuję fakty ze Śląska Cieszyńskiego) instrukcje, wydane i podpisane przez komendę wojskową i lekarza wojskowego, a pouczające żołnierzy, jakich przy odwiedzaniu publicznych kobiet mają używać ostrożności (prezerwatywów), by uniknąć zarażenia się. Sama rozpusta nie była potępioną ani jednem słowem; grożono tylko, że karanym będzie ten żołnierz, który się zarazi, a wiedział, jak tej ewentualności uniknąć. Jakże z takiego postawienia kwestji nie ma wywnioskować niesubtelny umysł moralnego prostaka, że rozpusta w pewnych okolicznościach, np. w służbie wojskowej, jest rzeczą uznaną przez same władze za konieczną, a zatem godziwą? Cóż dziwnego, jeżeli ta tolerancja nierządu ze strony państwa, owszem ułatwianie go do tego stopnia znieczuli chrześcijańskie sumienie, że wprost już nie spostrzeże ohydy moralnej? Znowu przytoczę fakt: niedawno żołnierz hallerczyk, pochodzący z Ameryki, opowiadał wobec paru księży z całą prostotą i naturalnością bez zarumienienia się, że po zajęciu jakiejś miejscowości mieli takie szczęście, iż na jednego po kilka dziewcząt przypadło! Prostytucja winna być wciągnięta do kodeksu karnego i karana zamknięciem w zakładzie dla robót przymusowych. Przy obłożeniu ludności podatkiem osobisto-dochodowym winno się wziąść tę rzecz pod uwagę: kobieta niezamężna, nie umiejąca się wylegitymować z uczciwego źródła utrzymania, winna być uprzątana z pośród społeczeństwa i zapędzana do przymusowej pracy. Reglamentacja, przynosząca bardzo wątpliwe korzyści, a zachęcająca do nierządu i fałszująca sumienia, winna być zniesiona. U nas, o ile wiadomo, stoją na tem stanowisku Związek kobiet katolickich i istnie-

jące w Warszawie, lecz mało ogółowi znane, Towarzystwo walki z nierządem i chorobami wenerycznemi. Potrzeba, aby znalazły u społeczeństwa wszelkie poparcie, same zaś, aby rozwinęły swe starania energiczniej i nie spoczęły, aż skutku dopną.

Oto zgrubsza naszkicowany plan akcji, jaka zbiorowo winna być wszczętą dla uzdrowienia moralności. Jeszcze raz przyznaję, że walka z tą hydrą stugłową jest bardzo ciężka, — niech to jednak nas nie zraża. »Tego chce Bóg«! wołali niegdyś krzyżowcy, śpieszący, by uwolnić zbeszczeszczone miejsca święte. Pod hasłem: »tego chce Bóg«! zorganizujmy nową krucjatę dla wyzwolenia ujarzmionych przez zepsucie dusz ludzkich.

Ks. J. Urban.

WSPÓŁCZESNE PRZEMIANY W ŻYDOSTWIE.

W kraju naszym już od bardzo dawna mieszka mnóstwo Żydów. Najbardziej bogate i ruchliwe dzielnice w miastach do nich należą. Korzystając z wiekowych swobód, zdołali skupić w swych rękach znaczną część tak ruchomego, jak i nieruchomego majątku.

Gdy jeszcze w średniowieczu narody zachodnio-i południowo-europejskie, jak Niemcy, Anglicy, Francuzi i wiele innych prześladowały Żydów i z krain swoich wyrzucały, ci szli tam, dokąd im wstępu nie wzbraniano. Ciągnęli do Czech, do północnych Niemiec, ale gdy i tam wydawane były rozmaite ograniczenia w stosunku do Żydów, zaczęli napływać do Polski.

Wiadomą jest powszechnie rzeczą, że naród polski od najdawniejszych czasów, jak tylko znaną jest jego historja, odznaczał się wielką łagodnością charakteru. Miał zawsze litościwe serce dla uciśnionych, pomagał im w biedzie, otwierał bramy swych miast na ich przyjęcie, nie przewidując, nie zdając sobie sprawy, że przygarnianie bez wyboru i bez ograniczenia obcych żywiołów może mu wyjść na szkodę. Naród o charakterze łatwowiernym i dobroduszn ym nie liczył się z tem, co będzie w przyszłości — żył chwilą obecną. Królowie polscy, pragnąc na wzór państw zachodnio-europejskich stworzyć stan trzeci, to jest mieszczański, zakładali miasta. Rolnicza ludność polska, szlachecka zarówno jak i włościańska, nie odczuwała potrzeby przenoszenia się do miasta, sprowadzano przeto Niemców i pozwalano bez żadnych ograniczeń na osiedlanie się mas żydowskich; stąd też miasta nasze zyskały charakter niemiecko-żydowski. Niemcy z biegiem czasu połączyli się z miejscową ludnością, przyjmując język polski. Polonizacja miast rozpoczęła się od r. 1524, kiedy w kancelarji królewskiej na Wawelu wprowadzono

zamiast łacińskiego język polski. Żydzi natomiast zachowali do tego czasu całkowicie swoją odrębność.

Żydzi poznali dobrze usposobienie narodu polskiego. Gromadnie napływali na ziemie zamieszkałe przez Polaków. I choć zatrzymali odrębne cechy rasowe i wyznaniowe, umieli się wkraść w łaski książąt i królów. Henryk Pobożny, książę kaliski, na początku XIII wieku nadaje im rozległe przywileje, których Żydzi nie znali, przebywając w innych krajach europejskich. Zabójca np. żyda chrześcijanin nietylko był karany śmiercią, lecz i cały jego majątek ulegał konfiskacie. Zabójcę natomiast szlachcica czekała kara śmierci bez konfiskaty majątku [1]). Nieco później, Kazimierz Wielki nietylko że potwierdza przywileje dawniejsze, lecz wzbogaca je nowemi, dając możność pozwalania swobodnego handlu, korzystania z różnych łask i dobrodziejstw, niedostępnych dla ludności miejscowej.

Dzięki tym swobodom i przywilejom, żydzi kupowali majątki, zakładali przedsiębiorstwa, budowali ładne bóżnice, mieli u siebie swój własny zarząd, swoje prawa, które państwo w całości popierało. Nic też dziwnego, że żydostwo wzrastało liczebnie i w krótkim czasie opanowało zwłaszcza pod względem handlowym niemal wszystkie miasta polskie.

Naogół pomiędzy napływową ludnością żydowską a Polakami była zgoda, to też Żydzi, jakkolwiek odrębne prowadzili życie, zajmując osobne dzielnice, nie interesowali się sprawami polskiemi, zadowoleni, że mieszkają w kraju polskim, który przytulił ich, jako synów, nie wymagając ofiar, jakie składali poddani. Nie leży w naszym zamiarze pisanie historji stosunków pomiędzy Żydami a narodem polskim w przeszłości, nas obchodzą przedewszystkiem czasy obecne i o nich zamierzamy wypowiedzieć kilka uwag.

I.

Czasy obecne, gdy weźmiemy pod uwagę dążności narodowościowe, mocno się różnią od dawniejszych. Do połowy prawie XIX wieku nieznany był w całej Europie ruch, który nazywamy nacjonalistycznym, to jest dążeniem narodowościowem. Nowy ruch ujawnił się w daleko większym stopniu wśród narodów pozbawio-

[1]) Por. M. P. Sawicki, Żydzi, ich dzieje ze względu na stan obecny Polski mieszkańców wyznania Mojżeszowego. Warszawa, 1865.

nych własnej państwowości, aniżeli wśród tych, które korzystają z niepodległego bytu politycznego. Pod wpływem wzmiankowanych dążności poruszyło się całe żydostwo. Lecz od chwili, gdy rozwinął się ów ruch nacjonalistyczny, stosunek Żydów do narodu polskiego zaczął ulegać pewnej zmianie. Wśród Żydów obudził się duch odrębności narodowej. Gdyby posiadali własną ziemię, swoją ojczyznę, tedy ruch nacjonalistyczny nie byłby dziwnym, owszem całkiem naturalnym. Żydzi wszakże nie posiadają własnej ojczyzny, ani właściwie języka narodowego. Rozprószeni po świecie, korzystają z gościny w obcej ziemi i muszą się jasno wypowiadać, czy są obywatelami tej ziemi, czy też nie. Wielu zaczęło się wypowiadać, że nie są obywatelami — że losy ziemi, w której od wieków mieszkają, są im obce i t. d. Oczywiście pod wpływem takich oświadczeń wszystkie społeczeństwa rdzenne zmieniły swoje zapatrywania na sprawę stosunków do Żydów. W tych krajach, gdzie odsetek żydowski jest bardzo nieliczny, nie zwracano zbyt pilnej uwagi na obce dążności żydostwa. Całkiem inaczej ma się rzecz w krajach o silnem zaludnieniu żydowskiem. Siła narodu zależy od wspólnych dążeń i zwartości pojęć. Jeżeli wielki odłam ludności kraju świadomie zwartość rozrywa, niepodobieństwem jest, aby całe społeczeństwo tego nie zauważyło i nie podjęło starań, zmierzających ku zjednoczeniu myśli narodowej. Dążenia nacjonalistyczne Żydów nie mogły pozostać bez echa na ziemiach polskich, na których, jak wiadomo, mieszka największy ich procent. W społeczeństwie polskiem obudził się ruch antysemicki, który nie przybrał wszakże takich rozmiarów, jak w innych krajach, np. w Rosji, w Rumunji i w Austrji.

Ze wzrostem nacjonalizmu zwiększał się przedział pomiędzy społeczeństwem polskiem a żydowskiem. Wielki odłam żydostwa zaczął się głośno wypowiadać, że, jakkolwiek mieszka na ziemi polskiej, nie uważa się za Polaków, posiada dążności całkiem różne od narodu polskiego. Stanowisko Żydów, głoszących takie hasła, było zupełnie niewyraźne. Nie przyznawali się do państwowości polskiej, ani do żadnej innej, a własnej przecież nie posiadali. Byli więc niejako zawieszeni pomiędzy niebem a ziemią. Tymczasem, skutkiem takiego postawienia sprawy, stosunki do miejscowej ludności ciągle się zaogniały; położenie Żydów z dnia na dzień stawało się bardziej przykre. Aby wybrnąć z trudnego położenia, Żydzi rozpoczęli pracę nad urzeczywistnieniem własnych planów, to jest nad

stworzeniem własnej państwowości. Bardzo wielu skierowało wzrok na Palestynę, marząc o utworzeniu zeń państwa samodzielnego.

Myśl odzyskania Palestyny, swej dawnej ojczyzny, ogarnęła szerokie masy żydostwa. Zajęto się gorliwie pracą nad uświadomieniem, że państwo żydowskie, o ile ma być stworzone, powinno być tylko w tym kraju, który kiedyś Żydzi posiadali. Nacjonalizm, skierowany do odzyskania utraconej ojczyzny, ma swe uzasadnienie i nie można się dziwić Żydom, pragnącym przenieść się do Palestyny.

Nowy ruch żydowski, skierowany do odzyskania Palestyny, nazwano s j o n i z m e m od Sjonu, jednego z pagórków w Jerozolimie, miejsca uświęconego i ukochanego przez całe żydostwo, ponieważ na tem wzgórzu niegdyś król Dawid zbudował pałac królewski i mieszkali w nim następni królowie żydowscy. Wszyscy zaś dążący do odzyskania niepodległości w Palestynie nazywani są sjonistami.

Gdy sjonizm rozszerzył się wśród żydostwa po świecie, powstał jeszcze inny odłam Żydów, nazywających się n a c j o n a l i s t a m i lub terytorjalistami. Są to więc dwa najgłówniejsze kierunki w żydostwie, o których pragniemy pomówić. Wiadomości o sjonistach, zarówno jak i o nacjonalistach są dla nas bardzo potrzebne, ponieważ obydwa odłamy rozwijają się przedewszystkiem na naszej ziemi i mają wiele styczności z naszemi sprawami. Wprzód o sjonistach, a potem o nacjonalistach.

II.

Rzucone hasło odzyskania Palestyny, jak prąd elektryczny, przenika całe żydostwo. Nadzieje, związane ze sprawą niepodległej Palestyny, nie słabną nawet wówczas, gdy rozwija się inne — biegunowo różne hasło — a s y m i l a c j a, to znaczy złączenie i zjednoczenie się żydostwa co do dążności narodowych z temi narodami, wśród których Żydzi mieszkają. Początkowo hasłom sjonistycznym ulega młodzież inteligentna i średnie warstwy żydostwa. Ogromna masa sfer mniej zamożnych, ponieważ nieoświecona, zamyka się w swym konserwatyźmie, nie dopuszczając nieznanych i nie spopularyzowanych do tego czasu idej. Staje nawet na przeszkodzie grupa Żydów tak zwanych chasydów wraz ze swymi rabinami. Kierownicy jednak sjonizmu, młodzi entuzjaści, nie ustają w pracy. Miljony broszur i pism, rzuconych w masy, zaczynają odnosić skutek. Wielka masa nieuświadomionego żydostwa się porusza. Prądy sjonistyczne

poczynają i tam robić swoje. Masa zaczyna się uświadamiać, że na wzór innych narodów i jej potrzebny jest niepodległy byt państwowy; nie wiedząc zaś na jakiej drodze należy w tym kierunku czynić starania, poddaje się kierownictwu przywódców sjonistycznych. Walka o byt i wybuchy antyżydowskie w różnych miastach rosyjskich, w większym stopniu ułatwiły drogę dla szerzenia się sjonizmu, aniżeli praca oświatowa zapomocą pism i broszur. Wielu zacofanych rabinów oświadczyło się już za sjonizmem. W dzisiejszych czasach sprzedaż emblematów narodowych i zbieranie »szekel'a«, t. j. podatku na zwiększenie funduszu narodowego, stało się popularne we wszystkich warstwach żydostwa, nie wyłączając nawet najdalszych zaścianków.

Inną przeszkodę sjonizmu w łonie samego żydostwa stanowi sfera inteligencji kapitalistycznej. Ci Żydzi najprzód spostrzegli, że sjonizm wystawia żydostwo na ciężkie próby. Najwięcej ucierpieć mogą kapitaliści, którzy, zdobywszy pieniądze, związali się różnemi węzłami, zwłaszcza na tle finansowem, z miejscowem społeczeństwem. Wielu, przyjąwszy chrzest, zupełnie sie zasymilowało, inni, jakkolwiek pozostali pod względem wyznaniowym Żydami, uchodzili przynajmniej w opinji ogółu za Polaków, Niemców, czy Francuzów i byli ze swego losu zadowoleni. Sjonizm przecież domagał się wprost, aby zerwali maskę z oblicza i ukazali się takimi, jakimi byli w duszy. Ofiara to zbyt wielka; względy moralne i materjalne na taki krok nie pozwalały. To też asymilatorowie byli narażeni na największe ataki ze strony sjonistów. Sjonizm zwalcza i zohydza w najostrzejszej formie asymilację. Prowadząc walkę, sjoniści w widoczny sposób przerzedzili zastępy asymilatorów. Niektórzy z tych ostatnich, broniąc swego stanowiska narodowego, rzucili miljony, wprawdzie nie dla popierania sjonistycznego ruchu, lecz dla ratowania nędzy i dla wspierania wysiedleńców w Palestynie. Zakładano w Palestynie instytucje o charakterze filantropijnym, które jednak pośrednio przyczyniały się do wzrostu sjonizmu. Kapitalizm więc żydowski pomimo woli stoczył się w koryto, którem płynie sjonizm.

Najbardziej wpływowa instytucja żydowska w Paryżu, założona przez byłego ministra bankiera, Żyda Cremieux, pod nazwą »Alliance Israelite«, wysyła swego przedstawiciela do Palestyny, aby tam utrwalał osadnictwo żydowskie. Założona szkoła rolnicza »Mikwe Israel« za fundusze tej instytucji ma torować drogę do zdobycia utraconej ojczyzny.

Rozpoczyna się ruch wysiedleńczy. Żydzi przeważnie z Rosji i z Polski w dość znacznej liczbie przenieśli się do Palestyny i zamieszkali jużto w miastach palestyńskich, już w kolonjach rolniczych, założonych przez działaczów sjonistycznych.

Żydzi, opuszczający dotychczasowe siedziby, przedewszystkiem szukali polepszenia warunków ekonomicznych, tego zaś w Palestynie nie znajdowali. Palestyna, jako kraj ubogi, nie pociągała Żydów szukających poprawy swego bytu. Tymczasem antysemityzm wzrastał. Odejmowanie Żydom swobód przyczyniało się do wzrostu nędzy wśród mas szerokich. Społeczeństwa, wśród których Żydzi są rozprószeni, na każdym kroku zaczęły akcentować względem nich nieprzychylność. Z tej niechęci względem Żydów, która w wielu miastach Rosji i Rumunji sprowadziła rozruchy, zrodziła się myśl jaknajprędszego ratowania wygnańców i tworzenia niepodległego państwa dla narodowości żydowskiej. Pragnienie powyższe przejawiło się w twórczym umyśle Teodora Herzla, wielkiego działacza żydowskiego, którego słusznie nazywają ojcem współczesnego sjonizmu.

Teodor Herzl, urodzony w r. 1860 w Budapeszcie z rodziny Żydów hiszpańskich, otrzymał wykształcenie niemieckie. Po skończeniu studjów prawniczych w Wiedniu rozpoczął pracę w dzienniku wiedeńskim »Neue Freie Presse«. Pisze feljetony zgrabne, lekko, choć bez głębszego talentu. W r. 1890 wyjeżdża do Paryża w roli korespondenta wspomnianego dziennika. Tutaj miał możność przypatrzenia się bliższego kwestji żydowskiej. Chciał nieść ratunek swoim współwyznawcom, nie miał wszakże skrystalizowanego zdania co do sposobu i formy niesienia ratunku. W r. 1894 powstaje we Francji słynna sprawa Dreyfus'a. Pod wpływem tej sprawy rozwija się kampanja antyżydowska nietylko we Francji, lecz i w innych krajach. Lotny umysł Herzla spostrzega, że zwlekać nie można. Należy szukać terytorjum, na któremby można stworzyć w przyszłości niepodległe państwo żydowskie. Mniejsza o to, gdzie się znajdzie owo terytorjum, byleby tylko posiadało odpowiednie warunki do rozwoju. Należy wszelkiemi sposobami wspierać ruch wysiedleńczy. Ponieważ do tego czasu już pierwsze kroki wysiedleńcze skierowane były do Palestyny, należy przeto ten ruch podtrzymać i uważać go za objaw wysoce dodatni.

W r. 1895 ogłosił Herzl broszurę p. t. »Państwo żydowskie« i nakreślił w niej nowe tory dla ruchu narodowego. Pragnął hasło sjonizmu rzucić we wszystkie warstwy ludności żydowskiej. Do tego

czasu, jak to już nadmieniłem wyżej, zajmowali się sjonizmem i marzyli o emigracji do Palestyny młodzież i żydzi, nie mogący znaleźć dostatecznego zarobku w krajach, w których mieszkali. Żydzi natomiast zamożni naogół byli obcymi dla wzmiankowanego ruchu. Herzl obawiał się o żydów zamożnych, aby się nie zjednoczyli z miejscowem społeczeństwem i tak o nich pisał: »Gdy masa żydowska znajdzie się w Palestynie, żydzi pozostali w dawnych miejscach posiądą zupełny spokój duchowy; nie będzie już ich drażnił widok cierpień żydowskich, ani krzyk antysemitów, którzy utracą grunt pod nogami ze względu na znaczne zmalenie znienawidzonych obcokrajowców«.

Pod powyższem hasłem rozpoczęto pracę ideową, która z jednej strony polegała na skupianiu i wewnętrznej organizacji żydostwa, a z drugiej — na układach dyplomatycznych z Żydami mieszkającymi w Turcji, jak i z rządem tureckim.

Idąc za namową Herzla, sjoniści zaczęli zwoływać wielkie żydowskie zjazdy w różnych miastach Europy, na których to zjazdach uchwalono następujące żądania sjonistyczne:

1) Sjonizm dąży do stworzenia dla narodu żydowskiego prawnie zabezpieczonego schroniska w Palestynie, dlatego też jest za celowem popieraniem zaludnienia Palestyny przez żydowskich rolników i rzemieślników.

2) Następnem żądaniem jest organizacja całego narodu żydowskiego zapomocą odpowiednich miejscowych i ogólnych związków, odpowiednio do praw panujących w różnych krajach.

3) Wzmocnienie żydowskiego uczucia narodowego i samouświadomienia.

4) Wreszcie kroki przygotowawcze w celu uzyskania zgody mocarstw na urzeczywistnienie celów sjonizmu.

Herzl postawił sprawę żydowską bardzo jasno. Oto stworzenie kraju i narodu żydowskiego. Żydzi staną się narodem politycznie uprawnionym i niezależnym, jeżeli osiągną prawa w Palestynie, przysługujące każdemu wolnemu narodowi. Nie łudzono się nigdy nadzieją, że Żydzi się skupią na dawnym historycznym obszarze, mogącym dzisiaj pomieścić nie wiele więcej nad miljon mieszkańców. Zaledwie dziesiąta część żydostwa mogłaby osiąść we własnym kraju. Choćby jednak i ta dziesiąta część mogła osiąść w Palestynie jako wolny naród, byłoby to wielkiem przeobrażeniem narodu. Wyobrażano sobie, że antysemityzm nie mógłby rozwijać się w ramach

dzisiejszych, gdyż do narodu, posiadającego swój własny rząd i swoją ziemię, nie można stosować tych praw, jakie stosowane są do narodów pozbawionych wolności politycznej.

Urzeczywistnienie atoli wzmiankowanych planów natrafiało na trudności nie do zwyciężenia. Państwa europejskie, aby się pozbyć żywiołu obcego, za jaki w znacznej swej większości uważają się Żydzi, w zasadzie nie miałyby nic przeciwko wysiedleniu ich do Palestyny. Całkiem inne atoli było zapatrywanie rządu tureckiego. Dopóki panował absolutyzm, to jest do r. 1908, sjonistom zdawało się, że Palestynę będzie można kupić na własność. Zawsze pusty skarb ottomański przyjmie wolę kupna. Dowód w postaci złota przekona Abdul-Hamida, ostatniego sułtana z władzą absolutną. Pewne zabiegi były robione i Herzl nie zasypiał w tym względzie sprawy. Sjoniści wszakże nie rozróżniali, że co innego być właścicielem nieruchomości, a co innego — politycznie niepodległym.

Zdobycie Palestyny odkładano na plan dalszy, a temsamem zakładano kolonje, nabywano ziemię, gromadzono kapitały, słowem czyniono wszystko, aby w odpowiedniej chwili można zbliżyć się do urzeczywistnienia planów.

Aby następnie nie osłabić ducha wśród sjonistów, zaczęto szerzyć uświadomienie. Od chwili wybuchu wojny, gdy w krajach, w których mieszka największa część żydostwa, jak na ziemiach polskich i w Rosji, Żydzi odzyskali całkowite swobody wewnętrzne, zaczęli organizować się pomiędzy sobą, szerzyć oświatę w duchu narodowym. Żydzi sjoniści przyjęli za język narodowy dawny zamarły język hebrajski. W tym więc języku ogłaszają gazety, broszury, zakładają kółka samokształcenia, otwierają szkoły, nie wyłączając i gimnazjów ośmioklasowych dla chłopców zarówno jak i dla dziewcząt. Język hebrajski posiada tam wielkie prawa. Młodzież przejęta duchem sjonistycznym przyswaja sobie ten język i wierzy, że kiedyś stanie się on narodowym językiem, gdy Żydzi zdobędą Palestynę jako własne państwo niepodległe.

W r. 1918 Anglicy zdobyli południową Palestynę wraz ze stolicą Jerozolimą. Gdy Jerozolima została uwolniona od władzy tureckiej, zwycięzcy odnieśli się bardzo przychylnie względem ruchu sjonistycznego. W Anglji uformowała się sjonistyczna ekspedycja sanitarna, która wyruszyła do Palestyny. Powstał także pułk ochotników żydowski, walczący obok wojsk Ententy z Turcją. Lord Balfour wygłosił do ekspedycji mowę, w której dał wyraz daleko idącym aspiracjom żydowskim. Dr Weitzmann, przewodniczący komisji sjoni-

stycznej w Palestynie, wysłał w czerwcu 1918 roku telegram do prasy, donosząc, że »każde serce żydowskie bije żywą nadzieją wobec ponownych oświadczeń Anglji, że niesprawiedliwość, którą przez 19 wieków wyrządzano Żydom zostanie usunięta i że żydowski lud napowrót znajdzie w Palestynie, jako w swej ojczyźnie, miejsce bytowania«. W d. 6—9 czerwca tegoż roku, to jest wkrótce po zdobyciu Jerozolimy, obradował w Nowym Yorku żydowski kongres robotniczy, przedstawiając 250.000 zawodowo zorganizowanych robotników. Kongres powziął rezolucję, domagającą się utworzenia pod gwarancją międzynarodową niezawisłej neutralnej żydowskiej republiki w Palestynie. W czasach bezpośrednio po wojnie ma Palestyna być oddana pod opiekę międzynarodowej komisji, wyłonionej z ramienia kongresu pokojowego. W dalszym ciągu rezolucja domaga się unarodowienia ziemi, skarbów naturalnych i środków komunikacyjnych.

Jednocześnie politycy niemieccy, chcąc zatrzeć wrażenie, jakie wywołała deklaracja rządu angielskiego na sjonistach, rozwinęli akcję w celu poparcia (oczywiście bez znaczenia) ruchu sjonistycznego. Biuro prasowe organizacji sjonistycznej w Królestwie Polskiem ogłosiło w tej sprawie następujący komunikat:

»Powszechne zainteresowanie dla sjonizmu, wzrastające od dłuższego czasu również w Niemczech, znalazło swój wyraz w utworzeniu komitetu »Pro Palestina«, do którego przystąpił szereg wybitnych uczonych i polityków z różnych obozów niemieckich... Na zgromadzeniu organizacyjnem wygłosił słowo wstępne p. Raschdau. Zdaniem mówcy, ruch sjonistyczny zasługuje na poparcie niemieckie ze względów politycznych, ponieważ w ten sposób Niemcy mogą przeciwdziałać angielskim celom zaborczym; ze względów ekonomicznych, ponieważ Niemcy popierają tem samem obszar, pozostający od dłuższego czasu z Niemcami w najróżnorodniejszych stosunkach«.

W krótkim czasie zwycięskie wojska pokonały wroga. W początkach listopada 1918 r. cała Palestyna znajdowała się w rękach Anglików. Znamienna jest rzecz, że gdy do Palestyny zostały drzwi naoścież otwarte, gdy nastała chwila urzeczywistnienia marzeń sjonistycznych, sjoniści nie objawiają takiego ruchu, jak wtedy, gdy toczyły się zapasy wojenne.

W ostatnich czasach ze względu na pewne zmiany, jakie zaszły na widowni politycznej, sprawa Palestyny, jako terenu osie-

dleńczego dla sjonistów, tudzież realizacji ich planów, znowu zaczyna się komplikować. Pod koniec sierpnia b. r. na łamach żargonówki »Jid. Folk« N. Szwalbe ubolewa nad dwuznaczną polityką ententy względem sjonistów.

Czytamy tam, że według tajnego układu, zawartego pomiędzy Anglją a Francją w r. 1916, Syrja, na wypadek podziału państwa tureckiego, miała przejść pod protektorat francuski. Gdy Niemcy i Rosja przestały grać rolę w Azji Mniejszej, a Ameryka nie wykazała chęci zaangażowania się tam »mandatem«, traktat z r. 1916 stał się dla Anglji niewygodnym... Teraz, gdy Francja powróciła do polityki kontynentalnej i znajduje na Wschodzie szerokie pole dla swej działalności finansowej, Anglja ujawnia pewien opór względem pretensyj francuskich do Syrji. Opór ten wyraża się w popieraniu arabskiego króla Hedżasu, Emila Fejzula, w jego walce przeciwko Francji... Francuzi pretendują nietylko do Syrji, lecz także do północnej Galileji, gdzie znajdują się rezerwoary wodne, potrzebne dla Palestyny, gdyż bez tych wód nie będzie można urządzić irygacji i otrzymać siły elektrycznej. Organ angielskiego komitetu palestyńskiego »Palestine« zwraca przeto uwagę, że sjoniści żadną miarą nie zgodzą się na kompromis w tej kwestji. Przeciwieństwo pomiędzy Anglją a Francją łączy w ten sposób jeszcze mocniej politykę sjonistyczną z angielską, gdyż tylko dzięki poparciu Anglji można walczyć przeciwko nowemu podziałowi Palestyny. Z drugiej jednak strony sprawa komplikuje się z powodu nowej roli, jaką w konflikcie tym zaczął odgrywać Emil Fejzul.

Mając przed sobą wielki plan zabezpieczenia drogi strategicznej z Egiptu do Indyj, dyplomacja angielska w ostatnim czasie zrealizowała niemal wszystkie swe cele wojenne: Anglja włączyła do swej sfery wpływów Persję przez formalną umowę; Mezopotamja jest niemal całkowicie obsadzona, przyczem opracowano plan odrodzenia tego kraju przez olbrzymie urządzenia nawadniające; Egipt połączono siecią kolei i szos z Palestyną i Syrją. Arabowie grają główną rolę w urzeczywistnieniu tego olbrzymiego systemu, a pretensje francuskie w Syrji są jedynemi przeszkodami, jakie należy usunąć

Polityka tedy sjonistyczna na podstawie prostego wyrachowania skłania się ku Anglji; Anglja natomiast, gdy będzie szło o zrealizowanie planów sjonistycznych, pocznie wysuwać delikatnie Fejzula.

Sjonizm będzie miał pretensje, gdzie się podziały obietnice Anglji co do stworzenia żydowskiej Palestyny.

Wracając jednak do sjonizmu na ziemiach naszych, musimy zaznaczyć, że jakkolwiek sjoniści prowadzą w naszym kraju życie odrębne, nic ich nie obchodzą sprawy polskie. Takie zachowanie jeszcze mniej boli naród polski, ponieważ jasno stawiają rzecz, że nie są Polakami i noszą się z zamiarem wysiedlenia; wiele rzeczy niewłaściwych przechodzi mimo oczu, nie wywołuje ze strony społeczeństwa polskiego jakiegoś większego sprzeciwu.

Jednakże wojna obecna i wielkie swobody, jakie dzięki jej spłynęły na żydowstwo w kraju naszym, wywołały w niem zmianę poglądów co do ukształtowania przyszłego życia narodowego. Oto z jednej strony trudności urzeczywistnienia planów sjonistycznych, a z drugiej nadzwyczaj pomyślne warunki ekonomiczne, zwiększyły stronnictwo nacjonalistyczne, które w pierwszej mierze nas obchodzi.

III.

Na tle aspiracyj sjonistycznych powstało stronnictwo nacjonalistyczne, które się zaczęło nazywać: »Grupą żydowską ludową«. Jest to stronnictwo dzisiaj najliczniejsze i najsilniejsze, przeto nie powinniśmy być nieświadomi tego, co ono robi, do czego dąży na naszej ziemi. Posłuchajmy, co mówią o tym obozie żydowskim chrześcijańscy i żydowscy pisarze, a potem wypowiemy własne sądy. Znany publicysta z Kurjera warszawskiego, p. Bolesław Koskowski, tak określa ów obóz nacjonalistów żydowskich: »Stoi on na tem stanowisku, że sprawa żydowska jest taką sprawą narodowościową, jak każda inna w Europie, i wyciąga z tej analogji wszystkie konsekwencje polityczne. Według poglądów, szerzonych w tym obozie, Żydzi powinni otrzymać prawa mniejszości narodowej. A ponieważ Żydzi u nas nigdzie nie posiadają własnego obszaru narodowego i rozsiani są po miastach mniej więcej równomiernie, więc rzeczone prawa mniejszości narodowej stosowałyby się do całego kraju. Wykonawszy ten program, Polska stałaby się krajem dwunarodowym, czyli, jak się słusznie mawia: Judeo-Polską«.

Znaczy to, że tak zwana »Grupa żydowska ludowa«, do której w dzisiejszych czasach należy bezwzględna większość Żydów, mieszkających na naszej ziemi, nie ma wcale zamiaru wysiedlenia się do Palestyny, ani do żadnego innego kraju. Dlaczego ma się zaj-

mować wysiedlaniem, kiedy u nas jej tak dobrze, jak może w żadnem innem państwie. Chce więc pozostać nadal na ziemiach polskich. Taka anomalja została uprawniona przez traktat pokojowy: Żydom przyznano prawa mniejszości. Pozostając wszakże nadal, nie myślmy, że Żydzi nacjonaliści, czyli ludowcy, chcą przystosować się do praw polskich. Bynajmniej. Ludowcy nie uważają za potrzebne przyswojenie sobie języka polskiego. Za swój język narodowy uważają obecnie używany żargon żydowski i domagają się pełnych praw dla tego języka.

W r. 1917 z okazji nowego roku żydowskiego, który przypadł dnia 17 września, na łamach żargonowej gazety »Juden Wort« ludowcy takie wypowiadają życzenia: »Stoimy obecnie na progu nowego roku, w którym zajść muszą wielkie wydarzenia światowe. Nasze położenie jest wysoce krytyczne i oto słyszymy już z różnych stron smutne oświadczenie: Będziemy musieli emigrować, będziemy musieli szukać nowego kraju. Taka polityka jest błędna i niebezpieczna. Musimy starać się wszelkiemi sposobami powstrzymać swych braci od takiego kroku. Położenie jest ciężkie nie tylko dla nas samych, lecz dla wszystkich w Europie, po wojnie zaś niewątpliwie nie odrazu się polepszy. Lata przejdą, zanim zakrwawiona ludzkość wygoi swe rany.

Nie chcemy w żaden sposób prowadzić polityki emigrowania do Palestyny, ponieważ uważamy wszelką politykę emigracyjną za szkodliwą. Uważamy za szkodliwą politykę emigrowania zarówno do Ameryki, Argentyny, Afryki, czy Azji, a nawet do Palestyny. Nasza polityka winna być skierowana całkowicie na wewnątrz; w życiu wewnętrznem, tu, w krajach, gdzie mieszkamy, musimy starać się odbudować wszystko na nowo. Jeżeli stare podwaliny ekonomiczne się zapadły, czy to wskutek wojny, czy innych przyczyn, to musimy starać się o budowanie nowych, ale nie, broń Boże, uciekać w rezygnacji«.

Grupa więc ludowa żydowska, czyli z małemi wyjątkami wszyscy Żydzi, nie myślą się wysiedlać z kraju, ale nie myślą też o tem, aby mieli się uważać za obywateli tego kraju, w którym mieszkają. Owszem, myślą o obywatelstwie, lecz nie polskiem, choć na polskiej mieszkają ziemi, jeno obywatelstwie żydowskiem, z własnym językiem żargonem, z własnemi szkołami, z urzędowym językiem żargonem w sądach i we wszelkich instytucjach krajowych.

Wobec takiego nastroju licznych mas żydowskich, nic dziwnego, że społeczeństwo polskie ogarniał lęk w czasie wojny, jak się ułożą stosunki polsko-żydowskie po wojnie. Czyż naród polski może patrzeć obojętnie, aby jego własną historyczną ojczyznę zamieszkiwał tak gęsto obcy naród, nie mający i nie chcący mieć nic wspólnego z duchem polskim, z życiem polskiem? Od czasu do czasu ukazują się w prasie polskiej artykuły, nawołujące do czujności, do niezamykania oczu na niebezpieczeństwo, jakie nam grozi. W »Słowie Polskiem«, wychodzącem we Włocławku, w r. 1918 ukazał się w tej sprawie artykuł A. Wójcickiego, który w wyjątkach przytaczamy.

Stosunki polsko-żydowskie na terenie Królestwa wchodzą w fazę krytyczną. Staje się rzeczą coraz bardziej oczywistą, że masy żydowskie, opanowywane przez nacjonalizm, nie zadowalniają się już obietnicą równouprawnienia obywatelskiego w przyszłej wolnej Polsce, lecz dążą uporczywie i konsekwentnie do uzyskania odrębności narodowo-politycznej na ziemiach polskich. Z całej grozy wytworzonej już obecnie sytuacji społeczeństwo polskie nie zupełnie sobie zdaje sprawę. A jednak położenie jest istotnie groźne. Nie ulega wątpliwości, że równouprawnienie obywatelskie będzie dla Żydów tylko etapem w drodze do osiągnięcia celów dalszych, będzie nową silną podstawą operacyjną dla wojującego nacjonalizmu żydowskiego.

Wszelkie iluzje co do przyszłych dobrych stosunków polsko-żydowskich nikną w zetknięciu się z faktami życia codziennego, z całą praktyką dotychczasowego współżycia polsko-żydowskiego. O cóż nam bowiem idzie? Chcemy, by Polska w przyszłości była możliwie najbardziej jednolitą, skonsolidowaną, by wszelkie ataki, przeciw niej wymierzone, spotkały się z jednomyślnym odporem. Czy zaś masy żydowskie, nawet obdarzone zupełnem równouprawnieniem obywatelskiem, będą współdziałać w naszych dążeniach narodowych? Nie, gdyż posiadają i będą posiadać własne cele narodowe, które każą im widzieć swój zysk i swe zwycięstwo w osłabieniu państwa i narodu polskiego; każde takie nasze osłabienie jest przecież zarazem wzmożeniem sił żydowskich w walce o ideały narodowe Żydów i prowadzi prostą drogą do wyniku, na samą myśl którego wzdryga się dusza Polaka: do utworzenia Judeo-Polonji, która oddawna przestała być płodem fantazji, a z dnia na dzień nabiera coraz więcej cech realności.

Postawmy sprawę zupełnie jasno: Narodowi żydowskiemu nie jesteśmy wrogiem, życzymy mu najświetniejszego rozwoju na ziemi historycznie żydowskiej — w Palestynie. Ale nigdy nie pogodzimy się nawet z myślą o tem, by w żywym organiźmie polskim organizm żydowski wyrósł i spotężniał do znaczenia czynnika decydującego o losach narodu polskiego.

Zmiana na korzyść położenia ekonomicznego w czasie niedawnej wojny, to pierwszy powód, który skłonił Żydów do rozpoczęcia starań o przyznanie im praw narodowościowych na tych ziemiach, gdzie dotąd mieszkają. Kadry nacjonalistów-terytorjalistów pod wpływem tych przemian ogromnie wzrosły. Drugim powodem jest demokratyzacja społeczeństw i swobody, jakie Żydzi zyskali w czasie wojny. Wreszcie trzecim — trudności zrealizowania w Palestynie planów sjonistycznych i brak widoków poprawy bytu ekonomicznego w razie emigracji do Palestyny.

Pod wpływem takich nastrojów i stronnicy politycznego sjonizmu znacznie odstąpili od dawnych haseł. Znamienne są pod tym względem uchwały przywódców sjonistycznych, powzięte na konferencji sjonistów w Londynie, zwołanej na d. 24 lutego 1919 r. Obrady toczyły się w obecności 50 przedstawicieli z Anglji, Francji, Palestyny, Rosji, Polski, Południowej Afryki, Australji, Belgji, Egiptu, Argentyny, Hollandji, Czech, Południowej Słowiańszczyzny, Grecji, Szwajcarji i państw Skandynawskich.

Konferencja wydelegowała Weitzmanna i Sokołowa do Paryża dla wygłoszenia referatów na komisji pokojowej. Zgłosili oni razem z del. Levi, podp. Collège de France é Spira, członkiem komitetu palestyńskiego, jako też Uszyszkinem, przedstawicielem Żydów rosyjskich, następujący program sjonistyczny:

1) Zarząd Palestyny obejmuje na najbliższy okres czasu Liga narodów, pod naczelnem kierownictwem Anglji.

2) Palestyna staje się żydowską jednostką autonomiczną, przyczem prawa ludności nieżydowskiej nie będą w niczem naruszone.

Dnia 1 marca konferencja w sprawie Palestyny podjętą została ponownie i obradowała nad memorjałem sjonistycznym, którego główne postanowienia, ujęte w ostateczną formę, brzmią, jak następuje:

§ 1. Stany umawiające się uznają historyczne prawo Żydów do Palestyny, jako też prawo urządzenia tamże narodowego schroniska.

§ 2. Ustala granice Palestyny.

§ 3. Przyznaje Lidze narodów prawo suwerenne Palestyny: wykonanie tego prawa sprawować będzie Anglja.

§ 4. Domaga się wytworzenia w Palestynie takich warunków politycznych, administracyjnych i gospodarczych, aby tamże naród żydowski znalazł swoje narodowe schronisko i zabezpieczenie autonomji, przy równoczesnem zabezpieczeniu praw ludności nieżydowskiej.

Znamiennem jest w tych wszystkich oświadczeniach, że Żydzi nie zgłosili postulatu suwerennego, t. j. samodzielnego państwa żydowskiego, lecz mówią w sposób zgoła niejasny jedynie o schronisku żydowskiem w Palestynie pod protektoratem Ligi narodów.

Żydowska Rada narodowa dla Galicji wschodniej wydała komunikat, datowany z Wiednia, d. 7 marca, r. 1919 o następującem brzmieniu: Żydowska Rada narodowa dla Galicji wschodniej domaga się uznania praw narodu żydowskiego do Palestyny i żąda wydania Żydom ich ojczyzny w dawnych historycznych granicach, atoli przy jednoczesnem równouprawnieniu Żydów pod względem gospodarczym i politycznym we wszystkich innych krajach i przy udzieleniu Żydom autonomji osobistej we wszystkich innych krajach, na zasadzie najszerszej demokracji.

Jeszcze bardziej typowemi są rezolucje polityczne, powzięte na ostatnim zjeździe sjonistów w Warszawie, w sierpniu r. b. Rezolucje brzmią:

1) Należy utworzyć żydowską organizację gminną, jednolitą dla całego kraju z centralnym organem głównym na czele.

2) Należy utworzyć jednolity front żydowski w Polsce i jeszcze więcej podkreślić związek z żydostwem wszechświatowem, oraz utworzyć ogólno-żydowski autorytet zarządzający.

3) Należy utworzyć żydowską Radę narodową z osób, które figurowały na wszystkich listach żydowskich kandydatów do Sejmu, z uwzględnieniem proporcjonalności głosów.

O Palestynie tedy ani słowa.

Tak się przedstawiają współczesne żądania i dążności żydów. Żądania owe mają przedewszystkiem pierwszorzędne znaczenie u nas ze względu na wielkie zaludnienie żydowskie.

IV.

Gdy już poznaliśmy czem jest żydostwo w dobie obecnej, zwróćmy jeszcze uwagę na statystykę, czyli spis Żydów na ziemiach

polskich, abyśmy lepiej mogli sobie uprzytomnić, że Żydzi pod względem narodowym jako żywioł obcy, stanowią dla nas istotne niebezpieczeństwo.

W czasie wojny Juljusz Hirsch, profesor uniwersytetu w Niemczech, ogłosił statystykę, dotyczącą zamieszkania i zajęcia Żydów w Polsce i na ziemiach dawnej Polski. Niektóre z tych cyfr przytaczamy. I tak: Ludność Żydowska w Prusach wschodnich wynosi 0,6% ogółu ludności, w Prusach zachodnich 0,9%, w prowincji poznańskiej i na Górnym Śląsku 1,5%, w Galicji zachodniej i w gubernji wołyńskiej, na Podolu i w gubernji kijowskiej około 12%. Na Litwie zaś 14%, a w Królestwie Polskiem dochodzi do 14,64% ludności kraju i przedstawia w niem cyfrę około 2,600.000 dusz. Ze wszystkich ziem polskich odsetek ludności żydowskiej najwyższy jest w Królestwie Kongresowem. Ludność ta rozmieszczona jest w ten sposób, iż w gminach wiejskich mieszka jedynie 2,4%, zaś w miastach i miasteczkach (osadach) 97,6% ogółu tej ludności.

W miastach tworzą Żydzi przeciętnie 40,2% mieszkańców, przyczem stosunek procentowy w poszczególnych okręgach gubernjalnych jest naogół niejednomierny. I tak: w gubernji siedleckiej odsetek Żydów mieszkających w miastach i miasteczkach wynosi 64%, w suwalskiej 59,8%, w radomskiej 56,7%, w łomżyńskiej 52,3%, warszawskiej (bez Warszawy) 49,2%, płockiej 47,4%, kaliskiej 41%. W pozostałych gubernjach odsetek Żydów miejskich spada poniżej cyfry przeciętnej 40,2%.

W Warszawie odsetek Żydów wynosi 36,88%. Po przyłączeniu gmin podmiejskich, uskutecznionem w czasie okupacji, procent ludności żydowskiej znacznie się zmniejszył.

Statystyka powyższa sięga roku 1916; dzisiaj nie jest zbyt dokładną. Dzisiejsze obliczenie wykazałoby cyfry niewątpliwie większe na korzyść Żydów. Dane statystyczne, przeprowadzane dorywczo w czasie wojny, wykazywały wszędzie z jednej strony większą śmiertelność wśród chrześcijan, aniżeli wśród żydów, a z drugiej — większą procentowo liczbę urodzin wśród żydów, aniżeli wśród chrześcijan.

Podział ludności żydowskiej Królestwa na poszczególne zawody daje następujący obraz: kapitalistów jest 4,82%, rolnictwu poświęca się 2,33%, handlowi 38,02%, rzemiosłu 16,27%, robotnicy fabryczni przedstawiają cyfrę 18,64%, w charakterze urzędników zatrudnionych w handlu i przemyśle 8,4%, na inne zawody przypada 11,54%.

Dość interesujący jest udział Żydów w poszczególnych zawodach w stosunku do ogólnej liczby osób w danym zawodzie zatrudnionych. I tak na Żydów, którzy tworzą 14,64% ogołu ludności Królestwa, przypada między innemi: w rolnictwie 0,6% w zawodzie nauczycielskim (do którego statystyka rosyjska zalicza również nauczycieli w chederach) 52,9%. W handlu, jak wiadomo, mają Żydzi przeważającą większość, lecz w poszczególnych działach handlowych nie są równomiernie rozdzieleni. I tak: w hotelarstwie występują oni z cyfrą 38,6%, w szynkarstwie 52,4%, w handlu galanteryjnym 55,4%, w handlu konfekcyjnym z cyfrą 86,6%. Olbrzymią przewagę mają przedewszystkiem w handlu maszynami 87,8%, w handlu skórnym 93,3% i w handlu zbożem, gdzie wykazują najwyższą cyfrę, bo aż 94,1%. W domokrąstwie przedstawiają cyfrę 91,4%.

Jaskrawość stosunków socjalnych wśród ludności żydowskiej ujawni się w całej pełni, gdy się zważy, iż ludność ta, wynosząca 14,64% ogółu ludności Królestwa Polskiego, uczestnicy w ogólnej liczbie kapitalistów z cyfrą 28%, w grupie zawodowych żebraków z odsętkiem 29,8 (ta ostatnia cyfra w czasie wojny znacznie się zmniejszyła) i wreszcie wśród osób trudniących się nierządem z cyfrą 27,3%.

V.

Rozpatrzyliśmy dążności żydowskie, przytoczyliśmy cyfry, aby dać dokładniejszy obraz, jak się przedstawia ilość ludności żydowskiej w stosunku do polskiej i udział ludności żydowskiej w rozmaitych gałęziach handlu i przemysłu. I oto te cyfry nasuwają nam wiele znaczące uwagi. Niektóre gałęzie handlu i przemysłu nieomal całkowicie opanowane są przez Żydów. Dopóki żywioł żydowski nie był nam tak jaskrawie obcy, nie było w społeczeństwie polskiem obawy, że przemysł i handel, jakkolwiek znajdują się w obcych rękach, nie są całkiem dla nas stracone. Od czasu zaś, jak Żydzi głoszą publicznie, że sprawa polska jest dla nich obca, że są odrębnym narodem, posiadającym swój własny język i prawa, przed narodem polskim stoi groźne przypomnienie: bacz, abyś nie dostał się w niewolę obcych, abyś na własnej ziemi, którą ojcowie twoi i pradziadowie krwią zrosili, nie stał się sługą i niewolnikiem!

Weźmy pod uwagę miasta nasze. Otóż tam blisko połowa ludności jest żydowska, a wiele jest takich, że ludność polska stanowi mniejszość. Nawet w tych miastach, gdzie odsetek ludności

polskiej jest większy, to jednak większość majątku nieruchomego znajduje się w rękach żydowskich.

Naród tedy baczyć winien, że jest stróżem własności, w której odbija się polskie oblicze Ojczyzny, i od opieki nad tą własnością żadne względy uwolnić go nie mogą. Nie powinniśmy stawać przed żadną pracą, przed żadnym obowiązkiem, który zmierza ku zachowaniu polskiego charakteru i dobra Ojczyzny. Każda placówka zdobyta na polu pracy narodowej i społecznej stanie się ostoją polskości. Nie można z tą dobroduszną lekkomyślnością patrzeć, jak przepadają różne dziedziny życia narodowego.

Nie należy utożsamiać tolerancji z obroną świętych i wrodzonych praw człowieka. Naród polski zawsze odznaczał się tolerancją i ta cecha nadal pozostanie w jego charakterze; bronić wszakże się musi przed wdzieraniem się obcych pierwiastków do życia narodowego. Gdyby na tem polu pracę zlekceważył, sprzeniewierzyłby się swemu poselstwu dziejowemu.

Dzisiaj stanęliśmy na progu, na którym ważą się losy naszej przyszłości. I spostrzegliśmy, że obrona praw i życia narodowego była prowadzona niedbale, dlatego też doszliśmy do kresu, od którego nasze poglądy i zapatrywania powinny uledz zasadniczej rewizji. Nie ulega wątpliwości, że wskutek dawniejszego niedbalstwa, czy niedoceniania sprawy, czeka nas obecnie praca bardziej przykra i trudna, lecz nie powinniśmy przed nią upadać.

Stoimy przed faktem dokonanym, że żywioł żydowski nigdy nie był nam tak obcy, jak dzisiaj.

Ks. Józef Kruszyński.

Odrodzenie szkolnictwa polskiego w Wielkopolsce.

(Dokończenie).

B. Szkolnictwo średnie.

1. Język polski jako wykładowy i przedmiot nauki.

27 listopada 1918 r. przedstawili się, jak było wyż wspomniane, ks. prałat Łukomski, prof. Dr Łęgowski i Jan Suchowiak jako delegaci rady robotników i żołnierzy dla bronienia interesów ludności polskiej w szkolnictwie naczelnemu prezesowi prowincji poznańskiej; podzielili się następnie w pracy w ten sposób, że prof. Dr Łęgowski został decernentem polskim przy prowincjonalnem kolegjum szkolnem, mającem nadzór nad szkolnictwem średniem (dotąd zwanem wyższem), a nauczyciel Jan Suchowiak decernentem przy wydziale szkolnym regencji, mającym nadzór nad szkolnictwem ludowem w regencji poznańskiej.

Ponieważ aż do tego czasu we wszystkich szkołach średnich język polski był zupełnie wykluczony, wręczył Dr Łęgowski zaraz przy pierwszej rozmowie z prezesem naczelnym temuż pismo, żądając dla uczniów i uczenic polskich w szkołach średnich wykładu religji w języku polskim a nadto tyle godzin dla języka polskiego jako przedmiotu nauki, ile jest w szczególnych klasach dla niemieckiego, z którego młodzież polską należało zupełnie zwolnić. Stopnie z języka polskiego miały mieć to samo znaczenie, jak stopnie z języka niemieckiego. Na wprowadzenie polskiego wykładu religji naczelny prezes zaraz się zgodził, ale wprowadzenie polskiego jako przedmiotu nauki uczynił zależnem od zezwolenia ministra. To pozwolenie nigdy nie nadeszło, więc też dopiero po wypadkach grudniowych

rozpoczęła się nauka języka polskiego 8-go stycznia 1919 r. we wszystkich szkołach średnich, jak daleko sięga oswobodzona część Wielkopolski. W gimnazjach poza linją demarkacyjną, jak w Lesznie, Rawiczu, Kępnie, Międzyrzeczu, Wschowie, Nakle, Chodzieżu, w Bydgoszczy i w Pile trwa dawniejszy stan rzeczy, wykluczający język polski, chociaż np. w Bydgoszczy polska rada ludowa stawiała do prowincjonalnego kolegjum szkolnego wnioski, aby zaprowadzono język polski jako przedmiot nauki.

W końcu marca 1919 wydał Dr Łęgowski rozporządzenie do wszystkich dyrektorów i przełożonych szkół średnich, aby egzaminy wstępne do klas najniższych odbyły się z uczniami i uczennicami polskiemi po polsku i aby z przyjętej młodzieży polskiej zostały utworzone osobne klasy, w których nauka we wszystkich przedmiotach odbywać się będzie po polsku. To się też stało w oswobodzonych częściach Wielkopolski. Jak się sprawa przedstawia w zajętych częściach, brak dokładnych wiadomości.

Oprócz tego nastąpiło już w czasie wakacyj Bożego Narodzenia przesuwanie uczniów i uczenic w średnich szkołach poznańskich, skutkiem tego w humanistycznej połowie gimnazjum Marji Magdaleny pozostali tylko uczniowie Polacy i mieli naukę we wszystkich przedmiotach w języku polskim. W drugiej zreformowanej połowie w trzech klasach jeszcze odbywała się nauka po niemiecku, ponieważ było tam razem 33 uczniów niemieckich, których nie można było oddzielić, dlatego że nie było dla nich osobnych ubikacyj. Oprócz tego było polskiem liceum przy uczelni Dąbrówki i prywatne liceum królowej Jadwigi. W gimnazjum im. Marcinkowskiego miało dopiero 7 klas wykład wszystkich przedmiotów w języku polskim, a w Wyższej szkole realnej tylko jedna. Natomiast gimnazjum niemieckie dawniej Fryderyka Wilhelma posiadało uczniów wyłącznie niemieckiej narodowości. Trzy prywatne licea tak samo uczyły tylko niemieckie uczennice. Dla uczennic Polek, które nie znalazły pomieszczenia w dotychczasowych liceach, utworzyło się nowe polskie liceum pod kierownictwem p. Rzepeckiej.

W prowincjonalnych szkołach średnich w Ostrowie, Krotoszynie, Wolsztynie, Pleszewie, Śremie, Gnieźnie, Inowrocławiu, Trzemesznie, Wągrówcu i w Rogoźnie są polskie seksty z wykładowym językiem polskim, w innych klasach tylko tu i owdzie zaprowadza się, o ile starczą siły nauczycielskie i jest odpowiednia ilość uczniów polskich, wykład polski w niektórych przedmiotach.

Dalszym krokiem spolszczenia nauki było rozporządzenie Prowincjonalnego kolegjum szkolnego do wszystkich szkół średnich, że odtąd będzie nauka dziejów polskich ośrodkiem historji zarazem dla Polaków, jak i Niemców, natomiast historja Prus uwzględni się tylko o tyle, o ile ona ma wszechświatowe znaczenie. Również i w geografji należy opis ziem polskich szczegółowiej uwzględnić. Mianowicie zaś powinni dyrektorzy wykład historji powierzyć, o ile się da, nauczycielom Polakom. Oprócz tego wyjdzie wkrótce okólnik prowincjonalnego kolegjum szkolnego, polecający, aby we wszystkich przedmiotach nauki, które wykłada nauczyciel Polak tymczasowo po niemiecku, ponieważ większość uczniów jest niemiecka, wszelkie wyrazy techniczne podawano uczniom polskim po polsku i pozwolono im zadane lekcje w historji zdawać w ojczystym języku.

2. Liczba uczniów polskich i niemieckich.

W lutym roku 1919 było w całej Wielkopolsce w 27 męskich zakładach średnich 2.572 uczniów polskich i 7.230 uczniów niemieckich, w 9 żeńskich liceach 635 uczennic polskich, a 3.579 uczennic Niemek, czyli razem 9.802 młodzieży męskiej, a 4.214 żeńskiej.

Aby zwiększyć liczbę uczniów i uczennic polskich, zamianował Dr. Łęgowski przy każdym kierowniku i każdej kierowniczce zakładu polskich doradców lub doradczynie, których zadaniem było pomiędzy innemi kontrolowanie tych kierowników, aby nie utrudniali wstępu młodzieży polskiej do szkół średnich, co się zwykle dotąd praktykowało. Oprócz tego nakłonił prowincjonalne kolegjum szkolne do wydania rozporządzenia, aby przy egzaminach wstępnych przed rozpoczęciem roku szkolnego w kwietniu 1919 egzamin uczniów polskich, zgłaszających się do najniższych klas, odbywał się o ile można w polskim języku i przez polskich nauczycieli, a przy egzaminach do innych klas byli polscy doradcy obecni. Skutkiem tego liczba uczniów w najniższych klasach tak wzrosła, że można było w samym Poznaniu utworzyć 6 sekst polskich, a takież seksty i w Gnieźnie, Inowrocławiu, Trzemesznie, Wągrówcu, Rogoźnie, Krotyszynie, Śremie, Wolsztynie, Pleszewie i Ostrowie. Przyrost uczniów i uczennic polskich w średnich szkołach wykazuje następująca tabela:

W lutym 1919 było w oswobodzonych częściach Wielkopolski 2112 uczniów i 388 uczennic polskich; w początku czerwca było

już 3049 uczniów i 829 uczennic polskich. Liczba uczniów niemieckich w oswobodzonych częściach Wielkopolski spadła w tym samym czasie z 3200 na 2941. Liczba uczniów polskich byłaby o kilkaset większa, gdyby nie brakło uczniów z wyższych klas, którzy w styczniu i lutym gremjalnie wstąpili jako ochotnicy do wojska polskiego. Przyrost uczniów polskich odnosi się z natury rzeczy prawie wyłącznie do klas najniższych, bo do dalszych klas gotowego materjału być nie może i np. pryma dopiero za 7 lat będzie mogła mieć większą liczbę uczniów polskich.

3. Liczba polskich nauczycieli i nauczycielek.

Średnich zakładów męskich liczyła Wielkopolska 27, żeńskich 8, 1-go czerwca powstało jeszcze 1 polskie liceum rządowe. W średnich zakładach rządowych, do których należały prawie wszystkie męskie i dawniejsza szkoła Ludwiki, było około 400 sił nauczycielskich, z tych było do 1-go kwietnia 1919 Polaków tylko 3 profesorów świeckich i 8 księży katechetów. Od 1-go kwietnia r. b. nastąpił zupełny przewrót co do narodowości tych sił, jak wykazuje natępujące zestawienie:

Do 1-go kwietnia 1919 było nauczycieli Polaków	11
Obecnie jest stale zatrudnionych	143
Przychodnich, mających po kilka lekcyj tygodniowo, około .	20
Czyli w ciągu 2 miesięcy wzrosła liczba Polaków i Polek o	152
Pomiędzy nimi jest dyrektorów i przełożonych	12

Z byłego zaboru pruskiego, przeważnie z Wielkopolski, pochodzą:

a) nauczyciele i nauczycielki stale zatrudnieni w liczbie	83
b) przychodnich około	20
Z byłej Galicyi pochodzi	58
Z byłego Królestwa Polskiego	2
W początkach czerwca znajdowało się więc w średnich zakładach rządowych oswobodzonej części Wielkopolski uczących sił polskich	162

4. Spolszczenie zarządu szkolnego.

Do 27 listopada 1918 nie było w prowincjonalnem kolegjum szkolnem ani jednego radcy Polaka, a pomiędzy urzędnikami biu-

rowymi znajdowała się jedna Polka w registraturze. 27 listopada 1918 powierzyła rada robotników i żołnierzy prof. Dr. Łęgowskiemu obronę interesów polskich w Prowincjonalnem kolegjum szkolnem, w styczniu r. b. uznał go Komisarjat pracy N. R. L. swym urzędnikiem i zamianował od 1-go kwietnia członkiem Prowincjonalnego kolegjum szkolnego. W lutym rb. przydzielił Komisarjat ks. prof. Wierzbińskiego do Prowincjonalnego kolegjum szkolnego i zamianował go od 1-go kwietnia także członkiem tegoż kolegjum. Od maja r. b. zatrudnieni są w Prow. kol. szkolnem pobocznie prof. Komischke, prof. Dr. Jabczyński i dyrektor Dr. Krotoski.

Kierownictwo biura objął od 1-go kwietnia Polak, 1 Polka weszła do kancelarji, 1 do registratury i 1 do sekretarjatu.

5. Pierwsza konferencja dyrektorów polskich w Poznaniu.

Celem przyspieszenia akcji około spolszczenia naszego szkolnictwa średniego Prowincjonalne Kojegjum Szkolne za zgodą Sekcji oświaty i szkolnictwa przy Komisarjacie Naczelnej Rady Ludowej uznało za pożądane zwołać pierwszą konferencję polskich dyrektorów dnia 14 czerwca w gmachu Regencji. W konferencji wzięli udział wszyscy świeżo mianowani dyrektorowie Polacy, oraz członkowie i współpracownicy w Prowincjonalnem kolegjum szkolnem. Zaszczycili konferencję swoją obecnością przedstawiciel Sekcji oświaty i szkolnictwa przy Komisarjacie N. R. L. ks. Łukomski, tudzież Prezydent Regencji Dr Celichowski, oraz delegat Ministerjum W. R. i O. P. Dr Węckowski. Wszyscy trzej wymienieni dostojnicy w serdecznych słowach witali tę pierwszą konferencję, życząc wydatnej i owocnej pracy zgromadzonym. Przewodniczył obradom z urzędu prof. Dr Łęgowski. On też wygłosił pierwszy referat, dotyczący tworzenia osobnych klas polskich z polskim językiem wykładowym a) przez urządzenie paralelek polskich i niemieckich w tym samym gmachu, b) przez usunięcie uczniów niemieckich z zakładów polskich do niemieckich, c) przez częściowe używanie języka polskiego przy wykładzie niemieckim. Podczas gdy prof. Dr Łęgowski wziął sobie za zadanie spolszczenie szkół średnich w samym Poznaniu, prof. Jabczyński zastanawiał się nad stanem szkół średnich na prowincji i nad sposobami najrychlejszego ich spolszczenia bez krzywdy dla uczniów niemieckich. Przedmiotem dalszych obrad było spolszczenie

administracji szkolnej, referowane przez dyrektora Steina, dalej podwyższenie opłaty szkolnej i nowe jej uregulowanie na podstawie referatu prof. Dra Jabczyńskiego, unormowanie pracy nauczycielskiej dyrektorów i nauczycieli, ustalenie liczby godzin i obowiązków, unormowanie liczby prac piśmiennych i poprawek na podstawie referatu radcy ks. prof. Wierzbińskiego. Omawiano dalej sprawę bibljotek i t. d., zastanawiano się i nad organizacją ewentualną szkolnictwa na Śląsku, wreszcie i nad aktualną bardzo i interesującą szerokie koła kwestją wakacyj szkolnych. Celem ujednostajnienia szkolnictwa na całym obszarze ziem polskich, należałoby odmienne praktyki, obowiązujące w dawnym zaborze pruskim, zmienić i dostosować się do norm, przyjętych w reszcie Polski. Chodzi o to, aby rok szkolny rozpoczynał się z początkiem września, a wakacje letnie trwały lipiec i sierpień. Przeważna część nauczycielstwa a i dyrektorów była za tem; chodziło tylko o to, czy Komisarjat N. R. L. zgodzi się na te propozycje i czy uchwały konferencji liczne a ważne zatwierdzi w interesie szkoły, młodzieży, a przedewszystkiem społeczeństwa wielkopolskiego.

Uchwały rzeczonej konferencji streszczały się w następujących punktach:

1) Gimnazjum Marji Magdaleny powinno być zupełnie spolszczone przez wydzielenie 33 uczniów niemieckich.

2) Uczniów polskich gimnazjum im. Marcinkowskiego należy połączyć z uczniami wyższej szkoły realnej i utworzyć 5 nowych klas o typie humanistyczno-realnym z polskim językiem wykładowym.

3) Uczelnia Dąbrówki zatrzymuje wykład w języku niemieckim w niektórych klasach najdłużej do końca roku szkolnego 1919. W roku 1920/21 zaprowadzi się tam we wszystkich klasach nauka w języku polskim. W razie potrzeby Prowincjonalne kolegjum szkolne obmyśli środki dla zapewnienia nauki uczennicom niemieckim.

4) Dla uczniów niemieckich, których nie można przenieść do innego zakładu tej samej miejscowości, należy utworzyć paralelki, a w braku ubikacyj odbywać naukę po południu. Gdzie uczniowie niemieccy stanowią nieznaczną mniejszość, należy im dopomóc do otrzymania nauki prywatnej.

5) Dla młodzieży polskiej należy wszędzie, gdzie się znajduje w dostatecznej ilości, tworzyć osobne oddziały.

6) Prowincjonalne kolegjum szkolne wyda wkrótce rozporządzenie, w którem oznaczy te zakłady, w których uczniowie egzaminy do klas wstępnych będą mogli składać tylko w polskim języku.

7) Prowincjonalne kolegjum szkolne poczyni już obecnie starania celem sprowadzenia należytej ilości sił nauczycielskich z innych dzielnic, przedewszystkiem drogą rozpisania konkursu.

9) Budynkom szkolnym należy nadać piętno polskie przez napisy w polskim języku, umieszczenie nad wejściem godła polskiego, przez ozdobienie ścian w miarę możności obrazami polskiemi. W zakładach czysto niemieckich mają być napisy na budynkach również w języku polskim.

10) Państwowe zakłady, podległe Prowincjonalnemu kolegjum szkolnemu używają pieczątki z napisem i godłem polskiem.

11) Państwowe zakłady nie mogą otrzymywać ani do wiadomości ani do wykonania rozporządzeń niemieckiego ministerstwa wyznań i oświecenia; obowiązującemi dla tych zakładów mogą być jedynie rozporządzenia Prowincjonalnego kolegjum szkolnego lub podane za jego pośrednictwem rozporządzenia innych władz polskich.

12) W pismach do władz i instytucyj publicznych jest językiem urzędowym język polski. Języka niemieckiego w tym wypadku używać mogą tylko czysto niemieckie zakłady. W zakładach mięszanych używa się języka niemieckiego w stosunku do uczniów i stron narodowości niemieckiej i w tym języku wydaje się im świadectwa. Postępowanie to trwać będzie tak długo, dopóki rząd polski inaczej nie postanowi.

13) Zakłady polskie i mieszane używają w stosunku do władz szkolnych i w wewnętrznej administracji szkolnej druków polskich, ale mogą się posługiwać drukami niemieckiemi aż do wyczerpania ich zapasu.

14) Zakłady czysto niemieckie mogą się w tym wypadku posługiwać drukami niemieckiemi.

15) Prowincjonalne kolegjum szkolne raczy zająć się sprawą formularzy druków polskich i stworzy do tego osobną komisję.

6. Starania o polskie siły nauczycielskie.

Rozwój szkolnictwa polskiego w byłym zaborze pruskim zależy wobec faktów, przedstawionych wyżej (punkt 3), przedewszystkiem od ściągnięcia polskich sił nauczycielskich z Małopolski i od doboru tychże sił. W tej mierze decydujące czynniki wielkopolskie poczyniły wszystko, aby tych sił nauczycielskich ściągnąć jak największą liczbę o najlepszej kwalifikacji. Główną zasługę około werbowania i dobierania jak najlepszych nauczycieli dla Wielkopolski położyło niewątpliwie Towarzystwo dla obrony kresów zachodnich w Krakowie z jego przedsiębiorczym prezesem Fr. Krzysiakiem na czele i członkiem wydziału, zasłużonym około dziejów szkolnictwa polskiego, prof. uniw. Jagiell. Dr Karbowiakiem oraz baronem Szwantowskim.

Aby akcję przyspieszyć, wysłano z Poznania delegację, złożoną z Dr Namysła i prof. Szwemina do Lwowa i Krakowa. W końcu werbowaniem sił zajął się z urzędu delegat Ministerstwa W. R. i O. P.

Dr Węckowski. Szkoda wielka, że wszystkie te czynniki, bez porozumienia ze sobą działające, paraliżowały niejednokrotnie nawzajem swą akcję z uszczerbkiem dla sprawy i przedmiotowości. Grzeszono może nie tyle podmiotowem osobistem traktowaniem sprawy, choć i tego przewinienia istnieją dowody, ile raczej zbytnią gorliwością i pospiechem, grzech taki jednak we wyjątkowej chwili dziejowej, we wyjątkowych okolicznościach łatwy jest do rozgrzeszenia. Pomagało ochoczo w tej sprawie Towarzystwo Nauczycieli szkół wyższych we Lwowie i w Krakowie, szła Wielkopolsce na rękę małopolska Rada szkolna krajowa z wiceprezydentem Zollem na czele, szło przedewszystkiem Ministerjum W. R. i O. P. Pan minister Łukaszewicz, przy sposobności otwarcia Uniwersytetu Piastowskiego w Poznaniu, wyraził wobec zgromadzonego w gmachu rejencyjnym personalu Prowincjonalnego Kolegjum szkolnego, Rejencji, dyrektorów i nauczycielstwa najgorętszą chęć poparcia akcji spolszczenia szkolnictwa we Wielkopolsce i zarazem zadowolenie, że w tak krótkim czasie decydujące czynniki tutejsze zdołały tyle zdziałać. Aby zaś zarząd nad szkolnictwem, a tem samem prawidłowy jego rozwój dostał się w najbardziej powołane i wypróbowane ręce, zastrzegło sobie Ministerjum W. R. i O. P. dobór sił kierowniczych, od dyrektorów począwszy. Jest to żądanie o tyle słuszne, o ile czynniki lokalne, często bardzo z nadmiaru patrjotyzmu lokalnego, mimowoli może lokalnym i osobistym względom dają więcej folgi, niż to się godzi z interesem szkolnictwa i z dobrem całości. Doświadczenie niejedno smutne pod tym względem już porobiono, a więcej jeszcze gotowo się porobić, jeżeli Ministerjum W. R. i O. P. żądania swego w interesie całości nie przeprowadzi z całą ścisłością i przedmiotowością bezstronną za pośrednictwem swoich przedstawicieli, oczywiście pod każdym względem czy dydaktycznym, czy pedagogicznym, czy kulturalnym, czy moralnym całkiem odpowiednich.

Chcemy dalej przyznać, że dla znacznej, jeżeli nie przeważnej części polskiego nauczycielstwa pobudki idealne, narodowe posłannictwo krzewienia polskości w zgermanizowanej szkole byłego zaboru pruskiego były rozstrzygającym momentem, aby spieszyć do Wielkopolski i nieść przed tutejszem społeczeństwem narodowej oświaty kaganiec, — z drugiej strony jednak i to podnieść trzeba, że władza polska w byłym zaborze pruskim, Komisarjat Naczelnej Rady Ludowej, a z Prowincjonalnego Kolegjum szkolnego prof. Łęgowski, zrozumiawszy, jak trudne i jak odpowiedzialne stanowisko zajmie

w przełomowej chwili polski profesor lub nauczyciel, zdecydowały się przyznać mu znaczne podwyższenie płac tak, aby troska o chleb powszedni nie paraliżowała jego energji w kulturalnej pracy. Rozporządzeniem o poborach urzędników [1]) przyznano nauczycielom szkół średnich na równi z innymi urzędnikami o wykształceniu uniwersyteckiem w 7 klasie płac 9,000 Mk., dodatku starszeństwa za każdy rok $^1/_{50}$ pensji, z policzeniem wszystkich lat urzędowania w Polsce od złożenia egzaminu, względnie od złożenia przysięgi. Dalej otrzymują profesorowie żonaci dodatki na żonę w wysokości $^1/_6$ pensji podstawowej i $^1/_6$ dodatku starszeństwa, dodatku na każde dziecko przed skończeniem 18 roku życia $^1/_{80}$ część pensji podstawowej i tyleż dodatku starszeństwa, dodatku na pomieszkanie wedle 4 klas miejscowości 1.000 M., 1.200 M., 1.500 M., lub 2.000 M., wreszcie dodatków drożyźnianych 15% od pensji podstawowej, dodatków starszeństwa i dodatków na żonę i dzieci. Przyznano nadto kosztów przeprowadzki profesorom z Małopolski żonatym 3.000 M., nieżonatym 1.000 M., prócz kosztów podróży za pierwszą podróż 250 M. Są to zatem daleko idące ustępstwa i płace wcale wysokie, o jakich nauczycielstwo w b. Galicji nie słyszało i marzyć nawet nie mogło. Z drugiej strony domagają się wielkopolskie władze większego wymiaru pracy od nauczycieli niż w b. Galicji. Żądano 24 godzin tygodniowo skróconych o 45 minutach ze zniżką automatyczną po 2 godziny po upływie 10 lat, z tem zastrzeżeniem, że minimum godzin nie mogłoby zejść poniżej 18 godzin. Wobec żądań nauczycielstwa przybyłego z Małopolski, nieprzywykłego do takiego wymiaru godzin, zgodziły się władze szkolne w końcu na 22 godziny pracy tygodniowej, uwzględniając bądź co bądź trudne warunki, w jakich w przełomowej chwili polski wykład odbywać się musi. W ten sposób władze wielkopolskie, idąc małopolskiemu nauczycielstwu jak najbardziej na rękę i uwzględniając wszelkie słuszne postulaty, usiłują zadzierżgnąć ścisłe węzły harmonji i porozumienia, jakie między przełożoną władzą a podwładnym personalem nauczycielskim w interesie wychowania publicznego panować winny. Piszący też jest przekonany, że podejrzliwość i nieufność, jaka niejednokrotnie utrudniała współpracę około wychowania publicznego w byłej Galicji, na wielkopolskiej ziemi i wogóle w państwie pol-

[1]) Rozporządzenia i obwieszczenia Komisarjatu Naczelnej Rady Ludowej 346 Art. 2, § 11—43. Dziennik urzędowy na obwód Regencji poznańskiej i obwodu Regencji bydgoskiej pod zarządem polskim Nr. 21.

skiem ustąpią najściślejszej harmonji i wydatnej współpracy między rządzącą władzą a rządzonymi, bo tylko taka harmonja i chętna a życzliwa współpraca jest nieodzownym warunkiem zdrowego rozwoju oświatowego. Jeżeli zaś kto, to właśnie czynniki rzeźbiące przyszłość narodu, stojące na świeczniku społecznym, tę prawdę zrozumieć powinny i zrozumieją w interesie narodowej przyszłości.

C. Powstanie Uniwersytetu Piastowskiego w Poznaniu.

Poznań nie mieścił w swych murach nigdy dotąd uniwersytetu w pełnem tego słowa znaczeniu. — Miał jednak zakłady naukowe, jak Akademję Lubrańskiego od r. 1519—1780, Kolegjum Jezuickie, od 1573—1780, później Szkołę Narodową od 1780—1793, wreszcie za czasów pruskich Królewską Akademję od 1903—1914, wszystkie nieomal z pewnym zakrojem uniwersyteckim [1]).

Po zamknięciu szkoły Lubrańskiego starał się ks. ex-jezuita Rogaliński utworzyć uniwersytet w Poznaniu. Pojezuickie kolegjum nadawało się dla gmachu »Akademji wielkopolskiej«. Kołłątaj plan ten uniemożebnił, obawiając się osłabienia przez to Akademji krakowskiej. Fundacji Kolegjum poznańskiego i innych szkół pojezuickich użył Kołłątaj na potrzeby szkół w innych województwach.

W r. 1852 stawiał August hr. Cieszkowski, prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk, na sejmie pruskim wniosek o założenie uniwersytetu w Poznaniu i w kwestji szkolnej. Wniosek ten Prusacy odrzucili, jak i petycje miasta Poznania, wniesione w tej mierze do ministerjum, uznając ją »za niewłaściwą« i grożąc w razie powtórzenia podobnej »niewłaściwości« karą dyscyplinarną 30 talarów. Dla rządu pruskiego bowiem uniwersytet w Poznaniu miał służyć nie dla celów oświatowych, lecz germanizacyjnych. I dla tedy kiedy tu wreszcie r. 1903 tworzono Akademję królewską, miała ona w myśl brzmienia pierwszego paragrafu swego statutu »popierać niemieckie życie duchowe we wschodnich marchijach przez swoją działalność naukową i swe dążności w dziedzinie umiejętności« [2]). Najfanatyczniejsi też apostołowie hakatyzmu siali z katedr tej Akademji nasienie nienawiści do polskości i głosili hasła eksterminacyjnej walki z ludnością tubylczą. Wojna wszechświatowa dopiero położyła kres temu krzyżackiemu apostolstwu.

---

[1]) Władysław Pniewski. Akademia poznańska. Poznań 1919, str. 3.
[2]) Tenże str. 20.

Natychmiast, kiedy złamano złowrogą potęgę pruską i jej rządy, profesor Dr Święcicki, prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk, podjął myśl utworzenia uniwersytetu w Poznaniu na nowo, teraz oczywiście w szczęśliwszych warunkach. Wspólnie z docentem Sobeskim i dr Kostrzewskim utworzyli komisję uniwersytecką, która się wyłoniła niejako z łona Towarzystwa Przyjaciół Nauk; prof. Święcicki był jej prezesem, p. Sobeski członkiem, a p. Kostrzewski urzędnikiem.

W początkach stycznia r. b. udali się prof. Święcicki z ks. kanonikiem Łukomskim, szefem sekcji dla spraw oświaty i szkolnictwa przy Naczelnej Radzie Ludowej, do Warszawy, by tam zasięgnąć informacji, o ile i na jakie poparcie u rządu polskiego, oraz kół naukowych sprawa utworzenia wszechnicy w Poznaniu liczyćby mogła. Po zebraniu odpowiednich danych wrócili delegaci do Poznania z nadzieją, iż zamiar powzięty da się przeprowadzić. — Zdawszy referat Komisarjatowi do zatwierdzenia, Komisja uniwersytecka tymczasem rozszerzyła się o 2 członków Towarzystwa P. N. ze sekcji lekarskiej, a mianowicie Dr Stanisława Łazarewicza i Dr Jezierskiego. Posiedzenia komisji odbywały się w każdy niemal wtorek, sekretarzem był Dr Kostrzewski, później Dr Jezierski. Na posiedzeniach komisji obradowano nad organizacją uniwersytetu, a mianowicie nad utworzeniem wydziału filozoficznego i prawnego, nad sprawą ubikacyj dla uniwersytetu, nad sprawą funduszu i t. d. Komisarze ks. patron Adamski i p. Poszwiński okazali odrazu wielką dla przyszłego uniwersytetu życzliwość; odtąd też sprawa utworzenia uniwersytetu, omawiana ze szefem spraw oświaty i szkolnictwa, rozwijała się w szybszem tempie. Na pomieszczenie wszechnicy przeznaczono gmach dawniejszej Akademji królewskiej, oraz część byłego zamku cesarskiego. Pertraktacje z kandydatami na poszczególne katedry trwały często długo, zanim doszło do decyzji, którą potwierdzały Komisarjat i Ministerstwo Wyz. Rel. i Oświecenia Pub. w Warszawie. Bardzo życzliwie odnosił się do wszechnicy poznańskiej, którą prof. Święcicki zaproponował Komisarjatowi nazwać »Piastowską«, a na co Komisarjat się zgodził, szef sekcyi w Ministerstwie W. R. i O. P. prof. Adam Wrzosek. Jego zabiegom, jego życzliwości szybkie zorganizowanie uniwersytetu zawdzięcza niezmiernie wiele. Ale i komisarz Nacz. Rady Ludowej p. Poszwiński, oraz decernent wydziału szkolnictwa i oświaty w Poznaniu ks. prałat Łukomski stale wielką życzliwością otaczali plan utworzenia Wszechnicy Piastowskiej.

Uroczyste otwarcie tej wszechnicy odbyło się 7 maja 1919 r. przy współudziale prymasa Polski, ks. arcyb. Dalbora, ministra W. R. i O. P. p. Łukaszewicza, prezesa Akademji Umiejętności prof. K. Morawskiego i delegatów wszystkich uniwersytetów polskich, wszystkich znaczniejszych ognisk oświatowych polskich. Nabożeństwo inauguracyjne odbyło się w tumie poznańskim, kazanie wygłosił ks. prałat Łukomski. Uczestnicy poświęcenia i otwarcia Uniwersytetu Piastowskiego, zebrani z całej Polski, w uroczystym pochodzie udali się następnie do zamku cesarskiego, gdzie we wspaniałej sali wielkiej odbył się akt poświęcenia przez ks. Prymasa, a otworzenia Uniwersytetu przez p. ministra Łukaszewicza i komisarza Poszwińskiego. Pierwszy wybrany rektor uniwersytetu, J. Magnificencya prof. Święcicki, powitał gości i w dłuższym wykładzie przedstawił dzieje Akademji Lubrańskiego i znaczenie jej profesora europejskiej sławy lekarza poznańczyka Strusia. Wśród przelicznych mów wyróżniało się jak zawsze jędrnością, jasnością i polotem myśli przemówienie prezesa Akademji Umiejętności prof. K. Morawskiego. Z serca przemówił ten mądry i szlachetny syn Wielkopolski i trafił do serc wszystkich. Słowa jego były krasą i okrasą całej uroczystości. Po otwarciu uniwersytetu Komisja uniwersytecka pracuje i nadal. Organizacja wydziału teologicznego prawie była na ukończeniu, jednak otwarcie go na razie odłożono. Z otwarciem wydziału lekarskiego sprawa trudniejsza, bo na utworzenie tego wydziału potrzebne są bardzo znaczne fundusze i odpowiednie gmachy. Nadto brak sił naukowych w medycynie teoretycznej nie zezwala na razie na utworzenie wydziału, tem więcej, że, jak minister p. Łukaszewicz w czasie bytności swej podczas otwarcia uniwersytetu rektorowi oświadczył, pragnie, aby Wszechnica Piastowska, położona na rubieży Ojczyzny i stykająca się z Zachodem, stała pod względem naukowym na bardzo wysokim stopniu. Tak n. p. doktorat poznański będzie utrudniony i tylko rzeczywisty postęp naukowy da doktorandowi możność otrzymania tytułu.

Rozbudowanie uniwersytetu poznańskiego wymagać będzie jeszcze wiele zabiegów. Liczba katedr poszczególnych wydziałów rozszerza się coraz więcej, pomiędzy niemi są także katedry do nowych warunków Polski zastosowane. Zabiegi te atoli rokują wobec energji, objawionej przez czynniki miarodajne, wobec szczerej życzliwości władz dla tej wszechnicy kresowej i wobec ogólnego zapału młodzieży wielkopolskiej do nauki — jak najlepsze nadzieje.

Zakończenie.

Społeczeństwo polskie przejęło szkolnictwo w byłym zaborze pruskim do cna niemal zgermanizowane. Przeszło 800.000 dzieci polskich pobierało naukę w 6.500 szkołach ludowych, z wyjątkiem paru godzin nauki religji w niższych oddziałach, wyłącznie w języku niemieckim. Na 17.000 nauczycieli ludowych 13.000 było Niemców, a tylko 4.000 Polaków, którzy pod presją rządową zmuszeni byli za dodatki wschodnio-kresowe niemczyć polską dziatwę. W szkołach średnich z powodu wstrętów czynionych Polakom przeciętnie było zaledwie 25% uczniów polskich; na 400 sił nauczycielskich w Poznańskiem uczyło tylko 3 profesorów świeckich, a 8 katechetów Polaków wyłącznie w języku niemieckim. Akademja królewska miała wybitnie polityczno-germanizacyjne tendencje na oku, posiadając najskrajniejszych propagatorów hakatyzmu w swem gronie.

Trudności przy spolszczeniu szkolnictwa były i są ogromne. Przedewszystkiem trzeba brakowi sił polskich nauczycielskich zaradzić. W szkolnictwie powszechnem trudno liczyć bardzo na siły nauczycielskie z Małopolski, skoro b. Galicja sama tych sił nie ma zanadto. Z pewnością znaczny procent tych sił małopolskich, zgłoszonych i wybranych, zajmie poważne stanowisko w ludowem szkolnictwie w byłym zaborze pruskim, głównie jednak na własne siły dzielnica ta jest skazana i musi energicznie radzić o sobie przez tworzenie kursów, seminarjów i t. d. W lepszem położeniu znajduje się szkolnictwo średnie.

Rada szkolna krajowa w b. Galicji przez masowe tworzenie coraz to nowych zakładów publicznych i popieranie szkół prywatnych na kresach, a zwłaszcza we wschodniej Galicji, wyhodowała sztucznie pewien nadmiar nie ze wszech miar wyszkolonych sił nauczycielskich. Był to oczywiście błąd, o ile równocześnie zaniedbano troskliwego przygotowania dydaktyczno-pedagogicznego u kandydatów nauczycielskich, którzy bez egzaminów, bez teoretycznego gruntownego przysposobienia obejmowali coraz to liczniejsze posterunki państwowe czy prywatne. Dziś przekonywujemy się, że to postępowanie byłej władzy szkolnej galicyjskiej było opatrznościowe, było felix culpa, która umożliwia przy równoczesnem skasowaniu niepotrzebnych w byłej Galicji zakładów zasilenie nauczycielskiemi siłami szkół średnich zarówno w b. Królestwie, jak i w zaborze

pruskim. — Ściągnięcie jednak dostatecznej ilości sił nauczycielskich nie wystarczy, jeżeli niemi nie pokierują i cały system planowo nie zreorganizują rutynowani pedagodzy szkolnicy, mający pogląd na całość i obznajmieni doskonale z administracją szkolną. Takich atoli brak w byłym zaborze pruskim, gdyż Niemcy Polaków do kierowniczych urzędów nie dopuszczali, a praktyki i rutyny administracyjnej nawet najwybitniejsze zdolności organizacyjne, z których Wielkopolanie słyną, nie zastąpią w zupełności. Jeżeli więc eksperymentowanie in anima vili naszych dzieci nie ma sprowadzić wielu wykolejeń i błędów, Wielkopolska musi volens nolens nie tylko nauczycieli, ale i administratorów szkolnych obejmujących całe szkolnictwo lub pewne działy szkolnictwa, ściągnąć do siebie w osobach najdzielniejszych inspektorów lub rutynowanych dyrektorów z Małopolski.

Tem więcej potrzeba tych tryarjuszy w dziedzinie szkolnictwa daje się odczuwać w przełomowej chwili, o ile plany naukowe pruskie z natury rzeczy muszą ulec zmianie przez wprowadzenie do szkoły języka polskiego, historji i geografji polskiej. Nadto decydujące czynniki godzą się na zredukowanie czasu nauki w szkołach średnich z 9 lat na 8 lat przy równoczesnem posunięciu terminu przyjęcia do szkoły średniej dopiero z dziesiątym rokiem życia. Nie da się dalej utrzymać w demokratycznej Polsce dotychczasowy system przygotowawczy do szkół średnich, oderwany całkiem od szkoły ludowej, a wymagający osobnych szkół przygotowawczych, t. zw. nony, oktawy i septymy, dla uprzywilejowanych warstw i ich dzieci. Nie można też naśladować systemu dawnego galicyjskiego, skoro tenże dopuścił się takiego dydaktycznego grzechu śmiertelnego, iż kazał w pierwszej klasie gimnazjalnej przerabiać uczniom ten sam niemal materjał naukowy, jaki przerabiali rok przedtem w czwartej klasie szkoły ludowej. Tem mniej mogą zadowolnić w zupełności plany warszawskie, opierające się na rosyjskich tradycjach i reformach, zmierzających pod osłoną błyskotliwych frazesów pedagogicznych niedwuznacznie do obniżenia poziomu naukowego w szkole.

W szkolnictwie średniem dalej w byłym zaborze pruskim namnożyła się ogromna ilość najróżnorodniejszych typów szkolnych zwłaszcza po zakładach miejskich nie rządowych: takich wyższych szkół dla dziewcząt, dla chłopców, takich »średnich« szkół lub »miejskich«, progimnazjów i niższych szkół realnych, liceów i jak one się tam zowią. Wszystkie one mimo nazw różnych nie wiele się w gruncie rzeczy różnią od siebie, ale zawsze różnią się — jedne

uprawiają klasycyzm, inne nowoczesne języki francuski i angielski, zaniedbują zaś przedmioty realne oraz naukę poglądową na okazach i przyrządach. Gabinety przyrodnicze, czy fizykalne, a nawet bibljoteki bardzo zaniedbane i nie mogą się równać ze zbiorami naukowemi w byłej Galicji. Wszystko to domaga się gruntownej rewizji, reorganizacji, unifikacji. Kto takiemu zadaniu sprosta? Czy ludzie, przywykli tylko do ciasnego zakresu działania? Czy nie przeciwnie ludzie o szerszych horyzontach, obznajomieni z szeroką rutyną administracyjno-dydaktyczną. Takich nie wiele w Polsce się znajdzie i to wyłącznie prawie w b. Galicji wśród rutynowanych inspektorów lub dyrektorów. Ludzie bez gruntownej znajomości szkolnictwa, bez rutyny dydaktyczno-pedagogicznej mogą conajwyżej uprawiać w dziedzinie organizacji szkolnej mniej lub więcej dyletancką fuszerkę, taką samą, jaką uprawiał niejeden minister lub prezydent w b. Austrji.

Czy są widoki, aby tego rodzaju trudności w byłym zaborze pruskim usunąć? Niewątpliwie, tak. Wielkopolan cechuje niesłychana energja, rzutkość, zapał i pewność siebie. Trzeba niejednokrotnie podziwiać dziś tych »ludzi nowych« w nowych stosunkach, ich zmysł organizacyjny, który pokonał niesłychane trudności w tak krótkim czasie. W Wielkopolsce panuje nietylko zapał i pewność siebie, ale i nieugięta wola stworzenia czegoś dobrego. Niewątpliwie i tu osobiste względy odgrywają rolę i tu protekcja niejednokrotnie wyświadcza sprawie publicznej szkody, ale wrodzona energja ułatwia szybsze usuwanie błędów i niewłaściwych osób szkodliwych dla rozwoju sprawy. Niezaprzeczenie panuje i tu zasada, by swymi ludźmi obsadzać wszystkie kierownicze posterunki nietyle może z egoizmu dzielnicowego, ile raczej z wrodzonego przekonania, że Wielkopolanie są rzeczywiście tęższi, dzielniejsi, więcej warci od innych Polaków. Z tem wszystkiem, jeżeli kto tylko tu okaże prawdziwą dzielność i wartość, rychło sobie zdobywa uznanie i jako Wielkopolanin z ducha przyjęty jest do równych praw. Uprzywilejowanych miernot na decydujących stanowiskach nie toleruje się tutaj tak łatwo, jak gdzieindziej, a to dzięki niesłychanie wysoko rozwiniętemu duchowi obywatelskiemu, poświęceniu i sumienności. Te zalety rokują, że Wielkopolska rychlej pozna się na karjerowiczach i potrafi ich rychlej usunąć z odpowiedzialnych stanowisk, niż gdzieindziej, a ściągać »the right mans of the right place«.

Przedewszystkiem jednak wielkopolskie społeczeństwo jest głęboko religijne nie tylko w masach ludowych, ale i wśród inteligencji i pragnie bezwzględnie wyznaniowej szkoły i religijnego wychowania, które jednak z bigoterją nie ma nic do czynienia. Stąd też ksiądz ma tu nie tylko w życiu, ale i w szkole wysokie znaczenie, ale tylko o tyle, o ile rzeczywiście na nie zasługuje. Sprawie Kościoła ludzie, a zatem i nauczycielstwo wielkopolskie duszą i sercem są oddani. Indyferentyzm albo wrogie Kościołowi żywioły nie odgrywają tu roli, co najwyżej komiczną. Nauczyciel, któryby wystąpił przeciw Kościołowi lub gorszył młodzież, niedługoby się tu ostał. Pod tym względem Wielkopolanie są twardzi, kto wie, czy nie zbytnio twardzi. Tem się tłómaczy, dlaczego socjalizm, radykalizm, a nawet Młoda Polska liberalizująca, tylko przez nieliczną grupę inteligencji popierana, nie ma miru wśród tutejszego społeczeństwa i suchotniczy tylko wiedzie żywot. Kiedy na wiecu socjalistycznym przedwyborczym w maju b. r. socjalistyczny agitator zaczął się miotać na Kościół i jego sługi, robotnik polski odpowiedział mu »Na wieki wieków Amen«. A gdzie »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus«? i niepowołanego apostoła wyrzucono bez ceregeli za drzwi. Odpowiedź ta prostego robotnika z Poznania jest wyrazem uczuć całego społeczeństwa wielkopolskiego. Bóg i Ojczyzna — to nie tylko błyskotliwy frazes dla świątecznego popisu w tem społeczeństwie — to istota, to treść duszy każdego prawdziwego Wielkopolski syna. Twarde to, napozór zimne i odpychające plemię — ale nieugięte, uporne i odporne tam, gdzie tego trzeba i na tem opierają się jego świetne horoskopy na przyszłość i jego misja, by stało się wzorem, przykładem i zbudowaniem całej Polski nawet w obcej mu dotąd dziedzinie szkolnej.

Dr. K. Krotoski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Najnowsza powieść polska.

J. Kaden-Bandrowski: Łuk. — St. Kiedrzyński: Pożar. — G. Daniłowski: Tętent. — St. Żeromski: Charitas. - K. Gliński: Bonawentura Dzierdziejewski. — W. Berent: Żywe kamienie. — P. Choynowski: Kuźnia. — K. Makuszyński: Słońce w herbie.

W dziwnem położeniu znalazła się obecnie literatura polska. Ona, która na szczyty wieszczych natchnień wchodziła, z marzeń i tęsknot serdecznych ku lepszemu jutru uwić zdołała wspaniałą aureolę męczeństwa, jako symbol Polski niewolnej — ta literatura została nagle zdystansowana przez życie, zepchnięta z kierowniczej roli w społeczeństwie do roli kopciuszka niemal, na którego nikt nie ma czasu patrzeć, którym nikt dziś zająć się nie chce.

Nie tak dawne to jeszcze czasy, kiedyśmy wszyscy żyli tem, co nam książka przyniosła, co twórcze słowo jako zaczyn w serca nasze rzucało. Skrępowani w niewoli, niedopuszczani do decydującego głosu w sprawach bytu naszego, musieliśmy milczeć jako naród, patrząc tylko błagalnym wzrokiem w stronę tych, którzyby mogli za nas przemówić przed światem. I literatura była niejako oznaką naszej żywotności na zewnątrz, trybuną polityczną, areną dla starć wszystkich myśli twórczych.

Ale nagle przyszła do głosu historja. Dała ona nam więcej, niż w najśmielszych dążeniach naszych chcieliśmy uzyskać, dała bowiem całą Polskę, tę, ku której rwały się myśli kilku pokoleń, dała byt polityczny państwu, którego wyłonienie z huraganu dziejowego za cud niemal uważać można. I oto życie w tych nowych ramach przewalać się zaczyna rwącą falą. Zapory wstrzymujące nagromadzone zasoby sił żywotnych pękły — nastąpił więc zalew wszystkich bitych gościńców i wydeptanych ścieżek przez kłębiące się nurty odmętu. To, co dawniej jeno cieniuchną strugą było — dziś wielką rzeką stało się i zmierza

ku jednemu niezmierzonemu morzu wspólnych ideałów. Jeszcze tu i tam drobne łódki walczą z rwącym prądem, jeszcze tu i ówdzie sternicy przywykli do mielizn trzymają się swego koryta, ale nie długo już tej walki. Wszyscy muszą znaleźć się na grzbiecie wyniosłej morskiej fali, która spokojnie nieść będzie okręt Najjaśniejszej Rzeczypospolitej ku nowym brzegom wielkich idei, szczęścia ogólnego i spokoju.

Będzie to jednak dopiero kiedyś, po latach, kiedy ucichnie burza dziejowa zupełnie. Dziś jeszcze wszystko w chaosie, w nurtach wzburzonych, niszczących wszystko, miał i piasek miast szczerego złota niosących. Mętna jest zwykle rzeka wezbrana — więc jakże mętnem musi być wezbrane życie?! Pojąć to trzeba i zrozumieć, a także i wyrozumiałości sporo okazać, miast narzekania. Wyrozumienie to atoli nie powinno być pobłażliwością, gdyż łatwo stać by się mogło, że zamiast wytrwania na posterunku — woda podmyje placówkę i porwie ją później z sobą, by niepowrotnie zatopić.

I to jest właśnie m e m e n t o dla współczesnej literatury polskiej. Ma ona patrzeć na wszystko, bacznie śledzić, co dzieje się, a nie opuszczać tych placówek, które zajęła. Nie w tem znaczeniu wprawdzie, by na tem samem miejscu zaskorupiwszy się — zamknęła oczy na wszystko i trwała tylko przy swoim stanie posiadania. To stanowczo za mało i takich wytycznych piśmiennictwu polskiemu nie chcielibyśmy dawać.

Jakkolwiek jednak literatura rozwijać się będzie w przyszłości, to to jej na niekorzyść dziś zapisać należy, że straciła ona swoją orjentację. Kwilić i tęsknić nie może, narzekać na los nie ma powodu, na nowe ujęcie nowych rzeczy zdobyć się nie umie. Tem samem trwa na dawnem stanowisku, tak pojęciowo, jako też formalnie. To wszystko, co stało się i co się dzieje, nie wyryło na literaturze polskiej żadnych śladów. Poezja legjonów — nie dała nic, prócz naśladownictwa dawnych pieśni wojennych z lat 1831 i 1863, dramat przestał istnieć zupełnie, jakby wśród tylu ogólnoludzkich tragedyj nic nie zaszło, — zaś powieść, aczkolwiek tematem swoim starała się kilkakrotnie nawiązać do dziejów wojny i współczesnych kataklizmów — to mimo wszystko czyniła to według starych szablonów i dawnych formułek. Wszystko to sprawiło, że literatura i formą i treścią swoją nie dorosła do nowych ram życia. Całe sploty zagadnień obce są twórcom, czyny i dzieła nieznane, kąt patrzenia jakiś dziwny, jakby nie ustalony należycie, jakby nie dość wystarczający do ogarnięcia całości. Z kart piśmiennictwa zieje pustka zupełna, niezdecydowanie; — bez ryzyka można prawie powiedzieć, że twórczość polska jest beztreściowa. Dawni starzy i uznani autorowie pi-

szą wprawdzie, ale to co piszą i sposób w jaki piszą — nic o nich nie mówi, a dzieła ich nie są dokumentem chwili, nie są tym sprawdzianem tętna życiowego, którem zawsze była i zawsze być powinna literatura. I to jest powodem, że nawet dawni jej wyznawcy odwrócili się od niej. Zostało jej grono tylko czytelników bezkrytycznych, powiększone dziś znacznie o całe falangi nowych odbiorców książki, którzy doszedłszy łatwą drogą w czasie wojny do pieniędzy — za punkt honoru stawiają sobie również poznanie kilku lub kilkunastu książek. Wytworzył się więc nowy typ czytelnika bez głębszej kultury, czytelnika goniącego tylko za fabułą, wychwytującego treść tylko samą opowiadania. Otworzyły się zatem szerokie horyzonty dla powieści i siłą faktu produkcja w tym właśnie zakresie stała się najobfitsza. Autorzy dostosowują się do warunków, jakie istnieją na rynku księgarskim i pracują tylko i jedynie dla tego rynku. Objaw to smutny — ale niestety nie dający się zaprzeczyć.

I.

Wskutek pośpiesznej akcji wydawniczej, dla rzucenia czegokolwiek na półki księgarskie wobec zdekompletowania dawnego sortymentu — przewaga wydanych powieści w czasie ostatnim stoi poniżej wszelkich, choćby najwzględniejszych kryterjów. Są pewne księgarnie wydawnicze i pewni autorowie silnie pracujący nad zaśmieceniem literatury polskiej. Takie okazy, jak Pawła Staśki »w Rajskim ogrodzie«, St. Wł. Kamockiego »Dziecię natchnienia« — rzeczy zresztą, które nakładcy chwalą sobie, gdyż »idą« — wymownie świadczą o obniżeniu się linji rozwojowej powieści polskiej, względnie zaniku odpowiedzialności wśród wydawców lub też smaku estetycznego wśród publiczności. A inne?

Zacznijmy od najpoczytniejszej — od tej, którą za najlepszą uznano — od Juliusza Kaden-Bandrowskiego: »Łuku« [1]). Powieść tę — olbrzymich zresztą rozmiarów, przezywano rozmaicie: zaczątkiem ekspresjonizmu w beletrystyce, nowym przejawem psychologji człowieka wojennego, zestawiano ją z »Dziejami grzechu«, widziano w niej coś niezwykłego. Przez co? — Dlaczego? Bo suggestjonuje nowość, a podaje rzeczy dawne, nawiązuje formalnie do wypadków najświeższych, a mówi o tem, co można zmierzyć znaną miarą, odszukać w rekwizytorni każdego dawnego pisarza. Kaden-Bandrowski bowiem

[1]) J. Kaden-Bandrowski: Łuk. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego w Warszawie.

połączył temat wojny z tematem zdrady małżeńskiej, użył sztafażu nowych wypadków — do tego, co było bez wojny. »Pani Maryśka«, ta bohaterka, co kocha męża, ale go zdradza, a zdradza go, bo go niema, mimo wszystko jednak myśli o nim — przechodzi całą skalę swego upadku i oddaje się różnym, przeróżnym mężczyznom, o mało co nie tyle razy, ile kart ma książka. I to wszystko dlatego, bo jest wojna! A po co jest wojna w »Łuku«? Odpowiedź według Kadena bardzo prosta: gdyby nie ona, mąż byłby w domu i pani Maryśka nie zdradzałaby go. Logika istotnie niezwykła, tem bardziej niezwykła, że autor tylko po jednej linji idzie. On nie spostrzegł całego ogromu pracy kobiet w czasie wojny, nie widział tych wysiłków, jakich kobieta, a zwłaszcza kobieta polska dokonała. Jest to zbędne! Dla Kadena wojna wytwarza deprawację, a każda kobieta nosi w sobie deprawacji tej zarodek. Skoro więc tak się zdarzyło, że kobiety w czasie wojny żyją — przeto wynik tego jest całkiem prosty: muszą zapomnieć o godności swojej, o obowiązkach, wyższych uczuciach i grzęznąć w bezdennem bagnie rozpusty, uprawianej dla rozpusty samej.

P. Kaden zadał sobie trudu nie mało, by wycieniować wszystkie szczegóły i drobiazgi, związane z panią Maryśką. Z widoczną sympatją odnosi się też do niej, z zadowoleniem niemal, iż taką jest właśnie a nie inną, miłą, choć upadłą. Nam wydaje się, że p. Kaden powinien był poprzestać na swojej bohaterce i jej otoczeniu — a nie powinien był łączyć z tem bagnem drogich sercu polskiemu spraw legjonów, nie rozpisywać się tyle o Krakowie, wymarszu wojsk, wojnie wogóle. Bo i pocóż? Malowidło to nie ma nic wspólnego z zamiarem p. Kadena, któremu tylko i wyłącznie o dzieje Maryśki chodziło — a może on kiedyś, po latach pięćdziesięciu (o ile ktoś wówczas jeszcze sięgnie po »Łuk«?) zmylić kogoś, ktoby wziął za prawdę (wobec solidnej roboty tła) psychologję bohaterki i tą miarą chciał mierzyć kobietę polską z czasów wojny światowej. A mogłaby taka pomyłka zajść łatwo, boć przecie z niejednej dawniejszej powieści dowiadujemy się o psychologji ludzi współczesnych danym pisarzom. Powieść pozytywistyczna wiele takich przekazała typów. Sienkiewiczowskie »Bez dogmatu« i cała powieść naturalistyczna wydobyły sporo typów prawdziwych. Tymczasem naturalizm i realizm Kadena jest przejaskrawiony, nie ma w sobie istotnej prawdy życiowej, a także i poczucia koniecznej estetyki, należnej każdemu dziełu sztuki. Toż ma się chwilami wrażenie, że cała powieść została napisana po to, by okazać umiejętność analizy brudu, zepsucia i tej niemoralności, która graniczy z wyuzdaniem w życiu a pornografją w literaturze.

A szkoda, że autor tego nie starał się uniknąć. Jego talent, gdyby tknął się innego tematu, — przy tym darze obserwacji i wnikliwości w stany psychiczne ludzi, przy tej sile plastyki, którą umie wydobyć z każdej przedstawianej rzeczy — mógłby dać utwory naprawdę piękne i niecodzienne. Subtelne pióro Kadena właśnie raczej nadaje się do kreślenia obrazów piękna i dobra (np. »Iskry«) niż do malowania jaskrawych, o pokroju kinowym, sensacyjnych zdrad, zaktulizowanych, a może... uświęconych wojną. Uświęconych jednak w każdym razie w środowiskach zgniłych i podłych, a Polska środowiskiem takiem jeszcze nie jest i da Bóg — nie będzie.

* * *

Więcej wojną i jej pochodnemi w życiu społecznem, niż pornografją — zajął się Stefan Kiedrzyński w swojej ostatniej powieści p. t. »Pożar«. [1]) I u niego wprawdzie na podłożu wypadków współczesnych rozwija się romans, ale romans ten trzymany jest w tonie dyskretnym, wolny od zmysłowości i zezwierzęcenia. Rzecz inna, że dla bohaterki tej powieści, p. Alicji Turgameckiej, nie możemy żywić sympatji, bo pusta jest ona i bez głębszych walorów, ale to już rzecz osobista czytelnika w stosunku do figur ukazanych przez autora. Zresztą sam Kiedrzyński nie sympatyzuje z tą dziewczyną, która łatwo zapomnieć mogła o czystych i wzniosłych uczuciach młodego legjonisty dla tytułu rosyjskiego księcia.

Dzieje miłosne Jana Gordona i Alicji posłużyły Kiedrzyńskiemu tylko za nić do powiązania luźnych obrazów, epizodów wojennych, przygód żołnierskich, wreszcie rewolucji chłopskiej za frontem rosyjskim. Wszystko, co autor opisał, o czem opowiada, robi wrażenie rzeczy widzianych, podpatrzonych dobrze, a ułożonych pomysłowo i efektownie. Może tylko zbyt łatwo p. K. ulega starym metodom kompozycyjnym, może tu i tam, z ujmą dla wartości artystycznych utworu, zbyt wyszarzałym posługuje się frazesem. Stąd powieść — miejscami przechodzi w ramotę, potoczystą, ale pisaną dla fabuły samej. Nie można jednak zaprzeczyć p. K. dobrej znajomości duszy rosyjskiej i psychologji rosyjskiego żołnierza. Czy to charakteryzuje księcia, czy zwykłego sałdata, umie jednem słowem odsłonić prostolinijność lub prostactwo, honor czy upór, gest czy chamstwo natury ludzi wschodu. Tam atoli, gdzie autor sili się, aby odtworzyć psychologję zbiorową, np. tłumu

[1]) Stefan Kiedrzyński: Pożar. Nakład Gebethnera i Wolffa. P. P. T. 143—144.

rozagitowanych hasłami bolszewickiemi chłopów — czyni to szablonowo, według niezliczonych opisów, podawanych przez gazety, wyjaskrawia fakty, wpada w sposób tendencyjnego przedstawiania rzeczy i wypadków. Zapomina też o sile zbiorowiska wobec jednostki i przeciwstawiając swojego bohatera rozszalałej tłuszczy chłopstwa, każe mu, mimo choroby i wyczerpania z odniesionych ran, być tytanem siły, zabijającym kilku napastników i wyzwalającym swoją ukochaną. Sceny te, obliczone na najsilniejsze wrażenie, nie zawsze wywołują zgrozę. Do najlepiej pomyślanych i wykonanych rozdziałów powieści bylibyśmy skłonni zaliczyć zatytułowane: »Sam na sam ze śmiercią« i »O życie«.

Naogół biorąc, powieść Kiedrzyńskiego jest próbą ujęcia wykrawka z życia jednostki i ogółu, przedstawieniem tragedji odwiecznej serc kochających bez wzajemności, a tragedji dziejowej. Wojna i miłość, jako nadużywane już w piśmiennictwie motywy, nie wyszły i w utworze p. K. w sposób oryginalny lub uderzający czemś niezwykłem. Autor, dobry narrator, oczytany w podobnym typie powieści, mając łatwość pióra — zawdzięcza tym swoim przymiotom niejedno. Ale mimo to nie stworzył nowej powieści dla nowych czasów. Jego kategorje myślenia, jego sposób pojmowania rzeczy i ludzi jest »przedwojenny«, kiedy to życie dla literatury, a literatura dla życia były wymiernikiem. Dlatego w »Pożarze« znać łunę dopiero tych ognisk, co się rozpaliły niby słupy ogniste u wejścia w nową erę ludzkości.

* * *

Gustaw Daniłowski wydał również w czasach ostatnich rzecz »wojenną«[1]). Jest ona wojenną nawet w podwójnem znaczeniu — bo zarówno ze względu na treść, jak i wykonanie, różniące się znacznie od tego, co autor w czasach pokojowych tworzył. Na całości znać pośpieszną robotę, nie zawsze mającą coś wspólnego z artyzmem. Trudno zresztą było uchronić się przed tem, skoro nikły temat romansu, który mógł ledwo na nowelę wystarczyć, został rozwinięty aż w powieść i to koniecznie »powieść współczesną«. Mimo ten dopisek objaśniający na tytule, rzecz p. Daniłowskiego mało jest współczesna. Bo to, że ułan kochał się, później poszedł w bój, padł i zostawił zrozpaczoną kochankę, mogło równie dobrze dziać się dziś, jak lat temu sto, czy trzysta. Charakteru więc »współczesności« należy dopatrywać się gdzieindziej, mia-

[1]) G. Daniłowski: Tętent; powieść współczesna. Kraków, nakładem księgarni J. Czerneckiego.

nowicie w tem, że owa kochanka jest cudzą żoną, że bohater nie wierzy w obrzędy religijne (str. 14), że bohaterka ma tylko »wrażenie, że Bóg jest« (tamże). Może też i przez to powieść ta jest dzisiejszą, że kochankowie żyją tylko zmysłami. Każde jego słowo drga namiętnością, ona sama zachwyca się swem pięknem i lubieżnością. Zdaje mi się, że p. Daniłowskiemu szło głównie o popisanie się sprawnością pióra i fantazji w tym kierunku, by opisy tej miłości, w objawach swoich bardzo jednostajnej i prostej, przedstawić różnorodnie, o okazanie, iż jedno i to samo potrafi opisać rozmaicie. Ale efekt nie osiąga celu. Widać w każdem zdaniu żonglowanie słowem, pokrywanie niem pustej, nudnej a rozwlekłej treści. Autor nie umie dać sobie miejscami rady z wyrażeniem stanów psychicznych, dość naiwnych pozatem, wplata więc listy w tok opowiadania, cytuje ustępy z pamiętnika pani Leny, niepotrzebnie wprowadza takie postacie, jak np. pani Barbara, która żadnej nie odgrywa roli i nie wie się właściwie po co i na co znalazła się w powieści. Zakończenie całego opowiadania, nieproporcjonalne w stosunku do całości, a pozbawione pierwiastka erotycznego, który »podtrzymywał« konstrukcję początkową, okazuje w całej pełni robotę pisarską.

Ostatnia powieść Daniłowskiego może zająć zdegenerowanych erotomanów, dziełem sztuki w żadnym wypadku nie jest. Dziwić się też należy, że autor »Jaskółki« niczego więcej z dziejów Legjonów, z któremi ideowo się łączył, nie zdołał wysnuć, jak tylko romans. Przecie tematu nie brakło chyba!

* * *

Inną miarą od dotychczasowej, trzeba mierzyć »Charitas«[1]) Żeromskiego. Powieść wojenna, na przejściach ostatnich i łamaniach wewnętrznych oparta, pisana jeszcze wśród huku armat toczących się zmagań i zapasów, jest mimo wszystko ciągiem dalszym przed r. 1914 pomyślanej koncepcji, jest ostatniem ogniwem trylogji pt. »Walka z szatanem«. Trylogja ta, pojęta zrazu na szeroką skalę, ze stanowiska wszechludzkiego roztrząsać chciała problemy czysto osobiste i społeczne, szukała wyzwolenia dla ciągle buntującego się ducha ludzkiego. Autor czynił to po swojemu, wiązał w nierozdzielną niemal całość tragedje narodowe, specyficznie polskie, z tragedjami uczuć serdecznych, łączących się z kobietą, krążącą stale nad głębią zawrotną otchłani upadku

[1]) Stefan Żeromski: Charitas, Nakładem Towarzystwa Wydawniczego w Warszawie.

i zła. — I w tem poszukiwaniu rozwiązania problemów, przerastających ramy powieści, a nie dających się rozstrzygać w romansie, którym mimo wszystko trylogja Żeromskiego pozostanie — opadło autora to zniechęcenie, które bohatera jego zagnało raz w mury klasztoru, by w nich nie znalazł nic więcej prócz najbardziej fałszywego pojęcia życia mnichów, co na oskarżenie zasługują, bo dobrze czyniąc nie zwalczają zła.

Ta filozofja okazuje sposób szukania »nieszczęść« przez Żeromskiego. Byłby on może w pogoni za niemi jeszcze głębiej wdarł się w tajniki dusz niesamowitych, byłby jeszcze dziesięć, sto i tysiąc stworzył sytuacyj, mówiących o bujnej inwencji i pomysłowości wczuwania się w dziwne a niecodzienne stany psychiczne bohaterów, chorujących na bole czującego serca — gdy w tem nadeszła wojna, a z nią i szereg osobistych nieszczęść zmalał do zera. Żeromski poczuł, że rzecz cała zejść musi na inne tory, jeśli chce ogarnąć całokształt tej walki, jaką on zamierzał stoczyć z »szatanem«. Tętniące więc jeszcze niewygasłem życiem szczątki ciał z pobojowiska i niezakrzepłą w fakt historji kronikę życia wojennego rzucił na karty powieści, by na tej kanwie snuć dalej swoją fabułę. Zmiana pojęć nie następuje jednak tak łatwo, jak powzięcie zamiaru. I dlatego Żeromski rozpoczyna »Charitas« typowym romansem. Pod włoskiem niebem, przy bujnym temperamencie do miłości rwącej się młodej włoszki, przy dużej rutynie prowadzenia romansu przez Śnicę, zaczyna się snuć opowieść, nie zapowiadająca wcale przesądzenia wpływu wojny na kształtowanie się charakteru najskrajniejszego nawet indywiduum. Kilkadziesiąt kart, ta część pierwsza powieści wskazuje jak głęboko tkwił Żeromski, mimo wszystkie rozstrzygane problemy, w najprostszem a najsilniej pociągającem każdego beletrystę kole, obejmującem ludzkość, stosunku mężczyzny do kobiety. Przemawiały za tem już poprzednio te ustępy »Urody życia«, które na czoło powieści się wysunęły; przemawiało i owo wypaczenie pomysłu »Wiernej rzeki«, w której powstaniec do niczego innego nie był zdolny, prócz do uwiedzenia dziewczyny, co mu życie niemal wróciła. Teraz uwypukliło się to jeszcze wydatniej. Prawie że kompozycyjnie nie łącząca się historja miłosna, historja co nie wpływa w niczem na całość wypadków i ich bieg, jest introdukcją do książki o głębszym podkładzie, książki, która, jedna jedyna może z całą zgrozą odmalowała wojnę, jej rozbestwienie, płytkość, a powiedzmy od siebie — bezcelowość. Beletrysta nie podarował tego, co mu się wyrywało z pod pióra wezbraną falą namiętności. Nie podarował, bo wiedział, że to jest

atut w jego ręku — atut zresztą dla autora »Dziejów grzechu« nie nowy, a działałący na masy. — Czy jednak zharmonizowany z całością, dla niej odpowiedni i pożądany — to rzecz inna. Mimo wszystko atoli wypadł on — może wbrew zamierzeniom autora — lepiej niż reszta. Romansopisarz pokonał więc społecznika, który przyszedłszy do momentów wojennych, porzucił sobie właściwy styl, lubujący się w barwnych okresach, pełny słów dobranych, przepojonych namiętnością. Opisy Krakowa, później kampanji polowej i całej reszty tych obrazów, czasem zgrozą przejmujących, to znów trywialnych prawie tak, jak trywialnymi stawali się ludzie, do roli zwierząt w czasie wojny zepchnięci — w wielu razach robione są dorywczo, a karty wyrwane z książki, karty na którychby nie było nazwiska Żeromskiego — nie mówiłyby o tem, że to z pod jego pióra wyszły te ustępy.

Autor musiał pisać swoją powieść pospiesznie, niekiedy może pod wpływem wieści wyczytanych z gazet, czy rozmów prowadzonych na temat polityki. I to odbiło się na dziele, nierównem pod względem siły, napięcia, spokoju i zrównoważenia w stosunku do zbyt świeżego jeszcze materjału. Stąd przeskoki dla każdego widoczne, przejścia od obrazów niemal realistycznych, tak dobrze wyczutych i z taką plastyką odtworzonych — do passusów dziennikarskich, poglądów nie przetrawionych, sytuacyj szkicowanych. Ale w tem wszystkiem znać wysiłek twórczy, wysiłek niemały: zrozumienia całokształtu spraw, wejrzenia w serca ludzkie i odczuwania tego, co będzie, co być może, jeśli tak a nie inaczej te sprawy pójdą. Naturalnie subjektywne pojmowanie tych rzeczy odgrywało olbrzymią rolę i dlatego to i pewien odcień zabarwienia politycznego wkradł się do książki, która przez to nabrała więcej charakteru publicystycznego. Nie mogło stać się jednak inaczej. Historja nie wypowiedziała ostatniego słowa, typów ludzi wojennych nie było jeszcze — trzeba zatem było wyławiać te drobne szczegóły, tak właściwe dla życia codziennego, a tem samem i dla dziennikarstwa. Żeromski podniósł je wprawdzie do godności walorów literackich, ale nie we wszystkiem dał prawdę całą. Przejaskrawiając bowiem wiele faktów i w ogólnej konkluzji, metamorfozie Granowskiego, doszedł do zbyt daleko idących konsekwencyj wojny. Życie, przynajmniej to dotychczasowe, z fermentu wyszło i ferment długo wydawać będzie.

»Charitas« w świecie literackim uznaną została za jedną ze słabszych rzeczy Żeromskiego — a za jedną z lepszych powieści sezonu. Czytelnicy zaś, nie wiem czy zrozumieli intencje autora. Czytali romans — szli śladem Śnicy nie malarza, ale austrjackiego oficera i przy-

swoili sobie kilka swobodniejszych wyrażeń, zapamiętali kilka efektowniejszych obrazów. Komuś specjalnie podobała się scena z tchórzliwym żydkiem, którego przecie śmierć doścignęła, a podobała się nie przez opis i jego niezwyczajność, ale przez tendencję i stanowisko autora. Najwięcej było takich, którym utkwił w pamięci tylko sam romans. Bezwzględnie Żeromski za to wszystko odpowiedzialny nie jest. Tu zawinił brak kultury czytelniczej, tu winę ponoszą sami czytelnicy, śledzący tylko rozwój wypadków, a nie ideę autora.

Ale krytyka ma prawo wypowiedzieć swój sąd otwarcie i szczerze, obejmujący całą powieść ze stanowiska ideowego, artystycznego oraz wyznaczający jej miejsce w najnowszej beletrystyce. Sąd ten musi mimo wszystkie zastrzeżenia wypaść dla autora pomyślnie, gdyż jakkolwiek etyka i moralność utworu ulegać mogą i powinny zakwestjonowaniu — to jednak podkreślić należy fakt znamienny dla Żeromskiego, że w »Charitas« mniej, niż w każdej z dotychczasowych powieści wysuwał autor pierwiastek zmysłowy na czoło wszystkich zagadnień. Lecz dość on jeszcze silny i dość destruktywny, więc go jako taki określić się musi. Pod względem artystycznym powieść szwankuje głównie przez brak konstrukcji i symetrji w rozbudowie. Jest to zresztą wada wszystkich utworów Żeromskiego, którego talent par excellence nowelistyczny na większych przestrzeniach traci perspektywę najzupełniej. O stylu i języku wspomnieliśmy już poprzednio.

Mimo wszystko atoli »Charitas« w powieści wojennej czasów ostatnich zajmuje swoje odrębne miejsce. Góruje nad »Łukiem« i nad »Tętentem« tem, że ogarnia rozleglejsze horyzonty, że w ujmowaniu tematu wojny nie idzie po linji najmniejszego oporu i nie tworzy choćby tak udatnych ramot jak np. »Pożar«. »Charitas« starą się zejść ze stanowiska starej powieści narracyjnej i usiłuje wejść w głąb tych przemian, które dokonywują się w człowieku, pod wpływem wielkich, dziejowych wypadków. Eksperyment ten nie wyszedł jeszcze poza ramy prób, ale ukazuje już, że zrozumiano potrzebę nowego typu powieści. I na tem polega znaczenie »Charitas«.

II.

O ile powieść współczesna o podkładzie wybitnie wojennym nie przyniosła na ogół wartości nowych wiele, a usiłowań w kierunku prawdziwie twórczym nie wydała takich, jakby to spodziewać się należało, o tyle powieść historyczna poszczycić się może wynikami nie lada

Wprawdzie i tu nie schodzi jeszcze zupełnie do roli podrzędnej ten typ, dla którego obywatelstwo wywalczyli Kaczkowski, Kraszewski i Sienkiewicz, ale odbija on wyraźnie starą manierą od tego, co dziś czytelnikowi przedłożono. Więc obok »Bonawentury Dzierdziejewskiego« — »powieści obyczajowej z czasów Stanisławowskich«, skreślonej przez Glińskiego [1]), obok tego utworu, który z rozmachem szlacheckim, stylem gładkim i potoczystym, zawijającym się jak wąs sumiasty braci sejmikowej — opowiada o czasach i ludziach niefrasobliwie, staje rzecz djametralnie różna, chociaż równie o tło historji oparta — Berenta »Żywe kamienie« [2]). Zestawienie tych dwu powieści daje dokładny pogląd na nową i starą szkołę. Gliński przeczytał pamiętniki i stare kroniki, uzupełnił to opowiadaniem swojego ojca (lojalnie to nawet na karcie tytułowej zaznaczył) — i to wystarczyło mu do rozsnucia powieści czterysta stron blizko obejmującej. Bo i czegóż więcej trzeba było, by spełnić postulaty mistrzów romansu historycznego? Dzieje miłosne podstolego Kamienieckiego i starościanki Śniatyńskiej Salusi, aczkolwiek szczupłe, dały »okrasę« romansową; tło historyczne zaś, malujące czasy pod koniec Rzeczypospolitej jest samo przez się ponętne. A więc rzucić nań kilka figur w miarę zamaszystych a ponad miarę rubasznych, temperament dać im ognisty, serce otwarte a głowy mierne, przybrać w kontusze, przypiąć karabele i puścić w tan ciągłych zabaw, przyjęć i pijatyk — a już jest niemal wszystko. Jeszcze tylko kilka scen fajerwerkowych, kilka powiedzeń, któreby trąciły ośmnastym wiekiem, kilka wspomnień o osobach wówczas wybitnych — a już i koniec opowiadaniu uczynić można, a pary kochające się powołać do ołtarza.

»Noc — cisza...

»W przeznaczonym dla siebie pokoiku Salusia zdejmowała leniwie szatki weselne, uśmiechając się do zwierciadła.. W tem ciche, trzykrotne pukanie w drzwi dało się słyszeć. — Kto tam? — napół przestraszonym odezwała się głosem...

— Bonawentura Dzierdziejewski, do usług waszmościpanny«.

I jeszcze słowo »koniec« odczytać należy, potem książkę zamknąć — by nie wrócić do niej więcej i zapomnieć niebawem.

Jakże natomiast inną jest »opowieść rybałta«, którą nam dał Berent! I on czytał kroniki i pamiętniki, i on śledził w nich pozostałości

[1]) Kazimierz Gliński: Bonawentura Dzierdziejewski. Nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa.

[2]) Wacław Berent: Żywe kamienie. Nakładem Spółki wydawniczej »Ostoja«, Poznań 1919.

dawnego życia i on uczył się ze starych pergaminów, wykoszlawionych liter i zdobnych inicjałów poznawać średniowiecze. Ale jakże te studja różnią się od studjów np. Glińskiego! Tamten z pozorów zewnętrznych i słów pustych lepił figury, a tło malował jaskrawą farbą, która życie miała wrócić wyblakłym już dziś czasom; stosownie do tego brał z materjału historycznego najbardziej bijące w oczy fakta i rzeczy, podczas gdy Berent nie pomija niczego. Dla niego ma urok nieprzeparty wszystko. Do niego przemawiają dokumenty i księgi, swoją mowę mają obrazy, załomy krużganków szepcą mu swoje zwierzenia, a monumenty i pomniki, to żywe kamienie, które więcej powiedzieć umieją, niż ludzie. Ta umiejętność studjowania historji jest u Berenta zadziwiająca, a tem więcej pożądana, że autor owoc tych studjów zużytkować umiał w sposób nietylko kulturalny, ale całkiem nowy. Wyrzekł on się malowidła, gdzie rozmach wielkiego płótna i soczystość barw ma pokryć brak życia. Jego odtwórcza a nawskróś intuicyjna robota — jest raczej mozajkowa niż malarska. Dobrane są tu kamyczki — fakta, zestawione z wczuciem się w czasy, które miały być i zostały z oddali wieków przywołane: całość uchwycona imponująco. Kto z bliska patrzy, widzi zespół i ogrom tych szczegółów, które w należnej im perspektywie nabierają dopiero majestatu. Dyskretnie stłumiona gra barw, tłumik założony na cudną melodję słów — nadają utworowi cechy dostojności, jaką na dawne życie nałożyły wieki. A w mrocznem tem, niby w niszach starego kościoła przez witraże przepuszczonem świetle, rysuje się dopiero całe średniowiecze z tyle dlań charakterystycznemi przeciwieństwami, co od wzniosłej ascezy do skrajnego wyuzdania znały drogi o krok ledwo od siebie oddalone, z tą powagą, co graniczyć mogła z pustotą, spokojem, co znów w najdzikszą furję się zmieniał. Berent utrafił w ton tak znamienny dla wieków średnich tylko intuicją. Tego bowiem nikt nie wyczyta z książek, nikt nie wystudjuje z żadnych podręczników historji. Bo i któż, jeśli nie szczery artysta, mógłby takie dać sceny jak te, które co kart kilka spotyka się u Berenta, czy to będzie w kościele, celi klasztornej, czy gospodzie? Kto, jeśli nie poeta — wczućby się zdołał w duszę i sposób myślenia mnicha średniowiecznego, wyczarować swych rycerzy, rybałtów, wagantów, płatnerzy? I kto, jeśli nie człowiek rozumiejący istotę średniowiecza, potrafiłby z wielką prawdą skreślić takie postacie, jak Mnicha Łukasza i Przeora, kochającego uczuciem ojcowskiem młodego zakonnika? »Ułomiłem cię kwietna gałęzi z płonej oliwy wagantów, byś wszczepion w klasztor franciszkański, jak w to dobre drzewo stał się uczestnikiem korzenia i tłustości oliwnej«. Przeor ten — oddany został

przez autora z całym nakładem uczuć i najżywszej sympatji. Wszystkie jasne światła skupił on na tym zakonniku, który też stał się jedną z najpyszniejszch postaci w powieści. Niezapomnianą też zostanie ta scena, w której mnich ów z goljardem zatapia się w »Boską komedję«, lub kiedy to błogosławi u trumny goliarda mnichów i wagantów, jakby ze starych foljantów wyjętemi słowy: »Gdziekolwiek Ducha sprawę jaką podejmiecie młodego serca żarem, ku temu, aby się starły smutki z oblicza ziemi i odnowiły serca człowecze — tam graalową służbę pełnić będziecie«.

Ale ponad czas średniowiecza i ponad wizję niemal dawno zaginionych rzeczy, unosi się własna filozofja autora, której źródeł szukać należy w bliższych już znacznie czasach. Jest on bowiem — jak wszystkie pokolenia pisarzy polskich, zrodzone w niewoli — historjozofem o lekkiem zabarwieniu mesjanizmu... I dlatego mimo proroctw Joachima i Gerarda, wieszczących o tem, że »Ducha królestwo na ziemi, rządy najwolniejszch i najbardziej oświeconych nad wolnymi i oświeconymi, oraz czerpanie z najczystszych źródeł poznania nastaną« — mimo owe proroctwa, a może właśnie przez wiarę w nie, uważa, że dążenie do tego jest dla nas lepsze, bo zostawia nam ciągłą możność pięcia się wzwyż. I twierdzi, że »lepiej to może będzie, jeśli nowe niebo czasów zajaśnieje nad głowami dzieci naszych, gdy stare niebo i ziemia stara miną wraz z nami«.

Powieść Berenta zgłębiać trzeba i poznawać. Zawiódłby się jednak srodze ten, kto »Żywe kamienie« chciałby tylko czytać jako powieść. Zawiódłby się z dwu powodów: po pierwsze dlatego, ponieważ fabuła rzeczy jest nikła, a powtóre forma powieści nie ma w sobie nic z tego, coby pozwalało ją »płynnie« i »lekko« przeczytać. Nie ma też istotnego bohatera - osoby, tak pożądanego przez czytelników dla grupowania zdarzeń i wypadków, gdyż bohaterem jest gromada, owe goliardy, żonglery, rybałty, skoczki i żaki, co niby uosobieniem wolnego ducha będąc przeciągają przez unormowane życie mieszczańsko - rycerskiego średniowiecza jako wiw nowy, nowego życia przynoszący odgłosy. To też jest istotną treścią »opowieści rybałta«. Wyłania się ona ku czytelnikowi powoli, tak mrocznie, jakby i na nią padł cień wieżyc i krużganków, jakby się gubiła w ogromie szczegółów i luźnych obrazów. Czasem stłumiło ją nawet słowo, które ją wypowiedzieć miało. A stłumiło zupełnie świadomie przez te przenośnie i metafory, przez te określenia niezwykłe, opisujące wrażenia i pojęcia zdaniem całem, by uniknąć tylko szablonowych i utartych nazw. Berent bowiem odpowiednio do treści pojął także i brzmienie słowa. Jest ono u niego i tak

dostojne jak ta treść i tak strzeliste jak wieże gotyckie, i tak wizyjnie zmienne, jak owe zachwycenia pod figurą Matki Boskiej. Mieni się bogactwem słów prostych a silnych, to znów wyszukanych, niecodziennych. Archaizm dobrze dobrany idzie w zawody z nowotworem, ukutym ze zrozumieniem ducha języka i jego potrzeb. Słowo Berenta jest posłuszne i jego wizyjności i realistycznym opisom i plastycznym wychwytom i spostrzeżeniom słuchowym. A z tego układają się zdania o składni, nie według brzmień, czy rytmiki ułożonej, ale kolejnem następstwem rzeczy spostrzeganych. Tak jak wzrok ślizga się po przedmiotach, tak za nim idzie słowo, szczegół po szczególe znacząc bez przegrupowywania w zdania już przemyślane. Stąd to przy lekturze »Żywych kamieni« obrazy urastają wolno, jakby się wychylały z mgieł słowa.

Książka Berenta pod każdym względem stanowi wielki krok naprzód w rozwoju powieści, której za zrąb służy historja.

* * *

Obok »Żywych kamieni« staje godnie Choynowskiego[1]) rzecz p. t.: »Kuźnia«. Powieść również historyczna, ale z czasów niemal najnowszych, bo charakteryzująca prądy i nastrój społeczeństwa przed powstaniem 1863. Pisana ze spokojem i umiarem artystycznym i świadczącym o kulturze pisarskiej młodego autora — jest dziełem dobrze pomyślanem i dojrzałem w wykonaniu. Równie jak Berent, tak i Choynowski nie pokazuje czytelnikowi wielkich obrazów, równie jak on unika przejaskrawienia efektów, równie rezygnuje z bohatera na rzecz zbiorowości, która tu główną odgrywa rolę. W tych stycznych okazuje się, że droga do nowego pojmowania powieści historycznej jest już utorowana. Pozatem nie należy snuć żadnej paraleli między obu powieściami. Bo też i inne zadania mieli do spełnienia autorowie. Tamten z urywków i drobiazgów, z oderwanych szczegółów i wiadomości składał całość — ten żywą jeszcze tradycję i czasy, o których nam ojce opowiadali, miał odtworzyć w powieści. Tamtemu wolno było kolorvzować, zdać się na intuicję, ubarwić rzecz fantazją — temu szło o analizę psyche zbiorowej, o zbadanie tych sił motorycznych, które pchnęły społeczeństwo do czynu rozpaczy, aktu poświęcenia i męczeństwa. Choynowski odrzucił tedy cały pierwiastek zmyślenia i złudy, powściągnął także uczucia własne, nie dał sobie przysłonić oczu tym nimbem, który

[1]) Piotr Choynowski: K u ź n i a, nakładem Gebethnera i Wolffa Warszawa.

rzucono na rok 1863. I słusznie uczynił. Powieść bowiem jego nabrała przez to cech męskości, jest niejako dokumentem zmierzenia dwu epok i świadectwem pojmowania rzeczy nie przez pryzmat ckliwego sentymentalizmu, ale przez zrozumienie tych ludzi z przed pół wieku, którym tężyzna fizyczna kazała zawierzyć rzecz całą »bitce« (jak się wyraża kapitan Rolski).

Powieść Piotra Choynowskiego okazała nie jednostkę fikcyjną czy rzeczywistą, ale społeczeństwo całe i nastroje w niem nurtujące. Okazała zaś to przez wyprowadzenie na jaw tych mas, które w okresie przedstawionym były wszystkiem w Warszawie i w Królestwie, przez przedstawienie ich w wspólnym czynie, jakim była np. demonstracja na placu zamkowym lub posiedzenie Towarzystwa Rolniczego. Choynowski operuje tłumem doskonale, umie wydobyć zeń wszystko, co mu potrzebne do jego założeń. Ponad to zbiorowisko, które nie miało nikogo nad sobą, a kierowało się tylko instynktem i nastrojem, wytwarzanym przez całokształt wypadków, wysunęła się jedna postać: margrabiego Wielopolskiego. Odpowiada to prawdzie dziejowej, w której margrabia znajdzie sprawiedliwość. W powieści czyni on wrażenie przygniatające już samą zewnętrznością swoją. A portret jego, nakreślony w kilku zdaniach ledwo, jest jakby wierną kopją tych rysopisów, które przekazała ustna tradycja i zachowane konterfekty.

Na specjalną uwagę zasługuje język Choynowskiego. Zwięzły a silny i dosadny, wolny od wszelkich przymiotnikowych uzupełnień i dopełnień, prosto wyraża wszystko, miejscami zbyt sucho nawet. Są całe karty, które nie czynią wrażenia powieści. To jakby relacja pisana przez kogoś, co wiele ma do powiedzenia i słów tracić nie może. Są też karty, co na pograniczu studjum a beletrystyki stają. Ale sporo się miejsc także znajdzie, w których zwartość słowa jest epicka, a niedomówienia treścią wymowniejsze niż długie tyrady gadułów powieściowych. Choynowski pokazał przez to, że jest pisarzem, któremu powolnym jest cały materjał. Powieść zaś jego świadczy, że literatura zyskała w tym pisarzu talent piewszorzędny.

* * *

Z powstaniem 1863 przez szereg figur starych weteranów związane jest »Słońce w herbie« [1]) Makuszyńskiego. Nie jest to powieść hi-

[1]) Kornel Makuszyński: Słońce w herbie. Nakład Gubrynowicza i Syna we Lwowie.

storyczna, ale niejako »powieść wspomnień«. Autor, do niedawna jeszcze dowcipny nowelista, opowiadacz »Awantur arabskich« i innych »Rzeczy wesołych«, zwrócił się od pewnego czasu do powieści poważnej, w miarę sentymentalnej, w miarę szlachetnej. Takim też typem jest i »Słońce w herbie«. Są tu powstańcy i ludzie dawnej epoki, dobroduszni, prości i biedni, jest czysta jak kwiat dziewica, — przeciwstawiony im dekadent Szok i bohater romansu poeta Bolski. Między panienką, wychowaną zdala od ludzi, a na wieś do umierającego ojca przybyłym poetą wywiązuje się flirt, zmieniający się z jej strony w pierwszą, gorącą miłość — u niego w świadomą chęć uprowadzenia dziewczyny. Chęć ta, zamieniona w czyn, powoduje nieudałe samobójstwo panny. Bolski tchórzliwie ucieka ze wsi, ale niebawem wraca, gdyż ma słońce w herbie — a to nie pozwoli mu być uwodzicielem. Oświadcza się tedy o rękę niedoszłej samobójczyni, pewnie pobierają się i wiodą żywot spokojny.

Po co jednak było to wszystko — pytamy po przeczytaniu kilkuset stronic. Przecie owo »słońce« mogło zaświecić przed tem w głowie Bolskiego i mógł pojąć pannę bez tych perypetyj i tragedyj. Ale wówczas autor nie miałby materjału do romansu, któryby się podobał młodocianym czytelniczkom, uwielbiającym talent Makuszyńskiego. Nie czynią one tego zresztą bez słuszności, gdyż autor »Połowu gwiazd« jest zdolnym poetą i powieściopisarzem, posiadającym wielką rutynę pisarską. On wie dobrze, co się podoba i podobać może, zna się na tej łezce, która z pióra spada wprost w czułe serca, doskonale rozumie wartość cyzelatury słowa. Toż powieść jego jest pod tym względem wzorowa. Czyta się ją tak — jak to dawniej mówiono — tchem jednym. Szkoda tylko, że po przeczytaniu tak mało z niej zostaje. Właściwie, prawdę powiedziawszy — nic, prócz wrażenia, że się widziało cudnie mieniące się bańki mydlane, puszczane umiejętnie, wydmuchane sprawnie i rzucone na wiatr, co poniesie je lekko — zanim pękną i nie przemienią się w pustkę.

(C. d. n.).

Dr Stanisław Lam.

Historja.

Dr. Adrjan Divéky: Węgrzy a Polacy w XIX stuleciu. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Stron 212.

W niewielkich odstępach czasu ukazał się węgierski oryginał studjum Dra Divéky i jego polski przekład, dokonany przez Bol. Jaro-

szewską. Autor pragnący przeprowadzić studjum stosunków polsko-węgierskich po przez historję istnienia obydwóch sąsiadujących ze sobą narodów, ogłosił na razie fragment swych badań, dotyczący 19 stulecia.

A zatem, przytacza żądania Węgrów, po rozbiorach Polski, aby Galicję przyłączono do Korony św. Szczepana: wszak Marja Teresa, biorąc udział w podziałach, motywowała swój postępek historycznemi prawami Węgier. Dalej, opowiada o sympatjach węgierskich do Polski podczas orężnych walk roku 1831-go, których wyrazem były liczne uchwały komitatów, żądania interwencji dyplomatycznej na rzecz Polski etc., co jednak zostało udaremnionem przez palatyna, arcyksięcia Józefa, spokrewnionego z dworem carskim. W czasach walk o niepodległość r. 1848 Polacy pośpieszyli z emigracji z czynną pomocą Węgrom, i oni ostatni zeszli z pola walki pod przeważającą przemocą wojsk Mikołaja I. Nazwiska Dembińskiego, Bema i innych zdobić będą karty rycerskich zapasów o wolność ujarzmionych ludów. Kiedy, ujarzmieni na nowo, musieli Węgrzy borykać się o swe prawa na drodze parlamentarnej, znaleźli najgorliwszego rzecznika swych domagań się w Smolce, który r. 1861 wygłosił we Wiedniu wspaniałą w ich obronie mowę. Za to pragnęli się Węgrzy w r. 1863 odwdzięczyć narodowi polskiemu: Kossuth proponował wystawienie legjonu węgierskiego i ofiarował 20 tysięcy sztuk broni dla powstańców polskich. I później węgierski mąż stanu, hr. Andrassy, niejednokrotnie objawiał zrozumienie dla spraw polskich i popierał polskie rewindykacje w Galicji, hamując swą działalność tylko względami na Rosję i pruskiego sprzymierzeńca Habsburgów.

Należy przyznać, że interesy wspólne Węgier i Polaków nakazywały im wzajemne zrozumienie się i pomoc zobopólną; przyczyn tarć prawie że nie było dzięki wyraźnej granicy politycznej i, dodajmy, dzięki temu, że sprawy polskości na Spiszu i Orawie nie zdążyli sobie uświadomić sami Polacy. Dobre stosunki wzajemne obydwóch narodów psuła nieco kwestja ogólno-słowiańska. Polacy wprawdzie nigdy nie byli zwolennikami panslawizmu rosyjskiego i to bezwątpienia zbliżało ich do polityki węgierskiej; lecz Węgrom tego było za mało: oni chcieliby, aby Polska zatraciła wszelkie poczucie solidarności z narodami słowiańskiemi, nawet z temi, które czuły na sobie ciężką rękę Węgrów, i Dr Divéky tu i owdzie zdradza, choć lekko, pewien żal do Polaków, że nie wszyscy oni zerwali ze słowiańszczyzną. Nam się zdaje, że to trzeba na chlubę Polaków zapisać: walcząc o swoją i o Węgrów wolność, czyż mieli bez zastrzeżeń pisać się na uciemiężenie przez tych ostatnich innych narodowości? Zdaje się, jeżeli nie solidarność słowiańska, to

etyka i logika zmuszały lepszych synów polskiej ziemi do pewnej... rezerwy wobec madziarskiej polityki narodowościowej, rezerwy zresztą taktownej, dążącej np. do uzyskania zgody trwałej między Węgrami z jednej a Słowianami z drugiej strony.

Książka Dra Divéky, szczerego jak widać przyjaciela Polaków, zasługuje na to, by była poznaną u nas: przyszłość naszą zapewne wypadnie nam nawiązać do niedawnej przeszłości.

W przekładzie polskim wolelibyśmy widzieć spolszczonemi nazwy krajów, rzek, miast, które lepiej znamy z polskiego lub słowackiego niż madziarskiego brzmienia, a więc Arva mogłaby się stać Orawą, Kassa — Koszycami, Eperjes — Przeszowem itd. Zresztą przekład tak dobry, że się nie czuje, iż ma się do czynienia z przekładem. Do studjum dołączono 16 dokumentów historycznych.

Ks. J. B.

Do historji kultury.

Dr Georg Schreiber: Mutter und Kind in der Kultur der Kirche, Studien zur Quellenkunde und Geschichte der Karitas, Sozialhygiene und Bevölkerungspolitik. Freiburg, Herder, 1918, str. 160.

W tytule już wyraźnie zaznacza autor, profesor historji kościelnej na westfalskim uniwersytecie w Monasterze (Münster), doktor filozofji i teologji, że dzieło jego jest studjum źródeł do historji miłosierdzia chrześcijańskiego, hygieny socjalnej, i polityki zaludnienia. Niesłusznie tylko pominął w tytule przymiotnik »deustcher Kirche«. Książka jego bowiem zaledwie potrąca o wpływ Kościoła na społeczeństwo w innych krajach, jedynie i wyłącznie omawiając sprawy niemieckie.

Czysto niemieckie pedantyczne dzieło. Ale ciekawe i pouczające.

W niezliczonych odnośnikach wskazuje mnóstwo autorów, z których czerpać mogą jego następcy w pracach historycznych o stosunku Kościoła do zaludnienia. Jest to zresztą celem tej pracy zachęcenie do studjowania tego pola. Począwszy od najwcześniejszych wieków średnich, starannie wskazuje, które synody zajmowały się ochroną życia dziecka, jakie kary w księgach pokutnych wyznaczone były dla kobiet pozbawiających życia noworodki, w jaki sposób pracował Kościół nad wytępieniem pogańskich praw i przesądów, które u Germanów oddawały życie dziecka bezwzględnie w ręce ojca i od jego woli je czyniły zależnem, lub leczyły chore dzieci w barbarzyński sposób, jakby dążący do tego, by wątlejsze jednostki wygubić, a pozostawić przy życiu

tylko najsilniejsze organizmy. Żadne źródła nie są profesorowi historji Kościoła obce, zna dokładnie wszystkie dokumenty diecezyj, parafij, klasztorów, wszystkie źródła praw miast, edyktów książąt duchownych, wszystkie nadania odpustów przez papieży bractwom i klasztorom, opiekującym się szpitalami i zajmującym się dziećmi, niemowlętami i ich matkami. Niezmordowanie i wzniośle dowodzi, jak postępowym zawsze był Kościół, wchodząc w szczegóły opieki nad noworodkiem, jak wysoko stawiał godność macierzyńską, umieszczając w swej liturgji tak wielką liczbę obrzędów i modlitw nad matką i dzieckiem, osobno mówiąc o Sakramencie chrztu św.

Poleca gorąco legendy świętych, jako niezmiernie dodatnio wpływające na lud pod względem uświadomienia godności macierzyństwa, obowiązku karmienia niemowląt i ogólnego poszanowania dla dziecka. Karanie oto jeszcze jeden sposób pracy społecznej Kościoła, który autor, historycznie wyzyskuje.

Ostatecznie zwraca się do teraźniejszości, wskazując na pracę Kościoła w obecnej dobie. Wymienia daty i cyfry świadczące, jak wiele czynią klasztory i świeckie zrzeszenia katolickie dla dzieci opuszczonych, nieślubnych, a przedewszystkiem dla niemowląt i ich matek.

Autor wskazuje historykom i politykom źródła, z których czerpać mają. Zupełnie objektywnie powiada: nie szukajcie nowych i dziwnych nieraz dróg przeciw wyludnieniu, patrzcie na Kościół, jak dawno i zawsze jednakowo pracuje on na tem polu. Wspomagajcie go, bo wiele jeszcze jest katolickich rodzin w ludzie niemieckim, na które największy wpływ wywiera kazanie, książka z legendami świętych, a przedewszystkiem karność Kościoła.

Józefa Merunowiczowa.

Oprócz tego nadesłano do redakcji:

Własność tabularna w Galicji według stanu z końcem r. 1912. Opracował Dr J. Rutkowski (Wiad. statyst o stos. krajowych, t. XXV, zesz. IV). Lwów, nakł. Wydz. Krajowego, 1918.

Ks. Dr A. Krzesiński: Polska u stóp Marji. Kazanie. Kraków 1919, str. 28.

R. H. Benson: Brzask wszechrzeczy, powieść. Z ang. przeł. Zofja Ślaska. Poznań 1919, nakł. księg. św. Wojciecha, str. 334.

X. Nik. Cieszyński: W rocznicę Konstytucji Trzeciego Maja. Mowa. Poznań 1919, str. 22.

H. Mianowski: Czego chce Polskie Stronnictwo Chrześcijańskiej Demokracji? Referat. Kraków 1919, str. 19.

Cecylja Niewiadomska: Czytanki dla szkół początkowych. 6 tomików, nakł. Gebethnera i Wolffa.

Roman Zawiliński: Nasz język ojczysty w przeszłości i teraźniejszości. Nakł. »Poradnika językowego«, Kraków 1919, str. 124.

Herman J. Cladder S. J.: Unsere Ewangelien. Akademische Vorträge. I Reihe — Zur Literaturgeschichte der Ewangelien. Fryburg, Herder, 1919, str. 262.

A. Lehmen S. J.: Lehrbuch der Philosophie. IV B. Moralphilosophie. Fryburg, Herder, 1919. 3 wyd., str. 370.

St. Beissel S. J.: Betrachtungspunkte. Fryburg, Herder, 1919. 3 wyd., tomy: I, IV i VI.

Karl Haggeney S. J.: Im Heerbann des Priesterkönigs. Betrachtungen. Fryburg, Herder, 1919. Tomy 6 i 7.

Dr Jakob Schmitt: Des Priesters Heiligung. Erwägungen für Seelsorger. Fryburg, Herder, 1919. Str. 347.

Dr Joseph Jatsch: Das Ewangelien der Wahrheit und die Zweifel der Zeit. Apologetische Vorträge. Fryburg, Herder 1918. 2 tomy, str. 334 i 311.

G. Harasser S. J. u. P. Sinthern S. J.: Im Dienste der Himmelskönigin. Vorträge für mar. Kongreg. Fryburg, Herder. 3 i 4 wyd. 2 tomy, str. 302 i 293.

M. Regina Most: Geh hin und künde. Fryburg, Herder, wyd. 9—12, str. 223.

J. J. Laux: Der hl. Kolumban. Fryburg, Herder, 1919, str. 290.

M. Meschler S. J.: Zum Charakterbild Jesu. Fryburg, Herder, wyd. 4—5, str. 114.

Tenże: Leitgedanken katholischer Erziehung Fryburg, Herder, wyd. 4 – 5, str. 154.

A. Haggeney S. J.: Kinderseelsorge. Fryburg, Herder. Str. 83.

Dr Julius Mayer: Konvertitenbilder. II. Theil. Fryburg, Herder, wyd. 4—5, str. 316.

V. Cathrein S. J.: Die christliche Demut. Fryburg, Herder, 1919, str. 188.

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Od grobu Św. Wojciecha. — Hołd Francji Sercu Jezusowemu. — Kongres muzyki kościelnej w Tourcoing. — Kongres biskupów w Stanach Zjednoczonych. — Przyszły ustrój kościelny w Czecho-Słowacji. — Katolicyzm w krajach nadbałtyckich.

Jako owoc konferencji biskupów polskich, odbytej w końcu sierpnia u grobu Św. Wojciecha w Gnieźnie, został ogłoszony wspólny list pasterski naszych książąt Kościoła do narodu polskiego. Treść orędzia stanie się w dniach najbliższych znaną wszystkim za pośrednictwem dzienników i ambon całej Polski, nie podajemy go więc na tem miejscu. Naogół jest ona identyczną z treścią pasterskiego listu z grudnia roku ubiegłego. Bo też zasady Kościoła są zawsze te same, i chwałą jest jego, że ma odwagę przypominać je nawet wtedy, owszem wtedy najusilniej, kiedy stają się niepopularne, kiedy świat o nich zapomina, owszem zwalcza. Najnowsze orędzie podkreśla, jako najważniejszą na czasy nasze i dla narodu naszego, tę zasadę, że »najwyższą miarą prawa dla sejmów, wieców i parlamentów jest nieprzemienne, wiekuiste prawo Boże... niewzruszone prawa moralne, obowiązujące państwa i narody« i że »suwerennemi mogą się zwać sejmy tylko w tem znaczeniu, o ile one same uznają najwyższą suwerenność Bożą... o ile lud jest ludem Bożym, a Bóg jest mu Panem«. W przypominaniu tej zasady upatruje Kościół polski swoje główne na obecną dobę względem wolnego narodu zadanie, ten Kościół, który narodowi, pozostającemu w niewoli, pomógł przetrwać czasy światowego bezprawia. Jako zastosowanie najważniejszej zasady — uznania nad sobą Bożego prawa, wynika obowiązek

narodowy pozostania wiernym prawdziwemu Kościołowi, bronienia jego nauki, zwalczania zaś tych haseł i tych partyj, które Kościół potępia. Z apostolską odwagą wypowiadają nasi pasterze, co Kościół sądzi o socjaliźmie i nawołują wiernych do zwalczania w duszach własnych tych występków i złych skłonności, ktore prowadzą do ogólnego rozstroju, zubożenia i upadku narodu.

Orędzie naszych pasterzy zostanie przyjęte przez większość polskiego społeczeństwa z wdzięcznością, jako pochodnia w labiryncie współczesnych zagadnień publicznego życia.

Stolica Francji obchodziła 16 października nadzwyczajne święto. Poświęcono na wzgórzu Montmartre bazylikę Sercu Jezusowemu. W mury tej monumentalnej budowy bizantyńskiej, gorującej ponad całem miastem, włożono nietylko 50 miljonów franków — włożono w nie, zaklęto na wieki uczucia miljonów wierzących serc dwóch ostatnich pokoleń Francuzów.

Kto umie dopatrywać się wewnętrznego związku między zdarzeniami, czytać będzie w tym kolosie historję półwiekową katolickiej Francji. Kiedy po strasznem rozgromieniu na polach Sedanu ujrzała stolica upokorzonego narodu pod swemi murami nielitościwego zwycięzcę, kiedy jednych ogarnęła rozpacz, a drudzy ziemię z krwi jeszcze nieobeschłą poili świeżą krwią własnych braci, katoliccy synowie ojczyzny świętych Klodoweuszów i Ludwików zwrócili się o ratunek tam, skąd już niejednokrotnie, jak za Dziewicy Orleańskiej, przychodził — do nieba. Postanowiono dźwignąć na górze, gdzie według podania miała być przelaną krew pierwszych apostołów Lutecji, na »górze męczenników« świątynię temu Sercu, z którego wszelkie zbawienie pochodzi. Kiedy jedna połowa narodu zrozpaczonego odwracała się hardo od Boga miłości i na niewierze i nienawiści klasowej rozpoczynała budować przyszłość swoją, druga uznała w pokorze w otrzymanym z ręki wroga ciosie uderzenie sprawiedliwości Bożej za grzechy narodu i postanawiała nienawiści przeciwstawić miłość w jej boskim symbolu i wobec odstępstwa wielu swych braci tem wierniej wytrwać przy Tym, który nie tylko karać, ale mocen jest i cieszyć i podnosić.

Sacratissimo Cordi Gallia poenitens et devota — miał głosić dedykacyjny napis świątyni. Ten, który tworzy historję świata, pozwolił dodać trzeci przymiotnik: et grata. Wprawdzie Francja urzędowa, Francja trzeciej republiki nie chciała słyszeć o pu-

blicznem wyznaniu win przed Bogiem i na ludzkich siłach nie zaś na Bożej pomocy oparła wszystkie swe nadzieje, mimo to serca wierzące nie zapomniały o swoim ślubie: grosz do grosza gromadziły potrzebne złoto, w kilka lat po uczynieniu obietnicy kładły już w r. 1874 pod budowę węgielny kamień, by potem przez lat czterdzieści przeszło mozolnie ale wytrwale dźwigać ku górze dowód swej wierności Chrystusowi. I nie opadły ręce budowniczym nawet wtedy, kiedy nowy grom wojny, stokroć straszniejszej od tamtej, uderzył w ojczyznę. Znowu oni, katolicy, prywatnie, nie pytając o zgodę jakobińskich swych rządców, wywiesili chorągiew, pod którą zwyciężyć jedynie spodziewali się — chorągiew Serca Jezusowego. Emblematem miłości Jezusowej pokryły się tysiączne sztandary i piersi wojowników. I Francja wyszła z zapasów nadludzkich osłabioną wprawdzie, ale w końcu zwycięską.

I mogła jednocześnie prawie z ogłoszeniem pokoju oddać swój ślub Sercu Jezusowemu, poenitens, devota et grata!

Na uroczystość poświęcenia tego monumentu Bożej miłości i wierności Bogu swych synów stanęła katolicka Francja, silna liczbą i duchem wiary. Przeszło stu biskupów, między którymi znajdowało się kilku purpuratów z kardynałem paryskim Amette'm na czele, wzięło udział w kościelnym obrzędzie. Otaczał ich tysiączny zastęp kapłanów, dziesiątki tysięcy wiernych. Ojciec chrześcijaństwa wysłał swego przedstawiciela w osobie kardynała Vico. Katolicy angielscy reprezentowani byli w osobie kard. Bourne'a. Od czasu koronacji Napoleona I przez papieża Piusa VII Paryż nie widział tak licznego zjazdu książąt Kościoła.

A jednak w dniu tym brakowało kogoś na Montmartre i brak ten musiały serca wierzących odczuć, niby zgrzyt nieznośny w ogólnej harmonji swego hymnu, podobnie jak odczuwały serca ich ojców przed półwiekiem zgrzyt nienawiści i apostazji, kiedy oni ślubowali wystawić tę świątynię. Stały u podnóża góry męczenników zastępy katolików, brakło jednak katolickiej Francji. Widziano tysiące wodzów, admirałów, senatorów, deputowanych, uczonych, ale przybyli oni tylko jako wierzący i wdzięczni Francuzi — nie było można jednak powitać w nich przedstawicieli katolickiego państwa. Francja urzędowa dotąd nie chce uznać, że »gesta Francorum« to są gesta Dei per Francos. I ta Francja urzędowa nie mogła złożyć hołdu Sercu Jezusowemu...

Ale może to już ostatnie z jej strony »non possumus«. Pod szpetnemi obsłonami poczwarki wykształca się piękny motyl; może i Francja w powijakach jakobinizmu tworzy sobie na nowo kształty narodu i państwa katolickiego, jakiem była przez półtora tysiąca lat swej historji. Ten tysięczny zastęp wodzów, senatorów, deputowanych i uczonych, jaki widziano na Montmartre, zdaje się rozrywa już powijaki, w jakie Francję skrępowano, i może już niezadługo Francja okaże się tem, czem była i jest w pragnieniach tych, co wznieśli wspaniałą świątynię Sercu Jezusowemu.

Odrodzenie religijne Francji, za mało dotąd widoczne w polityce i stosunkach społecznych, niewątpliwie dokonywa się w głębiach dusz wybranych i w wewnętrznem życiu kościelnem. Jednym z wymownych dowodów tego odrodzenia był odbyty w dniach 21 do 28 września tego roku w Tourcoing kongres muzyki kościelnej. Małe flandryjskie miasteczko, przez które przetoczył się parokrotnie walec światowej wojny i które przez lat kilka słuchać musiało piekielnej muzyki dział, zaprosiło do siebie na ucztę artystyczną najwybitniejszych reprezentantów muzyki kościelnej nie tylko z Francji, ale i z Włoch, Hiszpanji, Belgji, Holandji i innych krajów. Wszystko, co najświetniejszego posiada świat tonów, odpowiedziało na wezwanie przybyciem do Tourcoing: kompozytorzy, dyrektorzy chorów, mistrzowie gry organowej, całe drużyny śpiewacze i liczny zastęp protektorów i zwolenników muzyki kościelnej.

Kongres nie zadowolnił się teoretycznem roztrząsaniem zadań muzyki kościelnej — owszem przedewszystkiem chodziło mu o to, by pokazać, co w rzeczywistości już osiągnięto w tym kierunku od czasów znanych edyktów Leona XIII i Piusa X. Zatem codziennie przez cały tydzień w starej świątyni św. Krzysztofa odprawiano solenne nabożeństwa, najczęściej poutyfikalne, z zachowaniem wszystkich przepisów liturgicznych, przyczem o sklepienia tumu obijały się wszystkie rodzaje i style muzyki i śpiewu kościelnego. Występywały rozmaite chóry: męskie, dziecinne, kobiece, mięszane, świeckie i z kleru złożone, raz zawodząc archaiczne gregorjańskie melodje, drugi raz czarując słuchaczy harmonją polifonji palestryńskiej, to znowu śpiewu m o d e r n e, w którym jednak wykształcone liturgicznie ucho chwytało motywy poczerpnięte ze starych graduałów i antyfonarzy. Nie zapomniano i o śpiewie ludowym. Raz z głosami piersi ludzkich zlewały się akordy organów, to znowu milkły wszelkie

instrumenta, by dać miejsce stylowym wykonaniom a capella. W przerwach między nabożeństwami wygłaszano odczyty naukowe, radzono nad dalszym rozwojem sztuki, będącej najpiękniejszą ozdobą służby Bożej, a zarazem najwdzięczniejszym wyrazem pobożności chrześcijańskiej. Największą rozkosz duchową sprawiło uczestnikom kongresu i pobożnej publiczności mistrzowskie wykonanie chorału gregorjańskiego. Zwłaszcza Ojcowie Benedyktyni, kierujący niektóremi partjami śpiewu, mogli zbierać uznanie dla swojej szkoły. W Tourcoing sceptycy mieli sposobność poznać, czem może stać się ten śpiew, który Kościół w sposób szczególny uważa za swój własny, śpiew, którego wskutek nieumiejętnego wykonania wielu nie chce uznać i zrozumieć.

Następny kongres muzyki kościelnej postanowiono odbyć za rok w Lourdes, a potem w r. 1921 w odzyskanym dla Francji Strassburgu. Czy nie byłby czas i u nas pomyśleć o podniesieniu z upadku tak śpiewu liturgicznego, jak i ludowego? Zdaje się, że największą ku temu przeszkodą jest dość rozpowszechnione wśród nas mniemanie, że u nas pod tym względem wszystko jest tak, jak być powinno. Czy jednak tak jest w rzeczywistości?

Kiedy już mówimy o zjazdach, kongresach i uroczystościach ostatniej doby, nie możemy nie wspomnieć choć kilku słowami o kongresie, jaki się odbył na drugiej półkuli. Mianowicie w Waszyngtonie obradowała w ubiegłym miesiącu konferencja całego episkopatu katolickiego Stanów Zjednoczonych. Od roku 1884, pamiętnego synodem prowincjonalnym w Baltimore, pierwsze to ogólne zebranie biskupów. Przewodniczył na niem sędziwy arcybiskup z Baltimore, kardynał Gibbons, brał również udział w charakterze gościa i honorowego prezesa, kardynał belgijski Mercier. Choć nie możemy podać czytelnikom szczegółowych wyników obrad, spodziewać się wolno, że staną się one pewną podwaliną do dalszego rozbudowywania wszerz i wzwyż amerykańskiego katolicyzmu, który w ciągu stulecia osiągnął tak majestatyczne rozmiary i kształty. O iście amerykańskim rozmachu działalności Kościoła w Stanach Zjednoczonych niech mówią same tytuły spraw, jakie omawiano na ostatniej konferencji biskupów: obradowano zarówno nad rozwojem działalności misyjnej wśród tubylczych plemion, jak nad akcją dobroczynną, oświatową i społeczną wśród katolików; postanowiono przeciwstawić grożącemu bolszewizmowi organizację życia społecznego na podstawach encyklik Leona XIII, szczególną troskę oka-

zano organizacji uniwersytetów katolickich i prasy katolickiej. W celu postawienia dziennikarstwa na należnej wysokości przeznaczono olbrzymią sumę 25 miljonów dolarów na zorganizowanie krajowego biura korespondencyjnego. Z jak wymownem wezwaniem zwraca się ten przykład młodej katolickiej społeczności do swych starszych siostrzyc z Europy!

Od szeregu miesięcy zwracamy uwagę naszych czytelników na to, co się dzieje w Kościele czeskim. Wrzenie w łonie radykalniejszej części kleru, wybuchłe wśród ogólnego polityczno-społecznego przewrotu i zamętu, powoli się uspokaja. Nowomianowany arcybiskup nie spotkał takiej opozycji, jaką niektórzy mu grozili; odezwało się parę głosów przeciwko Dr. Kordačowi zdaje się tylko dlatego, że otrzymał pastorał nie z ręki Masaryka albo Zahradnika czy Farskiego, ale głosy te prawie żadnego nie wywołały echa. 26-go października nowy prymas Czech otrzymał konsekrację z rąk nuncjusza papieskiego Valfré di Bonzo, który w tym celu zjechał z Wiednia do Pragi, wioząc zarazem ze sobą prałata Micaro, przeznaczonego, w porozumieniu z rządem czeskim, na reprezentanta Stolicy Świętej w republice Czechosłowacji. Nawet znana »Jednota« pośpieszyła ze złożeniem hołdu swemu pasterzowi.

Jednocześnie Ojciec Święty, jak doniosła świeżo ajencja Havasa, zamierza nadać kościelnej hierarchji w Czechach nowy ustrój. Arcybiskup praski otrzymałby, według tej zapowiedzi, zwierzchnictwo nietylko nad trzema innymi biskupami właściwych Czech, ale i nad dwoma biskupstwami Moraw i diecezjami Słowaczyzny. Byłby to krok naprzód ku zrealizowaniu idei czeskiego patrjarchatu. Na Słowaczyźnie pociągnąćby to musiało gruntownie nowe rozgraniczenie diecezyj. Obecnie półtora miljona katolickich Słowaków należy aż do 13 diecezyj, których ośrodki znajdują się przeważnie poza granicami Słowaczyzny. Dotąd na wszystkich stolicach biskupich, którym podlegali Słowacy, nawet na tych, które znajdowały się na ziemi słowackiej, siedzieli Węgrzy, zamało mający zrozumienia dla narodowych potrzeb i aspiracyj swoich słowiańskich owieczek. Obecnie zapewne Słowaczyzna otrzyma nowy podział diecezyj i własnych pasterzy.

Kościołowi czeskiemu zleca Stolica Święta zadanie, zaszczytne zarazem i odpowiedzialne — by był rozsadnikiem katolicyzmu dla słowiańskich narodowości, pozostających dotąd w odszczepieństwie.

W tym celu w Welehradzie na Morawach, jako domniemanem miejscu śmierci św. Metodego ma powstać instytut dla pielęgnowania ideji unjonistycznej i przygotowywania misjonarzy dla schizmatyckiego Wschodu, jako filja świeżo powołanego do życia Instytutu wschodniego w Rzymie. Zapewne w związku z tą ideą ma być udzielone pozwolenie na wprowadzenie obrządku i języka słowiańskiego tak w welehradzkiej świątyni, jak i w jednym z kościołów Pragi. W ten sposób poczynają przyoblekać się w ciało niektóre z myśli, rzucanych od 12 lat na welehradzkich zjazdach teologów słowiańskich.

W miarę, jak ustalają się nowe polityczne twory na gruzach rosyjskiego caratu, rodzi się potrzeba nowej organizacji kościelnej w tych krajach. Katolicy krajów nadbałtyckich: Finlandji, Estonji i Łotwy podlegali dotąd arcybiskupowi mohylewskiemu, rezydującemu w stolicy Imperjum, do którego jurysdykcji należała, jak wiadomo, większa część Rosji europejskiej i cała Rosja azjatycka. Tylko Kurlandja pozostawała pod jurysdykcją biskupów żmudzkich. Dłużej ten anormalny stan istnieć nie może. Dlatego też, wkrótce po przewrocie politycznym w Rosji Stolica Święta wznowiła upadłe w XVI stuleciu wskutek Reformacji biskupstwo ryskie, powierzając je Ks. Edwardowi O'Rourke'owi i włączając do jego granic oprócz Inflant t. zw. szwedzkich ze stolicą Rygą, także Inflanty polskie, czyli zachodnią połać gubernji witebskiej z miastami Dźwińskiem, Lucynem i Rzeżycą, a nadto Estonję. Istnieje również, o ile wiemy, projekt przyłączenia do tejże djecezji katolickich parafij Kurlandji, któreby były odłączone od biskupstwa żmudzkiego.

Tymczasem biskupstwo ryskie przedstawia się rozpaczliwie. Inflanty szwedzkie, kraj protestancki, liczyły jednak przed wojną do 100 tysięcy katolików, posiadających oprócz 3 kościołów w Rydze, jeszcze kilka parafij i kaplic na prowincji, jak w Dorpacie, Wałku, Kemmern i innych. Obecnie przy swym ingresie do stolicy djecezji znalazł tam Ks. biskup O'Rourke zaledwie jakieś 10 tysięcy wiernych — resztę wypłoszyła wojna, zmasakrowali bolszewicy. Gros djecezji — Inflanty polskie, liczące około 300 tysięcy katolików, Polaków i Łotyszów, znajduje się dotąd pod rządami bolszewickiemi; Kurlandja, licząca około 60 tysięcy katolików, dotąd nie zjednoczyła się z Inflantami ani pod względem politycznym (operują tam rosyjsko-niemieckie oddziały), ani pod względem kościelnym. Estonja posiada

zaledwie jedną parafję katolicką w Rewlu z nikłą gartską wiernych. Samo biskupstwo ryskie pozbawione jest jakiegokolwiek uposażenia. Rząd republiki łotewskiej pono chętnie powitał wskrzeszenie katolickiego biskupstwa w Rydze, życzyłby atoli widzieć na tej stolicy prałata narodowości łotewskiej.

Ze względu na to, że do tej djecezji należeć będzie w każdym razie znaczna liczba katolików Polaków, losy nowego biskupstwa nie powinny być obojętne naszemu społeczeństwu. Pomoc okazana tej wątłej jeszcze organizacji kościelnej z naszej strony, w jakiejkolwiek formie się ona wyrazi, odnowi chlubne tradycje naszej przeszłości, kiedy ratowanie przez nas katolicyzmu w tych krajach szło w parze z politycznymi wpływami i podbojami.

Finlandja, którą do krajów bałtyckich zaliczamy, posiadała przed wojną parafje katolickie w Helsingforsie i Wyborgu i liczyła zaledwie 3 tysiące katolików. Nadto istniała z prywatnej inicjatywy pp. Ptaszyckich wzniesiona w Terjokach kaplica, obsługująca licznych petersburskich letników w tej nadmorskiej miejscowości. Po uzyskaniu niepodległości rząd tego protestanckiego kraju w liczbie najpierwszych swych misyj dyplomatycznych wyprawił poselstwo do Stolicy Świętej, okazując życzenie nawiązania stałych z nią stosunków w celu uregulowania spraw, dotyczących katolickiego Kościoła w kraju. W ostatnich czasach tenże rząd upatrzył Ks. Christiersona, dawnego proboszcza w Helsingforsie na swego posła do Watykanu. Można więc spodziewać się, że kraina 1000 jezior otrzyma niezależnie od Petersburga misję katolicką, która może wywoła wspomnienia starej wiary, przemocą szwedzką wydartej potulnym synom melancholijnej Suomi.

Ks. J. Urban.

Z dziejów najnowszego lotnictwa.

Wojenne lotnictwo francuskie. — Polowanie na łodzie podwodne. — Zwycięstwo balonów sztywnych. — Betonowe hangary. — Aeroplany bez załogi, kierowane falami elektrycznemi. — Przeżycie się ciężkiej artylerji. — Powietrzny aparat saneczkowy. — Rozwożenie poczty powietrznej. — Ruch pasażerski powietrzny między Anglją i Francją.

Widok tego, co podczas wojny działo się w powietrzu, przekonać musiał wszystkich, nawet zdala od tajemnic wojskowych stojących, że

wojna dla lotnictwa zapoczątkuje nową epokę. I choć niemieccy technicy, nie wiadomo dla jakich powodów, zapewniali, że istotnych zmian w lotnictwie nie będzie i ostrzegali, by nie robić sobie pod tym względem wybujałych nadziei, to jednak fakta wkrótce czego innego dowiodły i zaraz po ustaniu działań wojennych na głównym terenie walki, lotnictwo niewojskowe rozwinęło się tak szybko, że stanęło odrazu w zawody z automobilami, kolejami żelaznemi, a nawet z okrętami, a lotnik w powietrzu mniej dzisiaj uwagi na siebie ściąga, niż przed laty trzydziestu bicyklista. Zamiast więc kuszenia się o rzecz niemożliwą, by mianowicie zdać wyczerpująco sprawę z dziejów lotnictwa z ostatnich lat i miesięcy, ograniczę się na przytoczeniu kilku więcej charakterystycznych rysów, które dadzą pojęcie o rozmiarach całkowitego obrazu.

Na pierwsze miejsce wybić się oczywiście muszą prawdziwie przerażające cyfry, jakie przedostają się teraz do szerszej publiczności o stanie lotnictwa wojskowego przy końcu wojny, przyczem ograniczę się do lotnictwa francuskiego, gdyż ono na początku wojny prawie że nie istniało. Sfery wojskowe zaraz na początku wojny dostrzegły, że bez walnej pomocy lotnictwa o zwycięstwie ani myśleć nie można; zwrócono więc w tym kierunku niesłychane wysiłki. I tak już w roku 1915 Francja produkuje 3460 latawców wojennych, w 1916 r. 7552, w 1917 r. 14.435, zaś w r. 1918, i to tylko w przeciągu dziewięcy miesięcy, 18.843, co na cały rok dałoby siedm razy tyle, co w r. 1915. Motorów zaś do celów lotniczych zbudowano w 1915 roku 6.849, zaś w przeciągu 9 miesięcy 1918 r. 34.219. To też gdy w roku 1915 w przemyśle lotniczym zajętych było 12.659 ludzi, to w r. 1918 pracowało ich tam 186.000.

Co do wewnętrznej organizacji lotnictwa wojskowego Francji uderza fakt, że państwo to, napół morskie, na początku wojny posiadało tylko 6 hydroplanów, a ani jednego balonu sterowego do pilnowania wybrzeży. Pod wpływem wydarzeń wojennych wzięto się jednak z całą usilnością do naprawy tego niesłychanego zaniedbania i od r. 1916 aż do ukończenia wojny zbudowano 1100 hydroplanów, które rozmieszczono na 39 stacjach nadbrzeżnych Francji i 29 stacjach Algeru. Balonów do sterowania, mających za zadanie strzeżenie wybrzeży i wód nadbrzeżnych, nie było, jak wspomnieliśmy, zupełnie. To też, gdy w r. 1916 rozpoczęli Niemcy na wielką skalę wojnę łodziami podwodnemi, Francja stanęła wobec tej strasznej broni bezsilną. Pokazały bowiem wkrótce bolesne doświadczenia, że od łodzi podwodnej nie

ustrzeże ani pancernik, ani torpedowiec, wogóle łódź żadna,—a skutecznym i jedynie dostatecznie czujnym obrońcą jest tylko latawiec, zwłaszcza balon do kierowania. Bo najpierw z wysokości swej lotnik dalsze przetrząsa wzrokiem widnokręgi, niż tego zdoła dokonać marynarz choćby z najwyższego masztu, i może on nawet ujrzeć łódź zanurzoną pod wodą; nadto w pogoni za piratą podwodnym lotnik doścignie każdą łódź, choćby najszybszą, i wzbijając się nad nią, rzuca nań ciężką bombę, która z łatwością przebije i zniszczy powłokę łodzi podwodnej. To też, gdy lotnicy nabyli już dostatecznej wprawy, nie zdarzyło się nigdy, by okręty, konwojowane przez aparaty lotnicze, uległy napadowi podwodnej łodzi, podczas gdy asystencja nawet najsilniejszych pancerników okazywała się bezskuteczną i łódź podwodna pod okiem prawie pancernika z łatwością zatapiała ten lub ów konwojowany okręt.

Odpowiednio do potrzeb walki z łodziami podwodnemi budowali Francuzi dwa typy balonów do kierowania, których przy końcu wojny mieli 40 sztuk, rozdzielonych po 11 stacjach, a wspierało je nadto w obserwacjach 180 balonów na uwięzi, umieszczonych na 16 stacjach. Jeden z tych typów, to były okręty powietrzne lżejsze, o pojemności około 3.000 metrów sześciennych, zwane vedettes. Jak sama nazwa wskazuje, przeznaczeniem ich było pilnowanie wybrzeża przed napadem łodzi podwodnych, były to więc pikiety i patrole powietrzne, nie oddalające się zbytnio od stacyj nadbrzeżnych, a więc i rozmiary ich nie były wielkie, bo nie potrzebowały balony te nosić materjału zapasowego na daleką podróż. Długość ich wynosi około 50 metrów, szerokość w miejscu najszerszem do 11 metrów, a dwa motory, od siebie niezależne, o sile 80 i 150 koni, dozwalały na rozwinięcie prędkości 80 kilometrów na godzinę. Załoga składa się z trzech ludzi: na przodzie łódki pilot, w środku obserwator, a z tyłu telegrafista, bo oczywiście w łodzi była instalacja telegrafu bez drutu, by módz ciągle spostrzeżenia komunikować stacjom przybrzeżnym. Uzbrojenie było częścią odporne, częścią zaczepne. Pierwsze składało się z dwóch mitraljez systemu Levis, które miały za zadanie bronić balonu przed atakiem nieprzyjacielskich latawców; zaś za broń zaczepną przeciwko łodziom podwodnym służyć miały dwie bomby, każda nadziana trzydziestu pięcioma kilogramami materji wybuchowej. Najdłuższy czas przebywania w powietrzu wynosił 10 godzin i była to granica zmęczenia załogi, pracującej w tych warunkach.

Drugi typ balonow sterowych stanowiły krążowniki, balony znacznie większe, bo przeznaczone na dalsze nadmorskie podróże. Poje-

mność ich dochodzi do 10 tysięcy metrów sześciennych, długość około 70 metrów, szerokość około 13 metrów, zaś motory o sile do 500 koni nadać mogą balonowi prędkość do 82 kilometrów na godzinę. Załoga, złożona z pięciu do ośmiu ludzi, ma do rozporządzenia w razie walki sześć bomb 50-cio kilogramowych i albo dwie mitraljezy, albo też jedną mitraljezę z tyłu, a z przodu armatę 47-mio lub nawet 75-cio milimetrową. Tak więc człowiek zdołał już wydźwignąć armatę na przestworza powietrzne!

Prócz strzeżenia wybrzeży i okrętów przed napadami łodzi podwodnych, miały te balony dwa jeszcze inne zadania do spełnienia. Najpierw, bujając ponad powierzchnią morza, dostrzedz one mogły z łatwością łodzie, nawet pod wodą się znajdujące, a gdy łódź taką wytropiły, rzucały nań umyślnie do tego celu urządzone bomby, których mechanizm można było tak nastawić, że wybuchały wedle woli nastawiającego, w głębokości 20, 30, 75 metrów pod powierzchnią wody. Drugiem, niemniej ważnem, zadaniem tych balonów było śledzenie min podwodnych, które łodzie podwodne niemieckie rozsiewały po morzu i, wskazując na ich miejsce pobytu, ułatwiać pracę załogom wyławiaczy min. W tem jednak balony sterowe pomagały raczej tylko balonom na uwięzi, które holowano na okrętach ponad morzem i w ten sposób wybrzeża oczyszczano z min.

Wojna światowa, która tak bardzo przyczyniła się do rozwoju balonów sterowych, rozstrzygnęła też stanowczo jedną niezmiernie ważną kwestję co do balonów, o którą dotychczas zacięcie, lecz bez skutku się spierano. Chodziło tu mianowicie o pytanie zasadnicze, który typ balonów sterowych jest lepszy i praktyczniejszy, czy balony o powłoce wiotkiej, czy też balony sztywne typu Zeppelina. Przed wojną i na początku wojny Anglicy i Francuzi zwłaszcza przechylali się na stronę balonów wiotkich, doświadczenia jednak wojenne wykazały stanowczą wyższość Zeppelinów i obecnie tak Francuzi, jak i Anglicy budują tylko balony sztywne. Oto motywy wyroku, do którego zmusiły liczne a drogo i gorzko nieraz okupione doświadczenia. Powłoka balonu wiotkiego, zrobiona z materji miękkiej i podatnej, musi być ciągle trzymana w napięciu przez ciśnienie gazu, wewnątrz balonu się znajdującego, stąd wszelki znaczniejszy upływ tego gazu musi spowodować zdeformowanie balonu, gwałtowny spad i nawet może łatwo stać się przyczyną katastrofy. Do balonu o miękkiej powłoce trzeba nadto łódkę przymocowywać zapomocą całego skomplikowanego systemu lin, które, stawiając wielki opór powietrzu, utrudniają ruchy balonu.

Wszystko to sprawia, że balon taki może poruszać się z szybkością co najwyżej 80 kilometrów na godzinę, nie można go też zbytecznie obciążać, tylko do połowy jego rzeczywistej siły unośnej, a z powodu zależności napięcia powłoki od ciśnienia powietrza, ponad 4000 metrów wzbija się taki balon tylko z wielką trudnością. Najpotężniejszy balon wiotki, jaki zbudowano, może przy pełnej prędkości 80 kilometrów na godzinę oddalać się od swej stacji zasilającej tylko o 1500 kilometrów, a przy prędkości 63 km. na godzinę promień działania wynosi 2500 km.

Przy balonach sztywnych wszystkie te dane układają się daleko pomyślniej. Do sztywnej powłoki balonu łódkę przytwierdzić daleko łatwiej i łatwiej nadać całemu balonowi kształt jak najkorzystniejszy, by opór powietrza był jak najmniejszy. Co zaś najważniejsze, balon cały nie stanowi jednej komory, lecz wodór mieści się wewnątrz w 20 balonach, tak że mamy przed sobą prawdziwy okręt powietrzny, o ściśle odgraniczonych komorach; zranienie jednego lub drugiego miejsca powłoki lub nawet zniszczenie jakiej komory bynajmniej nie zagraża katastrofą całości. Przy szybkości 100 km. na godzinę balon taki posiada promień działania 7000 km., to znaczy może balon 70 godzin utrzymywać się bez przerwy w powietrzu, a przy prędkości 80 km. podróż jego trwać może 140 godziny, a promień działania dochodzi do 11.000 kilometrów. Wielką też zaletą balonów sztywnych jest ich zdolność bardzo szybkiego wzbijania się w górę. W ciągu 20 minut balon wznieść się zdoła na wysokość 7000 metrów, a więc 6 metrów na sekundę, czem osiąga rekord ponad najsprawniejszemi latawcami. Łatwo sobie wyobrazić, jaką to korzyść przedstawia zarówno w walce, gdzie ustawienie się ponad przeciwnikiem często decyduje o losie wygranej, jak i w podróżach zwykłych, zwłaszcza lądowych, gdy chodzi czy o wzbicie się szybkie ponad niebezpieczne chmury, czy też ponad łańcuchy gór, grożące rozstrzaskaniem powietrznego okrętu.

Jedną tylko niedogodność posiada balon sztywny, mianowicie — pomijając pewne trudności przy lądowaniu w razie wiatru — na przechowywanie go potrzeba bardzo wielkiego hangaru, podczas gdy balon wiotki po skończonej podróży można z gazu wypróżnić i powłokę jak zwykłą tkaninę materji zwinąć. Najnowsza technika jednak już i na to znalazła środek, który budowę takich hangarów ogromnie ułatwia. Dotychczas budowano hangary z drzewa i żelaza, a jeżeli chodziło o stacje tymczasowe, z drzewa i płótna. Przed kilku miesiącami wystąpił inżynier francuski, Lossier, z projektem, przyjętym skwapliwie przez ministerstwo marynarki, zbudowania hangaru z betonu i żelaza. Hangar, projekto-

wany przez Lossiera, ma 220 metrów długości, 93 metrów szerokości i 53 wysokości, a wielką jego zaletą jest wypukłe sklepienie paraboliczne, odpowiednie do kształtów balonu, czego przy drzewie i żelazie przy takich rozmiarach sklepienia nie było można otrzymać bez zawadzających podpór i sieci słupów.

Jak widać z powyższych faktów, idea niemiecka balonów sztywnych odniosła zupełne zwycięstwo. Ale i na polu latawców Niemcy doszli do rezultatów znakomitych, a niedawno z Berlina do Sztokholmu przyleciał bezpiecznie aeroplan, niosący na sobie 14 pasażerów. Sławne są też aeroplany wojenne niemieckie, tak zwane Fokkery, których wynalazca jednak, M. A. Fokker, jest Duńczykiem. Niezmiernie ciekawą rozmowę z owym Fokkerem miał w zeszłym miesiącu w Amsterdamie amerykański dziennikarz, którą dosłownie powtarza Times z 16 września b. r., a która na rozwój lotnictwa, a w szczególności na lotnictwo wojenne rzuca jaskrawe, oślepiające światło, ukrywane dotąd starannie w głębiach tajemnic arsenału niemieckiego. Oto, zdaniem wtajemniczonego bezpośrednio w tę sprawę Fokkera, gdyby wojna trwała jeszcze kilka miesięcy, Niemcy wycofaliby z walki zupełnie nie tylko ową Bertę złośliwą, ostrzeliwującą Paryż z odległości stu kilometrów, ale wogóle całą ciężką artylerję, a na miejsce dział największego kalibru wystąpić do walki miały aeroplany bez załogi, kierowane przez operatora z lądu zapomocą fal elektrycznych. Każdy z tych aeroplanów miał mieć siłę lotną, starczącą zaledwie na 4 godziny, ale niósł on na sobie olbrzymią bombę. Przyleciawszy nad wybrane przez operatora miejsce, upuszczał ją, rozlatując się sam na drzazgi. Mimo straty jednak takiego efemerycznego aeroplanu, koszt strzału nie byłby większy, niż strzału z ciężkiego działa, a nadto zamiast cennego materjału wybuchowego, potrzebnego do nabicia armaty celem wyrzucenia pocisku, wystarczyłoby nieco gazoliny jako siły popędowej aeroplanu. Korzyści natomiast byłyby bardzo znaczne. Olbrzymi pocisk, naładowany substancją eksplodującą, dosięgnąłby zawsze swego miejsca przeznaczenia, o ile nieprzyjaciel nie strąciłby go uprzednio strzałami, a przytem zaoszczędzonoby bardzo i życia i pracy żołnierzy, bo zamiast całych oddziałów artylerji, jeden człowiek, bezpiecznie gdziekolwiek ukryty, kierowałby, wedle wyrażenia Fokkera, całem stadem pociskonośnych latawców, jak pasterz stadem owiec. Aeroplany słuchałyby skorzej fal elektrycznych, wysyłanych ręką operatora, niż dobre owce słuchają fal głosowych pasterza. Oczywiście biada wojsku lub miastu, nad którem zjawiłoby się takie posłuszne stado zjadliwych, elektrycznością ożywionych ptaków!

Plan cały zrodził się już w r. 1916 i byłby dawno wykonany, tylko niemieckie ministerjum wojny popełniło błąd, jak mówi Fokker, że samo zabrało się do jego wykonania. Wykonało go tak nieudolnie, że przyrządy okazały się niepraktyczne. Wtedy to dopiero, w połowie lata r. 1918, zwróciło się ministerstwo o wykonanie do wynalazcy, który natychmiast wziął się do dzieła i to tak energicznie, że po paru miesiącach był już gotów do produkcji masowej aeroplanów, kierowanych falami elektrycznemi. »Nieszczęściem« w armji niemieckiej wybuchły niepokoje, które zmusiły do zawarcia zawieszenia broni, a nowożytny świat pozbawiły możności praktycznego wypróbowania owego najwyższego wytworu jego cywilizacji. Ale jest nadzieja, przynajmniej tak Fokker zapewnia, że w najbliższej wojnie te aeroplany znajdą szerokie zastosowanie i to jest jeden z kierunków, w których lotnictwo przyszłe ma się rozwijać.

Fokker podał dwa jeszcze inne. Przedewszystkiem aeroplany pasażerskie, któreby były zdolne do przenoszenia za jednym zamachem setki ludzi, a nie po kilku lub kilkunastu, jak dotychczas, a drugie, odnoszące się głównie do przyjemności, to nowy rodzaj sportu, którego szczegóły Fokker zupełnie już obmyślił, a który zastąpi i wyprze z kół świeżo zbogaconych tak ulubiony sport saneczkowy. Mianowicie Fokker zbudował już model latawca bez motoru, na którym usiędą wybrani. Szereg takich aeroplanów połączy się gęsiego linami, a na czele stanie potężny motorowy latawiec, który z całą tą kawalkatą podąży w górę, tak jak koń dąży w górę z szeregiem saneczek. Gdy znajdą się już na wysokości jakich 5000 metrów, liny się odczepią i bezmotorowe latawce ruchem kolistym a lotem jaskółki spuszczać się poczną szybko w dół, ku matce ziemi, która z troską patrząc na swe zbuntowane dzieci, skrzętnie je ku sobie grawitacyjną siłą poprzyciąga i znowu do swego matczynego przytuli łona.

Ale nietylko celom sportowym ma służyć ten nowy pomysł Fokkera holowania powietrznego aeroplanów. Gdyby udało się temu śmiałemu wynalazcy zbudować aeroplan o sile 20000 koni, do którego plany ma już gotowe, wtedy możnaby, jak snuje dalej Fokker, wyjechać w dalszą podróż z całym szeregiem niemotorowych aeroplanów i w nich pomieścić pasażerów, pragnących dostać się do rozmaitych miejscowości. Gdy cały ten pociąg przyleci nad daną miejscowość, odczepi się odpowiedni wagon-aeroplan, a pasażerowie zsuną się wygodnie na miejsce przeznaczenia, inni zaś pojadą pociągiem dalej.

Zanim ten plan Fokkera urzeczywistni się, lotnictwo, posługujące się jeszcze »staremi metodami«, oddaje poczciarstwu w niektórych państwach znaczne usługi, które zwłaszcza w pierwszych dniach października w Anglji okazały się były wprost nieocenionemi. W pierwszych dniach października Anglja stanęła nad przepaścią socjalną i mało brakowało, a przed światem stanęłaby Anglja nowa, komunistyczno-bolszewicka. Ta Anglja, która z wojny wyszła z tak niezmiernie wielkiemi korzyściami, że praktycznie urzeczywistniają one jej odwieczne cele panowania nad światem, zagrożona jest rozbiciem przez trzy olbrzymie fale, trzy strasznie ciężkie i olbrzymie rozmiarami kwestje, zdolne w kilku miesiącach skruszyć całą jej potęgę i olbrzymie, świat cały obejmujące imperjum angielskie rozbić w czerepy. Kwestje te, wobec których ustają i gną się najpotężniejsze umysły angielskie, są: kwestja robotnicza, kwestja irlandzka i kwestja indyjska. Co się dzieje obecnie w Indjach, nic prawie się o tem nie wie, ale każdemu, kto śledził pilnie gazety angielskie, było jeszcze przed wojną rzeczą oczywistą, że Anglja stoi tam na takim wulkanie, na jakim stał caryzm w Rosji z początkiem naszego stulecia. W Irlandji znowu dzieją się okropności, o których albo nie wiemy, albo wiedzieć nie chcemy, ale nad Irlandją czuwa duża część społeczeństwa amerykańskiego, która rozwiązania kwestji irlandzkiej gwałtownie się domaga. A kwestja robotnicza jest w Anglji obecnie więcej polityczną niż ekonomiczną, boć najmniejsza płaca dorosłego robotnika wynosi tam 51 szylingów tygodniowo, to znaczy prawie 2000 koron. Jak i z polskich gazet wiadomo, ostatni strajk robotników ruchu miał także tło wyłącznie polityczne i tem był oczywiście niebezpieczniejszy. Jak zaś był olbrzymi, to dość powiedzieć, że chociaż trwał tylko dni ośm, to przecież wedle obliczeń ekonomistów, społeczeństwo poniosło przezeń straty na miliard i 250 milionów franków. Plan komunistów był bardzo prosty i wypróbowany w swych skutkach: jeżeli uda się przerwać komunikację pocztową i kolejową, miasta olbrzymie zostaną bez żywności i muszą rzucić się wobec śmierci głodowej w objęcia komuny.

Wytrawny radykał i agitator, stojący na czele rządu Lloyd George, obecnie tak szeroko w Polsce znany, wiedział, jakich trzeba trzymać się metod w zwalczaniu tego ruchu. Z jednej strony więc odrazu użył całej siły wojskowej do strzeżenia porządku, a z drugiej wytężył wszystkie siły, by z pomocą ochotników, których społeczeństwo obficie dostarczyło, utrzymać w dostatecznej mierze komunikację pocztową i aprowizację miast. Przytem odegrały tu rolę najważniejszą automobile, lecz

i aeroplanom przypadła w udziale niemała w zwycięstwie ładu zasługa. Czterdzieści sześć aeroplanów — tak brzmi sprawozdanie rządowe — pełniło równocześnie służbę pocztową pomiędzy rozmaitemi miastami angielskiemi, z czego pięć niosło listy i przesyłki z samego Londynu, a nadto ożywił się znacznie ruch lotniczy między Paryżem a Londynem. Prócz zwykłych pakietów pocztowych przewożono masło, śmietankę, ser, rzeczy pasażerów jadących na aeroplanach, a między artykułami w ten sposób przez kanał przeprawionemi znalazł się kotek rasowy, zapewne pierwszy, który drogą powietrzną dostał się do Anglji.

Połączenie pasażerskie zapomocą aeroplanów pomiędzy Londynem a Paryżem jest już zorganizowane stale od kilku tygodni, a z Paryża wyjeżdżają też trzy razy na tydzień aeroplany do Brukseli i napowrót. Cały ten ruch spoczywa w rękach towarzystw prywatnych, które zapewne doskonałe robią interesy, bo popyt za biletami bardzo żywy. Nic dziwnego, dotychczas nie było jeszcze żadnego wypadku, a za 15 gwinej można wygodnie w ciągu półtrzeciej godziny odbyć drogę między Paryżem a Londynem. Toteż w ciągu miesiąca przeprawiło się w ten sposób przeszło 270 osób, a między pasażerami najmłodszy z pewnością był chłopczyk półtrzeciaroczny, z którym wybrali się aeroplanem rodzice, a który z tego rodzaju podróży był bardzo zadowolony. Zapewne nie czuł przepaści pod sobą.

Ks. Feliks Hortyński.

REDAKTOR I WYDAWCA: *Ks. Jan Urban T. J.*

Druk ukończono 4. listopada 1919.

Co zrobić z Żydami?

Nie możemy się bynajmniej pochwalić, jakobyśmy posiadali określony program dla naszej polityki względem Żydów. Jak w wielu innych sferach publicznego życia, tak i w kwestji naszego stosunku do Żydów cechuje nas brak pewnych zasad i wyczekiwanie, że ta kwestja przecież jakoś się rozwiąże. W braku jasnego poglądu na problem żydowski trzeba szukać wytłumaczenia i tego zjawiska, że o własnem swojem względem Żydów postępowaniu wydajemy djametralnie przeciwne sądy, raz szczycąc się swoją względem nich tolerancją, to znowu potępiając samych siebie za nią — według tego, jakiej nam przesłanki do wniosku potrzeba.

Brak pewnego programu w naszej polityce żydowskiej ma swoje źródło, obok rozbieżności zapatrywań na zagadnienia narodowościowe wogóle, jeszcze w tem, że my nie znamy Żydów. Może to wydać się komuś paradoksem, a jednak jest to prawdą. Mieszka wśród nas trzy miljony ludzi, na których codziennie patrzymy, o których ustawicznie się ocieramy, z którymi załatwiamy tysiące interesów, a mimo to nasza znajomość tego żywiołu jest tylko powierzchowną. Jak niegdyś Marka Aureljusza, tak nas razi żydowskie niechlujstwo i wrzaskliwość, pod chałatami i jarmułkami wyczuwamy obce dla nas i nieprzyjazne dusze, ale jakże mało jest wśród nas takich, uczonych, publicystów, czy literatów, którzyby zupełnie rzeczowo zbadali żydowską duszę, Żydów dążenia i nurtujące wśród nich prądy! Jak naprzykład zupełnie nieznaną jest polskiemu społeczeństwu literatura i publicystyka choćby tylko współczesnego żydostwa! Jeżeli istnieje w Polsce antysemityzm, godny tej nazwy, to zaiste nie może się poszczycić naukową podstawą: opiera się on raczej na uczuciach, niż na naukowo zdobytym i zbadanym faktycznym materjale. Nieliczne pod tym względem

wśród naszych »antysemitów« wyjątki potwierdzają tylko niechlubną dla nas regułę.

Dlatego pierwszym krokiem ku rozwiązaniu kwestji żydowskiej winnoby być u nas wszechstronne studjum tego obcego nam żywiołu, dokładne określenie, z kim właściwie mamy do czynienia, jakie odłamy żydostwa są dla nas najniebezpieczniejsze i jaką przedstawiają siłę, na jakich zaś elementach moglibyśmy się ewentualnie oprzeć, z jakiemi dałoby się porozumieć.

Wszakże zanim zdobędziemy się na takie studjum, kwestja żydowska nie przestaje być palącą i dlatego ośmielamy się dać w niniejszym artykule przyczynek do jej rozwiązania, oparty wprawdzie na szczupłym — przyznajemy — materjale statystycznym, ale czerpiący swe wywody z niezbitych ogólnych zasad narodowościowej etyki i życiowej logiki.

Przed pięćdziesięciu laty dzielono u nas Żydów na dwie tylko kategorje: na zacofany tłum i postępową elitę. Pierwszy z pejsów, chałata, żargonu czynił sobie ledwie nie dogmat religijny i narodowy, narówni ze skrupulatnem przestrzeganiem szabatu, koszeru i całego szeregu rytualnych drobiazgowości, — elita ubierała się z niemiecka, zaczynała mówić po polsku, jadła kiełbasę wieprzową i budowała postępowe synagogi, w których zamiast wrzaskliwych głosów kiwających się każdy w swoją stronę żydów, słyszeć już można było piękny śpiew lub nawet grę organową, w których rozbrzmiewały kazania przybranych w doktorskie birety albo i w »ornat« oświeconych rabinów [1]). I społeczeństwo polskie cieszyło się, że się wytwarza zastęp Polaków, wyznaniem wprawdzie nam obcych, ale w każdym razie Polaków, zapewniających nawet przy sposobności o swym gorącym patrjotyźmie. »Asymilacja« ta budziła niekiedy pewne niedowierzania; atoli uważano powszechnie za dogmat polityczny i społeczny, że należy ją radośnie powitać i gorliwie popierać. Wątpiono tylko mocno, czy zdoła ona objąć szerokie koła żydostwa. Bądź co bądź pocieszano się, że czas i cierpliwość wszystkie trudności przemogą.

Tymczasem co innego czas sprawił: znacznie skomplikował zagadnienie żydowskie. Coraz bardziej stawało się jasnem, że »oświe-

[1]) Mam tu na myśli głównie stosunki warszawskie; w Poznaniu, a po części i we Lwowie żydzi postępowi woleli uważać się za Niemców.

coność« czy »postępowość« Żyda co do zewnętrznych form życia, owszem że nawet przyswojenie sobie polskiego języka nie świadczą bynajmniej o polskości, a tem mniej o polskim patrjotyźmie. Szkoła polska i uniwersytet polski, zarówno jak szkoła i uniwersytet rosyjskie wprawdzie ale przeznaczone dla polskiej młodzieży i polskiego kraju, wypuściły zastępy Żydów, którzy obcięli wprawdzie pejsy i nauczyli się doskonale po polsku, mimo to wyraźnie zaznaczać poczęli, że Polakami wcale nie są. Garstka inteligentnych Polaków mojżeszowego wyznania zaczęła topnieć, natomiast wystąpiła na widownię inteligencja żydowska, uważająca Żydów za odrębny naród i narzucająca się na przewodników politycznych owej ciemnej i zacofanej masie, którą dotąd asymilatorzy obiecywali sprowadzić w szeregi polskości. Mało tego. Owe zastępy władających polszczyzną oświeconych Żydów uległy dalszemu zróżniczkowaniu: jedni wskazywać poczęli na Palestynę, jako na właściwą swą ojczyznę, Polskę traktując jako miejsce chwilowego wygnania, z którego trzeba tylko wydobyć potrzebne do odbudowania ojczyzny materjalne środki, — drudzy, zgadzając się z sjonistami co do zasady odrębności narodowej Żydów, rezygnują z Palestyny i mówią pod adresem naszym: »J'y suis, j'y reste — nie ruszymy się stąd, musicie nam dać tutaj równouprawnienie, jako oodrębnemu narodowi. I każdy z tych trzech kierunków inteligentnego żydostwa: sjoniści, narodowcy-terytorjaliści i dawni asymilatorzy, chce reprezentować wobec nas ogół Żydów i usiłuje nadawać kierunek naszej względem Żydów polityce. Sam zaś ten ogół, przeważnie głuchy na nawoływania asymilatorów, a obojętny lub niezdecydowany względem sporu, dzielącego sjonizm od nacjonalizmu, co buduje Judeę w Polsce, idzie jednocześnie za obydwoma ostatniemi grupami prowodyrów w tem, w czem się zgadzają — w poczuciu swej narodowej odrębności od Polaków i w domaganiu się dla siebie pełni praw przy obojętności dla interesów Polski.

Dziś zagadnienie żydowskie nie brzmi alternatywą: ortodoksyzm, czy postępowość w łonie żydostwa; dziś trzeba stawiać pytanie: czy Polska ma być Polską, czy też Judeo-Polską? A w tym ostatnim razie, jak spreparować ów polsko-żydowski polityczny aljaż, czy podług recepty sjonistycznej, czy też według żądań narodowców? Wobec tego stanu sprawy, możemy być z góry pewni, że jakąkolwiek drogę obierzemy do rozwiązania kwestji żydowskiej, nie zadowolnimy jakiejś silnej żydowskiej partji, albo i paru naraz.

Słyszymy naprzykład, żądania szkół państwowych, czy przez państwo subwencjonowanych, dla Żydów z rodzimym językiem wykładowym; zgódźmy się, że tym językiem rodzimym nie jest polski, — i wtedy jeszcze wiedzieć nie będziemy, jaki to ma być język: hebrajski, czy żargon, i jeżeli żargon, to który: czy zepsuta niemiecka gwara dawnych naszych Żydów, czy też przyniesiona przez »litwaków« niemniej zepsuta gwara rosyjska?

Gdybyśmy umieli rozwikłać ku ogólnemu zadowoleniu problem narodowościowy i językowy, natrafimy na nową trudność. Pochodzi ona ze społecznego zróżniczkowania Żydów. Obok finansjery i kupiectwa żydowskiego posiadamy liczny żydowski proletarjat, żyjący Bóg wie jak i z czego. Wśród tego proletarjatu z łatwością przyjmują się najskrajniejsze hasła, bolszewizm znajduje wśród niego najliczniejszych adeptów. Nic dziwnego: w przewrocie społecznym niewiele ów proletarjat obawia się stracić, a wiele może zyskać. Instynkt mamonistyczny więcej tu działa, niż wiara w zbawienność dla świata komunistycznych teoryj. W razie przewrotu bolszewickiego żydowski proletarjusz uzyska prawo do burżujskich mieszkań, do podziału produktów, na które nie pracował, co mu przytem nie przeszkodzi pokątnie zajmować się paskarskim handlem. Bolszewizm można nawet uświęcić miłością Sjonu, widzieć w nim zrealizowanie odwiecznych tęsknot Izraela do panowania nad niewiernymi [1]). Kogo wobec tego mamy z Żydów popierać? Czy klasy posiadające i dorabiające się dzięki ekonomicznej niezaradności chrześcijan, czy też proletarjat żydowski, dążący pod wodzą świadomych swego celu menerów do rewolucji socjalnej, do panowania nad nami? Bądź co bądź wprost przechodzi naszą możność, byśmy zadowolnili wszystkich Żydów i z góry musimy być przygotowani na to, że czy tak czy inaczej do kwestji żydowskiej odniesiemy się, będziemy okrzyczani za granicą jako prześladowcy Izraela.

---

[1]) Mam w rękach odpis referatu, wygłoszonego przez »towarzysza« Rappoporta na zjeździe żydowskich komunistów w Kijowie w końcu czerwca tego roku. Prelegent, stwierdzając wielką rolę, jaką w rewolucji rosyjskiej odegrało żydostwo, twierdzi, że cele sjonizmu będą osiągnięte, jeżeli Żydzi owładną wszystkiemi stronami ekonomicznego życia w republice sowietów. Tylko »Poale-Sjon« i »Bund« wiedzą, do czego w tej rewolucji dążą; chrześcijanie to »miljon baranów«, idących ślepo za ich przewodem bez znajomości ich celów.

Wobec takiej perspektywy, zrezygnujmy z dobrych chęci zaspokojenia wszystkich Żydów i ich zagranicznych opiekunów i postarajmy się o plan naszej względem Żydów polityki, któryby nie obrażał w niczem zasad sprawiedliwości, ale się liczył też z interesami społeczeństwa polskiego i ojczyzny naszej.

Weźmy za punkt wyjścia rękojmie dla Żydów, jakie Polsce narzuciła Najwyższa Rada paryska. Wymuszenie na nas owych »gwarancyj dla mniejszości narodowych i wyznaniowych« przyjęła opinja polska z przykrością: uczuła się Polska dotkniętą w swej godności niezależnego państwa. Jednocześnie twierdzono u nas, że i bez tego wymuszenia dalibyśmy to wszystko Żydom z własnej woli, co dać im nakazano. Zgadzając się zupełnie, że opieka, roztoczona przez najwyższy trybunał świata nad Żydami w Polsce, jest dla tej ostatniej upokarzającą, śmiem wyrazić powątpiewanie, czybyśmy bez traktatu, podpisanego w Paryżu, dali Żydom to wszystko, do czego traktat nas obowiązuje. Prawdopodobnie nie dalibyśmy im szkół odrębnych i wyznaniowych; wszak z przeciwległych stron, z prawicy i lewicy, odzywały się głosy przeciw szkole wyznaniowej wogóle: jedni w szkole mieszanej i jednolitej upatrywali znamię postępowości i politycznej mądrości, drudzy spodziewali się, wbrew doświadczeniu, że szkoła wspólna spełni nareszcie asymilacyjne marzenia. Bylibyśmy bali się nawet dać Żydom odrębną szkołę, aby nas sami Żydzi — głównie asymilatorzy — nie oskarżyli przed światem, że zamykamy żydostwo w »ghetto«, że utrudniamy mu dostęp do światła i kultury. Lecz oto najwyższy świata trybunał, na żądanie większości Żydów, wybawił nas z kłopotu, oznajmiając w liście Clemenceau'a do p. Paderewskiego, że nie sprzeciwia się zasadom nowoczesnego cywilizowanego państwa nadanie mniejszościom wyznaniowym szkół o wyznaniowym charakterze; my więc wobec zagranicy postępowej nie będziemy potrzebowali wstydzić się naszego zacofania, kiedy Żydów, zgodnie z traktatem, odseparujemy w szkole od chrześcijan. Asymilatorów, którzyby chcieli czynić nam z tego powodu zarzuty, odeślemy do Paryża. A katolicy polscy wzniosą wdzięczne ku niebu dłonie, jeśli traktat wersalski o mniejszościach narodowych zostanie w naszem szkolnictwie konsekwentnie przeprowadzony. Jak zaś to uczynić — powiemy niżej.

Traktat gwarantuje Żydom wolność religijną. Tą i bez niego Żydzi u nas zawsze się cieszyli. Nie podejmowano w Polsce

nigdy prób przeszkadzania Żydom w ich religijnym kulcie lub narzucania im chrztu. Zasadzie tolerancji Polska może i powinna pozostać wierną. Ale nic nas nie zmusza, nawet gwarancje paryskie, do tego, byśmy z judaizmu czynili rodzaj religii państwowej w Polsce. A niebezpieczeństwo tego nie jest wykluczone. Jeszcześmy nie uregulowali stosunku naszego państwa do Kościoła katolickiego, do którego należy ogromna większość narodu, a już słychać zapowiedzi, że ustrój wyznań innych, w tem i żydowskiego, będzie unormowany specjalnemi ustawami po wysłuchaniu przedstawień ze strony odnośnych wyznaniowych organizacyj. Naszem zdaniem, wystarczyłby jeden krótki paragraf, orzekający, że do kwestji kultu, tak Żydów jak i innych różnowierców, państwo wcale się nie miesza. Pozostawmy im samym troskę o ich potrzeby religijne. Niech im zadosyć czynią sami, według upodobania swego i na własną odpowiedzialność, niech urządzają synagogi postępowe z organami, lub zwyczajne »szkoły« zacofanych ortodoksów, niech wybierają sobie rabinów z pośród cadyków-cudotwórców, lub niech sobie zakładają teologiczne seminarja i rozdają doktoraty; — państwo co do tych rzeczy może stać na uboczu. Inaczej, albo narazi się na zarzut, że godzi w ortodoksję, gdyby zechciało iść na rękę Żydom postępowym, albo że sprzyja ciemnocie, gdy upaństwowi zacofanych rabinów. Bez naśladowania austrjackiego parytetyzmu, który koniecznie chciał dziewięć uznanych wyznań postawić pod każdym względem na równym poziomie i ze wszystkich nich uczynić wyznania państwowe, Polska obejść się może. Będzie to zresztą nawet bliższem zasady: religja jest rzeczą prywatną, a dla katolików — powiedzmy szczerze — mniej upokarzającem, niż gdyby zmuszeni byli widzieć się postawionymi narówni z żydostwem. Jeszcze jedna rzecz ważna, dotycząca żydowskiego kultu. Polskie państwo nie ma żadnego obowiązku uposażania go z publicznych funduszów. Jeżeli kler katolicki domaga się uposażenia od państwa, to ma słuszne za sobą prawo. Chodzi tu nie o co innego, jak o restytucję zabranych przez różne rządy i w różnych czasach majętności, przeznaczonych niegdyś na cele służby Bożej przez pobożnych ofiarodawców, lub o wypłacenie słusznych procentów od wsiąkłych w taki sposób w masę fiskalną majętności i sum kościelnych. Obowiązek ten państwa stanie się tem większym, jeżeli dojdzie do projektowanego wywłaszczenia na rzecz parcelacji pozostałych jeszcze majątków kościelnych. Uposażenie atoli kleru katolickiego, kościołów i zakładów teologicznych nie

pociąga za sobą bynajmniej konieczności uposażania rabinów, bóżnic i innych instytucyj wyznaniowych żydowskich. Żydom nigdy żadnych bóżnicznych majątków ani sum nie konfiskowano; wszystko, co przeznaczyli na cele kultu ich wyznawcy, znajduje się w ich posiadaniu i zarządzie. Sami więc niechaj i na przyszłość zaopatrują potrzeby swoich religijnych instytucyj i osób. Całą tę sprawę należy im samym pozostawić, nie określając żadnych etatów, ani norm innych, oprócz zwykłych norm prawodawstwa o prywatnych związkach.

Traktat wersalski gwarantuje Żydom świętość sabatu do tego stopnia, że zabrania urządzania wyborów w soboty, jak również wzywania w te dni Żydów przed sądy i urzędy państwowe. Zgoda, ale z tego nie wynika, by urzędnicy chrześcijanie byli zmuszani do obsługiwania Żydów w niedziele i święta katolickie. Tu już proste poczucie godności własnej wymaga od nas, byśmy ustawowo przeprowadzili ścisłe święcenie niedzieli przynajmniej w instytucjach publicznych. Chodzi tu już tylko o zrównanie w prawach chrześcijan z Żydami.

Wróćmy do sprawy szkół. Mamy zapewnić Żydom autonomję szkolną i udział żydowskich szkół w publicznych funduszach na cele oświaty przeznaczanych. Interesować nas mogą dwa pytania: 1) czy autonomję szkolną Żydów ograniczyć tylko do szkół ludowych, czy też rozciągnąć ją na wychowanie średnie a nawet wyższe; 2) jaki ma być język wykładowy w tych uczelniach żydowskich.

Jeżeli mamy szczerze wyrazić nasze zapatrywanie i życzenie, to pragnęlibyśmy, aby kwestja żydowskich szkół została załatwiona nie połowicznie, ale konsekwentnie i radykalnie. Jeżeli Żydzi otrzymają oprócz szkół ludowych odrębne dla siebie gimnazja, szkoły realne, seminarja, choćby nawet uniwersytet, fakt ten zostanie powitany radośnie przez wszystkich, ktokolwiek pragnie szkół wyznaniowych, a najbardziej przez samą młodzież polską. Tylko nie należy cofać się przed konsekwencjami. Żydom należy przyznać możność otwarcia takiej liczby szkół wszelkiego typu, którąby odpowiadała liczebnemu stosunkowi ludności żydowskiej w państwie, ale sądzimy, że organizacji tych szkół nie powinien wcale brać na siebie rząd polski, — niech je zakładają sami Żydzi bądź prywatnie, bądź pod kierunkiem jakiejś Rady szkolnej, wyłonionej z organizacyj religijnych czy narodowych żydowskich. Państwo będzie obowiązane dostarczyć środków materjalnych według procentowego klucza ludności żydowskiej, skombinowanego może z odsetkiem udziału Żydów w cię-

żarach państwowych, t. j. podatkach i osobistych świadczeniach. Poza tem państwo pozostawić sobie musi prawo politycznej kontroli nad szkolnictwem żydowskiem, by nie stało się ono gniazdem antypaństwowych tendencyj. Po zapewnieniu obowiązkowości języka polskiego, jako przedmiotu, można samym Żydom pozostawić kwestję języka wykładowego, jak również kwestję, czy nauczanie ma być na podstawie religji żydowskiej, czy też świeckie. Spory, jakie zapewne wynikną na tem tle, niechaj oni rozstrzygną sobie sami. Uniknie się nawet pretekstu oskarżania Polski lub rządu polskiego o jakieś forytowanie jednych partyj żydowskich na niekorzyść drugich. Jeżeli atonomiczna szkoła żydowska poziomem dawanego przez się wykształcenia dorówna szkołom polskim, możemy jej przyznać prawa publiczności, jak i polskim szkołom prywatnym, — jeżeli przeciwnie nie przygotuje należycie swych wychowanków do zajęcia w państwie polskiem publicznych stanowisk — według wymagań, które mamy prawo określić — to temci gorzej dla Żydów, a lepiej dla polskiego społeczeństwa.

Gdyby doszło do organizacji szkolnictwa żydowskiego według takich norm, jakie określiliśmy, a jakie będą zupełnie w duchu wersalskich gwarancyj, wysnućby należało jeszcze dwie następujące konsekwencje. Popierwsze, skoro Żydzi mają przyznaną sobie możność zorganizowania dostatecznej liczby szkół własnych, usunąć należy młodzież żydowską ze szkół polskich. Pozostawiając ją w nich, forytowalibyśmy żywioł żydowski na niekorzyść rdzennej ludności, utrzymując ze wspólnych funduszów żydowskie szkoły i pozwalając Żydom ponadto korzystać z polskich. Wyjątek możnaby co najwięcej uczynić dla tych Żydów, o których narodowej asymilacji nie byłoby wątpliwości, ale w takim razie należałoby zredukować odpowiednio odsetek Żydów, mogących rościć pretensje do subwencyj na szkoły żydowskie. Podrugie, skoro skarb państwa ma utrzymywać szkoły, pozostające pod kierownictwem prywatnem osób czy instytucyj żydowskich, wszelka słuszność przemawia za tem, aby również subwencjonował szkoły prywatne polskie w stosunku do ilości młodzieży, kształcącej się w nich. Inaczej krzywda działaby się temu odłamowi ludności polskiej, który woli szkołę prywatną niż państwową: z funduszów, do których i on swoją część wnosi, opłacanoby tylko szkoły, z których on nie korzysta, a na jego kieszeń spadałby ponadto cały ciężar utrzymywania szkół, którym daje pierwszeństwo. Słowem zapewnienie Żydom autonomji szkolnej z obowiązkiem subwencjonowania

przez skarb szkoły żydowskiej prowadzi logicznie do stosunkowego subwencjonowania wszelkich szkół prywatnych. Taki postulat wysuwają od szeregu lat katolicy francuscy; tenże postulat winien być postawiony i u nas w imię słuszności i sprawiedliwości.

Pozostaje do rozstrzygnięcia zagadnienie rozciągłości obywatelskich praw Żydów w Rzeczypospolitej polskiej. Zagadnienie to nie da się wcisnąć w formułkę: równe prawa, równe obowiązki. Skoro Żydzi oddaniem się pod opiekę Ligi narodów dali poznać, że nie dowierzają poczuciu sprawiedliwości polskiego narodu, tem samem stawiają się poza nim, przeciwstawiają się mu. Zastrzeżenia wersalskie nakładają na Polskę obowiązek równouprawnienia Żydów — i to zobowiązanie musi być spełnione. Nie przeszkadza to jednak bynajmniej, naszem zdaniem, poczynieniu pewnych rozróżnień i zastrzeżeń.

Przedewszystkiem musimy jasno sobie uświadomić, że mamy do czynienia z odrębnym od naszego narodem. Z praktyką zaliczania Żydów do polskiej narodowości, jak się to działo w Galicji wskutek nieuznawania przez Austrję narodowości żydowskiej, musimy zerwać raz na zawsze. W statystyce narodowościowej powinniśmy stworzyć osobną rubrykę Żydów, nie jako wyznania tylko, ale jako narodu. Tego domaga się przeważająca większość, prawie ogół Żydów naszych, to leży — jesteśmy najgłębiej przekonani — w naszym własnym interesie. Niech sobie garstka asymilatorów z jednej i drugiej strony prowadzi akademickie dysputy na temat: czy żydostwo posiada wszystkie cechy odrębnej grupy narodowościowej, — można się o to długo spierać, gdyż zależy tu wszystko od pojęcia narodowości, jakie sobie kto wytworzy, — praktycznie, skoro większość Żydów czuje się odrębną grupą narodowościową, rozsianą po całym świecie, uszanujmy i ich prawo do samookreślenia. Nazwanie Żydów oficjalnie Żydami będzie zgodne i z poczuciem ogółu polskiego: ani lud nasz, ani inteligencja, z wyjątkiem garstki teoretyków i biurokratów, Żydów za Polaków nie uważa, tylko za to, czem są i czem sami być chcą — za Żydów. Przeprowadzenie statystyki wiernej nie napotka u nas pod tym względem na żadne trudności. Gdzieindziej, gdzie akta stanu cywilnego prowadzone są przez władze cywilne, np. w Niemczech czy we Francji, może być wątpliwość, kogo za Żyda uważać. U nas tej wątpliwości niema; u nas więc nie potrzeba pytać Żydów, do jakiej narodowości należą: rozstrzyga o tem dostatecznie metryka urodzenia. Garstka asymilatorów, która się nie

zgodzi na zaliczenie jej do rubryki żydowskiej, może otrzymać prawo żądania poprawek, z tem zastrzeżeniem, że podawszy się za Polaków, utracą prawo do korzystania z instytucyj narodowościowych i kulturalnych żydowskich, oprócz chyba tylko udziału w żydowskim kulcie, i zrzekną się tej opieki zewnętrznej, jaką Żydom jako mniejszości narodowej zapewnia traktat wersalski. Można przewidywać, że takich Polaków wyznania mojżeszowego mało się zgłosi.

Skoro ustalimy kataster niewątpliwych Żydów, musimy jasno postawić kwestję ich stosunku nie już do narodowości polskiej, ale do państwa polskiego. Nie jest to jedno i to samo. Mogą być państwa narodowościowo mieszane i takiem w pewnej mierze będzie w każdym razie państwo polskie. Będziemy mieli pewien odsetek Niemców, zależnie od granic wschodnich nabędziemy większą czy mniejszą liczbę Rusinów i Białorusinów. Będziemy wreszcie mieli Żydów, dajmy na to 8 do 10% ogółu ludności. Od wszystkich tych mniejszości narodowych, jakie się znajdą w granicach naszych, mamy prawo żądać lojalności względem naszego państwa. Ale jak tę lojalność rozumieć? Przedstawiciele różnych odłamów żydostwa z terytorjów, które niewątpliwie do Polski należeć będą, a więc przynajmniej z b. Kongresówki i Zachodniej Galicji, oświadczyli niejednokrotnie, że uznają państwowość polską i chcą w budowie jej wziąć udział. Nie mówiąc już o »Polakach« mojżeszowego wyznania, taką deklarację ogłosili np. Sjoniści małopolscy pod dowództwem Dr Thona [1]), nie co innego oświadczy Pryłuckij, lub inny przywódca narodowców żydowskich. Wprawdzie rodzi się podejrzenie, że za temi deklaracjami nie cały ogół żydostwa stoi, że nie tylko na wschodnich kresach, ale i w stołecznej Warszawie znajdzie się dużo Żydów, którzy albo zajmują wyczekujące stanowisko, albo nawet wprost wrogo odnoszą się do państwowości polskiej jako takiej. »Precz z białą gęsią«! jeszcze nie milknie, internacjonalny bolszewizm nigdzie tak bujnie, jak na Nalewkach, nie krzewi się. Obok tego nie rozumiemy dobrze, jak można jednocześnie pracować »nad wielkością i szczęściem państwa polskiego«, o czem zapewniają sjoniści, i nad budową własnego państwa w Palestynie, co wszak należy do istoty politycznego sjonizmu. Mimo tych zastrzeżeń, nie możemy a limine odrzucać zapewnień lojalności, jakie nam oficjalni

[1]) »Sjoniści polscy wobec państwa i narodu polskiego. Odezwa organizacji sjonistycznej dla Małopolski«. Bez daty. Rozrzucona wiosną tego roku.

przedstawiciele żydostwa składają; musimy im przyznać jakiś stopień szczerości. Atoli ważne rodzi się pytanie: czy my a Żydzi jednakowo pojmujemy państwowość polską? I jeżeli nie, to czy my, Polacy, możemy zgodzić się na koncepcję żydowską?

Otóż zdaje się nam, że gdy Żydzi zapewniają nas o swych chęciach pracowania dla dobra państwa polskiego, to pod tem państwem co innego rozumieją, niż my. Dla nich państwo polskie to aglomerat różnych narodowości, luźnie ze sobą związanych, nakształt wielojęzycznej i wielonarodowej byłej Austrji, my natomiast pragnęlibyśmy naszej ojczyźnie przynajmniej na ziemiach, gdzie stanowimy większość, zapewnić prawdziwie polski charakter. Innym ludom, jakie historja z nami połączyła lub połączy jeszcze, gotowiśmy zapewnić narodowościową, a może nawet terytorjalną autonomję, która wyciśnie na pewnych częściach państwa odrębne piętno; jednak w centrum, na naszym etnograficznym obszarze, chcemy zachować czysto polskie znamię kraju. Tymczasem Żydzi domagają się, abyśmy, uwzględniając ich obecność we wszystkich częściach Polski, nadali jej całej piętno mieszanego polsko-żydowskiego państwa, i t a k i e państwo obiecują wiernie budować i względem takiego państwa chcą zaprzysiąc obywatelską lojalność.

Na takie warunki my przystać nie możemy i to musimy wciąż Żydom przypominać. Najpierw naciągniętą jest analogja, jaką Żydzi biorą za punkt wyjścia dla swych uroszczeń, analogja między nimi a innemi narodowościami Polski. Rusini, czy Białorusini, po części nawet Niemcy zamieszkują zwartą masą pewne połacie kraju, co ułatwia przeprowadzenie terytorjalnej narodowościowej autonomji, podczas gdy Żydzi rozprószeni są po całej Polsce; powtóre tamte narodowości mają prawo uważać się za autochtonów na swojej ziemi, podczas gdy Żydzi są przychodniami, przygarniętymi niegdyś z litości na naszej ziemi. Zbyt wiele żąda przychodzień od gospodarza domu, gdy pragnie podzielić się jego ojcowizną na równych z nim prawach. Pominąwszy atoli te względy, zupełne równouprawnienie narodowości żydowskiej, jako takiej, jest w Polsce z praktycznych względów niemożliwe. Jasno mówiąc, o co tu chodzi? Chodzi o to, aby Żydzi narówni z Polakami zajmowali wszystkie bez wyjątku stanowiska publiczne, aby język żydowski stał się obok polskiego równorzędnym w urzędach, sądach i instytucjach wszelkich. Lecz jeżeli na dopuszczenie Żydów do urzędów jeszczeby łatwiej można się zgodzić, to nadanie naszej państwowości cech mieszanych, polsko-żydowskich,

jest nie do przeprowadzenia. Jakiż to język żydowski mamy dopuścić do naszego państwowego życia? Może hebrajski, który sjoniści pragną wskrzesić i uczynić językiem własnym Żydów? czy żargon niemiecki, dzięki któremu Żydzi przy dobrej sposobności gotowi się uznać za odłam narodu niemieckiego, albo przynajmniej za pionierów niemieckiej kultury, co Niemcy lubią w swych zakusach na Polskę podkreślać? czy wreszcie rosyjski, importowaty przez litwaków, a mogący się stać forpocztą »kultury« moskiewskiej? czy też, by wszelkim Żydom dogodzić, wszystkie trzy razem? Więc urzędnik Polak ma posiadać w Polsce znajomość aż kilku żargonów, by ocalić zasadę narodowościowego równouprawnienia Żydów?

Muszą tedy Żydzi zrozumieć, że mieszkając wśród nas, znajdują się w Polsce, a nie w jakiejś Judeo-Polonji i że zatem muszą okazać gotowość porozumiewania się w naszym domu naszym językiem. Do ich życia rodzinnego, do ich szkół nawet gotowiśmy nie wtrącać się, choć nam przykro, że mieszkając 500 lat w naszym kraju i nie posiadając prawdziwie własnego języka, wolą posługiwać się między sobą gwarami zepsutemi wrogich nam sąsiadów, niż nauczyć się naszej mowy. Ale gdy zwracają się do nas, niech mówią po polsku, albo jeśli ostentacyjnie nie chcą tego czynić, niech używają tłumacza... na koszt własny, nie nasz.

Dalej równouprawnienie musi ulec innym jeszcze ograniczeniom, będącym właśnie prostą konsekwencją tej autonomji, jaką Żydom u nas już przyznano. Mając zapewniony sobie samorząd w zakresie religijnym, szkolnym, kulturalnym, Żydzi muszą być pozbawieni prawa zabierania głosu w tych dziedzinach, o ile to dotyczy naszej religji, szkoły, czy kultury, i dlatego ani w Sejmie, ani w urzędach państwowych nie mogą w zakresie tych spraw wywierać żadnego wpływu. Skoro nie pozwalają nam wtrącać się do ich spraw, mamy słuszne prawo zamknąć im usta, kiedy o nasze sprawy chodzi. Poza tem z reszty obywatelskich praw korzystać będą, poddani również wszystkim ciężarom podatkowym, służby wojskowej i innym obywatelskim obowiązkom.

Jeszcze jedno ważne zastrzeżenie uczynić musimy co do sjonistów. Sjonizm, jako ruch w kierunku odrodzenia wśród Żydów prastarej hebrajskiej kultury, posiada bez wątpienia pierwiastki idealne, choć zbyt utopijne, i dlatego, jak każdy szczery i idealistyczny ruch narodowy, mógłby wzbudzić ku sobie sympatję również z naszej strony. Jako program polityczny — odbudowania dla

Żydów państwa niezależnego w Palestynie ze stanowiska polskiego, jak i ze stanowiska tych wszystkich narodów, wśród których Żydzi w większej masie mieszkają, byłby nawet bardzo pożądany, gdyby można było liczyć na przeniesienie się przynajmniej większości Żydów do Palestyny i gdyby nie zagrażało to wyższym interesom chrześcijaństwa. Osadzenie atoli wszystkich, czy większości Żydów w Palestynie jest rzeczą niemożliwą już choćby z tego powodu, że kraj ten przy najintensywniejszej nawet gospodarce zdołałby pomieścić i wyżywić zaledwie jakąś piątą albo czwartą część żydostwa (trzy miljony na dwanaście); reszta zaś musiałaby w każdym razie pozostać w rozproszeniu, oczywiście przeważnie w Polsce. Dlatego ci sjoniści, którzy na serjo marzą o niezależnem państwie żydowskiem, nie łudzą się, jakoby wszystkich swych braci zdołali w niem zgromadzić; pragnęliby tylko utworzyć z niego ośrodek kulturalny swego narodu, a zarazem prawnego opiekuna Żydów rozsianych po świecie. Czy tron Dawida zostanie odbudowany, nie da się z całą pewnością przepowiedzieć; gdyby do tego doszło, to poważne zachodzą obawy, że dla chrześcijaństwa fakt taki byłby niebezpieczny: Żydzi widzieliby w nim rodzaj triumfu nad krzyżem na Golgocie i położenie prawne wyznawców Chrystusa w Ziemi dla nich Świętej mogłoby się pod żydowskiem panowaniem znacznie pogorszyć. Dlatego to, kiedy podczas wojny zaswitała perspektywa odbudowy żydowskiego Sjonu, podniosły się na Zachodzie z kół katolickich protesty przeciwko odbudowywaniu państwa żydowskiego. Protesty takie zresztą może niezbyt są potrzebne, wobec małego prawdopodobieństwa, by marzenia sjonistów zostały urzeczywistnione. Przeciwko temu podnoszą swe głosy nie tylko katolickie koła, ale i obecni mieszkańcy Palestyny, Arabowie. Z drugiej strony wątpliwą jest rzeczą, by zdobywcza Anglja chciała zrzec się swych pretensyj do Palestyny, zwłaszcza nie mając widoków, że tym sposobem rozwiązałoby się w Europie kwestję żydowską. Wreszcie wiadomo, że i ogół Żydów nie pali się wcale do własnego państwa i do emigracji do ziemi ojców. Kolonizacja żydowska w Palestynie, podejmowana z niesłychanym nakładem środków materjalnych i przy poparciu niektórych rządów, wydała nader marne rezultaty. Ludność żydowska Palestyny powiększyła się wskutek niej o jakieś 50 tysięcy, ale przeważnie jest to ludność miejska; osadnicy rolni w większości pouciekali ze swych nadziałów do Jerozolimy, powiększając liczbę drobnych handlarzy i proletarjatu miejskiego. Nic dziwnego:

nigdzie w świecie nie zauważono, by do roli kwapiła się ludność miast; wszędzie ruch ludności obserwować można tylko w przeciwnym kierunku, ze wsi do miasta. Dlatego i żydostwo, raz oderwane od ziemi, nie będzie zdolnem już utworzyć z siebie społeczeństwa całkowicie sobie wystarczającego, zróżniczkowanego we wszystkie klasy i zawody; raczej pozostanie narodem okaleczałym, mogącym prowadzić tylko pasożytniczy żywot na ciałach innych społeczeństw.

Wobec tak małego prawdopodobieństwa powodzenia politycznego programu Herzla, sami sjoniści w ostatnich czasach mniej nalegają na utworzenie państwa niezawisłego, gotowymi będąc zadowolnić się szczególną opieką prawną ze strony Ligi narodów. W każdym razie przynależność pewnego odłamu Żydów do politycznego sjonizmu daje prawo społeczeństwu i państwu polskiemu do wyciągnięcia pewnych wniosków. Mianowicie już dały się słyszeć głosy w naszej publicystyce, by Żydów, przyznających się do politycznego sjonizmu, uważać za cudzoziemców i jako takich pozbawić pewnych praw obywatelskich, n. p. piastowania publicznych urzędów, oczywiście przy zwolnieniu też z niektórych obowiązków, jak z obowiązku służby wojskowej. Takie ograniczenie jednak może nie da się uzasadnić, dopóki państwo żydowskie nie istnieje, gdyż trudno wyobrazić sobie znaczny odłam ludności, pozbawiony wszelkiej przynależności państwowej; natomiast w razie powstania sjonistycznego państwa należałoby zapytać pogłównie Żydów: za jakich obywateli się uważają i po przeprowadzeniu takiej ankiety jednych traktować narówni z innymi cudzoziemcami, drugim, którzyby stwierdzili swą polską obywatelskość, zabronić należenia do organizacyj sjonistycznych, jako stowarzyszeń, mających na celu interesy obcego państwa. Taki zakaz byłby usprawiedliwiony przedewszystkiem w odniesieniu do Żydów, zajmujących w państwie polskiem publiczne stanowiska.

A jak mamy zachować się wobec Żydów asymilujących się?

Nie myślimy być bezwzględnymi przeciwnikami asymilacji. Żydowski autor, Dr. Ruppin, w książce swej »Juden der Gegenwart«, jakkolwiek skłania się do sjonizmu, przewiduje, że asymilacji pewnej liczby Żydów nie da się zapobiec. Wykazuje i statystyką i ścisłem rozumowaniem, jak te klasy żydowskie, które wyszedłszy z ghetta, wzniosły się na pewien wyższy stopień czy to kultury, czy ekonomicznego dobrobytu, nieuchronnie zbliżają się ku zlaniu z ludnością, wśród której żyją. Proces ten odbywa się szybciej tam,

gdzie Żydzi stanowią mniejszy odsetek ogółu ludności i żyją w większem rozproszeniu; powolniej — gdzie Żydzi stanowią zwarte masy; ale i tam, choć na mniejszą skalę, asymilacja postępuje naprzód. Tego procesu tamować nie mamy racji; tylko strzec się musimy, byśmy, pragnąc za jaką bądź cenę ułatwić ruch asymilacyjny wśród Żydów, sami nie zatracili własnego duchowego oblicza. Nie ulega wątpliwości, że Żydzi spolszczeni wnieśli już do naszej umysłowości, literatury i sztuki, a zwłaszcza do etyki w sądach i życiu niemało własnych pierwiastków, a są to pierwiastki przeważnie ujemne. Korzyść spolszczenia językowego garstki Żydów opłaciliśmy zżydzeniem duchowem własnego społeczeństwa. Nasz organizm narodowy pono nie dość umie przetrawiać żydowski żywioł i dlatego wchłanianie go nie zawsze wychodzi nam na zdrowie.

Nie zagradzając zasadniczo Żydom drogi do zlania się z nami, musimy przedewszystkiem wzmocnić własną duszę na rodzimych pierwiastkach czysto chrześcijańskiej kultury, a następnie żądać od tych, co do nas przychodzą, aby nie powierzchownie, ale w głębi dusz stali się Polakami. Za widomy dowód prawdziwej asymilacji mógłoby służyć faktycznie zerwanie przez spolszczonych Żydów solidarności narodowej z tymi Żydami, którzy wyznają nacjonalizm żydowski i z tą masą, która za nimi idzie. Tkwiąc jedną nogą w tej masie i występując nawet w roli jej rzeczników, asymilatorzy nasi przedstawiają typ jakiejś hybrydy, która budzi wstręt u obu pokrewnych gatunków.

Żeby wyrazić w całej pełni myśl naszą, sądzimy, że do prawdziwej asymilacji Żydów z naszem społeczeństwem prowadzi tylko jedna droga — przez chrzest. Nie chcemy twierdzić, jakoby sam ten obrzęd święty przetwarzał całą psychikę Żyda, albo jakoby wszyscy ochrzczeni Żydzi stawali się przez to samo dobrymi Polakami. Owszem bylibyśmy za stosowaniem większej rezerwy wobec »nawróceń« i większej ostrożności w dopuszczaniu Żydów do chrzcielnicy, by zapobiec, o ile się da, tym zmianom metryk, które się czyni bez głębszego wewnętrznego przekonania, jedynie z doczesnych wyrachowań. Według naszego przekonania jednak, chrzest tam, gdzie on jest szczery, stwierdza najlepiej, że przeobrażenie duszy już nastąpiło, że dany osobnik podatnym już stał się na przyswojenie sobie wszystkich pierwiastków kultury, którą my żyjemy. Ponadto zmiana wyznania zrywa zwykle ostatnie węzły, łączące Żyda z jego narodem, i przeszczepia go w organizm nowy. Teoretycznie możnaby wyobrazić sobie

chrześcijan żydowskiej narodowości, praktycznie wszakże Żyd, stający się chrześcijaninem, zrywa jednocześnie z narodowością żydowską, w której religja mojżeszowa, a przynajmniej formalne trzymanie się jej należy do istotnych warunków, a odstąpienie od niej przez ogół żydostwa jest uważane za zaprzaństwo narodowe. Dlatego i wzmiankowany wyżej Dr Ruppin nie co innego, tylko chrzest, uważa za ostatni akt asymilacyjnego procesu. Ułatwić ten akt jak największej ilości Żydów — przy całej ostrożności w badaniu pobudek nawrócenia — przez stworzenie odpowiedniej dla nawracających się literatury religijnej, przez otoczenie konwertytów opieką, czasem nawet materjalną, zawsze zaś moralną — oto zadania, leżące przed naszem społeczeństwem i naszym polskim Kościołem, zadania, które niestety nie dość znajdują zrozumienia nawet wśród tych kół, co najwięcej mówią o potrzebie asymilacji Żydów.

Stosunek naszego społeczeństwa do Żydów w dziedzinie ekonomicznej nie wchodzi w zakres obecnego artykułu. Tylko to jedno zauważymy, że ze stanowiska zarówno zasad chrześcijańskich, jak i dobrze zrozumianego interesu narodowego potępić musimy wszelkie czynne na Żydów napady. Nie pragniemy również ustawowego ograniczania Żydów w ich przedsiębiorstwache konomicznych jedynie z tytułu ich narodowości. Tępienie wszelkiego wyzysku i nadużyć winno się odbywać na podstawie ogólnej ustawy; walki zaś ekonomicznej przez popieranie własnego handlu, obywanie się bez żydowskiego pośrednictwa itd. nie mogą nam Żydzi brać za złe. Zwłaszcza swojem dość wyraźnem i dość ogólnem stwierdzeniem odrębności narodowej ułatwiają nam sami stosowanie w życiu praktycznem znanego przysłowia: bliższa ciała koszula, niż... chałat.

Ks. Jan Urban.

Liga Narodów a światopogląd chrześcijański.

Z pośród wielkich i trudnych zagadnień, jakie się wyłoniły z wojny światowej, żadne nie jest u nas tak źle zrozumiane i niedoceniane, jak sprawa Ligi Narodów. Jednym wydaje się ta sprawa tak odległą i obcą dla nas, że równie mało się nią interesują, jak np. kwestją Hedżasu lub Szantungu. Dla drugich uśmiech ironiczny albo tani dowcip pozostał jedynym sposobem, jakim człowiek ceniący swój trzeźwy rozsądek i umiejący myśleć realnie, powinien reagować na wszelką wzmiankę o tak naiwnej utopji. Ostatni wreszcie, pod wrażeniem zwłaszcza narzuconej nam opieki Ligi Narodów nad prawami mniejszości w Polsce, widzą w powstającej organizacji niebezpiecznego wroga, którego należy trzymać możliwie zdala od wszelkich naszych spraw i nawzajem w miarę możności trzymać się zdala od niego.

Ten zamęt poglądów naszych na to zagadnienie i, co gorsza, zupełna błędność każdego z nich, może mieć dla narodu naszego najzgubniejsze skutki. Już dotąd nawet wynikająca stąd obojętność a czasem wyraźna niechęć, niebacznie okazywana Lidze Narodów, dużo nam zaszkodziła, nietylko w opinji zagranicznej, zwłaszcza anglosaskiej, ale i w całkiem konkretnych sprawach politycznych. Dziś zaś, kiedy wraz z całym traktatem pokojowym także Liga Narodów zaczyna wchodzić w życie, nadszedł doprawdy już ostatni czas, aby zmienić zasadniczo nasze stanowisko.

Ta zmiana nie powinna jednak z oportunistycznych tylko wypłynąć pobudek. Fatalne nieporozumienie wynikło bowiem przedewszystkiem z tego, że nie dostrzeżono u nas, w wirze zaprzątających nas innych zagadnień, uderzającej zgodności między ideą Ligi

Narodów a naszą własną ideologją, naszym tradycyjnym światopoglądem, jak on się wyraził w najświetniejszych wypowiedzeniach ducha polskiego. Stąd, odkładając do innej sposobności oświetlenie naszego stanowiska wobec Ligi Narodów z punktu widzenia naszych interesów politycznych, pragnąłbym rozpocząć swoją w tej sprawie kampanję od uwydatnienia tej zgodności już nie interesów, lecz ideałów, któraby nasze współpracownictwo w dziele Ligi Narodów mogła postawić odrazu na wyższym o wiele poziomie.

Mimo takiego ograniczenia się w założeniu, kwestja pozostaje jednak tak rozległą, że nie mogłaby pomieścić się w ramach jednego artykułu. Dlatego na tem miejscu z tej również wyłącznie ideowej jej części chcę wybrać jedną tylko specjalną stronę, tę właśnie, która dotąd wogóle nie była braną w rachubę, a dla naszego sumienia ma nawet podwójne znaczenie. O ile bowiem od czasu do czasu padały już przynajmniej ogólnikowe wzmianki o pokrewieństwie między zasadami Ligi Narodów a naszemi tradycjami narodowemi, o tyle dotąd nawet nie zadano sobie pytania, jaki jest stosunek owych zasad do światopoglądu chrześcijańskiego [1]), który przecież bądź co bądź pozostał podstawą światopoglądu olbrzymiej większości naszego narodu. Tutaj zaś stwierdzenie zgodności lub przeciwieństwa musi mieć doniosłe znaczenie nietylko dla naszego świata uczuciowego, w którym tak ściśle się splotły nasze dwa wielkie ukochania: Boga i Ojczyzny, ale wprost dla naszego sumienia religijnego, którego kategorycznych nakazów pragnęlibyśmy słuchać.

W sprawie Ligi Narodów to sumienie zdaje się milczeć. Ten problem u wszystkich niemal z nas dotąd dla niego wcale nie istniał. Z chwilą zaś, gdy się pojawia i gdy szukamy nań odpowiedzi, staje na przeszkodzie coś więcej, aniżeli zwykła niestety ignorancja w rzeczach religijnych. W znacznej części wątpliwości etycznych, które się nasuwają człowiekowi wierzącemu, odpowiedź znajduje się gotową chociażby w katechiźmie. W trudniejszych wypadkach znajdzie się ona po pewnem przynajmniej zagłębieniu się w literaturę religijną, w najtrudniejszych zaś, najbardziej indywidualnych po cofnięciu się w głąb własnej duszy, uświadomieniu sobie jej dotychczasowych

---

[1]) To zagadnienie, o ile nam wiadomo, było poruszone tylko w naszem piśmie, zob. art. ks. E. Eltera: Obowiązek narodów, zeszyt marcowy b. r. (Redakcja).

doświadczeń, przemyśleniu tego wszystkiego, co dotąd ją kształtowało w dziedzinie moralnej.

W tym wypadku jednak, wobec problemu, który dotąd znajdował się przeważnie poza kategorjami naszego myślenia, takiej wyjątkowo trudnej analizie wewnętrznej żadna niemal wskazówka zewnętrzna nie przychodzi z pomocą. O ile człowiek świecki o tem sądzić może, nauka Kościoła, ujmując w wiekowej pracy objawienie Boże w ściśle określone dogmaty, najmniej dotąd się sprecyzowała w zakresie zagadnień życia międzynarodowego, stosunków między państwami, pokoju i wojny. Już Ewangelia, chociażby w przypowieści o miłosiernym Samarytaninie, obaliła małoduszną zasadę pogańskiego świata, ograniczająca moc obowiązującą praw moralnych do członków własnego narodu; rozciągnęła pojęcie bliźniego, którego jak siebie samego miłować należy, na całą ludzkość, nie wyjmując nieprzyjaciół własnych i narodowych; dowiodła, że jedna tylko etyka istnieć może i że wobec tego te same prawa, jakie obowiązują w stosunkach prywatnych między jednostkami, powinny też mieć zastosowanie w życiu publicznem, w stosunkach między społecznościami zbiorowemi.

Ale ileż to bolesnych kompromisów okazało się potrzebnemi w tej ostatniej dziedzinie! Jeśli przypomnimy sobie, ile czasu upłynęło, zanim chrześcijaństwo mogło obalić najsprzeczniejszą z jego zasadami instytucję socjalną, jaką było niewolnictwo, to nie będziemy się już dziwili, że dotąd nie obaliło niemniej a może jeszcze więcej sprzecznej z jego zasadami instytucji politycznej, jaką była i jest wojna. Jeśli się uwzględni, jak daleko dziś jeszcze do tego, aby każda jednostka chociażby w teorji uznała, że wobec drugiej tylko miłością kierować się winna, to zrozumie się, dlaczego dotąd mrzonką się wydaje, aby to uznały w stosunkach wzajemnych państwa i narody. Wobec tego już to przedstawia wiekopomną zasługę chrześcijaństwa i nauki Kościoła, że starała się przynajmniej ściśle określić pojęcie wojny sprawiedliwej, a w braku wszelkiej ziemskiej władzy ponadpaństwowej wskazywała chociaż odpowiedzialność przed majestatem Bożym, od której i suwerenna władza państwowa uchylić się nie może.

Czy jednak rozróżnienie wojny sprawiedliwej od niesprawiedliwej było i jest naprawdę możliwe, w sumieniu a zwłaszcza w praktyce, dla każdego, który, wystrzegając się w stosunkach pokojowych najmniejszej krzywdy bliźniego przez ostre nawet słowo lub drobną nieuczciwość, nagle dostaje rozkaz zabijania i kaleczenia,

podpalania i zagrabiania cudzej własności? Pomijamy nawet przytem, że nakaz unikania okazji do grzechu wogóle wówczas staje się iluzorycznym. A tak samo jak w życiu kościelnem nie wystarczyła świadomość, że Bóg jest w niebie, lecz potrzebnym był jego Namiestnik na ziemi, tak w życiu politycznem pamięć o odpowiedzialności przed Bogiem nie mogła zastąpić braku jakiejkolwiek widomej i czynnie wkraczającej powagi, którąby każde państwo i każdy władca miał ponad sobą.

Z odczucia tego braku wynikła koncepcja średniowieczna, łącząca w osobie papieża nietylko religijne, ale i polityczne zwierzchnictwo nad światem. Zbytecznem byłoby oczywiście wykazywać jej niedostatki, jej niebezpieczeństwa dla samego Kościoła, a cóż dopiero możliwość zastosowania w dobie obecnej. Że jednak sama przez się nasuwa się myśl, aby z międzynarodowej a raczej ponadnarodowej powagi papiestwa skorzystać dla załagodzenia anarchji w stosunkach międzynarodowych, o tem wymownie świadczy fakt, że aż do najnowszych czasów państwa, a to nawet niekatolickie, wybierały sobie papieża jako sędziego rozjemczego w swych zatargach i rzeczywiście w ten sposób unikały wojny. Aby Stolica św. mogła częściej i skuteczniej spełniać podobną rolę, do tego nie potrzebowałaby bynajmniej własnej siły państwowej, jak w wiekach średnich, którąby raczej tylko umniejszała zaufanie stron, lecz tylko zupełnej niepodległości państwowej, na pewnem, chociażby bardzo niewielkiem terytorjum.

Taka niepodległość pozwoliłaby jej zająć jeszcze i stanowcze stanowisko w każdem zagadnieniu życia międzynarodowego bez uzasadnionej obawy narażenia na niebezpieczeństwo najnieodzowniejszych interesów Kościoła. Ale nie uwolniłaby jej w podobnych wypadkach od niemniej słusznej obawy innej, czy mianowicie nie wprowadziłaby w najcięższy konflikt moralny licznych wierzących jednostek, którychby ich władza państwowa, a nawet może szczerze odczuty obowiązek polityczny zmuszał do walczenia za sprawę, którą ich najwyższy autorytet religijny uznał za niesłuszną. Trudności tego rodzaju nie przestaną istnieć, aż nietylko Kościół będzie się mógł otwarcie wypowiedzieć o stronie moralnej stosunków międzynarodowych, lecz wogóle etyka i prawo będą powszechnie uznane jako jedyna tych stosunków norma i podstawa.

Nie innym był od początku cel tych wszystkich, którzy z prezydentem Wilsonem na czele rzucili projekt stworzenia Ligi Narodów

i nie spoczęli, póki go nie urzeczywistnili. Wszak w pierwszym rzędzie chodziło im o to, aby wobec każdego zatargu międzynarodowego, zanimby spowodował wojnę, opinja całego świata cywilizowanego wypowiedziała, się po czyjej stronie jest słuszność. To dążenie, myśl przewodnia całego paktu Ligi, jest oparte na uzasadnionej nadziei, że po należytem zbadaniu sprawy wytworzy się w przeważnej części wypadków opinja zgodna, a żadne znów państwo nie zdecyduje się chwycić za broń w sprawie, która zgóry została uznana jako niesprawiedliwa przez najwyższy autorytet świata, reprezentujący wszystkie jego narody.

Takie wyświetlenie każdego sporu z punktu widzenia słuszności przez powszechnie uznany czynnik świecki, polityczny, niezmierniebyułatwiło wypowiedzenie się autorytetu kościelnego co do sprawiedliwości mogącej wybuchnąć wojny. To zaś, że jego orzeczenie byłoby miarodajnem dla miljonów wiernych we wszystkich państwach świata, ogromnieby wzmocniło powagę i skuteczność apelu, wychodzącego od Ligi Narodów. Ponieważ zaś, pomimo wszystkich różnic dogmatycznych przecież poczucie moralne i prawne całego świata opiera się choćby nieświadomie na zasadach etyki chrześcijańskiej, rozbieżność obu tych autorytetów w kwestjach o zasadniczem znaczeniu byłaby wielce nieprawdopodobną. Wobec tego należałoby się spodziewać, że stworzenie Ligi Narodów zostanie powitane z największą radością przez katolików, a naodwrót Liga skwapliwie skorzysta z pomocy, jaką w religji znaleźć może.

Stało się jednak inaczej. Zapanowała raczej obustronna nieufność. Właśnie zaś, gdy chodzi o Polskę, ta nieufność kół katolickich jest może tutaj największa, bo u nas problem Ligi jest najmniej znany, a z drugiej strony nieufność wielu zwolenników Ligi do rzesz katolickich odbija się szczególnie na ich stosunku do nas, którzy — nie wchodzę tutaj w kwestję, czy słusznie — uchodzimy za naród szczególnie i wybitnie katolicki.

Powody tej nieufności łatwo wytłómaczyć. Katolicy doznali dotkliwego zawodu, widząc, że papież nietylko został usunięty najzupełniej od sprawy zawarcia pokoju, lecz nawet w sprawie Ligi Narodów, w której konferencja paryska zasięgała także opinji neutralnych i zaprosiła ich prawie wszystkich do przystąpienia do Ligi, pozostał poza nawiasem. Do pewnego stopnia takie pominięcie przesądziło w sensie ujemnym kwestję uznania niepodległości państwowej Stolicy Apostolskiej, przedewszystkiem zaś pozbawiło ją wszelkiego

wpływu w nowej organizacji, wpływu, który w świetle powyższych wywodów mógł być tylko dodatnim dla sprawy pokoju powszechnego i usunąć ostatnie wątpliwości miljonów wiernych, czy orzeczenia Ligi będą zawsze w zgodzie z ich najgłębszemi przekonaniami i obowiązkami religijnemi.

Nie trudno też wyjaśnić nieufność kół, w których powstała Liga, do Kościoła katolickiego. Powody jej są podwójne: jeden ogólny, zasadniczy, drugi wynikły ze specjalnych okoliczności danej chwili. Co do pierwszego, to, jak zobaczymy, w pracy nad stworzeniem Ligi skupiły się wszystkie obozy polityczne mocarstw koalicji; wśród nich zaś niezaprzeczoną większość mają obecnie stronnictwa lewicowe, po części nawet bardzo skrajne, dla których katolicyzm zdaje się ciągle być nieodłącznie związanym z wszelką reakcją, niechętną nowym, postępowym ideom, a które nie zdołały wogóle wyzbyć się dawnych wobec Kościoła niechęci i uprzedzeń. Po drugie zaś, Ligę stworzyli zwycięzcy w światowej wojnie, pełni jeszcze przeważnie nienawiści do wroga a żalu do wszystkich, których, słusznie czy niesłusznie, posądzali o przychylność dla mocarstw centralnych. O to zaś właśnie dotąd w znacznej mierze posądza się właśnie papieża, zarzucając mu, że nie potępił wyraźnie bezprawi niemieckich, a nie licząc się z tem, że już chociażby ze wskazanych przed chwilą powodów, w dotychczasowym ustroju międzynarodowym nie mógł wyrokować swobodnie i stanowczo o sprawiedliwości lub niesprawiedliwości wojny, nie był nawet w stanie wszystkich spornych kwestyj gruntownie i bezstronnie zbadać.

Na szczęście jednak mimo zrozumiałej do pewnego stopnia nieufności obustronnej nie doszło do jakiegokolwiek rozłamu lub nawet zarysowania się przeciwieństw między światem katolickim a Ligą Narodów. Niezadowolenie katolików z zupełnego pominięcia papieża już dlatego nie mogło doprowadzić do otwartego protestu lub stanowczej opozycji, bo z niczem podobnem nie wystąpił ten, o którego właśnie chodziło, na którego się oglądają w tej sprawie rzesze wiernych, sam Ojciec św. To zaś milczenie jest z jego strony dowodem wielkiej mądrości politycznej, u nas znowu dlatego tylko niezrozumianym należycie, bo tak mało się wie o stanie Ligi i wywołanych przez nią dyskusjach. Otóż należy podkreślić, że wystąpiono już ze stanowczem żądaniem, aby Stolicę św. dopuszczono do Ligi Narodów, aby papieżowi wyznaczono ważne miejsce w jej działalności. Ale wystąpiono z tem z takich stron i przy takich

sposobnościach, że mogło to tylko zaszkodzić sprawie Kościoła i wykluczonem było, aby on sam się przyłączał do tego rodzaju akcji.

Przedewszystkiem zażądał miejsca dla papieża w Lidze zjazd międzynarodowy, który na początku marca b. r. zastanawiał się w Bernie nad projektem paktu Ligi, ułożonym na kongresie paryskim. Mniejsza o to, że poddano wtedy ten projekt krytyce tak ostrej i zasadniczej, że już w ten sposób zrażono sobie jego twórców. Ważniejszem jest, że uczestnicy zjazdu — Polacy nie byli na nim reprezentowani — składali się w olbrzymiej większości tylko z przedstawicieli narodów pokonanych w wojnie lub neutralnych lub wreszcie takich, których niepodległości jeszcze koalicja nie uznała, że zgromadziły się te właśnie żywioły, które, spodziewawszy się, jeśli nie zwycięstwa Niemiec, to pokoju bez zwycięstwa, znalazły się w wyraźnej opozycji do zwycięskiej Ententy. Nadto przewagę miały obozy radykalne pod względem społecznym, a jak silne były tam wpływy żydowskie, o tem świadczy wymownie, że jednym tchem żądano reprezentacji w Lidze dla papieża i dla — Sjonu.

Poważniejszą, lecz dla Kościoła może jeszcze mniej pożądaną była próba zabezpieczenia papieżowi wpływu w Lidze, z jaką wystąpiły już same Niemcy. Zarówno w książce Erzbergera o Lidze Narodów, która się rozeszła na Zachodzie w tłómaczeniu angielskiem, jak i w urzędowym kontrprojekcie co do organizacji Ligi, z jakim wystąpiła delegacja niemiecka w Wersalu, zażądano, aby papież miał decydujący głos przy wyznaczeniu prezesa sądu rozjemczego, gdyby nie mogły porozumieć się co do jego wyboru spierające się strony. Propozycja ta, chociaż w zasadzie zasługująca na uznanie, znowu mogła się tylko przyczynić do utrwalenia opinji, że właśnie Niemcy mogą liczyć na szczególną przychylność papieża.

Gdyby w takiej chwili sama Stolica św. wystąpiła z podobnemi żądaniami, to nie tylko byłaby się naraziła na upokarzającą porażkę dyplomatyczną przez ich nieuniknione odrzucenie, ale byłaby się znalazła siłą faktu i sytuacji w obozie wyraźnie antikoalicyjnym. Byłaby sobie tylko zraziła te koła w państwach Ententy, które, jak np. znany pacyfista belgijski Paul Otlet, nie ze szczególnej sympatji dla Kościoła, lecz wprost z poczucia słuszności i pożytku, już teraz rzucają myśl dopuszczenia papieża do Ligi, przez co urabia się grunt dla urzeczywistnienia tej myśli w chwili bardziej stosownej niż obecna.

Ostrożne wyczekiwanie takiej chwili może być jedyną taktyką wskazaną dla urzędowej polityki Kościoła w sprawie udziału pa-

pieża w Lidze, taktyką tem mniej niebezpieczną, że na razie nie zanosi się na to, aby wobec nawału zadań, czekających Ligę, została tam poruszona jakakolwiek kwestja bezpośrednio dotycząca Kościoła. Ale czy podobne wyczekiwanie powinno też być taktyką całego świata katolickiego wobec Ligi? Z oglądania się na stanowisko Głowy Kościoła wynikłoby tylko, że także z nieurzędowych kół katolickich na razie nie należałoby wysuwać kwestji reprezentacji papieża w nowej organizacji międzynarodowej. Właśnie jednak dlatego, że w najbliższym przynajmniej czasie takiej reprezentacji nie będzie, usuwanie się ogółu katolickiego od pracy nad Ligą i w Lidze, pracy, któraby na razie do pewnego stopnia taką reprezentację mogła zastąpić, byłoby wprost zaniedbaniem, nie dającem się usprawiedliwić.

Wzgląd na papieża mógłby je usprawiedliwić tylko wtedy, gdyby istniały jakiekolwiek uzasadnione powody do przypuszczenia, że on na dzieło Ligi zapatruje się nieprzychylnie. Pomijając jednak nawet, że, jak zaraz zobaczymy, dzieło to jest tak zgodne z ideałem chrześcijańskim, iż takie stanowisko papieża nie da się pomyśleć, nie trudno sobie przypomnieć, że przecież zasady, na których się Liga opiera, zostały wskazane w orędziach Benedykta XV jeszcze wcześniej niż w orędziach Wilsona. Dotyczy to zarówno samej idei prawa, jako czynnika jedynie rozstrzygającego w stosunkach międzynarodowych, jak i tak doniosłych szczegółów, jak ograniczenie zbrojeń i obowiązkowość sądów rozjemczych, co do której papież szedł nawet dalej niż obecny pakt związkowy. Ktokolwiek więc popiera te zasady, popiera tem samem ideje, które, zanim jeszcze stwierdzimy ich zgodność ze światopoglądem chrześcijaństwa wogóle, możemy rozpoznać jako ideje szczególnie pielęgnowane przez obecnego papieża.

Gdyby to rozumowanie pozostawiało jeszcze jakiekolwiek wątpliwości, to usunąłby je odrazu jeden argument, z którym dotąd znowu tylko dlatego u nas się nie liczono, że nie śledzono ruchu w sprawie Ligi Narodów na Zachodzie, zwłaszcza w tych trzech najpotężniejszych mocarstwach koalicji, gdzie ten ruch rozwija się najbujniej i najprędzej, to jest we Francji, Anglji i Stanach Zjednoczonych. Wobec braku wyraźnej enuncjacji o Lidze ze strony Rzymu, musimy się przecież poważnie liczyć z tem, jakie wobec niej zajmują stanowisko przodujące koła katolickie w tych państwach, gdzie tyle lepiej niż u nas zna się sprawę Ligi, a zapewne i intencje

Stolicy św. pod tym względem. Jakich więc stamtąd możemy zaczerpnąć wzorów?

Oczywiście niesposób przytaczać tutaj poszczególnych jednostek, chociażby nawet przedstawicieli duchowieństwa lub wybitnych działaczy katolickich, którzy się w tych krajach wypowiedzieli z całym entuzjazmem za ideą Ligi Narodów. Warto natomiast zwrócić uwagę na artykuł zasadniczy w tej sprawie p. t. »Les Papes et la Société des Nations«, który w krytycznych tygodniach między przedstawieniem projektu Ligi na konferencji a jego ostatecznem przyjęciem ukazał się w kilku z kolei numerach pisma paryskiego »Les Nouvelles Religieuses«, redagowanego przez znanego pisarza René Bazin. W związku z rozpatrzeniem stanowiska Stolicy św. wobec idei Ligi Narodów wykazano tam równie zwięźle jak przekonywująco, że katolicy nietylko nie powinni się usuwać od tego dzieła, lecz przeciwnie jaknajliczniej i jaknajintensywniej w niem współdziałać.

Wywody te możemy słusznie uważać za enuncjację całego obozu katolickiego we Francji, jeśli się uwzględni, że do wielkiej »Association française pour la Société des Nations« należy nietylko cały szereg przywódców tego obozu, po części w charakterze członków Rady, lecz co najważniejsze, wielki kapłan-patrjota, kardynał arcybiskup paryski Amette, jest jej pierwszym prezesem honorowym.

Przyjął on tę godność, nie zrażając się tem, że w tem samem Towarzystwie pracują także wybitni przedstawiciele stronnictw socjalistycznych, kół żydowskich, a nawet masońskich. W Anglji i Ameryce stanowisko Kościoła katolickiego było w tej sprawie tem trudniejsze, że oprócz stosunków i tych sfer antikościelnych, i tam również żywo uczestniczących w ruchu za Ligą Narodów, wchodził w grę także stosunek do innych, tak licznych tam wyznań chrześcijańskich. I w tym wypadku współdziałanie okazało się jednak zupełnie możliwem. Tak np. w Anglji narodowy Kościół anglikański, z pośród którego szereg biskupów ogłosił nawet broszury w sprawie Ligi, zaraz stanął na stanowisku, szerzej rozwiniętem w jednem z tych wydawnictw, że w tej właśnie sprawie różne wyznania chrześcijańskie mają najlepszą sposobność zgodnego współpracownictwa w imię miłości bliźniego. To też katolicki arcybiskup Westminsteru, kardynał Bourne, również nie zawahał się przyjąć w »The League of Nations Union«, organizacji liczącej już obecnie kilkadziesiąt tysięcy członków, godności jednego z wiceprezesów, obok głów innych chrześcijańskich a nawet niechrześcijańskich organizacyj religijnych

Anglji. W Ameryce zaś w kampanji za Ligą Narodów wziął czynny udział kardynał Gibbons; wszak on to obok eksprezydenta Tafta podpisał owe 300.000 zaproszeń na olbrzymi kongres w tej sprawie, który odbył się równocześnie, pod koniec lutego, w 9 głównych miastach Stanów Zjednoczonych i zgromadził istotnie 260 kilka tysięcy osób.

To stanowisko najwyższych dostojników Kościoła nietylko pociągnęło za sobą liczne rzesze katolickie, ale wpłynęło też z drugiej strony na stopniowe ustępowanie nieufności, jaka w kołach pracujących dla Ligi Narodów szkodziła sprawie katolickiej i chrześcijańskiej wogóle. Trzeba jednak przyznać, że już przedtem, od pierwszych chwil intensywniejszej pracy nad Ligą, także inne przyczyny tę nieufność niewątpliwie złagodziły.

Przedewszystkiem niesposób było przeoczyć, jak wielkie usługi mogła oddać sprawie Ligi siła przekonania religijnego, opartego na Chrystusowem przykazaniu miłości bliźniego. To też zanim jeszcze powstał pierwszy projekt paktu na kongresie pokojowym, międzynarodowy Zjazd towarzystw, popierających Ligę, który pod koniec stycznia b. r. obradował w Paryżu, wyraził jednomyślne życzenie, aby dla propagandy nowej idei zużytkowano obok wychowania i nauki także wszelkie organizacje religijne. Od początku więc nie było mowy o tem, aby koła chrześcijańskie w jakikolwiek sposób od udziału we wspólnych zabiegach wykluczać czy odstręczać. Jako objaw całkiem analogiczny należy wskazać, że wśród licznych sekcyj, istniejących przy angielskiej »The League of Nations Union« powstała także sekcja »Kościoła i szkoły«, która oczywiście również pragnie wciągnąć koła kościelne do akcji związku i równomiernie stara się uwzględnić w swej pracy i w składzie swych członków wszystkie wyznania chrześcijańskie.

Jakikolwiek charakter antichrześcijański lub chociażby antikatolicki wśród tych, którzy pragnęliby najgorliwiej poprzeć sprawę Ligi, był z góry wykluczony chociażby dlatego, że w każdym kraju i każdej poszczególnej organizacji postawili sobie jako zasadę skupiać w imię ogólnoludzkiego ideału ludzi wszelkich przekonań, przedstawicieli wszystkich stronnictw i obozów. »Union sacrée«, wypróbowana w wojnie, nie mogła nie obowiązywać przy przeprowadzeniu dzieła, mającego wojnę zwalczać i pokonać. To przekonanie wypłynęło zarówno ze względów oportunistycznych, dla tem rozleglejszej

propagandy, jak i z pobudek wyższych, z szlachetnego zapału, który towarzyszył zwłaszcza pierwszym krokom ku urzeczywistnieniu Ligi.

Nie obojętnem było przytem, że zwłaszcza główni inicjatorowie Ligi nietylko podzielali ten zapał ideowy, ale wprost czerpali go ze swych własnych religijnych przekonań. Co do prezydenta Wilsona zwłaszcza, jest to powszechnie znanem. Oczywiście u niego, jak u przeważnej części Amerykanów i Anglików są to przekonania religijne protestanckie. Dalekie jednak od wszelkiego zacietrzewienia wyznaniowego, dążą one do zabezpieczenia praw i wolności wszelkiej religji wogóle. Pod tym względem jest niezmiernie charakterystycznem, że ochrona mniejszości religijnych, która potem, wraz z ochroną mniejszości narodowościowych, znalazła się tylko w kilku specjalnych traktatach, narzuconych niektórym państwom, według pierwszego projektu Wilsona, przedłożonego odpowiedniej komisji kongresowej, miała stanowić osobny artykuł samego paktu Ligi i obowiązywać na całym świecie. Że w tej ogólnej tolerancji mieściło się także uznanie i uszanowanie dla naszego Kościoła katolickiego, tego dowiodły, gdyby jakakolwiek pod tym względem wątpliwość istnieć mogła, odwiedziny Wilsona u papieża Benedykta XV w przeddzień kongresu.

Wobec niezaprzeczonej roli uczucia religijnego przy genezie Ligi, mogłoby może zadziwiać gorliwsze jednostki, że w jej pakcie nie znalazło się ani słowo, któreby na to wskazywało. Wszak nawet w akcie świętego przymierza, aczkolwiek ideowo tyle niżej stało od Ligi Narodów, takie wyraźne podkreślenie pobudek religijnych znalazło swoje miejsce. To milczenie pozostaje jednak w związku z tem, że wogóle z formułek dyplomatycznych znikły wszelkie tego rodzaju zwroty, mające swe źródło w inwokacjach i arengach dokumentów średniowiecznych; nadto chciano oczywiście uniknąć protestów, którychby się należało było spodziewać od licznych niewierzących członków kongresu. Że jednak nie brak odczucia i zrozumienia, iż między ideami, które Ligę stworzyły, a ideałem religijnym zachodzi związek niezaprzeczony, o tem świadczy chociażby poprawka do paktu, zgłoszona przez dwóch senatorów amerykańskich, żądająca, aby w tym dokumencie przynajmniej wspomniano o P. Bogu.

Niewątpliwie z tem kategorycznem żądaniem pozostaną oni dość odosobnieni. Ale o wiele ważniejszem od takiego zewnętrznego, słownego zadośćuczynienia uczuciom religijnym, jest istotna a nieukrywana świadomość owego związku, owego znaczenia chrystja-

nizmu dla Ligi Narodu, której coraz wymowniej dają wyraz niektórzy przynajmniej współpracownicy nowej organizacji. Nie mówiąc już o prez. Wilsonie, można wskazać piękne a doniosłe przemówienie o Lidze, jakie niedawno miał w Londynie lord Robert Cecil, przedstawiciel Anglji w Radzie związkowej. Otóż podkreślił on w niem publicznie z całym naciskiem, że istotą Ligi i warunkiem jej skuteczności będzie zastosowanie etyki chrześcijańskiej do życia międzynarodowego. My zwłaszcza Polacy odnajdujemy w takiem oświadczeniu szlachetną myśl przewodnią naszej literatury i filozofji narodowej.

Właśnie jednak u nas znajdą się zapewne — i będzie to nawet objaw wysoce dodatni — umysły głębsze i samodzielniejsze, które nie zadowolą się ani przykładem obcych książąt Kościoła, ani pięknemi oświadczeniami świeckich dostojników Ligi Narodów, lecz będą sobie chcieli wyrobić własny w tej sprawie sąd. Istotnie nie ślepe naśladownictwo poważnych chociażby wzorów, nie oportunistyczne uwzględnienie obustronnych korzyści powinno rozstrzygać o stanowisku sumienia religijnego wobec nowego problemu, jaki przed niem staje. W braku ogólnie obowiązującego orzeczenia Głowy Kościoła, każdy jego członek powinien sobie postawić pytanie co do zgodności zasad i celów Ligi Narodów ze światopoglądem chrześcijańskim. Że niema w nich nic przeciwnego temu światopoglądowi, to widać na pierwszy rzut oka; czy jednak istnieją momenty pozytywne, któreby z popierania nowej idei czyniły wprost obowiązek religijny?

Przedewszystkiem trzeba sobie przypomnieć, że nową jest tylko sama organizacja, jej forma i przepisy, sama idea zaś bynajmniej nową nie jest, lecz snuje się poprzez całe dzieje ludzkości, dotąd tylko nie uwzględniona należycie i nieraz ciągłości widocznej pozbawiona. Obie jej strony, pozytywną i negatywną, uwydatnia mimo całej swej krótkości już wstęp do paktu. Celem, do którego zmierza jego 26 artykułów, jest poparcie współpracownictwa narodów i zapewnienie im pokoju i bezpieczeństwa. Doskonale też oddaje istotę tego dążenia francuska nazwa Ligi Narodów, która brzmi nie »Ligue«, lecz »Société des Nations«. Wszystkie narody świata mają utworzyć jedno wielkie społeczeństwo, którego każdy członek zdawałby sobie sprawę ze wzajemnych obowiązków wobec innych, jak to musi zachodzić u każdej jednostki poszczególnego narodu, jeśli ten naród ma istotnie stanowić społeczeństwo.

Myśl podobna pojawia się już w świecie starożytnym, np. w amfiktjonjach greckich, organizacji międzypaństwowej, opartej —

rzecz znamienna — na wyraźnej podstawie religijnej. Tam jednak obejmowała tylko państwa i szczepy jednego i tego samego narodu. W tym świecie starożytnym, gdzie człowiek obcego narodu uchodził za wroga i barbarzyńca i pierwotnie stał zupełnie poza prawem, wszelkie ideje podobne musiały się zatrzymywać u narodowych granic. O współpracownictwie cywilizacyjnem z innemi narodami nie mogło nawet być mowy, a stan wojenny z niemi był właściwie stanem normalnym. Pragniono oczywiście we własnem chociażby interesie, aby on ustąpił pokojowi powszechnemu, ale ten pokój, dla którego typowym przykładem jest owa słynna pax Romana z czasu pierwszych cesarzy, miał polegać na panowaniu własnego narodu nad wszystkiemi innemi.

Historycy niechętni chrześcijaństwu zaznaczają czasem z niedwuznacznem ubolewaniem, że wystąpienie Chrystusa i założonego przez Niego Kościoła ten powszechny »pokój rzymski« zamąciło. Drudzy przyznają wprawdzie, że ów pokój pogański był pojęciem nawskróś odmiennem od naszego dzisiejszego ideału pokojowego, ale twierdzą, że i ten inny pokój, który Zbawiciel i Jego Ewangelja przyniosła ludzkości, z tym ideałem nie ma nic wspólnego, dotyczy tylko wewnętrznego pokoju duszy ludzkiej, a w życiu wszechświatowem, międzynarodowem miał znowu tylko oznaczać nieograniczone panowanie jednej potęgi nad wszystkiemi państwami i narodami. Oczywiście chodzi tutaj o uniwersalizm średniowieczny, o wszechwładzę czy to samego papiestwa czy to papiestwa nawspół z cesarstwem.

Tutaj jednak można wykazać podwójny błąd czy nieporozumienie. Przedewszystkiem doktryna polityczna pewnej epoki chrześcijańskich dziejów, w której zresztą jedna strona, dotycząca wznowionego cesarstwa, z religją nie ma nic wspólnego, nie może być podstawą dla oceny całej historycznej roli chrystjanizmu w rozwoju stosunków międzynarodowych. Ta przełomowa rola zaczyna się już z samem wystąpieniem Chrystusa, które odrazu obaliło przesąd wyłączności narodowej czy to u Żydów czy też u Greków i Rzymian. W bezwarunkowym obowiązku pomocy dla każdego bliźniego znajdujemy podstawę dla wszelkiego współdziałania narodów; w niemniej kategorycznym nakazie miłowania nieprzyjaciół tkwi nawet więcej niż wymaganie bezwarunkowego kierowania się samem tylko prawem i słusznością w stosunkach między państwami i narodami.

Skutki tej nauki, powoli i stopniowo tylko przeobrażającej stosunki między jednostkami, w dziedzinie stosunków politycznych

oczywiście jeszcze powolniej działać musiały. Wieki upłynęły już, zanim Kościół znalazł czas i sposobność do pierwszego, teoretycznego tylko rozpatrzenia zagadnień, łączących się z chrześcijańskim poglądem na państwo. W dalszych jednak stuleciach, które upłynęły między napisaniem księgi »De civitate Dei« św. Augustyna, a pierwszą próbą usystematyzowania i w tej dziedzinie nauki Kościoła, jakiej się podjął św. Tomasz z Akwinu, ta nauka już zaczęła znajdować praktyczne zastosowanie w życiu państw i narodów.

I tutaj właśnie dochodzimy do drugiego błędu we wspomnianym wyżej poglądzie. Mimo wszelkich niedostatków średniowiecznych poglądów politycznych, mimo niedomagań organizacyjnych i nadużyć jednostek, trzeba przyznać, że ówczesne pojęcie rei publicae christianae było czemś bardzo pokrewnem idei Ligi Narodów i na drodze ludzkości ku wcieleniu tej idei oznacza niezaprzeczony postęp. Jedyną istotną różnicę stanowi wyłączność religijna koncepcji średniowiecznej, którą jednak należy oceniać w świetle nadziei wierzących, że w końcu przecież i niechrześcijańskie na razie narody znajdą się w owczarni Chrystusa; nigdy zresztą nauka Kościoła nie stawiała ich poza ogólnem prawem miłości i sprawiedliwości, mającem w myśl Ewangelji Chrystusowej odrodzić świat.

W obrębie zaś owej rzeczypospolitej chrześcijańskiej władza papieska nie tylko nie zagrażała odrębności poszczególnych państw i narodów, lecz nieraz, jak tego najlepszy przykład mamy właśnie w dziejach polskich, ochraniała tę odrębność przed uroszczeniami drugiej, świeckiej już uniwersalnej potęgi średniowiecza, t. j. cesarstwa. Te uroszczenia to oczywiście najciemniejsza strona średniowiecznego życia międzynarodowego; należy jednak zaznaczyć, że nie stanowią one bynajmniej powszechnie uznanej istoty pojęć ówczesnych, lecz są raczej tylko spaczeniem pierwotnej idei, według której miecz, oddany w ręce cesarskie, miał tylko służyć obronie powszechności chrześcijańskiej i Stolicy św., miał być tą strażą prawa, którą według projektów dzisiejszych, pragnących zapewnić Lidze Narodów silniejszą egzekutywę, byłaby armja tej Ligi pod jednem naczelnem dowództwem.

Sama zaś rola, która w ideologji średniowiecznej miała przypaść papieżowi i Kościołowi w zakresie stosunków międzynarodowych, odpowiada najzupełniej wskazanym wyżej celom obecnym Związku Narodów. Pierwszy jego cel, cywilizacyjne współpracownictwo narodów, był w obrębie rzeczypospolitej chrześcijańskiej dzięki

kulturalnej pracy Kościoła najzupełniej osiągnięty. Wystarczy przypomnieć działalność zakonów średniowiecznych i ówczesne znaczenie uniwersytetów, których początki tak ściśle są z Kościołem związane. Zbytecznem byłoby dowodzić jedności kulturalnej ówczesnej społeczności narodów chrześcijańskich, należących do Kościoła rzymskiego.

Ale ten Kościół spełniał też drugą rolę, o której się głównie myśli, mówiąc o Lidze Narodów: stał na straży pokoju i bezpieczeństwa. Jak dziś organy Ligi, stał na stanowisku, że obchodzi go każde niebezpieczeństwo zakłócenia tego pokoju. Najwięksi właśnie papieże średniowieczni w każdym zatargu międzynarodowym pragnęli spełnić zadanie sędziów rozjemczych, stosując do zagadnień politycznych kryterja etyki chrześcijańskiej, wówczas, chociaż zapewne nie rzadziej jak dzisiaj gwałcone, przecież powszechnie i zgodnie uznawane. W warunkach o tyle trudniejszych od nowożytnych, w epoce niezliczonych waśni nawpół niezależnych potentatów lokalnych, których stwarzał feodalizm i immunitet średniowieczny, ustanowiona przez Kościół treuga Dei była stałem świadectwem jego dążeń i zasług pokojowych.

Samo zaś porównanie z organizacją Ligi Narodów możnaby jeszcze dalej rozwinąć, jeśli się zestawi poddawanie się państw słabszych, cywilizacyjnie młodszych i zagrożonych przez samo swe położenie, pod opiekę Stolicy apostolskiej z obecnem oddawaniem niektórych ziem i narodów pod zarząd Ligi. Naogół rzeczywiście Kościół średniowieczny nie stosował przy tem niczego, coby odpowiadało dzisiejszej instytucji mandatarjuszów Ligi. W tem zaś, że o ile wobec duchownego charakteru Kościoła także ramię świeckie o międzynarodowej powadze okazywało się koniecznem, był nim z zasady cesarz, będący zarazem królem niemieckim, tkwił najpoważniejszy błąd w całym ustroju rzeczypospolitej chrześcijańskiej. Dlatego to właśnie rozbiło ją ostatecznie utwierdzenie się państw narodowościowych, chociażby najwierniejszych Kościołowi, lecz nie myślących uznawać uniwersalnej władzy cesarskiej, która w dodatku sama stopniowo pozbawiała się swej sankcji moralnej, zrywając się raz po raz, w imię interesów dynastycznych lub narodowych, do walki z papiestwem.

Mimo tego zasadniczego błędu koncepcji średniowiecznej, to krótkie jej rozważenie na tle haseł dzisiejszych dostarcza jednego dowodu więcej, że utarty frazes o zacofaniu i obskurantyźmie wieków średnich jest jednym z najbardziej nieuzasadnionych przesądów.

Uczy ono nas jednak jeszcze czegoś więcej. Otóż z chwilą, gdy wraz z tem, co w uniwersaliźmie średniowiecznym było błędnego i krępującego, upadła też uniwersalna powaga zasad etyki chrześcijańskiej w stosunkach międzynarodowych, państwo nowożytne w obu swych głównych fazach, Odrodzenia i absolutyzmu, których jak gdyby teoretycznem ogniwem jest ideologja Macchiavella, staje jak gdyby poza dobrem i złem, bez uznawania jakichkolwiek obowiązków w stosunku do drugiego państwa, depcząc pod sztandarem suwerenności zasadę solidarności ogólnoludzkiej. Wskrzesiło nawskróś fałszywą maksymę starożytną, że jedynym środkiem zapewnienia sobie pokoju jest pogotowie wojenne, a o ile ten środek zawodził, nie troszczyło się wiele o rozróżnienie wojny sprawiedliwej od niesprawiedliwej.

To też niezmiernie znamiennem jest, że właśnie u progu XIV stulecia, w chwili przełomu między upadającym uniwersalizmem średniowiecznym a właściwą genezą państw nowożytnych, zaczynają się po raz pierwszy pojawiać tak częste odtąd aż do wieku XIX misterne projekty zapewnienia pokoju powszechnego przez czysto polityczne pomysły organizacyjne. Szereg ich zaczyna się we Francji, w otoczeniu Filipa Pięknego, i tam też powstał później ich przykład najbardziej znany i typowy: t. zw. wielki plan Henryka IV. Pozostając teoretycznemi utopjami, o ile miały mieć charakter uniwersalny lub conajmniej ogólnoeuropejski, plany zapewnienia postępu cywilizacyjnego i pokoju przez organizację polityczną dawały trwałe rezultaty tylko w zastosowaniu lokalnem, w państwach związkowych, które powstawały bądź to na początku tej epoki, jak Szwajcarja lub państwo jagiellońskie, bądź to u jej schyłku, jak Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

Formuła prawna, która okazywała się za słabą, aby sama jedna odbudować świat na zasadach kultury i pokoju, rozwijała się stopniowo, łagodząc niektóre przynajmniej skutki anarchji międzypaństwowej. I znowu spotykamy fakt znamienny, że te zawiązki t. zw. prawa narodów zaczęły się bujniej rozwijać właśnie wtedy, gdy w dobie krwawych walk wyznaniowych religja zdawała się ostatecznie służyć, zamiast — jak niegdyś — ideałom pokoju, celom zniszczenia i wojny.

Ale po wojnach rzekomo religijnych nadeszły wojny toczone już całkiem otwarcie w imię złudnego frazesu o równowadze europejskiej i skończyły się krwawą epopeją wojen napoleońskich. Nad-

szedł i rozpoczął się pod wrażeniem ich grozy wiek XIX i znowu powrócił do prób zapewnienia pokoju powszechnego przez organizację polityczną, opierając się już na wyrobionem na pozór pojęciu prawa narodów. Z prób tych jedna przypada na początek, druga na koniec stulecia. Święte przymierze niebawem stało się parodją głoszonych tak szumnie ideałów, bo prawo narodów pojmowało jako prawo kilku sprzymierzonych władców. Konferencje haskie wydawały stosunkowo nieznaczne wyniki, ponieważ prawo narodów w tej tak niedawnej dobie było właściwie tylko prawem szeregu państw, po części opartych wprost na pogwałceniu praw narodowych, których stan posiadania wydawał się nietykalnym.

Wtedy wreszcie wojna straszniejsza od wszelkich poprzednich wyzwoliła ruch pacyfistyczny poprzednich dziesięcioleci od tych pęt krępujących, które go dotąd czyniły zbyt często nieszczerą parodją lub nawet przedmiotem pośmiewiska. Powstał ruch potężny, tym razem mający za sobą i mocarzy świata i miljonowe rzesze narodów, aby ta wojna wyzwolenia była naprawdę wojną ostatnią, jak to dawno przepowiadali nasi myśliciele narodów, jak o tem śpiewał lud na ulicach Paryża podczas konferencji pokojowej. Entuzjaści od razu zabrali się do pracy w tym celu; ostrożniejsi zaczęli się pytać, jaką w tej sprawie jest »nauka przeszłości«. Gdy jako przestrogę wskazywali bankructwo Świętego Przymierza, łatwo było rozprószyć obawy, wskazując na zasadnicze różnice między niem a Ligą Narodów. Ale cóż odpowiedzieć na zarzut ogólniejszy a poważniejszy, że dotąd wszystkie bez wyjątku próby zapewnienia ładu i pokoju na świecie najzupełniej zawiodły?

Otóż kto wie, czy nie właśnie rozpatrzenie problemu z punktu widzenia religijnego może w znacznej części dostarczyć tej odpowiedzi. Rozróżniliśmy w dotychczasowym rozwoju zagadnień życia międzynarodowego dwa — po epoce starożytnej — główne okresy: czasy rzeczypospolitej chrześcijańskiej i państwa nowożytnego. Otóż o ile w pierwszym z tych okresów nie zdołano jeszcze ująć ogólnych nakazów etyki politycznej w ścisłe przepisy prawne a czynnik władzy świeckiej zużytkowano w sposób niewłaściwy, bo wyłącznie jednostronny, o tyle w drugim okresie, zapoczątkowawszy kodeks prawa międzynarodowego i przeprowadziwszy zasadę równości państw, najzupełniej zaniedbano czynnika moralnego, nie kusząc się nawet wcale o stosowanie elementarnych chociażby nakazów etycznych w dziedzinie politycznej, jakich religja nie przestawała dyktować w życiu prywatnem.

Straszne doświadczenie ostatniej wojny niewątpliwie wstrząsnęło sumieniami i pod tym względem, a rozwój demokratyczny ostatnich stukilkudziesięciu lat, udział szerokich mas w życiu publicznem, przyczynił się do tego, że to wstrząśnięcie moralne sięgnęło głębiej, aniżeliby to się stało w poprzednich wiekach. To też rozbrzmiały po całym świecie, nawet w salach polityków i dyplomatów starej szkoły, piękne słowa o konieczności radykalnej zmiany w stosunkach międzynarodowych przez zastąpienie wszechwładnej dotąd siły bezwzględnem poszanowaniem prawa. Wierzymy chętnie, że nie są to puste frazesy, ale jaka ma być konkretna konsekwencja takich oświadczeń?

Po części jest nią już niewątpliwie pakt Ligi Narodów. Nie wystarczą jednak jego artykuły, chociażby uzupełnione i wydoskonalone w najbliższem czasie, nie wystarczą najsubtelniejsze nawet przepisy prawne, jeśli ich nie poprze siła duchowa, moralna, skuteczniej zmuszająca do ich przestrzegania, aniżeli wszelkie groźby sankcji. Autorowie projektu Ligi, zwłaszcza prez. Wilson, widzą tę siłę głównie w opinji publicznej. Niewątpliwie słusznie, ale czemże znowu ma się kierować ta opinja, jakie pobudki i kryterja mają wpływać na jej stanowisko, jeśli nie chcemy, aby nią zawładnął byle jaki ogólnik demagogiczny?

Oto zarówno tę opinję, ten ogół demokratycznych społeczeństw, jak i jednostki, które staną u steru nowej nawy świata, musi przeniknąć światopogląd oparty na bezwzględnych zasadach prawa i słuszności, a ponadto, bo i prawo może uledz rozmaitym niestety interpretacjom, na wyższych jeszcze a zwłaszcza tyle prostszych zasadach miłości bliźniego. Nie zaprzeczamy oczywiście, że taki światopogląd mogą sobie wyrobić także jednostki niewierzące. Najkonsekwentniejszym jednak i najprzystępniejszym zarazem jest pod tym względem światopogląd chrześcijański, za którym w duszy nim przejętej stoi majestat nie tylko własnego sumienia, ale Boga.

Jeśli światopogląd ten, pod wrażeniem bolesnych doświadczeń ludzkości, szersze jeszcze niż dotąd roztoczy kręgi, jeśli utworzy konieczną przeciwwagę przeciwko wynikłemu z wojny upadkowi moralności ogólnej, wtedy już samą siłą tego faktu rozpocząłby się na świecie zwrot na lepsze. Ale, po tylu właśnie doświadczeniach ostatnich wieków, etyka chrześcijańska nie może też zlekceważyć wszechświatowej organizacji prawnopolitycznej, zmierzającej świeckiemi, doczesnemi środkami do tych samych celów, na zgodnych

z tą etyką zasadach opartej. Że taką właśnie organizacją jest Liga Narodów, staraliśmy się wykazać. Współdziałanie z nią chrystjanizmu, powagi Kościoła i zapału wiernych, może rozstrzygnąć o sukcesie, może rozwiązać problem, który dotąd wydawał się kwadraturą koła.

Czyż wobec tego świat katolicki może się zawahać? Podniosą się zapewne wśród niego wątpliwości i obawy, czy w Lidze Narodów przez udział tylu żywiołów, do których nie możemy mieć zaufania, jej słuszne i szlachetne ideje podstawowe nie ulegną spaczeniu. Wszak nie brak głosów, które już dziś przepowiadają np., że zmieni się ona w jakieś konsorcjum finansowe, wyzyskując słabsze państwa, w narzędzie kontroli anglosaskiej nad światem i nie wiadomo co jeszcze. Na wszystkie prognostyki tego rodzaju jedna tylko istnieje odpowiedź. Tak, one się spełnią, to spaczenie ideału nastąpi napewno, jeśli usuną się małodusznie ci właśnie, którzy w ten ideał naprawdę wierzą, dla których on jest nakazem moralnym, których obecność wystarczyłaby, żeby takiemu spaczeniu zapobiec.

Odpowiedzialność to tak wielka, że wobec niej bledną inne, chociażby bardzo poważne argumenty. Z nich jeden jednak niech wolno będzie przytoczyć. Dotąd jeden tylko obóz zajął wobec Ligi stanowisko bezwzględnie wrogie, nie ze sceptycyzmu lub lekceważenia, lecz w poczuciu, że ona jest najniebezpieczniejszym, zasadniczo przeciwnym pierwiastkiem: obozem tym jest bolszewizm wszystkich krajów i wszystkich odcieni. Jego rosyjscy przywódcy Lidze Narodów, zanim jeszcze powstała, otwartą wypowiedzieli wojnę. Dla wszystkich, którym się nie chce pozytywnie zbadać problemu Ligi Narodów, to stwierdzenie negatywne może być decydującą wskazówką. Nowa epoka w życiu świata nastanie na pewno: jej ideą przewodnią będzie Liga Narodów albo bolszewizm, bo żadna inna dotąd nie ukazała się na widnokręgu. Wybór chyba łatwy, a perspektywa znalezienia się sam na sam z bolszewikami w obozie negacji dosyć odstraszająca.

Cóż jednak powiedzieć tym niby to najtrzeźwiejszym sceptykom, którzy, mówiąc poprostu, myślą sobie, że z tego wszystkiego nic nie będzie, ani w dodatniem ani nawet w ujemnem znaczeniu, że bolszewizm sam się jakoś strawi, a Liga Narodów, po wycofaniu się zdrowo myślącego ogółu z tej imprezy, nie stanie się znowu żadnym groźnym potworem, lecz poprostu jakąś bladą fikcją, która po kilkoletniej wegetacji spokojnie zamrze?

Otóż gdyby usuwanie się od niej nie miało mieć żadnego gorszego skutku, to odpowiedzialność nie stałaby się mniejszą. Niedawno we Francji w propagandzie za Ligą Narodów odwołano się do »głosu zmarłych«. Ci wszyscy, którzy zginęli w tej potwornej wojnie na polach bitew całego świata, na szubienicach i w więzieniach, pod gruzami bombardowanych z powietrza miast, zatruci gazami i zatopieni przez łodzie podwodne, wyniszczeni głodem, chłodem i poniewierką, powstaliby przeciwko nam. I nietylko oni: powstałaby rzesza kalek i chorych, oślepłych i oszalałych, talentów zmarnowanych, egzystencyj zniszczonych; stanęłaby w ruinach kościołów i dworów, we wsiach spalonych, wyciętych sadach i stratowanych polach, i opowiadałaby nam o rowach strzeleckich i drutach kolczastych, o szpitalach i obozach jeńców lub internowanych; dla chrześcijanina zaś w ich dantejskiej opowieści głośniej od fizycznych mąk i materjalnej udręki przemówiłaby owa synteza dziejów grzechu, którąby się okazała prawdziwa historja wojny. Jakże wtedy wypadnie odpowiedź nasza, której słuchać będą wdowy i sieroty?

Chrześcijanin, a zwłaszcza Polak, może zrozumieć sens tej wojny, cierpienia okupującego i wyzwalającego, ale on, któremu Boski Mistrz zakazał odmówić prośbie żebraka, jakżeby mógł odmówić prośbie ludzkości, ażeby choć spróbowano jedynego wymyślonego dotąd środka, mogącego zapobiec powtórzeniu się nieszczęść podobnych? Gdyby przez Ligę Narodów choć jednej wojny zdołano uniknąć, to jej lekkomyślne zaprzepaszczenie byłoby najcięższym grzechem zaniedbania. Po należytem zaś jej zbadaniu, możliwości, jakie ona przed ludzkością otwiera, są tak wspaniałe, że jeśli choć w części się urzeczywistnią, przyszłe pokolenia będą się spierać o zaszczyt, kto niegdyś głównie się przyczynił do jej genezy. Ale nam chodzi przecież o coś wyższego jeszcze, niż o tę marną błyskotkę przyszłej chwały. Chcemy spełnić obowiązek nasz, chcemy mieć spokojne sumienie, chcemy, aby nikt nie mógł powiedzieć, że religja Chrystusowa dużo mówi o miłości bliźniego, ale jej nie stosuje, gdy otwiera się najlepsza sposobność.

Dla nas zaś Polaków w szczególności ten religijny charakter obowiązku, wołającego nas w szeregi, które wznoszą budowę Związku Narodów, szczególne powinien mieć znaczenie. On nam odsłania prawdę, że chodzi tu o jedną z takich spraw, za które się poświęcali przodkowie nasi, gdy z Polski fizycznie i duchowo robili przedmurze chrześcijaństwa, o sprawę, która bynajmniej się nie sprzeciwia

naszym bohaterskim tradycjom rycerskim z pod Lipnicy lub Worskli, Cecory lub Chocimia, bo właśnie czasem wymagać będzie takich bojów za ludzkość całą, jakie staczamy chociażby dziś, wstrzymując bolszewicką nawałę. Niczem też nie okażemy lepiej wdzięczności za odzyskaną w tej wojnie wolną Ojczyznę, wdzięczności, która do powtarzanych bez końca frazesów ograniczyć się nie może, jak właśnie poparciem największego dzieła, które chcą stworzyć oswobodziciele nasi.

Gdyby zaś wbrew wszelkim oczekiwaniom zawód nas w niem spotkał, to — jak niedawno pięknie powiedziała Rada związkowa Szwajcarji — pozostanie nam świadomość, żeśmy chcieli rzeczy wielkiej i słusznej.

Prof. O. Halecki.

Prawo rozwodowe a szczęście małżeńskie.

(Ciąg dalszy).

Jeżeli chodzi o przyszłość, prawo rozwodowe nie przedstawia się więc obiecująco. Skoro podupadnie obowiązkowość, zniknie wzajemne zaufanie, a zapanuje lekkomyślność w zawieraniu małżeństw, trudno będzie mówić o szczęściu.

A jednak szczęście być musi... Człowiek nie wyrzeknie się go nigdy. Wszystkie systemy filozoficzne, które pod pozorem wyższej moralności wyeliminowały je z pośród motywów lub celów działania, czemprędzej wprowadzały je inną furtką z powrotem, czując dobrze, że jest ono nierozdzielnie złączone z naturą ludzką. Doświadczył tego sam Kant, a gołosłowne dysputy i twierdzenia jego zwolenników są tylko zamaskowaniem własnej ich duszy i całej rzeczywistości, które wydają wprost przeciwne świadectwo.

To też szczęście, spychane przy zielonym stoliku na szary koniec, w praktyce nigdy nie straciło swego naczelnego stanowiska. Wzięte w najszerszem znaczeniu, jako zaspokojenie dążeń i pragnień człowieka, kierowało i kieruje każdym od dziecka aż do grobu; nieszczęścia, jako takiego, nikt nie chce nigdzie — a przedewszystkiem w małżeństwie.

Człowiek charakteru, który w świetle rozumu i wiary poznaje prawdziwe szczęście, dąży wprost do niego. A inni? Inni tem tylko się różnią, że nie mogąc trafić do celu, idą po omacku i tem namiętniej szukają go po bezdrożach; ale w każdym razie nie rezygnują z niego nigdy. Jedni nie potrafią dojrzeć rzeczywistego szczęścia wśród mroku mętnych pojęć nowożytnej etyki i gonią bez przerwy za jego marami. Drudzy, którym słaba i zdeprawowana wola nie

pozwala utrzymać się na właściwej drodze, potykają się i upadają, ale zaraz podnoszą się znowu i rwą nieznużenie naprzód, skoro uczucie i namiętność podszepną im to czarodziejskie słowo: szczęście!

W kategorji obu ostatnich grup znaleźć się musi konsekwentnie każdy, kto zatracił poczucie obowiązkowości i prawdziwe pojęcie małżeństwa.

Jakiegoż bowiem szczęścia może on szukać w tym związku?

Oczywiście jedynie takiego, które nie obarczy go żadnemi zobowiązaniami, nie nałoży ciężarów, lecz pozostawi zupełną swobodę i pozwoli tylko używać. Takie jednak stanowisko — to rozumie chyba każdy — znamionowałoby upadek moralny, zanik pierwiastka wyższego, duchowego i stoczenie się do poziomu czysto zmysłowej rozkoszy. Ponieważ zaś ta nie jest w stanie dać stałego zadowolenia, gdyż niema rzeczy bardziej zmiennej nad uczucia i wrażenia zmysłowe, przeto i związek na niej oparty nie może nigdy liczyć na trwałość. O małżeństwie stałem nie może tu więc być mowy, na tak chwiejnej podstawie nie utrzyma się ono nigdy. Miejsce jego — jak to zresztą przyznają konsekwentni zwolennicy rozwodu — musi zająć wolny związek, w którym schodzić i rozlatywać się będą pary za każdym silniejszym podmuchem namiętności.

Siłą rzeczy nastąpią więc rozwody, potem ponowne związki i znowu rozwody i tak bez końca, jako namacalny dowód, że żaden związek, zawarty pod hasłem bezgranicznej swobody i użycia, nie może przynieść trwałego szczęścia. Zjawisko to zaś będzie tylko logicznem następstwem upadku moralności, dzięki któremu małżeństwo, zamiast być instytucją służącą celom całej ludzkości, posłuży jedynie do zaspokojenia najniższego egoizmu, przybranego z wierzchu szumnym polorem wolności i miłości.

Pomiędzy rozluźnieniem obyczajów a kwestją rozwodową zachodzi bowiem ścisły związek. Świadczy o tem historja.

Spojrzyjmy na Rzym za czasów cesarstwa. Kiedy zanik poczucia moralnego doszedł do tego stopnia, że Martialis mógł napisać w swej satyrze, iż zaczyna wierzyć, »że czystość jest przestępstwem, zabronionem w Rzymie«, wtedy też epidemja rozwodów grasowała w całej pełni. Świętość małżeństwa upadła bowiem zupełnie wraz z moralnością osobistą i publiczną, wskutek czego wyzysk materjalny z żądzą zmysłową stanęły jako najwyższe dobra na ziemi, które

zdobyć można było łatwo właśnie dzięki częstej zmianie związków małżeńskich.

»Małżeństwo — powiada Dr Georg Grupp-Maihingen [1]) — zdawało się być zawierane, aby jedną lub drugą stronę wyzyskać. Z jednej strony kobiety korzystały z łatwości zawierania małżeństwa i otrzymywania rozwodu, by obłupić bogatych mężczyzn, z drugiej strony jeszcze częściej mężczyzni wyzyskiwali bogate niewiasty; wystarczało tylko ułożyć tak sprytnie sprawę, aby wina rozwodu spadła na kobietę. Jeżeli bowiem żona była winną rozwodu, traciła posag i to właśnie starali się wykorzystać niejedni mężczyźni, którzy żenili się z osobami złemi ale bogatemi, aby przy sposobności się rozwieść i zabrać ich majątek«. Co się zaś tyczy rozwodów, było ich tyle, że nawet współczesny i oswojony z niemi Seneka skarży się gorzko: »Jakże kobieta, biorąca dziś rozwód, ma się rumienić z tego powodu, kiedy znakomite damy nie liczą już lat według konsulów, lecz według liczby swych mężów, kiedy rozwód bierze się na to, by się ożenić, a żeni się, aby się rozwieść«. Na mniejszą skalę i w różnym stopniu powtarzało się to samo zjawisko gdzieindziej w ciągu wieków, a zawsze równolegle do poziomu obyczajności i do stanowiska, jakie prawo miejscowe zajmowało w tym względzie.

* * *

Lecz odpowiedź ta nie jest jeszcze wystarczającą do wykazania szkodliwości rozwodu wogóle. Przyznajemy to najzupełniej.

Objęła ona sobą tych wszystkich, którzy stoczywszy się do nizin zmysłowych, hołdują jedynie żądzy używania, z podeptaniem wszelkich zasad i praw. Obok nich istnieje jednak ogromna ilość ludzi uczciwych, którzy zatrzymując wysokie pojęcie o stanie małżeńskim i jego obowiązkach, żądają mimo to uznania ustawy rozwodowej. Zerwanie związku jest bowiem ich zdaniem jedynym sposobem wybawienia mnóstwa nieszczęśliwych małżonków z męczarni, jaką stało się dla nich pożycie z osobą, która sprzeniewierzyła się danemu słowu.

Skarga ta i fakta, na jakie się powołują, są niestety aż nadto prawdziwe. Miara cierpienia wielu małżonków jest istotnie wielka i sporo niewinnych pada jego ofiarą. Roztrząśnięcie tej sprawy i ostateczne zadecydowanie, jakie stanowisko przyznać należy wobec

---

[1]) Kulturgeschichte der römischen Kaiserzeit, I. Bd., München 1903; przytoczone w Soziale Revue 1903, str. 578.

tego prawu rozwodowemu, stanowić będzie zawsze najtrudniejszy problem. Tu przedewszystkiem wypadnie nam postępować z całą ostrożnością, liczyć się z rzeczywistością i uwzględnić wszelkie dopuszczalne możliwości.

Zanim jednak przystąpimy do właściwej rzeczy, pragniemy zwrócić uwagę na jeden, wcale nie małoznaczny szczegół.

Ludzi, którzy przy całej zacności osobistej i szlachetności pobudek uznają za potrzebną ustawę, dozwalającą na rozwody, skłania do tego pragnienie ulżenia cierpiącym i wyswobodzenia ich z nieznośnego jarzma. Widzą bowiem, że niejedne z pośród krewnych i znajomych osób zostały zawiedzione w oczekiwaniach i znajdują się w opłakanych stosunkach domowych z powodu niegodziwości drugiego z małżonków, a wszelkie usiłowania złagodzenia ich losu okazały się bezskuteczne. Wiedzą również, że w podobnem położeniu znajduje się wielu innych i dochodzą do przekonania, że ustawa rozwodowa byłaby pożądaną jako jedyny sposób wyjścia z rozpaczliwego położenia. Tysiące podobnych głosów, odzywających się z różnych stron i krajów, utwierdza ich w tem mniemaniu, gdyż żywią to najgłębsze przekonanie, że i niemi kieruje ta sama wzniosła pobudka ludzkości i miłosierdzia.

A tymczasem czy tak jest? Czy pod pięknym pozorem nie kryją się przypadkiem niższe motywy?

Kiedy przed chwilą mówiliśmy o ludziach, którzy wykrzywili ideę małżeństwa, zamieniając je w praktyce na instytucję wyzysku i użycia, punktem wyjścia było dla nas pragnienie szczęścia, które niewygasłym żarem tli się zawsze w duszy człowieka, by wybuchnąć od czasu do czasu silniejszym płomieniem. Obecnie przypatrzmy się bliżej tej stronie, w którą ów ogień, jeżeli nie najczęściej, to w każdym razie najgwałtowniej się zwraca. W niej znajdziemy odpowiedź na powyższe pytanie.

Krótkie to zastanowienie sprowadzi nas wprawdzie ponownie do kategorji jednostek dopiero wspomnianych, pragniemy je jednak zamieścić ze względu na ścisłą łączność z obecnym tematem. Zwróci bowiem naszą uwagę na czynnik, który w życiu ludzkiem odgrywa dominującą rolę i z którego potęgą musimy się liczyć wszędzie, a zwłaszcza przy kwestji małżeństwa. Uprzytomnienie sobie jego znaczenia i wpływu przyczyni się w wysokim stopniu do wyrobienia jasnego i realnego poglądu w tej materji.

* * *

Na jakiem tle rozgrywa się głównie akt małżeństwa? — Na tle wzajemnej miłości.

Lecz miłość niedarmo uznaną została za największą potęgę na ziemi. Nie wchodzimy obecnie w badanie jej istoty, czynników i właściwości; chodzi nam tylko o zwrócenie uwagi na tytaniczną siłę, z jaką działa na człowieka, na despotyzm, z jakim sprawuje swe rządy nad ludzkością. Żadna inna namiętność nie przedstawia tylu stron ponętnych i nie jest tak gwałtowną, jak miłość wynikająca z pociągu, który budzi się między mężczyzną a kobietą; żadna nie zdobywa się na takie czyny, nie odważa na takie ofiary.

Najidealniejsze uczucia i najniższe żądze, najświetniejsze dzieła i najohydniejsze zbrodnie mają w niej swe źródło, czerpiąc z niego zarówno pierwszą podnietę, jak ową niepohamowaną siłę, jaką rozwija w swym zaborczym pochodzie. Majątek i stanowisko, zdrowie, wolność i życie składa się dla niej w ofierze — rzadko zaś bywa odwrotnie. Owszem, jeżeli chcemy być ścisłymi, musimy powiedzieć, że nigdy nie dzieje się przeciwnie. Bo wtedy tylko sprzedaje się albo kupuje miłość, kiedy się jej nie posiada, a więc kiedy ona właściwie nie staje do współzawodnictwa. Ale gdzie się rzeczywiście zjawi, tam panuje samowładnie, niepodzielnie, jedyna. Sama nawet najwyższa potęga przyrodzona, jaką jest wola ludzka, drży wtedy w swych posadach i czuje nieraz z trwogą, że wnet może ulegnie przemocy. Trzeba wielkiego wyrobienia wewnętrznego, trzeba zwyczajnie dopiero tej niewzruszonej ostoji, jaką jest prawo Boże i łaska, by wesprzeć nadwątlone siły i osadzić rozhukany żywioł na miejscu.

To panowanie miłości nie jest bynajmniej zjawiskiem wyjątkowem, chorobliwem, ale ogólnem, wynikającem ze samej istoty natury ludzkiej. U jednych głos ten odezwie się silniej, u drugich słabiej, ale słyszymy go wszędzie. Nie tem się różni człowiek moralny, czysty od złego, że nie odczuwa w sobie tej namiętności, ale tem, że panuje nad nią i kieruje według zasad etyki i wiary. Kto potrafi ją opanować, ten wychodzi zwycięsko, kto się na to nie zdobędzie, upada marnie. A panowanie to nie łatwe, wymagające męstwa, wobec którego blednie nieraz bohaterstwo na polu walki. Krótka poprzednia wzmianka o potędze miłości, wyrosłej na podłożu popędu płciowego, daje tylko słaby obraz zaciekłości zapasów, jakie staczać musi nieraz człowiek uczciwy w głębi własnego serca.

Lecz czy wielu ludzi stać na takie męstwo?

Podobno nie. Do niezawodnej pomocy, jaką jest łaska Boża, wielu się nie zwraca. Charakterów zaś wyrobionych spotykamy z postępem czasu tem mniej, im więcej się o nich rozprawia i pisze. Nie mówiąc już o przestępstwach, będących obecnie na porządku dziennym, słyszymy co pewien czas o nowych skandalicznych zajściach, które kompromitują osoby, cieszące się dotąd nieposzlakowaną sławą. Czy ludzie ci, pozbawieni wiary lub woli, niezdolni do skutecznego oparcia się słabszej pokusie, potrafią stawić czoło w daleko trudniejszej sytuacji? Cóż przeciwstawią potędze namiętności?

To też upadają, a każdy, kto śledzi bieg stosunków współczesnych, ze smutkiem widzi, jak poziom moralności prywatnej i publicznej szybko się obniża. Świadectwem tego jest literatura powieściowa i czasopisma nawet codzienne, teatry i kina, wystawy obrazów i okna sklepowe, restauracje i kawiarnie, parki i ulice. Prawda, że nie każdy to zauważy, lecz trzeba dopiero zajrzeć głębiej, trzeba czytać książki i fachowe pisma lekarskie, społeczne i statystyczne, obejmujące specjalnie dziedzinę moralności; ze zdumieniem widzimy tam, jak ludzie przyzwyczajeni od lat do badania zgnilizny duchowej, załamują niemal ręce nad tem, co się dzisiaj dzieje.

Oczywiście zło to nie powstało nagle, istniało ono oddawna. Lecz przedtem kryło się przynajmniej, mając wyciśnięte na czole piętno hańby, ścigane przez władze i opinję publiczną. A dziś? Dziś stało się czemś powszedniem. Są to w niemałej części także smutne owoce wojny, która mobilizując miljony mężczyzn dla celów obronnych czy zdobywczych, mimowoli wystawiła drugą armję na usługi prostytucji, która raz zawojowawszy Europę, nie myśli puszczać z rąk łupu i z najskrajniejszym imperjalizmem, wobec którego demokracja całego świata okazuje się bezsilną, zapuszcza w dalszym ciągu swe zagony po nowe ofiary. A ofiar tych było wiele, począwszy od ludzi prostych a skończywszy na najwyżej postawionych, o czem wtajemniczeni wiedzą dobrze.

Powróćmy teraz do naszej kwestji. Zbierzmy te miljony ludzi zdeprawowanych, jeżeli jeszcze nie zupełnie, to w każdym razie znajdujących się już na drodze, z której trudno im będzie zawrócić, i zapytajmy: jakie może być ich stanowisko względem prawa rozwodowego?

Czy propozycję jego odrzucą z oburzeniem i oddadzą swe głosy za nierozerwalnością węzła małżeńskiego? Tego chyba nikt nie po-

wie; trzebaby więcej niż naiwności, by ich posądzić o takie zamiary. Trwałego związku może pragnąć tylko człowiek, mający wyższe o nim pojęcie, widzący w nim nietylko jedność ciała, ale również ducha, uznający wysoki jego cel. Żądać go może tylko człowiek o głębokich zasadach moralnych, świadomy zadania i odpowiedzialności swej przed Bogiem i ludźmi. Lecz żadnego z tych czynników nie będziemy przecież szukali u ludzi upadłych moralnie, duchowo zaniedbanych, skończonych materjalistów w życiu!

Jakże oni mogą żądać nierozerwalności, kiedy ta krępowałaby ich swobodę, narażała na różne ciężary i przykrości, nakładała szereg obowiązków? Ludzie ci, jeśli mają być szczerymi, głosować będą wszyscy zwartą masą za ustawą rozwodową, a głosować będą w imię tych samych egoistycznych, brudnych pobudek, które cechują ich myśli, uczucia i czyny! Takie stanowisko wypływa z całą siłą logicznej konsekwencji, z całą koniecznością ich zepsutej natury.

Mamy zatem sporą falangę ludzi, upominających się namiętnie o wprowadzenie prawa rozwodowego, a podszywających niecne swe zamiary pod różne szlachetne pozory, podobnie jak ów handlarz oszust, który pod hasłem uczciwości i popierania przemysłu swojskiego szuka zbytu u łatwowiernych nabywców.

Wobec tego pytamy teraz ludzi uczciwych: czy chcą się łączyć z takiem towarzystwem? — Z pewnością nie.

A przecież na tem nie koniec. Do grona osób już podupadłych doliczyć musimy drugą pokaźną grupę, przygotowującą się dopiero i stojącą czasowo w rezerwie. Wynijdzie ona z łona ludzi słabych, podatnych na zły przykład; wynijdzie zwłaszcza z pośród młodej generacji, która nie zabezpieczona należycie wchłania w siebie trujące miazmaty środowiska i dorasta, nosząc w swym organiźmie zarodki zepsucia. I nie sądźmy, żeby ich było mało. Najlepszym nawet rodzicom trudno jest obecnie ustrzedz dziecko przed skażeniem, a cóż dopiero dziać się musi w tylu domach, pozbawionych tej troskliwej opieki. Młodzież, wyrosła w podobnych warunkach, naturalnym biegiem rzeczy stanowić będzie materjał lichy, skłonny do złego, który przejdzie przy pierwszej okazji do obozu wyznawców etyki ciała i zmysłów. A wtedy i oni żądać będą konsekwentnie prawa rozwodowego.

Krótkie to zastanowienie się nad kwestją miłości i jej wpływu pozwala nam udzielić odpowiedzi na postawione przedtem pytanie. Możemy zatem z całą pewnością powiedzieć, że w ś r ó d o s ó b, ż ą-

dających zgodnie wprowadzenia ustawy o rozwodach, trzeba rozróżnić dwie grupy, kierowane zupełnie odmiennemi pobudkami: jedni z nich, to ludzie dobrzy, którzy w rozwodzie widzą jedyne lekarstwo na usunięcie tylu nieszczęść małżeńskich i dlatego tylko go żądają. Drudzy, to ludzie upadli moralnie, którym nierozerwalność związku stoi na przeszkodzie w bezgranicznej swobodzie używania — a takich jest niemało. Już samo to zestawienie daje wiele do myślenia.

Że zbyteczną jest rzeczą wdawać się w jakiekolwiek rozprawy z członkami drugiej grupy, pojmuje każdy. Jednostki, które stoczyły się z poziomu duchowego, na jakim powinien stać człowiek, nie są dostępne dla wyższych praw i właściwych obowiązków; możemy i musimy je więc wysunąć za nawias. Dalszy ciąg naszego rozważania zwracać się będzie przedewszystkiem do ludzi zdrowych zasad i dobrej woli.

Przejdźmy zatem do właściwego zagadnienia istniejących nieszczęść małżeńskich. Przypatrzmy się jak one przedstawiają się w rzeczywistości, o ile rozwód mógłby im zapobiedz i jakie wyniki okazały się tam, gdzie go prawnie-państwowo zaprowadzono.

* * *

Przykrości i zmartwienia — któż ich nie ma na ziemi?

Nie zabezpiecza przed niemi zarówno najświetniejsze stanowisko i powodzenie materjalne, jak najsilniejsze węzły przyjaźni i miłości. Stare przysłowie: »Kto się lubi, ten się czubi« jest głęboko uzasadnione i samem swem istnieniem stwierdza, że bardziej zażyły stosunek nie tylko nie wyklucza ale owszem prowadzi do starć i sporów. Przyczyna tego jasna — jest nią niedoskonałość naszej natury. Jak długo przestajemy z drugimi zdaleka, zdołamy jeszcze ukryć wzajemnie własne wady i przedstawiamy się dlatego w lepszem świetle. Ale skoro między nami nastanie bliższa i dłużej trwająca styczność, zaczynamy się mniej krępować, a wtedy niepodobieństwem jest, aby różne ujemne strony usposobienia nie wyszły na jaw i nie doprowadziły od czasu do czasu do pewnych nieporozumień.

W życiu małżeńskiem, które pociąga za sobą najdalej idącą wspólność pożycia, muszą więc one z konieczności zdarzać się tem częściej.

Lęcz nie o nie tu chodzi. — Zajścia takie należą do zjawisk zwyczajnych, przemijających, które przy wzajemnej wyrozumiałości nie są w stanie osłabić miłości, owszem mogą się nawet przyczynić do jej pogłębienia. Uwagę naszą mają zająć obecnie fakta zupełnie odmiennej natury, których niepodobna usprawiedliwić. Mamy tu na myśli krzyczące nadużycia ze strony męża lub żony, połączone z ciężką krzywdą pozostałej strony, które prowadzą do stosunku wprost wrogiego i nieraz niemożliwego do zniesienia; do stosunku, który nie tylko stoi w diametralnem przeciwieństwie do ideału małżeństwa, ale zdaje się przypominać czasy barbarzyństwa i niewolnictwa.

Pomijamy już związki, w których żona, odgrywając rolę Xantyppy, zatruwa życie mężowi od rana do wieczora, zachowanie się bowiem podobne można najczęściej zwalić na karb braku energji ze strony męża. Zdarzają się jednak gorsze wypadki, wobec których nawet najenergiczniejszy mężczyzna bywa niekiedy bezsilnym. Jeżeli żona zaniedbuje dzieci i źle się z niemi obchodzi, okrada męża, lub jeśli mu się sprzeniewierza w dochowaniu wierności, wtedy położenie jego zasługuje prawdziwie na politowanie.

Bez porównania jednak opłakańszym jest los nieszczęśliwej żony. Mężczyzna, który w domu nie znajduje pociechy, poszuka jej łatwiej u obcych; dla kobiety trudniejsza to sprawa. Powtóre, kobieta może się stać zjadliwą, nieznośną, ale brutalnym potrafi być tylko mężczyzna, a los jego żony jest wtedy rzeczywiście opłakanym. I im jest lepszą, wrażliwszą, im bardziej kocha dzieci, tem bezlitośniej miecz cierpienia rani jej serce.

Nieraz już w krótkim czasie po słodkich wynurzeniach miłości i zaręczeniach wierności, słuchać musi młoda małżonka ostatnich przezwisk i przekleństw; miejsce niedawnych bukietów i uścisków zajmuje targanie za włosy i bicie, niekiedy nawet krwawe. Dodajmy do tego bardzo częste, zwłaszcza u ludzi prostych, zjawisko, że mąż nie daje żonie na utrzymanie rodziny, a żąda od niej wszystkiego. Biedna musi więc pracować w domu, wychowywać dzieci i jeszcze zarabiać na życie własne i swego kata; są to fakta wcale nie wyjątkowe, np. u robotników. Te zaś kobiety, które otrzymują potrzebne pieniądze, znają znowu innego rodzaju udręki. Napracowały się ciężko od rana, należy się im chwila wypoczynku i uznanie — lecz daremnieby tego oczekiwały. Mąż wraca chmurny, rzuca obiad, bo »niedobry«, skrzyczy żonę za niedbalstwo, trzaśnie drzwiami i idzie gdzieindziej się pocieszyć«. I tak dzień za dniem; u niektórych zda-

rza się to rzadziej, ale u wielu jest tylko wykrętnym wybiegiem, aby mieć pozór do opuszczenia domu.

Obok powyższych wypadków, tak przykrych, a jednak mogących jeszcze otrzymać miano »pospolitszych«, zachodzą inne gorsze. Iluż to mężów i ojców oddaje się nałogowemu pijaństwu? Utrata mienia, wstyd wobec sąsiadów, a w domu nieustanne niepokoje i awantury, to codzienny chleb ich nieszczęśliwych żon. Gdzieidziej zaś znęcanie się nad dziećmi, niedochowanie wierności małżeńskiej itd.

Słaby to tylko obraz rzeczywistości. Żaden język, żadne pióro nie jest w stanie oddać tego morza cierpień i ponurej tragedji życia, która jest udziałem tylu małżonków, a przedewszystkiem kobiet. Trzebaby przeniknąć dopiero ich serce i znaleźć się w niem nie na chwilę tylko, ale stale, jak dzień za dniem upływa im na znoszeniu udręczeń obecnych, wspomnieniu minionych i oczekiwaniu przyszłych; udręczeń tem boleśniejszych, im szlachetniejsza ich natura, im bardziej rażący kontrast stanowią one do złotych snów młodości, do czarownych chwil pierwszej miłości.

I wobec tego nie dziwimy się, że wielu ludzi tak usilnie żąda wprowadzenia ustawy rozwodowej. Nie dziwimy się — powtarzam — ponieważ wiemy dobrze, że czynią oni to w najlepszej wierze dlatego tylko, iż widzą w niej jedyne wyjście z rozpaczliwego położenia.

Lecz czy rzeczywiście tak jest?

Czy istotnie niema tu innego wyjścia i czy rozwód, a właściwie ogólne prawo, dozwalające na niego, przyniesie prawdziwy ratunek? — Zastanówmy się nad tem trochę. Jesteśmy najmocniej przekonani, że nikt z ludzi, rozumnie na rzecz patrzących, nie odmówi słuszności temu żądaniu, gdyż wie dobrze, że rozwód jest jednak czemś strasznem w życiu, bo zerwaniem najściślejszej jedności, jaka istnieje w społeczności ludzkiej, złamaniem najpiękniejszego kwiatu, jaki rozwija się w życiu człowieka; bo miłość może wprawdzie zakwitnąć ponownie, lecz pęd jej już nigdy nie dorówna świetnością pierwszemu.

(Dok. nast.)

Ks. Stanisław Podoleński.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Książki treści religijnej.

Ks. Piotr Mańkowski, biskup kamieniecki: Z n a m i B ó g. Rzecz o Eucharystji. Poznań-Warszawa, 1919. Nakładem księgarni św. Wojciecha. Str. VII + 284.

Czem jest w strukturze katolickiej wiary Tajemnica Ołtarza, rozumiał doskonale Rafael, kiedy malował swoją nieśmiertelną »Dysputę«. Eucharystja to wiecznie płonące ognisko, siejące światło i ciepło na drogi Kościoła, to ogniwo jednoczące niebo z ziemią. Czemu? Bo Eucharystja to Chrystus Bóg żyjący pośród nas, prawdziwy Emmanuel — Z n a m i B ó g. Mimo, że tak doniosła jest owa prawda, przecież tysiące nawet z pośród wierzących przechodzą obok niej z zimną obojętnością, której źródłem — ignorancja. Trzebaby więc pogłębić wiarę w tę Tajemnicę, nadzieję w niej pokładaną ożywić, miłość rozegrzać, a z wiary wyciągnąć wnioski, któreby życia czyny opromieniły.

Oto cel, jaki przyświecał przy pisaniu książki dostojnemu autorowi, znanemu już zaszczytnie w naszem religijnem piśmiennictwie przez podanie duchowieństwu podręczników do rozmyślań: »Oto Matka twoja«, »Tu es Petrus«, »Vas electionis«.

Obecne dziełko zwraca się do świeckich, zwłaszcza do inteligencji, choć i tutaj nie brak uwag, skierowanych do kapłanów (120, 231). Rozrzucone po różnych dziełach, często niedostępnych dla świeckiego inteligenta, zagadnienia egzegetyczne, liturgiczne, dogmatyczne, moralne, ascetyczne i z prawa kanonicznego zostały zebrane i ujęte w organiczną całość, rozłożoną na 14 rozdziałów. Każdy z nich logicznie splata się z poprzedniemi i tworzy w całokształcie dziwnie symmetryczną budowę.

Zaraz na wstępie słyszymy zapowiedź, witamy »przedświt daru Bożego« (r. I), którego wypełnienie otrzymujemy »przy Ostatniej Wieczerzy« (r. II). Odtąd już przez wieki mocą słów konsekracji, jak o tem

zapewnia nas objawienie, odbywa się nie podlegające żadnej kontroli zmysłów przeistoczenie chleba w Ciało, a wina w Krew Zbawcy — prawdziwa Tajemnica wiary (r. III): zamieszkał z nami Bóg i Pan, przed którego obliczem należy składać najgłębszy hołd czci całej naszej istoty (r. IV).

Eucharystja jest także ofiarą, w której pokładamy ufność naszą, słowem jest Tajemnicą nadziei (r. V), ofiarą i ofiarnikiem w niej — Chrystus; toteż padłszy na kolana »u stóp ołtarza« spodziewamy się wszystko przez Niego wyjednać (r. VI). A jakże podnosi na duchu, jakim głębokim tchnie symbolizmem uroczysta msza św., gdy się rozwinie we wspaniałą »służbę Bożą«! (r. VII). Nic więc dziwnego, że Kościół nakazuje wiernym, aby w pewne oznaczone dni uczestniczyli w tem najzwnioślejszem uwielbieniu Ojca niebieskiego (r. VIII).

Dopełnieniem ofiary — komunja św., owa niedościgła Tajemnica miłości Chrystusa ku nam, mocą której my w Nim żyjemy (r. IX). Któżby na miłość nie odpowiedział miłością, jak najczystszem przyjmując Go sercem, bo »Święte — świętym« (r. X); któżby stronił od tej uczty, jeśli zaprasza nas do niej i »głos Chrystusa«, w niektórych warunkach prawie przymusza »głos Kościoła« (r. XI)? Owszem, jeśli chcemy zadośćuczynić gorącemu pragnieniu Jezusowego Serca, komunja św. winna być »naszym chlebem powszednim« (r. XII) od lat rozeznania zła i dobra, bo Chrystus to przedewszystkiem »niewinnych Przyjaciel i Obrońca« (r. XIII).

Słusznie więc hymn wiary, nadziei i miłości śpiewają mieszkającemu z nami Bogu jednostki, rodziny i narody przez uroczyste msze św. i teoforyczne procesje, przez generalne komunje św. i kongresy eucharystyczne. A cóż tego kultu syntezą? Jedna myśl, jedno hasło (r. XIV), rzucone przed kilku jeszcze wiekami:

Na co możesz, waż się śmiało:
Nie nasycisz się pochwałą,
Żaden hołd dość wielki dlań.
(Św. Tomasz z Akwinu w przekł. autora).

Nawet ten pobieżnie naszkicowany przegląd rozdziałów dowodzi, że omawiane dzieło porusza prawie wszystkie ważniejsze kwestje, dotyczące Eucharystji, tak, że może ono stanowić dla świeckich jakby popularną summę tych zagadnień, na jaką oddawna czekała polska inteligencja. Wartość książki podnosi i ta okoliczność, że autor podsłuchał pytania dnia dzisiejszego, na naszej ziemi rozbrzmiewające,

a odpowiedź dał na nie jasną i zasadniczą, opartą na sumiennej i rzeczowej egzegezie Pisma św. czy najnowszego prawa kościelnego, na wskazaniach probablizmu, kroczącego drogą umiarkowaną, przyjętą przez moralistów. Z żalem odwracamy ostatnią kartkę, bo z każdej oprócz światła wieje jakiś ciepły, nieuchwytny wdzięk szlachetnej a wzniosłej prostoty stylu, wolnego od tanich nastrojów i roztkliwiań, lub błyskotliwych aforyzmów.

Wspomniana prostota i akcenty prawdziwej serdeczności pociągają również w przekładzie eucharystycznych hymnów św. Tomasza z Akwinu i pasyjnych Fortunata.

Ks. J. Krzyszkowski.

Ks. arcybiskup Teodorowicz: »Mnie żyć jest Chrystus«. Poznań, 1919, nakł. księg. św. Wojciecha, str. 260.

Literatura nasza religijna wzbogaconą została nową a cenną książką. Samo nazwisko autora, otoczone czcią całej Polski, mówi z góry o wartości dzieła, zapowiadając głęboką treść i wytworną formę. Ale właśnie sam autor nie chciałby na pewne, aby ocena jego książki na tem się zatrzymała. Pragnie on, aby dusza czytelnika poszła w głąb szkicowo rzucanych jej myśli, aby »poszła pragnieniem na spotkanie« ich — więcej nawet: na spotkanie Chrystusa, bo duchem Jego owiane są te medytacje na temat ewangelji.

»Wstań — podnieś się — po nad siebie i od siebie — ku Niemu«. Oto wezwanie do dusz. A gdy wyjdą pragnieniem na to spotkanie z Chrystusem, podniesione medytacją ponad siebie, bliższe Jezusa, uczyni się w nich »błogosławiona cisza pracująca. Błogosławiona w swej martwocie, błogosławiona w swem działaniu. Błogosławiona w swem życiu i błogosławiona w umieraniu sobie i śmierci«.

»Ucisz się, duszo moja! Wśród ruchu życia z zewnątrz, wśród ruchu życia w sobie, ucisz się i nadsłuchuj na głos Pana. Umrzyj sobie, a nie będziesz już siebie słuchała, ale Jego!« Bądź więc tą glebą, która ziarno przyjmuje w siebie«. Temi słowami kończy się ten zbiór rozmyślań — szkiców, jak je w przedmowie nazywa dostojny autor.

Szkicowość ta, poza głęboką i podniosłą treścią, stanowi wielki urok tych kart i może właśnie największy z nich dla dusz pożytek. Urok, bo czytający odnosi wrażenie bezpośredniego zetknięcia z duszą autora, którego myśli chwyta w locie, zaledwie w szatę słów odziane i dlatego tak bardzo udochowione, tak bardzo jeszcze bliskie źródła swego natchnienia, tak nieprzyćmione, nie umniejszone ziemską formą

wykończenia książkowego. Tej formy jest tam właśnie tyle, ile trzeba, aby myśl stała się słowem i przez nie uzyskała wstęp do innych dusz. A pożytek — bo dusza, pragnąca podnieść się przez medytację, znajduje tu nie gotowe rozdziały, które tylko z pobożnem skupieniem czytać będzie, ale myśli tak lotne, iż ją jak skrzydła w górę poniosą i pobudzą do snucia z nich dla siebie, »a ponad siebie — ku Niemu«.

Szkicowość tych medytacyj sprawi, że dusze więcej nad niemi pracować będą, a tem samem samodzielniej, pełniej »rosnąć będą w Panu«. Z wdzięcznością winien przyjąć czytający katolicki ogół tę pracę dostojnego autora, a z upragnieniem czekać na zapowiedziany w przyszłości jej ciąg dalszy, uważając, że jak cała apostolska, pisarska czy publiczna działalność Jego, jest to owo »światło i sól«, jakie On »z nadwyżką wraca społeczeństwu«.

X. X.

Ks. Jan Rostworowski T. J.: Obrazki z życia Zbawiciela. Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy. Kraków, 1918.

Ileż zapisano już dotąd kart na podstawie Ewangelji, ile czerpano z tego wiecznie bijącego, żywego źródła! Mijały lata i stulecia, a dusza zawsze spragniona tego napoju, który daje żywot. Biorą go z opowieści ewangelicznych i z tradycyj pierwszych wieków chrześcijaństwa i przetwarzają na własność swoją. I dlatego takie zawsze nowe te obrazy z życia Zbawiciela, bo w każdej poszczególnej duszy załamują się jak promienie w pryzmacie, wywołując w każdej właściwe jej uczucia i dając zabarwienie odrębne, choć treść niezmienna i wiekuiście ta sama.

»Obrazki z życia Zbawiciela«, napisane przez ks. Jana Rostworowskiego z wielką miłością i prostotą, stanowią nowy dorobek naszego religijnego piśmiennictwa. Po ich przeczytaniu zdaje się duszę łączyć z Chrystusem jakiś bliższy, poufny, serdeczniejszy węzeł; klęka ona ze czcią przed Zbawcą swoim; wiedziona przez autora, zagłębia się w życie Syna człowieczego i dzieli Jego cierpienia. Odsłaniają się przed nią jakby nieznane przedtem szczegóły, budzi się może nieodczuwane dawniej tkliwe współczucie, potęguje się miłość, wzmaga się pokora, która z zawarciem każdego rozdziału rzuca duszą do stóp Chrystusowych. »Słowo ciałem się stało« i mieszka już między nami. Mieszka w naszej pamięci, mieszka w naszych myślach, zniża się aż do naszej wyobraźni. Snują się przed nami obrazy cudownej nocy betleemskiej, rozśpiewanej chórami anielskiemi — idziemy do stajenki z prostym hołdem pasterzy, — wiedzie nas z Mędrcami płonąca na wschodniem niebie gwiazda.

Towarzyszymy Św. Rodzinie na egipskie wygnanie, wracamy z Nią do cichego Nazaretu. Pióro autora barwnie rysuje przyrodę Wschodu, czy to odrębny, majestatyczny urok pustyni, czy powab zielonej Galileji, czy słodki wdzięk kołyszących się w księżycowej poświacie fal jeziora Genezaret, lub grozę piętrzących się czasu burzy bałwanów. A na tem tle postać Pana, jasna, majestatyczna, nachylająca się ku ziemi i jej bólom. Bóg — a nie usuwa się od ludzkich powinności: staje dziecięciem w świątyni w ramionach Symeona, poddaje święte czoło pod wody chrztu z rąk Jana, »na którego duszę spłynął obficie zdrój łask i oświeceń, że stał jakby w zachwycie«...

Patrzmy teraz na Chrystusa, nauczającego rzesze nad jeziorem, z łodzi Piotrowej, albo na górze, skąd płynęło na świat osiem błogosławieństw. Wybiera Pan ucznie swoje z pomiędzy prostaczków, a oni rzucają bez namysłu wszystko, gdy powie im: »Pójdź za mną«. Rozszalała się burza na morzu Galilejskiem, zdaje się tonąć łódź z Apostołami — a Chrystus śpi... aż zbudzony przez nich z błaganiem o ratunek, wyciąga dłoń wszechmocną i burza pierzcha jak sen, wiatr i morze są Mu posłuszne. Trudno się nam rozstać z ulubionem przez Ewangelje jeziorem Genezaret: widzimy Zbawiciela, dającego strudzonym uczniom obfity połów — widzimy, gdy w blasku posuwa się po fali wodnej ze słodkiem do nich słowem: »Jamci jest, nie trwóżcie się«. Ogarnia nas święty lęk, gdy z Piotrem i Janem idziemy z Nim na górę Tabor, »gdy mrok ogarniał już dolinę, a na niebie dogasała złota łuna zachodu«. I zapadła noc, a oczom uczniów »ukazał się Pan w kręgu świetlanym, z oczyma jak gwiazdy, z obliczem płonącem jak słońce — król nieśmiertelny wieków. A uczniowie pili ten obraz oczyma i sercem, dusze ich zalewała fala szczęścia«. I chodził Jezus po ziemi judzkiej i galilejskiej, uzdrawiając chromych i ślepych, trędowatych i opętanych — aż stajemy wobec tego cudu, jakiem było wskrzeszenie Łazarza, gdzie zeszło się tkliwe ludzkie uczucie przyjaźni z Bożą wszechmocą, która jednem potężnem: »Wstań!« wyprowadziła zmarłego od czterech dni w świat żywych!

Zaledwie śmie dotknąć pióro nieziemskiego obrazu Ostatniej Wieczerzy i ustanowienia Eucharystji... »To czyńcie na pamiątkę moją«. — W wieczerniku zrobiła się cisza. Po pierwszej na świecie Mszy św. pierwsi kapłani nowego przymierza trwali w milczącem skupieniu — zrodził się w tej chwili Kościół katolicki na górze Syjon«. A potem obraz Ogrojca — nocna świeżość i cisza i samotna modlitwa Chrystusa, pełna męki, poprzedzającej tę zbliżającą się już krwawą, śmiertelną.

»Smętna jest dusza moja aż do śmierci«. Przeciągają przed oczyma Jezusa wszystkie straszliwe etapy Jego ofiary: męczarnie fizyczne, opuszczenie duchowe, potem staje przed Nim »tajemnica nieprawości — grzech... Grzechy wszystkich ludzi i narodów — te, które już były i te, które będą się pełnić do końca świata«... »Poprzez wszystkie wieki przedstawiły Mu się dzieje świata i dzieje dusz ludzkich w jednem widzeniu ogromnem, a jasnem«... I ujrzał, dla ilu dusz męka Jego będzie daremną, ile spotka odstępstw, ile zdrad do końca świata... Zaczęło się konanie... aż z umęczonych ust Boga-człowieka wypłynęły słowa: »Bądź wola Twoja!«

Obraz cierpień Chrystusowych w Ogrojcu jest jednym z najpiękniejszych w tym zbiorze; cechuje go wielkie pogłębienie, wielka podniosłość, która unosi duszę czytelnika od małości ziemskich i przygotowuje do wnikania w sceny Męki Pańskiej. Idzie za umęczonym Chrystusem od Annasza do Kaifasza i Piłata — ucisza się przy Nim w ciemnicy »by razem z Nim modlić się i smucić i cierpieć... Biegła tam modlitwa Jego przez miejsca i czasy, pochylała się miłosiernie nad grzesznymi, zbliżała się do cierpiących i kuszonych, stawała nad łożem konających, spadała rosą łaski na wszystkie nędze synów ludzkich«. Upada dusza do stóp Chrystusowych u słupa kaźni i z Krwi Jego bierze odrodzenie. Idzie za Nim na Golgotę — jak Cyreneusz radaby Mu pomóc w dźwiganiu krzyża — aż pojmie, że uczyni to, niosąc z poddaniem krzyż swój własny.

»Pan dopijał kielich swój do dna, słońce zagasło, mrok ogarnął ziemię... od Krzyża Pańskiego zdawała się wiać groza«... Kończyło się wszystko, ale jeszcze spłynęło z Krzyża przebaczenie na głowę dobrego łotra i testament miłości dla ludzi w słowach: »Oto Syn Twój... Oto Matka Twoja!«... Aż wstrząsnął ziemią okrzyk: »Wykonało się!«

Miłujące dłonie złożyły Ciało Pana do grobu — omywały je łzy gorące Matki Najśw., potem uczyniła się wielka cisza na zewnątrz, a wewnątrz ciemnej jaskini anielskie hufce wielbiły Ciało Pańskie. »Dusza Chrystusowa z orszakiem duchów, wybawionych z otchłani, weszła do grobu i wnikła w Ciało jak promień światła«...

I stanął Zmartwychwstały w uwielbionem ciele cały promieniejący, i z orszakiem swoim popłynął w dal... Matka Najśw. trwała na modlitwie w domu swoim na górze Syjon, pełna smutku, ale i wiary w słowa Syna: »Smutek wasz w radość się zamieni«. Aż oto fala jasności zalała izdebkę, a wśród niej stanął Zwycięzca śmierci w otoczeniu rzeszy błogosławionych, śpiewających pieśń triumfu: »Królowo niebieska, wesel się!«

Poranek niedzielny — u brzasku dnia święte niewiasty u grobu Zbawiciela — grób pusty... smutek, zamieniony w radość, gdy oczom ich ukazuje się anioł, zwiastujący, »iż zmartwychwstał, jako powiedział«. I cudowne widzenie Marji i Magdaleny, przypadającej do stóp Pana — i zjawienie się Jego innym niewiastom. A potem cudowna scena przebaczenia Piotrowi, zakończona słowami: »Idź, potwierdzaj bracię twoją«. »I poszedł Piotr, zamieniony teraz w opokę«.

Pielgrzymka do Emaus i spotkanie uczniów ze Zbawicielem — zjawienie się Pana w wieczerniku ze słowami: »Pokój wam! jam jest!« »A uczniowie zawiśli u Jego ust«... I jeszcze raz nad morzem galilejskiem zjawienie się Pana i cudowne założenie Kościoła — odtąd łódź Piotrowa niesie go w sobie. Nakoniec wspaniały obraz na górze Oliwnej. »Pan rozłożył ręce, jak gdyby obejmował i błogosławił świat; z ust Jego popłynęły ostatnie nauki i obietnica zesłania Ducha Pocieszyciela«. »Modlił się Pan za ziemię, którą opuszczał i za wszystkie dusze«. A potem zaczął się wznosić w górę i zniknął w świetlanym obłoku, tam, »gdzie już nie sięga żadne śmiertelne oko«. Pozostali na ziemi uczniowie »ujrzeli jasno, że wszystko, co ziemskie — dym i mgła, a jedno jest tylko wielkie: służyć Panu...«

Książka ks. Rostworowskiego winna się znaleźć w każdym katolickim polskim domu, ku podniesieniu i zagrzaniu serc — a słodycz, która z tych kart spływać w nie będzie, niech wynagrodzi czcigodnemu autorowi gorycz wygnania, podczas którego powstały.

Helena Skolimowska.

O kulturze naszej i obcej.

Stanisław Kot: Andrzej Frycz Modrzewski. Studjum z dziejów kultury polskiej w. XVI. Kraków 1919. 8, str. 313 + VIII.

Modrzewski należy do liczby tych pisarzy, którzy mimo najlepszą może wolę, uwiedzeni pozornie słusznemi hasłami przez jednostronne nieopatrzne badania religijnych problemów, stanęli w opozycji nietylko do mniej lub więcej jaskrawych kapłańskich braków i nadużyć, ale do samej nauki Kościoła, żądając w niej zmian zasadniczych, rzekomo ze względu na »czyste słowo Boże«.

Jakkolwiek ostateczne konkluzje, do jakich Modrzewski w wywodach swoich doszedł, znamionuje krańcowy niemal protestancki radykalizm, jednak w metodzie badania i taktyce, której trzymał się on

w swej publicystyczno-reformatorskiej działalności uderza umiarkowanie i pewna powściągliwość. Te właściwości charakteru i pióra łatwo mu jednają, zwłaszcza w naszych czasach, w liberalnych kołach szerokie grono sympatyków i wielbicieli.

Do takich gorących wielbicieli Frycza należy bezsprzecznie Dr. Stanisław Kot, autor najnowszej o nim pracy w języku naszym. Na tle zdarzeń z życia Modrzewskiego i jego religijno-publicystycznej działalności Dr. K. kreśli charakterystykę człowieka, akcentując przytem silnie te szlachetne rysy, które nie mogą nie budzić sympatji dla osoby błądzącego nawet myśliciela. P. Kot jednak nie sądzi, by Modrzewski mylił się w swoich religijnych wywodach. Choć pisze tylko historyczne studjum, które nie wymagało zajęcia jakiegoś stanowiska wobec nowatorskich, nawskróś dogmatycznych po większej części, teoryj Frycza, wkłada w nie przecie tyle elementu subjektywnego, że nie trudno dostrzec, iż nie tylko sympatjami swemi stoi po stronie Modrzewskiego jako szlachetnego człowieka i utalentowanego pisarza, ale że dzieli z nim poglądy na Kościół i jego naukę. Stąd nic dziwnego, że nietylko Frycza idealizuje, ale do pewnego stopnia cały obóz protestancki, jak również wszystkich co mniej lub więcej ku niemu się skłaniali, jak Drohojowskiego, Uchańskiego i innych; dla tych zaś, co rewolucyjno-nowatorskiemu prądowi chcieli przeciwstawić odrodzenie ducha na zasadach katolickich jak Hozius, Karnkowski, znajduje może niecałkiem słusznie niejedno słowo nagany. Ten ton liberalno-protestancki, w jakim całe skądinąd interesujące studjum jest utrzymane, sprawia, że mimo wielu zalet, jakie bezsprzecznie ono posiada, nie możemy bez zastrzeżeń polecić go szerszemu katolickiemu ogółowi.

Dr. Stanisław Zdziarski: Dżingis-chan zmartwychwstały. Studja z psychopatologji rosyjskiej. Poznań, 1919, nakł. księgarni św. Wojciecha. 2 tomy, str. 220 i 244.

W rozbiorze płodów piśmiennictwa rosyjskiego z ostatnich lat chciał autor ukazać nam duszę rosyjską, duszę pierwotną, chorą fizycznie i moralnie znieprawioną. I dał studjum bezwątpienia pouczające, a byłoby ono jeszcze więcej pouczającem, gdyby go sobie autor zbytnio nie uprościł. Metoda bowiem, jaką sobie obrał, jest elementarna: z utworów Gorkiego, Andrejewa i kilku pomniejszych pisarzy rosyjskich i ukraińskich wypisuje Dr. Zdziarski długie ustępy żywcem, inne streszcza, przechodząc po kolei powieść za powieścią, nowelę za nowelą i wyciągi te nanizuje na dość cienką nitkę swojej myśli przewodniej — okazania

duszy rosyjskiej w całej jej ohydzie. Na tej nitce spotykamy też gęste supły okrzyków zgrozy, morałów, potępień. Z całej pracy zbyt przeziera tendencja. Z ciemnego już i tak obrazu literatury rosyjskiej ostatniej doby zbiera autor tylko punkta najczarniejsze — sguszczajet kraski, jakby powiedział rosjanin — by czytelnika najgorzej usposobić dla Rosji. Przewijają się więc przed nami przez całe dwa tomy same sceny bestjalskiej rozpusty, pijaństwa zapamiętałego, anarchji i bezbożności. I rezonowania nie lepsze od scen. Ale czy ten wszystek brud i te wszystkie aberracje, z życia rosyjskiego zaczerpnięte, — jeżelibyśmy nawet zgodzili się na to, że w tem rosyjskiem życiu niczego innego niema — świadczą koniecznie, że autorowie je bezwzględnie i zawsze usprawiedliwiają, chwalą, apoteozują, co zdaje się przypisuje im Dr. Zdziarski? Czy niema u nich nigdy potępienia dla złego i pomysłów naprawy, może naiwnych, niebezpiecznych, bądź co bądź jednak o jakiemś sumieniu świadczących? Przytem autor tak rzecz przedstawia, jakoby ateuszostwo, anarchiczne pomysły, pijaństwo i rozpusta były wyłączną własnością życia i myśli rosyjskiej; kiedy nawet wspomina n. p. o socjaliźmie lub anarchiźmie zachodnim, to ten wydaje mu się całkowicie innym niż rosyjski, jakimś grzecznym, spokojnym, ucywilizowanym... Lecz wypadki roku bieżącego na Zachodzie czyż nie dowodzą, że do zwierzęcości i barbarzyństwa ludzie zdolni są nie tylko w Rosji? Zapewne różnice między psychą rosyjską a zachodnich narodów są i to niemałe, lecz trzebaby je wycieniować, nie przeciwstawiając ich tak radykalnie.

Podkreślone braki pracy Dra Zdziarskiego nie pozbawiają jej wartości informacji o treści utworów nowszych pisarzy rosyjskich i dowodu na tezę, że wartość kulturalna i etyczna zbiorowego życia narodów w znacznej mierze uwarunkowaną jest literacką ich twórczością. Rosja ohydną stała się w swem życiu, bo ohydną była karmiona literaturą.

Ks. Jan Urban.

Zdzisław Dębicki: Pisarze polscy. Nakł. »Bibl. dzieł wyborowych« w Warszawie i księgarni św. Wojciecha w Poznaniu.

Co to jest Polska, wydawnictwo zeszytowe pod redakcją Henryka Mościckiego, nakładem jak wyżej.

1. Autor »Pisarzów polskich« daje nam w tej swojej historji literatury charakterystycznych twórców, wraz z wyborem celujących prac. Materjał opracowany szczegółowo a przystępnie, wiąże się szczęśliwie z zajmującym stylem i doborową formą. A przytem autor nie stara się narzucić swojego kąta patrzenia, lecz podaje objektywnie dane; zdanie

może czytelnik sam sobie wyrobić. Dotąd ukazało się zeszytów jedenaście po 90 fen. w prenumeracie, obejmują one początek twórczości polskiej, a więc: Reja, Kochanowskiego, Orzechowskiego, Górnickiego, Szarzyńskiego, Klonowicza, Ks. Grochowskiego, Miaskowskiego i Szymonowicza. Wydawnictwo ma objąć całokształt piśmiennictwa polskiego od Reja do chwili obecnej.

2. Drugie wydawnictwo zeszytowe, ze względu na swoją aktualność i przystępną nowość godne jaknajszerszego poparcia ogółu, to »Co to jest Polska?« W szeregu zeszytów, z których każdy tworzy odrębną całość, a wiąże się z innemi myślą przewodnią, daje nam szereg autorów różnych, przeważnie sił w piśmiennictwie znanych, zarysy tego czem Polska była, jest i być powinna. Pierwszy zeszyt: »Granice Polski« Edwarda Maliszewskiego, daje nam całokształt granic dawnych, gdzie obejmowały żywioł czysto polski, gdzie stały się więcej przejściowem osiągnięciem. W zeszycie II barwne pióro Heleny Romer kreśli nam przeszłość Wilna, jego zabytki i jego teraźniejszość. W zeszycie III L. Zarzycki, porusza dla nas dziś najważniejszą może z ważnych, bo z wychowaniem młodzieży związaną sprawę i pisze »O zadaniach nauczycielstwa polskiego«. Rzecz jest napisana silnie i pięknie, z taką mocą przekonania, iż pragnęłoby się, by ten zeszyt znalazł się w rękach wszystkich nauczycieli polskich, wogóle wszystkich, mających styczność z wychowaniem młodzieży. Nie ma tam pustych frazesów, są tam słowa, które wcielone w czyn, zrozumiane, odczute, mogą nam dać typ nauczyciela, jakiego wymaga chwila obecna, a temsamem zapewnia młodzieży kierunek zdrowy, na pożytek powstającej Ojczyzny. Zeszyt IV Henryka Mościckiego »Rządy Fryderyka na ziemiach polskich« przynosi nam echa niewoli i doskonałą charakterystykę stylu epoki: przebiegły uśmiech i żelazna pięść Fryderyka wita nas z każdej karty. Miał ten wielki zbrodniarz, dążący do śmierci narodów całych, przynajmniej tę zaletę, że nie kłamał sympatji, nie wkładał białych rękawiczek dyplomaty, gdy miał zamiar komuś kark skręcić. Ten rys polityki zachował się w Prusach do dnia dzisiejszego, a zdaje się dla ducha uciemiężonego narodu i jego moralnej tężyzny lepszy jest taki otwarty wróg, niżeli układny łapownik. Zeszyt V zawiera Dra Kipy »Lwów«, zeszyt VI Wandy Docanewskiej »Rycerki polskie«.

Całokształt ma objąć wszystkie nasze żywotne kwestje, zarówno z dziedziny historji, jak polityki, prac społecznych i gospodarczych.

Marja Czeska - Mączyńska.

Z dziedziny techniki.

Inż. Włodzimierz Tarło-Maziński: Zasady radjotelegrafji. Wydanie 2. Warszawa 1919, stron 100 in 8°.

Inż. Ksawery Gnoiński: Elektrotechnika prądów słabych. Zeszyt 2: Telefonia. Warszawa 1919, str. 129 in 8°. Nakład Kasy przezorności i pomocy warszawskich pomocników księgarskich.

1. Z radością powitać trzeba wzbogacenie polskiej literatury technicznej przez tak znakomitą rzecz, jak praca inżyniera Mazińskiego, organizatora i dowódzcy oddziału radjotelegraficznego w korpusie gen. Dowbora-Muśnickiego, formowanym w 1917 w Rosji. — Jako ujęcie popularno-naukowe teorji i konstrukcji radjotelegrafu, jako podręcznik i repetytorjum dla techników, dziełko to odda niewątpliwe usługi.

W pierwszych czterech rozdziałach jest rozwinięta teorja wibratora z bogatem uwzględnieniem odnośnych pojęć z teorji fal. Mimo, że to teorja, czyta się ją z najwyższem napięciem uwagi, niby nowelę. Tajemnica tego zainteresowania tkwi w głęboko pomyślanem przedstawieniu wibratora w stadjach jego ewolucji logicznej, jakie przeszedł, by wyzbyć sie kolejno wadliwości, wynikających z ciasnoty pola elektromagnetycznego i z dużych strat energji. W dalszych rozdziałach (od 5 do 11) w sposób syntetyczny prowadzi autor myśl czytelnika do ogarnięcia zadań funkcyjnych i konstrukcji różnych składowych stacji nadawczej i odbiorczej, których całokształt zawiera schematycznie rozdział 10. Interes nie opuszcza czytelnika nigdzie, dzięki temu, że autor przyjął jedynie rozumną zasadę opisu konstrukcyj technicznych: bo wpierw zastanawia się nad zadaniem do rozwiązania i nad warunkami do spełnienia, następnie objaśnia konstrukcyjne rozwiązanie danego zagadnienia, a objaśnia na możliwie elementarnym schemacie teoretycznym, dopiero na koniec demonstruje techniczną konstrukcję, znajdującą się dziś w praktycznem zastosowaniu. Sposób ten, nie zaczynający nigdzie od gotowego już przyrządu, jest głęboko psychologiczny i pedagogiczny: oszczędza bowiem czytelnikowi ciągłego wrażenia »deus ex machina« i pierwszą ideę przyrządu uwalnia od chaosu rzeczy nieistotnych, jakim musi być każda wykończona ku praktycznemu użytkowi konstrukcja. R. 12 obejmuje rzecz o warunkach pracy radjotelegrafu; r. 13 stanowi krótki przegląd historyczny ewolucji radjotelegrafu, nader sympatyczny zakończeniem o zarodkowych dziejach radiotelegrafji w Polsce.

Praca ze stanowiska technicznego nie zostawia nic do życzenia. Pod względem dydaktycznym jest wprost wzorowa. Genetyczne ujęcie pojęć, stanowiących teorję radjotelegrafu, jest tłem ogólnem owej wy-

sokiej wartości dydaktycznej dziełka. Za środki jej techniczne uważam: przejrzystość, podkreśloną bocznemi nagłówkami przy każdej nowej treści, i plastykę posiłkującą się obficie — obok jędrnego stylu — tak ważnym środkiem wykładu, jak grafikony i schematy, a w dodatku światłodruki.

Jedynem życzeniem co do uzupełnienia treści byłoby kilka danych liczbowych zwłaszcza w rozdziale: »Pomiary« i przy ogólnym schemacie stacji radjotelegraficznej. Liczba ma w technicznem dziełku swoją plastykę, której się nie da niczem zastąpić. — W kwestji ścisłości wyrażenia (str. 50): »W ten sposób linje sił zamykają się i dzięki otrzymanemu rozpędowi odrywają się od przewodnika i z ogromną prędkością posuwają się w przestrzeni. Szybkość ich posuwania się będzie tem większa, im większa będzie częstość prądu drgającego« — jeśli ostatnie zdanie czytamy tak: »szybkość ich zesuwania się wzdłuż anteny«, wszystko jest w porządku. Ale poprzednie zdanie podsuwa z konieczności ideę: »Szybkość posuwania się w przestrzeni«, ta zaś, jako prędkość nie drgającego, a falowego, od częstości prądu drgającego nie zależy i jest w danym ośrodku stała. — Mechanistyczne wyobrażenia o budowie eteru, rozwinięte w r. 1 mają wartość bardzo problematyczną; szkoda, że autor tego nie zaznaczył. Niektóre błędy druku mogą mniej bacznego czytelnika wprawić w kłopot.

Drobiazgi te jednak w niczem nie obniżają ogólnego sądu o wysokiej wartości pracy p. Mazińskiego.

2. Opracowanie zastosowań prądów słabych, podjęte na szerszą skalę przez inż. Gnoińskiego, ma bardzo doniosłe znaczenie dla techników, konstruktorów i telefonistów i będzie przez nich wdzięcznie przyjęte. Za taki skutek ręczą zalety prac p. Gnoińskiego. — Wyszedł już zeszyt II, zawierający w 6 rozdziałach (r. 9 — 14 ogólnego zbioru) rzecz o telefonji. Wszechstronne wyczerpanie materjału i systematyczność układu i wykładu, to cenne jej przymioty. — Szczegółowo na podstawie schematów opisuje autor części składowe aparatów telefonicznych i ich przeznaczenie funkcyjne, ich odmiany stosownie do celów, układy połączeń telefonicznych, sposoby zwiększenia zasięgu porozumienia telefonicznego, wreszcie urządzenie central telefonicznych. — Systematyczność wielka. Uwzględniwszy (w r. 9) krótko teorję telefonu i zasadniczych typów połączeń, autor zaznajamia czytelnika z poszczególnemi elementami, poczem łączą się te elementy w coraz zawilsze ugrupowania, tworząc mimo mnóstwa szczegółów przejrzyste obrazy. Praktyczność dziełka zyskuje wybitnie na tem, że urządzenia, zanalizowane schema-

tycznie, przedstawia potem autor w ich wykonaniu fabrycznem, a dołączona krytyka danych urządzeń pozwala nietylko śledzić drogi ich rozwoju, ale wrazie zakładania instalacji orjentuje co do jej wartości, wrazie zaś zepsucia się wskazuje, gdzie szukać »pięty achillesowej«. Ilustrowanie danemi liczbowemi uwypukla też rzecz ze strony ilościowej.

Praca napisana ściśle, sucho, objektywnie; nie można jej »czytać«: trzeba »studjować«. Tylko ostatnie paragrafy ostatniego rozdziału mają miejscami zakrój więcej popularny. Dzięki jednak wyżej wspomnianym zaletom, całość studjuje się bez znużenia. Gdyby atoli więcej odnośników w schematach, gdyby zaznaczenie kierunku prądu stałego wzdłuż przewodników, względnie dróg prądu zmiennego, a to głównie na skrzyżowaniach linji przewodowych, gdyby schematów większe rozmiary, — zyskałaby na tem zrozumiałość schematów, a zatem przystępność dziełka także dla szerszych kół.

Podnieść należy zupełną oryginalność ujęcia, cechującą obie powyżej omówione prace. Gdyby prac tego rodzaju było więcej, pozbyliby się nasi technicy zależności od tego działu piśmiennictwa niemieckiego, które dotychczas stanowiło dla nas przeważne źródło wiedzy technologicznej. Powyższe dwa dziełka są bodaj czy nie pierwszemi w tym zakresie krokami Polaków na drodze emancypacji lotnej umysłowości polskiej od mocno tutaj zasłużonego, lecz zbyt ołowianego sposobu myślenia Niemców. W tem tkwi tych dziełek ważne znaczenie pozanaukowe.

Ks. Jan Dorda.

Oprócz tego nadesłano do redakcji:

Ks. M. Kuznowicz T. J.: Zasady i sposoby pracy w związkach młodzieży. Kraków 1919, str. 24.

Dr. Feliks Koneczny: Czeskie a polskie prawa historyczne do Cieszyńskiego. Warszawa 1919, str. 38.

Adolf Špaldák: Le Problème de l'Évolution. Paris, G. Beauchesne, 1919, str. 151 z tablicami.

Jan Kochanowski: Treny. Opracował T. Sinko. (»Bibjoteka narodowa« Nr. 1). Kraków, nakł. Krak. Spółki wydawniczej, 1919, str. XXXVI+78.

Jul. Słowacki: Kordjan. Opracował J. Ujejski. (»Bibljoteka narodowa« Nr. 2). Kraków, nakł. Krak. Spółki wyd., 1919, str. 134.

Jan Kochanowski: Odprawa posłów greckich. Opracował T. Sinko. (Bibjoteka narodowa Nr. 3). Kraków, nakł. Krak. Spółki wydawniczej, 1919, str. L+53.

J. Niemcewicz: Powrót posła. Opracował prof. Dr. Stan. Kot. (Bibljoteka narodowa Nr. 4). Nakł. Krak. Spółki wydawniczej, 1919, str. 118.

Ks. Jan Urban T. J.: Na wejście w świat. Wiązanka wskazówek etycznych dla dorosłych panien. Wyd. 2. Poznań 1919, nakł. Drukarni św. Wojciecha, str. 424.

Ks. Szczęsny Dettloff: Stosunki artystyczne biskupa poznańskiego Urjela z Górki z Norymbergą. Poznań 1919, nakł. księg. św. Wojciecha, str. 41, z illustr.

Ks. R. Gaëll: Księża na polach walk Francji. (Tłóm. Zofii Jachimeckiej) Poznań 1920, nakł. księg. św. Wojciecha, str. 189.

Robert H. Benson: Pan świata. Powieść. Tłóm. z ang. St. Barszczewski. Poznań, nakł. księg. św. Wojciecha, str. 512.

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Kościół a cerkiew na naszych wschodnich rubieżach. — Nadzieje i troski katolików po wyborach we Francji, Włoszech i Belgji.

W dwóch artykułach, podpisanych Ks. J. G., poruszył niedawno warszawski Dziennik Powszechny (nr. 294 i 295) jedno z najważniejszych zagadnień, dotyczących naszej polityki kościelnej na obszarach wschodnich, zajętych przez nasze wojska. Jakie stanowisko ma zająć tam państwo, względnie rząd polski wobec Kościoła katolickiego, wobec prawosławnej Cerkwi i wobec możliwych na tych obszarach prób wskrzeszenia dawnej unji kościelnej? Może, wobec niewyjaśnionej dotąd przyszłości politycznej naszych wschodnich rubieży, przedwczesną jest rzeczą snuć jakieś określone plany polityki kościelnej na owych obszarach, — bądź co bądź są kwestje, które już dziś wymagają rozstrzygnięcia, a inne do rozstrzygnięcia dojrzewają, i dlatego artykuły Ks. J. G. można uważać za bardzo aktualne.

Trzy rzeczy trzeba mieć na względzie: Po pierwsze, Polska otrzyma czy utrzyma w swych granicach pokaźną liczbę wyznawców wschodniego obrządku, częściowo z Rzymem zjednoczonych, w większej wszakże części trwających w kościelnem odszczepieństwie. Nie tylko dzięki szczepowej odrębności od Polaków, ale i dzięki temu właśnie odrębnemu obrządkowi ludność ruska (małoruska i białoruska) stanowi element łatwiej poddający się politycznym i obyczajowym wpływom schizmatyckiej i odwiecznie wrogiej nam Moskwy. Powtóre, Polska nie może zapomnieć o swem dziejowem posłannictwie, jakiem jest niesienie kultury zachodniej na Wschód,

a jeśli pamiętać będzie, że jest państwem katolickiem i że zachodniej kultury korzeniem jest głównie katolicyzm, Polsce nie wolno zrezygnować z misji popierania interesów katolicyzmu na wschodnich swych rubieżach. Po trzecie, Polska nie może zapomnieć nigdy o zasadzie tolerancji religijnej, której zawsze hołdowała w teorji i praktyce, i nie użyje nigdy takich metod względem inowierców, jakiemi posługiwał się naprzykład carat względem katolicyzmu i unji. Mamy więc punkt wyjścia, mamy ideał do urzeczywistnienia i mamy maksymę wytyczną polityki praktycznej.

Jak je w szczegółach pogodzić? Oczywistą jest rzeczą, że rząd polski nie może używać żadnych przymusowych środków w celu skłonienia prawosławnych do katolicyzmu i wogóle w naszem państwie takie przymusowe środki żadnej religijnej stronie nie mogą być dozwolone. Przynajmniej co się tyczy Kościoła katolickiego, ten ani do nich się nie ucieknie, ani od państwa ich wymagać nie będzie. Ale nie wynika stąd, jakoby zasadzie tolerancji było przeciwnem żądanie Kościoła, aby mu zwrócono te świątynie obrządku łacińskiego i gmachy kościelne, jakie rząd rosyjski zagrabił mu na rzecz prawosławia, gdyż zasada tolerancji bynajmniej nie wymaga prawnego utrwalenia popełnionych bezprawi. Zastrzeżenie Ks. J. G., aby w pewnych wypadkach kierować się oportunizmem, o ile wiem, będzie bezcelowe, gdyż prawosławni nigdzie nie znajdą się w tem położeniu, by bez świątyni katolickiej byli pozbawieni zupełnie możności praktykowania swego kultu. Podobnież nie uważałbym tego za objaw gwałtu czy nietolerancji, jeżeli gdzie jaka gmina schizmatycka w całości albo olbrzymiej większości przejdzie dobrowolnie na katolicyzm i zażąda dla celów katolickiego kultu cerkwi, jaka dotąd jej, jako gminie prawosławnej służyła. Zwłaszcza, jeśli ta świątynia była niegdyś unicką. Poza tem przynależność czyjakolwiek do prawosławia nie może być powodem do ograniczania go w jakichkolwiek obywatelskich prawach, o ile tylko skądinąd nie będzie dowodów wrogiego usposobienia danego osobnika czy grupy względem państwowości polskiej.

Że państwo polskie, następnie, nie może ścierpieć zależności kleru i ludności schizmatyckiej od władz cerkiewnych pozakrajowych, zwłaszcza od patrjarchatu moskiewskiego, to jest zdaje się rzeczą elementarnej przezorności politycznej i Ks. J. G. słusznie wskazuje na konieczność zorganizowania niezależnej w granicach Rzeczypospolitej organizacji cerkiewnej. Będzie to zgodne z całą hi-

storją i praktyką prawosławia, które wszędzie tworzy kościoły autocefalne zgodnie z politycznemi granicami państw. Przecięcie więc węzłów hierarchicznych z Moskwą bynajmniej nie może być atakowane z punktu widzenia prawosławnego prawa kościelnego, a zatem ani uważane za objaw nietolerancji religijnej. Uważalibyśmy atoli za potrzebne przestrzec rząd polski, aby nie brał na siebie obowiązku pozytywnego urządzania spraw cerkwi lub oktrojowania jej jakiejś konstytucji. Jesteśmy zwolennikami zupełnej autonomji Kościoła katolickiego i tego samego pragniemy dla innych wyznań. Należy zatem dać możność samemu prawosławiu urządzić swe sprawy stosownie do nowych warunków na jakimś synodzie. Materjalne środki, znajdujące się w rękach cerkwi, nawet po dokonaniu należnych Kościołowi katolickiemu zwrotów, będą tak znaczne, że pozwolą na ubezpieczenie celów kultu, wykształcenie kleru i t. d. Rząd polski może stać na boku od tych spraw; uniknie tym sposobem i odpowiedzialności i zarzutów mieszania się w sprawy sumienia obcego wyznania.

Nie może atoli rząd polski pozostać obojętnym na losy katolicyzmu na wschodnich kresach. Naród, gdyby patrzył na taką obojętność swego rządu również obojętnie, sprzeniewierzyłby się swemu posłannictwu. Nie żądamy od rządu ani wojska ani policji do nawracania inowierców, ale możemy żądać, aby nie przeszkadzał Kościołowi stosować duchowne środki nauki i perswazji, tak w słowie jak i w piśmie. Ponadto zarówno interes państwa, jak i Kościoła wymaga wzmocnienia i opatrzenia tych placówek polsko-katolickich, jakie się tam już znajdują. Nawet nie żądamy z Ks. J. G. przynajmniej na razie budowy nowych kościołów i kaplic kosztem rządu, ale trzeba jaknajprędzej dopomóc do należytego obsłużenia dotychczasowych posterunków. Najpilniejszą jest sprawa uposażenia seminarjów duchownych w Mińsku, Janowie Podlaskim, ewentualnie w Kamieńcu czy Łucku. Obecnie na tych obszarach jeden kapłan ma do obsługi przeciętnie ponad 5 tysięcy katolików, rozrzuconych na znacznej przestrzeni. Gdzie ma on myśleć o jakiejś propagandzie, albo o pracy społecznej i patrjotycznej! Trzeba zdwoić, potroić kadry księży, a do tego potrzebnemi są seminarja tak uposażone, aby mogły ściągnąć do duchownej służby w tych djecezjach nawet młodzież niezamożną.

Unja czy prawosławie? zapytuje Ks. J. G. Jako Polak, obawia się pierwszej, zwłaszcza gdyby jej wskrzeszenie miało wychodzić

ze Lwowa. Jako katolicki kapłan jednak nie może kategorycznie odmówić prawa do bytu tym, którzyby do unji z Rzymem skłaniali się. Proponuje tedy utworzenie w Warszawie godności biskupa unickiego ale tylko do spraw obrządkowych, podczas gdy pod względem administracyjno-kościelnym przyszli unici mieliby zależeć od odnośnych biskupów łacińskich. W zasadzie pomysł ten możliwy, a nawet taka zależność jest zwykle konieczną, jeżeli chodzi o małe grupy wyznawców wschodnich obrządków na terytorjach biskupstw łacińskich. Atoli w miarę, jak te grupy liczebnie potężnieją i konsolidują się, Stolica Apostolska zwykle powołuje do życia odrębną organizację kościelną odnośnego obrządku. Tak np. w Kanadzie unici Rusini otrzymali niezależnego biskupa; nawet w Bośni wyjęto ich po pewnym okresie zależności z pod jurysdykcji łacińskiej. Tegoż samego należałoby się spodziewać i na naszych wschodnich okrainach w razie gdyby już nie nieliczne jednostki, ale jakieś grupy znaczniejsze ze schizmy przeszły do unji. I stosunków z unitami galicyjskimi nie możnaby im zabronić. Mojem zdaniem, które jest zresztą może czysto osobiste, całe zagadnienie unji nie jest wielce aktualnem. Na masowe ruchy w kierunku czy to katolicyzmu łacińskiego czy też unji trudno liczyć w naszych czasach, jednostki zaś może dość liczne z pośród schizmatyków, zwłaszcza jeśli katolicyzm sam się wzmocni wewnętrznie, będą się niewątpliwie nawracały do wiary katolickiej, ale też nie uczują koniecznej potrzeby zatrzymywania swego obrządku i siłą rzeczy oprą się o katolicyzm łaciński. W razie jednak gdyby tworzyły się pokaźniejsze skupienia zwolenników obrządku wschodniego z pośród konwertytów, nie widzę możności, aby rząd państwa, proklamującego zasadę tolerancji religijnej, miał prawo przeszkadzać utworzeniu hierarchji unickiej. Tym, w czyjej wyobraźni unja kojarzy się koniecznie z obrazem walk narodowościowych, jak w Galicji Wschodniej, trzeba zwrócić uwagę, że od tych walk nie asekuruje ani pozostawienie Rusinów w schiźmie, ani nawet wcielenie ich do obrządku łacińskiego. Dowód — stosunki polsko-litewskie, dochodzące do niemniejszego niż polsko-ruskie napięcia pomimo jedności obrządkowej Polaków i Litwinów. Mojem zdaniem, jak wybór wyznania, tak tembardziej wybór obrządku należy zostawić ostatecznie samym interesowanym. Na możliwe zaś trudności w przyszłości szukać innych środków, niż stawianie sztucznych przeszkód tym, co mają za sobą naturalne i kościelne prawo wyboru sposobu chwalenia Boga.

W całym szeregu państw europejskich odbyły się prawie jednocześnie wybory do ciał prawodawczych. Francja, Włochy, Belgja, Rumunja, przedtem nieco mały Luxemburg, wypowiedziały się w tych wyborach, czem chcą być w najbliższej przyszłości. Dziś przed każdem społeczeństwem staje dylemat: przewrót bolszewicki albo spokojna twórcza praca. Wszystkie wymienione narody ogromną większością obrały tę drugą, tj. pracę i powolną ewolucję. Zwłaszcza wybory francuskie najznamienniej w tym sensie wypadły: zradykalizowani socjaliści ponieśli tam sromotną porażkę, tracąc w Izbie 150 miejsc. Gdzieindziej socjalizm utrzymał dotychczasowy stan posiadania, albo i wzmocnił go, jak np. w Belgji; można atoli uważać za pewne, że zawdzięcza to większemu umiarkowaniu swemu w innych krajach, niż we Francji.

Pomijając Belgję, co do której parę słów niżej, wyniki tegorocznych wyborów można uważać za względnie pomyślne i dla religji i Kościoła. Europa zdaje się na długi czas zażegnała niebezpieczeństwo przewrotu, który, wypisując na swym sztandarze hasło wolności sumienia, niesie w rzeczywistości krwawe prześladowanie wiary i niewolę dusz. We Włoszech stworzenie dość licznej katolicko-ludowej partji, która zdołała przeprowadzić przeszło 100 deputowanych, może stać się punktem zwrotnym w całej dotychczasowej kościelnej polityce. Zapewne w tej czy innej formie podniesioną zostanie kwestja rewizji stosunku Zjednoczonej Italji do Stolicy Świętej.

We Francji nie stworzono wprawdzie odrębnego stronnictwa katolickiego, wszakże katolicy, przystępując w myśl wskazówek swego episkopatu do bloku narodowych stronnictw, zdołali wprowadzić na wpólne listy pokaźny zastęp ludzi, na których liczą, że wbrew strassburskiej mowie Clémenceau'a zdołają wstrząsnąć podstawami antykościelnych ustaw. Za niekorzystną dla katolicyzmu okoliczność trzeba uznać, że nie nadano we Francji dotąd praw wyborczych kobietom: liberalizm umie być nieliberalnym wobec całej połowy ludności, kiedy przewiduje dla siebie klęskę z własnych zasad. Mnożą się w każdym razie oznaki, że praktyczne wyznawstwo wiary obejmuje w kraju św. Ludwika coraz szersze i coraz wpływowsze koła, co nie może nie odbić się prędzej czy później na kierunku polityki kościelnej. Odbywane w ubiegłym miesiącu masowe pielgrzymki wojskowych z generałami na czele do Lourdes świadczą o przekonaniu miljonów Francuzów, że nie w oficjalnej bezbożności lecz w przyznaniu się publicznem do Boga i Marji leży przyszłość narodu.

Jakie czynniki spowodowały w Belgii porażkę wyborczą katolików dotąd jeszcze nie wyjaśniono. Utrata przez nich absolutnej większości, jakiej tak świetnie dla wolności wszystkich umieli używać, przejmuje obawą o przyszłość. Czy liberalizm chętnie podający dłoń socjalizmowi, kiedy chodzi o walkę z religją, nie mając już do przeprowadzenia rozdziału Kościoła od państwa, jaki zawsze istniał w Belgji, nie wstąpi na drogę wrogich wierze eksperymentów? Jedno tę obawę łagodzi, mianowicie zasługi wiekopomne duchowieństwa z kardynałem Mercierem na czele, położone podczas wojny dla zdeptanej ojczyzny. Flamandzka uczciwość nie dopuści się chyba czarnej niewdzięczności względem tej religji, która podczas dni doświadczenia krzepiła ducha i łzy ocierała. *Ks. J. Urban.*

Wiedeńskie stronnictwo chrześcijańsko-społeczne.

Stronnictwo chrześcijańsko-społeczne, które w Wiedniu tak ważną odgrywało rolę, kiedy na jego czele stał wielki obywatel-katolik Lueger, rozpoczęło w miesiącu listopadzie b. r. nowy okres życia i pracy. Dnia 15 tego miesiąca przedstawiciele stronnictwa po długiej i rzeczowej dyskusyi przyjęli nowy program działalności, zastosowany do zmienionych warunków, w jakich się znalazło społeczeństwo austrjackie i miasto Wiedeń[1]).

Stronnictwo wiedeńskie jest częścią organizacji, obejmującej całe obecne państwo austrjackie, która jednoczy w sobie wszystkie elementy katolickie. W programie dotyka częścią spraw ogólnych, częścią swych miejskich zadań i interesów.

Celem stronnictwa jest uregulowanie i poprawa warunków ogółu społeczeństwa, ale bez walki klasowej, na zasadach chrześcijańskich, narodowo-niemieckich i antysemickich. Obecna Austrja jest w jego pojęciu państwem związkowem, w którem ma być zaprowadzona forma rządu republiki demokratycznej. Należy przeto jak najrychlej stworzyć konstytucję na zasadach demokratycznych, t. j. taką, która zastrzega władzę prawodawczą przedstawicielom społeczeństwa, wybranym przez równe, bezpośrednie i tajne wybory, zaś władzę wykonawczą tylko urzędom, powstałym na zasadach konstytucji. Program żąda atoli, by i ogółowi społeczeństwa zastrzeżono inicjatywę i bezpośrednie referendum w sprawach prawno-państwowych, społecznych i kulturalnych.

[1]) Program ten wydrukowała w całości wiedeńska Reichspost z d. 18 listopada b. r.

Z naśladowania godną otwartością i siłą zaznacza stronnictwo swe stanowisko w kwestji wiary i moralności. Religję katolicką powinno państwo otoczyć opieką, a Kościołowi zapewnić zupełną swobodę. Wszelkie zaś zmiany, jakie mogą zajść w stosunku państwa do Kościoła, dojdą do skutku tylko po obopólnem porozumieniu, a nie przez gwałt jednostronny. Z naciskiem broni stronnictwo w swym programie świętości ogniska rodzinnego. Domaga się przedewszystkiem uznania małżeńskiego prawa kościelnego za obowiązujące dla katolików i wobec władzy świeckiej, surowych kar za szerzącą się coraz bardziej zbrodnię spędzania płodu. Zdaje sobie jednak jasno sprawę, że przyczyną wykroczeń częstokroć jest rzeczywiste ubóstwo rodziców i obawa o utrzymanie i wychowanie odpowiednie liczniejszego potomstwa. Wobec tego wielodzietnym rodzinom zastrzega program szczególniejszą pomoc państwa i zwolnienie od pewnych podatków. Również dla matek karmiących domaga się specjalnego wsparcia. Ponadto odpowiednie władze powinnyby, według programu, wglądać, czy rodzice należycie spełniają obowiązek wychowania dzieci i, o ileby zauważono braki w tym kierunku, a inne środki były bezskuteczne, dzieci należy umieścić we wzorowo urządzonych zakładach wychowawczych, z nałożeniem na rodziców częściowych przynajmniej kosztów utrzymania. Projekt śmiały, ale konieczny, jeśli się ma raz wreszcie zatamować źródło, z którego płyną tysiączne zbrodnie, ostatnie wyuzdanie, jakie dziś widzimy, niestety, i w naszych miastach.

Kwestję zakładów wychowawczych porusza projekt niejednokrotnie. Proponuje tworzenie ochron dla nieletniej dziatwy, burs, internatów itp. dla uczącej się młodzieży, zwłaszcza dla uczniów przemysłowych i rzemieślniczych. I nic dziwnego. Przecież rozrzucenie młodzieży po t. zw. »stancjach«, poruczanie jej opiekunom, którzy niekiedy sami nie mają pojęcia o wychowaniu i zupełnie nie rozumieją potrzeb i skłonności dzisiejszej młodzieży, a obowiązku utrzymywania podejmują się tylko dla interesu, musi być zastąpione wzorowemi zakładami wychowawczemi i odpowiedzialnymi kierownikami zakładów. Tylko wtedy można będzie spodziewać się podniesienia zdrowia moralnego i fizycznego przyszłych pokoleń.

W sprawie moralności publicznej równie dobitnie i jasno kreśli stronnictwo swój program pracy. Podjąć się systematycznej walki z prostytucją, z pornografją, z bezwstydnemi widowiskami na scenie teatralnej i ekranach kinematografów, z niemoralnemi wystawami i obrazami, z alkoholizmem, który bywa częstokroć przyczyną różnego rodzaju ekscesów, to główne zadania stronnictwa w tym względzie. Prócz tego domaga

się stronnictwo obostrzenia kar za uwodzenie i urządzenia odpowiednich zakładów dla istot upadłych, zdradzających pewną chęć poprawy.

Zadanie istotnie bardzo piękne, walka bez wątpienia trudna, ale zwycięstwo możliwe, jeśli do walki wystąpią wszystkie szlachetniejsze żywioły wspólnie, w organizacji. Odosobnione głosy, choćby najsilniejsze, nic nie poradzą przeciw tej powodzi zepsucia, która się tak szeroko rozlewa.

Dalszą sprawą, której stronnictwo poświęca przed innemi swą uwagę, to szkolnictwo. Na pierwszem miejscu wyklucza szkołę świecką. Państwo, w myśl programu, powinno dbać o szkoły, jednakowoż nie może zapoznawać praw rodziców, jakie im przysługują z ich naturalnego stosunku do dziecka i dlatego należy dopuścić do głosu w sprawie szkolnictwa także rodziców, zwłaszcza jeśli tworzą w tym celu pewne partje. Wywieranie nacisku na szkołę przez jakąkolwiek organizację powinno być bezwarunkowo wykluczone. Dla szkół średnich należy jak najprędzej ustalić plan nauk, odpowiadający dzisiejszym potrzebom i uwzględniający różne zawody, którym młodzi w przyszłości mają się poświęcić. Domaga się też stronnictwo, — w czem harmonizuje z głosem wielu naszych dzienników — by raz wreszcie zaprzestano próbnych innowacyj i obrano coś możliwie stałego. Szczegółów program nie posiada tak tu, jak w sprawie wyższych uczelni, których słuchaczom zamierza w przyszłości zapewnić więcej społecznej opieki.

Bardzo ważne projekty rzuca program w zakresie wykształcenia młodzieży żeńskiej. Chodzić tu powinno państwu i społeczeństwu o przygotowanie dziewcząt do obowiązków, jakie powinny spełniać jako przyszłe gospodynie i matki, o urządzenie odpowiednich szkół dokształcających przedewszystkiem dla pracownic handlowych i wogóle kursów, w którychby dorastające panny mogły poznać swe społeczne zadania. Tego domaga się dzisiejsze stanowisko kobiety równouprawnionej. Z tego stanowiska wyciąga stronnictwo daleko idące wnioski. Kobietę powinno się dopuścić do urzędów — szkoda tylko, że niema zastrzeżenia, którym zdoła sprostać — powinno jej się zapewnić przedstawicielstwo i głos na pierwszem miejscu w dyskusjach aprowizacyjnych, powołać do życia dobrze zorganizowane biuro pośrednictwa pracy i stworzyć nowe gałęzie przemysłu kobiecego, tak by praca kobiet nie wytwarzała szkodliwej konkurencji męskiej sile. Zdolności naturalnych kobiety powinno się użyć do zorganizowanej pomocy sanitarnej w zakładach przemysłowych i wogóle do pracy humanitarnej i społecznej. Te zadania spełni kobieta w nowem państwie, jeśli państwo ze swej strony pomyśli o niezbędnych kursach sanitarnych, zwłaszcza z zakresu ginekologji.

Wogóle też w kwestji zdrowia publicznego pragnie stronnictwo jeszcze wiele uczynić. Urządzić ogródki dziecięce, ogrody publiczne, łaźnie dostępne dla uboższej ludności i t. d. Nadto proponuje w swym programie rozszerzenie kas chorych i ubezpieczeń od wypadków i na starość dla pracowników wszystkich kategoryj.

W całej swej przyszłej akcji społeczno-ekonomicznej chce uwzględnić przedewszystkiem warstwy uboższe, obarczone długami, zepchnięte w ciężkie warunki przez kryzys wojenny. Zamierza też całą działalność humanitarną prywatną wprowadzić w pewien kontakt z dobroczynnością publiczną i bardziej ją scentralizować, ale równocześnie wyzwolić z biurokratyzmu. Zadanie bardzo trudne, choć wobec katastrofy wojennej konieczne.

Nie pomija też program bolączek wspólnych dziś prawie wszystkim społeczeństwom. Do tych należy brak mieszkań, paskarstwo, bezrobocie, zasiłki dla bezrobotnych, na których miejsce chce wprowadzić obowiązkowe ubezpieczenie na wypadek bezrobocia.

Najbardziej charakterystyczne są w programie ustępy, odnoszące się do Żydów. »Żydów należy uważać i liczyć jako odrębną narodowość«. »Żydowskie dzieci trzeba skupiać w osobnych szkołach, względnie klasach«. »Na wyższe zakłady naukowe Żydzi mogą być dopuszczeni jako słuchacze i na katedry tylko proporcjonalnie do ogółu ludności«. Dziwna rzecz, że nawet Austrjacy zajęli wobec Żydów tak zdecydowane stanowisko i nie marzą o żadnej asymilacji, choć wszyscy Żydzi, mieszkający i w Wiedniu i w Austrji, mówią po niemiecku i łatwiejby ich było posądzić o jakieś aspiracje narodowo-austrjackie. Ale Austrjacy cenią swą narodowość i chcą jej bronić wszelkiemi sposobami. Dlatego to i program stronnictwa chrześcijańsko-społecznego stara się utrudnić nabywanie obywatelstwa obcokrajowcom.

Można sobie naprawdę życzyć, by, konsolidujące się w naszym sejmie stronnictwo chrześcijańsko-robotnicze i przyszłe grupy chrześcijańskie, które się utworzą w naszych radach miejskich, równie dobitnie i śmiało stawiały swe programy narodowe i katolickie. *R. M.*

Kronika ekonomiczna.

Kiedy rok temu wojna wielka na głównych swych terenach dobiegła do końca, a z jej chaosu i zgliszczy jak sfinks wzbił się ku górze wolny Orzeł Biały, nikt chyba nie wątpił, że pierwszym krokiem, który mocarstwa koalicyjne uczynią dla wzbudzonej przez nie Polski,

będzie pośpieszenie z pomocą wydatną, celem jak najrychlejszego postawienia nowego państwa na zdrowych podstawach ekonomicznych. Po dostarczeniu więc, choćby na drogi kredyt niezbędnej żywności i odzieży dla ginącej prawie z głodu i chłodu ludności, chodziłoby więc przedewszystkiem o puszczenie w ruch przemysłu i rolnictwa krajowego, a więc o dostarczenie maszyn i surowca, i bezpośrednio potem, albo raczej równocześnie z tem o pomoc w uregulowaniu waluty państwowej polskiej, by podniósłszy wartość jednostki monetarnej polskiej do pewnego, racjonalnego poziomu, na targu międzynarodowym, umożliwić nam nawiązanie stosunków handlowych z Zachodem i Ameryką. Nikogo bowiem chyba w Polsce nie było, ktoby choć na chwilę wątpił, że koniecznym warunkiem ugruntowania niezawisłości Polski musi być jej zupełne wyzwolenie się z pod ekonomicznej i handlowej zależności od Niemiec, jak to zresztą głosiły ciągle urzędowe i nieurzędowe organa w krajach koalicji. Ufność zaś nasza w konferencję pokojową, zwłaszcza zaś w Anglję, była tak dziecięca i bezgraniczna, że »pan bez wąsów« stał się tem dla nas, czem »św. Mikołaj« dla grzecznych dzieci; miał nam przynieść wszystko co dobre i piękne i przyjemne, a nadto rózgę na postrach naszych domorosłych bolszewików. Oczywiście było jasnem i samo przez się zrozumiałem, że pierwszym staraniem Mikołajka będzie wyznaczenie nam jak najobszerniejszych granic i wymiecenie poza nie wszystkiego, co nie nasze, a zwłaszcza wpuszczenie świeżego powietrza do kraju przez otwarcie natychmiastowego dostępu do morza, a więc oddanie Polsce Gdańska. Mijały miesiące, a wielu z nas nie traciło w Mikołajka ufności, tylko nie umiało sobie wytłómaczyć, czemu on nie przychodzi.

I nie przyszedł. Natomiast przyszła ugoda handlowa z Niemcami. Myśmy w latach ostatnich tak już nawykli do rzeczy dziwnych i wydarzeń niespodziewanych, że nakształt owych mędrców starożytnych niczemu się już nie dziwimy, a jeżeli czem od owych mędrców starożytnych jeszcze się różnimy, to chyba tem, że już nawet nie próbujemy wytłómaczyć sobie przyczyn głębszych i genezy tych rzeczy dziwnych i patrzymy na wszystko przez pryzmat owego aksjomatu, że w życiu logiki szukać nie należy. To też i to nas nie zdziwiło, że będziemy dostarczać Niemcom żywności i towarów poniżej ich ceny targowej u nas, chociaż Niemcy tych artykułów koniecznie potrzebują, nie zdziwiło nas dalej i to, że dotychczas nietylko nie mamy żadnej umowy handlowej z mocarstwami ententy, lecz że wogóle stosunki handlowe z niemi nie istnieją.

Gdybym się kogo dzisiaj spytał, dlaczego dotychczas nie mamy umów i stosunków handlowych z Ententą, to każdy, ktoby chciał na

takie pytanie odpowiedzieć, wytłómaczyłby mi z wyższością, że przyczyną tego jest niski kurs naszej monety. A gdybym się zapytał dalej, dlaczego ten kurs taki niski, odpowiedziałby mi pewnie z odcieniem niecierpliwości, że kurs waluty jest odzwierciedleniem stanu ekonomicznego kraju. I miałby słuszność, ale nie całkowicie. Bo jak w życiu prywatnem kredyt osobisty człowieka zależy nietylko od jego stanu majątkowego, ale także od tego, czy ma dobrych ręczycieli, tak i w gospodarce społecznej mogą państwa zaprzyjaźnione poręczyć za walutę słabszego sprzymierzeńca i w ten sposób utrzymać ją na możliwym poziomie.

Kilka miesięcy temu czytaliśmy rzeczywiście w paryskim Temps — u nas było o tem dosyć głucho — że rząd polski wystąpił z prośbą do mocarstw ententy, celem utrzymania kursu złotego polskiego, o którym wówczas marzono, al pari z frankiem, by mocarstwa ententy poręczyły miljard w złocie, któryby następnie mogły sobie odebrać z tych kwot dolarowych, jakie Polacy amerykańscy posyłają rok rocznie do kraju. Otrzymano odpowiedź odmowną, a równie daremnemi były wszelkie wysiłki, by na ten cel otrzymać wydatną pożyczkę od banków zagranicznych. Za powód najważniejszy rekuzy finansiści podawali to, że nie mamy jeszcze ustalonych granic. Ponieważ zaś ustalenie tych granic zależy i zależało od Ententy, więc ostatecznie każdy myślący logicznie nabrać musi przekonania, że katastroficznie niski kurs naszej — albo raczej nie naszej, a używanej przez nas — monety, wypływa pośrednio czy bezpośrednio z woli Ententy. A wola ta rozciąga się nietylko na nasze państwo, ale i na państwa ościenne, tak centralne, jak i koalicyjne.

Przyczyny takiego postępowania są różnorakie, i niektóre a może najważniejsze, umyślnie głęboko przed oczyma nie wtajemniczonych zakryte. W tem, co niedawno jedno z pism socjalistycznych czeskich pisało, że koalicja chce przez to w zupełnej zależności ekonomicznej utrzymać całą środkową i wschodnią Europę, może być i prawdy nieco, chociaż stałoby to w cynicznej wprost sprzeczności z temi zasadami, które koalicja, jako hasło główne, głosiła w ciągu całej wojny, to jest z wolnością narodów. Mogą być jeszcze inne dwa powody, które finansistów koalicyjnych skłaniają do duszenia naszej waluty. Pierwszy, to obrona ekonomiczna własnych mieszkańców. Już na długo przed końcem wojny, patrząc na niezmierne wyniszczenie i wyczerpanie wszelkich zapasów żywnościowych, przemysłowych i surowca w krajach koalicji i na jeszcze większą dewastację w krajach środkowych i wschodnich Europy, przemyśliwano nad środkiem, jakby ową otchłań potrzeb zapełnić tak, by przedewszystkiem zapewnić dowóz potrzebny dla ludności Anglji a następnie

Francji, a potem dopiero zaopatrzyć resztę. Chodziło więc o to, by usypać wał, któryby zapobiegł skutecznie przeciekaniu zapasów do spragnionych krajów ościennych. Zakazy, chociażby najsurowsze i cła ochronne wywozowe tego zadania nie spełnią, jak to widzimy z własnego doświadczenia, a przyczyniają się tylko do demoralizacji przez nastręczenie pokusy do oszustw na granicy i do łapownictwa. Tymczasem środek taki był i zjawił się w odpowiednim momencie, środek wprost idealny, bo otacza kraj wałem wprost nieprzemakalnym, a nie wywołuje żadnych niechęci, ni ujemnych krytyk w krajach sąsiednich, ani demoralizacji u obywateli własnych. Jest nim deprecjacja, sztuczna czy naturalna, którą się oczywiście podtrzymuje dalej, waluty krajów, obciążonych handlowym interdyktem.

Jest rzeczą bardzo interesującą przyglądnąć się bliżej, jak się układa obecnie na targu międzynarodowym wartość waluty rozmaitych krajów, tem bardziej, że wyrobić sobie z tego można dosyć dokładny pogląd na położenie ekonomiczne państw. Dla przykładu przytoczę niektóre dane, opierając się na sprawozdaniu giełdowem (T i m e s z d. 4 listopada), przyczem za normę porównawczą weźmiemy angielski funt szterlingów.

Za funt angielski dawano przed wojną około:	obecnie:	zmiana wartości monety:
20 marek	154 marek	755% straty
25 franków francuskich	38 franków franc.	52% straty
25 franków szwajcarskich	23 » szw.	8% zysku
25 franków belgijskich	35 » belg.	40% straty
18 koron szwedzkich	17·6 kor. szw.	4% zysku
24 kor. austrjackich (według kursu w Zurychu)	480 kor. austr.	2000% straty
4·85 dolarów Stan. Zjedn.	4·17 dol.	14% zysku
18 koron duńskich	19.4 kor. d.	8% straty
25 lir włoskich	46·7 lir wł.	85% straty
25 drachm greckich	23·2 dr. gr.	7% zysku
25 pesetów hiszpańskich	21 pes. hiszp.	16% zysku

Z tej krótkiej tabliczki widać, że, jak należało się zresztą spodziewać, waluta państw pobitych uległa zdeprecjonowaniu, natomiast waluty państw — nie zwycięskich, lecz neutralnych — niesłychanie się podniosły.

Ale na dwie pozycje w powyższym wykazie giełdowym szczególną zwrócić należy uwagę: przedewszystkiem na walutę niemiecką, a następnie na walutę francuską. Że waluta niemiecka musiała uledz derucie w chwili zawieszenia broni, to rzecz oczywista, ale co zdumiewa nawet najwytrawniejszych finansistów, to jej spadek gwałtowny i ciągły. W chwili zawieszenia broni funt angielski wart był 38 marek, a więc marka, równa nominalnie prawie szylingowi, spada na pół szylinga.

Lecz później, zamiast się poprawiać, spadała coraz więcej, tak, że na początku października b. r. za funta dostać można było 100 marek, a w miesiąc później już 150, czyli siedm i pół za szylinga. Że grają tu rolę wewnętrzne, tak niepomyślne stosunki państwa niemieckiego, to nie ulega wątpliwości, ale nasuwa się dosyć silne podejrzenie, że wpływa tu także sztuczny nacisk ręki Ententy. Bo pamiętać trzeba, że taki niekorzystny kurs monety jest dla państwa o wysokiej wartości kursu środkiem do wyzyskiwania bezlitośnego i wprost nieograniczonego państwa o niskim kursie monety. W państwie o małej wartości monety święcą orgje drożyzna i idące za nią paskarstwo, gdyż ponęta dla producenta lub pośrednika zbyt wielka, by żywność lub inny produkt zamiast sprzedawać po cenie przymusowej za małowartościową monetę krajową, przemycać do krajów sąsiednich, gdzie można z łatwością dostać ceny bajecznie wysokie, bo tam przy tak wysokiej wartości monety, ceny te będą jeszcze bardzo niskie. Np. kilogram mięsa najlepszej jakości kosztuje obecnie w Paryżu $10^1/_2$ franka, u nas 24 korony. Lecz $10^1/_2$ franka to jest przeszło 100 koron, a więc jakaż pokusa dla ludzi, mających do tego sposobność, by kupować u nas mięso chociażby za 30 koron, to znaczy za 3 franki i przemycać je do Francji. Takie nienormalne stosunki sprawiły, że np. z Wiednia, w którym drożyzna była niesłychana, wykupywali podobno agenci francuscy żywność, bo dla nich ceny w koronach, chociażby nie wiem jak wysokie, zawsze były wobec wartości franka niskie. A że ten niski kurs monety dotknął nietylko Niemcy i dawną Austrję, lecz wszystkie państwa na ich terytorjach powstałe, więc nie dziw, że państwa te nie tylko bezwzględną koniecznością zmuszone są wejść w stosunki handlowe z Niemcami, jako jedynie możliwemi dla nich, wobec zbliżonego kursu monety, lecz nadto wraz z Niemcami ekonomicznie współcierpią na rzecz wielkich mocarstw Ententy i państw neutralnych.

Na początku układów pokojowych powstawały od czasu do czasu pogłoski, że wielkie państwa Ententy zażądają od państw oswobodzonych zapłaty, czy wynagrodzenia, rodzaj haraczu. Taki haracz nałożony wprost i bez ogródek wywołałby oczywiście wielkie rozgoryczenie, ale pobierany w formie niesłychanie obniżonego kursu waluty przechodzi zupełnie niepostrzeżenie, a jest wyższy i skuteczniejszy, niż jakakolwiek chociażby najwyższa opłata. Czy tak należy sobie tłómaczyć sztuczne i rozmyślne podtrzymywanie niskiego kursu naszej monety obiegowej, trudno dociec. Ale skutki są jednakie, jakkolwiek będziemy genezę faktu samego wyjaśniali.

Drugiem zjawiskiem bardzo ciekawem, narzucającem się z przytoczonej wyżej tabeli giełdowej, to zdumiewające obniżenie się wartości

franka francuskiego. Żeby sobie uzmysłowić, dość przypomnieć, że frank francuski był dawniej zupełnie równy frankowi szwajcarskiemu i belgijskiemu, a dziś nietylko że stoi niżej aż o 60% od franka szwajcarskiego, lecz o kilka procent niżej od franka tak srodze wojną zniszczonej Belgji! Oczywiście Francję, która dzisiaj żyje prawie wyłącznie importem amerykańskim i angielskim, taki stan rzeczy niszczy do reszty i wywołuje tam słuszne rozgoryczenie, którego ilustracją dosadną jest anegdotka, powtarzana przez dzienniki francuskie. Gdy w pewnem licznem towarzystwie rozmowa zeszła na te tak przykre dla Francji obniżenie kursu jej waluty, zapytany o zdanie obecny tam marszałek Foch odrzekł: »Na sprawach finansowych znam się niewiele, ale to wiem, że podczas wojny krew francuska stała al pari«. I nie tylko al pari, stała bezsprzecznie najwyżej — tem też boleśniejszą musi być dla każdego Francuza ta kampanja giełdowa kapitalistów angielskich i amerykańskich tak bardzo Francję rujnująca. Gdy do tych ostatnich zwrócono się w tej sprawie z przedstawieniami przed kilku tygodniami, odpowiedzieli oni, że dzieje się to wbrew ich woli, mocą niedających się zahamować przyczyn natury ekonomicznej, pomiędzy któremi na pierwszem miejscu kładą ciągłą niepewność ustroju społecznego we Francji, zagrażającą przez tamtejszych bolszewików własności prywatnej i bezpieczeństwu obcego kapitału. Było to jeszcze przed wyborami; czy tak świetnie przez Clemenceau poprowadzone wybory zmienią usposobienie finansistów obcych względem Francji, niedługo zobaczymy.

O trudnych bardzo stosunkach ekonomicznych we Francji dużo się u nas pisze, i słusznie, natomiast mało się wie o stosunkach belgijskich. Otóż Belgja, gdzie cena żywności była dawniej zawsze znacznie niższą, niż we Francji, dziś dorównała zupełnie swej sojuszniczce, i koszta utrzymania podniosły się tam o 400%, podczas gdy w Anglji tylko o 150% w stosunku do kosztów ceny przedwojennych, jak o tem donosi La Presse Parisienne. Ale ciekawszy jeszcze obraz belgijskich stosunków ekonomicznych, kreśli z naiwną prawie szczerością korespondent Timesów. Według niego Belgja przechodzi obecnie bardzo ciężkie ekonomiczne przesilenie, wśród którego szczególnego wyzysku doznaje od kapitału — angielskiego. Podczas okupacji niemieckiej przeważna część fabryk belgijskich stała bezczynnie, i to z pobudek patrjotycznych, by nie pracować na korzyść »boszów«. Ponieważ to bezrobocie trwało nadspodziewanie długo, więc odbiło się boleśnie na przemyśle, bo i fabryki potraciły rynki zbytu i robotnicy odwykli od pracy. Obecnie przemysłowcy angielscy nie tylko nic nie pomagają do odbu-

dowy belgijskiego przemysłu, gdyż za wszystko żądają oni zapłaty gotówką, ale nadto często postępują bardzo — no powiedzmy — dziwnie. Oto Belgijczycy ze względów patjotycznych nie chcieliby nic sprowadzać z Niemiec, więc zwracają się z zamówieniami do angielskich przemysłowców, którzy jednak widocznie więcej pojednawczo usposobieni, bez skrupułów sprowadzają towar z Niemiec, gdy to jest korzystne, by następnie z firmą angielską sprzedać go drożej znacznie Belgji. Oto jeden z przykładów humorystyczno-dziwnych. Między artykułami, sprowadzonemi z Anglji, były także i parasole, które kupcy angielscy liczyli po funcie za sztukę. Ale gdy się im bliżej w Belgji przypatrzono, wpadło któremuś kupcowi belgijskiemu na myśl, że on takie parasole już zna. Po bliższem badaniu parasoli pokazało się, że zrobiono je w Niemczech, a tylko po firmę pojechały do Anglji, skąd rozeszły się dalej do Belgijczyków, którzy oczywiście pokryć musieli koszta tej podróży, i to sowicie. Bo gdy odniesiono się do fabryki w Niemczech z zapytaniem, za jaką cenę gotowa jest dostarczyć takich a takich parasoli, przyczem dokładnie opisano owe parasole pseudoangielskie, oferta opiewała na 15 marek za sztukę. A te same via Anglja kosztowały funt, a więc sto kilkadziesiąt marek.

Wstrząśnienia ekonomiczne doby obecnej nie ominęły także i najdrażliwszego punktu, punktu ciężkości, na którym opiera się cały obecny rozwój ekonomiczny i przemysłowy, to jest węgla. Poczucie kastowe, które, rzecz dziwna, w naszej demokratycznej epoce tak się utrwala, ogarnęło także i górników węglowych, tworząc z nich najpotężniejszą i po kolejarzach najbardziej uprzywilejowaną kastę społeczną całej ludzkości. Nic dziwnego, z różnych stron dostatecznie ich uświadomiono i przepojono przekonaniem, że swoją pracą podtrzymują oni i w ruch wprawują cały gmach społeczny, i że z drugiej strony są oni panami położenia, z którymi liczyć się musi świat cały. To też umieją już oni cenić wysoko swą pracę, a podczas najnowszego bolszewickiego strajku w Ameryce, do którego stanęło 450.000 górników węglowych, stawiają oni pod względem ekonomicznem takie żądania, jak sześciogodzinny dzień pracy, przy równoczesnem podwyższeniu płacy o 60%, i tydzień roboczy pięciodniowy! Wogóle, jak to już wszyscy z pewnością wiemy, wydatność kopalń, dzięki robotnikom, stale się zmniejsza, a następstwem tego będzie np. i to, że Francja, która przed wojną żyła głównie węglem angielskim, za lat kilka nie dostanie od Anglji ani kamyka, bo Anglja będzie wnet produkowała zaledwie tyle, ile starczy na jej własne potrzeby.

Zarówno ta okoliczność, jak i przyczyny natury technicznej, o których zaraz wspomnę, stają się w Anglji powodem dużego przewrotu te-

chniczno-ekonomicznego. Oto w przemyśle, a zwłaszcza na okrętach, zaczynają coraz więcej jako środka popędowego używać nafty, zamiast węgla, i to niekoniecznie przez zastępowanie maszyn parowych przez motory naftowe, lecz przez palenie pod kotłem maszyny parowej naftą zamiast węglem. Przyczynia się do tego nie tylko zwiększająca się stale cena węgla i trudność jego nabycia w ilości dostatecznej, ale także i wyższość techniczna nafty nad węglem. Nafta bowiem posiada przedewszystkiem większą energję zapasową, albowiem jeden kilogram nafty wydaje ze siebie tyle kaloryj cieplnych, co 1,2 kilograma najlepszego węgla, a więc okręt, ogrzewany naftą a nie węglem, zyskuje ogromnie na pojemności użytecznej, bo nie potrzebuje wieźć ze sobą tyle opału. Następnie naftę łatwiej na okręt ładować, niż węgiel i okręt może tej czynności zaopatrywania się w naftę dokonywać znacznie szybciej i dogodniej, za pomocą pomp, prawie bez pomocy robotnika, tak, że nawet na otwartem i burzliwem morzu można okrętowi dostarczyć tego opału. Wreszcie samo pomieszczenie nafty, jako płynu, jest o wiele wygodniejsze i ekonomiczniejsze, niż węgla, i zamiast dużych miejsc przeznaczonych na składy węglowe, gdzie między kamieniami pojedyńczemi tyle koniecznie pozostaje miejsca pustego, posiada okręt cysterny na naftę znacznie mniejsze i nie dostarczające siedlisk dla szczurów i nieczystości. To też wobec tych zalet nafty, jako środka popędu motorycznego, znajduje ona coraz większe zastosowanie we flocie angielskiej, a zwłaszcza sławny i tak popularny w Anglji admirał Fischer ogromnie jej użycie popiera we flocie wojennej.

Wiemy dobrze, a jeszcze lepiej wiedzą w Anglji, czem dla Anglji jest flota, to też wobec potrzeb floty wszystko tam musi ustąpić na plan dalszy. Gdy tedy pokazało się, że tak ze względu na coraz rosnący brak węgla, jak i na wewnętrzne niejako zalety nafty Anglja musi mieć tej nafty dla floty poddostatkiem i po całej ziemi, by mógł w nią wygodnie, tanio i wszędzie zaopatrywać swe okręty, i gdy nadto nafty potrzebuje lotnictwo, wysiłki dyplomacji angielskiej zmierzać muszą do tego, by wszystkie najwydatniejsze źródła nafty stały się własnością Anglji albo przynajmniej dostały się pod jej kontrolę. I zdaje mi się, że tu leży główny klucz do zachowania się Anglji w sprawie przynależności Galicji wschodniej, tak bogatej w źródła naftowe.

Econ.

SPIS RZECZY TOMU 143—144.

Artykuły.

DR. F. KONECZNY: Unji lubelskiej wspomnienie 5
KS. J. URBAN T. J.: Z ziemi opornych 16
DR. J. RAFACZ: Wpływ duchowieństwa na stosunki prawne wiejskie 21
KS. F. Hortyński T. J.: Koniec wszechświata wobec nauki i w objawieniu 40
DR. K. KROTOSKI: Kultura i lojalność obywatelska jako przedmiot wychowania młodzieży (dok.) 53, 151
KS. J. URBAN T. J.: Stanowy ustrój Kościoła 81
DR. K. LUBECKI: Wolny wyszynk czy monopol? 98
KS. ST. PODOLEŃSKI T. J.: Prawo rozwodowe a szczęście małżeńskie (d. c.) 111, 403
DR. M. GUMOWSKI: Katedry wawelskie (dok.) 127
KS. R. MOSKAŁA T. J.: Droga do socjalizmu 162
KS. DR. A. KRZESIŃSKI: O Berkeley'u — wielkim burzycielu świata zmysłowego 209
DR. K. KROTOSKI: Odrodzenie szkolnictwa polskiego w Wielkopolsce 217, 317
J. KOZŁOWSKA: Wojna rządu rosyjskiego z Matką Boską w powstaniu styczniowem 234
KS. N. CIESZYŃSKI: Szarzyńskiego Struś — Sienkiewicza Podbipięta 246
KS. J. URBAN T. J.: Przeciwko zarazie moralnej 289
KS. DR. J. KRUSZYŃSKI: Współczesne przemiany w żydostwie 299
KS. J. URBAN T. J.: Co zrobić z Żydami? 369
PROF. O. HALECKI: Liga narodów a światopogląd chrześcijański 385

Przegląd piśmiennictwa.

DO HISTORJI KAZNODZIEJSTWA. Dr. A. Donders, P. Bonawentura O. Pr., Ein Lebensbild (Ks. N. Cieszyński) . . 60
PEDAGOGJA. Janusz Korczak, Jak kochać dziecko? (Z. Korczyńska) 63
Z LITERATURY RELIGIJNEJ. Ks. F. Klimke, Unsere Sehnsucht; Ks. biskup J. Pelczar, Obraz religji katolickiej; Ks. Dr. L. Górski, Jezus Chrystus w świetle Ewangelji (Ks. Wł. Lohn T. J.) 169
Z NIWY POETYCKIEJ. J. Tuwim, Czyhanie na Boga (Ks. N. Cieszyński) 177
HISTORJA SZTUKI KOŚCIELNEJ. Ks. biskup A. Nowowiejski, Płock; Dr. J. Zubrzycki, Katedry polskie (J. Trepka) . 181
MATERJAŁY HISTORYCZNE. Wołyniak, Z przeszłości Karmelitów na Litwie i Rusi; J. Klaczko, Pisma z lat 1849—1851; K. Mościcki, Unja Litwy z Polską; Dr. St. Kot, Rzeczpospolita polska w literaturze politycznej Zachodu; Ks. bisk. A. Szelążek, Memorjał w sprawie majątków kościelnych w Królestwie Polskiem; Ks. W. Chotkowski, Grabieże kościelne w Galicji (J. B.) 183
HISTORJA. T. Jeske-Choiński, Historja Żydów w Polsce (Ks. J. Urban T. J.); L. Rydel, Dzieje Polski dla wszystkich (Ks. J. Krzyszkowski T. J.); M. Wierzbiński, Idea niemiecka a Polacy (Er.); K. Cederbaum, Ze wspomnień polityka (J. B.) 250
KAZNODZIEJSTWO. Ks. J. Winkowski, Egzorty dla uczniów szkół średnich; Ks. F. Zbroja, Przemówienia do żołnierzy (Ks. Z.) 255
Z POETYCKIEJ NIWY. Br. Ostrowska, Pierścień życia (Ks. J. Krzyszkowski T. J.) 256
Z FRANCUSKIEJ LITERATURY POWOJENNEJ. M. Barrès, Le suffrage des morts; Ern. Psichari, Le voyage du Centurion (H. Skolimowska) 257
Z NASZYCH CZASOPISM. »Sprawa« (Ks. T. Bzowski T. J). 262
NAJNOWSZA POWIEŚĆ POLSKA. J. Kaden-Bandrowski, Łuk; St. Kiedrzyński, Pożar; G. Daniłowski, Tętent; St. Żeromski, Charitas; K. Gliński, Bonawentura Dzierdziejewski; W. Berent, Żywe kamienie; P. Choynowski, Kuźnia; K. Makuszyński, Słońce w herbie (Dr. St. Lam) 333

HISTORJA. Dr. A. Divéky, Węgrzy a Polacy w XIX stuleciu (Ks. J. B.) 348
DO HISTORJI KULTURY. Dr. G. Schreiber, Mutter und Kind in der Kultur der Kirche (J. Merunowiczowa) 350
KSIĄŻKI TREŚCI RELIGIJNEJ. Ks. bisk. P. Mańkowski, Z nami Bóg (Ks. J. Krzyszkowski T. J.); Ks. arcyb. Teodorowicz, »Mnie żyć jest Chrystus« (X. X.); Ks. J. Rostworowski T. J., Obrazki z życia Zbawiciela (H. Skolimowska) 415
O KULTURZE NASZEJ I OBCEJ. St. Kot, Andrzej Frycz Modrzewski (r.); Dr. St. Zdziarski, Dżingis-chan zmartwychwstały (Ks. J. Urban T. J.): Z. Dębicki, Pisarze polscy; Co to jest Polska, wyd. zesz. pod redakcją K. Mościckiego (M. Czeska-Mączyńska) 422
Z DZIEDZINY TECHNIKI. W. Tarło-Maziński, Zasady radiotelegrafji; K. Gnoiński, Elekrotechnika prądów słabych (Ks. J. Dorda T. J.) 426
Nadesłane do redakcji 65, 186, 263, 351, 428

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

SPRAWY KOŚCIOŁA, przez Ks. J. Urbana T. J. 67, 187, 265, 353, 430
XXII Wystawa Sztuki, przez J. Trepkę 71
O naszych organizacjach kulturalno-oświatowych, przez Ks. R. Moskałę T. J. 76
Z zagadnień chwili, przez ks. F. Hortyńskiego T. J. . . 195
Dwa zjazdy, przez ks. E. Matzla T. J. 277
Katolicki Związek Polek, przez R. M. 280
Rada Główna Opiekuńcza, przez R M. 282
Z obcych głosów o Polsce 284
Z dziejów najnowszego lotnictwa, przez ks. F. Hortyńskiego 360
Wiedeńskie stronnictwo chrześcijańsko-społeczne przez R. M. . 435
Kronika ekonomiczna, przez Econ 439

REDAKTOR I WYDAWCA: *Ks. Jan Urban T. J.*

Druk ukończono 4. grudnia 1919.